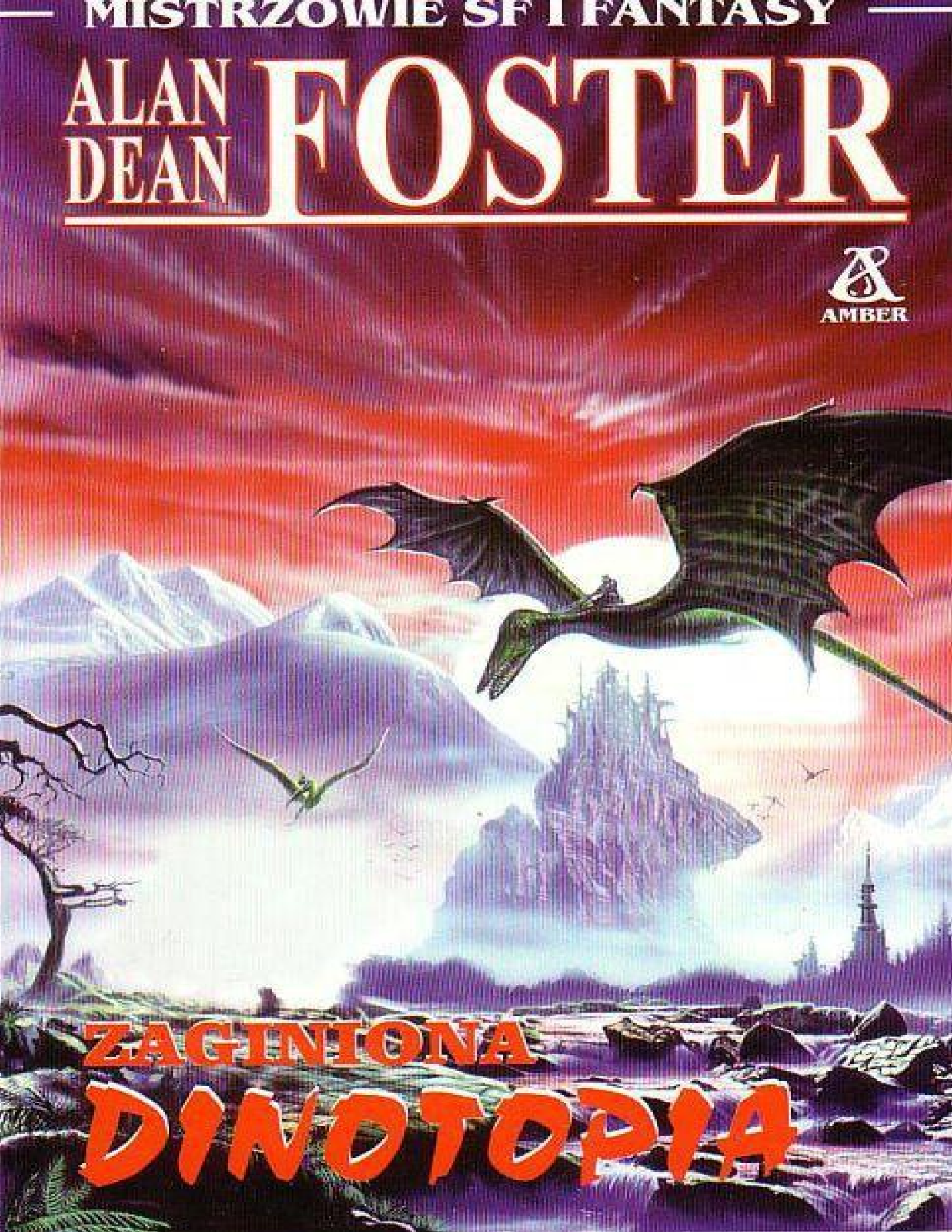


MISTRZOWIE SF I FANTASY

ALAN DEAN FOSTER



ZAGINIONA
DINOTOPIA

Alan Dean Foster

ZAGINIONA DINOTOPIA

Przekład:

Maciej Pintara

Tytuł oryginału: Dinotopia Lost

Data wydania oryginalnego: 1996

Data wydania polskiego: 1997

Jimowi Gurneyowi, oczywiście.

Towarzysz podróży.
Zrealizuję mój prosty plan,
jeśli dam chwilę radości chłopcu,
który jest dopiero na wpół mężczyzną,
czy też mężczyźnie, który jest jeszcze
na wpół chłopcem.

(Wstęp do Zaginionego świata Arthura Conan Doyle'a)

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

I

Pundu Singuang i Kreda obserwowali ocean, myśląc o tym samym. Bardzo różnili się wyglądem. Centrozaur mierzył blisko czternaście stóp, licząc od dzioba do ogona, miał krępe, muskularne ciało i ważył od czterech do pięciu ton, zależnie od tego, kiedy ostatnio jadł. Jego ogromna czaszka łączyła się z opancerzoną, kościaną kryzą karku najeżoną krótkimi kolcami, tuż za zrogowaciałym dziobem zaś wyrastał pojedynczy, masywny róg. Kreda zawdzięczał swe imię temu, że był wyjątkowo blady.

Towarzyszący mu człowiek był niższy, drobniejszy, miał ciemniejszą skórę i był całkowicie pozbawiony pancerza, ale za to odznaczał się wydatnym nosem. On i rodzina torozaurów wspólnie prowadzili gospodarstwo rolne, dzieląc się sprawiedliwie darami ziemi, czyli ryżem i tropikalnymi owocami.

Stał teraz razem z Kredą na szczycie niewielkiego, porośniętego drzewami wzgórza, wznoszącego się nad zupełnie skądinąd płaskim kawałkiem Niziny Północnej. Z rękami skrzyżowanymi na nagiej, ociekającej potem piersi, Pundu opierał się plecami o solidną podporę, jaką stanowiła kryza na pancerzu Kredy. Za nimi rozciągała się farma. Najbliżej wznosiła się grupa starannie pokrytych strzechą zabudowań przeznaczonych dla ludzi, dinozaurów, sprzętów gospodarskich i zbiorów, które przypadały dwa razy do roku.

Przed nimi ciągnęły się słone mokradła porośnięte dzikimi trzcinami, palmami i drzewami mangrowymi. Dalej, za wąską plażą pokrytą czystym, białym piaskiem, była szeroka laguna i rozległa rafa otaczająca całą Dinotopię. Białe grzbiety przybrzeżnych fal kobaltowego morza, targanego potężnymi prądami uniemożliwiającymi żeglugę, rozбивały się o twardą, koralową krawędź.

Niebo było bledsze niż morze, a jego jednolity błękit mąciło tylko kilka niedużych ciemnych chmur, umykających przed niewidocznym, północnym szkwałem. Oprócz fal, rozpryskujących się tam, gdzie morze zmagало się z nagromadzonymi szkieletami dawno umarłych koralowców, nic nie mąciło panującego wokół spokoju.

– Na razie nic na to nie wskazuje... – zauważył Pundu, zwracając się do gościa. – Czy meteorolodzy są pewni...?

Na dźwięk jego głosu Kreda odwrócił się i obaj spojrzeli na posłańca.

Rączy gallimimus przybył z południa tego samego ranka. Do różowego grzbietu przytroczone miał dwie skórzane torby, opatrzone oficjalnymi pieczęciami i ozdobione niebieskimi i żółtymi proporczykami, takimi samymi jak przy kapturze, który chronił jego twarz przed wiatrem i kurzem, osłaniając niemal całą głowę. Jednocześnie wskazywał on każdemu, kto dostrzegł lub napotkał posłańca, jego status.

Gallimimus wprawdzie nie zrozumiał, ale wyczuł w głosie farmera niepewność. W odpowiedzi na jego pytanie wyciągnął urzędowy dokument ściskając go mocno w dwóch pazurach. Ostrzeżenie napisane było w dwóch językach, ludzkim oraz dinozaurów. Znając jego treść, Kreda znów spojrzął na morze. Tylko ludzie czuli potrzebę odczytywania w kółko tych samych słów, jakby chcąc się upewnić co do ich znaczenia. Dinozaury o wiele łatwiej godziły się z rzeczywistością.

Dokument nie zawierał żadnych niedomówień. Stawiał sprawę jasno i otwarcie. Stwierdzał, że nawiedzające Dinotopię w sześćioletnich odstępach załamanie pogody właśnie nadchodzi i wszystko wskazuje na to, że tym razem jego kulminacja będzie szczególnie gwałtowna.

Jak każdy, kto wraz z rodziną długo gospodarował na podmokłych i gorących terenach Niziny Północnej, Pundu Singuang wiedział, co to oznacza. Wiedział to również Kreda. Uniósłszy otwartą

dłoń Pundu dotknął ręki posłańca i skinął głową. Gallimimus odwzajemnił gest, odwrócił się i pobiegnął kłusem w dół łagodnego zbocza. Każdy jego krok pokonywał odległość dwukrotnie większą niż byłby zdolny przebiec najlepszy nawet biegacz rodzaju ludzkiego. Zatrzymał się tylko na krótko, by pożegnać się z żoną Pundu, Lahat, która właśnie rozwieszała pranie przed bambusowym domem mieszkalnym. Dwoje dzieci Pundu podążało za gallimimusem aż do gruntowej drogi; jedno z nich jechało na grzbiecie Jedyńczki, czyli córki Kredy. Jedyńczka była tak młoda, że jej róg nosowy ledwo wyrastał ponad dziób.

Dzieci zaprzestały bezowocnego pościgu za posłańcem, a na szczycie wzgórza dobiegł ich śmiech. Pundu patrzył za oddalającą się dwunożną sylwetką gallimimusa, widział, jak skręca w lewo, na drogę, i nabiera szybkości. W tumanie kurzu wzbitym jego szybkimi, trójpalczystymi stopami powiewały żółte i niebieskie proporce.

Pundu zdawał sobie sprawę z tego, że dzieci, zarówno ludzkie, jak i centrozaurów, powinny pomagać przy robocie. Ale w tej chwili ani on, ani Kreda nie mieli ochoty przywoływać ich do porządku. Niech się bawią, dopóki mogą. Wkrótce wszystkich czeka tak ciężka praca, jak jeszcze nigdy dotąd.

Znów spojrzał w kierunku morza. Kilka ostatnich, powtarzających się, co sześć lat ataków przeszło stosunkowo łagodnie. Już bardzo dawno nie musiał się bać oceanu.

Opróżnienie domu i stodoły zajęło wszystkim wiele dni. Wszystko, co można było zabrać, od sprzętu kuchennego po wielki, żelazny pług, zostało zapakowane i załadowane lub upchnięte na sześciokołowy, farmerski wóz. Drogocenny kukiełkowy teatrzyk cieni, należący do Lahat i przekazywany w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie, owinięto w papier ryżowy i schowano starannie pod siedzeniem, wraz z innymi delikatnymi przedmiotami domowego użytku.

Kreda, pomrukując, poganiał dzieciaki. Dwa duże torozauiry, tak jak on z gatunku ceratopsianów, ale większe i mające podobnie jak triceratopsy rogowe wyrostki nad oczami, usiłowały dopasować się do uprzęży. Kreda i jego towarzyszka mieli kroczyć z tyłu, ciągnąc drugi, mniejszy wóz załadowany wysoko sprzętem rolniczym.

Obserwując pracujące ceratopsiany, Pundu pomyślał, że jego ziomkowie, należący do tego gatunku, to dobrzy towarzysze i doskonali farmerzy. Uważał, iż ma szczęście, że postanowili połączyć swój los z jego własnym. Współpracujące ze sobą rodziny ludzi i dinozaurów odnosiły obopólne korzyści. Pracowały razem, mieszkały razem, często bawiły się i jadały razem.

A teraz muszą razem uciekać, pomyślał Pundu ze smutkiem. Chociaż pragnął jak najprędzej wyruszyć, Kreda wykazywał niemal ludzką niecierpliwość. Obserwując swego starego przyjaciela Pundu rozchmurzył się. Typowy centrozaur. One zawsze uważają, że za następnym wzgórzem czeka na nie lepsza pasza. Kreda i jego krew nie lubili żyzne, uprawne tereny Niziny Północnej, gdzie żywności było pod dostatkiem.

Z tego właśnie powodu tak wielu farmerów, gospodarujących na nizinach, zdecydowało się współpracować z ceratopsianami lub stegozaurami. Pojedyncze rodziny chętnie korzystały z siły mięśni torozaurów lub triceratopsów, aby zorać pole lub zbudować tamę. Za to ceratopsiany i stegozauiry były wielkimi miłośnikami ryżu i bambusa, które potrafili uprawiać jedynie ludzie.

Pundu był ciekaw, jak postępują przygotowania do ewakuacji jego sąsiadów, w rodzinach Manuhirisów i Tandraputrasów. Na całej Nizinie Północnej w wielu miejscach można teraz było oglądać tę samą scenę. Rodziny pakowały wszystko, co miały – od przedmiotów codziennego użytku po rodową schedę – na wozy, furmanki i szerokie grzbiety dinozaurów i szykowały się do ucieczki.

Pundu wiedział, że większość z nich skieruje się do Krzywego Korzenia, najbliższego miasta mogącego zapewnić niezbędną pomoc i zakwaterowanie w wypadku takiego exodusu. Inne podążą

dalej w poszukiwaniu mniej zatłoczonych kwater; do Miasta Drzew, a nawet do Rogu Obfitości. Mniejsze miasta, położone u stóp Gór Grzbietowych, też wchłoną część ludzi. W całym regionie ludzie i dinozaury gotowi byli nieść pomoc tymczasowym przesiedleńcom. Taki był w Dinotopii zwyczaj.

Najlepiej było tym wygnańcom, którzy mieli w miastach krewnych lub bliskich przyjaciół, lecz w gruncie rzeczy nie o to chodziło. Nawet obcy pomagali sobie nawzajem, bo wiedzieli, że nazajutrz sami mogą potrzebować pomocy.

Z zamyślenia wyrwał Pundu głos syna:

– Tato! Chodź tutaj i pomóż nam!

Selat i jego siostra Brukup usiłowali wydobyć z frontowej sypialni wezglowie łoża. Łoże to, ukochany mebel Lahat, w miesiącach poprzedzających wesele Pundu wraz z dwoma przyjaciółmi osobiście rzeźbił i przyozdabiał. Przykro było teraz patrzeć, jak podróżuje w kawałkach, podobnie jak inne graty.

Przez jakiś czas wszyscy będziemy nie na swoim miejscu, pomyślał ruszając na pomoc dzieciom. Nie tylko meble, ludzie też.

Razem załadowali ciężki kawał drewna na wóz. Ostatecznie pomógł im Kreda, uważając, by nie uszkodzić rogami rzeźbionych ozdób. Musiał odwrócić głowę na bok. Ocierając pot z czoła Pundu przesunął wzrokiem po polach ryżowych. Większość ryżu i kolokacji została zebrana i sprzedana. Na szczęście, bo gdyby się okazało, że meteorolodzy mają rację, straciłby jeden zasiew, a może nawet dwa. Do zebrania zostały jeszcze mango i rambutan, ale posłaniec z Sauropolis przynaglał do wyjazdu. Dojrzewające, nie zerwane owoce są w stanie przetrwać każdą niespodziankę, jaką przyniesie powtarzający się, co sześć lat kataklizm.

Pundu wzdrygnął się. Nie było w końcu tak źle. Gdyby nie meteorolodzy, nie dostaliby w ogóle ostrzeżenia. A wtedy człowiek straciłby znacznie więcej niż trochę owoców.

Wiedział, że mogą utracić wszystko, ale równie dobrze zastać po powrocie wszystko nietknięte, włącznie z dojrzałymi owocami wiszącymi na drzewach. Nie zdarzyło się jeszcze w życiu Pundu, żeby ten sztorm, zrywający się, co sześć lat, był naprawdę groźny. Ale słyszał różne opowieści i znał historię. Co sześć lat należało przedsięwziąć wszelkie środki ostrożności. Takie było prawo, nie mówiąc już, co nakazywał zdrowy rozsądek.

Przynajmniej ewakuacja nie niosła ze sobą żadnych niespodzianek. Przechodził już przez to z pół tuzina razy. Mówiono, że w świecie zewnętrznym ludzie próbują stawić opór siłom przyrody, zamiast się im podporządkować. Trudno było to sobie wyobrazić. Jak ktoś mógłby się przeciwstawić temu, co następuje regularnie, co sześć lat? Myśl o jakiegokolwiek próbie oporu wydawała się sprzeczna ze zdrowym rozsądkiem.

Odwracając wzrok od pól, spojrzał z miłością na dzieci i na gibką sylwetkę Labat. Zauważywszy, że się jej przygląda, uśmiechnęła się i otarła ramieniem pot z wysokiego czoła. Choć byli przyzwyczajeni do gorącego i wilgotnego klimatu Niziny Północnej, ciężka praca wciąż wyciskała z nich pot.

Gdy ruszył w kierunku żony, by pomóc zabrać jej z kuchni garnki i rondle, rzucił okiem na prawo, w stronę morza. Nie mógł go dostrzec, bo było dość daleko, a poza tym zasłaniały jeszcze drzewa. I właśnie dlatego ostrzeżenie meteorologów było takie ważne. Przy gwałtownym uderzeniu żywiołu człowiek nie zdążyłby nawet zauważyć, że nadchodzi. A wtedy koniec sześcioletniego cyklu oznaczałby śmierć, a nie początek następnego okresu spokoju.

Gdzieś daleko powietrze drgnęło i woda zaczęła się poruszać. Pundu bardzo zależało na tym, żeby jego rodzina i przyjaciele byli już bezpieczni na wyżynie, na wypadek gdyby żywioły okazały

się źle usposobione. Przypomniały mu się słowa jego matki; „Lepiej nie drzemać w pobliżu boga mórz, bo nie wiadomo, czy akurat nie przyjdzie mu ochota, by poruszyć się we śnie”. Wielka Stopa, torozaur płci męskiej, odwrócił się w zaprzęgu i parsknął na Pundu.

– Tak, tak, wiem! – odkrzyknął w odpowiedzi farmer. – Powinniśmy już być w drodze.

Spętany uprzężą ceratopsian rwał się do podróży. Im prędzej dotrą do Krzywego Korzenia, tym wcześniej będzie mógł się uwolnić od swego jarzma.

Pundu odwrócił się, by po raz ostatni spojrzeć na dom. Jeśli bóg morza tylko poruszy się przez sen, po powrocie zastaną wszystko tak jak było. Ale jeśli będzie miał koszmary... Cóż, strzecha zaczynała przeciekać, a część bambusa była już stara i spękana. Nowy dom nie byłby wcale taką złą rzeczą...

Składając dłonie do modlitwy Pundu stanął twarzą w kierunku morza i skłonił się. W jego rodzinie głęboko zakorzeniła się tradycja pokornego godzenia się z losem. Pasowało to do życia farmera. Przez chwilę poruszał wargami.

Teraz nie pozostało już nic do zrobienia. Wyprostował się, wdrapał na wóz i wyciągnął rękę, by pomóc Lahat. Dzieci miały jechać z tyłu, na szerokich grzbietach Kredy i jego towarzyski, co sprawiało im wielką frajdę. Pundu uważał, że w jego wieku należy mu się wygodniejsze miejsce do siedzenia.

Ściągając lejce stanął na podnóżku i krzyknął:

– Hej, Wielka Stopo i Ciemnooka! Czas ruszać! Torozaurowie nie rozumiały słów, ale ton głosu Pundu i delikatne szarpnięcie lejcami były wystarczająco wymowne. Mocne nogi ruszyły do przodu i wyładowany po brzegi wóz, skrzypiąc i jęcząc pod własnym ciężarem, wytoczył się na swych sześciu mocnych, drewnianych kołach z podwórza farmy.

Pundu za plecami słyszał głosy dzieci powtarzające jego słowa. Były podniecone i bynajmniej nie zaniepokojone. Dla nich przeprowadzka stanowiła świetną przygodę.

Znalazłszy się na drodze torozaurowie skrzyły w prawo, kierując się ku ciemniejącej w oddali linii Gór Grzbietowych. Nikt się nie obejrzał. Pundu i Lahat nic byliby zresztą w stanie niczego dostrzec, bo widok zasłaniała im sarta załadowanego dobytku. Natomiast ceratopsiany nie mogą spojrzeć za siebie nie odwracając całego ciała.

Nareszcie byli w drodze i Pundu odetchnął. Nie trzeba było nawet kierować torozaurami. Znały drogę do Krzywego Korzenia lepiej niż ktokolwiek z ludzi. Równie dobrze jak za wzrokiem, potrafiły podążać za węchem. Po obu stronach drogi rozciągały się podmokłe pola ryżowe i uprawy kolokazji.

W południe byli już częścią wydłużającej się, skrzypiącej i postępującej rzeki pojazdów, ludzi i dinozaurów zdążających w kierunku zielonego podnóża gór. Poruszali się podwyższoną drogą, zbudowaną z ubitej ziemi wybrukowanej ciosanym kamieniem, istniejącą od wieków i zapewniającą dostęp do żyznych łąk Niziny Północnej. Ten szlak, utrzymywany w dobrym stanie przez ekipy ludzi i dinozaurów, pozwalał podróżować okrągły rok przez płaską okolicę, zalewaną częstymi, gwałtownymi deszczami. Zwykłe drogi, położone niżej, zamieniały się wówczas w strumienie lepkiej, błotnistej mazi i stawały się nie do przebycia.

Wzbierający potok ludzi, dinozaurów, wozów i furmanek kierował się na południowy zachód. Choć na szlaku zebrali się wszyscy mieszkańcy Niziny Pomocnej, droga nie była zbyt zatłoczona. Nie każdego pociągały zmienne warunki życia na równinach. Mimo urodzajności tutejszej gleby, praca na farmie nie gwarantowała lekkiego życia. Niewiele też rodzin miało ochotę pakować co sześć lat cały dobytek i transportować go tam i z powrotem. Ponadto życie na Nizinie izolowało ludzi od ośrodków kulturalnych, takich jak Sauropolis czy Miasto Wodospadów.

Brak rozrywek Nizina potrafi wynagradzać w inny sposób, pomyślał Pundu, podskakując wraz z rodziną na wozie w sznurze posuwających się wciąż naprzód pojazdów. Zapewnia piękno, spokój, radość z obserwowania cyklu wzrostu i dojrzewania... nic zamieniłby takiego życia na żadne inne.

Odwracając się na siedzeniu, Pundu przyjaznym gestem pozdrowił znajomego farmera. Otera i jego rodzina mieszkali bliżej wybrzeża, niedaleko Cypla Pękniętej Muszli. Łowili mnóstwo ryb w lagunie i uprawiali ziemię. Jak wszyscy mieszkańcy Niziny Północnej, znali się dzięki temu, że bywali od czasu do czasu na festiwalach i jarmarkach.

– Hej, Otera! Jak leci, przyjacielu?

– Nie narzekam – odparł potężnie zbudowany rybak farmer.

Otera pochodził z rodu Maorysów. Jego syn był już teraz większy od Pundu, który wywodził się z mniej potężnej rasy Mimo panującego wokół ruchu, czteroletnie bliźnięta Otery spały mocno w hamaku rozwieszonym między rogami, wyrastającymi nad oczami Chyżej, dorosłego triceratopsa płci żeńskiej. Na czele kroczył samiec stegozaur ze związanymi powrozem segmentami grzbietu. Sprzęty domowe, ułożone w wysoki stos, ulokowano między jego trójkątnymi płytami.

– Co sądzisz o przepowiedniach meteorologów? – zapytał Otera. Kiedy mężczyźni wdali się w rozmowę, triceratopsy, stegozaury i torozaury również zaczęły gawędzić ze sobą, wydając dudnienie przypominające łagodne trzęsienie ziemi.

Pundu spojrział na pomoc, w kierunku oceanu. Konwój wspiał się już dostatecznie wysoko, by z tej odległości morze wyglądało jak ciemnoniebieska wstęga rozpościerająca się między ziemią a niebem.

– Myślę, że jeszcze za wcześnie, żeby coś powiedzieć.

– Może meteorolodzy się mylą? Może to będzie jeszcze jeden umiarkowany sztorm, jak zwykle co sześć lat? – Otera potarł dłonią czoło przyozdobione skomplikowanymi wzorami spirali i kropek. Tatuaż wykonał mu jego wuj przed kilkoma laty.

– Może i tak. Można tylko mieć nadzieję. Tak do tej pory bywało. Teita, żona Otery, również dużo większa niż Pundu, prychnęła sceptycznie.

– Wy, mężczyźni, lubicie się sami oszukiwać. Meteorolodzy prawie nigdy się nie mylą. Mając nadzieję, że nic nie nastąpi, nie odwróćcie biegu wypadków.

– Mieć nadzieję to nie znaczy oszukiwać się, kochanie – przypomniał jej mąż. – Woląabyś mieszkać w Sauropolis?

– Co?! – wykrzyknęła. – W tym hałasie i pośpiechu? Nie, dziękuję! Wolę mieszkać nad morzem. Jest jak dziecko. Przeważnie chichocze i gaworzy, i jest dla człowieka dobrodziejstwem. Ale od czasu do czasu trzeba się liczyć z jego napadami złego humoru. Oto, co myślę.

– Zgadza się z tobą – odrzekł Pundu opierając się wygodnie o bok wozu. – Miasto jest dla mnie zbyt ruchliwe. Dokąd zmierzacie?

– Do Rogu Obfitości – odparł Otera. – To dość daleko, ale mamy tam kuzynów.

Pundu skinął głową. Wielka Stopa i jego towarzysza usunęli się na pobocze drogi. Grupa Otery miała przed sobą dłuższą drogę, więc inni uprzejmie ustępowali im pierwszeństwa przejazdu na wąskim trakcie.

Na szlaku, prócz ceratopsianów i stegozaurów, spotykało się również ankylozaury i sporo corytozaurów. Ankylozaury były doskonałymi pogłębiarkami, corytozaury zaś dobrze spisywały się zarówno na polach, jak i w sadach. Natomiast sauropody, te prawdziwe olbrzymy Dinotopii, były nieco za masywne do prac na farmach. Diplodok mógł być zabawny podczas swawoli na plaży, ale nikt nie chciał, by wałęsał się po polu obsadzonym kolokazją.

Pundu wiedział, że ludzie z miast nie muszą ewakuować swych domostw co sześć lat. Ale za to

mieli inne problemy. To właśnie było w Dinotopii wspaniałe: i kraina, i styl życia odpowiadały wszystkim, zarówno ludziom, jak i dinozaurom.

Na niebie pojawiła się duża ciemna chmura. Czyżby miało się zupełnie zachmurzyć? – zastanawiał się Pundu. Potem pokiwał głową. Postąpił rozsądnie. Zawsze najlepiej jest słuchać rad specjalistów, jeśli samemu nie jest się fachowcem. Był zadowolony, że wyjazd jego rodziny z farmy przebiega tak gładko.

Podczas gdy długi szereg dinozaurów i ludzi wraz z całym dobytkiem wolno, lecz nieprzerwanie oddalał się od Niziny Północnej, dojeżdżając do podnóża Gór Grzbietowych, Pundu Singuang rozpamiętywał słowa poczciwej Teity, porównującej morze do dziecka. Chichot i szczebiot, śmiech i łzy, pomyślał. Owszem, w ten sposób także można opisać nastroje oceanu. Czemu nie? I było całkiem naturalną rzeczą, że w zamian za hojność morza ci, którzy żyli na jego brzegu, musieli od czasu do czasu znosić jego humory.

Pozostawało tylko pytanie, jak głośno będzie teraz krzyczał niezadowolony ocean i jak mocno kopał.

II

Will Denison gwizdnął przeraźliwie. Ogromna jak kolumna noga zamarła w pół kroku, a później opadła na ziemię z przytłumionym, głuchym łomotem. Długa szyja brachiozaura powędrowała w dół w poszukiwaniu miejsca, z którego ozwał się gwizd.

Will był częściowo zasłonięty krzakami i wielki sauropoda omal go nie przeoczył. Jak wszyscy przedstawiciele tego gatunku, miał doskonały słuch. Zgodnie z tym, co mówił bibliotekarz Nallab, ten rozwinięty przed wiekami zmysł miał początkowo umożliwiać sauropodom wykrywanie grasujących wówczas mięsożernych drapieżników.

Zamiast przeprosin brachiozaur parsknął łagodnie przez nozdrza umieszczone na czubku głowy. Will poklepał go po zielonkawym pysku i uśmiechnął się, by pokazać, że nic się nie stało. Potem nagle odwrócił się gwałtownie, widząc, że głowa olbrzyma zaczyna się trząść i dygotać. Potężne kichnięcie zdmuchnęło połowę liści z zarośli, obok których stał. Po chwili brachiozaur jeszcze raz przeprosił.

Sauropody, może z powodu swych ogromnych rozmiarów, należały do najłagodniejszych i najgrzeczniejszych dinozaurów. Nie mogąc sobie poradzić ze swoją wrodzoną niezdarnością, dokładały wszelkich starań, by poruszać się jak najostrożniej, zwłaszcza wtedy, gdy w pobliżu znajdował się ktoś mniejszy od nich, to znaczy... prawie każdy. Will był zdumiony, gdy po raz pierwszy ujrzał jednego z nich, krocącego ulicą Miasta Wodospadów. Zobaczyć płasającego, ważącego trzydzieści ton apatozaura to było coś!

– Wszystko w porządku – powiedział do olbrzyma, po czym zawołał podniesionym głosem do swojej koleżanki instruktorki: – Jesteś gotowa, Geina?

Pomachała mu ręką z zapalem, zdopingowana okrzykami swojej sześciuosobowej drużyny nastolatków. Will wyszedł z zarośli i skierował się ku swojej grupie.

– Wszyscy gotowi? Tym razem musimy im dołożyć!

Jego słowa wywołały radosne okrzyki sześciorga młodych ludzi zbitych w gromadkę.

Wąski leśny strumyk, który odgradzał od siebie dwie drużyny, dobry skoczek mógłby pokonać jednym susem. Ta wodna bariera miała znaczenie bardziej symboliczne niż realne. Zajmując pozycję tuż przy krawędzi dolinki, Will podniósł dwucalowej grubości linę i chwytając ją obiema rękami przycisnął mocno do lewego boku.

– Gotowi?

Pół tuzina młodych głosów przytaknęło ochoczo. Will krzyknął głośno przez strumień:

– Na trzy, Geina! Jeden, dwa... trzy!

Jego drużyna natychmiast wbiła pięty w ziemię i szarpnęła linę. I w tym samym momencie poczuli, jak przeciwnicy ciągną ich w kierunku strumyka!

Oba końce liny tkwiły w paszczach dinozaurów. Krótka Stopa, młody brachiozaur płci męskiej, wspomagał grupkę Willa, gdy tymczasem Szczerbata, młoda samica camarazaura, walczyła po stronie Geiny. Szczerbata była starsza i większa od Krótkiej Stopy, ale szansę były wyrównane, ponieważ brachiozaury były doskonałe w przeciąganiu liny z uwagi na to, że miały przednie nogi dłuższe od tylnych.

Sunąc w stronę wody Will zastanawiał się, czy trafnie ocenił nachylenie zbocza. Jeśli brzeg, na którym się znajdował, był bardziej stromy od brzegu Geiny, jego drużyna nie miała szans. Ale wkrótce obsuwanie się w dół zostało zahamowane, gdy Krótka Stopa zaparł się, zdecydowanie wbijając w ziemię ogromne nogi. Za plecami Willa rozległy się radosne okrzyki jego młodych

towarzyszy, uczepionych liny. Dwa dinozaury sapały i dyszały jak unieruchomione lokomotywy.

Jednak po chwili stopy Willa ześlizgnęły się do wody i na drugim brzegu odezwał się triumfalny wrzask. Krótka Stopa wyteżył wszystkie siły i wyciągnął go z powrotem. Will nic przejął się krótką kąpielą. Poranek był parny, nietypowy jak na Miasto Drzew. Całkiem przyjemnie było zanurzyć się w wodzie.

Will przybył do tego miasta nie tylko po to, by kontynuować naukę, na co nalegał jego ojciec. Pracując z młodzieżą chciał przynajmniej częściowo odwdziżyć się za pomoc okazaną jemu i ojcu przez społeczność Dinotopii. Odkrył, że praca z innymi przynosi mu radość. Jako wykwalifikowany adept sztuki podniebnego jeździectwa chętnie zostałby instruktorem latania u mistrza Oolu. To zaś wymagało pewnego doświadczenia w nauczaniu.

Mądry Nallab powiedział mu: „Jeśli masz być nauczycielem, musisz na zawsze pozostać uczniem. Przeżyłem ponad sto lat i przeczytałem tysiące książek, a jednak każdy okrucuch wiedzy, jaki przyswajam, wciąż przypomina mi o mojej ignorancji, bo za każdym razem natrętnie wskazuje mi tuzin nowych rzeczy, o których nie mam pojęcia”. Kiedy więc nadarzyła się okazja podjęcia pracy w jednym z obozów młodzieżowych w Mieście Drzew, Will skwapliwie z niej skorzystał.

To, że może być w czymś pomocny, dawało mu wielką satysfakcję. W dodatku jego grupa, podobnie jak reszta młodzieży, instruktorzy i przewodnicy, uważała jego opowieści o współczesnym, zewnętrznym świecie za fascynujące, jeśli nawet budziły lekką grozę. Szczególnie zabawny wydał się wszystkim pomysł używania pieniędzy.

Will i jego ojciec mieszkali w swojej nowej ojczyźnie od sześciu lat, ucząc się i żyjąc szczęśliwie. I oto teraz Will brał udział w przeciąganiu liny w towarzystwie tuzina młodych ludzi, od których był niewiele starszy, i dwóch stworzeń od dawna uważanych za wymarłe, które swymi rozmiarami i siłą przewyższały Herkulesa.

Udział młodych ludzi w tej akurat zabawie nie miał dla jej wyniku większego znaczenia. Ich wysiłki, choć czynione w najlepszej wierze, nie były w stanie zwieść nikogo, a już najmniej ich samych. Łączna waga ich ciał stanowiła zaledwie ułamek wagi brachiozaura czy camarazaura i nawet najbardziej zawzięte próby nie mogły wpłynąć na rezultat zmagania. Ale nie o to przecież chodziło – liczył się udział w grze, uczestnictwo we wspólnym przedsięwzięciu i możliwość wzajemnego poznania. To było ważne i rzeczywiście tak się działo w gronie ludzi i dinozaurów.

Dwa młode sauropody miały taką samą uciechę ze wspólnej zabawy, jak ich towarzysze ludzkiego gatunku. Od ludzi odróżniało ich tylko to, że ich waga, mimo młodego wieku, liczona była w tonach zamiast w funtach. Towarzysko i intelektualnie nie różniły się niczym od tuzina dwunożnych istot.

Młodzieży nie pilnował żaden dorosły. W wieku piętnastu lat należało się zachowywać jak na dojrzałego człowieka przystało. Młodych zachęcano do zabawy i korzystania ze swobody. Nieodpowiedzialność spotykała się z potępieniem.

Mimo że brzeg po stronie Willa był bardziej stromy, Krótkiej Stopie udało się przy użyciu dłuższych przednich nóg powrócić na płaski grunt. Gdy tylko na nim stanął, drużyna Willa wśród pisków i śmiechów wciągnęła grupkę Geiny do strumienia. Osiągnąwszy swój cel Will i jego towarzysze dołączyli do przeciwników, ochlapując się nawzajem. To samo uczyniły oba sauropody, rozbryzgując wodę we wszystkich kierunkach przednimi stopami i długimi szyjami. Szcherbata zaczerpnęła w pysk wody i plusnęła nią w stronę Willa. Silny strumień wytryskujący spomiędzy kołkowatych zębów przewrócił chłopca. Ku uciesze pozostałych musiał mocno machać rękami, zanim wynurzył się na powierzchnię, pokazując zdumioną minę.

Nie obawiał się przeziębienia. W Mieście Drzew i w otaczających je górach wszystko

wydawało się wędnać od niespotykanego upału. Ci, którzy nie pracowali, leżeli w swoich koszach do spania, zawieszonych na gałęziach pięćdziesiąt lub więcej stóp nad ziemią, wyglądając jak dyndające na drzewach owoce. Robili co mogli, by uchwycić choć najmniejszy powiew wiatru. W górze, między gałęziami jodeł, sekwoi, akacji i drzew mamucich, było dużo chłodniej niż na dole.

Wiatry, które normalnie wiały od strony Gór Grzbietowych, kompletnie ucichły. Gorące i wilgotne bryzy znad Niziny Północnej nie pozwalały ludziom spać, budząc zaniepokojonych mieszkańców. Nie dziwiło to tych, którzy słyszeli oficjalne prognozy meteorologów. W Dinotopii zbliża się koniec jednego z regularnych, sześćoletnich okresów pogodowych, a w takim czasie zawsze działy się dziwne rzeczy. Nad Deszczową Doliną znikwały chmury, a pojedyncze burze z piorunami atakowały Wielką Pustynię. Wiatry skręcały z zachodu na północ i mówiąc językiem klimatologów, wszystko się trochę opóźniało.

Ci, którzy mieszkali w górach, radzili sobie z chwilowym atakiem tropikalnych upałów najlepiej jak umieli, zmieniając swoje skromne ubrania na lekkie stroje, pasujące bardziej do życia na nizinach lub Moczarach Hadro. Każdy wiedział, że to minie. I tak mieszkańcy miast cierpieli mniej od farmerów z Niziny Północnej, którzy musieli teraz zmieniać o wiele więcej niż ubrania.

Choć większość z nich jechała do Krzywego Korzenia, Rogu Obfitości i innych niżej położonych miejscowości, Miasto Drzew także wchłaniało pewną liczbę ewakuowanych. Will z zainteresowaniem obserwował nowo przybyłych, dowiadując się wiele o ich sytuacji, ale nie angażując się zbyt. Cóż, sam pochodził z Miasta Wodospadów, położonego na południu, z dala od wszelkich drastycznych zmian i niebezpieczeństw.

Widząc, że Krótka Stopa i Szczerbata ciężko dyszą, Will i Geina poprowadzili grupę w dół strumienia, na głębszą wodę, gdzie sauropody mogły sobie ochłodzić coś więcej niż stopy. Zmieniwszy lekkie ubrania na stroje kąpielowe, młodzież wskoczyła do głębokiego rozlewiska; wspaniale było bawić się w berka i w chowanego między nogami i pod brzuchami ogromnych towarzyszy. Na życzenie ogony dinozaurów służyły za żywe trampoliny współzawodniczącym ze sobą domorosłym nurkom, wykonującym skomplikowane figury akrobatyczne.

Posuwając się dalej wzdłuż strumienia, doszli do wysokiego na dwadzieścia stóp wodospadu. Woda spadała wzdłuż granitowej ściany w głęboką kipieli. Rozlewisko opasywały gładkie, szare i beżowe skalne półki, tworząc znakomite miejsca do siedzenia lub leżenia na słońcu. Wokół rosły jodły i sekwoje, a do nagich skalnych ścian przywarły porosty, wspinające się aż na krawędź wodospadu. Z podziwem patrzyli na rozpościerający się przed nimi wspaniały krajobraz.

Krótka Stopa klucząc po lesie dotarł do rozlewiska, wlaź do wody i z zadowoleniem oparł głowę na szczycie wodospadu, od czasu do czasu zanurzając pysk w spienionej białej kaskadzie. Baraszkujący w niegroźnej kipieli młodzi mogli teraz wspinać się na zanurzony grzbiet i wdrapywać po szyi dinozaura aż na górę. Zachęceni przez tych, którzy pozostali na dole, najzdolniejsi wykonywali stamtąd skomplikowane skoki do wody, nagradzane brawami i okrzykami, gdy brali rozbieg i rzucali się w przepaść.

Ci, których nie interesował ten rodzaj akrobatyki powietrznej, zgromadzili się wokół Szczerbatej po przeciwnej stronie rozlewiska. Samica camarazaura usłużnie podnosiła z wody jednego pływaka po drugim, po czym gwałtownym skurczem mięśni długiej szyi strzepywała każdego w powietrze. Wystrzelony z takiej „camarapulty” osobnik przelatywał piszcząc i krzycząc nad połową rozlewiska, po czym lądował w wodzie z imponująco głośnym pluskiem, przybierając czasem dziwną pozycję.

Grupa przechadzających się hypacrozaurów i corytozaurów, zwabiona hałasem, zatrzymała się na pogawędkę. Choć wołały okolice Moczarów Hadro, położone daleko na południowym zachodzie,

podobnie jak wszyscy ich kuzyni czuli się dobrze w każdym zakątku Dinotopii. Usadowiwszy się w płytkim krańcu jeziora jęły zabawiać swawolącą młodzież i sauropody dźwięcznym, donośnym śpiewem.

Gdy na wzgórze zaczął spływać zmierzch, młodzi ludzie rozpakowali swoje rzeczy. Zająwszy się najpierw własną higieną, zmontowali następnie szczotki z twardej szczeciny, zaopatrzone w długie uchwyty, i przedmioty przypominające bardziej ogrodowe grabie, niż cokolwiek innego.

Uzbrojeni w ten ekwipunek, zaczęli szorować i oporządzać dwa sauropody, które rozparły się wygodnie na mieliźnie pozwalając się obsługiwać. W zamian za świadczone wcześniej usługi miały zapewnioną pielęgnację, co świadczyło o wzajemnej sympatii i szacunku. Młodzież nie uważała tego za pracę, lecz za jeszcze jedno wspólne i przyjemne zajęcie.

Jak na sauropody, brachiozaury potrafiły wiele rzeczy, ale ich cielska miały mnóstwo miejsc, do których nie mogły dosięgnąć, żeby się podrapać. Góry Grzbietowe były znane z tego, że brak tam zagłębień terenu, w których można by się wytarzać. Ocieranie się o drzewa zaś było zakazane, bo w ten sposób łatwo było pozbawić je kory i w rezultacie doprowadzić do obumarcia roślin.

Tę niewygodę w życiu dinozaurów likwidowało dwanaście energicznych, młodych istot ludzkich z godnym podziwu zapalem.

Szyje i grzbiety wyszorowano do czysta, ogony wyczesano, a pasożyty zlokalizowano i usunięto. Za pomocą niewielkiej, dwuręcznej, specjalnie zaprojektowanej piły para szesnastolatków porządnie przycięła paznokcie u wielkich palców nóg – każdy wielkości połówki dużego talerza. Zęby podobne do kołków polerowano tak długo, aż zaczęły lśnić.

– Człowiek nie wie, co to radość, dopóki nie usłyszy zadowolonego pomruku brachiozaura – stwierdził Will.

Kiedy młodzież osuszyła się i ubrała, grupa pożegnała się z niedawno przybyłymi corytozaurami i wyruszyła w drogę powrotną do Miasta Drzew. Niektórzy szli pieszo, oglądając i próbując rozpoznać niektóre z napotkanych roślin, inni jechali wierzchem na wspólnych siodłach przywiązanych do szerokich grzbietów sauropodów. Will i Geina zajmowali siedzenia dla obserwatorów ulokowane z tyłu wielkich głów; to, na którym siedział Will, znajdowało się około trzydziestu stóp nad ziemią. Siodło kołysało się miarowo w tył i w przód wraz z powolnym ruchem muskularnej szyi Krótkiej Stopy.

Miasto Drzew było wyjątkowym środowiskiem, nawet jak na Dinotopię. Należało do tych nielicznych miejsc, w których mieszkańcy należący do rasy ludzkiej, wyglądając przez okna, zawsze mogli patrzeć z góry na dinozaury. Działo się tak dlatego, że w Mieście Drzew każda ludzka budowla znajdowała się dosłownie na drzewie. Budynki spoczywały na szerokich gałęziach i były ze sobą połączone skomplikowanym systemem drabin, mostów, sznurów i lin. Nawet na placu targowym, ulokowanym prawie osiemdziesiąt stóp nad ziemią, każdy stragan zajmował własną dziuplę lub gałąź.

Dinozaurza część społeczności spędzała noce w ogromnych stajniach zbudowanych na specjalnie wyciętych polanach. Mocne drzewa mamucie służyły za przypory ścian. Choć położone dużo wyżej, Miasto Drzew znajdowało się w pobliżu Deszczowej Doliny i zdarzało się, że przypadkowy, ambitny lub głupi mięsożerny drapieżnik zapuszczał się tutaj w poszukiwaniu świeżego pożywienia.

Sauropody zresztą lubiły przebywać w zamkniętych pomieszczeniach. To była dla nich nowość, której wprowadzenie zawdzięczały człowiekowi. Dzięki temu te wielkie stworzenia mogły przetrwać w chłodniejszych okolicach.

Życząc przyjemnej reszty dnia swym młodym podopiecznym i Geinie (którą uważał za miłą

dziewczynę, ale nie aż tak jak jego Sylvia), Will ruszył w kierunku drzewa, na którym ulokowany był jego dom gościnny. Wspiąwszy się po spiralnych schodach, opasujących pień olbrzymiej jodły, znalazł się na linowym moście prowadzącym do sekwoi. Przeszedł przez most i pokonując szereg drabin wdrapał się na pomost widokowy, na którym się zatrzymał. Większość budowli w Mieście Drzew miała otwarte ściany, na które można było opuścić brezentowe zasłony, jeśli pogoda była kiepska lub ktoś chciał się odgradzić od świata zewnętrznego. Teraz klapy były zwinięte, by wpuścić do wnętrza chłodną bryzę, i odsłaniały to, co działo się w środku. Pod pomostem, na którym stał Will, przemknęła para osobników gatunku oropendula, jodłując jak pijani Tyrolczycy.

Z wyjątkiem takich latających gości, ludzka populacja Miasta Drzew nie dzieliła prawie z nikim miejsca na wierzchołkach drzew.

Tylko niektóre mniejsze dinozaury, jak ornitopody i dromaeozaurowe, czuły się bezpiecznie wyżej niż kilka stóp nad ziemią. Dla powstałych gatunków brak kciuków, które pomogłyby się uchwycić gałęzi i kory, był powodem wrodzonej niechęci do wspinania się na drzewa.

Sauropody lubiły Miasto Drzew. Pogoda była tu zazwyczaj odpowiednia, przestrzeń pomiędzy drzewami wystarczająca, by mogły się swobodnie poruszać, były też zadowolone, mogąc skubać niżej rosnące gałęzie tych drzew, które jeszcze nie wystrzeliły na laką wysokość, by znaleźć się poza ich zasięgiem. Z kolei ludzie, siadając w koszach lub na niższych gałęziach, mogli znaleźć się oko w oko z najwyższym dinozaurowym. Miało to tę dodatkową korzyść, że nie wchodzili w drogę sauropodom, dzięki czemu wędrujący salazaur mógł mniej zważać na to, gdzie stąpa.

Geina udała się na spoczynek do domu rodziców, młodzież zaś do swoich internatów. Zbliżała się pora kolacji, lecz mimo pracowitego dnia Will nie był na razie głodny. Wolał posiedzieć jeszcze na pomoście i poczekać na zachód słońca.

Czy dobrze się dzisiaj spisał? Zawsze uważał, że mógłby dać z siebie więcej. Przynajmniej objął prowadzenie w przeciąganiu liny. Zdażył się już przekonać, że aby być dobrym nauczycielem, trzeba mieć więcej nawet cierpliwości niż wiedzy. Nauczył się również, że nie we wszystkim może przodować. Ojciec uprzedzał go o tym.

Jednak, jako nowy mieszkaniec Dinotopii, czuł wciąż potrzebę wykazania się, choćby tylko po to, by udowodnić, że nie odstaje od innych. Jego ambicją było zostać najmłodszym w historii dyplomowanym mistrzem podniebnego jeździectwa.

Gdy opuszczał pomost, aby wejść do domu gościnnego, nagły, ostry podmuch wiatru, chłodny i nieprzyjemny, zakotłosał gałęzią, zmuszając go do przytrzymania się hamaka. Ten wiatr, przecinający lak mieczem stojące, parne powietrze, był niespodziewany i niepokojący.

Dotarłszy do swojego hamaka, w którym sypiał, Will odwrócił się i przez całą szerokość pokoju popatrzył na Lyrę Aurelius, praczkę. Rozwieszała właśnie świeży hamak w przewidywaniu przyjazdu nowych gości. Niedaleko, na krawędzi głębokiej na sześćdziesiąt stóp przepaści, bawiła się jej czteroletnia, jasnowłosa córeczka Tlinka. Dzieci w Mieście Drzew szybko uczyły się zachowywać na otwartej przestrzeni, ale dziewczynkę ściśle opasywały miękko podszyte dziecięce szelki. Gdyby się potknęła, spadłaby najwyżej dziesięć czy piętnaście stóp w dół, zanimby ją zatrzymała lina zabezpieczająca. Huśtałaby się wtedy, jak rybka na wędcie. Kilka takich potknięć wystarczyło, by miejscowe dzieci nauczyły się uważać przy stawianiu kroków.

Od chwili przybycia tutaj Will podziwiał wprawę, z jaką miejscowa młodzież przenosiła się z gałęzi na gałąź, z drzewa na drzewo. Najwięksi śmiałkowie, rozhuśtawszy się, wykonywali skoki bez pomocy lin lub bez strachu spacerowali na wysokości dwustu lub więcej stóp nad ziemią po gałęziach nie grubszych niż ludzkie ramię. Byli zaskoczeni i pełni uznania, gdy Will do nich dołączył. Jako podniebny jeździec był całkowicie pozbawiony lęku wysokości. Nie obawiał się nurkowania w

powietrzu, jakie go czekało, gdyby zarwał się pod nim pomost umieszczony na wysokości stu stóp. Jak każda budowla Dinotopii, domy w Mieście Drzew były zaprojektowane tak, by przetrwać jak najdłużej. „Wpływy rzymskie – objaśnił mu kiedyś Nallab. – A ci Rzymianie byli strasznie wymagający”.

Wsunąwszy się do hamaka Will przekręcił się na lewy bok i nagle zdał sobie sprawę, że patrzy w kierunku stacji meteorologicznej. Ulokowana na szczycie najwyższego w mieście drzewa, w koronie wiekowej sekwoi, służyła do prowadzenia obserwacji w okolicznym lesie strefy umiarkowanej i dalej w rozciągających się za nim górach.

Między najwyższymi gałęziami umieszczono urządzenia do mierzenia poziomu opadów deszczu, siły i kierunku wiatru, a nawet do rejestrowania zmian ciśnienia atmosferycznego. By dotrzeć do stacji, pracownik odczytujący dane z instrumentów musiał pokonać więcej drabin i lin, niż zawierał ich takielunek grotmasztu dużego klipra. W normalnych warunkach takich odczytów dokonywano co kilka dni, ale w obliczu nadciągającego znów po sześciu latach sztormu dokładnych pomiarów dokonywano dwa razy dziennie, rano i wieczorem.

„To coś w rodzaju monsunu – stwierdził Arthur Denison, wyjaśniając Willowi warunki panujące w Dinotopii. – Tylko że tutaj mamy do czynienia z wyjątkowym przypadkiem. Sądzę, że to ma coś wspólnego ze zmianami temperatury morza”.

Will był prawie pewien, że Dinotopia leży gdzieś na południu Oceanu Indyjskiego, czyli na tajemniczych wodach, gdzie, jak sądzono, nic nie powinno istnieć. Więc mogły to być nawet przeciwmonsuny, jeśli przypuszczenia jego ojca były słuszne. Arthur Denison opowiadał synowi, jak monsun indyjski cyklicznie nawiedza i pustoszy południowe wybrzeża wielu krajów. Trudno było sobie wyobrazić, żeby taka katastrofa przydarzyła się w spokojnej Dinotopii.

A jednak cała gospodarka Dinotopii skoncentrowała się w głębi lądu, z dala od morza. Zwłaszcza na Nizinie Pomocnej brak było dużych przybrzeżnych skupisk ludzkich. I nie było to wynikiem przypadku.

Will wraz z innymi przyglądał się uciekinierom z żywnego wybrzeża, którzy zaczęli napływać do miasta, zapełniając domy gościnne i wolne sypialnie u swych przyjaciół i krewnych. Powiedziano tym podróżnikom, że mają opuścić swoje domy i gospodarstwa. Tylko czasowo, na wszelki wypadek – ale takie cykliczne exodusy świadczyły o rozmiarach potencjalnego niebezpieczeństwa w obawie przed zniszczeniami na tak wielką skalę, o jakiej Will dotąd nie słyszał. Co właściwie miało się zdarzyć? Nie śpieszył się ze zgłębianiem tej tajemnicy, a nikt z zaangażowanych w ewakuację nie miał czasu na rozmowy.

Cóż, chyba nadszedł czas, żeby się wszystkiego dowiedzieć. Intrygowała go teraz stacja meteorologiczna i jej odczyty. Naprawdę silny sztorm mógł przeszkodzić mu w ćwiczeniach, chociaż, jak kiedyś powiedział mu Nallab, „czasem zetknięcie z nieprzyjaznymi siłami jest bardziej pouczające niż przebywanie w życzliwym środowisku. Obserwuj i ucz się”.

Powziąwszy decyzję Will wyskoczył z hamaka i wyszedł z domu gościnnego. Do pokonywania dużych odległości między drzewami służyło coś w rodzaju kolejki linowej. Tego właśnie urządzenia zamierzał użyć Will, by dostać się bezpośrednio do stacji meteorologicznej. Do solidnych splotów mocnej liny podwieszony był pleciony wiklinowy fotel. Usadowiwszy się w nim, z liną nad głową i nogami dyndającymi w przestrzeni, Will zaczął posuwać się naprzód nie tyle nogą za nogą, co ręką za ręką. Siedemdziesiąt stóp pod nim rozciągał się twardy grunt.

Wydostawszy się z wiszącego fotela, doszedł po zaopatrzonej w poręcze gałęzi aż do pnia sekwoi. Zadarł głowę i zobaczył płataninę drabin i lin, prowadzących tunelami w górę. Niknęły w plamie rdzawej kory i zielonych igieł. Pomost meteorologiczny był mocno przywiązany do korony

drzewa na wysokości przeszło czterystu stóp nad ziemią.

W pobliżu pracowali dwaj starsi mężczyźni naprawiający przyrządy. Trzeci siedział w szopie o otwartych ścianach i zapisywał informacje w grubej księdze. Czując na sobie spojrzenia dwóch majstrów Will podszedł do szopy. Rejestrator podniósł wzrok i zauważył emblemat wyszyty na ramieniu koszuli swego gościa. Uśmiechnął się uprzejmie.

– Czym mogę służyć, adeptcie sztuki latania? – zapytał.

Will odwzajemnił uśmiech i gestem wskazał wierzchołek drzewa.

– Czy meteorolog Linyati odczytuje wieczorne zapisy? Rejestrator skinął potakująco głową.

– Tak, siedzi tam jak ptak w swoim gnieździe. Ale niedługo zejdzie, jeśli chcesz z nim porozmawiać.

– Nie – odrzekł Will, zadzierając głowę jak mógł najwyżej i daremnie próbując przeniknąć wzrokiem zakamarki korony wiekowej sekwoi. – Nie o to chodzi. Chcę tam(wejść.

– Mówisz poważnie, chłopcze? – Skryba o pomarszczonej twarzy uważnie przyjrzał się swemu młodemu gościowi. – A robiłeś to już kiedyś?

– To będzie mój pierwszy raz.

– Rozumiem... Jeśli nie masz nic przeciwko temu, chciałbym cię zapytać, po co chcesz włązić na czubek zwykłego drzewa, skoro jesteś podniebnym jeźdźcem?

Will uśmiechnął się do niego.

– Właśnie dlatego, że jeszcze tego nie robiłem.

– I oczywiście nie boisz się wysokości... – mruknął starszy mężczyzna. – Ale wspinaczka to nie to samo, co rozpieranie się w miękkim siodle. Jeśli spadniesz, drzewo nie zanurkuje w dół, żeby cię chwycić.

– Wiem. I to jest następny powód, dla którego chcę to zrobić. Rejestrator uśmiechnął się szeroko.

– Więc do roboty, młodzieńcze. Życzę szczęścia.

Will sięgnął do pierwszego stopnia najniższej drabiny i zatrzymał się.

– Chyba Linyati nie będzie miał nic przeciwko temu, co?

– On? – rejestrator zamieszał piórem w płytkim kałamarzu z amonitowym atramentem. – Nigdy nikogo tam ze sobą nie zabiera.

– Niektórzy ludzie nie lubią towarzystwa.

Lekko poirytowany stary człowiek wykonał wolną ręką nieokreślony gest.

– Chcesz gadać czy wspiąć się na górę? Zabieraj się stąd, młodzieńcze! Co ty sobie wyobrażasz? Że Tswana jest jakimś samotnikiem z Deszczowej Doliny? Ucieszy się z wizyty!

I skryba z powrotem zajął się swoją robotą.

Will skinął głową, wziął głęboki oddech i rozpoczął wspinaczkę uważając, by cały czas trzymać przynajmniej jedną ręką lub stopił linę prowadząc ą.

Miejscami piął się w górę tunelem sznurowym, który kołysał się pod jego ciężarem. Gdy dotarł wyżej, wiatr przybrał na sile, pozwalając wreszcie zapomnieć o uciążliwej duchocie ostatnich kilku dni. Will powitał podmuchy wiatru z zadowoleniem, bo wspinaczka wyciskała z niego siódme poty. Spojrzał w dół i stwierdził, że nie może już dostrzec ziemi ani nawet stanowiska rejestratora. Pod nim rozciągała się tylko płatanina gałęzi i liści. Ktoś cierpiący na lęk wysokości nigdy by tutaj nie dotarł. Ale on, przyzwyczajony do wykonywania skomplikowanych manewrów na grzbiecie ogromnego quetzalcoatlusa, był w swoim żywiole.

Niemal równo sześć lat temu, jeszcze jako dzieciak, wprowadził w zdumienie załogę transoceanicznego żaglowca, uciekając na szczyt grotmasztu podczas szalejącego sztormu, który w

końcu wyrzucił jego i ojca na brzeg tej krainy dinozaurów. Drzewo stacji meteorologicznej było wyższe od tamtego masztu, ale też bardziej stabilne.

Wreszcie dostrzegł pomost obserwacyjny. Tworzyły go z grubsza ociosane, mocne sekwojowe deski. Pokonał kilka ostatnich sznurowych stopni i znalazł się na szczycie drzewa. Kilka igieł musnęło jego policzki; gałęzie przerzedziły się. Pojawiwszy się na platformie Will wyprostował się i powitał meteorologa.

Linyati odwrócił się i szeroki uśmiech rozjaśnił jego ciemną twarz.

– Will Denison, nieprawdaż? – powiedział wyciągając dłoń, którą uściśnął Will. – Jestem Linyati, Tswana sześciu matek – dodał w tradycyjnym dinotopijskim pozdrowieniu. – Słyszałem o tobie.

– A ja o panu.

Will stwierdził, że meteorolog jest niewiele starszy od niego. Mógł mieć dwadzieścia pięć, najwyżej trzydzieści lat. Linyati zaśmiał się.

– Słyszałem, że jesteś bystry. Szybko przyswajasz sobie zarówno informacje, jak i nazwiska, zgadza się?

Will wzruszył ramionami z zakłopotaniem, ale i mile polectany.

– Kiedy ma się ojca naukowca, człowiek uczy się zapamiętywać wszystko. Z przyjemnością odwrócił twarz w kierunku, z którego wiała orzeźwiająca bryza. Tu, na szczycie drzewa, było o wiele przyjemniej niż na ziemi.

W oddali widać było doskonale szczyty wysokich Gór Grzbietowych. Dzięki temu, że powietrze w Dinotopii było nieskazitelnie czyste, mógł nawet dostrzec pokryte śniegiem turnie dalej położonych, wyższych Gór Posępnych, wyglądające jak zawieszane w powietrzu blade, senne przywidzenie na granicy postrzegania.

Jakiś pyłek niesiony wiatrem wylądował w jego lewym oku. Odwrócił się mrugając.

– Co mówią odczyty? – zapytał.

Linyati zerknął na swój blok do notatek. Chińczycy, których statki rozbiły się niegdyś u wybrzeży Dinotopii, przywieźli ze sobą na ten ląd umiejętność wytwarzania papieru na kilka wieków wcześniej, zanim dotarła ona do Europy. Ich potomkowie podnieśli tę umiejętność do rangi sztuki. Spotkania, podczas których wyrabiano papier, stały się ważnymi wydarzeniami towarzyskimi dla wielu znakomitych rodzin. Prawa do brania w nich udziału nie odmawiano też nikomu, kto chciał w tym uczestniczyć. Dinozaury ochoczo wносиły swój wkład w wyrób masy celulozowej.

– Nadciąga sztorm – Linyati przerzucił kartki. – Co do tego nie ma wątpliwości. Silny sztorm. Staramy się tylko przewidzieć, jak silny.

Will spojrział na północ. Nawet z pomostu stacji meteorologicznej, położonego w górach Miasta Drzew, nie można było dostrzec oceanu, choć było to możliwe w Krzywym Korzeniu.

– Najwyraźniej naczelnicy meteorolodzy uważają, że będzie wystarczająco silny, by usprawiedliwić masową ewakuację z Niziny Północnej. Czy niebezpieczeństwo jest naprawdę tak wielkie?

– To tradycyjne środki ostrożności – wyjaśnił Linyati. – Dlaczego sądzisz, że na Nizinie Północnej nie ma dużych miast ani stałych osiedli? – wzruszył ramionami. – Możliwe, że nic się nie stanie. Na pewno będzie silny deszcz, lokalne powodzie i być może jakieś zniszczenia spowodowane przez wiatr. Trudno przewidzieć coś więcej i dlatego gildia żąda stale aktualizowanych informacji o lokalnie panujących warunkach – postukał stylusem w swój blok z notatkami. – Na tym polega praca moja i innych obserwatorów.

– A co będzie, jeśli okaże się, że to naprawdę silny sztorm? Uśmiech zniknął z twarzy

Linyatego.

– Jeżeli to Wielki Północny Sztorm, który zdarza się raz w życiu każdego pokolenia, będziesz miał na co popatrzeć.

– To znaczy, na co?

– Trudno powiedzieć. Will skrzywił się.

– Jak na przedstawiciela podobno naukowej dziedziny, nie wyraża się pan zbyt ściśle.

– Trudno być ścisłym, gdy chodzi o pogodę, i wolałbym nie mówić nic wiążącego. Przynajmniej jeszcze przez tydzień. Potem możesz do mnie przyjść z pytaniami.

– Z powodu ostatniego sztormu, sześć lat temu, okręt, którym płynęliśmy z ojcem, rozbił się na północno-zachodnim wybrzeżu, niedaleko Wylęgarni. Trudno sobie wyobrazić jeszcze groźniejszą burzę.

Na twarz Linyatego powrócił uśmiech.

– Masz prawo uważać, że przeżyłeś największy sztorm. Na pewno powtarzająca się co sześć lat nawałnica to jest coś. Ale taki sztorm, jaki zdarza się raz na jedno pokolenie, to... No, cóż... To coś zupełnie innego.

– Przeżył pan już coś takiego?

– Nie, ale czytałem o takich sztormach. Módlmy się, żeby to nie był jeden z nich – zajrzał do notatek. – Wszystko wskazuje na to, że nie jest dobrze.

Will chętnie naciskałby dalej obserwatora, ale Linyati prosił go przecież, żeby wstrzymał się tydzień. Dalsze zadawanie pytań byłoby nieuprzejme.

– Jak widzę, jesteś podniebnym jeźdźcem – Linyati odłożył blok z notatkami.

Will oparł się plecami o poręcz, nie przejmując się tym, że po drugiej stronie znajduje się czterystustopowa przepaść.

– Zgadza się – odrzekł. – W pełni wykwalifikowanym adeptem lej sztuki.

– Tak właśnie myślałem... – Linyati podszedł do dziwnego instrumentu umieszczonego na środku platformy i zaczął sprawdzać poziom płynu w zestawie buteleczek. Urządzenie pozwalało meteorologom kontrolować zmiany ciśnienia atmosferycznego z uwzględnieniem wysokości nad poziomem morza, na której leżało Miasto Drzew.

– Twoje dodatkowe zajęcie tłumaczy, w jaki sposób udało ci się lulaj wspiąć – powiedział zapisując w bloku liczby. – Dla większości ludzi taka wysokość jest nie do pokonania.

– Mnie to nigdy nie przeszkadzało – odrzekł Will. – Wręcz odwrotnie. Zawsze to lubiłem. Jeszcze w Bostonie wdrapywałem się na najwyższe wieże kościelne – zachichotał na wspomnienie tego fragmentu na wpół już zapomnianego, wcześniejszego życia. – Diakoni wzywali policję, a ja uciekałem po dachach i nie dawałem się złapać.

– Każdy ma swoje własne lęki – powiedział Linyati. – W mojej rodzinie krążą opowieści o olbrzymich krokodylach, przewracających łodzie z wydrążonych pni i pożerających rybaków. Możesz sobie wyobrazić, co musieli pomyśleć moi przodkowie, kiedy dotarli tutaj i po raz pierwszy zobaczyli dinozaury? – zaśmiał się cicho.

– Mój ojciec i ja też byliśmy przestraszeni przy pierwszym spotkaniu, zanim poznaliśmy je bliżej. Zabawne, jak wzajemne zrozumienie potrafi zmienić nasze postrzeganie innych, nawet jeśli mają oni kolce i pazury i ważą tyle co rybacki szkuner. – Will pomyślał o swym dobrodusznym, ciepłym powietrznym rumaku o ogromnych skrzydłach, który nosił imię Pierzasty Obłok. – Albo na pierwszy rzut oka wyglądają jak chimera uwolniona ze szczytu katedry.

– Dinotopia uczy każdego, że należy zaglądać pod powierzchnię.

Linyati przeszedł na drugą stronę mechanizmu barometru. Dodał:

– Prawdziwy wizerunek osoby tworzy to, co jest w środku. Nawet jeśli ta osoba waży pięćdziesiąt ton. Na szczęście moi przodkowie od razu spotkali cywilizowane dinozaury – ciągnął. – Możesz sobie wyobrazić ich reakcję, gdyby najpierw natknęli się na mięsożerne drapieżniki z Deszczowej Doliny? Taki allozaur schrupałby na śniadanie kilka krokodyli.

Will potakująco skinął głową i rozejrzał się ponad wierzchołkami drzew.

– Bez względu na to, jak silny ma być ten sztorm, czy wie pan, kiedy uderzy?

– Nie potrafię powiedzieć. Wbrew temu, co może ci się wydawać, prognozowanie pogody nie jest jeszcze nauką w ścisłym tego słowa znaczeniu. Choć mamy nadzieję, że stanie się nią pewnego dnia. – Linyati wznosił oczy ku czystemu, błękitnemu niebu. – Gdybyśmy tylko mogli spojrzeć w dół z wysokości większej niż górskie szczyty... Przyczepić na przykład do balonu teleskop i jakoś przekazać na ziemię to, co on widzi... – opuścił wzrok. – Oczywiście, to niewykonalne.

– Bo ja wiem... – Will oparł podbródek o skrzyżowane na poręczy przedramiona. – Mój ojciec uważa, że dzięki nauce możliwych jest wiele rzeczy. Może nawet wykonanie latającego teleskopu... – Nagle w jego głosie dało się słyszeć podniecenie. – A gdybym tak zabrał teleskop na mojego podniebnego rumaka?! – zaproponował olśniony nagle myślą.

Linyati zastanowił się.

– Wiesz, młody Denisonie, coś w tym może być... Wprawdzie, jak ci wiadomo, wiatry wokół Dinotopii są zdradliwe, ale kto wie... W mojej rodzinie mówi się: „Lepiej mieć rozum mangusty, niż serce lwa”. Przekażę twój pomysł moim przełożonym.

Will nie był pewien, czy ma być z tego dumny, czy nie. Czyż on sam nie miał też serca lwa? Przeszedł nad tą kwestią do porządku i rozpoczął dyskusję z Linyatim. Rozważali, w jaki sposób grupa specjalnie przeszkolonych podniebnych jeźdźców, wyposażonych w odpowiednie instrumenty, mogłaby wnieść swój wkład w rozwój dinotopijskiej meteorologii.

– Powietrzne galery są mniej zwinne od podniebnych rumaków – zauważył Will. – Ale mogą dłużej utrzymać się bez ruchu. A gdyby tak wysłać jedną naprawdę wysoko?

A co z górnymi wiatrami? – zapytał Linyati. – Jak można by kierować takim statkiem? I co by się stało, gdyby powietrze okazało się zbyt rozrzedzone, aby można było oddychać?

– Mój ojciec wynalazł aparat do oddychania pod wodą. Chyba takie urządzenie powinno również dobrze działać na wysokościach?

Zatopieni w rozmowie nie zwrócili uwagi na przelotny podmuch wiatru, który smagnął czubek sekwoi, zaszeleścił w igłach i sprawił, a – podskoczyła rtęć w głównym termometrze. Ten powiew był forpoentą, zwiastunem i zapowiedzią nadciągającej wichury.

Daleko na morzu, na północny wschód od Dinotopii, sztorm przybierał na sile, pędząc na oślep na południe. Mocarny i chmurny, gnał przed sobą wzburzone wody jak karząca dłoń rozgniewanego bóstwa. Był już silniejszy od powtarzającej się co sześć lat nawałnicy, pomniejszy nawet niż taka, jaka zdarzała się raz na dwadzieścia lat.

To był sztorm, jaki można było przeżyć tylko raz. Żaden podobny cło niego nie uderzył w Dinotopię od przeszło stu lat.

Boję się o syna, Nallab.

Opierając dłonie na gładkim parapecie Arthur Denison wyglądał przez wysokie okno biblioteki. W jego głowie dudnił echem nieustający nigdy łoskot spadającej wody. Komplet kolorowych osłon na uszy, który był nieodłącznym elementem wyposażenia każdego mieszkańca Miasta Wodospadów, spoczywał nietknięty w kieszeni jego spodni. Osłony dostarczano w wielu wzorach, kolorach i rozmiarach, a noszono je tak dla ozdoby, jak i z rzeczywistej potrzeby. Arthur Denison nie miał zamiaru ich zakładać. Gdyby potrzebował ciszy i spokoju, zawsze mógł zamknąć okno.

– Co, co? O co chodzi? – sędziwy trzeci asystent – bibliotekarz, podszedł do niego i zdjął swoje własne osłony, odruchowo podnosząc głos. Żyjąc w otoczeniu wodospadów, długoletni mieszkańcy miasta potrafili dostosowywać natężenie głosu do zmieniających się warunków z taką wprawą, jak śpiewacy operowi. Ale wewnątrz grubych murów biblioteki rzadko kiedy trzeba było krzyczeć.

– Powiedziałem, że niepokoję się o Willa.

– Eee... Ja bym się o niego nie martwił.

Bibliotekarz miał zdolność jednoczesnego koncentrowania się na dwóch zupełnie nie związanych ze sobą sprawach. Arthur wiedział, że w myślach wciąż układa i sortuje, nawet kiedy uczestniczy w rozmowie z pełnym zaangażowaniem.

– Ten twój Will to niezwykły chłopak – dodał starzec. Arthur odwrócił się tyłem do widoku rozciągającego się za oknem.

– Jest w Mieście Drzew, a to diabelnie blisko miejsca, gdzie ma uderzyć sztorm – powiedział.

– Jeśli w ogóle uderzy. – Nallab pogroził przyjacielowi wskazującym palcem. – Jego centrum może całkowicie ominąć Dinotopię i skończy się na tym, że będziemy mieć trochę wiatru i mnóstwo deszczu, co zawsze może się przydać. – Zmarszczył lekko brwi i zaczął szukać czegoś na stojącym obok stole, zawalonym stertą pergaminowych zwojów. – Zaraz... gdzie ja położyłem „Finał” Homera? Mogłoby się wydawać, że po tylu wiekach powinniśmy się w końcu uporać z porządkowaniem tego zalewu papieru pochodzącego z biblioteki w Aleksandrii...

Arthur westchnął czekając, aż Nallab znajdzie to, czego szuka. Spojrzał na rzędy wypełnionych po sufit półek, stojących pod kopułą wielkiej sali. Wiele z dzieł na tych półkach było straconych dla zewnętrznego świata, innych tam zupełnie nie znano, bo zostały stworzone nie przez ludzi, lecz przez dinozaury. Znajdowały się tu prace z zakresu historii i muzyki, beletrystyka i poezja. Owoce natchnienia i skarbnica wiedzy, a wszystko w takiej obfitości, że na dokładne poznanie choćby części potrzeba byłoby kilku żywotów.

Najważniejsze, że zbiorom nic nie zagrażało. W przeciwieństwie do ignorantów i barbarzyńców w zewnętrznym świecie, obywatele Dinotopii nie palili ani nie cenzurowali książek, nawet jeśli ich treść uważali za szkodliwą.

– Wiem, że tylko przez jakiś czas musi radzić sobie sam – Arthur bezwiednie bawił się koniuszkami wąsów, które w ciągu ostatnich sześciu lat przyprószyła siwizna – ale jeszcze nigdy nie byliśmy tak daleko od siebie w podobnej sytuacji.

Widoczne za oknem niebo nad Miastem Wodospadów było czyste. Słońce tylko od czasu do czasu przesłaniała wszechobecna mgła.

Nallab podniósł wzrok znad zwojów, które przeszukiwał, i przemówił w swój charakterystyczny, bezpośredni sposób. W świecie zewnętrznym takie odezwanie się mogłoby być poczytane za niegrzeczne, ale tu uważane było po prostu za szczere.

– Posłuchaj, Arthurze. Najwyższy czas, żeby sam, bez twojej pomocy spróbował poradzić sobie w paru sytuacjach kryzysowych. Ile on ma lat? Siedemnaście?

– Osiemnaście.

– Co ty powiesz? Co ty powiesz? To wspaniale! Jeszcze jeden młody, silny kark, który przyda się przy ewakuacji. Jest przy tym masa roboty, sam wiesz. Chociaż to tylko na wszelki wypadek.

Arthur ponownie odwrócił się od okna.

– Jak rozumiem, ewakuacja już trwa.

– O, tak! To tradycyjne środki ostrożności, wiesz o tym.

– Czy nie lepiej zaczekać, aż meteorolodzy będą pewni? Wiecznie obecny na twarzy Nallaba dziecinny uśmiech przybladł nieco.

– Do tego czasu mogłoby już być za późno. Takie rzeczy następują szybko, Arthurze. Naprawdę bardzo szybko.

– Jakie rzeczy?

– Na przykład... – Nallab urwał i wykonał niezdecydowany gest. – Chodź ze mną. Pokażę ci pewne obrazy. Wspaniałe rysunki i kilka pięknych akwarel – położył rękę na ramieniu przyjaciela.

– Może powinienem pojechać do Miasta Drzew i sam to zobaczyć?

Nallab skierował Arthura w stronę drzwi.

– Zostaw chłopca w spokoju. Da sobie radę. Jeśli ciągle będziesz zaglądał mu przez ramię, tylko wprawisz go w zakłopotanie. Młodzi ludzie muszą się uczyć zarówno na własnych błędach, jak i samodzielnie odnosząc sukcesy. Ale nie da się osiągnąć tego drugiego, nie doświadczywszy najpierw tego pierwszego.

Arthur Denison spojrział na mężczyznę, którego uważał za o wiele mądrzejszego od siebie.

– Nallab, on jest wszystkim co mam. Dzięki temu chłopcu wciąż czuję się związany z jego matką.

– Rozumiem – odrzekł łagodnie Nallab. – Nie chciałbym grzebać w twoich bolesnych wspomnieniach, ale czy ty i ta flecistka nie jesteście na dobrej drodze, aby zostać dla siebie czymś więcej niż tylko dobrymi przyjaciółmi?

– Oriana? – Arthur uśmiechnął się. – To wspaniała kobieta. Owszem, widujemy się.

Nallab znów pogroził mu wskazującym palcem.

– Uważam, że byłaby dla ciebie doskonałą partią. O ile sobie przypominam, to kobieta bardzo energiczna.

– Aż za bardzo – Arthur uśmiechnął się jeszcze szerzej.

W tym momencie wszedł rozkołysanym krokiem Enit. Naczelnny bibliotekarz stukał palcami jednej ręki o palce drugiej. Jako że palce były zakończone długimi pazurami, czynności tej towarzyszył miarowy dźwięk przypominający klekot kastanietów. Nawyk ten był pozostałością z czasów, kiedy przodkowie tego deinonychusa chwyтали zdobycz, a nie wiedzę. Długi, sierpowaty pazur drugiego palca stopy bibliotekarza niecierpliwie stukał o podłogę.

– O co chodzi? – Mimo że zwracał się do swego przełożonego, Nallab nie przestawał mrugać porozumiewawczo do Arthura. Zbytnią pobudliwość Enita sprawiała, że był on obiektem wielu niewinnych żartów personelu biblioteki.

Deinonychus zamruczał cicho we własnym języku. Mając narządy głosowe człowieka, Nallab nie był w stanie odpowiedzieć, ale jeżeli chodziło o proste sprawy, potrafił zrozumieć wiele z tego, co mówił Enit.

– Nie, nie... jestem pewien, że delegacja z Chandary została umówiona na czwartą, nie na – drugą. – Za pomocą stylusa Nallab napisał na swojej tabliczce odpowiedź, używając dinozauryskiej kaligrafii.

Enit rzucił okiem na tekst i dudniącym głosem wygłosił swój komentarz. Spośród mięsożernych dinozaurów jedynie odpowiadające wzrostem człowiekowi dromeozaurowy potrafiły poskromić wrodzone apetyty w stopniu wystarczającym, by stać się członkami cywilizowanej społeczności Dinotopii. Wytrzymały na diecie składającej się przeważnie z ryb i bezkręgowców i udało im się z powodzeniem osłabić pierwotne instynkty. Ich niemała inteligencja wносиła cenny wkład w rozwój nauki w Dinotopii. Służąc jej duchowo i intelektualnie czuły się daleko bardziej dowartościowane, niż pożerając swoich sąsiadów.

Dwaj bibliotekarze, jeden dinozaur, a drugi należący do gatunku ludzkiego, dyskutowali żywo za pomocą gestów i gryzmołów. Arthur stał spokojnie obok, chwilowo zapomniany. Westchnął z

rezygnacją i odwrócił się od nich.

Oczywiście, Nallab miał rację. Jak zwykle. Nawet wtedy, gdy dyskusji na poważne tematy nadawał żartobliwy ton. Kiedy Arthur znajdował czas, by zastanowić się nad słowami starego bibliotekarza, stwierdzał nieodmiennie, że za każdą anegdotą i za każdym dowcipem kryła się głęboka mądrość.

Will musiał dorosnąć sam. Choć jako kochający ojciec Arthur bardzo pragnął nad nim czuwać, nie mógł go rozpieszczać przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. I dobrze o tym wiedział. Wiedział też, że nadejdzie dzień, kiedy go zabraknie i nie będzie już mógł odpowiedzieć na żadne pytanie syna ani udzielić mu dobrej rady, czy choćby tylko swoją obecnością zapewnić mu komfort psychiczny.

Will miał już przecież narzeczoną, wspaniałą dziewczynę imieniem Sylvia, i robił karierę jako podniebny jeździec. Jednocześnie chciał się dalej kształcić i wykazywał zainteresowanie różnymi dziedzinami nauki. Miał jeszcze czas, by zdecydować, czy poświęci się lataniu, czy wybierze życie naukowca. Ale bez względu na to, co miał postanowić, decyzję musi podjąć sam.

Tak jak musi sam sobie poradzić w obecnej kryzysowej sytuacji. Bez pomocy ojca.

Arthur Denison zamrugał oczami, bo nagle uświadomił sobie, iż tak naprawdę nie to go gnębi, że nie będzie mógł służyć synowi radą czy pomocą, lecz świadomość, że jego szybko dorastający syn może wkrótce nie potrzebować ani jednego, ani drugiego.

III

Mewy i rybołowy pędziły na czele burzy, a ich dzikie krzyki górowały nad szumem wiatru, brzmiąc przeraźliwie jak dźwięk trąbki. Niesione powietrznym prądem wznosiły się, to znów opadały, muskając fale daremnie próbujące pochwycić ich smukłe sylwetki o białych skrzydłach. Bardziej niż cokolwiek innego przypominały rozbryzgi piany oderwane od grzbietów rozbijających się grzywaczy.

Pnie drzew, które spływały rzekami lub zostały wyrwane na wybrzeżach przez przewalający się szkwał, gnały pośród fal. Drzewa tekowe z Syjamu i mahoniowe z Jawy, mangrowce z Sumatry i bambus z Borneo wyznaczały front posuwającej się nawałnicy, podróżując na powierzchni fal jak żdźbła słomy. Morze niosło pęki gałęzi i zdierało z nich liście, martwe ryby, ogłuszone i wyrzucone na powierzchnię wody przez szalejącą kipieli, ręcznie wiązane rybackie sieci zerwane z cum i tysiące orzechów kokosowych, podskakujących na wezbranych falach jak opuszczone znaki przestankowe, próbujące znaleźć swe miejsce w wierszu.

Pośród tej mieszaniny różnych szczątków pruća fale nabierająca wody trzymasztowa barkentyna „Kondor”, ze strzaskanym fokmasztem i rozwiniętymi, poszarpanymi na strzępy żaglami. Nie tak szybka jak herbaciane klipry, bo przeznaczona do dźwigania ciężkich ładunków, pokazywała teraz, co potrafi. Tylko dzięki wytrzymałości jej solidnego kila i mocnego kadłuba strwożona załoga nie została rzucona na pastwę fal wiele dni i wiele mil morskich wcześniej. Niejeden piękniejszy, lecz mniejszy statek rozpadłby się na sam widok sztormu, jaki teraz szarpał jej takielunkiem. Co nie znaczy, że ktokolwiek na pokładzie nie był pewien, że taki właśnie, prędzej czy później, będzie ostateczny los „Kondora”. Nie podczas szalejącego wokół żywiołu.

Garstka mężczyzn patrzyła tęsknie na bezkresne morze, którego fale nieustannie zalewały i tak mokry pokład. Zastanawiali się w milczeniu, czy szybka śmierć przez utonięcie nie byłaby lepsza od nie kończącej się poniewierki, jaką zmuszeni byli znosić. Nawet gdyby w jakiś sposób udało im się przetrwać i wyprzedzić front sztormu, nieuchronne wyczerpanie się szczupłych zapasów groziło powolną śmiercią głodową. Jeden krok w kierunku najbliższego relingu, szybki skok i morze udzieliłoby im gościny na wieczność.

Szalejący od tygodni sztorm zepchnął „Kondora” i jego załogę z kursu o setki mil morskich i nieustannie popychał barkentynę na południowy zachód, ku bezbrzeżnej pustce Oceanu Indyjskiego. Zgodnie z najlepszymi współczesnymi mapami morskimi, na tym ogromnym wodnym obszarze nie było ani jednej przyjaznej wyspy, ani jednego gościnnego brzegu, na który mogliby zostać szczęśliwie wyrzuceni.

Tylko wściekła energia kapitana sprawiała, że do tej pory załoga nie poddała się losowi. Ten nieugięty żeglarz, klnąc i rozdając razy na prawo i lewo, rzucał ludzi do coraz to nowych zadań, nie pozwalając bez walki oddać bezlitosnej burzy statku, o który dbał dużo bardziej niż o życie załogi. Każdy, kto by wybrał skok za burtę, wiedział, że lepiej od razu utonąć aniżeli dać się z powrotem wciągnąć na pokład. W takim wypadku nieszczęśnik musiałby stanąć oko w oko z wybuchem furii nie mniej groźnej niż szalejący sztorm.

Gniew Brognara Blackstrapa był równie wielki jak jego brzuch i niewielu miało ochotę stawić mu czoło. Choć ta najbardziej okazała część jego ciała pęczniała i przelewała się z boku na bok jak zielona fala przed dziobem statku, nikt nie był na tyle głupi i nierozważny, by rzucić wyzwanie właścicielowi brzucha i znajdującej się nad nim twarzy. Trudno było odgadnąć jego wiek, pewne było jedno – że jest silny jak wół i tak samo uparty.

W historii jego życia można było się zgubić równie łatwo jak we mgle Londynu, w którym to mieście trudnił się jakoby handlem. Następnie przeniósł się (lub uciekł) do Ameryki, gdzie brał udział w różnych przedsięwzięciach, zawsze o krok – lub, jeśli szczęście się do niego uśmiechało, nawet o dwa – wyprzedzając władze. W końcu los przestał mu sprzyjać za sprawą kamrata dotkliwie oszukanego w interesach, który go zdradził. Został pojmany, osądzony i skazany na karę więzienia w Hobart na Tasmanii, skąd jeszcze nigdy nie uciekł żaden śmiertelnik.

Ale Brognar Blackstrap nie był zwykłym śmiertelnikiem. W pełnym słońcu jego imponująca czaszka jaśniała różowawym blaskiem, jak inkrustowana czerwonym kwarcem. Wokół niej opadały w dół falujące kaskady długich czarnych włosów przyprószonych siwizną, jakby drwiąc z dawno zapomnianej, jałowej pustyni powyżej. Krzaczaste brwi były zapowiedzią ogromnych, opadających w dół wąsów, wyrastających pod kartoflastym nosem jak czarna ośmiornica wynurzająca się ze swej koralowej kryjówki. Głęboko osadzone oczy były ciemne jak noc, choć ich spojrzenie nie było całkiem pozbawione wesołości. Powyłamywane zęby przypominały nieregularne ruiny z okresu neolitu. Jeden ząb wszakże odlany był całkowicie ze złota pochodzącego z przetopionego zegarka, który przywłaszczył sobie Blackstrap w trakcie sprzeczki z zapomnianym już, lecz teraz na pewno mądrzejszym dżentelmenem – plantatorem z Jamajki.

Wszyscy wiedzieli, że biada temu marynarzowi, który chciałby uchylać się od pracy. Nie żeby Blackstrap był okrutnym kapitanem. Co to, to nie. Był zbyt sprytny na to, by stosować drastyczne metody w stosunku do własnej załogi. Zamiast tego wołał używać chytrych sztuczek, tak przydatnych w ciemnych interesach, które prowadził na połowie ziemskiego globu.

Nie znaczyło to, żeby miał coś przeciwko rozbijaniu głów, jeśli wymagały tego okoliczności.

Z Preisterem Smiggensem sprawa wyglądała zupełnie inaczej. Ten żeglarz samouk miał więcej rozumu, niż zmieściłoby się w trzech głowach zwykłych marynarzy. Jako jedyny człowiek na pokładzie „Kondora” szczyił się wyższym wykształceniem. Pierwszy oficer kapitana Blackstrapa był wysoki i chudy; przypominał wysuszoną i wyblakłą od słońca kłodę drewna wyrzuconą przez morze na brzeg. Swego obecnego dowódcę poznał podczas wspólnego, choć nie zamierzonego pobytu w Hobart i zorientował się od razu, że Blackstrap należy do gatunku ludzi, którzy potrafią przetrwać. Smiggens nie miał tej zdolności, za to Blackstrap dostrzegł w nim cechy, których jemu samemu brakowało. Para ta świetnie się nawzajem uzupełniała. W trakcie niezbyt relaksującej więziennej rozrywki, jaką było rozwalanie wielkich kamieni małymi młotkami, obaj mężczyźni zawiązali nieformalną spółkę, która przetrwała licząc do obecnej chwili kilka ładnych lat.

I którą, jak się zdawało, miał właśnie zamiar rozwiązać lada dzień bezlitosny sztorm.

Obaj mężczyźni stali teraz za plecami zasuszonego gościa z Nantucket, trzymającego koło sterowe. Determinacja na twarzy sternika wciąż była widoczna jak harpunnik na dziobie wielorybicznej łodzi, ale nadzieja dawno już zgasła w jego oczach. Walcząc z takielunkiem i trzymając się kurczowo omywanego falami pokładu, reszta załogi robiła, co w jej mocy, by uchronić „Kondora” przed wywróceniem się do góry dnem.

Od tygodni wiatr nieprzerwanie wiał od rufy, nieubłagane niosąc statek coraz dalej od lądu, na coraz bardziej bezkresne wody, nie zbadane jeszcze i nieobecne na żadnej mapie.

Postrzępiona nieduża flaga łopotała na bezansztagu. Teraz była to flaga holenderska, pamiątka po ostatnim pobycie w Batawii. Poprzednio, gdy załoga prowadziła interesy w Hongkongu, pływała pod banderą brytyjską. W małej skrytce pod pokładem spoczywały starannie złożone bandery chyba ze trzydziestu różnych państw. Każda z nich mogła być natychmiast wciągnięta na maszt, jeśli wymagały tego okoliczności. W gruncie rzeczy załoga „Kondora”, składająca się z przedstawicieli wielu z tych państw, nie uznawała za swoją żadnej z tych bander i dla żadnej nie miała szacunku,

woląc uznawać za własną społeczność swoich kamratów raczej niż większe i bardziej restrykcyjne społeczeństwa. Jedyne flaga, której naprawdę oddawano honory, łopotała na maszcie tylko w trakcie poważnych przedsięwzięć. Była to bandera z trupią czaszką i skrzyżowanymi pieszczelami wymalowanymi na czarnym tle.

Wiatr z nową siłą uderzył w barkentyne i statek przychylił się na sterburtę. Mierzący sześć stóp i cztery cale Blackstrap, który ważył grubo powyżej trzystu funtów, nie przesunął się nawet o cal. Na morzu czuł się jak ryba w wodzie i tyleż mniej więcej co w rybie było w nim współczucia dla innych.

– Uważaj, co robisz, panie Ruskin.

– Taaa... jest, kapitanie. – Nie zważając na piekący ból, sternik przetarł mokre od słonej wody oczy. Był stary i zasuszony, ale gdyby nawet ktoś go zakneblował i związał mu oczy, potrafił wyniuchać właściwy kurs między dwiema leżącymi blisko siebie wyspami, odróżniając zapach łądu od zapachu rafy koralowej. Czego nie potrafił, to uwolnić statku z objęć diabelnie upartego prądu i szalejącego sztormu.

Preister Smiggens wstawił się za nim.

– Ruskin stara się jak może. Wiadomo, niewiele możemy zrobić przy takiej pogodzie jak ta, by bezpiecznie utrzymać się na wodzie.

– Niech diabli porwą ten prąd! – ryknął Blackstrap. – Przy nim Golfstrom to cholernie spokojna zatoczka! – Wielkie pięści zacisnęły się we włochate kule.

Smiggens chwycił się liny, żeby nie upaść.

– Gdyby wiatr się zmienił, mielibyśmy szansę się wyrwać.

– Wiatr, wiatr... – narzekał Ruskin. – Czegoś takiego jeszcze w życiu nie widziałem, żeby prąd i wiatr razem dały taki koncert! Wokół Przylądka Horn bywa podobnie, ale nigdy tak równo i tak długo jak teraz! Nigdy! – Fala rozbiła się o dziób, a jej rozbryzgi dosięgnęły nawet stojących na rufie. – Jak morze zechce, to i tak nas zabierze.

– Lepiej trzymaj język za zębami, jeśli masz tak gadać, Ruskin! – ryknął Blackstrap. – Nie zniosę takich bzdur na moim statku, jasne?!

– Pan wybaczy, kapitanie – odrzekł potulnie stary sternik.

– Jak tam uszczelnienie dziobu, panie Smiggens?

– Jeszcze wytrzyma, panie kapitanie – głos pierwszego oficera brzmiał ochryple od ciągłego przekrzykiwania wiatru. – Sporządziłem specjalny klajster, który powinien trzymać mocniej od zwykłej smoły i...

– Oszczędź mi tych uczonych rozpraw, panie Smiggens! Uszczelnienie wytrzyma czy nie?

– Przez jakiś czas, sir.

Choć dla postronnych obserwatorów nie zawsze było to oczywiste, dwaj mężczyźni o tak różnej przeszłości i tak odmiennie wychowani mieli dla siebie wielki szacunek. Pierwszy oficer spojrzął przed siebie. Przez ścianę deszczu i rozbryzgi wody dostrzegł niewyraźne sylwetki marynarzy zmagających się z olinowaniem i żaglami, wyczerpanych walką ze sztormem i bezlitosnym postępowaniem kapitana.

– Ogromnie by nam pomogło, gdybyśmy mogli przybić choćby do najmniejszego cypelka piasku i przeprowadzić solidniejszy remont poszycia.

– Myślisz, że o tym nie wiem? – mruknął Blackstrap. – Ale w pobliżu nie ma ani kawałka twardego łądu, chyba że ktoś uważałby za coś takiego spód statku, kiedy wywrócimy się do góry dnem, Smiggens. Czy nie tak, panie Ruskin?

– Nie na tym kursie, kapitanie. Dopóki nie zahaczmy o brzegi Afryki. Tak przynajmniej mówią

mapy.

– Afryka! – Blackstrap rozwarł pięści i natychmiast splótł dłonie za plecami. – Los, zdaje się, zdecydował, że mamy przemierzyć cały ocean tylko po to, by dokonać napraw i uzupełnić zapasy!

– Nie wiem, kapitanie – Ruskin spróbował zabarwić nutą optymizmu te fatalistyczne rozważania. – Dystansu, jaki pokonaliśmy, i szybkości, z jaką się poruszamy, nie powstydziliby się nawet sama „Latająca Chmura”. Może ocean jeszcze się o nas upomni, ale wygląda na to, że przedtem ma zamiar pokazać nam, do czego jest zdolny!

– Zupełnie jak kobieta – burknął kapitan. – Nigdy bym nie pomyślał, że ta stara łajba potrafi tak długo trzymać się kupy.

Jakby dla podkreślenia tych słów, ze śródookręcia dobiegło nagłe sieknięcie. Blackstrap rzucił się do nadburcia i ryknął w deszcz:

– Dość tego, wy nędzne świdraki! Przywiązać mi to działo! Chcecie iść do piekła z pogruchotanymi kośćmi?!

Żeglarze pośpieszyli docisnąć wiązania, przytrzymujące jedną z dwunastofuntowych armat „Kondora”. Obluzowane działo, walące o pokład pośród takiego sztormu, mogło wyrzucić okrętowi i załozie tyle samo szkód, co wściekły wieloryb.

Blackstrap obserwował członków załogi, dopóki nie upewnił się, że porządnie wykonali swoją robotę, po czym znów znalazł się u boku Smiggensa.

– Zatem najbliższy ląd to Afryka, he? Na ogon Trytona, jeśli będziemy musieli, to poześlujemy i do Afryki!

Pierwszy oficer spojrzał na kapitana z podziwem. Blackstrap mógł sobie być kłamcą i oszustem, złodziejem i rzezimieszkiem, mógł być tak zdradliwy jak pozłacany suweren pocierany palcami lub nie przeczytana umowa, ale nie bał się niczego, nawet samego morza. Było w nim coś, co narzucało nawet innym taki stosunek do śmierci, że skoro nie można się z niej śmiać, należy przynajmniej, dopóki to możliwe, próbować się od niej wykpić.

– Można by powiedzieć, że jesteśmy w beznadziejnym położeniu, sir.

Blackstrap łypnął na pierwszego oficera.

– Byłbym wdzięczny, gdybyś zatrzymał swoje wesołe powiedzonka dla siebie, Smiggens. Zawsze podejrzliwie traktował książkową wiedzę pierwszego oficera, chociaż w razie potrzeby potrafił docenić jej wartość. Ale gdyby kiedyś przyłapał Smiggensa na tym, że otwarcie się z niego naśmiewa, na pokładzie „Kondora” byłby od zaraz potrzebny nowy pierwszy oficer. Nikt z załogi nie wątpił, że tak właśnie by się stało.

Smiggens ze swej strony podejrzewał, że po prostu złego diabli nie biorą. Kiedy sztorm w końcu ucichnie (a chyba musi – mówił sobie w duchu), kiedy tropikalne słońce wyjrzy zza chmur i zacznie przypiekać statek i załogę, kiedy wyczerpią się zapasy wody i jedzenia, Brognar Blackstrap wciąż będzie stał oparty plecami o grotmaszt i wygrażał pięścią żywiołom przeklinając je.

Załoga już ledwo zipała. Od tygodni nie było czasu na odpoczynek ani możliwości zmiany wachty. Każda para rąk jest cały czas potrzebna, by utrzymać statek na wodzie.

Wszystko byłoby inaczej, gdyby nie próbowali ukraść tej skrzyni pełnej sztab złota ze skarbcza w Batawii. Starannie przemyślany i przygotowany plan zniweczył chłopiec okrętowy, który zasnął tam, gdzie nie powinien. Uciekł do innego pomieszczenia i wszczął alarm.

Zorientowawszy się, czym w istocie jest zacumowana w pobliżu, wyjęta spod prawa barkentyna, dwa stojące w porcie holenderskie okręty wojenne podniosły kotwice i rozpoczęły pościg. Gdy przepłynęły Cieśninę Sundajską, dołączyła do nich fregata Jej Królewskiej Mości „Apollonia”, czatująca na „Kondora” od czasu jego głośnej eskapady do Hongkongu. W pogotowiu

były również portugalskie okręty wojenne, poszukujące żaglowca Blackstrapa po tym, jak dokonał abordażu i zatopił dżonkę ustosunkowanego mandaryna nieopodal Macao.

Do tej pory załodze pirackiego statku zawsze udawało się umknąć sprzed nosa władzom kolonialnym południowo-wschodniej Azji. Teraz wydawało się, że poluje na nią każdy okręt wojenny na Morzu Południowo-chińskim. Smiggens czuł się bezpodstawnie prześladowany. W najlepszym wypadku on i jego kompani to tylko mało znaczący rozbójnicy. Korsarstwo me było już w tym regionie kwitnącym interesem.

Żaden z liczących się w pościgu okrętów nie przeszkodziłby „Kondorowi” w wymknięciu się z Batawii na wschód, gdzie mógłby się rozplątać pośród tysięcy wysp tworzących Indie Wschodnie. Ale „Apollonia” zmusiła go, by skręcił na zachód i na południe, skutkiem czego po przepłynięciu cieśniny dostał się w szpony szalejącego wściekłe szkwału, przed którym nie było ucieczki.

Smiggens miał nadzieję, że przynajmniej zgubili pogoń. Zapewne ścigający uważali, że już nie żyją. Był ciekaw, czy ich brytyjscy i holenderscy prześladowcy zatonęli, czy też udało im się wyrwać z objęć sztormu. Ale jakoś nie poprawiało mu nastroju przypuszczenie, że nikt ich już nie ściga. Przyjemnie sucha ładownia okrętu, kajdany na nogach i suchar na kolację byłyby chyba lepsze od tego, co musieli znosić obecnie, a już na pewno od głodowej śmierci, gdyby jakimś cudem udało im się przeżyć sztorm.

Pomyślał o skradzionych towarach obijających się po ładowni. Hele doskonałej herbaty, roztrzaskana już porcelana, zwoje jedwabiu, paki przypraw korzennych... Wprawdzie to nie to samo, co sztaby złota, niemniej były to cenne łupy. Tyle że bezwartościowe, dopóki załoga nie znajdzie się bezpiecznie na lądzie.

Trzeba oddać staremu Ruskinowi sprawiedliwość, pomyślał z uznaniem, że podczas tego sztormu wiele razy próbował wziąć kurs na północ, do Indii i na Cejlon. Bezskutecznie. Po prostu połączenie tak silnego prądu z tak potężnym wiatrem nie dawało „Kondorowi” żadnych szans ucieczki przed sztormowym frontem.

Znajdowali się teraz gdzieś w pobliżu Zwrotnika Koziorożca, w strefie najbardziej nie sprzyjających żegludze południowo-wschodnich pasatów i mimo nadludzkich wysiłków, jakie czynili, by wydostać się z pułapki, zawisła nad nimi groźba mimowolnej dalszej podróży w kierunku południowego koła podbiegunowego. Sytuacja była beznadziejna. Podążając dalej obecnym kursem dotarliby do tak zimnej strefy klimatycznej, że zamarzliby, zanim zdążyli umrzeć z głodu.

Afryka, pomyślał Smiggens. Musieliby chyba latać jak albatrosy, żeby mieć szansę tam dotrzeć... Mimo katorżniczej harówki, jaką była walka ze sztormem, załoga „Kondora” stanowiła po prostu grupę ludzi skazanych na śmierć.

Teraz, na tym miotanym sztormem pokładzie, pierwszy oficer zaczął wspominać swoje wcześniejsze losy. Był niegdyś prywatnym nauczycielem, i to cenionym, o którego zabiegało wiele arystokratycznych rodzin w Londynie. Niestety, słabość do mocnych trunków i innych przyjemności stała się w końcu przyczyną jego upadku. Trafiła się młoda uczennica, bardzo atrakcyjna córka pewnego księcia, której edukację przyspieszył przekraczając, być może, granice przyzwoitości. Jej ojciec uważał, że na pewno. Tylko opiece boskiej i uśmiechowi losu Smiggens zawdzięczał, że zdołał się dostać na statek odpływający do Indii Zachodnich, zanim arystokrata, oburzony do żywego, zwrócił się przeciwko niemu uzbrojony w pistolet, szablą i towarzystwo policji.

Traktował swoją ucieczkę jako udaną do momentu, w którym statek został zatrzymany u ujścia Tamizy i na pokład wkroczyła władza. Oczywiście w sądzie nie miał szans. Nie mogło być inaczej, skoro księcia reprezentowała niezliczona rzesza prawników (Smiggens uznał, że było ich tylu co ziaren piasku na plaży), a sam sędzia został opłacony przez przyjaciół znieważonego.

Tak doszło do tego, że został wysłany do najodleglejszego i najpodlejszego więzienia na świecie, w Hobart na Tasmanii, gdzie miał dożywać swych dni skazany na ciężkie roboty i niedolę. Tam właśnie zawarł znajomość z największymi szumowinami pod słońcem, wśród których Brognar Blackstrap zaliczał się do najbardziej popularnych. A także, jak sobie przypominał pierwszy oficer, do najsprytniejszych. W każdym razie przyjaźń, którą zawarli, była na pewno niezwykła.

Inteligencja Smiggensa w połączeniu z zuchwałością Blackstrapa przydały się do zorganizowania kradzieży małej łodzi rybackiej. Uciekając z Hobart skierowali się na północ, wzdłuż wybrzeża Tasmanii. Pomagali im biedni Aborygeni, uważając zbiegów za takie same jak oni ofiary prześladowań władz.

Jakoś udało im się przeciąć Cieśninę Bassa i wśliznąć do prężnie rozwijającego się portowego miasta o nazwie Sydney, gdzie ukrywali się, dopóki nie zostali rozpoznani. W towarzystwie bandy podobnych desperatów ukradli większy statek i pożeglowali na północ. Jednym z tych, którzy oddali się pod opiekuńcze skrzydła Blackstrapa, był doskonały żeglarz i sternik Ruskin. Bez jego umiejętności niechybnie rozbiliby się o broniące dostępu do wschodniego wybrzeża Australii straszliwe rafy, które zatrzymały nawet słynnego Cooka.

Wbrew wszelkim przeciwnościom losu dokonali tego opływając od północnego zachodu Przylądek York, skierowali się ku bogactwom Indii. Po drodze zabierali na pokład żeglarzy wszelkich narodowości, desperatów bez nadziei. Z takich życiowych rozbitków powstała gorliwa załoga.

Stanowili ją Filipińczycy i chińscy renegaci, przegrani farmerzy z Jawy i amerykańscy wielorybnicy, którzy wypadli ze statku, wolni Afrykańczycy i zbiegli Melanezyjczycy, drobni złodzieje z Europy i ze Wschodu. Dostawszy szansę wolności i wciąż nowych łupów, ochoczo służyli pod dowództwem Blackstrapa. Umykali każdej pogoni i potrafili wygrać każdą bitwę. Aż do dziś.

Nie można pokonać morza, pomyślał Smiggens. Jak stwierdził siary Ruskin, jeśli ocean chce kogoś, to go dostanie i zwykły śmiertelnik nie może na to nic poradzić.

Gdy Smiggens nad tym rozmyślał, nagle do jego uszu doleciał głośny wrzask obserwatora z bocianiego gniazda, przywiązanego, by nie porwał go nieustający sztorm:

– Hej! Ziemia!

Ziemia? Jaka znów ziemia? Co to za bzdury? – zdziwił się Smiggens. Cóż, obserwator nie byłby pierwszym członkiem załogi, który zaczyna odchodzić od zmysłów.

Oslaniając oczy jak mógł najlepiej przed siekącym deszczem, zatoczył się do przodu i krzyknął w kierunku szczytu grotmasztu:

– Hej tam, w bocianim gnieździe! Za długo już nie byłeś na pokładzie, Suarez! Zejdź na dół, damy ci zmianę! – Wiatr poszarpał jego słowa na poszczególne sylaby.

Lekceważąc niebezpieczeństwo wypadnięcia, podniecony obserwator wychylił się jak mógł najdalej, by wyrazić się jasno:

– Nie o to chodzi, sir! Jest jakiś ląd! Na pewno! Leży na południe od nas! – Wyciągając ramię energicznie wskazał kierunek.

– O co chodzi, panie Smiggens? – zapytał Blackstrap, stając za plecami pierwszego oficera.

– To Suarez, sir. Mówi, że na południu jest ląd. Ale to niemożliwe.

– Skąd wiesz, co jest możliwe, a co nie na tej szerokości geograficznej, Smiggens? Na mapach jest tylko puste miejsce – rozejrzył się uważnie. – Gdzie moja luneta? A zresztą... nieważne.

Przyłożył zwinięte dłonie do ust i ryknął w kierunku obserwatora:

– Co to za ląd, Suarez?!

Trzymając się kurczowo czubka grotmasztu Kubańczyk zdołał podnieść do oczu lunetę.

– Płaski, sir! A dalej góry!

– Wyspa? – Smiggens zagryzł dolną wargę, czując smak soli. – Tu nie może być żadnej wyspy.

Wciąż jesteśmy co najmniej o tysiąc mil na wschód od Madagaskaru.

– A kto był tutaj przed nami, Preisterze Smiggens? Nawet sam Cook nigdy nie żeglował po tych wodach.

Ruszając w stronę nadburcia Blackstrap ryknął w kierunku pokładu:

– Ruszcie się! Banda leniwych, sflaczałych, płucodysznych ryb! Nie słyszeliście obserwatora?! Stawiać żagle! Zbiegłszy na pokład zaczął się miotać rozdając razy i kopniaki. Większość jego ciosów chybiała, bo załoga już się uwijała z nową energią, którą zrodziła desperacja. Żeby to było nie wiadomo jak nieprawdopodobne, jeśli w pobliżu był jakiś ląd, nie chcieli i nie mogli sobie pozwolić, by go ominąć.

Mgła się rozwiała i wszyscy ujrzeli pas soczystej zieleni z wysokimi górami w tle. Dokładnie tak, jak twierdził obserwator. Góry oznaczały śnieg, a śnieg oznaczał czystą, świeżą wodę. Załoga wzniosła nierówny okrzyk radości.

Kiedy już się zdawało, że zostali ocaleni przed pewną śmiercią przez łaskawą Opatrzność, ze szczytu grotmasztu ozwał się następny okrzyk:

– Rify, sir! Zabójcze rify przed nami!

– Niech to wszyscy diabli! – wrzasnął Blackstrap torując sobie drogę z powrotem do koła sterowego i chwytając je razem ze sternikiem. – Cała w lewo, panie Ruskin! Zanim będzie za późno!

Mimo ich wspólnych wysiłków, ster ani drgnął.

– Nie skręcimy, kapitanie! Za silny prąd! – w głosie sternika była panika.

Z twarzą purpurową z wysiłku Blackstrap wrzasnął do swego pierwszego oficera:

– Pomóż pan tu, panie Smiggens!

Smiggens wykonał rozkaz, ale bez rezultatu. Pchany nieustępliwym wiatrem i niesiony bezlitosnym prądem „Kondor” gnał ku nieszczęściu.

Wkrótce dostrzegli i usłyszeli jednocześnie wielkie fale i uderzyli dnem o szeroką podwodną skałę, czując pod kilem jej przerażające wybrzuszenie. A gdy poniosło ich dalej, ujrzeli widok, który mrozi krew w żyłach każdego marynarza.

Szkielety. Nie szczątki ludzkie czy zwierzęce, ale szkielety statków. Rozdarte wraki roztrzaskanych o rify chińskich dżonek i arabskich dhow, cejlońskich łodzi rybackich i starych hiszpańskich galeonów. Pozostałości po statkach handlowych i okrętach wojennych, a nawet coś, co wyglądało na wrak rybackiego szkunera z Nowej Anglii.

– Polećcie dusze Bogu i niech ma nas w swojej opiece! – zagrzmiał Blackstrap, chwytając koło sterowe, jakby to był talizman, gdy „Kondor” uniósł się na grzbiecie monstrualnej fali. Na pokładzie rozległo się tyle modlitw, ilu w tym towarzystwie nie słyszano przez cały rok.

Wznosili się wciąż wyżej i wyżej, jakby lecieli w powietrzu, i wydawało się to trwać niewiarygodnie długo. Słyszeli trzeszczenie naprężonych wręg i obawiali się, że ostatecznie dwa maszty trzasną jak zapałki.

A potem fala nagle opadła.

Rozległy się krzyki, gdy woda zalała pokład i... spłynęła przez luki odpływowe. „Kondor” przechylił się niebezpiecznie na sterburtę, po czym, opierając się na swym zbyt dużym kilu, powrócił do normalnej pozycji i odzyskał stabilność.

Cała ta potłuczona porcelana w ładowni, pomyślał drętwo Smiggens, bezcenna i zdobyta z takim trudem, spełnia już zapewne tylko rolę balastu.

– Uwaga! – rozległ się krzyk, gdy grotbramreja runęła na pokład. Marynarze rozpięchli się i oprócz jednego stłuczonego uda nie było więcej ofiar.

Zostawiając „Kondora” za sobą, przewalająca się fala uderzyła w rząd mangrowców. Jakimś cudem ocean miał już dosyć statku i pozwolił mu płynąć dalej. Sponiewierany, lecz cały, żeglował teraz po spokojnych wodach laguny poza linią raf, które nie wydawały się już zabójcze, lecz przyjazne.

– Johanssen! – krzyknął Blackstrap. – Weź kogoś ze sobą i sprawdźcie, jakie są uszkodzenia!

– Taaa... jest, sir! – potężnie zbudowany były wielorybnik zniknął jak borsuk w czeluści luku.

Ochłonawszy i zebrawszy siły reszta załogi zabrała się do naprawiania wszystkiego, z czym mogła sobie poradzić. Rupiecie nie nadające się już do niczego wyrzucono za burtę i w nich poszły narzędzia stolarskie. Mężczyzną, którego trafiła w nogę spadająca reja, zaopiekował się okrętowy golibroda.

Johanssen pojawił się z powrotem.

– Kilka nowych przecieków, sir – powiedział niemal z uśmiechem. – Ale to nic wielkiego. Kadłub wytrzymał. Myślę, że wszystko można naprawić.

– Otóż to. – Smiggens odwróciwszy się począł badać wzrokiem rafę. Poza nią sztorm zaczynał wreszcie słabnąć. To wydawało się niemożliwe, a jednak dopłynęli do brzegu dzięki temu, że przeniosła ich na swym grzbiecie jakaś zdumiewająca lala. – Dopłynęliśmy bezpiecznie, ale czy uda nam się stąd odpłynąć?

Wielka łapa klepnęła go w plecy. – Jesteśmy żywi i na mieliźnie, panie Smiggens. Tych dwóch rzeczy było nam najbardziej potrzeba. Lepiej nie kusić losu, żądając zbyt wiele na raz, bo gotów pomyśleć, że jesteśmy chciwi.

– Kto chciwy? Ja? – chrząknął Smiggens.

– Interesujący sposób lądowania, nie uważasz? – Blackstrap poprowadził swego pierwszego oficera w kierunku relingu. Patrzyli na ciągnący się wzdłuż brzegu rząd mangrowców i wyrastającą za nimi gęstą, wysoką trzcinę..

– Mogą tu być kanibale – wygłosił swoją opinią zawsze pesymistycznie usposobiony Smiggens. – Albo jeszcze gorzej.

– Dorównam każdemu kanibalowi, kęs za kęs, bo w przeciwieństwie do niektórych nie mam nic przeciwko świniom. – Dzięki udanej ucieczce przed sztormem w Blackstrapa wstąpiły nowe siły. – Nie widzą tu śladu człowieka. Żadnych czółen, żadnych sieci rybackich. Tylko roślinność i perspektywa świeżej wody. My znaleźliśmy tę ziemię, panie Smiggens, i klnę się na wszystkie morskie bóstwa, ona jest nasza! Ja, Brognar Blackstrap, tak twierdzę. I niech ktoś się odważy zaprzeczyć.

Spojrzał w kierunku rufy.

– Jakżebym chciał, żeby jeszcze ścigały nas tamte holenderskie i brytyjskie okręty! Bo z pewnością cud, który rzucił nas na wody tej laguny całych i zdrowych, już by się drugi raz nie zdarzył. Sprawiłoby mi wielką przyjemność patrzeć, jak rozbijają się w drzazgi o te rafy i idą na dno. Chciałbym usłyszeć ich krzyki i jęki, kiedy wpadają do morza, błagając nas o pomoc.

– Zapewne zawrócili dawno temu, by uciec przed sztormem – przypomniał mu Smiggens.

– A tak, tak... Wiem... – w oczach Blackstrapa zamigotały mordercze błyski. Smiggens znał to spojrzenie, widział je już wiele razy. – Ale widzę to oczami duszy – ciągnął kapitan. – I jestem zachwycony, panie Smiggens.

Wyprostował się.

– Dokonamy tu napraw i uzupełnimy zapasy. Może znajdą się jacyś tubylcy do pomocy przy

cięższej robocie.

– Myśli pan, że będą przychylnie nastawieni? – wtrącił się sternik.

– Nieważne, Ruskin. Mamy na pokładzie osiem dział i jeśli proch nie zamókł, to wkrótce wszyscy tubylcy przekonają się, że w ich najlepiej pojętym interesie leży, by słuchać naszych rozkazów. Powszechnie wiadomo, że kilka strzałów z kartaczy i okowy potrafią nastawić przychylnie najbardziej niechętną wioskę. A jeśli będą tu jacyś osobnicy, którzy są coś warci, to zabierzemy ich jako balast, a tych, którzy przeżyją podróż, sprzedamy na targu w Durbanie.

– Chce pan płynąć do Afryki? – zapytał sternik.

– I owszem, panie Ruskin. Wystarczy mi na dłuższy czas tych zapowietrzonych Indii.

Coś przykuło uwagę Smiggensa.

Wewnątrz koralowej rafy spoczywały uwięzione kadłuby trzech rozbitych statków. Pozostały z nich tylko kile, pokładnice i drewniane szkielety, które nie przegniły, więc trudno je było rozpoznać.

– Spójrzcie na to!

Zamyślony Blackstrap zmarszczył brwi spoglądając na pierwszego oficera.

– Na co, Smiggens? Po co tracisz czas gapiąc się na martwe statki, które mogą być tylko grobowcami nieżyjących marynarzy? Nie pomogą nam w niczym. Chyba że... – zakończył olśniony nagłą myślą dostrzegasz na ich pokładach coś, co może się przydać. Działa byłyby mile widziane. Baryłka prochu lub dwie – jeszcze bardziej.

– Takich rzeczy nie znajdziemy na żadnym z tych statków, kapitanie.

Zauważywszy spojrzenie pierwszego oficera, kilku marynarzy zainteresowało się trzema wrakami.

– Co to za rodzaj statków, panie Smiggens? – zapytał w końcu jeden z nich.

– Mnie samemu trudno w to uwierzyć... – Smiggens przysłonił dłonią oczy. – Widzicie te otwory wzdłuż burt każdego z nich? To na wiosła. Te statki poruszały się zarówno pod żaglami, jak i dzięki pracy wiosłarzy. Rzymskie triremy, jak się domyślam. Nic innego nie mogło przetrwać w tym morzu od tak zamierzchłych czasów. To tamte dwa...

– Rzymskie? – zainteresował się nagle Blackstrap. – Co to znaczy rzymskie, panie Smiggens? Czy w dzisiejszych czasach na południu Europy używają takich dziwnych statków?

– Nie w dzisiejszych czasach, sir. To okręty Cezara, który kiedyś uznał Morze Śródziemne za wewnętrzne wody Rzymu. Ale jak one się tu dostały?

– Cezara, powiadasz? – Blackstrap uśmiechnął się w zamyśleniu. Taki wyraz twarzy był u niego czymś niecodziennym i wyraźnie sprawiał trudność mięśniom oblicza. – Wiem, Juliusz. To był człowiek, który przypadł mi do serca. A co z tamtym trzecim statkiem? – Nie jestem pewien. Wydaje się jeszcze starszy. Z wyglądu może egipski... albo fenicki. Widzicie zarys oka wymalowanego na dziobie? Ich obecność tutaj to tajemnica, której nie potrafię wyjaśnić.

– Dlaczego by nie zapytać ich sternika? – Ruskin wydał z siebie świszczący chichot.

– Boję się zadać pytanie żeglarzowi, który nie żyje od tysiąca lat lub dłużej – Smiggens spojrzał uroczyście na sternika, któremu uśmiech zniknął natychmiast z twarzy. – Mógłby mi odpowiedzieć jego duch.

– Też coś – na Blackstrapie nie zrobiło to wrażenia. – Toż to istne cmentarzysko okrętów. Wszystko przez te piekielne prądy. Ale nam się udało. To dobry omen.

– No, nie wiem, kapitanie – Smiggens zwrócił twarz w kierunku lądu. – Mam uczucie, jakby coś z tym lądem było nie w porządku.

– Do diabła z twoimi „uczuciami”, panie Smiggens. Jeśli jest tu sucho i nie brakuje świeżej wody, to mi wystarczy.

Pierwszy oficer nie odpowiedział, woląc zachować swe obawy dla siebie. Blackstrap i tak pozostałby wobec nich obojętny.

IV

Podczas cumowania statku do uszu członków załogi kilkakrotnie docierały dziwne pomruki i porykiwania z głębi łądu. Ale jedynie Smiggens czuł się coraz mniej pewnie. Pozostali, obdarzeni mniejszą wyobraźnią, wręcz przeciwnie.

– Dziko żyjące bydło – ucieszył się Johanssen, z nadzieją zacierając ręce. – Świeże mięso!

– Może będziemy mieć szczęście i spotkamy bawoły? – Niewielki, żyłasty Anbaya pochodził z Moluków i miał język ostry jak przyprawy korzenne, z których słynęła jego ojczyzna. – Małe polowanko, kapitanie?

– Już niedługo, wygłodniała ciemnota – odrzekł wesoło Blackstrap. Jego wzrok błędził po pokładzie. – Gdzie ten przekłety Afrykańczyk? Powiedzcie mu, żeby wylazł spod pokładu. Nie zatoniemy.

Dwaj ludzie zniknęli w otworze luku, udając się na poszukiwanie wojownika z plemienia Zulu.

Wiatr wciąż kołysał statkiem, targając końskim ogonem Smiggensa, ale znacznie stracił na sile. Niebo na pomocnym wschodzie pozostało jednak zasnute ciemnymi chmurami, nie wróżącymi nic dobrego. Na łądzie zaczęła się podnosić mgła, przysłaniając odległe góry.

– I co o tym sądzisz, Preister? – zapytał Blackstrap, wskazując ruchem głowy plażę. – Nie wygląda groźnie, co?

– Na wyspach Fidżi jest podobnie – odparł Smiggens. – A jednak są one ojczyzną najgroźniejszych ludożerców na Pacyfiku. Z wyjątkiem może dzikusów z Nowej Gwinei, o których mówią... – Wystarczy! Nigdy się nie nauczysz, kiedy trzeba się zamknąć?! Zejdziemy na brzeg i zdobędziemy tyle żarcia, wody i diabli jeszcze; wiedzą czego, ile się tylko da. – Blackstrap podniósł głos: – O’Connor, Treggang! Spuśćcie szalupę!

Smiggens nie zaprotestował. Jak wszyscy pozostali, obawiał się przecież, czy jeszcze kiedyś stanie na twardym gruncie, który nie ucieka spod nóg.

Dwa tuziny mężczyzn podjęły wyprawę na wąską plażę. Drugie tyle pozostało na statku, by wystawić wachty i zająć się naprawami uszkodzeń. W czasie podróży przez spokojne wody laguny pasażerowie łodzi żywo komentowali obfitość dziwnie wyglądających ryb. Ciepła płyiczna była zamieszkała również przez inne osobliwe stworzenia, których nikt nie był w stanie zidentyfikować. Smiggens chętnie zabawiłby tu dłużej, by się im przyjrzeć bliżej, ale Blackstrap nie ścierpiałby żadnej zwłoki. Jeśli coś nie nadawało się do jedzenia ani do zamiany na złoto, nie wzbudzało jego zainteresowania.

Znalazłszy mały przesmyk w ścianie mangrowców, załoga łodzi podzieliła się. Połowa ludzi pozostała, by rozejrzeć się na plaży, reszta zaś kontynuowała podróż. Przecisnąwszy się przez gęstą roślinność, popłynęli w górę wąskiego, krętego strumienia. Wkrótce, z radością i ulgą stwierdzili, że woda zaczyna zmieniać smak ze słonego na słodki.

Mangrowce ustąpiły miejsca turzycy, trzcinie i innym roślinom lubiącym środowisko wodne. Smiggens był przekonany, że zauważył papirus, wierzbę i dziki ryż. A więc kolejne źródło pożywienia oprócz ryb, które widzieli wcześniej. Ten łąd mógł ich nie tylko napoić, ale i wyżywić.

Strumień stał się bardziej rwący i mężczyźni musieli teraz mocniej chwycić za wiosła. Ale przynajmniej nie brakowało im już wody, by ugasić pragnienie. Wiosłowali więc ze zdwojoną energią.

Dotarli do miejsca, w którym strumień okazał się za płytki dla wielorybniczej łodzi i musieli wyciągnąć ją na pokryty białym piaskiem, półkolisty brzeg. Słodko pachnąca, sięgająca kolan trawa

nie stanowiła przeszkody nie do przebycia, więc mając w pogotowiu karabiny i szable ruszyli ochoczo przed siebie.

Mimo braku zewnętrznych oznak zdenerwowania, Smiggens wciąż był niespokojny.

– Mieście oczy szeroko otwarte – poradził. – Nigdy nie wiadomo, jaka dzika bestia może się włóczyć po takim lądzie jak ten.

– Tak, tak... – zawtórował mu Anbaya. – Patrzcie pod nogi.

– Pod nogi? – zapytał mężczyzna z opaską zasłaniającą pusty oczodół. Oprócz oka brakowało mu dwóch środkowych palców lewej ręki, co zawdzięczał mimowolnemu spotkaniu z blisko przelatującą armatnią kulą.

Mały Molukańczyk uśmiechnął się.

– Wężę lubią wysoką trawę.

Na kilku mężczyznach wywarło to widoczne wrażenie. Zaczęli baczniej uważać, gdzie stawiają kroki. Anbaya zachichotał, ale nikomu nie przypadło do gustu jego poczucie humoru. Francuski statek handlowy uzbrojony po zęby nie powstrzymałby żadnego spośród piratów, ale nikt z tej grupy nie przepadał zbytnio za stworzeniami, które nie miały nawet na tyle przyzwoitości, by posiadać nogi.

Nie zauważyli jednak węży, ani jadowitych, ani żadnych innych. Pozostawiwszy za sobą trawiasty obszar, zapuścili się na tereny pokryte niewielkimi pagórkami. Jak starzy przyjaciele, powitały ich drzewa ze wszystkich stron świata. Rosło tu niemal wszystko, od karłowatych dębów po palmy. Niektóre z drzew ugiwały się pod ciężarem owoców. Smiggens szukał wzrokiem małp, które powinny się nimi żywić, podpowiadając przy okazji człowiekowi, co jest jadalne, a co nie. Ale nic nie wskazywało na ich obecność. Wspomniał o swym spostrzeżeniu Blackstrapowi.

– No więc, nie ma małp. I co z tego? – Kapitan niedbałym ruchem szabli ściał niewinny filodendron.

– W takim kraju jak ten prawie zawsze są małpy.

– Byłeś kiedy na Tahiti, panie Smiggens?

– Nie, sir.

– Duże wyspy, mnóstwo owoców. Podobnie jak tu. I nie ma małp. – Jeśli chodziło o Blackstrapa, temat został wyczerpany.

Pojawiło się kilka słodko ćwierkających ptaków. Leciały wprost na wędrujących piratów, nie okazując śladu zaniepokojenia. Jeden z mężczyzn uniósł do ramienia karabin i wziął na cel coś, co wyglądało jak tłusty gołąb z karmazynowym czubem. Jego towarzysz podbił mu lufę w bok. Niedoszły strzelec obrzucił go spojrzeniem.

– Co jest, Mkuse? Twój ziomkowie nie jadają dzikiego ptactwa?

– Jadamy niemal wszystko, co uda nam się schwytać – angielski, jakim posługiwał się wojownik z plemienia Zulu, brzmiał dziwnie nienaturalnie. – Ale jeśli mamy otwierać ogień na otwartej przestrzeni po to, by ostrzec jakiegoś tubylca, to już wolałbym najpierw schwytać coś bardziej pożywnego. Ptaki przysiadły na pobliskiej gałęzi i przyglądały się intruzom z zaciekawieniem.

Strzelec pomyślał chwilę, po czym niechętnie pokiwał głową; na znak zgody. Marynarze, z wyjątkiem Smiggensa, nie byli wprawdzie specjalnie uczeni, ale nie byli też głupcami. Głupi piraci nie żyli długo. Grupa podążyła dalej.

Anbaya nie znalazł węży, za to znalazł lasek melonowców. Mężczyźni zatrzymali się w nim zajadając owoce papai, gdy nagle wbiegł między nich Malajczyk Treggang z twarzą ściągniętą nie strachem, lecz zdumieniem.

– Chodźcie prędko! Kapitanie! Panie Smiggens! Chodźcie wszyscy!

– Opanuj się, człowieku – Blackstrap otarł z ust sok i pestki, ale część z nich pozostała mu na wąsach. – W czym problem?

Malajczyk podskakiwał w miejscu opętańczo, wskazując kierunek, z którego przybył.

– Pan zobaczy, kapitanie. Pan zaraz zobaczy, sir!

– Co za czort go opętał? – Poirytowany Blackstrap wyciągnął myśliwski nóż. – Gadaj zaraz, człowieku, albo utnę ci język!

– Nie tylko my zbieramy owoce!

– Tubylcy? – wszyscy natychmiast poderwali się z miejsc, na których siedzieli lub leżeli.

– Nie tubylcy, nie tubylcy! Chodźcie prędko zobaczyć!

To powiedziawszy, Malajczyk zakręcił się na pięcie i zniknął z powrotem w zaroślach porastających przestrzeń między pniami.

– Nie może być aż tak źle, skoro Treggang poleciał z powrotem, żeby popatrzeć... – Johanssen otrząpał spodnie z resztek papai. – Trzeba by zobaczyć, czy coś znalazł, czy oszalał.

Gdy piraci dołączyli do podnieconego członka załogi, ten już tkwił w kucki w zaroślach i coś pokazywał. Kiedy reszta zobaczyła, jakiego rodzaju zbieraczy owoców ma przed sobą, oczy marynarzy zrobiły się równie okrągłe jak oczy Malajczyka, niezależnie od tego, skąd kto pochodził.

Zbierający leżące na ziemi owoce nie byli nie tylko tubylcami, ale nawet ludźmi. Ani też małpami, które miał nadzieję spotkać Smiggens.

– Cóż to, na wszystkie świętości, ma być?! – Blackstrap wspiął się na palce, by lepiej widzieć.

Z całej grupy jedynie Chinlee, zbiegły z Kantonu złodziej, był przekonany, że wie.

– To być smoki, kapitanie!

Blackstrap obrzucił Chińczyka niepewnym spojrzeniem.

– Smoki?

Chinlee przytaknął energicznie.

– Ooo! Taaak, sir! Smoki.

Smiggens był tak samo oszołomiony tym, co widzieli, jak każdy, ale jedno wiedział na pewno. Nie ma czegoś takiego jak smoki. To średniowieczne zabobony, aczkolwiek widać było teraz wyraźnie, skąd się wzięły tamte legendy. Te stworzenia nie robiły nawet specjalnego wrażenia. Smoki były monstrualnymi bestiami uzbrojonymi w kły i pazury, zionęły ogniem i zostawiały po sobie ślady zniszczeń. Te tutaj zaś, chociaż istotnie niezwykle, nie miały kłów, jadły owoce i zostawiały po sobie jedynie pestki papai.

Ale skoro nie były to smoki, co mieli przed sobą?

Było ich razem pięć. Dwa dorosłe (w każdym razie większe) okazy i trzy mniejsze. Miały jasne podbrzusza, od beżowego do bladeżółtego, a karki, grzbiety i ogony zdobił różowy, skomplikowany wzór. Długie, smukłe szyje wyginały się w literę „S”. Pyski, zakończone wąskimi, jakby ptasimi ryjkami, ozdabiały duże, żywe oczy; cienkie ogony wyciągały się za tułowiem jak ster. Dorsalne osobniki miały sześć i siedem stóp wzrostu, podczas gdy mniejsze nie były wyższe niż pięć, sześć stóp. Zwinne stworzenia nie wydawały się ważyć więcej niż kilkaset funtów – nawet dorosłe okazy.

– Zobaczcie, zobaczcie! – Mkuse wskazywał pasące się dziwolągi.

– Ucisz się, człowieku! – warknął Blackstrap, mimo że i jego zainteresowało to, co dostrzegł Zulus. Z boku najwyższego osobnika zwieszał się rodzaj skórzanej torby.

Blackstrap odwrócił się do pierwszego oficera.

– Spójrz na tę torbę. Skąd ta bestia ją wzięła? Smiggens zastanowił się.

– Prawdopodobnie wisiała na drzewie, a te stworzenia przebiegały obok. Albo przepłynęła z jakiegoś wraku, a to duże wsunęło w nią szyję i odtąd tak wisi. Pewnie się do niej przyzwyczyli, bo

me wygląda na to, żeby im przeszkadzała. Proszę, jak to nachylają gałęzie przednimi łapami...

– Chińczyk myśli, że to smoki – przerwał Blackstrap. – A ty, Preister? Widziałeś już kiedyś takie? – Nie, kapitanie – Smiggens zmarszczył brwi. – Wyglądają jak! jaszczurki, ale chodzą na dwóch łapach. Chyba powinienem wiedzieć, kim one są, ale umknęło mi to określenie.

– Ja już takie widziałem – Zulus przysunął się do Blackstrapa. – W mojej ojczyźnie. Ale z piórami.

Obaj mężczyźni spojrzeli na niego.

– Holendrzy mieli na to swoją nazwę – ciągnął wojownik. – ale Anglicy mówili „struś”.

– Struś... – mruknął Smiggens. W istocie, zdumiewające stworzenia bardzo przypominały tego dużego niełota, a dokładnie takiego, którego burza pozbawiła piór. Może te stwory są bliskimi krewnymi strusi i w określonych porach roku tracą pióra? Jednak po dokładniejszych oględzinach dochodziło się do wniosku, że to porównanie nie jest trafne. Z jednego powodu. Ani struś, ani żaden inny ptak nie ma długich, zręcznych i zaopatrzonych w pazury przednich łap. Lecz gdyby pominąć ten szczegół, podobieństwo było zdumiewające.

– Smoki – upierał się Chinlee. – Ale małe.

– Nie są wiele większe od nas – zauważył Samuel, czarny Amerykanin. – Wysokie, ale niezbyt potężne.

Stworzenia, obserwowane z ukrycia przez grupkę piratów, nadal pożywiały się spokojnie, wyszukując najbardziej dojrzałe papaje i uzupełniając posiłek dużymi, tłustymi, białymi robakami, które wygrzebywały z pnia zwalonego drzewa. Napotkane ciernie ześlizgiwały się po ich twardej skórze nie wyrządzając im szkody. Kolorowe desenie na wrażliwych pyskach wyglądały prawie jak namalowane. Od czasu do czasu stworzenia ćwierkały i pogwizdywały na siebie. Szczególnie gadatliwe były mniejsze osobniki.

Piraci nie mogli wiedzieć, a zresztą nigdy by nie uwierzyli, że to wymyślne pogwizdywanie stanowi system porozumiewania się, będący w istocie wysoce rozwiniętym językiem. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że rodzina sthruthiomimusów, którą tak chciwie podglądają, jest czymś więcej niż tylko stadkiem głupich zwierzków. W ich mniemaniu skórzana torba, w którą wyposażony był osobnik płci męskiej, znalazła się w jego posiadaniu przez czysty przypadek, i tyle.

Odпочyiwając u kresu długiej wyprawy w plener i jednocześnie wycieczki krajoznawczej, rodzina strutich była przekonana, że jest jedyna w okolicy. Nikt z nich nie czuł się zagrożony. Mięsożerne drapieżniki z Deszczowej Doliny nie mogły w żaden sposób dotrzeć do Niziny Północnej, zatem jedyną rzeczą, jakiej mogły się obawiać, było przypadkowe spotkanie z jadowitym wężem. Nawet dzieci wiedziały, że tego właśnie mają się wystrzegać. Rodzina koncentrowała więc swą uwagę na koronach drzew i na ziemi i w niewielkim tylko stopniu na tym, co było pomiędzy jednym a drugim.

Kiedy trójka rodzeństwa nie była zajęta zbieraniem owoców i jedzeniem, bawiła się w berka, goniąc między drzewami i wśród zarośli, przy czym klepięcie w ogon nie liczyło się. Matka i ojciec przechadzali się w pobliżu, pozwalając dzieciom dokazywać. Niedługo miały powrócić do nauki. Cała trójka była rącza, zwinna i pełna wdzięku w tych podskokach i nagłych zmianach kierunku. Wyprawa po owoce była formą nagrody dla najstarszej córki, Keelk, która znakomicie wypadła na ostatniej Olimpiadzie Młodzieży w Pooktook.

W przeciwieństwie do ludzi obozujących w plenerze, sthruthio-1111 musy nie miały wielkich wymagań co do sprzętu turystycznego, wystarczyło im samo przebywanie na łonie natury. Nizina Północna była krainą obfitości i nie istniał tu problem znalezienia odpowiedniego pożywienia. W normalnych warunkach cała piątka zatrzymałaby się po drodze na nocleg u rodzin farmerskich, ale

ostatnio ludzie i dinozaury, uprawiający tu na co dzień ziemię, zostali zmuszeni do przeniesienia się na wyżej położone i bardziej suche tereny.

Rodzina nocowała więc pod gołym niebem, zasypiając pod gwiazdami. Wędrujący ludzie czynili to samo, gdy pogoda była sprzyjająca. Ale to była wyprawa rodzinna, na którą struti wyruszyły same.

Niedbale trzymając połówkę papai w pazurach zwinnej ręki Viiremaza spojrzała na towarzysza.

– Powinniśmy już wyruszać z powrotem w kierunku Krzywego i Korzenia – zagwizdała wymownie, nie widząc mężczyzn kucających w gęstych zaroślach.

Tułów Hisaulka ani drgnął, ale dzięki długiej giętkiej szyi towarzysz Shremazy mógł bez trudu obejrzeć się za siebie ponad grzbietem.

– Wiem. Może nawet nie powinniśmy byli się tu zapuszczać, widok tych opuszczonych farm jest doprawdy przygnębiający. Ale dzieci byłyby bardzo rozczarowane. Czekają na tę wycieczkę od tak dawna. Tak miało być – tylko nasza rodzina, z dala od cywilizacji, żyjąca jak nasi przodkowie...

Shremaza wykonała kilka precyzyjnych ruchów głową. Wszystkie ornithomimozaury doprowadziły do perfekcji skomplikowany język gestów, podkreślając ruchami szyi i ciała słowa wypowiedane w swojej gwizdzącej mowie. Na mniejszą skalę naśladowały to sauropody, które miały szyje równie długie, lecz mniej giętkie. Prywatnie ornithomimozaury uważały, że język gestów w wykonaniu ich większych kuzynów wygląda niezgrabnie, ale nie mówiły tego głośno. Byłoby to nieuprzejme.

Zresztą byłoby nieroztropnie wyśmiewać się z kogoś, kto jest kilkaset razy cięższy.

Rodzice przyjrzeni się dzieciom. Zadowoleni splekli razem szyje, wyglądając kubek w kubek jak dwa przerośnięte, nie opierzone łabędzie.

– Interesujące zachowanie – zauważył Smiggens. – Nigdy nie słyszałem, żeby strusie robiły coś takiego.

– A co ty wiesz o zachowaniu się strusi, Smiggens? – Blackstrap odwrócił się do Zulusa. – Co powiesz na to, Mkuse?

– Strusie nie są pospolite tam, skąd pochodzę, kapitanie.

– Zresztą nieważne – zdecydował Smiggens. – To nie są strusie. Nie sądzę nawet, by to byli ich bliscy krewni. Tylko wyglądają podobnie.

– Więc kim, u diabła, są? – parsknął z tyłu któryś z członków załogi.

– Nie wiem – pierwszy oficer natężył umysł, próbując przypomnieć sobie coś ważnego z dalekiej przeszłości, ale bez rezultatu. – nie daje mi spokoju to, że kiedyś, wiele lat temu widziałem coś zupełnie innego, a jednak bardzo podobnego.

– W istocie, wiele lat temu... – Blackstrap obrzucił spojrzeniem pierwszego oficera. – Nie wiedziałem, że byłeś w Afryce, panie Smiggens.

– Nie byłem, kapitanie. Nie, nie... To, co widziałem, a co było podobne do tego, spotkałem w... Londynie.

– W Londynie! – Blackstrap omal nie wybuchnął śmiechem, pamiętał jednak o tym, że należy być cicho. Nie chcieli przecież spłoszyć stworzeń. – Myślałem, że Angole ujeżdżają dla przyjemności konie, a nie gołe ptaki.

Kilku mężczyzn zachichotało cicho. Ich śmiech zagłuszył szum wiatru.

– To, co widziałem, było nieżywe – odparł nie zrażony pierwszy oficer.

– Najpewniej dno beczułki rumu – Blackstrap błyszczącymi oczyma wodził za niewinnie harcującymi stworzeniami. – Nie przyszło ci do głowy, panie Smiggens, ile te cudowne bestie mogłyby hyc warte dla cyrku albo towarzystwa zoologicznego?

– Warte? – Smiggens zamrugał oczami. – Nie, kapitanie. Nie zastanawiałem się nad tym.

– Więc się zastanów – Blackstrap ścisnął ramię pierwszego oficera. – Jak uważasz, co? Ile mogę zażądać za jedyne na świecie ptako-smoka?

– Nie mam pojęcia. Na pewno nikt nigdy jeszcze czegoś takiego nie oglądał. To rzecz bez precedensu. Gdybym tylko mógł sobie przypomnieć... – Smiggens urwał z rezygnacją.

Blackstrap odwrócił się i spojrzał na Chin-lee.

– Ile zapłaci bogacz z Hongkongu za żywego smoka, he?

– Każdą sumę, kapitanie. Da złoto, niewolników, jedwab. Wszystko, co pan każe.

– Tak myślałem. Tysiąc suwerenów w złocie?

– Wszystko! Pan mówi, on płaci.

Wielki mężczyzna odwrócił się z powrotem w kierunku strutich.

– Cholerni bogacze z Hongkongu będą się Hcytować między sobą. A Anglicy z Amerykanami? Sprzedamy po jednej bestii do każdego kraju i będziemy podbijać cenę, kiedy nasze zapasy stopnieją. I nie będziemy musieli nikogo zabijać. Pomyśl o tym, człowieku! – Blackstrap potrząsnął Smiggensem. – To więcej warte, niż obładowany wszelakim dobrem statek handlowy!

– Owszem... – mruknął dziwnie zamyślony Smiggens. – Na pewno więcej.

– Więc do dzieła! – Blackstrap zarządził cichy odwrót przez zarośla, pozostawiając na miejscu tylko Anbayę i Mkuse, by mieli na oku przyszłe ofiary.

– Wy dwaj! – zawołał do O’Connora i Chumasha, gdy tylko mogli głośno rozmawiać. – Zabierajcie się z powrotem na statek. Przynieście tyle lin i sieci, ile uniesiecie, i sprowadźcie tu jeszcze tuzin ludzi.

– Ale naprawy, kapitanie... – zaczął któryś.

– Zawiesić! Mogą zaczekać. Nie wiemy, ile tu jeszcze jest takich bestii, ale jeżeli będziemy się ociagać, możemy stracić okazję.

– Sieci do abordażu – podpowiedział Smiggens.

– Taaa... Dla pewności sieci do abordażu! – z entuzjazmem zgodził się Blackstrap. – Dobrze myślisz, panie Smiggens!

Mieli na pokładzie kilka wielkich sieci rybackich zdobytych w Manili. Były mocniejsze niż potrzeba przy normalnych połowach i obciążone na krańcach. Podczas abordażu zarzucano je na zdobyczny statek, by wprowadzić zamęt wśród broniącej się załogi i unieszkodliwić ją. Właściwie użyte sieci mogły stanowić idealne sidła, z których nie było ucieczki.

Smiggens pomyślał, że gdyby załodze udało się podejść niepostrzeżenie, stworzenia niechybnie wpadłyby w ręce piratów. Wprawdzie ich tylne łapy były mocne, ale przednie wyglądały na słabe. I nie miały kłów, tylko ostre, ale na pewno niezbyt groźne dzioby. Rzecz była wykonalna.

– Musimy wybrać odpowiedni moment – Smiggens był już całą duszą oddany przedsięwzięciu. – Widzieliście wszyscy ich tylne łapy. Założę się, że mogą prześcignąć każdego człowieka, i to bez wysiłku.

– Zobaczymy, czy prześcigną sieci. – Blackstrap skinął w kierunku wyznaczonych przez siebie posłańców. – Jazda na statek i sztuka złota dla tego, który dobiegnie tam pierwszy.

Dwaj marynarze zakręcili się na pięcie i zniknęli w zaroślach. Po chwili ucichł odgłos ich biegnących stóp.

Nie było rzeczą łatwą obserwować sthruthiomimusy bez zwracania na siebie uwagi, ale wśród członków załogi „Kondora” byli ludzie, którzy spędzili większość życia wymykając się pogoni. W dodatku tacy osobnicy, jak Anbaya i Mkuse, znali dobrze zwyczaje zwierząt i sami byli doświadczonymi tropicielami. I choć przyszłe ofiary stopniowo oddalały się na południe, śledzący z

napięciem piraci nie tracili ich z oczu. Mieli zresztą ułatwione zadanie, bo stworzenia zatrzymywały się często, by coś przekąsić, lub gromadziły się wokół jakiejś nieciekawej skałki czy kłody, gwarząc i tajemniczo pogwizdując do siebie.

Wędrująca rodzina ani przez chwilę nie zdawała sobie sprawy, że podczas gdy ona przypatruje się okolicy, ktoś jednocześnie przypatruje się jej.

Hisaulk obudził się ze wschodem słońca. Rozdziawiając szczęki o całe sto osiemdziesiąt stopni, ziewnął potężnie, a potem zatrzasnął je z głośnym kłapnięciem. Pozostając w pozycji, w której spał, z nogami starannie podwiniętymi pod siebie, wyciągnął rękę i pogłaskał po karku pogrążoną we śnie towarzyszkę życia. Shremaza wciąż drzemała z przekręconą szyją i głową opartą o własny grzbiet.

Pod dotknięciem Hisaulka wyprostowała kark. Zagwizdała do niego cicho i para kilkakrotnie dotknęła się dziobami, otwierając je przy tym i zamykając raz za razem, czemu towarzyszył klekoczący dźwięk. Kiedy umilkł ten osobliwie brzmiący, czuły duet, Shremaza podniosła się, wyprostowując nogi i długi, wąski ogon. Dzieci spały smacznie obok na posłaniu z mchu i miękkich zielonych liści, wyglądając jak trzy różowe bryłki.

Hisaulk odwrócił się do słońca, którego jeszcze nie przysłoniły burzowe chmury, wiszące nad oceanem.

– Piękny poranek, choć jeśli te chmury napłyną nad ląd, to zmokniemy. – Dreszcz przeszedł mu po grzbiecie, kiedy się przeciągał. – Obudzę dzieci.

Podszedłszy do prowizorycznego materaca przesunął delikatnie dwo-11 w palcami po smukłej szyi każdego z potomków. Budziły się powoli, podnosząc się i rozprostowując jak kwiaty pod pieszczotliwym dotknięciem.

– Musimy już iść, tato? – zapytała najmłodsza z całej trójki, Tryli, wstając i wyrzucając przed siebie najpierw jedną, a potem drugą nogę, jakby strząsała resztki snu.

– Już czas. Trzeba wracać do Krzywego Korzenia, a trudno powiedzieć, kiedy ostatecznie uderzy sztorm. – Hisaulk wskazał w kierunku morza. – Nie wygląda to dobrze. Jeśli przepowiednie się sprawdzą, to lepiej, żeby burza nie złapała nas tu, na nizinach. Wszyscy już je opuścili. Chciałbym, żebyśmy wieczorem dotarli do wzniesień, Skinęła głową. Jej brat i siostra wykonywali obok swoje poranne ćwiczenia. Sthruthiomimusy, podobnie jak ich bliscy kuzyni dromeozaurowie i oviraptorozaurowie, bardzo lubiły wprowadzony przez ludzi zwyczaj wykonywania ćwiczeń zwanych tai chi i uczyniły z niego część swego porannego rytuału. Spektakl ten uszedł jednak uwagi odpoczywających w pobliżu piratów. Znajdująca się najbliżej para tropicieli nasłuchiwała tylko szelestu krzaków i wypatrywała przeblysków kolorów. Skutkiem tego stracili okazję ujżenia pokazu, który mógłby z powodzeniem zmienić ich opinię na temat inteligencji potencjalnych ofiar.

Po śniadaniu, składającym się z owoców i robaków, rodzina po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem piękną okolicę, która przez całą noc była jej chwilową przystanią, i wyruszyła w kierunku wyżej położonych terenów. Po całodziennym spacerze zamierzała dotrzeć do szlaku prowadzącego do głównej drogi, która łączyła miasta położone w górach z rolniczymi obszarami Niziny Północnej.

Dzieci biegały szybko wśród zarośli, ćwicząc młode nogi. Energiczne, pełne podniecenia gwizdy i mlaśnięcia rozlegały się wokół,; towarzysząc ptasim śpiewom dochodzącym z gałęzi drzew. Dwoje dorosłych stawiało równe, miarowe kroki, nie śpiesząc się zbytnio. W końcu był to ostatni dzień ich wakacji i nie było powodu, żeby je skracać jeszcze bardziej.

Nie było też powodu, żeby zachowywać czujność. Jedynym niebezpieczeństwem, jakie mogło im grozić na Nizinie Pomocnej, był nadciągający sztorm. Hisaulk pomyślał sobie, że na tych terenach życie może być całkiem przyjemne, jeśli komuś nie przeszkadza fakt, że co sześć lat trzeba się pakować i przenosić. Czując się całkowicie bezpiecznie, pozwalał dzieciom nadawać tempo marszu.

Otoczająca wycieczkowiczów mieszanina różnorodnej roślinności była niezwykle nawet jak na

Dinotopię. Wielkie paprocie i cekropie rosły obok sosen, niskich jodeł i drzew palmowych. Mango, papaja i rambutan dzieliły się miejscem z przodkami współczesnych jagód.

W tej części podgórza, którą teraz przemierzała rodzina, nie było farm ani żadnych domostw, a szlak był gęsto zarośnięty. Dzieci podążały rządkiem za rodzicami, którzy z racji większego wzrostu i potężniejszej budowy ciała łatwiej torowali drogę wśród zieleni. Shremaza była zadowolona, gdy wreszcie doszli do polnej ścieżki. Stąd pozostawał już tylko krótki spacer do drogi wiodącej w stronę Galingi.

Uśmiechnęła się przypomniawszy sobie, jak Arimat wyklócał NIC, żeby zostać jeszcze dzień lub dwa. „Nie boję się żadnej burzy!” – zapewniał dzieciak. Razem z Hisaulkiem musiała mu cierpliwie tłumaczyć, że powtarzający się co sześć lat sztorm nie jest zwykłą burzą, nadciągającą z pomocnego wschodu, i że najgorszym miejscem dla rozsądnego dinozaura byłaby podczas sztormu właśnie Nizina Północna. Arimat był buntowniczy i potrzebował dość twardej ręki.

Przyglądała się, jak jej potomstwo kolejno próbuje pokonać wielkie leżące drzewo. Choć przeszkoda nie była wyższa niż sześć stóp, dzieci musiały kilkakrotnie przymierzać się do skoku. Najpierw wykonał go Arimat, a po nim Tryli. Keelk z godnością schyliła głowę i przeszła pod barierą.

Sprytnie, moja Keelk, pomyślała Shremaza. Kiedyś daleko zajdziesz. Zresztą oni wszyscy to wspaniałe dzieciaki. Prawidłowo się rozwijają. Trochę uparte, ale to normalne w ich wieku.

W lesie było tak pięknie i tak spokojnie, że kiedy usłyszała pierwszy krzyk, nawet nie zareagowała.

– To Tryli! – zaświergotał jej towarzysz i nagle oboje puścili się pędem za dziećmi, które były daleko z przodu.

Prawie natychmiast dogonili potomstwo, ale widok, który ujźeli, był tak nieoczekiwany i tak niezwykły, że stanęli jak wryci, ledwo wierząc własnym oczom.

Pierwszą myślą Hisaulka było, że dzieci napotkały samotnego drapieznika. Bardzo rzadko któryś z nich przeprawiał się tu przez (lory Grzbietowe, ale mogło się to zdarzyć. Młode mięsożerne okazy były szczególnie skore do włóczęgi, zanim dojrzały na tyle, by dzikie wypadki zaczęły im się wydawać dziecinadą. Ogólnie jednak po władcach Deszczowej Doliny można się było spodziewać wszystkiego, nawet gdy były syte. Może nietypowa pogoda skłoniła kogoś do wyprawy w te strony.

Ale to nie kłusujący allozaur wystraszył jego potomstwo. To roś wyglądało na pierwszy rzut oka na wybryk natury. Spoglądając ostrożnie ponad krawędzią dołu o stromych ścianach, Hisaulk zobaczył na dnie jamy Arimata i Tryli, spoglądających w górę. Dzieci były oszołomione, ale nie wyglądało, że coś im się stało.

– Co tu się wydarzyło? – zapytał Keelk.

– Nie wiem, ojczy. Biegliśmy i nagle pod Arimatem i Tryli rozstąpiła się ziemia. O mało sama tam nie wpadłam.

– Rozstąpiła się ziemia? – zapytała zaskoczona Shremaza. Przyłożywszy ryjek do zakrywających dziurę w ziemi palmowych;

liści i trzciny zaczęła je dokładnie obwąchiwać. Oprócz silnego zapachu roślin poczuła też inne. Zapach morza i... jeszcze czegoś.

Hisaulk zastanawiał się. Dół był za głęboki, by dzieci mogły! z niego wyskoczyć. Bez rozbiegu nawet on miałby trudności z wydostaniem się w ten sposób z pułapki. Sthruthiomimusy miały silne ramiona i choć nie miały kciuków jak ludzie, potrafiły mimo to chwytać się dużych przedmiotów, na przykład gałęzi. Zaczął obmyślać plan. Trzeba będzie poszukać mocnych winorośli...

Zdumiona Shremaza zagwizdała głośno, wyrывая go z zamyślenia.

– Ktoś to wykopał! Zobacz, jakie równe i proste są ściany – dotknęła krawędzi dołu. – To nie jest dzieło jakiegoś ryjącego ankylozaura.

– Owszem... żaden z nich nie potrzebowałby kopać tak głęboko. A może to któryś z rogatych?

– Ceratopsian? – zapytała. – Po co miałyby to robić? I to na samym środku starego szlaku? – Odsunęła nogą małą kupkę palmowych liści. – One nie opadły same. Zostały ucięte. Wydaje mi się, że czuję zapach człowieka. Jest bardzo mocny, ale dziwny.

Hisaulk pochylił się nad jamą.

– Nie jest niczym wyłożona, więc to nie służy do przechowywania czegośkolwiek. Nie może to być również latryna. Nie w takim miejscu. Nic nie rozumiem...

Ludzie byli zdolni do wielu dziwnych rzeczy i pełni niespodzianek, ale oszczędzali energię, podobnie jak dinozaury. Nie traciliby czasu na wykopywanie takiego dołu bez wyraźnego powodu.

– Wiem – wyrwała się Keelk. – To grobowiec. Wiecie, jak niektórzy ludzie wciąż lubią chować swych zmarłych. Grzebią ich w ziemi.

– Trafne przypuszczenie, córko – Shremaza pochyliła się ponownie, by powąchać rozrzucone liście i trzinę. – Tyle, że w takim grobie jak ten można by pochować z tuzin ludzi. Nigdy o czymś takim nie słyszałam.

– Tuzin ludzi albo jedną rodzinę sthruthiomimusów. – Po grzbiecie Hisaulka przebiegł dreszcz.

Dużo później przekonał się, że niesłusznie winił siebie za to, co się następnie wydarzyło. Ani on, ani Shremaza nigdy nie widzieli prawdziwej pułapki ani o takiej nie słyszeli. Stali razem z Keelk na krawędzi dołu, gdy nagle nad głowami usłyszeli ludzki okrzyk, a potem odnieśli wrażenie, że las zwałił się wprost na nich.

Ciężkie pnącza oplótły ich ręce i nogi, przygniatając w dół również szyje i ogony. Tyle, że to nie były pnącza, jak się wkrótce zorientował Hisaulk, lecz liny sporządzone z włókien jakichś roślin, splecione w twarde, mocne sieci. Cuchnęły morzem i solą.

Zewsząd nadbiegli ludzie. Z jednej i z drugiej strony dołu. Kilku zeskoczyło z drzew jak spadające orzechy kokosowe. Pod ciężarem ich ciał Hisaulk, zaplątany w sieć, zwałił się na ziemię i został do niej przygwożdżony, bo silne dłonie natychmiast naprężyły brzegi siatki.

Trójka strutich miotała się i próbowała walczyć z siecią. Ale ich tylne łapy, zdolne jednym kopnięciem rozplatać brzuch przeciwnika, były teraz prawie unieruchomione. Byli zresztą zbyt zaszokowani tym, co się dzieje, by móc stawić zorganizowany opór. Gdyby nagie tym ludziom wyrosły skrzydła, za pomocą których unieśliby SIQ wraz ze swymi jeńcami do nieba, rodzina strutich nie byłaby hardziej zdumiona.

Hisaulk spróbował kopnąć, ale leżąc na boku nie był w stanie znaleźć punktu oparcia. Mocny sznur zaś okazał się za twardy dla jego dzioba. Po raz pierwszy w życiu gorzko pożałował, że nie ma zębów. W dole Tryli i Arimat lamentowali nad swym tragicznym położeniem.

Hisaulk wiedział, że nic na to nie poradzą. Znaleźli się w tej części Niziny Północnej, aby znaleźć ciszę i samotność; na wyludnionym terenie nikt nie mógł usłyszeć ich krzyków. Nigdy nie przypuszczał, że będzie żałował wyboru tego miejsca.

Nie mogąc odwrócić głowy zawołał swą towarzyszkę.

– Nic mi się nie stało! – usłyszał za plecami głos Shremazy. – O i o tu chodzi? Co się dzieje?

– Nie wiem – odpowiedział próbując się podnieść. Okazało się jednak, że jest całkowicie spętany. Poczul na sobie ludzkie ręce krępujące mu kostki grubymi linami.

Zobaczył pochylającą się nad nim spaloną słońcem twarz, wykrzywioną w szerokim uśmiechu i z wytrzeszczonymi oczyma.

– Co to ma znaczyć? – zaczął rozpaczliwie w jej kierunku. – Co wy wyprawiacie ze mną i z moją rodziną?

Nie oczekiwał, że człowiek go zrozumie. Tylko zawodowy tłumacz mógł przełożyć słowa strutich na język ludzi. Ale musiał przecież przynajmniej spróbować coś zrobić!

– Co się tu dzieje? – ciągnął. – Co z wami? Jeśli to jakaś zabawa, to nie wydaje mi się śmieszna. I mam zamiar złożyć protest u pierwszego napotkanego sędziego!

Spomiędzy dwóch młodych akacji wyszedł wolnym krokiem Blackstrap, by przyrzeć się zdobyczy.

– Posłuchajcie, jak paplają. Ale harmider! Jakbym słyszał papugi, tylko wielkie.

– Mam nadzieję, że wkrótce ucichną... – zdyszany i podniecony Smiggens pomagał właśnie zawijać do góry brzegi sieci krępującej więźniów. – Są marynarze, którzy lubią mieć na ramieniu siedzącą papugę. Dlaczego by nie spróbować tego samego z tymi tutaj?

– To ci dopiero byłaby heca! – zarechotał Blackstrap. – Czy na taki widok nie odwracałyby się wszystkie głowy w każdej portowej tawernie od Singapuru po Liverpool?

Kilku mężczyzn również wybuchnęło śmiechem w radosnym uniesieniu.

Ich reakcja jeszcze bardziej wzmogła zaniepokojenie i zdumienie strutich.

– Dlaczego oni się śmieją? – zdziwiła się Shremaza. – Przecież sytuacja, w jakiej się znaleźliśmy, wcale nie jest zabawna!

– Nie wiem. Popatrz na ich stroje, Shremazo. Posłuchaj, jak mówią. Wydaje mi się, że ta odmiana ludzkiej mowy nazywa się językiem angielskim. Oni nie są stąd.

– Rozbitkowie? – odezwała się spod sieci uwięziona Keelk.

– Ich zachowanie nie wskazuje na to – odrzekł Hisaulk. – Zauważ, że nie są obdarci i nie wyglądają ani na wyczerpanych, ani na wygłodzonych. Dzieje się tu coś dziwnego.

– Dlaczego nie odpowiadają? – W głosie Shremazy był wyczuwalny lęk i Hisaulk zaczął szukać sposobu, żeby ją uspokoić. Wiedział, że nie obawia się o siebie, lecz o dzieci. – Trudno oczekiwać, by któryś z ludzi rozumiał nasz język, ale nawet rozbitek jest w stanie rozpoznać inteligentne gesty. – Hisaulk poczuł, jak jego towarzysza drży. – Zobacz, jak się nam przyglądają. Widziałam ludzi patrzących w ten sposób na ptaki.

Po raz drugi do świadomości Hisaulka dotarła z okrutną wyrazistością oszałamiająca, przerażająca prawda.

– Oni nie znają dinozaurów! Ze sposobu ich zachowania wynika, że biorą nas za stworzenia niższego rzędu, nie bardziej inteligentne od ryb!

– Co z nami zrobią? – tym razem w głosie Shremazy było przerażenie. – Chyba nie mają zamiaru zadawać nam fizycznego bólu?

– Nie mam pojęcia i nawet nie potrafię sobie tego wyobrazić. Hisaulk jeszcze raz spróbował kopnąć w sieć, ale zdał sobie sprawę, że jego kostki rozdziela drewniana kłoda przywiązana tak, by maksymalnie ograniczyć swobodę ruchu nóg. Tak spętany mógłby wprawdzie stać i chodzić, ale tylko utykając i małymi krokami. Kopanie nie wchodziło w rachubę. Kłoda była za ciężka.

– Ci ludzie to niewykształceni ignoranci. Są tu obcy. Kto wie, do czego są zdolni? Musimy być przygotowani na wszystko.

– Przestańcie! – zawołała Shremaza do mężczyzn otaczających dół.

Nie zwracając na nią najmniejszej uwagi piraci zarzucili mniejszą sieć, by pochwycić i wyciągnąć Tryli i Arimata. Dzieci lamentowały i opierały się, ale daremnie.

– Uspokójcie się! – krzyknął Hisaulk starając się, by go usłyszały. – Nie wpadajcie w panikę. To nic nie da. Ci dziwni ludzie niczego nie rozumieją. Keelk, możesz dostrzec, co się tam dzieje? –

zwrócił się do córki.

– Wyciągnęli Arimata i Tryli – usłyszał za plecami jej głos. – Teraz pętają im ręce i nogi, jak nam. Wydaje mi się... To wygląda lak, jakby ludzie bardzo uważali, żeby ich nie zranić.

Shremaza wydała z siebie przeciągły gwizd ulgi.

– Może nie są tak zupełnie niecywilizowani, tylko niewykształceni.

Byłaby tego mniej pewna, gdyby wiedziała, że ludzie Blackstrapa uważają, by nie zranić dzieci tylko dlatego, że uszkodzenia ciała zmniejszyłyby ich rynkową wartość. Niepełnowartościowy towar przynosiłby mniej zysku w złocie.

– Dobra robota, panowie. – Smiggens stał obok Blackstrapa, przyglądając się wraz z kapitanem, jak piraci ostrożnie zdejmują z ofiar sieć.

Pięć schwytych stworzeń z trudem stanęło na nogach. Ich przednie łapy związane były razem w łokciach i nadgarstkach, do silnych tylnych kończyn zaś na wysokości ud i kostek umocowano drewniane kłody. Mogły chodzić, ale do niczego więcej nie były zdolne. Mkuse zaproponował, żeby związać im również ryjki, bo choć nie miały zębów, niewątpliwie potrafiłyby paskudnie podziobać każdego nieostrożnego.

Smiggens sprzeciwił się temu wskazując, że niewiele wiadomo o sposobie, w jaki oddychają ich więźniowie. Jego zdaniem, lepiej zaryzykować i otrzymać przypadkowe dziobnięcie, niż pozwolić na to, by udane, choć mozolne łowy zakończyły się uduszeniem któregoś ze zwierząt. Blackstrap był tego samego zdania.

– Uważaj na te stopy, panie Watford – ostrzegł Smiggens marynarza, który sprawdzał pęta krępujące kończyny jednego z mniejszych pojmanych. – Są związane, ale mogą kopnąć.

– Tak, bądź ostrożny – Mkuse odstąpił od większego stworzenia, którym się zajmował. – Te dwa są tak duże i silne jak struś.

Ostrzeżony marynarz skinął potakująco głową i cofnął się ostrożnie.

Nawet gdyby nie krępowały ich więzy, ani dorosłe, ani młode sthruthiomimusy nie stawiałyby oporu. Jeszcze nie ochłonęły po szoku spowodowanym tym, co się wydarzyło. Myśl, by walczyć z ludźmi, obojętnie jakimi, była im obca.

– Jak sądzisz, dlaczego związali nas w ten sposób? – Shremaza na próbę zrobiła niezgrabny krok. Nie upadła wprawdzie, ale też nie zdołała pobiec.

– Właśnie – podchwycił wciąż oszołomiony Arimat. – Czego oni od nas chcą?

– Nie mam pojęcia – Hisaulk niepewnie przyglądał się prześladowcom. – Nie są rozbitkami, dostali się tutaj w inny sposób. Jeśli chodzi o to, co zrobili z nami, to takie przypadki opisują stare ludzkie opowieści pochodzące ze świata zewnętrznego. Wygląda na to, że zostaliśmy ich jeńcami.

– Jeńcami? – zapytała płacząco Tryli. – Uważasz, że bawią się z nami w tę grę, w której się ucieka i łapie, L,

– Coś w tym rodzaju, tylko bardziej serio. Nie sądzę, żeby to była zabawa. Wydaje mi się, że ci ludzie traktują to, co robią, bardzo poważnie, choć dla nas może to wyglądać jak zachowanie kogoś kompletnie nieobliczalnego. I to na pewno nie koniec. Mam na myśli, że chyba nieprędko nas puszczą.

– Ależ muszą! – zaprotestował Arimat. – Mam szkołę i ćwiczenia!

– Patrząc na nich, kochanie, nie sądzę, by się tym przejęli – wyjaśniła łagodnie Shremaza. – Nawet gdyby nas rozumieli.

Teraz zainteresowała się starszą córką.

– Jesteś taka małomówna, Keelk. Czy wszystko w porządku? Najstarsze z dzieci pokiwało głową z boku na bok.

– Nic mi nie jest. Próbuje tylko rozszyfrować ich mowę. Łatwiej byłoby, gdyby ludzie używali tylko jednego języka.

– Takimi słowami nie posługują się ludzie żyjący wśród nas – uwaga Hisaulka skupiła się na dwóch mężczyznach wyglądających na przywódców. Ale na jego błagalne spojrzenia reagowali mogącą doprowadzić do rozpaczyny obojętnością.

– Wiem... – Keelk usiłowała wyłowić coś ze skomplikowanej paplaniny. – Rozumiem może jeden lub dwa wyrazy.

– Próbuje dalej – zachęcił ją ojciec. – Bardzo by nam się przydało dowiedzieć się, co zamierzają.

– Spróbuję... – odrzekła niepewnie.

O dziwo, ludzie wyglądali na zadowolonych z tego, co zrobili. Byli najwyraźniej w świetnych humorach i pewni siebie. Patrząc na nich można by pomyśleć, że właśnie zostali ogłoszeni zwycięzcami wielkiego biegu maratońskiego w Sauropolis.

Przez jedną straszną chwilę Hisaulk zastanawiał się, czy nie są niespełna rozumu. Uznał jednak, że są zbyt dobrze zorganizowani jak na szaleńców.

– Co teraz zrobimy, tato? – zapytała żałośnie Tryli.

Hisaulk zrozumiał, że rodzina oczekuje od niego objęcia przywództwa.

– Nic. Przynajmniej na razie. Słuchajmy i obserwujmy, ale nie róbmy niczego, co mogłoby ich zdenerwować. Po ludziach, którzy zdolni są do tak oburzającego postępcu, nie należy się spodziewać racjonalnego działania. Musimy się starać nie prowokować ich, bo reakcje mogą być trudne do przewidzenia. Oszczędzajmy siły i czekajmy.

Zaczął pogwizdywać i ćwierkać w kierunku najsilniej zbudowanego człowieka, wyróżniającego się twarzowym zarostem. Ten osobnik najwyraźniej dowodził grupą ludzi. Nie zwracał jednak uwagi na błagania Hisaulka i w końcu struthiomimus dał za wygraną. Dinozaury musiały znaleźć inny sposób nawiązania kontaktu z tymi ludźmi.

– Widzicie? – zauważył Smiggens. – Mówiłem wam, że się uciszą.

Blackstrap czknał.

– Może są wystarczająco rozgarnięte, by je wytresować. Jeszcze nie widziałem bestii, której nie można by nauczyć posłuszeństwa, kiedy pozbawi się ją żarcia. Nie sądzę, żebyśmy mieli trudności z tymi tutaj.

Całkowicie spokojnym teraz stworzeniom nałożono na szyje sznury. Przyjęły to z obojętną rezygnacją. Każde ze zwierząt miało być prowadzone na postronku przez jednego mężczyznę. Piraci mieli nadzieję, że nie trzeba będzie pędzić przed sobą bestii jak bydła, co znacznie utrudniłoby marsz.

Smiggens poczuł się nagle nieswojo. Odwrócił się i zauważył, że najmniejsze stworzenie wpatruje się w niego. Wyraz dużych oczu zwierzęcia przypominał spojrzenie dziecka. Zły na siebie uciekł wzrokiem w bok.

To tylko zwierzęta, upomniał sam siebie. Nic więcej.

– Jak myślisz, na ile inteligentne mogą być te nie opierzone niby-ptaki, panie Smiggens?

– Trudno powiedzieć, kapitanie. Ale na pewno bardziej niż strusie, o których mówił Afrykańczyk. Widzi pan, jak wodzą za nami oczyma? Może jeden lub dwa okażą się równie inteligentne jak psy.

– Jak psy, powiadasz? Na pokładzie będziemy mieć dość czasu, żeby wymusić na nich nauczenie się jednej lub dwóch sztuczek. Może nie sprzedamy wszystkich. Zatrzymamy to najmniejsze jako nasze domowe zwierzątko, co? – Blackstrap trącił swego pierwszego oficera łokciem w żebra,

przyłożył palec do nosa i smarknął potężnie. Smiggens odwrócił się dyskretnie.

Drugie co do wielkości stworzenie wydało z siebie serię skomplikowane brzmiących gwizdów, świergotów, cmoknięć i młaśnieć. Smiggens nagrodził ten koncert oklaskami. Wciąż jednak czuł się nieswojo, nie wiadomo dlaczego. Odwrócił głowę.

– One już są chętne do nauki. Można by niemal pomyśleć, że ktoś je już kiedyś tresował.

– Wszystko dobrze, dopóki nie sprawiają kłopotów – warknął Blackstrap. – Jeśli okażą się trudne, zastrzelimy jedno z nich dla przykładu. To na pewno uspokoi pozostałe!

Przywołał kilku marynarzy i zagonił ich do zwijania sieci. Chciał, żeby były gotowe, na wypadek gdyby nadarzyła się okazja pojmania jeszcze kilku niezwykłych stworzeń.

Smiggens wciąż zastanawiał się, dlaczego spojrzenia niby-ptaków tak bardzo go onieśmiałają. Złościło go to i w końcu ruszył na poszukiwanie jakiegoś zajęcia dla siebie.

Shremaza w milczeniu obserwowała niezrozumiałe dla niej poczynania ludzi.

– To nie jest gra, prawda, mamó? – Arimat spojrział na nią wylężnionym wzrokiem.

– Nie, kochanie. Boję się, że to bardzo poważna sprawa.

– Te liny obcierają mi skórę – poskarżyła się Tryli.

– Spróbuj nie zwracać na to uwagi, kochanie. Rozluźnią się, kiedy zaczniemy iść. Jestem pewna, że ci ludzie chcą nas dokądś zabrać, w przeciwnym razie w ogóle nie pozwoliliby się nam poruszać.

– Co się z nami stanie?

– Być może wypuszczą nas po jakimś czasie... – Sama nie wierzyła w to, co mówi, ale musiała dzieciom odpowiedzieć i wołała, żeby to brzmiało pocieszająco.

Tryli zastanowiła się.

– Nie myślisz chyba, że oni chcą nas zjeść?

– Co ty wygadujesz? – ofuknął siostrę Arimat. – Ludzie to nie mięsożerne drapieżniki!

– Nie byłabym tego taka pewna. – Oboje spojrzeli na Keelk, uważnie śledzącą czynności ludzi.

– Ludzie jedzą prawie wszystko.

Arimat skrzywił się.

– My też. Ale to nie znaczy, że chciałbym zjeść człowieka.

– Czemu nie? – rzuciła wyzywająco Keelk. – Mięso to mięso.

– Ale to są ludzie! A ludzie to przyjaciele!

– Nie ci ludzie – mruknął Hisaulk.

Mając skrepowane ręce, Tryli wykonała gest głową i szyją.

– Tamten... – powiedziała wskazując Blackstrapa – ma w sobie coś z drapieżnika, który jada mięso.

– Mamy swój rozum, więc wykorzystajmy go właściwie – powiedział po namyśle Hisaulk. – Wygląda na to, że przynajmniej na razie tym ludziom wystarcza, że jesteśmy związani. Musimy być gotowi do wykorzystania każdej nadarzącej się okazji do ucieczki. Trzeba zawiadomić Radę Miasta Drzew.

– Ciekawe, co się stanie, jeśli napotkamy po drodze ewakuującą się rodzinę farmerską? – zastanawiała się głośno Shremaza. – Czy ci szaleni ludzie będą próbowali również ją uwięzić?

Arimat prychnął pogardliwie.

– Chciałbym zobaczyć, czy udałoby im się związać styracozaura!

– Właśnie... – Tryli koniecznie musiała podrapać się w prawą nogę. – Albo anchiceratopsa...

– Po tych ludziach prawdopodobnie wszystkiego się można spodziewać – odrzekła matka. – Najważniejsze, jak powiedział wasz ojciec, to czekać spokojnie, aż nadarzy się okazja i wykorzystać ją.

- Wolałbym zbierać owoce... – jęknął Arimat tonem pełnym skargi.
- Wiem, kochanie – uspokoiła go Shremaza. – Wszyscy byśmy woleli.
- Pilnie ich obserwujcie – polecił rodzinie Hisaulk. – Może wtedy uda nam się odgadnąć ich zamiary. Obserwujmy, wyciągajmy wnioski i... czekajmy.

VI

Schwytane zwierzęta nie stawiały żadnego oporu i potulnie pozwoliły się prowadzić, toteż piraci, którzy opuścili niziny i skierowali się w stronę gór w poszukiwaniu dalszych cudów natury, szybko pokonali znaczny dystans. Wkrótce zбочa, po których się poruszali zygzakując, przestały być po prostu strome, lecz zamieniły się w pionowe ściany nie do zdobycia. Nieco zniechęceni, lecz dalecy od poddania się, ruszyli wzdłuż urwiska, posuwając się wciąż na wschód w nadziei, że w końcu znajdą drogę, która pozwoli im się wspiąć na góry.

U podnóża skalnej ściany nagromadziły się rozległe piargi o brązowawo-żółtej barwie. Smiggens przystanął i zanurzył dłoń w osypisku. Skała, którą trzymał w garści, rozsypała się w jego palcach.

– Zobaczcie. Prawdziwy granit, który uległ takiemu rozkładowi, musi być naprawdę wiekowy. – Otrzeptał ręce z pyłu i począł badać pobliską pionową ścianę, wznoszącą się na prawo od niego. Była tak posępna i odpychająca, jak nieprzystępne mury fortecy. – To prastara ziemia.

Obok niego wyrósł Blackstrap.

– Jeśli masz zamiar tracić czas, gapiąc się na skały, panie Smiggens, to przynajmniej wypatruj śladów srebra albo złota.

– Taaa... – wtrącił się zahartowany żeglarz z Baltimore nazwiskiem Geary – albo diamentów i rubinów.

– A nie macie ochoty na szafiry i szmaragdy? – zrzędlawie odciął się Smiggens.

– Mamy, panie Smiggens – odrzekł Johanssen wymieniając porozumiewawcze uśmiechy z Samuelem. – Powie nam pan tylko, gdzie kopać.

Ech, wy filistry, pomyślał z pogardą pierwszy oficer. Wasze czaszki są szczelne jak nieprzepuszczalna skała. Dlaczegoż by w nich nie poszukać samorodków?

Z podnóża urwiska wytryskiwały niezliczone strumyki, toteż wody było pod dostatkiem. Ludzie, którzy jeszcze tak niedawno stracili nadzieję, że jeszcze kiedykolwiek napiją się do syta, teraz nawet nie zawracali sobie głowy napełnianiem beczulek. Woda była czysta i słodka. W połączeniu z owocami zwieszającymi się z licznych drzew sprawiła, że poczuli się, jakby im ubyło lat.

I gdyby nawet nie znaleźli złota ani diamentów, ani żadnego miasta, które można by splądrować, mieli przecież swoich jeńców, którzy według zapewnień kapitana i pierwszego oficera warci byli tysiące.

Posuwali się naprzód, mając po prawej ręce niedostępną stromiznę. Rozglądali się, jeśli nawet nie za szlakiem wiodącym na górę, to przynajmniej za czymś, czego można by się uchwycić przy wspinaczce; nagle całkiem przypadkowo natknęli się na coś jeszcze lepszego. Wejście do wąskiego kanionu zasłaniała gęsta kępa paproci, wyrastających ze skalnego rumowiska, i pozostałoby ono nie zauważone, gdyby obok przechodził ktoś mniej spostrzegawczy. Ale życie na morzu wyostrza zmysły i łatwiej dostrzega się coś niezwykłego.

– Fortuna uśmiechnęła się do nas jeszcze raz, chłopcy. – Zadowolony Blackstrap stał pośród paproci jak martwe, pękate drzewo. – Znieśliśmy mężnie wszystkie nieszczęścia, jakie zesłał na nas los, i drwiliśmy z nich, toteż teraz zostaniemy wynagrodzeni za naszą cierpliwość i odwagę.

– Coś takiego! – szepnął do Watforda O'Connor. – A ja przez cały czas myślałem, że po prostu za wszelką cenę próbowaliśmy utrzymać się na wodzie.

– Oby tylko los zechciał się pośpieszyć z tym wynagradzaniem nas, kapitanie. – Mkuse patrzył w kierunku morza z ponurym wyrazem twarzy.

Z porośniętego paprociami miejsca, w którym stali, można było dostrzec cienką, błękitną wstęgę oceanu i unoszącego się spokojnie na wodzie „Kondora”. Ale dalej, nad pełnym morzem, zbierały się tak przerażająco czarne chmury, jakich jeszcze nigdy nie widzieli. W porównaniu z groźbą takiego sztormu szkwał, który przetrzymali, wydawał się letnią bryzą. Czoło burzy na całej szerokości znaczyły błyskawice, zbyt jeszcze odległe, by usłyszeć ich odgłos.

– Jeśli ten sztorm nadciągnie nad wybrzeże – wygłosił swój komentarz Samuel – to chłopcy na pokładzie przeżyją piekło, żeby utrzymać się na wodzie.

– Za bardzo się przejmujesz, panie Samuel – upomniał go Blackstrap. – Okrętowi nic się w lagunie nie stanie. Wszyscy widzieliście, jakie szerokie są te rafy. Pan Leveque dopilnuje sprawy. Rzuci wszystkie kotwice, ustawi dziób do wiatru i przetrzyma wszystko, co przyniesie sztorm.

Uspokojeni mężczyźni odwrócili wzrok od wybrzeża.

– Mnie to się nie podobać – Chinlee odsunął na bok paprocie, gdy zaczęli wchodzić w czeluść kanionu. – Za dobrze nam iść.]

– Spokojnie, ciemno – Johanssen wskazał gestem przed siebie. – Patrzcie go! Nawet nie będziemy się musieli wspinać, a tobie jeszcze źle?

Z tymi słowy zawadiacki, wielki Amerykanin przyśpieszył kroku, zostawiając w tyle pesymistycznie nastawionego Kantończyka.

Chinlee nerwowo rozejrzał się wokół. Po obu stronach wznosiły się pionowe ściany z granitu lub piaskowca. Spojrzał niepewnie na spętane, pozornie obojętne stworzenia i zaraz uciekł wzrokiem w kierunku wyłaniającej się przed nim krętej drogi. Kanion skręcał się i wił jak żywe stworzenie. Nie sposób było sięgnąć wzrokiem dalej niż na odległość dwunastu jardów.

– Smoki – powiedział szeptem. Miał już dość żartów, które stroili sobie z niego pozostali.

Gdy tylko Shremaza zorientowała się, co zamierzają zrobić ludzie, spróbowała zaprzeć się nogami. Ale zaciskający się na szyi sznur zmusił ją do dalszego marszu. Gdyby się nie ruszyła, groziło jej uduszenie.

– Nie! – zagwizdała. – Oni nie mogą tego zrobić! Hisaulk zmusił się do zachowania spokoju.

– Czy nie rozumiesz, wysiadawczu moich jaj? – usłyszał jej głos. – Oni nie znają tej ziemi i sami nie wiedzą, co czynią!

Hisaulk przyjrzał się wypłukanym przez wodę ścianom, zanim powiedział:

– Mam nadzieję, że nie będzie to tak wyglądało przez całą drogę. Gdyby tak było, zobaczylibyśmy już znaki ostrzegawcze.

– Widziałeś, jak zarośnięte jest wejście do kanionu. Nikt nie przemierzył jeszcze całej Dinotopii. Tu, na północy, można jeszcze znaleźć miejsca, których nawet nie ma na mapach.

Tryli przysunęła się bliżej, opierając się ze wszystkich sił naciskowi ciągnącej ją liny.

– Tato, boję się!

Hisaulk żałował, że nie może objąć jej uspokajającym gestem, ale ręce miał zbyt mocno związane.

– Wszystko będzie dobrze, dziecko. Ci ludzie to ignoranci, ale nie głupcy.

– To nie będzie miało znaczenia ani dla nich, ani dla nas, jeśli dalej będą się posuwać tą drogą, a ten kanion wiedzie cały czas przez góry Grzbietowe – zauważyła Shremaza.

Szczelina tworząca kanion była wyjątkowym miejscem. Woda złobiła ją od tysiący lat. Niezliczone strumienie rozpierały litą skałę, przechodząc przez nią jak gorący drut przez kostkę masła, szlifując kolorowe ściany. Kanion w najszerszym miejscu mierzył nie więcej niż dziesięć stóp, a gdzieś tam był tak wąski, że między ścianami mógł przejść tylko jeden człowiek. Shremazę i Hisaulka trzeba było przez te zwężenia przepychać i przeciągać.

Widoczne sto stóp wyżej niebo było tylko wąską błękitną wstęgą nad głowami idących. Pograżony w wiecznym cieniu przesmyk był prawie całkowicie pozbawiony roślinności, panująca zaś tu temperatura była dużo niższa niż na nizinach, które pozostały z tyłu. Podłoże kanionu stanowiły zagłębione w drobnym piasku, gładkie rzeczne otoczaki. W niżej położonych miejscach gromadziła się woda. Stojące kałuże wyglądały jak lustra, które spadły prosto z nieba. Ze skalnych szczelin w ścianach tryskała świeża woda zasilając strumyki, których wielkość nie dorównywała ich ambicji zostania dużymi strumieniami. Każdy bowiem zniknął niebawem w chłującym jak gąbka wodę piasku.

Czasami drogę blokowały głazy, które obsunęły się w dół z krawędzi kanionu. Nie stanowiły one jednak trudnej przeszkody dla ludzi przywykłych do wdrapywania się na mokre maszty i olinowanie. Choć rodzina strutich nie była przyzwyczajona do wspinaczki, udawało jej się pokonywać bardziej umiarkowane wysokości. Nie miała zresztą wyboru, bo było jasne, że w przypadku niepowodzenia jej członkowie zostaliby przeciągnięci wspólnym wysiłkiem piratów przez szorstką skałę.

– To szaleństwo – odezwała się Shremaza, zmuszona do wydłubania żwiru spomiędzy palców nóg za pomocą dzioba, bo miała skrępowane ręce i dolne kończyny. – Nie możemy iść tą drogą. Nie w kierunku, który oni wybrali. Musimy spróbować porozumieć się z nimi.

– A co to da? Oni nie rozumieją naszego języka, a żadne z nas nie potrafi pisać w ich języku.

– Ależ, ojciec moich dzieci, jeśli ten kanion wiedzie przez całe Góry Grzbietowe...

– Może nie przejdą całej drogi. Mogą dojść do miejsca, w którym się kończy, i zawrócić. Za wcześnie, by wpadać w panikę.

Kanion w istocie prowadził przez całe góry. Pokonanie go zajęło kilka dni, ale kiedy wreszcie dotarli do końca, o pomyłce nie mogło być mowy.

Szczelina o wysokich ścianach nagle się rozszerzyła, ustępując miejsca wąwozowi biegnącemu między pokruszonymi skałami i osypiskami. Po kilkuset dalszych jardach wąwóz zamienił się w cudowną, zieloną krainę.

Zdumienie piratów było uzasadnione. Zamiast mangrowców, trzcin, łąk i soczystej nadmorskiej zieleni, które przywitały ich, gdy przybyli na tę ziemię, rozciągał się teraz przed nimi podzwrotnikowy las, tak dziewiczy, jak nigdzie na świecie. To była istna dżungla, porównywalna z najdzikszymi zakątkami Afryki lub Peru.

Korony olbrzymich tropikalnych drzew ginęły w unoszącej się mgle. Smiggens rozpoznał sereczniki i kencje, drzewa tekowe i ambrowce, wierzbowce i balatowce. Dostrzegł też ciemnoczerwone, jasnoczerwone, a nawet żółte maranty. I to były wszystkie drzewa z południowo-wschodniej Azji, które znał. Resztę stanowiły gatunki zupełnie mu nie znane. Kilka z nich nie przypominało nawet niczego, o czym by kiedykolwiek słyszał.

Przestrzeń między leśnymi gigantami wypełniał bezmiar mniejszych drzew i krzewów, egzotycznych kwiatów i pnączy. Podłoże porastał gruby dywan mchu i bogactwo grzybów. W głębi zieleni popiskiwały, miauczały, śpiewały i gaworzyły niewidzialne stworzenia. Ukryte owady starały się dowieść swej przewagi. Na zielonym odległym tle przemykały cienie ptaków. Wokół tętniło ukryte przed ludzkim okiem życie.

Blackstrap ocenił to na swój sposób. Jak zwykle, zwięźle i dosadnie.

– Nie widzę śladu złota – powiedział zawiedziony i splunął z niesmakiem w bok, gdy stadko papug ara wyłoniło się z jednej chmurki mgły, by po chwili skryć się w innej. Ukryty gdzieś rajski ptak wyciągał swe osobliwe trele. Woda tryskająca z wylotu wąwozu wsiąkała natychmiast w gąbkę zieleni.

– Musimy coś zrobić, żeby zrozumieli... – Shremaza przysunęła się blisko do swego towarzysza.

To samo uczyły dzieci.

Tryli podniosła na rodziców szeroko otwarte oczy.

– Mamo! To przecież jest Deszczowa Dolina!

– Wiem, kochanie, wiem... – Shremaza starała się za wszelką cenę uspokoić potomstwo.

O'Connor wskazał gestem rodzinę.

– Zobaczcie, jak się zbiły w gromadkę. Czy to nie zastanawiające?

– Zastanawiające! – warknął Blackstrap. – Też coś! Może to ich dom... – Jego ciemne oczy, patrzące groźnie spod krzaczastych brwi, starały się przeniknąć zieloną gęstwinę. – A jeśli tak, to powinniśmy znaleźć w pobliżu jeszcze kilka takich okazów. Trzymajcie sieci w pogotowiu.

Kiedy wkroczyli do lasu, Smiggens obrzucił pojmane stworzenia zaciekawionym spojrzeniem.

– No, nie wiem, kapitanie. Nie zachowują się tak, jakby były u siebie w domu. Powiedziałbym wręcz, że są spłoszone.

– E, tam! Po prostu podziwiają to miejsce. Słowo daję, sam jestem go ciekaw. Tyle tu nowych widoków, dźwięków i zapachów.

Kopnął coś błyszczącego, ale był to tylko niewinny drzewny ślimak.

– Wciąż nie widzę złota – podniósł głos. – Widział któryś jakieś ślady złota?!

– Wszystko, co widzę, jest zielone, kapitanie. – Marynarz Thomas pochodził z wyspy zwanej Jamajką i tutejsze otoczenie nie wyglądało dla niego całkiem obco.

– Nie zabraknie nam owoców – dorzucił któryś, spoglądając na dojrzałe sztuki gotowe do zerwania, zwieszające się z gałęzi mijanych po drodze.

– Mamy już dosyć owoców. – Andreas i Copperhead przyglądali się jeńcom wcale nie z akademickim zainteresowaniem. Większy z tej pary przesunął palcami po rękojeści szabli. – Słowo daję, mniemy łeb jednemu ptaszysku i przekonamy się przy wieczornym ognisku, jak smakuje taki comber.

– Dosyć! – Blackstrap odwrócił się i natarł na autora niepożądanego kulinarnej propozycji. – Zapomnieliście, ile jest warte każde z tych stworzeń?!

Andreas był potężnym mężczyzną, ale skulił się pod miażdżącym spojrzeniem.

– Może chociaż jedno z tych mniejszych, kapitanie? Nie może pan żądać, żeby prawdziwy marynarz żył tylko na owocowej diecie jak małpa.

– A dlaczego nie? – zdziwił się Blackstrap. – Cholernie mi jedną z nich przypominasz.

Gdy się odwrócił, reszta piratów zachichotała, bawiąc się kosztem swego kolegi.

– No, dalej. Śmiejcie się – Andreas się wyprostował. – Ale jeśli, wśród was jest choć jeden, który nie tęskni za tym, by zatopić zęby i w czymś, co może przeżuć, niech mi to powie w oczy.

Nikt nie podjął wyzwania, co nie uszło uwagi Smiggensa.

– Może będziemy musieli wystawić nocną wartę przy naszej zdobyczy, kapitanie.

– Głupcy! – Blackstrap odtrącił wystającą gałąź, łamiąc ją połowie długości. – Kto zarzyna kurę znoszącą złote jaja? Żaden z nich nie głoduje.

Podniósł głos i krzyknął przez ramię:

– Klnę się na niebiosa, że pierwszego, który położy rękę na naszych ślicznotkach, zaserwuję innym na kolację!

Trwające jeszcze śmiechy szybko ucichły.

– Eee... spójrz na nie – powiedział Samuel. – Nawet gdyby je dusić w ogniu przez cały dzień, pewnie i tak byłyby twarde i żyłaste.

To, że Hisaulk, Shremaza i ich przestraszone potomstwo nie znali angielskiego, miało swoje dobre strony. Nie przypadłaby im do gustu ta rozmowa, gdyby ją zrozumieli. W każdym razie piraci

nie wspominali już więcej (przynajmniej otwarcie), że chcieliby uczynić ze swych drogocennych jeńców brojlery.

Z zagłębienia w wąwozie wyrastała kępa małych, sękatych drzew. Anbaya skinął na Andreasa.

– Chcesz coś do przeżucia? Chodź.

Nożem wydlubał spod mocno splekanej kory niskiego, krzywego pnia parę dużych, tłustych larw.

Wsuwając jedną do ust poczęstował drugą Andreasa.

Jego towarzysz skrzywił się i odwrócił głowę.

– Tfu! Jak możesz jeść gąsienice?

– Nie gąsienice – sprostował Molukańczyk. – Bardzo dobre. Smakuje jak masło orzechowe.

Bardzo pożywne, przyda ci się...

W końcu wzruszył ramionami i cisnął drugą larwę na ziemię.

– Może dla niego to dobre... – mruknął Guimaraes. Portugalczyk również tęsknił za kawałkiem prawdziwego mięsa.

– Przynajmniej jeden spośród nich wie, jak się prawidłowo odżywiać. – Shremaza odwróciła wzrok od pochłaniającego larwę żeglarza i spojrzała na męża. – Jeśli dalej będziemy się posuwać przed siebie, wkrótce przestanie nam dopisywać szczęście. Posłuchaj, jak głośno oni się poruszają. Musimy coś zrobić!

Ich gnębiciele zapuścili się w podzwrotnikowy las, choć przez cały czas starali się nie stracić z oczu skalnej ściany, by się całkowicie nie zgubić.

– Wiem – odrzekł Hisaulk. Nieustannie potrzasał głową z boku na bok, starając się rozpoznać każdy dźwięk dochodzący zza drzew i dostrzec każdy ruch w gęstwinie roślinności. Jego szeroko otwarte oczy rejestrowały każdego ptaka i każdego owada w obawie przed dostrzeżeniem czegoś... większego. On i jego rodzina wiedzieli, jakie do tej pory mieli szczęście nie napotykając po drodze niczego, co znacznie przewyższałoby ich rozmiarami.

Ale takie stworzenia czaiły się w pobliżu. Znajdowali się w Deszczowej Dolinie, a władcy tych terenów nie spali przecież przez cały czas.

Radząc sobie jak potrafili najlepiej z upałem i wilgotnością powietrza, piraci zatrzymali się wreszcie na lunch. Za posiłek posłużyło im to, co zdołali zerwać z otaczających drzew oraz skromne zapasy, które mieli ze sobą. Wśród tych ostatnich najcenniejsze były sól i pieprz.

Jedni wyciągnęli się wygodnie, oparci o wolne od mrówek drzewa, inni cicho gawędzili między sobą. Jeńców pilnować miał jeden strażnik, ale jego uwaga koncentrowała się prawie wyłącznie najedzeniu.

Wtedy właśnie Keelk szepnęła pośpiesznie:

– Ojcze, matko! Chyba mogę się uwolnić!

Hisaulk wolno odwrócił się do niej i powiedział cicho, by nie zwracać uwagi piratów:

– Jesteś pewna? Jak to możliwe?

Keelk skinęła głową w kierunku rodzeństwa.

– Moje więzy nie były tak mocne jak wasze, a Tryli z Arimatem rozdziobywali je, gdy ci ludzie nie patrzyli na nas.

Brat i siostra potwierdzili to krótkim skinieniem głowy.

– To prawda, ojcze – przyznał Arimat. – Ona już jest prawie wolna.

Podkreślił swoje słowa ostrym, krótkim gwizdem. Była to rzecz najzupełniej dla niego naturalna, niemniej sprawiła, że wartownik! spojrzał w ich kierunku. Rodzina zamarła, zanim przypomniała sobie, że ten człowiek nie rozumie ich języka. Rzeczywiście, po chwili odwrócił się obojętnie i powrócił do przerwanego posiłku, demonstrując przy tym tak samo przerażające maniery

jak jego towarzysze.

– Musisz być bardzo ostrożna, córeczko – skępowana więzami Shremaza próbowała przysunąć się bliżej. – To oczywiste, że ci ignoranci sami nie wiedzą, jak kuszą los.

– Lepiej byłoby spróbować nocą... – Hisaulk dostrzegł nagle tłustego żuka pełznącego po pobliskiej gałęzi i natychmiast chapnął dziobem. – W ciemności widzimy lepiej niż ludzie – dokończył przełykając posiłek.

– To prawda – przyznała jego towarzyska życia – ale poprzedniego wieczoru dokładnie sprawdzili nasze więzy, zanim wzięli się za kolację. Jeśli dziś zrobią to samo i odkryją, że Keelk jest zbyt luźno związana, zacisną sznury jeszcze mocniej i będą podwójnie czujni.

Hisaulk rozważał te słowa zasepiony.

– A zatem musisz połączyć pośpiech z ostrożnością, moja córko – powiedział. – Staraj się trzymać blisko urwiska, zanim znajdziesz wyjście z doliny. W ten sposób będziesz zabezpieczona przynajmniej z jednej strony. Nie próbuj wracać tą drogą, którą przyszliśmy. Tam w pierwszym rzędzie ludzie będą cię szukać.

– A cóż to za różnica, ojcze? Potrafię prześcignąć każdego człowieka.

– Owszem, ale oni mają ze sobą jakieś dziwne przyrządy i mogą dysponować możliwościami, o których nic nie wiemy. Poza rym, jeśli się potkniesz lub zranisz, mimo wszystko mogą cię dogonić. Lepiej poszukaj innej drogi przez góry, takiej, której oni jeszcze nie znają. Najbliższe duże miasto to Krzywy Korzeń. Staraj się tam dotrzeć. Wybieraj ścieżki, którymi nie przejdą władcy Deszczowej Doliny. Nie potrafią się wspinać, nie są tak zwinni jak my.

– Będę o tym pamiętać, ojcze – zamrugała oczami Keelk.

– Dużo pij, często odpoczywaj i poruszaj się szybko, siostró. – Arimatowi udało się wyciągnąć na tyle, by móc spleść swoją szyję z szyją Keelk. Tryli mogła tylko wyszczebiotać ciche pożegnanie. Nie wypadło ono tak, jakby sobie tego życzyła, ale nawet najmłodszy członek rodziny rozumiał, że nie należy zwracać na siebie uwagi ludzi.

– Idź prosto do jakiegokolwiek dinozaurzego lub człowieczego przedstawiciela władz – poleciła jej matka. – Opowiedz, w jakiej znajdujemy się sytuacji i co tu się dzieje.

– Dobrze... – Keelk zawahała się. – Wiem, że ci ludzie to niecywilizowani ignoranci, ale chyba nie ukarzą was, jeśli mnie uda się uciec...

Hisaulk starał się, by jego słowa zabrzmiały przekonująco: Dlaczego miałiby sądzić, że mamy coś wspólnego z twoją ucieczką? Jesteśmy mocno skępowani, więc uznają, że oswoodziłaś się sama. Nie znają naszego języka, toteż nie będą mogli nas przesłuchać. Wiesz, oni chyba nie wierzą w to, że my ze sobą rozmawiamy. Odwrócił się w stronę wartownika. Mężczyzna grzebał w ziemi, szukając czegoś pomiędzy swoimi stopami. Hisaulk zrozumiał, że chodzi o błyszczącą skałę. Podczas całej długiej drogi przez kanion ludzie przystawali i dłubali w każdej błyszczącej skale. Zastanawiał się, po co. Może prześladowcy bardzo potrzebowali miki.

– Jesteś pewna, że możesz się uwolnić? – mruknął. Keelk przytaknęła.

– Muszę tylko przekrócić stopę i ta okropna kłoda, którą mi przymocowali między kostkami, spadnie. Innych lin pozbędę się tuż przed ucieczką.

– Zatem do dzieła, córko. Mknij jak wiatr. Mknij, jakbyś biegła po zwycięstwo na stadionie w Sauropolis. Mknij jak nigdy przedtem, I cokolwiek będzie się działo, cokolwiek usłyszysz, nie oglądaj ssę za siebie.

Chętnie zaklekotałaby dziobem w odpowiedzi, ale zamiast tego skinęła tylko głową, woląc nie robić więcej hałasu niż to konieczne. Rzut oka na ludzi wystarczył, by przekonać się, że nie ruszyli się z miejsc ani nie zmienili pozycji. Po skończonym posiłku kilku następnych oparło się wygodnie o

pnie drzew lub kłody i wyciągnęło się, zsuwając na twarze chusty lub kapelusze i przymykając oczy. Ale wielki mężczyzna, przywódca grupy, kończył dopiero jedzenie i Keelk podejrzewała, że inni czekają tylko na niego, by opuścić to miejsce.

Nikt nie patrzył w jej kierunku, nawet strażnik. Taka szansa mogła się nie powtórzyć.

Unosząc lewą stopę i lekko ją przekręcając wierzgnęła szybko nogą. Rozluźnione liny zsunęły się po kostce i spadły. Wykonała te same ruchy drugą nogą i krępująca ją kłoda cicho opadła na miękką ściółkę z liści. Opuściła ramiona i potrząsała nimi tak długo, aż ześliznęły się z nich więzy. Teraz mogła już użyć rąk do oswobodzenia ud. Wreszcie rozwiązała postronki, które były okręcone wokół szyi.

Była wolna.

Może zbyt gwałtownie pozbyła się lin, które miała na szyi, a może po prostu wartownik był wyjątkowo wyczulony na najmniejszy nawet ruch za plecami. W każdym razie odwrócił się i drgnął.

– Hej! Hej! – krzyknął zrywając się z miejsca. – Jedna z bestii uwolniła się! – zawołał w kierunku towarzyszy.

Zanim zdążył do końca wykrzyzczyć ostrzeżenie, zanim powietrze wypełniły nawoływania jego zaskoczonych kamratów, Keelk jednym susem przeskoczyła leżącą kłodę i rzuciła się w gęstwinę lasu, szaleńczo przebierając długimi, smukłymi nogami.

Słyszała za sobą ludzkie okrzyki, pełne wściekłości i konsternacji, ale pomna przestróg ojca nie odwróciła głowy, skupiając uwagę na nieznannej drodze, którą miała przed sobą. Przytomnie patrzyła przed siebie nawet wtedy, gdy w uszach zabrzmiał jej dwukrotnie huk przypominający uderzenie miniaturowego pioruna. Oczywiście wiedziała, skąd pochodził, choć nie miała pojęcia, dlaczego ludzie zdecydowali się nagle na wystrzeliwanie fajerwerków. Podejrzewała jednak, że w przeciwieństwie do znanych jej z dorocznych festiwali sztucznych ogni i rakiet, te nie miały na celu świętowania czegokolwiek.

Fajerwerki mogły być niebezpieczne. Słyszała o pirotechnikach, którzy zostali poparzeni, a nawet gorzej. Ale ci, którzy je wytwarzali, gotowi byli ponosić takie ryzyko, żeby w Dinotopii było piękniej. Nie wiedziała wprawdzie, jakie mieli zamiary ci dziwni ludzie, lecz wątpiła, żeby to miało coś wspólnego z pięknem.

Rzeczywiście nie zobaczyła ani zachwycających, mieniących się światłem, ani ognistych kwiatów wyrastających na tle nieba. Coś podobnego do wścieklej osy bzyknęło obok jej głowy, tyle że niewidoczne i nie dające się wyczuć węchem. Dziwny rodzaj fajerwerków, pomyślała biegnąc dalej.

Przeskakując kolejne zwalone drzewo o średnicy dobrych dwóch stóp uznała, że nie może biec dalej nie wiedząc, co się dzieje za jej plecami. Odwracając się ujrzała pół tuzina ścigających ją ludzi. Gdy się im przyglądała, jeden nagle zatrzymał się i wycelował w jej kierunku długą metalową rurę.

Więc strzelali fajerwerkami do niej! Próbowali ją oparzyć lub oślepić ich blaskiem! Tyle że nie było widać blasku. Uważając to, co widzi, za najdziwniejsze fajerwerki pod słońcem, na wszelki wypadek schyliła głowę, chowając ją za tułów.

Znów usłyszała dwukrotny huk i kolejna niewidzialna osa odłupała drzazgi z pnia drzewa tuż przed nią. Skręciła w prawo, starając się przyspieszyć. Choć nie biegała tak szybko jak dorośli, była zwinna i miała dobrą kondycję.

W ich fajerwerkach nie ma nic pięknego, pomyślała. Podobnie, jak w nich samych.

Słyszała oddalające się, pełne wściekłości krzyki. Również powtarzający się huk, w którym nie było nic pięknego, słychać było coraz słabiej, a obok niej nie bzykała już żadna niby-osa. Może wyczerpywały im się zapasy. Wiedziała, że biegnąc po lesie zakosami musi stanowić trudny cel.

Choć od dawna nie słyszała już za sobą ludzi, nie zwalniała. Wydawało jej się, że biegnie tak godzinami. Drzewa, kwiaty, kuszące owoce i zagradzające drogę gałęzie zostawały z tyłu. Raz otarła się bokiem o duży ciernisty krzew i poczuła ból. Krzywiąc się sięgnęła w to miejsce i dostrzegła ślady krwi na końcach pazurów. Mimo to nie zwalniała. Trzymając ręce przed tułowiem, jak to mają w zwyczaju modliszki, pędziła przed siebie. Powiedziano jej: „Cokolwiek bidzie się dzać, cokolwiek usłyszysz, nie patrz za siebie”. Choć zżerała ją ciekawość, starała się z całych sił stosować do tego zalecenia. Wiedziała, że to bieg, którego stawką jest życie. Nie tylko jej własne. Również życie jej rodziny.

Przed nią wciąż rozciągała się nieznana Deszczowa Dolina. Gorąco pragnęła, żeby taką pozostała.

Znajdujący się na czele pościgu Mkuse i Anbaya byli najbliżsi dogonienia uciekinierki. Widząc jednak, że im się to nie uda, zatrzymali się w końcu, by zaczekać na pozostałych. Dysząc ciężko w upale, nagi do pasa Zulus wyciągnął z kieszeni spodni chustę i wytarł mą pot spływający po policzkach.

– Widziałeś, jak to szybko biega? Bardzo podobnie jak struś.

– Bardzo szybko! – Molukańczyk usiadł ciężko na miękkiej, wilgotnej ziemi i oparł ręce na kolanach. – Nawet to małe. Jako chłopiec byłem najszybszy w naszej wiosce, ale żebym nie wiem lak się starał, nie dogoniłbym chyba tego stworzenia.

– Nie w tych lasach. – Zaniepokojony, że obaj znaleźli się w chwilowej izolacji od reszty, Mkuse nerwowo przesunął wzrokiem po drzewach. Nie ma się czego bać, uspokoił sam siebie. Oprócz pojmanych stworzeń, od chwili wylądowania na tej ziemi nie widzieli nic większego od ptaka. Mimo to poczuł mrowienie w krzyżu. Coś wyczuwał, choć tego nie widział. Gdyby był w swej ojczyźnie, zapytałby wiejskiego sangome, co to oznacza. Ale tu, wiedząc, że, w promieniu tysięcy mil nie znajdzie czarownika, wołał zatrzymać te obawy dla siebie.

A zresztą nie mogło być nic gorszego od gniewu Blackstrapa, z którym wszyscy niebawem mieli się zmierzyć.

– Musimy teraz dokładnie sprawdzić więzy pozostałych – odezwał się Anbaya. – Kapitan dostanie szału.

– Trudno. – Mkuse wskazał ruchem głowy zbitą ścianę zieleni, która wchłonęła ich ofiarę. – Tam bestii nie znajdziemy.

Wysoko w wierzchołkach drzew ptaki zaniepokojone strzałami piratów wciąż skrzekliwie dawały wyraz swemu niezadowoleniu.

– Co się stało? Złapaliście to czy uciekło? – Reszta ścigających dołączyła do czoła pościgu.

– Uciekło – wyjaśnił Anbaya. – Za szybkie dla nas. Grupa wyczerpanych pogonią mężczyzn zaszemrała.

– No i co? Jedno mniej do pilnowania, słowo daję... – mruknął Samuel.

– Właśnie – zgodził się Watford. – Mamy jeszcze cztery bestie. Tylko teraz trzeba pilnować, żeby żadna już nie uciekła.

– Kapitan będzie musiał się z tym pogodzić – dorzucił Copperhead. – Może złapiemy dla niego jeszcze coś.

Treggang był mniej optymistycznie nastawiony.

– Co mu powiemy? – zapytał. Wielki Zulus wzruszył ramionami.

– Prawdę. Bestia była dla nas za szybka i uciekła. Gnała, jakby gonił ją sam diabeł – roześmiał się. – Może myślała, że my jesteśmy diabłami?

Próba poprawienia nastroju wypadła blado. Została skwitowana kilkoma niepewnymi

chichotami.

Dowiedziawszy się, że jedno z jego drogocennych zwierzątek wymknęło się z rąk piratom, Blackstrap eksplodował jak dwunastofuntowe działo „Kondora”. Jak zwykle to Smiggens był tym, któremu w końcu udało się uspokoić kapitana. Wraz z Mkuse przypomniał mu, że wciąż jeszcze mają czterech jeńców, a jeśli szczęście im dopisze, może powiększą tę liczbę. Co do tej czwórki, to zareagowała ona na ucieczkę jednego ze swoich, wpatrując się w swych prześladowców tępym wzrokiem, czym dała dowód, że jest tylko stadkiem głupich zwierząt, co było oczywiste.

Smiggens i jego towarzysze byliby szczerze zdumieni, gdyby wiedzieli, jakie emocje targają tymczasem czwórką jeńców.

Pomrukując groźnie pod nosem jak niedźwiedź, któremu przeszkodzono w posiłku, Blackstrap zadowolił się wymierzeniem biednemu wartownikowi takiego ciosu w głowę, że ucho nieszczęśnika spuchło natychmiast jak kalafior. Marynarz nie miał zamiaru skarżyć się na swój los. Wręcz przeciwnie, uznał się za szczęściarza woląc nie myśleć, co by było, gdyby kapitan miał pod ręką szablę lub choćby nóż.

Smiggens starał się jak umiał pocieszyć swego przyjaciela i szefa.

– Nie przejmuj się tak, Brognar. Kto wie, jakie bestie mogą się czaić za najbliższą skałą czy drzewem? Jeśli będziemy mieć szczęście, możemy spotkać jeszcze bardziej godne uwagi dziwolągi.

– Taaa... Chyba masz rację, panie Smiggens. Ty często masz rację, muszę przyznać.

W końcu obojętnie machnął ręką w kierunku, w którym zniknęła uciekiniarka.

– Niech sobie idzie. Potraktujemy to jako lekcję. Zawsze uczcie się na własnych błędach – powiódł po załodze zmrużonymi oczyma. – Ja też tak robię, dlatego jeszcze żyję.

Odpowiedzią na jego słowa było kilka radosnych okrzyków, przepełnionych ulgą. W porównaniu z reakcją, jakiej spodziewali SIQ marynarze, zachowanie Blackstrapa można było nazwać wspaniałomyślną dobroduszością.

Jak słuszne miały się okazać przypuszczenia pierwszego oficera co do spotkania ciekawszych bestii, nikt na razie nie mógł sobie nawet wyobrazić. Gdyby piraci mogli choćby podejrzewać, jakich naprawdę stworzeń ojczyzną jest Deszczowa Dolina, ich entuzjazm zapewne bardzo by przygasł.

VII

Keelk biegła, dopóki nie zabrakło jej tchu. Pierś falowała jej gwałtownie, w nogach czuła ból. Zwolniła i zatrzymała się pod strzelistą cekropią. Starając się oddychać jak najciszej, rzucała głową z boku na bok, by uchwycić uchem najmniejszy nawet szmer. Na przekór swym wymiarom władcy Deszczowej Doliny potrafili przemykać przez las z niebywałą zręcznością albo trwać w całkowitym bezruchu, pozornie pogrążeni we śnie lub w nieświadomości, dopóki ktoś nieostrożny nie znalazł się w ich bezpośrednim zasięgu. Oczywiście większość z nich była tak dobrze karmiona przez cywilizowanych Dinotopian, podróżujących przez ich terytorium, że nie potrzebowała polować. Lecz pierwotny instynkt często brał u nich górę nad logiką i zdrowym rozsądkiem, więc te stworzenia zawsze należało uważać za niebezpieczne. Ta zasada znana była wszystkim mieszkańcom Dinotopii już od najmłodszych lat.

Gdy więc w pobliżu zaświergotał ptak lub owad przeskoczył nagle z gałęzi na liść, Keelk analizowała taki dźwięk i ruch, usiłując dojść, co może oznaczać i czym jest naprawdę. Każdy gaj, każde drzewo mogło skrywać nieznaną niebezpieczeństwo. To była Deszczowa Dolina, a ona jest tu sama, tak strasznie samotna! Jakże daleko było stąd do znanego, cywilizowanego otoczenia w Rogu Obfitości.;

Nie mogąc całkowicie wykluczyć ryzyka, podkraśla się na palcach do brzegu rwącego strumienia, by ugasić pragnienie. Schyliła się i czerpała wodę, wdzięcznie wyginając szyję i przechylając głowę. Zimny i ożywczy płyn spadający ze zboczy Gór Grzbietowych koł jej wyschnięte gardło. Czy naprawdę udało jej się umknąć tym strasznym ludziom? Od bardzo dawna nie było ich ani widać, ani słyszeć. Mimo to nie jest wcale bezpieczna. Zgubiła ścigających ją ludzi, ale wokół czaiły się inne niebezpieczeństwa.

Wyprostowawszy swoje mierzące sześć stóp ciało spojrzała w kierunku urwiska, widocznego w prześwitach między drzewami. Skalne zbocze, do którego w końcu dotarła, wyglądało na zbyt strome i pokruszone, by można się było na nie wspiąć. Rodzice polecili jej unikać kanionu, który wcześniej przemierzyli ludzie. To oznaczało, że musi kierować się na zachód zamiast na wschód. Nie sprawiało jej to wielkiej różnicy. Górskie skupiska cywilizacji leżały tak czy owak na jej drodze.

Zdając sobie sprawę, że na tle nagich skał jest całkowicie odłonięta, Keelk wycofała się do lasu i ruszyła na wschód, kryjąc się wśród roślinności. Teraz była już pewna, że uszła przed swymi niedawnymi prześladowcami i przestała obawiać się zarówno ich, jak i tajemniczych, agresywnych fajerwerków.

Zatrzymała się, gdy ciemność nocy uniemożliwiła dalsze posuwanie się naprzód. Wykręcona kostka lub złamana noga opóźniałaby jej marsz daleko bardziej niż porcja snu. Zresztą bardzo już potrzebowała wypoczynku.

Znalazszy płytkie zagłębienie terenu pod kępą ogromnych, strzelistych filodendronów o wspaniałych liściach, wcisnęła się w nie najgłębiej jak mogła. Te szerokie, zielone liście nie tylko czyniły ją niewidoczną, ale również chroniły przed deszczem, który właśnie zaczął padać. O tej porze roku mógł się łatwo zamienić w prawdziwą ulewę, była więc zadowolona mając ten prowizoryczny dach nad głową.

Kuląc się w ciemności i nasłuchując obcych dźwięków, których nie mogła i w gruncie rzeczy nawet nie chciała identyfikować, czuła się samotna jak jeszcze nigdy w życiu. Kołysana do snu odgłosami nocy, martwiąc się o los rodziny, którego nie była pewna, zapadła w końcu w niespokojną, przerywaną drzemkę.

Parę razy zaniepokoiły ją dalekie trzaski dochodzące z gęstwiny, ale nic się do niej nie zbliżyło i żaden budzący obawę, niezdrowy odór obcego ciała nie dotarł do jej nozdrzy. Raz wyrwał jej się 7. gardła mimowolny żaloszny okrzyk. Przerażona, postanowiła bardziej uważać, by nie zwrócić na siebie niepotrzebnie uwagi.

Był już prawie ranek, gdy całkowicie rozbudził ją odgłos olbrzymiego cielska, wytrwale przedzierającego się między pobliskimi drzewami. Zaalarmowana dźwiękiem, natychmiast rozejrzała się wokół po chaszczach, widocznych już w słabym świetle wschodzącego słońca. Oczy miała szeroko otwarte, nozdrza rozchylone.

Gdy trzask nasilił się, Keelk wciągnęła szyję i głowę jak mogła najgłębiej w ramiona, bojąc się poruszyć. Mówiono jej, jak się zachować w takiej sytuacji, ale bardzo pobieżnie. Nie było potrzeby specjalnego szkolenia, bo takie wypadki prawie się nie zdarzały. Po prostu nikt nie wybierał się na wieczorną przechadzkę do Deszczowej Doliny.

I jak to zwykle bywa, gdy teoria okazuje się niewystarczająca, górę wzięł instynkt.

Trwając w zupełnym bezruchu, śledziła szeroko otwartymi oczami coś, co przypominało rozmiarami małą górę, a kroczyło pośród drzew tuż na prawo od niej. Głowa tej istoty sunęła pod sklepieniem lasu, wystając ponad większość drzewiastych paproci. W porannej mgle błyskało żółte, płonące oko wielkości połowy głowy Keelk.;

To, na co patrzyła, było tylko fragmentem, nakazującym się domyślać potęgi i ogromnej siły całej reszty. Wrażenie było tym straszniejsze, że ta reszta była niewidoczna. Ale Keelk wolała nie widzieć zakrzywionych zębów, które, jak wiedziała, wypełniają całą przepastną paszczę, ani potężnych, trój palczastych łap zakończonych pazurami, które zaciskały się nieustannie, gotowe w każdej chwili szarpać i rozrywać.

Allozaur kroczący przez las był dużym osobnikiem, mierzącym od nosa do ogona może ze trzydzieści pięć stóp i ważącym wiele; ton. Choć nie widziała go całego, słyszała rytmiczne puf-puf, dowodzące, że gdy oddycha, jego potężne płuca pracują jak kowalskie miechy. Gdyby miał ją pożreć, to przy jego nienasyconym apetycie byłaby zaledwie małą przekąską.

Wstrzymując oddech zobaczyła, że allozaur opuszcza łeb ku ziemi i zaczyna węszyć. Czy szedł po czyichś śladach? A może odnalazł jej trop?

Nie, uznała po namyśle. Nadszedł z południa i ich ścieżki nie mogły się skrzyżować. Ale zaraz pomyślała, co będzie, jeśli teraz wyczuje jej zapach. Byłoby to wprawdzie wątpliwe, biorąc pod uwagę, ile deszczu spadło ostatniej nocy. Z drugiej strony, allozaury miały wyjątkowo dobry węch. Czy jeśli wyniucha jej kryjówkę, uda się jej z nim porozumieć? Słabo znała się na prymitywnych dialektach mięsożernych drapieźników, ale czasami udawało się z nimi pogadać. Wiele zależało od tego, jak bardzo głodny jest ten osobnik. Drapieźniki miały niebezpieczny zwyczaj. Lubiły najpierw używać zębów, a konwersację zostawiać na później.

Keelk liczyła na jedno: nie stanowiła mianowicie dla dorosłego allozaura zbyt obfitego posiłku. Mógł wręcz nie mieć ochoty zawracać sobie nią głowy. Kilka kęsów kości i twardej tkanki, oto czym była. Nawet nie poranną zakąską.

Ale to była słaba pociecha.

Trwając w absolutnej ciszy próbowała sobie wmówić, że wcale jej tu nie ma, że ona to nie ona. Jestem skałą, myślała z przejęciem. Szarą plamą w lesie. Niczym, co można by zjeść. W ogóle niczym.

Unosząc masywne szczęki allozaur wypuścił ze świstem powietrze i potrząsnął głową. Może to węszenie mu zaszkodziło? Podłoże tropikalnego lasu pełne było zarodników i pleśni. Gdyby wyczuł jej trop poprzedniej nocy, jeszcze zanim spadł rześisty deszcz, już by ją miał. Nie miała co do tego

wątpliwości. Teraz ścieżka, którą tu przybyła, pełna była woni grzybów i innych zapachów.

Prostując się jak budowlany żuraw, olbrzymi drapieżnik ukazał się w całej okazałości. Spojrzał w lewo, a później w prawo, demonstrując swój wzrost. Trzęsąc się w ukryciu, Keelk zamknęła oczy.

Kiedy je znów otworzyła, allozaura nie było. Słyszała, jak przedziera się między drzewami, zdążając na południe. Zdając sobie sprawę, że jego odejście może być pułapką zastawioną na zdobycz, która kryje się w pobliżu, pozostała dokładnie tam, gdzie była, jeszcze przez godzinę. Tyle czasu potrzebowała, by poczuć się bezpiecznie i opuścić kryjówkę. Wiedziała, że im dłużej będzie zwlekać z ruszeniem w dalszą drogę, tym dłużej jej rodzina będzie oczekiwała pomocy. Od trwania przez długi czas w tej samej pozycji bolały ją mięśnie, ale nie zwracała na to uwagi. Wciąż żyła i wciąż była zdolna do szukania ratunku dla rodziców i rodzeństwa.

Jedynym dźwiękiem, jaki usłyszała, był głos gadającej papugi, jedynym ruchem, jaki dostrzegła, była ostatnia spadająca kropla deszczu. Po raz ostatni rzuciła okiem za siebie i na nowo podjęła podróż. Ostrożnie stawiała kroki, przezwyciężając strach, który kazał jej gnać przed siebie na złamanie karku, uciekać stąd, zanim będzie za późno. Wiedziała wprawdzie, że jest szybsza od każdego allozaura i dużo zwinniejsza, ale też jeden krok olbrzyma równał się dziesięciu jej krokom. Zabawa w berka z takim potworem byłaby szczytem szaleństwa.

Głód zmusił ją, by zwolniła. Nie mogła biec cały dzień z pustym żołądkiem. Uczono ją, by o siebie dbać. W Deszczowej Dolinie pełno było pożywienia, ale tylko dla kogoś, kto lubi ryzyko. Żadna z rosnących tu roślin nie była bowiem kontrolowana na obecność pasożytów. Ale Keelk nie miała wyboru. Musiała zachować siły.

Znalazłszy drzewo uginające się od dojrzałych rambutanów, wyciągnęła rękę i przyciągnęła gałąź. Stojąc na palcach mogła teraz dosięgnąć owoców, które po zerwaniu dawały się łatwo obierać z najeżonej kolcami czerwonej skóry osłaniającej słodki miąższ, choć trzeba to było robić delikatnie. Dziób i pazury dobrze wykonywały swe zadanie i łykała jeden owoc po drugim. Miąższ był chłodny i bardzo jej smakował. Wiedziała, że twarde pestki, które się w nim znajdują, nie wyrządzą szkody jej układowi trawiennemu.

Odzyskawszy wigor i świeżość, zerwała się do biegu. Na popołudniowy posiłek zjadła tego dnia białe mrówki, bogate w proteiny. Wykopała ich gniazdo przy użyciu przednich pazurów. Owoc dostępne były przez całą drogę. Tęskniła do wyszukanego i zabawnego rytuału posiłków w rodzinnym gronie, ale jeszcze bardziej brakowało jej najbliższych osób. Miłości i mądrych rad rodziców, zuchwałości i ciekawości Tryli, a nawet ciągłych złośliwości Arimata. Myślenie o rodzinie było jej potrzebne do przetrwania nie mniej niż jedzenie.

Dźwięk był tak cichy, że prawie niesłyszalny, a jednak dotarł do uszu Keelk. Zatrzymując się nagle, uniosła głowę i spojrzała za siebie w kierunku, z którego przyszła. Może to nic takiego, powiedziała sobie w duchu. W każdym razie dźwięk brzmiał tak, jakby to nie było nic większego od ptaka.

Tyle, że musiałby to być ptak mieszkający na ziemi.

Cóż to za straszne miejsce, ta Deszczowa Dolina, pomyślała. Jeśli uda jej się wyjść stąd cało, nigdy więcej tu nie wróci. Tak sobie solennie przyrzekła. A gdy recytowała to postanowienie, usłyszała drugi dźwięk, brzmiący jak echo pierwszego. Rzuciła głową w prawo. Trzeci cichy odgłos kazał jej natychmiast obrócić szyję w przeciwnym kierunku.

Ktoś próbował ją okrążyć. Każdy przytłumiony krok wskazywał obecność skradającego się przeciwnika. Jeszcze nie wiedziała, kim są, ale jedno było pewne: nie mieli dobrych zamiarów. Przyjaciele się nie podkradają i nikogo nie otaczają. Ale wśród mieszkańców Deszczowej Doliny nie miała przecież przyjaciół.

Wyteżała wzrok jak mogła, ale niczego nie była w stanie dostrzec, żadnego drapieżnika, mającego na tle wierzchołków drzew. Tylko ten powtarzający się od czasu do czasu przytłumiony odgłos kroków, nic więcej.

Więc jednak ktoś się do niej podkradał!

Czyżby ci dziwni ludzie byli bardziej uparci niż przypuszczała i zbliżyli się do niej w ciągu nocy? Czy byliby na tyle szaleni? Te kroki mogły być krokami ludzi. Ludzka młodzież, z którą bawiła się w szczęśliwszych czasach w chowanego, wykazywała duże zamiłowanie do zabaw w podchody.

Cofając się powoli nie wiedziała, w którą stronę uciekać. Czowała, że ma tylko jedną szansę wyboru właściwego kierunku. Jej oczy nieustannie przesuwały się po zaroślach i nagle dostrzegły niebezpieczeństwo: czający się kształt, silnie zbudowaną sylwetkę, nieco tylko mniejszą od niej. Błysk kłów, mnóstwo szponów i pazurów.

Velociraptory! Całe stadko!

Wiedziała, że będzie ich więcej niż trzy. Pamiętała ze szkoły, że stado składa się co najmniej z sześciu osobników. Wstrętne zwierzaki nie były duże, ale mimo obfitości pożywienia w Deszczowej Dolinie nie zapomniały, jak się poluje i do czego służą kły i pazury.

Gdyby rzuciła się do ucieczki w złym kierunku, mogłaby wpaść w sam środek stada. Zginęłaby pod ciosami ich szczęk i straszliwych, przypominających kształtem sierp pazurów tylnych łap. Szybko rozprawiłyby się z tym, co stanowiło dla nich treściwy posiłek.

Cóż, pomyślała zawzięcie, nie zamierzam być niczym posiłkiem. W każdym razie nie dziś. A raczej nigdy. W dodatku dla bandy niecywilizowanych, karłowatych drapieżników! O nie! Na pewno nie pozwolę im się zjeść, kiedy moja rodzina jest w niebezpieczeństwie.

Z ruchów i odgłosów kroków wywnioskowała, że usiłują osaczyć ją ze wszystkich stron. Zapewne pozostało jej niewiele czasu na działanie. Wkrótce zamkną pierścień. Rozejrzała się dziko wokół. Za chwilę przestanie mieć znaczenie, w którą stronę skoczy. Velociraptory potrafiły biegać równie szybko jak struti i tym razem gęsty las nie pomógłby jej w zgubieniu pogoni. Małe drapieżniki były tak samo zwinne jak ona. Potrafiły przeskakiwać wszelkie przeszkody lub przebiegać pod zagradzającymi drogę zwałonymi kłodami.

Przez jeden szalony moment chciała rzucić się w prawo, w kierunku najbliższego urwiska. Ale raptory o silnych pazurach potrafiły wspinać się lepiej od niej. Na otwartej przestrzeni nic by jej zresztą nie chroniło.

Może by jednak spróbować wywieść je na zbocze i zaatakować kamieniami? Tak, ale one były bardzo wytrwałe, a poza tym istniało niebezpieczeństwo zsunięcia się w dół. Nawet głupi velociraptor miał dość rozumu, by o tym wiedzieć i unikać takich pułapek.

Wszystko na nic... Już ją mają. Nic życia Keelk przestała się: prząść. Raptory ją przetną, doprowadzając tę grę do nieuchronnego] końca.

Była zdecydowana nie poddawać się bez walki. Z prawej strony dostrzegła nikły ślad łowieckiego szlaku. Jak dotąd, nie słyszała żadnych dochodzących stamtąd odgłosów. Przesadzając jednym susem kopiec pełen rozdrażnionych mrówek runęła przed siebie w wąski leśny przesmyk. Nogi pracowały jak tłoki pompy. Nie omijała nawet próbujących ją pochwycić pnączy i cierni. Wokół głowy słyszała tylko świst wilgotnego powietrza. Wydawało jej się, że frunie.

Po kilku sekundach usłyszała kroki, które zlały się w jeden odgłos. Pościg się rozpoczął. Choć jego rezultat mógł być tylko jeden, pędziła dalej, podtrzymywana na duchu świadomością, że przynajmniej wymknęła się z zastawionej pułapki. Teraz prześladowcy musieli ciężko zapracować na swoją kolację. Żeby ją schwytać, trzeba było się trochę nabiegać.

Nie miała złudzeń, co będzie, jeśli choć jeden ją dogoni. Sthruthiomimus, chociaż większy, nie

był w stanie pokonać w walce velociraptora. Nie była niepokonanym sauropodą, wielkim jak góra i przez to bezpiecznym. Ani ankylozaurem, ani opancerzonym, a w dodatku uzbrojonym ceratopsianem. Ornithomimozaury, z którego to gatunku pochodziły struti, mogły polegać tylko na własnej inteligencji.

Wiedziała, że nic nie jest w stanie zniechęcić stada raptorów do polowania. Bez wątpienia rozkoszowały się pościgiem. Dodawał smaku przyszłej potrawie. Takie myśli w jakiś sposób dodawały Keelk siłę, zmuszały do wydłużenia kroku. Jeszcze nigdy w życiu nie pędziła tak szybko. Nawet wtedy, gdy uciekała przed dziwnymi ludźmi.

Ale to już nie miało znaczenia. Przeróżne, mrożące krew w żyłach świsty otaczały ją ze wszystkich stron.

Jezioro, myślała szaleńczo, albo rwąca rzeka! To mogłaby być jej jedyna szansa. W wodzie ona i jej prześladowcy byłiby równorzędnymi przeciwnikami, a rozpacz spotęgowałaby jej siły. Gdy takie myśli przelatywały jej przez głowę, uderzył ją w nozdrza dziwny zapach. Był ciężki, duszący i smrodliwy. W dodatku... znajomy.

Czując, że nie ma już nic do stracenia, wykonała gwałtowny skręt w kierunku tego zapachu, zastanawiając się, czy szaleńczy wyścig nie doprowadził jej już przypadkiem do obłądzenia. Z pewnością to, co zamierzała, było szalone. Ale, pytała siebie, czy w obliczu pewnej śmierci, gdy zmęczone płuca omal nie rozsądziły jej piersi, ważne jest, jak zginie? Jeśli nie myliła się w swoich przypuszczeniach, ten sposób był przynajmniej szybki.

Tuż przed nią ukazała się mała polana. W poprzek ścieżki, którą biegła, leżał szary kopiec, wyglądający jak głaz umieszczony pośród bujnej zieleni. Za polanką wznosił się ku niebu wiekowy podzwrotnikowy las.

Zwolniła nieco. Charakterystyczny odór stał się teraz bardzo intensywny. Świsty velociraptorów nasiliły się za jej plecami. Czy wyczują tę samą woń i zawrócą? Czy też wysilą się na ostatni sprint, mając nadzieję w końcu ją dopaść? Wiedziała, że gdy są tak blisko zdobyczy, trudno im zrezygnować.

Odwróciła się po raz pierwszy i ujrzała kilka z nich. Pędziły wytrwale jej śladem z wywieszonymi jęzorami, zwisającymi z kącików pysków. Zbliżały się szybko i czuła, że za nimi biegną następne. Przebijające się przez liście poranne słońce odbijało się chwilami w ich kłach i pazurach jak w lusterkach. Przeróżne oczy wpatrywały się w nią bez mrugnięcia.

Dobrze, pomyślała, niech się gapią.

Była zbyt blisko śmierci, by zacząć trząść się ze strachu. Pożegnała się już z życiem. Trafiła stopą na zbocze kopca i odbiła się od niego. Gdy skok przenosił ją ponad grzbietem szarej bryły, powietrze przeszył nagle gwizd bardziej przeraźliwy od świstu jakiegokolwiek velociraptora. A zaraz po nim dał się słyszeć wściekły ryk oburzenia.

Prowadzący grupę pościgową raptor zamierzał powtórzyć jej wyczyn i przygotował się do skoku. Gdy wybijał się w górę, przednią część kopca uniosła się. Kłapnęły ogromne szczęki, rozległ się krótki, przeraźliwy pisk i raptor zamienił się w kupkę chrupiących kości.

Stado rozpoczęło gwałtowne hamowanie, ślizgając się, potykając i sunąc siłą bezwładności. Gdy czoło pościgu zatrzymało się, nie wszyscy biegnący z tyłu zdążyli w porę zareagować. Wpadając na łych z przodu potęgowali przerażenie i chaos. Polanka wypełniła się panicznymi piskami i świstami.

Ryk zdolny przerazić nawet robaki ukryte w drzewach zagłuszył rozpaczliwe jęki raptorów, gdy szary głaz, oszalały z wściekłości, że przeszkadzono mu w drzemce i naruszono jego terytorium, uniosł się na dwóch przypominających kolumny nogach i zaczął siać spustoszenie wśród oszalałej ze

strachu grupki.

Keelk nie patrzyła na to, co się dzieje za jej plecami. Skupiając całą uwagę na szlaku przed sobą, gnała do przodu. Choć jej nogi ostro protestowały, nie zwolniła, dopóki w oddali nie zamarło ostatnie echo krwawej konfrontacji.

Ucieczka zaprowadziła ją w głąb Deszczowej Doliny, z dala skalnych urwisk, ale przynajmniej na razie była bezpieczna. Kopiec, który przeskoczyła, nie był bynajmniej z granitu. W istocie był tym samym grasującym w okolicy allozaurem, który podszedł do niej tak blisko tego samego dnia wczesnym rankiem. Od razu rozpoznała jego zapach. Wielki mięsożerny drapieжник ucinął sobie drzemkę. Idąc śladem jego woni odrzuciła wszystko, co jej kiedykolwiek mówiono na temat wielkich drapieżców i zamiast zmienić trasę, skierowała się wprost na allozaura.

Przemknęła ponad nim i wciąż nie całkiem mogła uwierzyć w to, co zrobiła. Ostro wrył się jej w pamięć moment, w którym poczuła jego ciało i żebra pod stopą. Ten kontakt obudził go, ale zdążyła przeskoczyć nad jego bokiem. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczył po otwarciu oczu, był nieszczęsny przewodnik grupy raptorów. Równie głodny jak poirytowany, allozaur zadziałał instynktownie. Raptory nie miałyby nawet cienia szansy, żeby próbować go przeprosić.

Starła się nie wyobrażać sobie konsekwencji. Stado velociraptorów nie cofa się przed niczym, nawet przed allozaurem. Bez względu na wynik walki ten, kto ją przeżył, nie mógł być zdolny do podjęcia za nią pościgu.

Jednego była pewna. Kiedy następnym razem wystartuje na Olimpiadzie Młodzieży w Sauropolis, nie będzie się obawiała biegu przez płotki.

Kiedy zwolniła tempo biegu, skurcze w nogach ustąpiły. W końcu sthruthiomimusy były stworzone przede wszystkim do biegania. Tyle, że nie do biegania z pustym żołądkiem. Znów poczuła głód, a dzień dopiero się zaczął.

Arimat był lepszym od niej biegaczem, ale jego więzów nie dało się rozluźnić. Okoliczności sprawiły, że to ona uciekła i musiała to wykorzystać jak najlepiej. Los całej rodziny był w jej rękach. Kto wie, jakie zamiary mają ci szaleni ludzie, pomyślała. Ta świadomość popychała ją przed siebie.

Szkoda, że nie jestem starsza, mądrzejsza i bardziej doświadczona, przyszło jej do głowy. Cóż, przecież uczono ją, że wiedza to właśnie suma doświadczeń. Uśmiechnęła się. Jeśli tak, to rzeczywiście w ciągu kilku ostatnich dni bardzo wiele się nauczyła.

Wciąż żyła.

Z powodu szaleńczego biegu straciła orientację. W gęstym lesie nie było drogowskazów i trudno było odróżnić kierunki. Zatrzymała się, by ugasić pragnienie i zastanowić się, gdzie się znajduje. Góry Grzbietowe leżały na północ od Deszczowej Doliny. Tyle wiedziała. Ale w którą stronę była północ? Przy zachmurzonym niebie niełatwo było ustalić prawdziwą pozycję według słońca.

Gdyby wybrała złą drogę, trafiłaby w głąb doliny, gdzie w końcu musiałaby spotkać jednego z jej stałych mieszkańców. Nie było potrzeby zastanawiać się nad rezultatem takiego spotkania. Próbowwała sobie przypomnieć trasę, jaką pokonała podczas rozpaczliwej ucieczki, każdy zakręt i zmianę kierunku, wszystkie manewry, jakie musiała wykonać, umykając przed żarłocznym stadem.

Na wprost? A może w lewo? Przechyliwszy do tyłu głowę przyglądała się monotonnemu niebu i usiłowała przywołać z pamięci wszystko, czego się uczyła na temat terenowych wędrówek.

A więc w lewo. Odetchnęła kilka razy głęboko i ruszyła w drogę, mając nadzieję, że wkrótce zza drzew i zarośli wyłonią się nagie skały. Nawet gdyby zbocze okazało się niedostępne i nie mogłaby SIQ na nie wspiąć, wiedziałyby przynajmniej, że jest na właściwym szlaku.

Jej wędrówce towarzyszył dodający otuchy, hałaśliwy śpiew ptaków. Cieszyła się, że go słyszy

– sygnalizował, że w pobliżu nie czai się żaden potwór. Mimo to nadal była czujna. Skoro udało się jej uciec przed raptorami, allozaurem i bezdusznymi fajerwerkami, i to w ciągu jednej doby, nie mogła sobie teraz pozwolić na brak ostrożności.

Choć tropikalny las coraz mocniej obejmował ją swym ciemno-zielonym uściskiem, bynajmniej nie czuła się podniesiona na duchu.

VIII

Wiele różnych dźwięków budziło już Preistera Smiggensa przez całe jego życie. Huk dział, krzyk obserwatora tkwiącego w bocianim gnieździe i pianie koguta; raz nawet ciche chrząkanie wombatów, gdy ukrywał się przed policją w okolicach Sydney.

Ale nigdy jeszcze nie wyrwał go ze snu taki dźwięk, jaki teraz kazał mu się poderwać na nogi.

Wszyscy byli już nieco wyczerpani nerwowo. Odczytywał to z twarzy swych towarzyszy, gdy podnosili się ze swych prowizorycznych posłań. Niektórzy zataczali się niezgrabnie, podczas gdy inni byli natychmiast przytomni, podobnie jak on sam. Obserwując ich zachowanie łatwo było zgadnąć, kto najdłużej przebywał na morzu po niewłaściwej stronie prawa. To byli ci, którzy potrafili się natychmiast zmobilizować. Od razu byli czujni i gotowi, z pistoletem lub szablą w ręce.

Przedziwne, zawodzące buczenie ozwało się z lasu po raz drugi. Jego osobliwe brzmienie zdawało się omijać ludzkie uszy i trafiać wprost do wnętrza człowieka. Smiggens dotknął dłonią skroni i potrząsnął głową. Cóż to za niewyobrażalne stworzenie mogło być zdolne do wydawania z siebie takiego głosu?

Blackstrap zawiązywał chustę wokół łysej czaszki. Przyglądając się temu Smiggens mógł go tylko podziwiać. Kapitan był zbyt twardy, by cokolwiek mogło go przerazić. Gdyby sam Lucyfer stanął nagle w środku grupy piratów, Blackstrap by mu się postawił. Czy to była walka na szable, czy utarczka słowna, czy też gra w kości, kapitan podejmował każde wyzwanie.:

Oczywiście pierwszy oficer wiedział, że Blackstrap w rozgrywce z diabłem najpierw zaproponowałby jako stawkę dusze załogi, me swoją. Kapitan był zuchwały aż do szaleństwa, ale nie głupi.

W lesie ponownie zabrzmiało buczenie. Załoga wodziła wzrokiem po wierzchołkach drzew i ścianie pobliskiego urwiska, ale niczego nie wypatrzyła.

Treggang mocniej ścisnął rękojęść malajskiego sztyletu.

– Budda obdarzył głosem wiele stworzeń, ale nijak nie mogę sobie wyobrazić tego zwierzęcia!

– Taaa... – Copperhead zderzył się plecami z Malajczykiem, który podobnie jak on sam rozglądał się po lesie. – Nigdy nie słyszałem niczego podobnego.

– Ja słyszałem.

Wszyscy odwrócili się w kierunku właściciela głosu, który się odzywał. Uchodząc przed gniewem członków własnego indiańskiego plemienia, tak samo jak przed białymi władzami Oregonu, Chumash dotarł aż do Hongkongu, gdzie jego temperament i instynkty uczyniły go jednym z członków załogi „Kondora”. Luźno trzymając w dłoniach karabin, wpatrywał się w korony drzew z namaszczoną powagą.

– Ty? – Blackstrap przyjrzał mu się uważnie. – Gdzie?

– W górach mego ojczystego kraju. To jakby głos wapiti, tylko głębszy.

Kapitan odwrócił się natychmiast do swego pierwszego oficera.

– Co to jest „wapiti”, panie Smiggens?

– Nie wiem, kapitanie.

– Ja wiem.

Wszyscy skupili teraz uwagę na Johanssenie.

– On mówi o amerykańskim łosiu – wyjaśnił.

– Tak – potwierdził Chumash. – O wapiti.

Dźwięk rozległ się znowu, wzbudzając wśród piratów coraz większe zaniepokojenie.

Amerykański Indianin spokojnie obserwował otaczającą ich zielen.

– Biały człowiek nazywa to „trąbieniem”.

– Trąbieniem, tak? – Blackstrap opuścił broń. – Nie boję się żadnego łosia, żeby był nie wiem jak duży. Powinniśmy się temu przyjrzeć, co pan na to, panie Smiggens?

– Jeśli tak pan uważa, sir... – odparł niepewnie pierwszy oficer.

– Nie, kapitanie! – Oczy Andreasa były szeroko otwarte. – Cokolwiek robi ten hałas, na pewno to nie jest zwyczajne zwierzę.

Blackstrap wydał z siebie parsknięcie.

– Zwyczajne zwierzęta nie sadła nas nic warte, człowieku. Chool jeśli to tutaj jest kuzynem łosia, to, o ile słyszałem, nieźle smakuje.

– Bardzo smaczne – przyznał Chumash.

Perspektywa zjedzenia solidnego posiłku rozwiała nieco obawy mężczyzn, chociaż związek tych dwóch spraw mógł się wydali nieco irracjonalny.

– Obserwujcie nasze niby-ptaki – polecił załodze Blackstrap. Rzut oka na pojmane stworzenia wystarczył, by przekonać się, że ignorują one buczący odgłos. – Znają niebezpieczeństwa, jakie czyhają na tej ziemi. Skoro nie wpadają w panikę, to z pewnością to, co robi tyle hałasu, nie jest groźne.

Podumawszy nad tym mężczyźni odprężyli się w końcu. Nie po raz pierwszy przyszło im podziwiać swego kapitana. Potrafił do strzec istotę najbardziej skomplikowanej sprawy.

Smiggens uśmiechnął się.

– No proszę, Brognarze Blackstrap! Słuchając ciebie, można by niemal pomyśleć, że studiowałeś nauki przyrodnicze.

– Uważaj, co mówisz, panie Smiggens. Za dużo sobie pozwalasz.

– Tak jest, sir. Ale przecież to miał być komple...

– Powiedziałem, żebyś się zamknął!

Smiggens natychmiast wykonał polecenie. Blackstrap był bom ba, która w każdej chwili mogła wybuchnąć. Człowiek nigdy nie wiedział, czy jakimś niewinnym słowem lub gestem nie podpali przypadkiem lontu. Czasami bomba zasyczała, zanim przeistoczyła się w niewypał, czasem się nawet uśmiechała. A jednak zawsze, ale to zawsze mogło się okazać, że wybuchnie człowiekowi prosto w twarz.

W uszach piratów zabrzmiał nowy dźwięk. Inny od poprzednich, choć bez wątpienia wydało go z siebie to samo stworzenie. Jego żalosne echo długo pozostawało w ludzkim mózgu.

Blackstrap zamachnął się nożem myśliwskim.

– Chodźmy więc i przekonajmy się, co się święci. Odwrócił się i pomaszerował w kierunku źródła dźwięku. Załoga podążyła za nim, nie spuszczać z oka jeńców. Byłby niezły ambaras, gdyby któreś ze stworzeń spróbowało ucieczki.

Niby-ptaki szły potulnie, wykazując całkowitą obojętność na dochodzące z lasu dźwięki, które rozlegały się coraz bliżej. Uspokojeni ich zachowaniem mężczyźni nie mogli się już doczekać, kiedy poznają źródło tego niezwykłego zawodzenia.

Wkrótce dotarli do miejsca, gdzie nie rosły drzewa. Nie była to polana ani koryto rwącej rzeki, lecz najwidoczniej uczęszczany trakt, szeroki jak płatna droga wiodąca do Bostonu. Ziemia na powierzchni krętego szlaku była tak ubita, że przypominała chodnik. Po drugiej stronie gościńca znów rozciągał się bujny podzwrotnikowy las.

Kto lub co mogło przetrzeć taki ubity szlak, nie mieli pojęcia, ale nie mieli już dłużej wątpliwości, skąd pochodzą buczące dźwięki. Odkrywszy ich źródło, dwaj mężczyźni, którzy

pierwsi wypadli z gęstwiny obok Blackstrapa, pośpiesznie wycofali się pod osłonę lasu, przy czym jeden z nich kilkakrotnie się przeżegnał. Pozostali stłoczyli się na linii drzew, bojąc się odsłonić, ale też nie mogąc za nic powstrzymać swej ciekawości.

Drogą kroczyło odwrócone do nich tyłem stworzenie, mające prawie dwadzieścia stóp wzrostu. Brązowe cętki, którymi nakrapiana była lego pomarszczona skóra, wyblakły nadając jej niezdrową, szaro-ziemnistą barwę. Charakterystyczny kasztanowy kolor, który w młodości pokrywał wielki kościsty grzebień zwierzęcia, również prawie całkowicie zniknął pozostawiając po sobie tylko nieregularne plamy.

Stworzenie posuwało się na tylnych nogach, czasami tylko opada jąc na cztery łapy, by odpocząć. W takich momentach jego ogon unosił się i trwał wyprostowany sztywno za tułowiem. Gdyby nie osobliwe, trzystopowe wybrzuszenie tworzące grzebień, czaszka zwierzęcia bardzo przypominałaby ogólnym wyglądem koński łeb. W pozycji stojącej bestia przywodziła na myśl gigantycznego kangura. Sposób poruszania się był podobny do ruchów pochwyconych przez piratów stworzeń, choć nie tak energiczny i sprężysty.

Wygląd zwierzęcia dowodził niezbitości istnienia jakichś tubylców. W dziwny sposób udało mu się przystroić swoje cielsko długimi, czarnymi wstęgami z tkaniny, obszytymi srebrnymi koronkami, zwieszały się one z wygiętego grzebienia, z szyi i piersi. Przez moment Smiggens pomyślał, że te srebrne desenie mogą być znakami jakiegoś ludzkiego języka, lecz gdy lepiej im się przyjrzał, stwierdził, że to tylko abstrakcyjne wzory podobne do odcisków kurzych łap na piasku.

Blackstrap skinął na swoich ludzi i śmiało wkroczył na trakt, zdumiewające stworzenie ignorowało obecność ludzi – albo nie zdawało sobie sprawy, że są w pobliżu, albo było całkowicie obojętne na to, co się wokół dzieje. Ponownie opadło na cztery łapy. Sprawiało wrażenie, jakby oddychało z trudnością. Gdy nabierało powietrza, jego ciemnobrązowe boki drżały.

Smiggens zastanawiał się, jaką rolę spełnia niezwykle płat czołowy zwierzęcia. Czysto dekoracyjną? A może służy do przyciągania uwagi płci przeciwnej? Gdy mu się tak przyglądał, odpowiedź nadeszła sama.

Zwierzę z trudnością zrobiło wdech, wyrzuciło do góry p; i wypuściło powietrze przez nozdrza. Dostało się ono pomiędzy no: drzą a grzebień, wywołując głęboki, wibrujący, donośny dźwięk który przedtem słyszeli. Smiggens spotkał kiedyś Aborygena mieszkającego w Sydney, który potrafił generować podobne, choć dużo cichsze dźwięki przy użyciu długiego, drewnianego instrument zwanego didgeridoo, przypominającego, prawdę mówiąc, grzebień tej bestii, aczkolwiek dużo mniejszego.

Był to wzruszający, żalobny, ale całkiem ładny dźwięk. Wsłuchując się w jego brzmienie pierwszy oficer nie mógł się powstrzymać od zastanowienia, jakież to muzyczne fantazje mogłyby się zrodzić w tak pojemnej komorze rezonansowej, gdyby jej właściciel obdarzony przez naturę tak niezwykle instrumentem, nie był tylko nierozumnym zwierzęciem.

Wielce pouczająca była obserwacja reakcji czterech pojmanych stworzeń. Zamiast je wystraszyć, żalotne buczenie sprawiło, że opuściły głowy i ramiona. Z pewnością zawodzące zwierzę nie było niebezpieczne.

– To coś jak mieć kanarka w walijskiej kopalni węgla – zauważył z satysfakcją O’Connor. – Rozumiecie? Wystarczy obserwować te wielkie kurczaki, żeby wiedzieć, czy w pobliżu nie czai się bezpieczeństwo.

– Taaa... To racja – przyznał jego kompan. – Nie są ze złota, ale prawie tyle samo warte.

W chwilę później razem z resztą piratów musieli się mocno zastanowić nad następną reakcją swoich jeńców. Stworzenia poczęły głośno gwizdać i skrzeczeć.

Blackstrap przyjrzał się im uważnie.

– Co znowu wstąpiło w te bestie? Nie wiesz, Smiggens?

Ale pierwszy oficer mógł tylko pokręcić głową na znak, że na pojęcia. Był podobnie zdumiony jak inni. Ścisnąwszy mocniej broń, mężczyźni rozejrzeli się czujnie dokoła, ale poza człapiącym, buczącym olbrzymem w lesie nie było nikogo.

Chin-lee postąpił krok naprzód i stanął obok Blackstrapa.

– Jeżeli to nie smok, kapitanie, to co? – zapytał wskazując stwora.

– A widzisz, żeby zionął ogniem? – odezwał się łagodnie Smiggens cierpliwym tonem, jakim zwraca się do nieuka człowiek wykształcony. – Gdzie ma skrzydła? Czy przypomina ci to jakikolwiek rysunek smoka?

– Inny gatunek – odparł niewzruszenie Chin-lee.

A czegoż innego można się spodziewać po ciemnym człowieku Wschodu? – pomyślał Smiggens. Drobnym Chińczyk był za to mistrzem w pirackim rzemiośle i postrachem załóg zdobywanych statków.

– To zwierzę wygląda na chore – ocenił Thomas swoim śpiewnym jamajskim akcentem. – Zobaczcie, jak ciężko mu oddychać.

Blackstrap przytaknął skinieniem głowy.

– Jasne. Nie trzeba być lekarzem, żeby to zauważyć. – Rzucił okiem na czwórkę jeńców. Stworzenia przestały szaleńczo zawodzić. Teraz pogrążone były w znajomej piratom, bezsensownej paplaninie. – Na klejnoty Trytona! Niech mnie, jeśli nasze bezmózgie bestie nie próbują się porozumieć z tym potworem!

– Kurczaki chcą pogadać z kangurem-gigantem! – ucieszył się Lohanssen, po czym dał przedstawienie, słowami i gestami imitując dziobiącego indyka, co piraci nagrodzili salwą śmiechu.

– Parasaurolophus nie może nam pomóc – stwierdziła ze smutkiem Shremaza. – Arimat, Tryli, wiecie może, co ten zasuszony corythozaur robi w Deszczowej Dolinie?

Tryli odpowiedziała pierwsza:

– Idzie do jednego z tych wybranych miejsc, mamó. Ma na solne żałobne szarfy.

– Tak samo jak w przyszłości każde z nas. – Hisaulk zauważył, że ludzie nie zwracają uwagi na ich rozmowę, przez cały czas, gdy rodzina była ich więźniami. – Cóż... Nie zaszkodziło spróbować.

Gdy tylko dostrzegli wielkiego hadrozaura, za wszelką cenę starali się zwrócić na siebie jego uwagę. Choć z natury nie bardziej agresywny, niż jego dalecy kuzyni struthiomimusy, potrafiłby dzięki swej masie i sile uwolnić rodzinę. Ale teraz stało się jasne, że zbliża się do miejsca Ostatniego Spoczynku. Gwałtownie ubywało mu sił i ponieważ nie reagował w żaden sposób na ich nawoływanie, najprawdopodobniej był również głuchy, żaloszny koniec dla członka plemienia tak kochającego muzykę.

Nie wybieramy sobie końca, pomyślał Hisaulk. Nie mamy wpływu na to, jak i kiedy będzie nam sądzone trafić na miejsce Ostatniego Spoczynku.

– Ta bestia umiera. – W swojej ojczyźnie, na południowo-amerykańskim wybrzeżu, Mkuse widział śmierć wielu zwierząt. To stworzenie mogło być większe i bardziej osobliwe, ale sposób, w jaki żegnało się z życiem, niewiele różnił je od słonia czy elanda.

– Szkoda... – chrząknął znacząco Blackstrap, wskazując czwórkę jeńców. – Jeśli to stadko jest warte parę tysięcy funtów, za tamtego można by wziąć z dziesięć tysięcy.

– Łodzie by tego nie uniosły, kapitanie – zgłosił swe obawy Treggang. – Jak zabralibyśmy toto na statek?

– Spójrz na jego pysk, ślepoto! To tylko dziób z masą tępych trzonowych zębów. Bestia jest wielka, ale nieszkodliwa. Wystarczyłoby wziąć odpowiednią linę, uwiązać to i przeprowadzić do

„Kondora”. Zwierzak jest taki wysoki, że miałby łeb ponad wodą, w lagunie nie ma fal. – Oczy Blackstrapa załśniły. – To dopiero byłaby gratka pochwalić się czymś takim przed bogaczami w starym dobrym Londynie, co?

– Cholera, wiem, co to za stworzenia! – wymamrotał pod nosem Smiggens i zmarł z rozdziawionymi ustami i wyrazem bezradności na twarzy.

Wielka dłoń walnęła go w plecy z taką siłą, że po kręgosłupie! przeszło mu mrowie.

– To właśnie cała bieda z książkową wiedzą, panie Smiggens. Wtedy tylko się przydaje, gdy się coś z niej pamięta. Inaczej siedzi w głowie tylko po to, by fermentować, jak stary zacier. Refleks i siła... – zamachnął się myśliwskim nożem, mając w jawnej pogardzie, czy ktoś przypadkiem nie znajduje się w zasięgu ostrza. – To dopiero może uczynić któregoś dnia z człowieka wyborowego strzelca« albo kanoniera.:

Smiggens sięgnął do pleców, by je rozmasować, i ponownie skupił uwagę na bajecznym potworze, który człapał drogą.

– Głuchy i konający – stwierdził. – Nawet gdybyśmy mieli wystarczająco dużo lin, by go związać, biedny zwierzak nie dałby rady dotrzeć do brzegu morza.

– Jak pan sądzi, dokąd on idzie? – zapytał Copperhead.

– Spójrzcie, jak błyszczą mu skóra – Watford był zauroczone niebywałym pięknem bestii.

– Smok – posępnie mamrotał Chin-lee odchodząc na stronę. Nie miał ochoty, by Smiggens czy ktokolwiek inny próbował przekonywać go, że nie ma racji.

Blackstrap westchnął.

– Jak już koniecznie chcesz, Chin-lee, to niech ci będzie smok z braku lepszej nazwy. No, panie Smiggens...

– Nie, nie... Mam to, wiem, że mam, ale jak mi życie miłe, nie mogę tego znaleźć w głowie... – pierwszy oficer nie ukrywał irytacji, że zawodzi go pamięć.

– Więc smok i basta. Nawet jeśli nie zieje ogniem i nie unosi się nad nami na wstrętnych skrzydłach nietoperza. Zgadza się, Chin-lee?

Zamiast odpowiedzi Kantonczyk przybrał obłudny wyraz twarzy, skrzyżował ręce na piersiach i znacząco skierował oczy ku niebu.

– W którą stronę idziemy, kapitanie? – zapytał Andreas.

– Hej... Myślę, że z powodzeniem możemy pójść za tą bestią, przynajmniej kawałek. Wygląda mi na to, że już długo nie pociągnie, a mam ochotę przyjrzeć się jej bliżej. – Łypnął okiem. – Jestem też bardziej niż trochę ciekaw, czy te błyszczące naszyca na materii, w którą jest owinięta, to prawdziwe srebro. – Podkreślił wąsa – Nie zwraca na nas uwagi. Nawet jak się obejrzy, nie sądzę, żeby była niebezpieczna. Ledwo trzyma się na nogach. – Wskazał zwierzę końcem noża. – Zobaczcie, jak często przystaje. Zbliża się lej koniec.

Ku zdumieniu piratów pojmane stworzenia niespodziewanie zaczęły stawiać opór, nie pozwalając się dalej prowadzić.

– Hej! Co jest? – wykrzyknął Samuel. – Dosyc tego!

Dźgnął końcem szabli największego smoko-ptaka. Trafił w tylną część tułowia, z lewej strony, tuż przy ogonie. Stworzenie drgnęło i zaczęło iść, ale utkwilo przy tym w szabliście tak przenikliwie i nieruchome oczy, że ten odwrócił się zmieszany i wściekły na siebie za to, że pozwala mierzyć się wzrokiem zwykłemu zwierzęciu.

– Tato! Ty krwawisz! – Tryli ruszyła w kierunku rodzica, by podtrzymać go na duchu.

Hisaulk zastąpił jej drogę nie pozwalając, by zmieniła kierunek marszu.

– Idź przed siebie. To tylko zadrapanie. Zawahała się, a w końcu ustąpiła.

Postanowił bardziej uważać na to, co robi. Ci szaleni ludzie byli zdolni do wszystkiego.

Czy zniżyliby się do tego, by krzywdzić dzieci? Hisaulkowi trudno było znieść taką myśl. Zdecydował, że lepiej nie ryzykować.

Wyglądało na to, że nie mają innego wyjścia, jak tylko towarzyszyć swym prześladowcom, idącym tropem konającego parasaurolophusa. Co prawda w ten sposób narażali się na niebezpieczeństwo; skoro jednak nie było sposobu, aby porozumieć się z ludźmi i uprzedzić ich o tym, najlepsze, co mógł w tej sytuacji zrobić, uspokoić rodzinę i trzymać się razem. Może nadarzy się okazja ucieczki?

– Musimy coś zrobić – powiedziała potykająca się obok nie, Shremaza.

W odpowiedzi potrząsnął w charakterystyczny sposób głową na długiej szyi: taki gest był tym samym, co u ludzi wzruszenie ramionami.

– A co możemy zrobić? Tylko mieć nadzieję, że gdy nadejdzie czas tego czcigodnego corythozaura, ci, którzy przybędą, by dokonać ostatnich obrządków, skoncentrują uwagę na nim, a nie na nas.

– Jest wcześnie – Shremaza spojrzała na niebo. – Wielu z tych którzy mają przyjść, ciągle jeszcze śpi.

– Przydałoby się opóźnienie – przyznał jej towarzysz. Śledzą umierającego parasaurolophusa żałował, że nie zna żadnej okolicznościowej pieśni. Wprawdzie rodzina mogłaby coś zaimprovizować i byłoby to właściwe zachowanie, ale nie chciał robić niczego, co mogłoby zaskoczyć ich gnębicieli. Biodro bolało go tam, gdzie dostał dźgnięcie. W ich sytuacji bezpieczeństwo rodziny było ważniejsze od etykiety. Był pewien, że gdyby stary corythozaur działał, co tu się dzieje, zrozumiałby.

Szlak wił się pomiędzy drzewami, lekko opadając w dół. Stopniowo Góry Grzbietowe przestawały być widoczne, bo coraz bardziej zasłaniała je roślinność. Las stawał się coraz bujniejszy. Tylko Smiggens naprawdę zwracał uwagę na zdumiewającą, wyjątkową florę. Reszta załogi nie zwykła poświęcać czasu na podziwianie żadnego piękna, o ile nie błyszczało.

Czy każdy zakątek świata tropików ma tu swojego zwierzęcego lub roślinnego przedstawiciela? – zastanawiał się pierwszy oficer. Czy nic na tej ziemi nigdy nie ginie, nie wymiera? Nawet ptaki pochodziły ze wszystkich kontynentów.

Ale to nie raj, przypomniał sobie. Ewa nie tknęła czarnych całunów dla smoków.

Tyle, że to nie „smoki”. Tego był pewien. Swoją drogą, niech szlag trafi tę zawodną pamięć!

Chumash pierwszy spostrzegł zbiorowisko ptaków o wielkich skrzydłach, krążących wysoko nad ich głowami. Taki widok znali ci, którzy spędzali życie na otwartych przestrzeniach.

– Niedaleko jest jakaś padlina – oświadczył z przekonaniem Lohanssen.

– I to duża – dodał amerykański Indianin. Blackstrap znów użył swego noża jako wskaźnika.

– Patrzcie tam. W środku koła, żebym tak nie dożył jutra, jeżeli nie są największe sępy, jakie ktokolwiek widział!

Wielu z piratów widywało amerykańskie sępy, a kilku nawet słynne orłosepy brodate. Andreas dobrze znał południowoamerykańskie kondory, od których wziął nazwę mocny statek piratów. Ale żaden z mężczyzn nigdy jeszcze nie widział pary argentawisów, które teraz wiodły prym wśród tańczących podniebego walca sprzątaczy odpadków. Każdy z dwóch osobników miał rozpiętość skrzydeł przekraczającą dwadzieścia stóp.

Co jakiś czas z ziemi podrywał się ku niebu niewidoczny wcześniej lotnik, a na jego miejscu lądował inny. Jasne było, że stado znalazło jakiś żer.

– Po co nasza bestia zmierza w tamtym kierunku? – zastanawiał się głośno Watford.

– Kto to wie? – Mkuse ścisnął w dłoniach karabin. – Wiele stworzeń ma sobie tylko właściwy sposób pożywania się.

– I umierania – dodał Anbaya. – Budda mówi...

– Nieważne, co mówi – warknął Blackstrap. – Idę o zakład, że sami zobaczymy niedługo, co się będzie działo.

– Może to zwierzę idzie na naturalne cmentarzysko – podsunął Smiggens. Wizja rozrzuconej wszędzie kości słoniowej gotowej do zebrania sprawiła, że każdy przyśpieszył kroku. Od takiego martwego smoka można by uzyskać mnóstwo zębów, a może i kły. W końcu znalazłoby się coś wartościowego, coś, co każdy łatwo rozpozna.

Szlak zwęzał się, aż wreszcie rosnące wzdłuż niego jak tunel drzewa, walczące o każdy promień słońca, zamknęły się za człapiącym parasaurolophusem, a piraci stracili go z oczu. Bojąc się zgubić zdobycz, posuwali się coraz szybciej, poganiając swych jeńców. Nie dopilnowany smok mógł się nawet zapaść pod ziemię. W miejscu, gdzie spotykało się tyle cudów, wszystko było możliwe.

Szlak skręcał ostro w lewo. Chwilę później zatrzymali się w biegu, chłonąc rozciągający się przed nimi widok. Widok, który byłby wyzwaniem dla pędzla Bierstadta i pióra Edgara Allana Poe. Uczony Smiggens wyszeptał pod nosem:

– Zaprawdę, jest to miejsce, gdzie sam kościół by się pomodlił.

Patrzyli na zdumiewający pejzaż, którego niezwykłości nie mógł przyćmić nawet odór śmierci. Było to miejsce wielkiej ciszy i spokoju, regeneracji i rozkładu. Miejsce pożegnań i nowych początków, narodzin i trwania. Niejeden mężczyzna i niejedna kobieta patrząc na to miejsce widzieliby tylko ponurą ruinę, ale Smiggens ujrzał samą Naturę, złożoną i cudowną, pogrążoną w dziele przeistaczania świata.

Panujący tu fetor był tak silny i wszechobecny, że nie było przed nim ucieczki. Wielu piratów poczęło naciągać na twarze chusty, nadaremnie próbując zasłonić nosy i usta. Tylko ci spośród członków załogi, którzy pływali kiedyś na statkach wielorybnych, mieli nie gdyś okazję doświadczyć czegoś podobnego.

Szczęściem nie było wśród nich nikogo przesadnie wrażliwego. Tym mężczyznom nie był obcy smród śmierci i rozkładających się ciał.

Ogrodem, jaki tu rozkwitał, mógłby zarządzać sam mistrz Hieronim Bosh. Egzotyczne kwiaty i soczyste liście wyrastały pośród kości, pnąc się po gigantycznych żebrach i kościach udowych tak ochoczo, jak pnące róże ozdabiające kratki altany. Orchidee strzelały z nieruchomych, wybielonych słońcem szczęk, a winorośl poila się wodą nagromadzoną w zagłębieniach rozsypanych kręgów. Można by tu naliczyć setki, a może i tysiące szkieletów. A przecież, choć przejęci grozą przybysze nie mogli o tym wiedzieć, miejsce to było tylko jednym z kilku w Deszczowej Dolinie. Rozkładające się palącym słońcu mięśnie tych, co przybyli tu najpóźniej, wciąż jeszcze trzymały się kości.

Gapiąc się na największe cmentarzysko, jakie kiedykolwiek widzieli, piraci w dalszym ciągu posuwali się śladem mocno już chwiejącego się na nogach corythozaura.

Samuel wskazał na stos wyjątkowo okazałych żeber i kręgów.

– Nie wiedziałem, że góry mają kości. Spójrzcie na rozmiar tych nóg!

– Spokój, ludzie! – Nawet Blackstrap był przygaszony. – To wszystko jest martwe, słowo daję. Widzicie te ptaki?

Sępy wszelkich kształtów i rozmiarów na widok przybyszów przerywały na chwilę sekcję zwłok tylko po to, by po ich przejściu powrócić do ulubionego zajęcia. Dzioby, na tyle mocne, że mogły by odciąć ludzką nogę, natychmiast przystępowały ponownie do szarpania i rozrywania leżących szkieletów.

Wyprostowany jak struna Chin-lee kroczył dumnie z wysuniętym podbródkiem i wyrazem człowieka, który dowiódł słuszności swych przypuszczeń.

– No... – oświadczył tonem, w którym kryła się niewzruszona pewność, poparta kilkoma tysiącletnimi tradycjami –...jeśli to nie kości smoka, to powiedzcie czyje!

– Jestem bliski poddania się, Chińczyku – Smiggens odgarnął do tyłu włosy – ale jeszcze nie do końca. Mam właściwe słowo na końcu języka i na pewno je sobie przypomnę.

– Dobrze, że nie musimy polegać na pańskiej pamięci, kiedy jesteśmy w tarapatkach, panie Smiggens – uśmiechnął się z przekąsem O'Connor.

– Taaa... – zgodził się Watford. – Gdyby w środku walki pan Smiggens zatrzymał się na chwilę, żeby coś sobie przypomnieć, byle majtek wyprułby mu flaki.

Kilku mężczyzn ryknęło śmiechem, rozwiewając na moment melancholijny nastrój tego miejsca.

Na plus należało zapisać Smiggensowi to, że roześmiał się wraz z innymi. W przeciwieństwie do niektórych nie był zbyt wyniosły na to, by zażartować z samego siebie.

– Większy od słonia. – Mkuse zmierzył krokami długość mijanego szkieletu. – Większy od dziesięciu słoni.

– Mieliśmy zjeść coś solidnego, kapitanie – przypomniał szefowi Davies. – Może znajdziemy tu coś świeżego.

– Racja! – przyznał z entuzjazmem Blackstrap. – Jeden taki kolos mógłby wyżywić przez tydzień całą cholerną flotę Jej Królewskiej Mości.

Idąc wciąż śladem chwiejącego się na nogach parasaurolophus i minęli następne zwłoki. Miały czaszkę jak z koszmarne snu. Sterczały z niej kolce, rogi i kryza. Łeb następnego szkieletu przypominał głowę idącego przed piratami zwierzęcia. Wyglądał, zauważył Copperhead, jak czaszka matki wszystkich kaczek. Smiggens zdołał naliczyć w jej szczękach ponad tysiąc zębów trzonowych, w końcu dał sobie spokój i ruszył dalej.

Nieco mniejsze zwłoki, wyglądające stosunkowo świeżo, kusila okazałym udźcem. Piraci postanowili skorzystać z okazji i upiec co nad ogniskiem. Dwaj rośli żeglarze umocowali go na żerdzi, unieśli ją i oparli na ramionach.

– Patrzcie! – gwizdnęła Shremaza. – Aż trudno mi w to uwierzyć!

– Co oni mają zamiar z tym zrobić, ojczy? – zapytał Hisaulka Arimat.

Hisaulk odpowiedział ostrożnie, nie chcąc zbyt przstraszyć syna:

– Podobno, zanim ludzie przybyli do Dinotopii, mieli zwyczaj jadać mięsa innych żywych stworzeń.

– Tak jak jedzą ryby? – Tryli niepewnie zamrugła oczami.

– Właśnie tak. Nie możemy winić tych mężczyzn – bo jesteśmy przekonani, że są to wyłącznie ludzie płci męskiej – za to, co robią. Są po prostu pozbawieni odpowiedniego wykształcenia.

– A czy można ich kształcić? – zapytał Arimat.

– Każdego można – odrzekł Hisaulk, myśląc z wyrozumiałością o prześladowcach. – Brak wiedzy nie powinien świadczyć przeciwko nim. W końcu są tylko ssakami.

Dorośle struli nie próbowały chronić dzieci przed przykrym widokiem. Tak samo jak rodzice należący do gatunku ludzkiego, rodzice-dinozaury dobrze wiedzieli, że ukrywanie czegokolwiek przed potomstwem tylko wzmacnia ciekawość i chęć do zgłębiania tajemnic. Lepiej wyjaśniać sekrety niż drażnić dzieci ich ukrywaniem. Było to częścią programu edukacji obowiązującego w Dinotopii.

Spojrzenie Hisaulka powędrowało ponad głowami rozgadanych prześladowców, ponad cmentarzyskiem przypominającym krajobraz po trzęsieniu ziemi, ponad kwiatami, zaroślami i drzewami ku parnej, niezmiętej przestrzeni Deszczowej Doliny. Gdzieś tam było jego najstarsze

dziecko, samotne i wystraszone.

Keelk, pomyślał żarliwie, musisz znaleźć pomoc. I to szybko. Ale żeby tego dokonać, musisz przetrwać.

Jeśli ci ludzie byli do tego stopnia barbarzyńcami, że nie wzdrali się przed zjedzeniem zwłok, to jak zachowaliby się, gdyby za brakło im pożywienia, powiedzmy na Wielkiej Pustyni? Czy spój rzeliby wtedy innym okiem na niego i jego rodzinę? Choć wielu rodziców uznałoby taką sytuację za niemożliwą, Hisaulk wolał spojrzeć prawdzie w oczy. Taka była rzeczywistość i musiał się z nią liczyć.

Mieszkańcy Dinotopii stawiali czoło rzeczywistości od przeszło stu milionów lat i w konsekwencji udało im się przetrwać, pod czas gdy inne cywilizacje wymarły.

Blackstrap uniósł nóż.

– Przestańcie mleć ozorami! Nie zauważyliście, że bestia się zatrzymuje?!

Istotnie. Corythozaur stanął w końcu obok szkieletów tuzina różnych stworzeń, spoczywających pośród zwalonych drzew. Może to ulewny deszcz podmył ich korzenie, w każdym razie powstał wylom pomiędzy dziko rozrastającą się zielenią.

Opadłszy na cztery łapy, parasaurolophus uniósł potężny zad wyżej niż ramiona i głowa i oddychał spazmatycznie. Piraci słyszeli gwizd powietrza wciąganego przez zwierzę. Stare płuca, rozdęte do granic możliwości, ledwo mogły je pomieścić.

W końcu zwierzę wypuściło powietrze. Towarzyszył temu tak subtelnie modulowany dźwięk, że kilku zahartowanym marynarzom zakręciły się w oczach łzy. To była pieśń, co do tego nie mieli żadnych wątpliwości. Precyzyjnie skomponowany utwór żałobny, nabrzmiały wspomnieniami z długiego i bujnego życia, wysoki, melodyjny ton trwający przez jedno tchnienie zwierzęcia.

Gdy ostatni dźwięk rozplął się jak wstęga piany po cofającej się fali, razem z nim uleciała dusza śpiewającego stworzenia. Corythiosaurus wdzięcznie i z godnością opuścił się na brzuch, jak pies układający się przed kominkiem, po czym zamknął oczy. Wielka pierś zadrżała dwa lub trzy razy, jak fok w ostatnim, słabym powiewie wieczornej bryzy, a potem zamarła w bezruchu.

Było po wszystkim.

– No tak... – Smiggens ukradkiem otarł oczy.

– Co „tak”?! – Blackstrap bynajmniej nie był poruszony tą sceną. – Bestia zdechła i koniec. W samą porę. Już się bałem, że będziemy musieli lecieć za przeklętym zwierzakiem przez pół tej choleralnej wyspy, bo to na pewno musi być wyspa. Co o tym sądzisz, Smiggens? Może masz ochotę nadać temu miejscu nazwę, co? Twoje nazwisko byłoby w jakiejś choleralnej encyklopedii. Podobałoby ci się to.

– Żeby choć w odnośniku... – mruknął pierwszy oficer. Blackstrap spojrzał na niego groźnie.

– A to co znowu, panie Smiggens?

– Nic, kapitanie. – Smiggens wziął głęboki oddech. – Może by ususzyć trochę mięsa?

– Zajmę się tym – oświadczył Thomas. – Bez trudu zapełnimy ładownię statku. Wystarczyłoby na podróż dookoła Afryki.

Blackstrap spojrzał ponad zwłokami przypominającymi trochę sfinksa.

– Może powinniśmy zabrać ze sobą trochę tych kości? Co pan na to, panie Smiggens?

– Niezły pomysł. Ale najpierw zobaczymy, co jeszcze uda nam się znaleźć. Osobiście uważam żywe okazy za cenniejsze.

Ciche, nieruchome, jeszcze nie tknięte zwłoki stworzenia, za którym tu przyszli, napawały go dziwnym niepokojem. Ono było zbyt opanowane, umierało za spokojnie jak na zwyczajne zwierzę.

Albo może my umieramy zanadto nerwowo, pomyślał.

– Skóra... – zaczął, głównie chyba po to, by odwrócić swe myśli od tej śmierci – skóra powinna być naprawdę cenna. Można by z niej zrobić wspaniałe buty.

Blackstrap nie zwracał już na niego uwagi. Zauważywszy nastrój załogi, wpadł w szal.

– Co to znowu, do kroćset! – spiorunował wzrokiem stojących kołem mężczyzn. – Kiedyż to po raz ostatni któryś z was płakał nad zdychającym psem, co?!

– Jeszcze nigdy nie słyszałem psa śpiewającego własną pieśń żałobną, kapitanie.

Blackstrap odwrócił się do O’Connora.

– Nie słyszałeś? – Podszedł bliżej, wyciągnął z pochwy jeden ze swoich noży i przytknął go do podbródka marynarza. – Jesteś przecież świetnym irlandzkim tenorem, panie O’Connor.

Pirat spojrzał nerwowo na ostrze.

– No, cóż, kapitanie... Nie wiem... Niektórzy mówią...

Ostrze ukłuło Irlandczyka w szyję, aż drgnął.

– Niektórzy? Ja to mówię, panie O’Connor. No, śpiewaj.

– Co? Teraz? – marynarz spojrzał zaskoczony.

– Taaa... Nie chcesz nam zaśpiewać pieśni o własnej śmierci? O’Connor pocił się obficie i to nie z powodu upału. – Kapitanie, ja...

Blackstrap cofnął ostrze noża.

– Co, nie masz ochoty? W porządku. Niech będzie coś żywsze go. Dla rozweselenia kolegów.

Kapitan przyjrzał się znowu twarzom piratów.

– Na tym cholernym cmentarzysku przydałoby się parę skocznych nutek.

– Jasne, jasne – podchwycił nerwowo O’Connor i natychmiast zaintonował monotonną szantę, ulubioną pieśń załogi. Gdy Blackstrap przestał zwracać na niego uwagę, wzmocnił głos, a paru towarzyszy przyłączyło się do niego. Po chwili nad szczątkami rozbrzmiewał chór mocnych głosów.

– Posłuchaj ich – odezwała się Shremaza. Rodzina stała w cieniu drzewa, pilnowana przez pół tuzina czujnych strażników. – Robią strasznie dużo hałasu – rozejrzała się nerwowo. – Stanowczo zachowują się za głośno.

– Wiem – odrzekł Hisaulk wyginając szyją i głowę, by obejrzeć krępujące go więzy. – Musimy uwolnić się od tych lin, zanim...

Odgłos tratowanych młodych drzewek i trzask łamanych gałęzi przerwał jego wypowiedź. Czwórka strutich odwróciła się natychmiast w kierunku hałasu, ale jego sprawcą okazało się jakieś nieduże, niewinne stworzenie, spłoszone ochrypłym śpiewem. Hisaulk odetchnął z ulgą.

– Jak można tak hałasować przy świeżych zwłokach? – ciągnęli Shremaza.

Skinęła głową w kierunku nieruchomego ciała corythozaura, kolory dopiero niedawno ułożył się na wieczny spoczynek. Jego powłoka cielesna i wyzwolona z niej dusza odpoczywały już w pokoju.

– Nie damy rady nic zrobić. Nie możemy ich ostrzec, bo nas nie rozumieją. Nawet nie chcą spróbować nas zrozumieć.

– Dowiedzą się – stwierdził zdecydowanie Arimat.

– O tak, dowiedzą się – Hisaulk patrzył w nieprzeniknioną głąb lasu. – Tylko wtedy wolałbym już być gdzie indziej.

IX

Dobra robota. – Blackstrap cofnął się kilka kroków i obejrzał po stepujące prace. – Co, panie Smiggens?

Pierwszy oficer przytaknął.

– Mocna palisada, kapitanie. Pewna. Jak ją skończymy, będziemy mieć wspaniałą bazę wypadową do penetrowania okolicy.

Ogrodzenie otaczało kręgiem niewielki pagórek pośrodku cmentarzyska. Zbudowane głównie z ogromnych żeber znalezionych w pobliżu i powiązanych lianami, stanowiło mur obronny nie do przebycia. Każde zebro tkwiło podstawą głęboko w ziemi, jego zaś ostry koniec skierowany był na zewnątrz. Stworzenie, które by chciało pokonać taką fortyfikację, musiałyby być doprawdy niespełna rozumu.

Piraci zamierzali uczynić ze Smoczego Fortu, jak jednogłośnie nazwano obozowisko, miejsce do gromadzenia łupów, które zamierzali zdobyć na nie zbadanych jeszcze obszarach. To, że na razie nie znaleźli nic, co by te łupy przypominało, bynajmniej ich nie zniechęcało.

Prostą bramę z kości udekorowano dwiema czaszkami, również wygrzebanymi z cmentarzyska. Rodzina strutich nie przeżyła wstrząsu widząc wesołość piratów mocujących czaszki; kości to nie mięso i ich praktyczne wykorzystywanie zdarzało się też wśród cywilizowanych mieszkańców Dinotopii. Często w podobny sposób czczono zmarłych.

Hisaulk nigdy by nie podejrzewał, że prześladowcy mogą tej znać takie zwyczaje. Chyba po raz pierwszy zachowali się jak cywilizowani ludzie.

I dzięki Bogu przestali śpiewać.

Jednak rodzinie daleko było jeszcze do spokoju. Ci ludzie zbudowali swoją siedzibę zbyt blisko świeżych zwłok. Niebezpieczeństwo wcale nie zniknęło. Nieszczęście prędzej czy później musiało nadejść. Rodzina wciąż była czujna.

Mgła i noc otuliły Deszczową Dolinę i pograżyły w dusznej ciemności. W obozowisku piratów płonęło ognisko na tyle jasne, że rozwiewało opary nocy. Korzystając z ciepła wesoło trzaskającego ognia, podsycali stos drewnem, które najpierw zebrali lub ścięli i wysuszyli, zanim zostało rzucone w płomień.

O'Connor podszedł do pierwszego oficera i zaczął pogawędkę.

– Te śmieszne zwierzaki są strasznie gadatliwe – powiedział, wskazując paplające cicho sthuthiomimusy. – Jak pan sądzi, panie Smiggens, o czym tak trajkoczą?

Wyciągnięty na ziemi pierwszy oficer nie podniósł nawet głowy.

– Kto to wie, O'Connor? W naturze ptaków leży robienie hałasu. A te są bardzo podobne do ptaków. Brakuje im tylko piór i skrzydeł.

– Widziałem kiedyś tuzin papug stłoczonych na jednej gałęzi – odezwał się z boku Thomas. – Terkotały jak stare baby na jarmarku.

– Piękne zwierzaki, no nie? – O'Connor przyjrzał się uważnie stworzeniom.

– Taaa... – Wszyscy odwrócili się do kapitana, który stanął za nimi. – Piękne jak skrzynia świeżo bitych monet. To nasza fortuna, koledzy. Gdyby jeszcze udało się zdobyć ze dwie takie sztuki, może tym razem trochę większe, to czuję, że byłbym zadowolony.

Niespodziewanie zimny podmuch suchego wiatru przemknął przez obozowisko, wzbudzając włosy i nerwy piratów. Thomas niespokojnie spojrział w niebo.

– Nie podoba mi się ta bryza, kapitanie. Tamten sztorm ciągle może czai się na morzu.

– Zapomnij o tym cholernym sztormie, panie Thomas. Tu jesteśmy całkiem bezpieczni, a tamci na statku poradzą sobie. To właśnie ten sztorm rzucił nas tutaj. Pech zamienił się w szczęście, słowo daję! – Rozejrzył się po wierzchołkach drzew widocznych ponad murem z kości. – Określimy dokładnie położenie tego kraju, szerokość i długość geograficzną. To będzie nasz własny teren łowiecki, źródło zaopatrzenia dla towarzystw zoologicznych i instytutów naukowych na całym świecie... że nie wspomnę o leniwych bogaczach. Wyobrażacie sobie samą królową, pro wadzącą jedną z naszych najmniejszych ślicznotek na smyczy ozdobionej drogimi kamieniami? – Szturchnął nogą pierwszego oficera. – Co o tym myślisz, panie Smiggens? Po latach rozbojów i kradzieży rozmaitych kosztowności nagle znajdziemy się w środku kwitnącego interesu, handluj zwierzątkami domowymi! – zaśmiał się rubaszenie, ubawiony własnym dowcipem. Inni śmiali się razem z nim. Nawet pierwszy oficer zdobył się na uśmiech.

Śmiechy zamarły, gdy zza białej palisady ozwał się nagle niski, gardłowy chichot.

Thomas spojrział nerwowo na ogrodzenie.

– Słyszeliście?

– Ee... A niby co mieliśmy słyszeć? – O'Connor złapał go za nogę i pociągnął.

Jamajczyk odskoczył. Oczy mu się zwężyły.

– Ostrzegam cię, Irlandczyku! Więcej tego nie próbuj.

– Nie widzisz, człowieku, że psujesz miły wieczorny nastrój? Tam nic nie ma.

„Nic” za palisadą ryknęło jeszcze raz, wystarczająco wyraźnie i głośno, by tym razem przekonać nawet cynicznego O'Connora.

– Matko MacRee... – zamruczał. – Teraz słyszę! Na pewno. Blackstrap ze srogą miną przepchnął się przez swoich ludzi, w każdej ręce ścisnął rewolwer.

– Do broni, panowie! Wygląda mi na to, że mamy gościa. I to takiego, co nie zważa na późną porę.

Rozległ się szcęk przeładowywanych rewolwerów i wyciąganej z pochw białej broni. Wszyscy, z wyjątkiem strażników pilnujących jeńców, stłoczyli się przed ogniskiem. Rodzina strutich, co nie uszło uwagi Smiggensa, stała bez ruchu patrząc w noc, która nagle wydała się złowroga.

Tuż za ogrodzeniem zaszumiały liście.

– Widzisz coś, panie Smiggens? – szepnął Blackstrap do swego pierwszego oficera.

– Nie, sir. Nic a nic.

– Ale słyszysz, no nie? Czy to lew?

– To nie lew, kapitanie. – Mkuse instynktownie wysunął przed siebie karabin jak włócznię. – Słyszałem wiele lwów. One jęczą albo kaszlą. Nie wydają takich dźwięków jak te.

Po raz trzeci przetoczył się nad nimi niesamowity ryk, podobny do grzmotu. Jeden z marynarzy cofnął się powoli, dopóki nie poczuł, że płomienie liżą mu spodnie.

– Co za diabeł? – mruknął Copperhead.

– Taaa... – wymamrotał cicho Smiggens. – Diabeł, w samej rzeczy.

Za palisadą, otaczającą zatrwożonych ludzi, czyjś ciekawy i uważny wzrok badał konstrukcję ze zdumieniem. Nie było jej tu trzy dni temu. Czyżby ludzie złamali niepisaną umowę i zaczęli budować w Deszczowej Dolinie? Wśród plemion zamieszkujących tropikalny las nic o tym nie wspominało.

Trudno było uwierzyć, by ludzie traktowali tę budowlę poważnie. Jedno szybkie kopnięcie – żaden problem dla dorosłego, mierzącego trzydzieści stóp megalozaura – łatwo przewróciłoby tę wątłą ścianę.

Megalozaur spojrział na ogień i tłoczące się na jego tle drobne ludzkie sylwetki. Jak wszyscy

członkowie dinozaurzej części społeczności Dinotopii, był inteligentny. Podobnie jak reszta przedstawicieli jego gatunku, po prostu odrzucał zdobycze cywilizacji, woląc mieszkać w Deszczowej Dolinie w warunkach zbliżonych do łych, w jakich żyli jego przodkowie.

To mogło okazać się niefortunne dla tych pechowców, którzy weszli mu w drogę.

Zgodnie z prawem, ktokolwiek przybywał do Deszczowej Doliny, czy to gigantyczny dinozaur sauropoda, czy to człowiek, winien był przestrzegać obowiązujących tu zasad. Wiedzieli o tym wszyscy ludzie. Ci także powinni byli o tym wiedzieć. Tym bardziej więc ich obecność w tym miejscu, podobnie jak ta żalosna konstrukcja, nie dawały się w żaden sposób wytłumaczyć.

Zastanawiał się, czy nie podejść i nie rozwalić tej lichej ściany. Rozbawiło go wyobrażenie pierzchających w panice ludzi. Ślina wypływająca spomiędzy wielkich zębów sływała mu po potężnej szczęce. Nigdy jeszcze nie miał okazji zapolować na żywych ludzi. Nigdy nie znalazł się wśród drapieżników napadających na karawany. Nadarżająca się gratka była więc dość kusząca. Smak ludzkiego mięsa jakoś go do tej pory omijał, a jakaś rozrywka też by się przydała.

Uznał jednak, że byłoby to niesportowe zachowanie. Ludzie nie byli opancerzeni, a ich jedyną eskortę z ramienia dinozaurów stanowiła czwórka sthruthiomimusów, które w walce byłyby bardziej niż bezużyteczne. Ludzie byli ślamazarni i delikatni. Z pewnością nie stanowili godnego wyzwania dla dorosłego megalozaura.

A może coś ukrywali? Wielki mięsożerca mógł powoli myśleć, ile nie był idiotą. Ludzie byli znani z jednej rzeczy: z przebiegłości.

Nawet w Deszczowej Dolinie próbowali oszukiwać. Czy zachęcali go do ataku tylko po to, by następnie spłatać jego łatwowiernej osobie jakiegoś brzydkiego figla? Wyłącznie kły i pazury mogły to załatwić.

Mocno pociągnął nosem. Ci ludzie potężnie cuchnęli, co sami w sobie było niezwykle. Poczul też zapach oceanu. Ale nie ryb, które podróżnicy z Deszczowej Doliny wręczali jako opłatę za bezpieczny przejazd żyjącym tu drapieżnikom. Już sam brak tej daniny wystarczyłby za powód do ataku.

Megalozaur przysunął się bliżej i ponad prowizorycznym murem zajrzał do wnętrza ogrodzonego obozowiska. W ten sposób znalazł się w kręgu światła bijącego z ogniska.

Jeden z ludzi wydał rozdzierający krzyk i rzucił się do ucieczki. Drugi, dużo większy, wyróżniający się zarostem na twarzy, dogonił go i uderzył w głowę małym, zakrzywionym przedmiotem. Pierwszy człowiek natychmiast upadł, nieprzytomny.

Megalozaur nie posiadał się ze zdumienia. To było wyjątkowo ekscentryczne zachowanie, nawet jak na ludzi. Czy ci tutaj grali w jakąś grę? A może polowali na siebie? Ale duży człowiek nie okazywał najmniejszej ochoty, by zjeść tego, którego powalił.

Odwrócił wielką głowę w prawo i spojrzał na największego ze sthruthiomimusów. Ich oczy spotkały się. We wzroku tamtego dostrzegł przynajmniej solidną porcję strachu. Potem zauważył, że stworzenia mają związane ręce i nogi, a końce lin trzyma kilku ludzi. To niewątpliwie jakaś gra, zdecydował drapieżnik. Pozostawało pytanie, czy ma się do niej przyłączyć.

No cóż, jeśli tak, to na jego zasadach.

Próbował to zrozumieć. Na pewno byli to najdziwniejsi ludzie, jacy zawitali do Deszczowej Doliny ostatnimi czasy. Czyjego krewniacy zaobserwowali kiedykolwiek tak nienormalne zachowanie? Choć drapieżniki rzadko ze sobą rozmawiały i była to zazwyczaj dość sztywna konwersacja, postanowił wypytać któregoś dokładnie.

Kiedy ujrzał udziec, który ludzie Blackstrapa przynieśli do obozu, zamęt w jego głowie jeszcze się zwiększył. Czyżby niektórzy ludzie stali się nagle mięsożernymi drapieżnikami? Krążyły

wprawdzie plotki, że kiedyś jadali mięso, ale to były tylko pogłoski, których prawdziwości megalozaur nie mógł potwierdzić. Wiedział tylko, że jadają ryby. To wszystko.

Chociaż, jak się nad tym zastanowić... Czyż ludzie nie chodzą na dwóch nogach, jak wielkie drapieżniki? Czy nie mają oczu z przodu głowy, a nie po bokach? Oczywiście zęby mają zupełnie nieodpowiednie, ale przecież wymyślili zęby z metalu, które gryzą za nich. Zastanawiając się tak nad smakiem ludzkiego mięsa i jednocześnie nad pobudkami kierującymi tymi ludźmi, megalozaur był w wielkiej rozterce. Miał pogadać z obcymi czy ich zjeść? Postąpił jeszcze krok naprzód.

Usłyszał kilka głośnych huków i instynktownie szarpnął się w bok. Hałas pochodził z długich rur, które ludzie wymierzili w jego kierunku. Nie znając fajerwerków, ani takich wymyślnych, ani żadnych innych, zamrugał tylko oczami. Kilka małych, niewidzialnych żudeł ukłuło go w pierś i w brzuch.

Czy w ten sposób zapraszali go do udziału w grze? Jeśli tak, to jak powinien się zachować? Zjeść tych z rurami, czy też zostawić ich w spokoju i zamiast nich skosztować ich spokojniejszych towarzyszy? Sytuacja była intrygująca i kłopotliwa.

Największy człowiek zaczął od powalenia na ziemię jednego ze swoich, a zaraz potem wycelowali rury. Megalozaur zastanawiał się, czyby nie skoczyć przez ogrodzenie i nie powalić dużego człowieka. Czy inni uznaliby to za prawidłowe postępowanie? Tamten człowiek nie przeżyłby oczywiście takiego zagrania, ale stanowiłby smaczną zakąskę.

Rury huknęły ponownie i znów coś małego, szybkiego jak błyskawica ukłuło go w pierś. Wyciągnął trójpalczastą łapę i podrapał się w piekące miejsca. Potem pochylił głowę i obwąchał je. Podziwiał dziwny zapach. Jakby spalonej ziemi.

Stwierdziwszy nagle, że cokolwiek się tu dzieje, on sam wcale nie jest głodny, zaszczycił gromadkę ludzi ostatnim pogardliwym parsknięciem, odwrócił się od nich i zanurzył z powrotem w znajomej głębi lasu. Kontakt z tymi ludźmi niósł ze sobą zbyt wiele możliwości, a tyle nieznanych rzeczy na raz było bardzo kłopotliwe. Drapieżniki nie lubiły skomplikowanych sytuacji. Ludzie wymagali zbyt dużo myślenia, niewiele dając w zamian. Mocną stroną megalozaurów było rozszarpywanie, a nie zastanawianie się. Przedstawiciele tego gatunku nigdy nie interesowali się długo jedną sprawą.

Wielki mięsożerca zastanowił się odchodząc, czy nie powinien tu powrócić za parę dni, kiedy zgłodnieje, pożywić się nimi wszystkimi, obojętne w co grają. Lecz na razie, mając pełny brzuch, potrzebował jedynie snu. Spanie było jedną z trzech rzeczy, które wychodziły megalozaurom najlepiej.

Usłyszał za sobą jakieś krzyki, zatrzymał się i spojrzął przez ramię. Zobaczył, że ludzie podbiegli do ogrodzenia i przywarli do szpar między kośćmi użytymi na płot. Krzyczeli i machali do niego. Ich długie rury znów głośno przemówiły.

Coraz dziwniejsza sytuacja! Czyżby aż tak chcieli zostać zjedzeni, że przywoływali go z powrotem? Zawahał się.!

Nie, zdecydował w końcu. Pewnie dłużej zabawią w tej okolicy, więc zje ich wtedy, kiedy wróci mu apetyt, nie wcześniej. Jego system trawienny domagał się odpoczynku. Zdecydowawszy, że wróci tu za dwa tygodnie, odwrócił się od obozu i idąc przed siebie zastanawiał się, gdzie by tu znaleźć miękkie posłanie, dobre do wytarzania się i odpoczynku. Po drodze przetarł długim jęzorem kącik jednego ze swoich jasnożółtych oczu. Myślenie powodowało u niego senność.

W ciemności pojawił się jakiś wielki kształt; mało brakowało, żeby megalozaur wszedł mu w drogę. Zgodnie z miejscowym *savoir vivre*'em zatrzymał się i przepuścił tego drugiego. Choć mieszkańcy Deszczowej Doliny stronili od cywilizacji, wypracowali sobie własny protokół i

stosowali się do jego zasad. Megalozaur był tylko jednym z wielu tutejszych drapieżników, i to wcale nie największym. Chętnie ustępował z drogi temu, kto przerastał go rozmiarami.

Za kościaną palisadą piraci gratulowali sobie nawzajem zwycięstwa. Wznosili radosne okrzyki, przekonani, że to ich zdecydowanie połączone z odwagą kazało zawrócić temu potworowi rodem z wyobraźni Dantego.

– Spójrzcie, jak ucieka! – Andreas, wyglądający przez szparę pomiędzy dwoma gigantycznymi zębami, ledwo mógł nad sobą zapanować. – Już nie wróci!

– Taaa... – Blackstrap wsunął nóż z powrotem do pochwy. – Sami widzicie, że przy odrobinie odwagi i z pomocą kilku celnych strzałów człowiek może poradzić sobie ze wszystkim! Nawet z największym potworem wymyślonym przez naturę. Założę się, chłopcy, że trafiliśmy tę bestię z tuzin razy, albo więcej!

– Nie zauważyłem krwi.

– No i co z tego, panie Smiggens? – kapitan odwrócił się do swego pierwszego oficera.

Smiggens podniósł się ze swojego miejsca. Oddychał już mniej więcej normalnie. Zamiast spojrzeć na kapitana, wlepił wzrok w groźną ciemność.

– Powiedziałem, że nie było krwi. Nie sądzę, by któryś z naszych pocisków przebił skórę tamtego zwierza. Jest za gruba.

Blackstrapa zamurowało.

– Może i tak było... Ale w takim razie sam widok i huk naszej broni wystarczył, by wypłoszyć bydlę! Tak uważam!

– Czyżby? – Smiggens odwrócił twarz w stronę swego szefa. – A niby dlaczego miałyby je to wystraszyć? W tym kraju musi być do cholery i trochę błyskawic i grzmotów. Więc dlaczego to zwierzę miałyby się bać trzasku kilku karabinów?

Blackstrap wykrzywił twarz w intelektualnym wysiłku.

– W porządku! – ryknął w końcu. – To może mi powiesz, ty cholerny, zafajdany mądralo, dlaczego bestia odwróciła się i uciekła?!

– Może dobrze się panu przyjrzała, kapitanie? – Copperhead uważał, by nie powiedzieć tego za głośno.

– Taaa... – szepnął Samuel. – Taki widok wystarczyłby, żeby wystraszyć tuzin diabłów.

Blackstrap odwrócił się.

– Ej, wy dwaj, o czym tak mamroczenie?

– O niczym, kapitanie – odrzekł niewinnie Copperhead.

– Mówię tylko – ciągnął Smiggens – że nie mamy podstaw, by sądzić, iż to my spowodowaliśmy ucieczkę bestii. Nie mamy dowodów na to, że nasze strzały wywarły na niej jakieś wrażenie.

– Więc dlaczego uciekła, do jasnej cholery?! – natarł Blackstrap.

Pierwszy oficer rozłożył ręce.

– A kto to wie? Może ją to znudziło? Możliwe też, że zobaczyła lub wywąchała coś, co wydało jej się bardziej łakomym kąskiem. Może uznała, że nie warto zawracać sobie nami głowy, albo też nie spodobał jej się nasz zapach.

Odwrócił się w stronę palisady i spojrzał w noc.

– Cokolwiek kazało się jej wycofać, niech będą za to dzięki Opatrzności. Widzieliście jej zęby?

– Do diabła z zębami... – Johanssen zabrał się do czyszczenia broni. – Widzieliście, jaka była wielka?

– Jedno z największych zwierząt. – Chumash przesunął dłonią po gładkiej krzywiznie wielkiego zębra w palisadzie. Stojący obok mego Chin-lee wyglądał na ponuro usatysfakcjonowanego.

– Pan mi powie, to nie smok, co, panie Smiggens? Blackstrap spojrział groźnie na pierwszego oficera.

– Smok czy nie smok, to my go wypłoszyliśmy i koniec. Smiggens przezornie wolał się nie spierać. Ale gniew kapitana zniknął równie szybko, jak się pojawił.

– Milion funtów szterlingów, chłopcy! Tyle zapłaciłoby londyńskie zoo za takiego zwierzaka. A my bylibyśmy sławni! Słowo daję!

– Łatwiej takiego przepędzić niż schwytać – skomentował jeden z marynarzy. – Byłyby duże trudności.

– Musi być jakiś sposób! – Blackstrap zmrużył oczy podkręci jąć węża.

Smiggens spojrział na niego i ze zdumienia otworzył usta.

– Nie mówisz tego poważnie, Brognar. Kapitan spojrział na pierwszego oficera.

– Kiedy chodzi o taką stawkę, panie Smiggens, jestem zawsze śmiertelnie poważny.

– „Śmiertelnie” to może być właściwe słowo... – bąknął Smiggens.

– Nawet gdyby udało nam się schwytać i spętać takie zwierzę kapitanie, to jak zabralibyśmy je z powrotem na statek? – Watfon wsunął rewolwer do kabury na piersi. – Żeby nie wiem jak je obrać, to nie przeciwie się takiej bestii przez kanion, którym tu przy szliśmy. To jakby próbować przeciągnąć sztag przez ucho igły.

– To prawda, panie Watford... – Blackstrap rozważał ten wiele skomplikowany problem. – Ale może... tylko może, mówię... znalazł by się inny sposób.

Część ludzi skupiła się wokół niego. Inni pozostali na swych miejscach, ale wszyscy słuchali uważnie. Przekonani, że przepędzili właśnie potwora z najgorszych koszmarów nocnych, nie od mówiliby w tym momencie niczego swojemu kapitanowi. Od czasu opuszczenia pokładu „Kondora” ich morale nigdy nie było wysokie.

Udając obojętność, Blackstrap spojrział na nich z niechętnym błyskiem w oku.

– Eee... Może nie ma o czym gadać, chłopcy. To tylko fantazja. Dajcie mi to wypolerować, a zobaczymy, czy będzie błyszczeć. A na razie moglibyśmy się wszyscy zdrzemnąć. – Uchwycił spojrzeniem wzrok Mkuse. – Wystawimy czterech ludzi, panie Mkuse. Po jednym na każdą stronę świata. Dobierz sobie kompanów do pierwszej warty.

– Tak jest, kapitanie. – Zulus spojrział w kierunku jeńców. – I jeszcze dwóch do pilnowania naszych skarbów.

– A tak, trzeba na nie uważać – mruknął ktoś. – Spójrzcie.

Na widok zbliżającego się drapieznika dwa młode osobniki opróżniły pęcherze. Były tak skrępowane więzami, że nie mogły zrobić nic więcej, niż tylko stłoczyć się za rodzicami, którzy próbowali uspokoić swe potomstwo. Ci z piratów, którzy uznali tę rodzinną scenę raczej za żalną niż zabawną, woleli zatrzymać te odczucia przy sobie, żeby nie narażać się na drwiny ze strony kolegów lub kapitana.

Przeżywając jeszcze raz wielkie zwycięstwo nad atakującą chimera, mężczyźni rozeszli się na spoczynek. Każdy ułożył się, gdzie mu się podobało. Samuel dorzucił do ognia parę szczap, by płomień buchały wysoko.

Tylko Smiggens nie zapadł w wonne zarośla ani nie spoczął oparty o usłuznię wystające korzenie drzew. Długo jeszcze stał, wpatrując się ponad krawędzią palisady w panującą ciemność i wsłuchując się w rozmaite znajome i obce dźwięki. Od czasu do czasu odległy trzask lub poszum w gałęziach sprawiał, że po grzbiecie przechodziły mu ciarki.

Czy rzeczywiście przepędzili potwora? Daleki był od uznania tego za pewnik. Ale Blackstrapa by i tak nie przekonał. Ich zasługą było to, że uciekł, i tyle.

Stworzenie nie wykazywało żadnych oznak paniki czy niepewności. Jeśli pociski nie wyrządziły mu żadnej krzywdy, to dlaczego uciekło? Ze znużeniem wzruszył ramionami. Tajemnicze zjawiska pojawiały się na tej ziemi zbyt nagle i zbyt często, by człowiek mógł wszystko ogarnąć. Może Blackstrap miał rację? Może on, Smiggens, zbyt dużo myślał jak na dobrego marynarza? A już na pewno myślał za dużo jak na dobrego pirata.

Ale przecież, stwierdził z przekonaniem, ktoś w tym towarzystwie musi myśleć.

W oddali znów rozległ się łoskot. Wzdrygnął się po raz kolejny, mimo ciepła bijącego z ogniska. Słyszał ryki dużych, groźnych zwierząt w Indiach. To tutaj było czymś zupełnie innym, wprost niewyobrażalnym.

Być może, mimo wszystko, przepędzili to stworzenie. Ale był przekonany, że gdyby taki potwór rzeczywiście zdecydował się na atak, zwykłemu śmiertelnikowi nie pozostałoby nic innego, jak tylko przygotować się na spotkanie ze swym Stwórcą – niezależnie od (ego, jaką miałby broń, gdyż żadna nie okazałaby się wystarczająco skuteczna.

Nie były to najprzyjemniejsze rozmyślania do poduszki.

Chociaż piraci nie mogli o tym wiedzieć, w pobliżu ich obozowiska nie czaił się jeden drapieżnik, ale pół tuzina mięsożernych olbrzymów. Załoga „Kondora” nie ujrzała ich w koszmarnej śnie, lecz na jawie i to już następnego, słonecznego ranka.

Mgła się podniosła, a chmury nie zdążyły się jeszcze zgromadzić, by uraczyć ziemię codzienną porcją deszczu, gdy chrząst kości przypomniał niedużej grupce intruzów o wydarzeniach poprzedniego dnia. Po nocnej przygodzie postępowali teraz ostrożnie, starając się pozostać w ukryciu wbrew odzyskanej pewności siebie.

Niejeden, lecz dwa dorosłe megalozaurowy czyściły z mięsa zwłoki parasaurolophusa. Większy z tej dwójki dobrał się do nich z boku, wrywając przy każdym kłapnięciu zakrzywionych zębów wielki kęs mięsa, podczas gdy jego towarzysz rył w otwartym brzuchu. Ale nie byli to jedyni amatorzy świeżej padliny.

– Zobaczcie! Rogate smoki! – wykrzyknął podniecony Chin-lee.

Czwórka ceratozaurów kręciła się tuż przy zwłokach, na obrzeżach żerowiska. Choć stworzenia te były niższe i mniej masywne od megalozaurów, w pełni zasługiwały na miano przerażających bestii. Ponad zębatym pyskiem każdego osobnika sterczał krótki, spiczasty róg, przypominający nieco róg nosorożca, wyglądający trochę nie na miejscu u tak zajadłego mięsożercy.

Jeden z nich spróbował chyłkiem odgryźć kawałek nogi martwego zwierzęcia. Większy megalozaur pochylał łeb i ryknął, aby wyznaczyć obszar, którego naruszenie groziłoby konfrontacją. Wiedząc, czego się trzymać, ceratozaur przystąpił do konsumpcji. Szybko dołączyła do niego trójka pozostałych.

Patrząc na tę scenę Mkuse przypominał sobie lwy pożerające martwego słonia, tyle że tutaj pożywiały się jednocześnie dwa różne gatunki drapieżników. Na pewno nie należą do jednej rodziny, pomyślał. A jednak wyglądało to tak, jak gdyby chciały wspólnymi siłami jak najszybciej ogołocić szkielet z mięsa.

Zafascynowani mężczyźni przyglądali się jadalnym częściom corythozaura, znikającym w przepastnych paszczach. Jeden z megalozaurów odstąpił w końcu od zwłok. Z potężnie rozdętym brzuchem, zamkniętym pyskiem i przymrużonymi oczami przypominał O’Connorowi pewnego bankiera z Bostonu, którego kieszonkowy zegarek wyjątkowo przypadł Irlandczykowi do gustu. Tylko interwencja przechodniów uniemożliwiła mu wejście w jego posiadanie. Utarczka ta zmusiła O’Connora do pośpiesznego opuszczenia tego uroczego miasta, nie mówiąc już o całym wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych.

Ceratozaurowy nie śpieszyły się z ogryzaniem kości. Przy takiej ich ilości wystarczyło dla wszystkich, nie trzeba było walczyć o zdobycz. Tylko czasem któryś z nich podnosił łeb i bacznie rozglądał się wokół, jakby w obawie, że ktoś może się nagle pojawić i przepędzić je stamtąd. Choć nie wydaje się to prawdopodobne, pomyślał Johanssen. Chyba nic, co chodzi po tej ziemi, nie byłoby w stanie odebrać takim potworom ich pożywienia.

Nagle Smiggens doznał olśnienia i postanowił podzielić się swoim pomysłem z towarzyszami.

– Nic dziwnego, że bestia, którą widzieliśmy ostatniej nocy, nie chciała się z nami zmierzyć – oświadczył.

Blackstrap odwrócił się do niego.

– Co masz na myśli, panie Smiggens? Wygnaliśmy ją i koniec, czyż nie tak, chłopcy?

Kilku członków załogi skwapliwie przytaknęło. Dla nich takie wyjaśnienie było wystarczająco

przekonujące.

Ale nie dla Smiggensa. W świetle tego, co widział przed sobą, nie zamierzał tym razem ustąpić.

– Nie rozumiecie? Po cóż stworzenie, którego apetyt jest niewątpliwie proporcjonalny do rozmiarów, miałoby zawracać sobie głowę takimi nędznymi kaskami jak my, gdy wie, że w pobliżu leży góra mięsa gotowego do spożycia, bo już martwego? Jeśli nam udało się natknąć na tę dziwną, grzebieniastą bestię i pójść jej tropem, to z pewnością jej obecność nie uszła uwagi żadnego potwora w okolicy. – Wskazał gestem dobiegający końca bankiet. – I tak się też stało, jak widzimy.

Zatoczył ramieniem krąg nad panoramą cmentarzyska, gdzie sterty kości blakły z wolna w jaskrawym słońcu.

– Natura zawsze skutecznie porządkuje wszelkie sprawy. Jest oczywiste, że wiele tych ogromnych bestii przychodzi tu, by zdechnąć. Tak wielka liczba gigantycznych zwłok, pozostawiona, aż do kona się naturalny proces degradacji, ulegając rozkładowi szybko zatruląby glebę i wodę. Żadne stado sępów czy jastrzębi, jakie widzieliśmy idąc tutaj, nie poradziłoby sobie z tak ogromną ilością gnijącego mięsa. Zamiast nich sprawę załatwiają monstrualne dwu nożne drapieżniki z olbrzymim apetytem. To one utrzymują tę ziemię w czystości, dzięki nim jest urodzajna. Jest całkiem możliwe, że mając pod nosem tyle łatwo dostępnego żeru wiele z nich nigdy w życiu nie musiało polować – co nie znaczy, że nie potrafią. Ale nawet głupi dinozaur nie traci więcej energii na poszukiwanie swej dziennej racji żywnościowej, niż to konieczne.

– Chwileczkę, panie Smiggens – Blackstrap zmarszczył brwi patrząc na swego pierwszego oficera. – Jak nazwał te bestie?

– Dinozaurami. – Smiggens wyglądał na zadowolonego. – W końcu przypomniałem sobie, gdzie je przedtem widziałem.

– Wciąż pan twierdzi, że widział pan już takie zwierzęta? Chumash przyjrzał mu się podejrzliwie.

– Tak, ale nie były żywe – pierwszy oficer przyglądał się cichej orgii obżarstwa. – To było w Londynie kilka lat temu. Na Wielkiej Wystawie w Hyde Parku. Był tam uczonego... nazwiskiem Owen, jak mi się wydaje. Znalazł kości, jak te wokół nas, tyle że skamieniałe. Prehistoryczne. Oczyszczył je i zbudował z nich szkielety. Nazywał je dinozaurami.

Język Blackstrapa zmagał się z dziwnym słowem.

– Dinozaury, he? Co to za rodzaj stworzeń? – wskazał paluchem w kierunku spętanych jeńców. – Ta gromadka wygląda jak ptaki.

– Któż to wie, do jakiego gatunku lub rodzaju należą? Ja nie mam pojęcia. – Przynajmniej raz Smiggens nie potrafił odpowiedzieć na pytanie. – Nie jestem naukowcem, Brognar. Skoro są podobne do ptaków, to niewykluczone, że są z nimi spokrewnione. Tamte, które teraz zaspokajają swój apetyt, przypominają kangury. Może istnieje między nimi bliskie pokrewieństwo. Na wystawie twierdzono, że takie stworzenia zniknęły z powierzchni ziemi całe wieki temu. Teraz widać, że to nieprawda, bo przynajmniej niektóre z nich przetrwały na tym lądzie do dnia dzisiejszego.

– Cóż... Nie zmniejsza to ich wartości – mruknął Blackstrap.

– Na pewno nie, kapitanie. Ludzie płacili duże pieniądze, by zobaczyć rekonstrukcje zbudowane z drewna i gipsu. Nie mam wątpliwości, że zapłaciliby każdą sumę, żeby ujrzeć je w naturze... i w dodatku żywe.

– Jako że twój umysł pracuje wyjątkowo sprawnie dzisiaj rano, Smiggens, proszę cię, żebyś wykorzystał go do rozwiązania problemu, jaki wyniknął ostatniej nocy. Zastanów się, jak spętać i przetransportować na statek przedstawiciela tej imponującej rasy.

Pierwszy oficer zastanowił się.

– Założmy, że w jakiś sposób dalibyśmy radę to zrobić. Jak jednak utrzymać taką bestię przy życiu przez całą drogę do Anglii lub Ameryki?

Odpowiedź Blackstrapa dowiodła, że nie zdaje się on bynajmniej wyłącznie na pomysłowość pierwszego oficera.

– Większość mięsożerców jest całkiem zadowolona, gdy ma ryby, panie Smiggens. Morze jest pełne ryb. Masz się zastanowić, jakim sposobem zdobyć bestię. Problem opieki nad nią zostaw mnie.

Smiggens skinął głową, choć jego uwagę wciąż przykuwała przerażająca, lecz fascynująca panorama. Może wóz, zbudowany na miejscu z dostępnego tutaj drewna? Nie uda się? No to sanie. Wśród załogi byli dobrzy cieśle i nie brakowało chętnych do pracy. Nic nie pobudza człowieka do większego wysiłku, niż świadomość, że u kresu harówki czeka na niego kupa złota.

Głęboko pogrążony w myślach odwrócił się i napotkał spojrzenie największego z pojmanyh stworzeń. Gdy ten ptak czy dinozaur patrzył mu prosto w oczy, Smiggens przez moment odniósł wrażenie, że w jego wzroku dostrzega coś więcej, niż tylko obojętność głupiego zwierzaka.

Potem odwrócił głowę i chwilowe wrażenie zniknęło. To głupie, pomyślał, by spojrzenie zwierzęcia wyzwalalo w człowieku jakieś uczucia. Każdy duży ptak, sowa czy sokół, potrafi chwilami spoglądać tak zniewalająco.

Przez całe życie pragnął, by uznano go za równego angielskim parom, członkom akademii. Z powodu niskiego pochodzenia wszystkie drzwi były przed nim zamknięte; nie miał wyjścia, musiał wieść laki żywot jak teraz.

Cóż... gdyby pochwalił się tymi stworzeniami, nie mieliby innego wyjścia, jak tylko przyjąć go do swego grona. Uśmiechnął się krzywo. Niech ci śmieszni, pompatyczni mędracy spróbują teraz odmówić mu członkostwa w swych towarzystwach naukowych! Blackstrap i reszta mogą sobie wziąć całe złoto. Jemu wystarczy tryumf.

– Dinozaur... – Chin-lee wolno przeżuł to słowo. – Angielska nazwa smoka. W porządku.

To stwierdzenie wyrwało Smiggensa z zamyślenia.

– Nie, nie... – zaczął wyjaśniać cierpliwie. – Smoki to stworzenia wymyślone. Te dinozaury są prawdziwe.

– Czyżby? – odrzekł Kantończyk. – A to miejsce jest prawdziwe? A my jeszcze istniejemy naprawdę? Co jest prawdziwe, Angliku?

Smiggens zawahał się, odpowiedzi udzielił Blackstrap.

– Widzisz ten nóż, Chińczyku? Chcesz sprawdzić, czyjego ostrze jest prawdziwe?

Chin-lee wyprostował się z największą godnością, na jaką było go stać.

– Powinien pan przestudiować myśli Konfucjusza, kapitanie Blackstrap. Może by pana oświeciły.

Blackstrap schował nóż i parsknął pogardliwie.

– Złoto oświeca, Chin-lee. Wszystko inne jest diabła warte. – A może... a może to skraj piekła? – wymamrotał Thomas. – A

to są diabły...

– Dinozaury, smoki, diabły... Wszystko jedno. Liczy się tylko to, jaką cenę osiągną na wolnym rynku. Sprzedam każdy z tych trzech gatunków osobno albo wszystkie razem, a jeśli Lucyfer będzie się sprzeciwiał, przypomnę mu, że już dawno dobiliśmy targu.

Jak my wszyscy, kapitanie, pomyślał Smiggens. Odczuwał jednak tak silną potrzebę zrozumienia, co się tu dzieje, że nie miał ochoty zastanawiać się nad stanem ich dusz.

– Jeśli tak wygląda piekło – oświadczył swoim ludziom Blackstrap – z tą czystą wodą,

obfitością owoców i całą resztą cudów, to można by je wziąć za niebiański ogród, słowo daję.

– Owoce były w rajskim ogrodzie – zauważył Samuel.

– A tak, racja – zgodził się chętnie Blackstrap. – I to Ewa je zrywała. Nie widzę wśród nas żadnej Ewy... Chyba że jeden z was ją zastąpi.

Nastąpiła chwila ciszy, a potem wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nie po raz pierwszy Blackstrap dowcipem rozładował napięcie i rozwiął niepokój. Smiggens uznał, że bez względu na to, co obojście myślał o kapitanie, należało go podziwiać za wrodzony spryt.

Nikommu z nich nie przyszło do głowy, że ten wybuch wesołości może zwrócić czyjąś uwagę. Mniejszy z dwójki megalozaurów podniósł łeb i przyjrzał się im. Doszedł jednak do wniosku – dokładnie, tak przypuszczał Smiggens – że nie warto zwracać sobie głowy paroma kościstymi ludźmi.

Piraci wciąż tkwili w tym samym miejscu, obserwując szóstkę drapieżników i podziwiając ich apetyt. Po kilku godzinach gruntownych przemyśleń Smiggens stwierdził, że nie potrafi rozwiązać problemu pochwylenia i przetransportowania na statek żadnego z nich.

– Są po prostu za duże, kapitanie. Może udałoby się przepchnąć jednego przez kanion, ale każdy wóz zbudowany do transportu ledwo zmieściłby się między ścianami.

Ku jego zaskoczeniu Blackstrap zgodził się z tym.

– Taaa... Sam doszedłem do tego wniosku, panie Smiggens. Niestety, będziemy się musieli zadowolić czymś mniejszym. Chyba znajdziemy jakiś interesujący okaz, większy od stworzeń złapanych przez nas wcześniej, a mniejszy od tych mięsożerców przed nami. Coś pośredniego. Nie jestem chciwy. Jeden więcej całkowicie mi wystarczy.

Pierwszy oficer skinął głową.

– To brzmi rozsądnie, kapitanie. Jeśli będziemy wytrwali, z pewnością coś znajdziemy.

Jak się okazało tego samego popołudnia, zdobycie wspaniałego ukazu wymagało mniej czasu i wysiłku, niż ktokolwiek się spodziewał. Okaz był mniejszy niż dwa dorosłe dinozaury, niższy nawet od Blackstrapa i Smiggensa, ale dużo masywniejszy.

Mkuse i Chumash znaleźli go śpiącego w kępie miękkich roślin. Zwiesił głowę, a łuskowatą brodę oparł o muskularną pierś. Bardzo przypominał większe z drapieżników, które obserwowali tankiem, ale poza wzrostem, widoczne były również inne istotne różnice.

Czaszka wydawała się zbyt duża, podobnie jak łapy i stopy. Zamiast długich sprawnych ramion, zakończonych trój palczastymi dłońmi, nowa bestia miała śmiesznie krótkie przednie łapy, a na nich tylko po dwa palce. Za to pazury tylnych nóg wydawały się okazałe. Na pysku nie wyrastał żaden róg, choć nad zamkniętymi oczami widoczne były małe, rogowe wypustki. Pierś stworzenia poruszała się lekko w rytm oddechu, a napęczniały brzuch świadczył o tym, że zwierzę najadło się niedawno do syta.

Gdyby bestia stanęła wyprostowana, byłaby niższa od najwyższego ptako-dinozaura, lecz bardziej muskularna. Piraci pogratulowali sobie łatwego znalezienia tak interesującego okazu.

Podskoczyli, gdy zwierzę wydało z siebie nagłe parsknięcie. Jego oczy pozostały jednak zamknięte i natychmiast zapadło z powrotem w głęboki sen.

– Kapitan chciałby coś większego – stwierdził Mkuse.

Chumash chrząknął.

– Kapitan jest niespełna rozumu. Wystarczy, że tego weźmiemy na statek. – Wycofał się w zarośla. – Musimy powiedzieć reszcie i wrócić tu, zanim to się obudzi.

– Właśnie – zgodził się Zulus, dojrawszy wielkie zęby i pazury.

– Bierzcie sieci! – ryknął Blackstrap, gdy tylko otrzymał meldunek. – Mkuse, ulokuj się na lewej

burcie zwierzęcia, a ty, panie Smiggens, na prawej. Uważajcie na jego zęby. Reszta niech zaatakuje szarżą od czoła i popędzi bestię prosto na was. Uważajcie, żeby nie przeskoczyła sieci.

– Nie jestem pewien, czy to taki dobry pomysł, kapitanie – Mkuse zmierzył swymi wielkimi rękami długość liny.

Blackstrap z kolei zmierzył wzrokiem wojownika.

– A co w nim jest złego, jeśli wolno spytać?

– Nie widział pan tej bestii, kapitanie. Blackstrap ruszył wąsami.

– Mówiliście, że taka mała...

– Bo to prawda – wsparł kolegę Chumash. – Ale pan jej ni widział. Jest mała, ale nie wygląda na to, żeby się dała popędzić. O pan zrobi, jak pobiegnie wprost na pana?

– Do jasnej cholery, nie bądź idiotą, człowieku! Rozważ sobie jej wielkość i pamiętaj o tym, ilu nas jest. Rzecz jasna, odwróci się i ucieknie. To jedyne sensowne wyjście dla każdej dzikiej bestii.

-1 o to właśnie chodzi, kapitanie – Mkuse wyglądał na zaniepokojonego. – Sądząc po jej wyglądzie, mam wątpliwości, czy potrafi się sensownie zachować.

Oczy Blackstrapa rozbłysły.

– Co jest z wami dwoma? Zachowujecie się jak zdechlaki. Skoro tak wystraszyliśmy tego dużego bydlaka, mały powinien być dla nas pestką.

– Tak, kapitanie, ale...

– Więc uważajcie na sieci i do roboty.

Mkuse i Chumash nie dyskutowali więcej. Widząc, że marynarze biorą na plecy grube liny i sieci i ruszają w las, postanowili sobie jednak, że będą trzymać się na samych końcach liny, gdy nadejdzie moment pojmania ofiary. Czwórka jeńców posłusznie poczłapała wraz z piratami, nie mając pojęcia, co też oni teraz zamierzają.

Grupa łowców prowadzona przez dwóch wojowników nie ryzykowała niepotrzebnie. Choć nie wiało zbyt mocno, uważali, by podchodzić do swej zdobyczy pod wiatr i zawczasu rozmawiać przyciszonym głosem.

– Potężnie wygląda ten mały drań – stwierdził Thomas, gdy w końcu stworzenie znalazło się w polu widzenia.

– Taaa! – przyznał szeptem O'Connor. – Wystarczy sam łeb i łapy. Ale idę o zakład, że nie dałby rady kilku tuzinom krzepkich marynarzy.

– Przyjmuję zakład, Irlandczyku.

O'Connor spojrzał na towarzysza z ironicznym uśmiechem.

– Po co? Jeżeli się mylę, to i tak nie dożyjesz wygranej, człowieku.

– Przestańcie mleć ozorami! Szczęście wciąż się do nas uśmiecha – przerwał im Blackstrap. – Mały diabeł jeszcze śpi. Spójrzcie na jego brzuch. To zwierzę na pewno w najbliższym czasie nie podskoczy zbyt wysoko. – Wyprostował się, by spojrzeć w prawo, a potem w lewo. – Lepiej, żeby ten symulant Smiggens i ten czarny, skwaszony Mkuse byli na swoich pozycjach. Jeśli zdobycz nam umknie, zedrę z nich skórę.

– Pan Smiggens nadchodzi, sir – oznajmił Watford. Blackstrap pokiwał głową.

– Taaa... Słyszę to ich niezdarne, cholerne człapanie. Lepiej niech me zbudzą bestii przed czasem.

– Nie ma obawy, kapitanie. Niech pan zobaczy. Ciągłe śpi.

A dlaczego nie miałyby spać? – pomyślał Smiggens, ostrożnie rozstawiając swoich ludzi. Żeby przerazić tak silnego drapieżnika, potrzebny byłby co najmniej taki potwór, jaki napędził stracha całemu obozowi. A ta mała bestia nawet we śnie wyglądała groźnie.

Blackstrap nie musiał podrywać ludzi do hałaśliwej szarży. Jego grupa wraz z grupą Smiggensa i Mkuse podeszła możliwie najciszej i najbliżej i zamknęła pułapkę wokół niczego nie podejrzewającego śpiocha. Sam Mkuse znalazł się na odległość wyciągniętej ręki od bestii, gdy ta w końcu otworzyła jedno oko i mrugnęła nim niepewnie. Z jej pyska wydobyło się niezadowolone sapnięcie.

Ktoś uznał to za sygnał do wydania komendy „Brać go!” i do zarzucenia sieci i lin. Spokojna czujność ustąpiła miejsca wściekłemu zamieszaniu. Mężczyźni wpadali na siebie nie słuchając rozkazów. Mkuse usiłował komenderować w łamanym angielskim, holenderskim i w języku Zulu, ale przekleństwa miotane w podnieceniu w dwunastu językach potęgowały ogólny chaos.

Obie wielkie sieci przykryły stworzenie, zanim zdążyło się całkowicie rozbudzić. Pracując tak sprawnie, jakby sam diabeł miał oceniać ich wysiłki, Johanssen i Anbaya zdołali spętać jego krótkie, muskularne nogi.

Wyrwana raptownie z głębokiego snu bestia szybko jednak odzyskała świadomość i wydała z siebie niespodziewanie tak rozdzierający ryk, że nawet łysemu stanęłyby z przerażenia włosy na głowie. Zarzucono jej na pysk lasso, potem następne i jeszcze jedno, aż w końcu nie mogła wydać żadnego dźwięku poza oburzonym chrząkaniem. Tylne nogi owinięto dodatkowymi linami, a wreszcie skrępowano szyję i nawet króciutkie, lecz silne przednie łapy.

Za późno powróciła zwierzęciu czujność i sprawność. Zanim to nastąpiło, było już całkowicie bezbronne, związane grubymi linami i przyciśnięte siecią. Spotkanie kosztowało piratów jedynie trochę guzów i sińców oraz jedną linę przegryzioną tak równo, jakby to była niecięta przez wprawna szwaczkę. Z nogami spętanymi w ten sam sposób co struti, ich ofiara nie była nawet w stanie zrobić użytku ze swego dość elastycznego ogona. Mogła jedynie rzucać piratom groźne spojrzenia i warczeć ostrzegawczo pod nosem.

Po kilku niemrawych próbach kopnięcia kilku mężczyzn, co mogłoby się skończyć rozplataniem im brzuchów, bestia uznała swe wysiłki za daremne i zaczęła się uspokajać. Oddychała ciężko, wodząc żółtymi ślepiami od jednego prześladowcy do drugiego. Mordercze, bezlitosne spojrzenie jej oczu niejednego przyprawiłoby o drżenie łydek, lecz ci ludzie nieraz już zaglądali śmierci w oczy i uważali ją za starą znajomą. Dla Mkuse dinozaur (jak nazwał ten gatunek pierwszy oficer) był niczym więcej, niż lwem na dwóch łapach.

Blackstrap, z wysokim czołem błyszczącym od potu, w radosnym uniesieniu otoczył ramieniem swego pierwszego oficera.

– I co sądzisz o naszej najnowszej zdobyczy, panie Smiggens? Spójrz na te zęby! Założę się, że mają ze dwa cale długości.

– Cokolwiek to jest, stanowi wspaniały okaz, kapitanie. – Smiggens dyszał ciężko, podniecony krótką szamotaniną. – Hej tam, Andreas! Sprawdźmy na pysku!

– W porządku, panie Smiggens! – odkrzyknął pirat. – Są zaciśnięte, nie ma obawy!

Niebezpieczeństwo minęło, ofiara była związana i mężczyźni odetchnęli. Wymieniając dowcipy przyglądali się jej ciekawie i spekulowali swobodnie, ile też może być warta.

Byli tak zadowoleni i zajęci sobą, że nawet nie zauważyli reakcji swych wcześniejszych jeńców. Cztery pojmane stworzenia dosłownie trzęsły się z przerażenia, tuląc się do siebie z wytrzeszczonymi oczami.

– Jak będziemy karmić tę bestię, kapitanie? – zapytał ktoś.

– Dobrze ją przywiążemy – odparł Blackstrap bez wahania – i zdejmujemy więzy tylko z pyska. Albo będzie zreć, albo głodować, jeszcze nie widziałem człowieka ani zwierzęcia, które by nie jadło, kiedy zgłodnieje. Złapaliśmy diabła za ogon, chłopcy! Trzykrotne hurra!

Jak zwykle, człowiekiem psującym innym zabawę był pierwszy oficer. Blackstrap ryknął na niego:

– Czemuś taki ponury, człowieku?! Zawsze musisz być taki, żeby nie wiem jak sprzyjało nam szczęście? Musisz ciągle żyć pod ciemną chmurą?

– Próbuję spod niej wypłynąć, kapitanie, ale nie mogę kazać mojemu mózgowi przestać myśleć.

– Taaa... Znów gnębi cię jakiś przekłety problem. Mam rację? O co chodzi tym razem?

Smiggens przyjrzał się uważnie nowej zdobyczy, związanej i cichej.

– Zastanawiałem się właśnie, czy ten osobnik jest dorosłym przedstawicielem swojego gatunku.

A jeśli nie, to jak bardzo jeszcze urośnie.

– Jeszcze urośnie? – Brwi Blackstrapa uniosły się ze zdumienia. – A dlaczego niby uważasz, że ma jeszcze urosnąć?

Pierwszy oficer zastanowił się chwilę.

– Pamiętasz tego, który zaskoczył nas w obozie? To stworzenie jak nic przypomina tamto. Popatrz na jego łeb i stopy i porównaj ich wielkość z tułowiem. Czyż nie wydaje się oczywiste, że to młody osobnik, który dopiero urośnie?

– Już jesteś takim ekspertem od dorastania dinozaurów, czy jak tam się te bestie nazywają? – Blackstrapa nic nie było w stanie zniechęcić. – Tak się dobrze znasz na stosunku wielkości ich stóp do ciała? A niech sobie jeszcze trochę urośnie! Do tego czasu zbudujemy odpowiednią klatkę, albo sprzedamy bestię właściwym ludziom. Niech oni się martwią. Ty martw się lepiej o to, jak wydać złoto, które za nią dostaniesz. A jeśli to cię gnębi, znajdzie się niejeden marynarz, który chętnie zamieni swoją część za dolę przysługującą pierwszemu oficerowi. Smiggens westchnął.

– Po prostu przyszło mi do głowy, że to nie jest dorosły przedstawiciel gatunku.

– Nie trać czasu na czczą gadaninę. Jest wystarczająco duży, żeby na jego widok damy ze strachu gubiły spódnicę. I wystarczająco duży na nasze potrzeby. – Skinął na Mkuse. – Dołącz tę ślicznotkę do reszty.

Wyznaczywszy kilku najbardziej krzepkich członków załogi do trzymania końców lin, Zulus zaczął dyrygować. Na przemian prowadząc, to znów ciągnąc nową zdobycz mężczyźni zaczęli transportować ją w kierunku pozostałych jeńców, by zasiliła ich małą menażerię. Zwierzę szybko przekonało się, że opór na nic się nie zda, i zrezygnowało z walki.

Gdy znalazło się blisko strutich, rodzina zaczęła robić wszystko, by się oddalić. Stworzenia były pod strażą i mocno spętane, więc nie było mowy o ucieczce, ale przynajmniej starały się znaleźć jak najdalej od nowego przybysza. Jak na zwierzęta, ich gesty były wystarczająco wymowne.

– Patrzcie! – Blackstrap zareagował w typowy dla siebie sposób, uznając bezgraniczne przerażenie jeńców za wielce zabawne. – Taaa... Założę się, że mają się czego bać! Gdyby wszystkie uwolnić, stanęłyby dzioby przeciw zębom i wynik starcia niej trudno byłoby przewidzieć. – Wskazał na związane szczęki nowego więźnia. – Słowo daję, tylu sztukców nie widziałem od czasu ostatniej wizyty w książęcej kuchni! – Wybuchnął hałaśliwym śmiechem.

Uważne, bystre, żółte oczy śledziły każdy jego ruch.

– Co dalej, kapitanie? – zapytał Johanssen, trzymając mocno linę przywiązaną do nogi stworzenia.

– Właśnie, kapitanie – podchwycił Treggang. – Nie wystarczy nam tego na jedną podróż?

– A owszem, owszem... – Wielce zadowolony Blackstrap patrzył czule na łup. – Może nawet nie trzeba będzie transportować i naszych ślicznotek do Anglii czy Ameryki. Jakiś sułtan z Zanzibaru, na przykład, mógłby zechcieć obsypać nas perłami za taką nową zabawkę. Sprzedamy je drogo, to jedno jest pewne. – Zachichotał z ukontentowaniem. – Nie ma już potrzeby wciągać na maszt trupiej czaszki

i piszczele, panie Smiggens! Pod jaką banderą żeglują handlarze zwierzątkami domowymi?

Nawet powściągliwy pierwszy oficer nie mógł powstrzymać uśmiechu.

Blackstrap zaczął, aż ucichną śmiechy.

– A jak już je sprzedamy i wydamy nasze fortuny, wrócimy tu i załatwimy pół tuzina nowych bestii. Oto, czym będzie ta ziemia. Naszym prywatnym terenem łowieckim, którego położenie będziemy znać tylko my! Przed powrotem tutaj zdobędziemy lepszy statek. Z luksusowymi kabinami i porządnymi klatkami w ładowniach.

– Ale te cholerne prądy, kapitanie, i wiatr... – zamruczał stary Ruskin.

Blackstrap skwitował pesymizm sternika wzruszeniem ramion.

– Znajdziemy inną trasę, podpłyniemy z innej strony świata. Za bardzo się przejmujesz, stary. Nie wszystko na raz.

Otrząsnąwszy się w końcu z szoku, spowodowanego nie tylko zuchwalstwem szalonych ludzi, ale i faktem, że im się powiodło, Shremaza szturchnęła głową na długiej szyi swego towarzysza.

– Przemów do nowego więźnia, ojciec naszych dzieci. Musisz się z nim porozumieć.

Hisaulk zamyślił się. Żadna z możliwości nie wydawała mu się zbyt pociągająca.

– Nie znam tego dialektu. Jeśli kiedykolwiek potrzebowaliśmy tłumacza, to nigdy bardziej niż właśnie teraz.

Nagle nowy jeniec mruknął coś cicho w ich kierunku. Choć był tak samo jak oni starannie związany, znajdował się stanowczo za blisko jak na gust Hisaulka.

Spróbował odpowiedzieć tamtemu, usiłując naśladować jego szorstki język. Jednocześnie wierzgnął jak mógł najmocniej najpierw jedną, a potem drugą związaną nogą, by pokazać, że cała rodzina również stała się więźniami tych dziwacznych ludzi.

– Zobacz – starał się wyjaśnić, choć jego gardło wzbraniało się przed wydawaniem chrapliwych, niskich dźwięków. – Nasza sytuacja jest tak samo okropna jak twoja. Jesteśmy towarzyszami niedoli.

Nowy warknął coś w odpowiedzi. Hisaulk nie umiał zrozumieć znaczenia tego dźwięku, ale przynajmniej przez moment młody drapieżnik nie patrzył na nich jak na swój posiłek.

– Co powiedział? – Shremaza wraz z dziećmi przysunęła się bliżej.

– Nie jestem pewien...

Arimat przytulił głowę, do boku ojca.

– Musiał przecież coś powiedzieć.

Twarz Hisaulka była zbyt mało elastyczna, by mógł ją zmarszczyć, ale to, czego nie mógł pokazać miną, przekazał za pomocą głosu.

– Nie jestem pewien, czy dokładnie przetłumaczę, ale wiem jedno. Musimy znaleźć sposób, żeby uciec. I to tak szybko jak tylko się da.

– A co z Keelk? – zapytała z wahaniem Shremaza. – Jeśli wróci, to będzie się spodziewała zastać nas tutaj, w towarzystwie tych ludzi.

– O ile dobrze zrozumiałem naszego nowego towarzysza, to lepiej, żebyśmy na nianie czekali. Musimy radzić sobie sami, jeśli nie chcemy znaleźć się w poważnych tarapatach. – Hisaulk kręcił głową to w jedną, to w drugą stronę, przyglądając się ścianie lasu szeroko rozwartymi, niespokojnymi oczami. – Musimy jak najprędzej uciec od tych ludzi.

– Ale dlaczego, tato? – Tryli uniosła głowę i wpatrywała się w niego nie rozumiejąc.

– Czyż to nie oczywiste, córeczko? Ten młody osobnik został zaskoczony, gdy spał samotnie po wielu dniach obżarstwa. Ale chodzenie samopas nie jest normalne dla jego wieku. – Hisaulk znowu spojrzał ponad nowym więźniem i świętującymi ludźmi na zagadkową głębinę lasu.

– Sądząc po wyglądzie powiedziałbym, że jest mniej więcej w wieku twojej starszej siostry Keelk. Musimy uciec, zanim jego rodzice zjawią się tu i zorientują, co się stało. Będą oczywiście wściekli i gotowi działać bez zastanowienia. Nie chciałbym być w pobliżu, gdy para dorosłych tyranozaurów zacznie reagować bez namysłu na to, co zobaczy.

– O, tak. To prawda. – Oczy Tryli rozwarły się szeroko, i ona również zaczęła intensywnie wpatrywać się w las.

– Ci głupi ludzie sami nie wiedzą, w co się pakują. – Shremaza pozwoliła dzieciom przysunąć się jak tylko mogły najbliżej, choć nie była w stanie przytulić ich do siebie. Sthruthiomimusy miały bardzo silnie rozwinięty instynkt macierzyński, dlatego często służyły w ludzkich rodzinach Dinotopian jako opiekunki do dzieci.

– Potrzebny nam tłumacz! – powtórzył z uporem Hisaulk i mruknął coś jeszcze pod nosem. Nie było to przekleństwo, bo w naturze dinozaurów nie leżało używanie brzydkich wyrazów, lecz raczej zakłęcie, cicha prośba o pomoc. – Gdy wrócą jego rodzice, będą zbyt wstrząśnięci, by słuchać głosu rozsądku.

Gdy dwa dorosłe tyranozaurowy wróciły w końcu z wędrówki do miejsca, w którym zostawiły śpiące dziecko, noc spowiła już okolice całunem ciemności. Lekki deszcz padał od wielu godzin, okrywając drzewa, kwiaty i ziemię cienką pelerynką wilgoci. Piraci i ich jeńcy dawno opuścili ten rejon.

Bystrooki i Kolczatka ostrożnie okrążyli polanę. Mimo deszczu, zapach ich potomka wciąż był silnie wyczuwalny w niskiej trawie i na okolicznych kwiatach. Bystrooki pochylił się do przodu i dotykając nozdrzami trawy zataczał kręgi wokół legowiska, węsząc uważnie. Jego słupowate nogi zostawiały na mokrej ziemi odciski wielkości miednicy.

O pomyłce nie mogło być mowy. To tu zostawili swe dziecko i tu umówili się z nim na spotkanie. Co się zatem stało? Było nie do pomyślenia, by młody tyranozaur świadomie zlekceważył polecenie rodziców. I nie miał powodu, żeby opuszczać polanę. W najbliższej okolicy było mnóstwo jedzenia i świeża woda w pobliskim strumieniu. A już na pewno żaden drapieжник mieszkający w Deszczowej Dolinie nie zdecydowałby się niepokoić młodego tyranozaura w obawie przed gniewem jego rodziców.

Dorośli byli zaskoczeni i przygnębieni. Bardzo zagadkowa była obecność w pobliżu polany śladów wielu ludzi. Co w tej części Deszczowej Doliny mogli robić ludzie? Było stąd daleko do tras, którymi zwykle ją przemierzali. I dlaczego ich zapach mieszał się z zapachem kilku strutich?

Nie było natomiast znajomej woni opancerzonych sauropodów i ceratopsianów, towarzyszących zwykle konwojom. Czyżby trafili na ludzi aż tak głupich, by myśleli, że uda im się przemierzyć Deszczową Dolinę samodzielnie, bez eskorty dinozaurów? Było to wręcz niewiarygodne, a jednak wyglądało, że tak właśnie jest.

Towarzyszka Bystrookiego mruknęła do niego. Podszedł do niej swym niezgrabnym krokiem. Silna mieszanina dwóch zapachów nie pozostawiała najmniejszych wątpliwości. Ludzie i młody tyranozaur, trzymając się w bezpośredniej bliskości, opuścili polanę i skierowali się do lasu. Rodzice wiedzieli, że ich dziecko nie zaakceptowała by dobrowolnie towarzystwa ludzi. Choć żadne z nich nie było filozofem czy mędrcom, jeśli tak można określić niektórych przedstawicieli cywilizowanej społeczności dinozaurów, żadne nie było te specjalnie tępe. Możliwość sugerowana przez tę osobliwą kompozycję zapachów była tak nieprawdopodobnie rozwścieczająca, i aż trudno było uwierzyć w jej realność.

A już zupełnie nie wiedzieli, co oznacza utrzymujący się wciąż zapach sthruthiomimusów.

Mieszaninazapachów prowadziła na wschód. To również ni miało sensu. W tamtym kierunku

nie było czego szukać. Nie leżał tam ani ludzkie szlaki handlowe, ani Miejsca Spoczynku. Nic, tylko lasy. A jednak niewątpliwie tam właśnie podążyła dziwaczna grup podróżnych.

Pysk przy pysku, rodzice naradzali się wydając ciche pomruki i chrząknięcia. Ich potomek nigdy by dobrowolnie nie opuścił polany. Czy rzeczywiście zdarzyło się to, co wydawało się nie do pomyślenia i jacyś nieznani ludzie posunęli się do użycia przemocy? Ja mogli się na to odważyć? Czy też może zdarzyło się coś zupełnie innego? Coś, o czym nie mieli pojęcia?

W ludzkiej woni dominował zapach morza. Ludzie podróżujący przez Deszczową Dolinę zawsze mieli ze sobą ryby, by ugłaska napotkane mięsożerne drapieżniki. Czyżby ci ludzie sami zjada własną daninę? Chyba za dużo tych pytań. W ponurym nastrój dorosłe tyranozaury wyruszyły na poszukiwanie odpowiedzi.

Dość szybko znalazły pierwszy obóz ludzi, a zaraz potem palisadę z kości. Osobliwa konstrukcja zdumiała i jednocześnie rozżłościła rodziców. To była rzecz bez precedensu, by w Deszczowi Dolinie ktoś pozwalał sobie na wznoszenie pomników cywilizacji. Pracując energicznie nogami i głowami, wściekłe tyranozaury rozprawiły się z budowlą w ciągu kilku minut.

Uporawszy się z tym ruszyły dalej tropem tych, którzy wznies palisadę wbrew wszystkim wcześniejszym porozumieniom i zdrowemu rozsądkowi. Posuwając się długimi, powolnymi krokami, wężąc od czasu do czasu tuż przy samej ziemi, dobrze trzymały trop. Bez względu na to, jak szybko poruszali się ludzie, nie byli w stanie umknąć dorosłym tyranozaurom.

Niestety wskutek padającego ciągle deszczu zapach stawał się stopniowo coraz słabszy. W tropicielach wzbierała frustracja. Zamiast przejść nad zwalonym drzewem, które leżało na ich drodze, Kolczatka chwyciła je w pysk i przecięła na pół jednym kłapnięciem szczęk, po czym cisnęła jedną połówkę dwadzieścia stóp w las z taką łatwością, z jaką pies rzuciłby kawałek kości kurczaka. Furia olbrzymów była tak widoczna, że stworzenia, którym zdarzyło się znaleźć w pobliżu, omijały je tym razem jeszcze szerszym łukiem niż zwykle.

Tyranozaury musiały odnaleźć ludzi, którzy odważyli się wtargnąć na ich terytorium nie zapowiedziani i bez wymaganej daniny, a w dodatku zmusili jakimś sposobem ich jedyne dziecko, by podróżowało z nimi. A gdy dojdzie do spotkania, nie będzie żadnych ugrzeczniczonych rozmów w obecności tłumacza, żadnych pertraktacji i porozumień. Nie słowa będą się tu liczyć; sprawa zostanie załatwioną tradycyjnym sposobem tyranozaurów.

W Dinotopii osiedliło się wielu wyznawców Konfucjusza. Jeden z nich ułożył taką oto maksymę: „Gdy mądry człowiek spotyka zdenerwowanego tyranozaura, bardziej przydają mu się mocne nogi niż łatwość wypowiedzania myśli”.

Kelk nie pamiętała już, ile dni była w podróży. Na przemian to szła, to znów uciekała przed odgłosem lub zapachem wszystkiego, co było większe od niej, aż w końcu znalazła drogę na górę.

Była to bardzo stara ścieżka, prawie zupełnie zarośnięta chwastami, krzakami i kwiatami. Pięła się w górę stromej skalnej ściany szeregiem ostrych zakosów, niemal niewidocznych z dołu. Kto wyrąbał ją w litej skale, kiedy i po co, Keelk nie miała pojęcia. Wiedziała tylko, że ta dróżka dla niej ratunkiem, bo pozwala jej opuścić przerażającą Deszczową Dolinę.

Gdy ruszyła przed siebie, pomyślała, że bardzo by się jej teraz, przydały ludzkie ręce. Jak to musi być wspaniale mieć chwytny kciuki, zadumała się. Dróżka była tak wąska i wyboista, a przez to zdradliwa, że nawet mały drapieżnik nie zdołałby się nią wdrapać.!

Ale mógł tego dokonać sthruthiomimus, zwłaszcza tak młody, zwinny i zaradny, jak Keelk.

Ugasiwszy pragnienie czystą deszczową wodą, która zebrała się w kałużę u podnóża skalnej ściany, zebrła się na odwagę i rozpoczęła wspinaczkę. Odwróciła się jeszcze i spojrzała tęsknie na gęsto rosnące drzewa owocowe, które zostawiała za sobą. W Deszczowej Dolinie było mnóstwo pożywienia, ale zbieranie żywności wymagało czasu i sił. Niepokój o los rodzeństwa i rodziców pchał ją naprzód. Desperacja zastępowała jej pożywienie.

Prymitywna ścieżka groziła śmiercią nieostrożnemu wędrowcy. Keelk starannie sprawdzała każdy jej odcinek, zanim postawiła następny krok. To znacznie opóźniało marsz, lecz długie spadanie mogłoby ją zatrzymać na dłużej. Dotarła wreszcie do miejsca, gdzie mogła odwrócić głowę i objąć wzrokiem panoramę Deszczowej Doliny. Rozległe morze pofalowanej zieleni spowite było tego ranka mgłą, nad którą wisiały jeszcze nisko zalegające chmury. Z rezygnacją odwróciła się z powrotem ku ścieżce i skupiła uwagę na szlaku.

W pewnym momencie dostrzegła przed sobą wyrwę. Erozja sprawiła, że w ścieżce powstał wyłom długości kilku kroków. Jedno niefortunne stąpienie groziło upadkiem w przepaść głęboką na kilkaset stóp. Próbowwała znaleźć jakiś sposób na ominięcie pułapki, ale nadaremnie.

Powrót do Deszczowej Doliny i rozpoczęcie poszukiwań nowej drogi przez góry nie wchodziło w rachubę. Keelk była zbyt zmęczona i za wiele wysiłku włożyła w dotarcie aż tutaj. Cofnęła się ostrożnie, przysiadła na zadzie i oceniła dystans. Podczas zawodów uzyskała opinię dobrego skoczka, ale ten „skok w dal” nie był konkurencją na Olimpiadzie Młodzięży Dinozauryjskiej. Tu nie mogła przegrać.

Pomyślała o Hisaulku i Shremazie, którzy zawsze byli przy niej, gdy ich potrzebowała, o grymaśnej Tryli, o irytującym, ale wiernym Arimacie. Jakim przeciwnościami losu musieli stawiać czoło? Jakie niebezpieczeństwa, poza szalonymi ludźmi, groziły im teraz?

Wystrzeliła nagle z pozycji startowej; biegła pochylona, starając się maksymalnie rozpędzić na śmiesznie wąskim rozbiegu, jaki stanowiła ścieżka. Trafiła prawą stopą na ostatni już chyba skrawek twardego gruntu i wybiła się w powietrze. Nie miała odwagi spojrzeć w dół, zanim nie poczuła, że zaczyna opadać.

Wylądowała niezgrabnie; ciężko upadła na skalną powierzchnię po drugiej stronie wyrwy o kilka stóp od jej krawędzi. Na szczęście na jej się nie stało. Potknęła się i strąciła w dół luźny żwir, lecz zaraz odzyskała równowagę. Serce waliło jej jak podnieconemu pteranodonowi, a nogi dygotały pod nią, odkąd przejęły na siebie ciężar ciała przy zderzeniu z ziemią, ale... udało się! Była po drugiej stronie!

Nie oglądając się ruszyła pod górę.

Najgorsze miała już za sobą. Nie spotkała żadnych więcej przełomów, a zakręty stały się szersze, gdy strome urwisko zaczęło w końcu ustępować miejsca łagodniejszemu zboczowi. Oceniała, że wdrapała się na wysokość około tysiąca stóp, licząc od dna Deszczowej Doliny.

Nagle stanęła w obliczu nowej niespodzianki. Stary szlak, który wyprowadził ją doliny, nikał w gąszczu zarośli i traw i urywał się w wyschniętym łożysku potoku. Nad sobą ujrzała bezlistne drzewa przeważnie dęby i jawory. Wiedziała, że jeszcze wyżej napotka prawdopodobnie sosny, jodły, sekwoje i akacje.

Posuwając się wzdłuż wyschniętego koryta, dotarła do rwącego strumienia, w którym ugasiła pragnienie. Odtąd, uznała, nie powinno jej brakować wody. Inaczej wyglądała sprawa pożywienia. Boleśnie odczuwała pustkę w żołądku. Zadowolona była za to, że zrobiło się chłodniej.

Choć wiedza Keelk na temat nawigacji gwiazdowej była praktycznie zerowa, starała się wykorzystać jak najlepiej to, co pamiętała. Podążała zatem w kierunku, w którym według niej powinno leżeć miasto Krzywy Korzeń. Zatrzymywała się tylko po to, by coś zjeść, a żywiła się wszystkim, co wyglądało na jadalne, choćby były suche i bez smaku.

Góry Grzbietowe nie były przyjaznym miejscem. Urwiska, wąwozy nie do przebycia i jeziora powodowały, że wbrew woli coraz bardziej skręcała na zachód. Nie miała wyboru. Musiała iść przed siebie z nadzieją, że w końcu znajdzie drogę wiodącą w przeciwną stronę. Gdyby ominęła Krzywy Korzeń, padłaby z wyczerpania błakając się po górach.

Myślała o obfitości owoców pozostawionych w Deszczowej Dolinie, a w brzuchu burczało jej nieustannie, najwyraźniej na skutek jałowej diety składającej się z bulw, korzeni, owadów i nasion wydłubywanych z szyszek. Powyżej, jak oceniała, czterech tysięcy stopi pożywienia było coraz mniej i musiała się ograniczać do owadów, co bynajmniej jej nie odpowiadało. Chwywanie ich wymagało czasu i siły, a Keelk nie miała w nadmiarze ani jednego, ani drugiego.

Wciąż jednak parla do przodu popędzana obawą, co też ci ohydni ludzie mogą zrobić złego jej rodzinie. Musiała dotrzeć do Krzywego! Korzenia! Za wszelką cenę!

Nie była pewna, jak wysoko się wspięła, ale tak naprawdę nie miało to znaczenia. Zaczęła szybko słabnąć. Trudno już było nawet o owady, a tych kilka orzechów, które znalazła, ciężiej było zerwać i strawić niż owoce, do których zbierania przyzwyczaiała się podczas rodzinnych wycieczek. Zdobywanie żywności było sztuką, której nie opanowała w zbyt wysokim stopniu.

Od chwili ucieczki z niewoli starała się przez cały czas godzić ze sobą potrzebę jak najszybszego marszu naprzód i konieczność robienia postojów w celu zdobycia pożywienia. Gdy zaczęła ślaniać się na nogach, wiedziała już, że równowaga między jednym a drugim została niebezpiecznie zachwiana. Nie mogła już iść jak zwykle, długim posuwistym krokiem; szła teraz chwiejnie, na drżących nogach. Zawsze dumnie podniesiona głowa opadła i kołysała się z boku na bok. Wraz z ubytkiem siły zniknął też cały wdzięk, z jakim zawsze się poruszała. Choć jeszcze o tym nie wiedziała, była w ostatnim stadium fizycznego wyczerpania.

Wspiąwszy się na przełęcz między dwoma szczytami, postanowiła pójść wzdłuż potoku, który spływał ze zbocza po drugiej stronie stromej góry. Wtedy zobaczyła dym.

Najpierw pomyślała, że może od słońca zatlił się w którymś miejscu las. Wysoko, w Górach Grzbietowych, był to częsty przypadek. Ale przyjrzała się uważnie i aż zamrugła oczami: zobaczyła wyraźnie tuzin smug dymu, każda tego samego koloru, kształtu i gęstości. To nie był pożar lasu. To był dym pochodzący z ludzkich osiedli! Krzywy Korzeń!

Nie zważając już na nic puściła się pędem w dół, frunąc niemal między pniami drzew, rosnących na północnym zboczach gór. Olbrzymie jodły i sosny zlewały się jej w oczach w jedną plamę, gdy mknęła na oślep przez las.

W spływającym z gór potoku, obok którego biegła, było na pewno mnóstwo słodkowodnych raków, małży i smacznych ślimaków. Wiedziała, że powinna się zatrzymać i posilić. Ale skoro pomoc była na wyciągnięcie ręki, gnała dalej. Woląca zachować wszystkie siły na bieg, zamiast na zdobywanie pożywienia. Nie była już zdolna wykrzesać z siebie tyle energii, by dokonać jednego i drugiego. Musiała wybierać. Wybrała bieg.

Strumień wypływał na płaszczyznę i rozszerzał się tworząc małe górskie jezioro. Dalej srebrzysta woda wpadała ponad skalnym progiem do przepaści. Keelk zwolniła, zdumiona rozciągającym się przed nią widokiem. W dole ujrzała miasto, ale... to nie był Krzywy Korzeń. Nigdy przedtem tu nie była, chociaż знаła to miejsce z opowiadań podróżników. Te unikalne budowle na drzewach, specjalne stajnie dla sauropodów, napowietrzne chodniki... Ależ tak, wiedziała, dokąd doszła!

Każdy słyszał o Mieście Drzew!

Ludzie uwijali się w koronach drzew jak pszczoły w ulu. Jeszcze większa ich liczba krzątała się na ziemi pomiędzy tuzinami dinozaurów, częstokroć pracując z nimi ramię w ramię. A dinozaury były tu reprezentowane przez wszelkie możliwe gatunki, od jowialnych corythozaurów do wyróżniających się kaczym chodem ankylozaurów. Drobnej budowy celurozaury śmigały w tłumie, często przemykając pod brzuchami swych większych kuzynów, by nie tracić czasu na ich omijanie.

Ten tętniący życiem pejzaż sprawiał tak optymistyczne wrażenie że Keelk poczuła bezgraniczną ulgę. Otworzyła usta, lecz nie miała siły wydobyć z siebie głosu. Była po prostu zbyt zmęczona. Zresztą i tak nikt by jej z takiej odległości nie usłyszał. Wiedziała o tym.

Rzeczywiście zapuściła się bardzo daleko na zachód.

Gdy ruszyła w dół stromym, lecz łatwym zejściem, zauważyła że droga wiodąca z północy jest zatłoczona obładowanymi dinozaurami i wozami. Sprzęty gospodarstwa domowego podskakiwały na grzbietach ankylozaurów, podczas gdy wielkie gliniane dzbany pełne ugnieczonego ryżu podróżowały wraz z amforami wypełnionym winem, przytroczone do boków kościstych ceratopsianów.

Trwa ewakuacja Niziny Pomocnej, przypomniała sobie, gdy zataczając się i potykając schodziła coraz niżej. To o tym wspominał ojciec, z tego powodu rodziny musiały opuścić rejon podgórza.

Szła zamyślona, nie patrząc pod nogi. Nie zauważyła luźnego kamienia, więc kiedy nagle usunął się jej spod lewej stopy, straciła równowagę. Była zbyt wyczerpana, by utrzymać się na nogach. Może powinnam była jednak zatrzymać się i zapolować na te raki, pomyślała, padając na ziemię.

To było doprawdy zabawne. Przecież prawie dotarła na miejsce, Miasto Drzew było tuż, tuż. Za chwilę mogła tam być i opowiadać swoją historię pierwszej napotkanej osobie, bez względu na to, czy byłby nią człowiek, czy dinozaur. Zaprowadzono by ją do władz, a te wysłałyby ekipę ratunkową na pomoc jej rodzinie. Musi tylko zwrócić na siebie czyjaś uwagę. Potem będzie mogła odpocząć. Droga jest przecież tak blisko...

Uniosła jeszcze głowę, zanim opadła bez czucia, nie zdążywszy nawet się odezwać. Nogi Keelk nigdy jeszcze jej nie zdradziły. Próbowwała je przekonać, ale nie chciały już słuchać. Zastanawiała się, czy to jest właśnie to, co jej nauczyciele nazywali ironią losu. Leżała niezdolna się poruszyć i wydawało jej się, że słyszy odległe pogwizdywania i pohukiwania innych dinozaurów i wesołą paplaninę ludzi. I była taka śpiąca, taka strasznie śpiąca...

Wszystko wokół ją usypiało...

Ptak, który wylądował nagle obok leżącego bezwładnie ciała Keelk, był doprawdy wielce osobliwy. Zawadiacko przechylając głowę przyjrzał się z zaciekawieniem jej twarzy. Po chwili zatrzepotał jasnoczerwonymi skrzydłami i wskoczywszy jej na grzbiet począł maszerować po nim tam i z powrotem, utrzymując równowagę, za pomocą zaopatrzonych w szpony łap. Od czasu do

czasu otwierał i szybko zamykał dziób pełen drobnych zębów, wydając przy tym charakterystyczny klekot.

Zeskoczył na ziemię i zaczął delikatnie, lecz uporczywie skubać ramię Keelk zębatymi szczękami i drapać pazurami wyrastającymi mu na końcach skrzydeł. Ponieważ nie reagowała, archeopteryks rozpostarł wspaniałe skrzydła, mieniące się smugami złota na tle purpurowej czerwieni; wydając ponure odgłosy, przypominające trochę pohukiwanie sowy, a trochę gruchanie gołębia, uniósł się w powietrze. Wznosił się i znów z wolna opadał, zanim trzepot jaskrawych, choć prymitywnych skrzydeł uniósł go wyżej. Wciąż pohukując, zniknął wśród drzew, pozostawiając na ziemi nieprzytomną struti.

– Właśnie że tak! – krzyknął jeden z chłopców.

– Właśnie że nie! – upierała się idąca obok dziewczyna. Całkiem niedawno skończyła siedemnaście lat, podobnie jak trójka jej przyjaciół. Kierując się na południe, cała czwórka opuszczała Miasto Drzew, bo chciała uciec od kurzu i hałasu, ale i dlatego, by uniknąć zagonienia do pomocy ewakuowanym. To nie była ich sprawa, jak uznali.

W tej chwili kłócili się o to, czy ich wspólny bliski przyjaciel zbyt ulega rodzicom, czy też po prostu postępuje słusznie. Młoda dama energicznie broniła swego stanowiska, bo gdyby przyznała, że ich nieobecny przyjaciel ma rację, równałoby się to stwierdzeniu, że cała czwórka postępuje niesłusznie, uchylając się od obowiązków.

– Nie jesteśmy tam potrzebni – stwierdził jej chłopak, lekceważąco machając ręką w kierunku miasta. – Sami zobaczcie... Tylko byśmy przeszkadzali. Nie mamy doświadczenia.

– Właśnie mielibyśmy świetną okazję, by je zdobyć. Doświadczenia nabiera się w działaniu – spierał się drugi chłopak. – Nie sądzisz, Meitin?

Dziewczyna odgarnęła włosy z twarzy.

– Sama nie wiem, Ahmed. W tym całym zamieszaniu można zostać rozdeptanym, ale z drugiej strony może jednak powinniśmy pomóc...

– Daj spokój! – skrzywiła się druga dziewczyna. – Słyszałaś kiedyś, żeby dinozaur kogoś nadepnął?

– No wiesz... Z opowiadań wynika...

– Zawsze te opowiadania! – zgasiła ją przyjaciółka. – A gdzie fakty? Zapominając o obowiązkach, zapomniałaś jednocześnie, czego cię uczono? Liczą się fakty.

Niższa nastolatka zatrzymała się nagle i pogroziła przyjaciółce palcem.

– Nie krzycz na mnie, Tina! – powiedziała ostrzegawczym tonem. – Ty jesteś tutaj. Czyżbyś o tym zapomniała?

– Właśnie – przytaknął jej chłopak. – Nie zapominaj, że... Hej! To Czerwonoskrzydła! Zastanawiałem się właśnie, dokąd mogę polecieć!

Wyciągnął prawą rękę. Archeopteryks podszedł do lądowania i już po chwili dotknął skórzanej łąty, którą chłopiec miał naszytą na rękawie swetra. Zamiast jednak usadowić się na niej wygodnie, jak miał w zwyczaju, ptak wciąż machał skrzydłami pohukując z podnieceniem. Zanim jego właściciel zdążył wyciągnąć drugą rękę, by go uspokoić, wzbił się ponownie w powietrze i skierował się na południe. Wylądowawszy na gałęzi nie przestawał pohukiwać i trzepotać energicznie skrzydłami.

– Jak myślicie, o co jej chodzi? – zapytał zdziwiony właściciel Czerwonoskrzydłej.

– Znalazła sobie chłopaka? – zażartował jego przyjaciel.

– Bardzo śmieszne! – parsknął tamten. – Zobaczcie, jak podskakuje. Co jej się stało?

– Nie rozumiesz? – Meitin ruszyła przed siebie. – Chce, żebyśmy za nią poszli. Jak w

opowiadaniach.

– Znów te twoje opowiadania – właściciel ptaka uśmiechnął się krzywo, kręcąc głową. – Za dużo czytasz, Mei. W Dinotopii, a zwłaszcza tu, w Mieście Drzew, nic się nigdy nie dzieje. To nudna wiocha. Nie to, co Sauropolis... – jego oczy rozbłysły. – To jest dopiero miasto!

Archeopteryks znów się poderwał. Przeleciał kilka jardów w kierunku południowym i wylądował na kolejnej gałęzi, by dać takie samo przedstawienie jak poprzednio.

– Nie macie nic lepszego do roboty? – zapytał zjadliwie przyjaciel właściciela ptaka.

Josiah zastanowił się.

– Chyba nie. Chcę się przekonać, czy rzeczywiście Czerwonoskrzydła chce nam coś dać do zrozumienia. Tym bardziej że prowadzi nas w przeciwnym kierunku niż miasto. – Ruszył w ślad za Meitin, która obejrzała się za przyjaciółką.

– Nie idziesz, Tina? Dziewczyna spojrzała w stronę miasta.

– Myślę, że jednak powinniśmy pomóc ewakuowanym przy rozpakowywaniu się. Mają za sobą kawał drogi z Niziny Północnej, a to nie spacer. Może im się przydać każda para rąk. – Zawahała się przez moment. – Ale skoro wy wszyscy idziecie...

Podbiegła, by dogonić przyjaciół.

– Głupio robimy – Ahmed odsunął gałąź. – Tina ma rację. Powinniśmy wrócić i pomóc. Czuję się winny...

– Nie przejmuj się. – Trener ptaka przeszedł pod tą samą gałęzią, którą odsunął Ahmed. – Zgadnam się, że to głupio, ale jednocześnie uważam, że branie się za robotę, której się nie zna, jest jeszcze głupsze. Nie sądzę, żeby...

– Zobaczcie! – wykrzyknęła nagle Meitin. – Tam ktoś leży!

– To struti – przytaknęła Tina. – Nie rusza się... – dodała zdenerwowana.

– Przecież widzę, no nie? – odparł jej chłopak poirytowanym łonem i dokończył już grzeczniej: – Chyba jest w kiepskim stanie.

Czwórka nastolatków otoczyła leżącą postać.

– Myślicie, że jest martwa? – wymamrotał Ahmed. Nie był już buńczuczny, tylko szczerze przejęty.

Nie zwracając uwagi na swą pohukującą i podskakującą pupilkę Josiah nachylił się i przyłożył ucho do piersi struti. Jego przyjaciele zamilkli. Po chwili wyprostował się i uśmiechnął z ulgą.

– Żyje – powiedział. – Tylko słabo oddycha. Potrzebna jej fachowa pomoc lekarska.

– Sprowadzę kogoś – obiecała Meitin. Nikt nie próbował jej się sprzeciwić. Wszyscy wiedzieli, że jest niedościgniona w bieganiu po górach.

– Chodźmy wszyscy – zmienił nagle zdanie Ahmed, ale Tina zatrzymała go.

– Nie. Wystarczy, jak pójdzie jedno. Niech pobiegnie Meitin. Reszta z nas powinna tu zostać i spróbować zrobić dla niej, co się da – skinęła głową w stronę leżącej. – Co będzie, jak się ocknie i spadnie z urwiska albo wpadnie do jeziora? Lub choćby poprosi trochę wody?

Ahmed pokiwał głową.

– W porządku. Masz rację.

– A ja mam pomysł. – Josiah przyglądał się w zamyśleniu pobliskiej kępie młodych brzózek. – Przypominacie sobie leśne szkolenie?

– Leśne szkolenie? – Mei-tin spojrzała na niego zdziwiona. – Nigdy bym nie pomyślała, że ty z tego coś pamiętasz, Josiah. Takie wiadomości to głupstwa potrzebne tylko ludziom z prowincji, nie tak mówiłeś?

– Przepraszam – odrzekł ze skruchą. – Ciekawe, że zawsze kiedy uważasz, że twoje życie jest

diabelnie nudne, zdarza się coś takiego. – Wskazał na Keelk, która nie poruszyła się ani razu od momentu, gdy tu przybyli, i nie wydawała się w najmniejszym stopniu świadoma ich obecności. – To stworzenie potrzebuje pomocy, i to zaraz. Ahmed, masz przy sobie nóż?

Jego przyjaciel poklepał szerokie ostrze ukryte w pochwie na biodrze.

– Nie wiem, o co ci chodzi i co zamierzasz, ale jedno ci powiem: nie jestem jakimś cholernym chirurgiem. Nie znam się na tym, Josiah.

– Wiem. Ale założę się, że potrafisz ściąć trochę tych młodych drzewek. Zrobimy nosze.

– Że co?! – zapytała Mei-tin.

– Sama zobaczysz. Chodź, pomożemy Ahmedowi. Będziemy potrzebowali pnączy albo pasków kory, żeby związać razem drzewka.

Wspólnym wysiłkiem uporali się z robotą szybciej niż przypuszczali. W każdym razie na pewno zajęło to mniej czasu, niż potrzebowałyby Mei-tin na dotarcie do miasta i sprowadzenie po-; mocy.

– Myślicie, że to ją utrzyma? – Tina popatrzyła niepewnie na «leżącą przed nimi trójkątną konstrukcję.

– Gdybym uważał inaczej, nie traciłbym czasu na zajmowanie się tym. – Josiah schował nóż i razem z Mei-tin zaczął sprawdzać wytrzymałość węzłów. – Bardziej martwi mnie, czy damy radę dostarczyć ją do miasta.

– Damy. – Ahmed cofnął się i otarł pot z czoła. – Pod warunkiem, że ona się nagle nie ocknie, nie wpadnie w panikę i nie zrobi sobie krzywdy.

Prymitywne nosze wyglądały dość solidnie, ale jedynym sposobem, by się co do tego upewnić, było ich użycie. Ostrożnie przysunęli ciało struli do swojego dzieła.

– Teraz wszyscy razem... – zachęcił przyjaciół Josiah chwytając za jedną z nóg Keelk, pokrytą twardą jak podeszwa skórą. Ahmed zajął się drugą nogą, a dziewczęta ujęły nieprzytomnego dinozaura pod ramiona. – Uwaga... Raz, dwa, trzy, do góry!

Częściowo wnieśli, a częściowo wtoczyli ciało Keelk na nosze. Środek konstrukcji splecionej z drzewek, kory i pnączy ugiął się, ale wytrzymał. Każda para chwyciła po jednym z dwóch drągów wystających z osobliwego środka transportu i bez trudu uniosła go do góry, by nie tyle nieść, co ciągnąć leżącą na nim Keelk.

– W porządku. A teraz idziemy.

Czwórka nastolatków ruszyła z miejsca, wlokąc bezwładną sthruthiomimus w kierunku Miasta Drzew. Na szczęście droga wiodła z góry na dół; pojedyncze wzniesienie, na które wkrótce natrafili, trochę osłabiło zapal młodzieży.

– Jak tylko pokonamy ten pagórek, wszystko pójdzie dobrze. – Ahmed pocił się obficie. – Reszta trasy do miasta cały czas opada.

Właśnie w tym momencie z bocznej ścieżki wyłonił się turkoczający wóz, podążający w dół. Każde z jego dwóch kół było dwukrotnie wyższe niż wysoki mężczyzna. Triceratops ciągnący pojazd zatrzymał się bez wezwania i zamruczał coś do nastolatków. Młody farmer usadowiony wysoko na koźle zsunął kapelusz z szerokim rondem na tył głowy.

– Hej, a co my tu mamy? – zawołał. Zza jego pleców ostrożnie wyjrzała dwójka dzieci.

Młodzi ludzie zatrzymali się, radzi, że mają chwilę wytchnienia. Mei-tin wskazała na nieruchomy ładunek.

– Jest chora... W każdym razie coś w tym rodzaju. Natychmiast potrzebuje pomocy. Staramy się dociągnąć ją do miasta.

– Wszystko jasne. Chodźmy, Friere.

Obok farmera pojawiła się jego żona. Opuścili schodek z przodu wozu i zeszli na dół, po czym

szybko uwolnili triceratopsa od pojazdu, pozostawiając na nim uprząż. Stworzenie cofnęło się ostrożnie, po czym doczepiono do niego sklecony przez młodzież naprędce wehikuł.

Pozostawiwszy mężowi opiekę nad dziećmi i dobrami doczesnymi, młoda kobieta usadowiła się na siodle umieszczonym tuż za kryzą na karku triceratopsa. Josiah i jego przyjaciele wdrapali się za nią, chwytając za co mogli. Mruknąwszy ostrzegawczo pod adresem swych pasażerów, triceratops ruszył z miejsca szybkim klusem i błyskawicznie pokonał wzniesienie, które omal nie pokrzyżowało planów nastolatkom. Musieli się mocno trzymać. Triceratops, jak każdy ceratopsian, potrafił rozpędzić się na krótkim odcinku do całkiem przyzwoitej prędkości.

Ludzie i dinozaury odwracali głowy i ze zdumieniem patrzyli na dziwną grupę, wjeżdżającą w tumanach kurzu do miasta. Przybysze zostali od razu skierowani ku drzewu mamutowemu, na którym rezydował wielce uczony i szanowany doktor Kano Toranaga. Na pobliskim drzewie Will Denison dyskutował właśnie z dwójką przyjaciół na temat zmiennych wiatrów i ciągów powietrznych zastanawiając się wraz z nimi, jak najlepiej kierować podniebnych rumakiem w tak trudnych warunkach. Należało rozstrzygnąć, czy lepiej wydawać rozkazy i udzielać wskazówek, czy też pozostawić mu wolną rękę i dać się nieść, dodając quetzalcoatlusowi odwagi tylko wtedy, gdy jest to niezbędne.

– Ciekawe, co tam się dzieje? – powiedział młody człowiek, który siedział najbliżej barierki i pierwszy zauważył przybycie triceratopsa i jego niecodziennego ładunku.

Will odwrócił się, by spojrzeć w dół.

– Nie wiem. Chyba przywieźli ranną struti.

Ludzie i dinozaury tłoczyli się wokół niezgrabnie skleconego sprzętu. Struti delikatnie ułożono w koszu przypominającym hamak, Młodemu apatozaurowi, odbywającemu jeszcze praktykę, wydawaj rozkazy towarzyszący mu człowiek, zresztą również praktykant Młody sauropoda natychmiast począł oddalać się od drzewa, ostrożnie ciągnąc linę wyciągu, unoszącego w górę ku gałęziom kosz umocowany do uprzęży z pasów. Wznosząc się coraz wyżej, kosz obracał się powoli. Will podążył za nim wzrokiem, zaciekawiony. Samotny pasażer leżący w hamaku nie poruszał się.

Znalazłszy się na żądanej wysokości kosz zamarł w powietrzu ni dany sygnał. Czekające nań ręce przyciągnęły go i wydobyły pasażera!

– Wygląda strasznie mizernie – zauważył Moon, trzeci podniebny jeździec.

– Nie wiem dlaczego, skoro wokół jest mnóstwo jedzenia -; stwierdziła towarzysząca Willowi i Moonowi dziewczyna. – Ona żyje, inaczej nie zabieraliby jej do lekarza.

Will spojrzał na nią.

– Do lekarza?

– Na tamtym drzewie przyjmuje Kano Toranaga. Słyszałam, że jest najbardziej uznanym medykiem stąd do Sauropolis. To weterynarz, więc ma kwalifikacje, by leczyć zarówno ludzi, jak i dinozaury-

– Może to nic poważnego – Moon odwrócił wzrok od widoku na dole. – Struti pewnie upadła i uderzyła się w głowę albo coś w tym rodzaju.

– Bo ja wiem... – Will starał się obserwować wszystko, co dzieje się wokół. – Zbyt duże poruszenie jak na zwykłe stłuczenie głowy, kle tam! – podjął nagle decyzję.

– Po co? – Ethera zamrugwała oczami. – Przecież nie możesz w niczym pomóc.

– Ale mogę się czegoś nauczyć. – Will ruszył w kierunku wyjścia.

– Powinieneś się uczyć o prądach powietrznych nad Górami grzbietowymi – powiedziała z urażoną miną. Will wiedział, że Ethera podkochała się w nim. Była niewątpliwie atrakcyjną dziewczyną, ale jego serce należało już do innej.

– Wiem o tym – odrzekł. – Nie martw się, wróć.

Wyszedł z internatu, skręcił w lewo i poszedł chodnikiem z gałęzi do drabiny prowadzącej na wyższe konary, po czym wszedł na wiszący most linowy, który znajdował się sto stóp nad ziemią. Przebiegł po nim nie spojrzawszy nawet w dół. Taka przepaść nie robiła wrażenia na podniebnym jeźdźcu, przyzwyczajonym do wykonywania beczek na wysokości dwóch tysięcy stóp.

Na drzewie, które opuścił, jego towarzysze kontynuowali rozmowę bez niego, lecz na jego temat. Moon dowodził, że zachowanie Willa jest typowe dla rozbitka zamieszkałego w Dinotopii, który zawsze dostrzega coś niezwykłego w banalnych zdarzeniach. I choć Denisonowie żyją tu już od sześciu lat, Willa wciąż fascynuje pospolita codzienność. A skoro już o tym mowa, to dlaczego Ethera nie uważa jego, Moona, za równie interesującego jak Will?

Will dotarł w końcu okrężną drogą między gałęziami do drzewa doktora Toranagi. Przedstawił się i został wpuszczony do lecznicy pod warunkiem, że będzie się zachowywał cicho. Doktor Toranaga nie miał nic przeciwko temu, by młodzi zapaleńcy przyglądali się jego pracy. Wręcz odwrotnie. Młodzież była tu mile widziana, dopóki potrafiła trzymać buzię na kłódkę.

W lecznicy przebywało obecnie trzech rekonwalescentów, należących do rodzaju ludzkiego. Dinozaury w większości wypadków leczone były na ziemi. Taka konieczność wynikała z ich rozmiarów. Łatwiej było udać się personelowi medycznemu do chorego diplodoka niż odwrotnie. Wążący siedemdziesiąt ton sauropoda mógłby, delikatnie mówiąc, nadwerężyć nieco konstrukcję lecznicy i ich urządzenia.

Ale mniejsze dinozaury mogły z nich korzystać na równi z ludźmi i dlatego na życzenie Toranagi dostarczono tu nieprzytomną *struthiomimus*.

Przy wejściu powitała Willa pielęgniarka w białym, zwiewnym sari. Na środku czoła lśnił mały rubinowy kaboszon, a z uszu zwieszały się złote kolczyki.

– Czym mogę służyć? – zapytała.

Will spróbował spojrzeć ponad jej ramieniem.

– Jestem podniebnym jeźdźcem z Miasta Wodospadów. Mówiono mi, że mógłbym się przyjrzeć...

Pielęgniarka obejrzała się.

– Doktor zajmuje się właśnie młodą struti.

– Wiem. Widziałem, jak ją przywieźli. Jak ona się czuje?

– Jest krańcowo wyczerpana i nie odzyskała jeszcze przytomności.

Jakby specjalnie zaprzeczając tej diagnozie, z wnętrza izby chorych odezwało się pełne napięcia, przesywające zawodzenie. Will natychmiast rozpoznał przepelniony strachem pisk przerażonej struli; Przez ten dźwięk przebiło się z trudem ledwo słyszalne ludzkie wołanie o pomoc.

– Muszę już iść – wyjaśniła pośpiesznie pielęgniarka i pobiegła, zostawiając Willa samego.

– Hej! Niech pani zaczeka! Może mógłbym pomóc! – krzyknął za nią.

Zawahał się. Najgorsze, co mogło mu się przydarzyć, to że go stąd przegonią. Ale jeśli mieli do czynienia z majaczącym dinozaurem, choćby tylko z młodą struti, dodatkowa para silnych rąk na pewno będzie mile widziana. Jeśli takiego pacjenta dręczyły koszarne halucynacje, mógł zareagować zgodnie z pradawnym instynktem, a nie ze zdrowym rozsądkiem. Dla strutich oznaczało to ucieczkę. A to nie jest najlepszy pomysł, gdy leży się w łóżku w koronie gigantycznej sosny na wysokości stu dwudziestu stóp nad ziemią.

Will pobiegł za pielęgniarką. Zwolnił, gdy dostrzegł okrągłe łóżko, przypominające gniazdo. Struti leżała w środku, wierzgając gwałtownie i próbując się podnieść. Mały, czarnowłosy, krótko ostrzyżony człowieczek w okularach usiłował ją powstrzymać. Dwoje pielęgniarzy, wielki

mężczyzna i kobieta, która powitała Willa przy wejściu, starało się pomóc jak umiało.)

Nikt się nie sprzeciwił, gdy Will bez słowa przyłączył się do nich. Starał się słuchać poleceń Toranagi. Jak na niemal nieprzytomną pacjentkę, młoda struti była bardzo silna, szczególnie w nogach. Wierzgała i wierciła się, paplając coś piskliwie w swoim własnym języku. Will, próbując wraz z innymi uspokoić chorą, wyłowił słowo lub dwa, lecz było to za mało, by pojąć coś z bezładnego bełkotu.

W końcu doktorowi i jego pomocnikom udało się owinąć młodą, oszalałą pacjentkę wilgotnym prześcieradłem, mocno nasączonym ziołami. Miało to widoczny, uspokajający efekt. Wierzganie ustało całkowicie i struli osunęła się na środek okrągłego łóżka. Jej mamrotanie było coraz cichsze, choć nie ustępowało.

– Będę potrzebował dawkę napoju numer cztery z domieszką korzenia vivar – odezwał się Kano Toranaga, nie patrząc na parę pielęgniarzy. Jego uwaga skupiona była wyłącznie na pacjentce. – i będę chciał porozmawiać z tymi młodymi ludźmi, którzy ją znaczyli i przywieźli tutaj – dodał.

– Dobrze, panie doktorze. – Pielęgniarz szybko zapisał coś w bloczku.

W następnym momencie wzrok Willa napotkał spojrzenie małych czarnych oczek przypominających mu bardzo Levkę Gambo.

– A kimże jest ten pomocny, choć nieco niezgrabny młody człowiek?

Pielęgniarka spojrzała niepewnie na gościa, który znalazł się w lecznicy we właściwej chwili.

– Nie wiem, panie doktorze. Mówi, że jest podniebnym jeźdźcem z Miasta Wodospadów. Chciał się przyjrzeć...

– No i cóż zaobserwowałeś, młodzieńcze? Will starannie dobrał słowa.

– To, że nawet bezbronne wyglądający pacjent może okazać się niebezpieczny i wymaga szczególnej uwagi.

Przez chwilę nie było żadnej reakcji. Potem doktor uśmiechnął się rozbawieniem.

– Nie tak źle... Więc kim jesteś? Will wyprostował się.

– Will Denison, sir. Oczy Toranagi rozbłysły.

– Ach, tak?! Jesteś synem cieszącego się powszechnym szacunkiem Arthura Denisona. Słyszałem o nim. O tobie jeszcze nie.

Will najwyraźniej oklapł.

Chichocząc pod nosem doktor obszedł łóżko i przywitał się z nim.

– Młodzieńcza niecierpliwość, by dokonać czegoś wielkiego. Jakże dobrze to pamiętam. A teraz, młody jeźdźcu, powiedz mi, co my tu mamy, twoim zdaniem? – wskazał na łóżko.

– Bardzo chorą struli, sir. Toranaga przytaknął.

– Jesteś spostrzegawczy, nawet jeśli twój umysł nie posiadaj jeszcze zdolności analitycznych. Ale to przyjdzie z czasem. W istocie jest bardzo chora, ale dzięki właściwemu odżywianiu i umiarkowanemu stosowaniu medykamentów powinna szybko wrócić do zdrowia, wygląda na to, by stało się jej coś bardzo złego. Nie stwierdzi złamań kości i uszkodzeń organów wewnętrznych. Jest po prostu krańcowo wyczerpana. W dodatku zupełnie nie wie, co się z nią dzieje. Co najmniej przez kilka dni pozostanie pod ścisłą obserwacją.

Zastanawiał się przez chwilę, po czym dodał, jakby patrząc swojego gościa innym okiem:

– Możesz tu zostać, młody człowieku, i nauczyć się czegoś.

– Dziękuję, sir! – odrzekł Will z wdzięcznością, po czym przeniósł uwagę na jęczącą cicho struthiomimus. – Czy wiadomo, się jej przytrafiło?

– Nie wydaje mi się, by ktoś mógł na ten temat coś powiedzieć. Znalazło ją kilkoro młodych ludzi podczas pieszej wędrówki.

Will nawet nie próbował ukryć zdumienia.

– Była sama?! A gdzie jej rodzina?

– To jedna z rzeczy, których spróbujemy się dowiedzieć. Jaki że nie mówię w jej języku, a wątpię, by ona знаła ludzką posłałem już po tłumacza.

– Chyba zrozumiałem coś niecoś z tego, co mówiła. Ale bardzo niewiele.

Brwi doktora uniosły się lekko.

– Ty? Zajmowanie się przekładami z dinozaurowskiego na ludzki to niecodzienne hobby dla podniebego jeźdźca. Myślałem, żli musisz jedynie znać komendy dla twojego rumaka. Bardzo niewielu ludzi potrafi sobie poradzić z dinozaurowskimi dialektami.

– Takie mam hobby, sir – Will uśmiechnął się nieśmiało. – Jaka podniebny jeździec krąży tu i tam, i słyszę więcej niż inni. Założyłem sobie, że nauczę się kilku słów w każdym dialekcie.

Toranaga z aprobatą pokiwał głową.

– A co udało ci się zrozumieć z dialektu naszej nieszczęsnej młodej pacjentki?

– W gruncie rzeczy niewiele. Wyłowiłem tylko imiona. W języku strutich brzmią bardzo charakterystycznie. Wciąż je powtarza.

– To ma sens. Zupełnie naturalne, że w nieszczęściu najpierw wzywa rodzinę. Ile było tych imion?

– Przede wszystkim obydwój rodziców. Stwierdzam to na podstawie brzmiącego w jej głosie szacunku. Jedno, może dwoje rodzeństwa... – wzruszył bezradnie ramionami. – To wszystko, co udało mi się zrozumieć. Nie mówi zbyt wyraźnie.

– Delikatnie powiedziane – zgodził się Toranaga. – Mimo że podziwiam twoje zdolności lingwistyczne, młody Denisonie, zgodzisz się chyba, że nadal potrzebna nam pomoc zawodowego tłumacza.

– Oczywiście, sir.

– Przez ten czas przekonamy się, czy zdołamy wmusić w nią coś pożywnego. Na początek zupa w temperaturze pokojowej i bulion. Będziemy stopniowo przywracać ją do życia, bo dopóki jej nie ocucimy, nawet tłumacz niczego się od niej nie dowie.

Stojąca po drugiej stronie łóżka pielęgniarka w sari spojrzała na doktora.

– Sądzi pan, że powinniśmy powiadomić władze? Toranaga zastanawiał się przez chwilę.

– Nie teraz. Na razie nie mamy jeszcze pojęcia, z jakiego powodu znalazła się w takim stanie. Choć to okropne, może mieć jednak zupełnie naturalne wytłumaczenie. Zresztą wszyscy kompetentni członkowie władz są zawaleni po uszy robotą. Pomagają ewakuowanym z Niziny Północnej. I nieprędko odsapną. – Spojrzał na zaciągnięte chmurami niebo. – Jeśli sztorm będzie naprawdę groźny, władze będą miały na głowie o wiele ważniejsze problemy niż jedna chora sthruthiomimus. Spróbujmy poradzić sobie sami z tą sprawą, zanim zaczniemy wzywać pomocy.

– Tak jest, sir – kobieta skłoniła się z szacunkiem.

– A co do ciebie, miody człowieku, to skoro na ochotnika zgłosiłeś się do pomocy, może byś został z nami, dopóki nie przybędzie tłumacz? Jeżeli znasz trzy słowa w języku strutich, zawsze jest to o trzy więcej, niż znam ja i moi asystenci. Twoja pomoc może okazać się cenna.

– Oczywiście, że zostanę, sir! – zgodził się Will. Przebywanie w lecznicy było o wiele ciekawsze niż analizowanie siły prądów powietrznych.

Spojrzał na pojękującą struli. Co jej się przydarzyło w górach? Gdzie się podziła jej rodzina? Dlaczego znalazła się w tak opłakanym stanie?

I najważniejsze, być może, pytanie: czego się tak śmiertelnie przestraszyła?

Znalezienie tłumacza wymagało czasu. Choć farmerzy z Niziny Północnej dawno nauczyli się porozumiewać ze swymi towarzyszami i pomocnikami dinozaurami przy użyciu komend i gestów, wciąż istniało wielkie zapotrzebowanie na tłumaczy, mogących pomóc w bardziej skomplikowanych sytuacjach, zdarzających się podczas masowej ewakuacji. Upłynęły długie godziny, zanim ktoś odpowiedział na wezwanie doktora Toranagi.

Will był pogrążony w głębokiej drzemce, gdy z dołu ozwał się dźwięk rogu. Zerwał się z hamaka i podbiegł do najbliższej ściany, by wyrzeć. Na ziemi ujrzał pielęgniarka Skowena rozmawiającego z kilkoma ludźmi i protoceratopsem. Z tego gatunku wywodzili się najlepsi tłumacze, umiejący rozmawiać we wszystkich niemal dinozauryjskich dialektach i znający biegle mowę ludzką. Mieli zdolności językowe i z entuzjazmem wykonywali swój zawód, cieszący się wielkim uznaniem społecznym. Will miał kiedyś okazję wysłuchać wykładu pewnego biologa na temat unikalnego ukształtowania krtani protoceratopsów.

Zauważył, że osobnik na dole nie jest większy od wieprza, a zatem niezbyt okazały, nawet jak na przedstawiciela plemienia nie obdarzonego dużym wzrostem. Trudno było to określić dokładnie, ale z takiej odległości wydawał się mniejszy nawet od starego przyjaciela Willa, Bixa. Ta ocena się potwierdziła, gdy zobaczył, jak żółtawo-rdzawy czworonóg wsiada do pustego kosza windy. Sauropoda, pełniący dyżur przy wyciągu, natychmiast ruszył naprzód, oddalając się od pnia drzewa mamutowego, i tłumacz rozpoczął powolną podróż w górę, do lecznicy.

Will przyglądał się jego przywitaniu z pielęgniarką w sari. Następnie protoceratops poczłapał za nią do biura doktora Toranagi. Rzeczywiście okazał się nieduży. Gdyby stanął na tylnych łapach, jego dziób sięgałby Willowi do nosa, i to z trudem.

Podążając drobnym kłusem za pielęgniarką Hapini, czworonóg wszedł do izby chorych i zaczął się ciekawie rozglądać. Nagle ku zdziwieniu Willa wlepił w niego wzrok i zagadał ostro płynnym i łatwo zrozumiałym ludzkim językiem:

– Ja cię znam!

Will przyglądał się szczerzej twarzy, za którą wyrastał duży kościany kołnierz, jasnym, inteligentnym oczom i papuziemu dziobowi. Z prawej strony, w górnej części kryzy widniała szczerba – być może pamiątka po szalonym młodzieńczym wybryku.

– Przykro mi, ale nie przypominam sobie, żebyśmy się już kiedyś spotkali – odrzekł szczerze.

– Nie powiedziałem, że się spotkaliśmy – protoceratops zachowywał się nieco obcesowo. – Powiedziałem, że cię znam.

Will zeszytniał lekko, słysząc dziwnie opryskliwy ton tamtego.

– To masz nade mną przewagę – odparł.

Nie był bynajmniej onieśmielony. Sądząc po wzroście i barwie głosu, tłumacz nie był starszy od niego. I nie wyglądał na geniusza językowego, jak Bix. Nowa znajomość nie zapowiadała się zbyt obiecująco.

– Jesteś Will Denison, prawda? – zaczął protoceratops, człapiąc w kierunku łóżka i przyglądając się śpiącej struli.

– Zgadza się. – Will ruszył śladem tłumacza i pielęgniarki.

– Słyszałem o tobie. Jesteś dobrze znany naszemu plemieniu.

– Naprawdę? – rozpromienił się Will.

– Tak. – Oparłszy przednią łapę o krawędź łóżka, młody tłumacz wpatrywał się w oddychającą

cicho pacjentkę. – Jesteś synem lego, który omal nie złamał nogi słynnemu tłumaczowi Bixowi, rzucając w niego kamieniem.

Will zjeżył się.

– Słuchaj, to był wypadek! Nasz statek właśnie się rozbił i nie wiedzieliśmy wtedy, gdzie się znaleźliśmy, co się z nami stanie ani kim są mieszkańcy Dinotopii. A już do głowy nam nie przyszło, że są tacy wyjątkowi. Mój ojciec wziął po prostu Bixa za jakieś niebezpieczne zwierzę. Postępował tylko zgodnie z własnym dotychczasowym doświadczeniem.

– To żadne usprawiedliwienie – parsknął protoceratops. – na marginesie, nazywam się Chaz.

– Miło mi, że mogliśmy zawrzeć znajomość – odrzekł sucho Will zabrzmiało to nawet bardziej sztywno niż zamierzał. – Nie powinno się osądzać innych na podstawie ich zachowania w trudnych sytuacjach, chyba że samemu było się w podobnych tarapatach, w co wątpię.

– Mam nadzieję, że nigdy się w nich nie znajdę. – Protoceratops nie patrzył w kierunku Willa, ale może po prostu zastanawia) się, jak najlepiej zacząć rozmowę z chorą struthiomimus.

– W każdym razie to nie ja rzucałem kamieniami.

– Ale mogłeś. Założę się, że tak właśnie by było, gdyby twój ojciec nie zrobił tego pierwszy.

– Zaraz, poczekaj... – zaczął Will, ale nie wygłosił przygotowanej riposty. Przerwało mu pojawienie się doktora Toranagi.

– Wolałbym, żebyście odłożyli na później załatwianie waszych osobistych problemów, młodzieńcy. W tej chwili powinniśmy zająć się wyłącznie stanem pacjentki.

– Jak ona się miewa, panie doktorze? – Will z wdzięcznością powitał wejście Toranagi.

– Z prawdziwą radością mogę stwierdzić, że dużo lepiej. Szybko wracają jej siły. Właściwe odżywianie i długi sen to często najlepsze lekarstwo. – Doktor uważnie przyjrzał się struli. – Śpi już od dłuższego czasu. Chyba nie powinniśmy zwlekać z obudzeniem jej.

Pochylił się nad łóżkiem i zaczął głaskać pacjentkę po twarzy. Zaczynając od czoła przesuwał dłoń w dół, między oczami, kończąc pieszczotliwie na pełnym wdzięku pyszczku. Kiedy powtórzył to i trzykrotnie, struti zamrugała oczami, wydała z siebie przestraszony świst, wyprostowała szyję i kręcąc głową rozejrzała się wokół.

Doktor cofnął się, aby zrobić miejsce tłumaczowi.

– Pozwól jej najpierw zorientować się w otoczeniu – odpowiedział Will.

Mały dinozaur spojrzał w końcu na niego.

– Próbujesz mnie pouczać, jak mam wykonywać swoją pracę?

– Ależ nie. Oczywiście, że nie. Chodzi mi tylko o jej dobre samopoczucie. – Will miał serdecznie dosyć protoceratopsa i jego protekcyjnego zachowania. On był niemal tak arogancki, jak... jak...

Jak pewien dumny jak paw podniebny jeździec? Nonsens, przekonywał się Will. Nie uważał się za aroganckiego, najwyżej za pewnego siebie. Zaraz... Kto to mówił mu, że granica między jednym a drugim jest bardzo płynna?

Nieważne. Jego uwagę przykuło teraz zachowanie struti. Gdy minęła początkowa panika, w jej oczach pojawił się wyraz zrozumienia. Nie było w nich już śladu obłędu towarzyszącego wcześniejszym dzikim reakcjom.

– Jestem Kano Toranaga – poinformował ją doktor łagodnym łonem. – Opiekuję się tobą od kilku dni.

Gdy Chaz przetłumaczył jego słowa, młoda pacjentka odprężyła się na tyle, że mogła mu odpowiedzieć. Protoceratops słuchał przez krótką chwilę.

– Chce wiedzieć, gdzie jest.

– Proszę jej powiedzieć, proszę jej powiedzieć – przynaglił Toranaga.

Chaz skinął głową i wyjaśnił pacjentce, że znajduje się w lecznicy w Mieście Drzew pod dobrą opieką lekarską. Informacja wywarła na niej widoczne wrażenie. Zaczęła coś długo, bezładnie i gwałtownie tłumaczyć. W końcu doktorowi i Chazowi udało się ją uspokoić.

Will ledwo mógł zapanować nad ciekawością.

– No więc...? Co ona mówi?

Chaz bez słowa przeszył go druzgocącym spojrzeniem, po czym zwrócił się do doktora:

– Mówi, że próbowała dotrzeć do Krzywego Korzenia, ale nie mogła znaleźć właściwej drogi i zawędrowała aż tutaj. Ale cieszy się, że jest w Mieście Drzew. Prawdę mówiąc, cieszy się, że w ogóle udało się jej gdzieś dotrzeć. Nie pamięta, jak się tu dostała. Nie przypomina sobie również, w jaki sposób trafiła do lecznicy.

– Te wyjaśnienia mogą poczekać. – Toranaga uspokajająco patrzył na wystraszoną pacjentkę. – Chciałbym wiedzieć, co jej się stało. Dlaczego była w górach sama i taka osłabiona? Czy odłączyła się od rodziny i przyjaciół, czy też spadło na nich jakieś nieszczęście?

Chaz wysłuchał tej serii pytań i przekazał je struti. Tym razem odpowiadała bardzo wolno.

– No, dalej... dalej... – przynaglił Will tłumacza.

– Nie przerywaj mojego toku myślenia. Język strutich nie należał do łatwych. – Zostało to powiedziane, dla odmiany, bez cienia urazy. Will zmusił się w końcu do milczenia. Postanowił nie odzywać się i czekać cierpliwie, podobnie jak doktor i pielęgniarka.

Gdy tylko pacjentka skończyła mówić, Chaz zdjął przednie łapki z krawędzi łóżka i zwrócił się do swego audytorium.

– Opowiedziała bardzo dziwną historię.

– Jesteś pewien, że dobrze zrozumiałeś wszystkie szczegóły? nie wytrzymał Will.

Niewiele dinozaurów miało takie możliwości mimiczne, by samym wyrazem twarzy przekazać różne uczucia, ale tłumaczowi udało się bez wielkiego trudu zmiażdżyć Willa wzrokiem.

– Owszem, jestem pewien – odrzekł lodowatym tonem, po czym ciągnął nieco bardziej łaskawie: – Nazywa się Keelk. Mówi, że jej rodzina została złapana i uwięziona przez grupę dziwnych ludzi.

Toranaga zmarszczył brwi.

– Złapana i uwięziona? Zapewne chodzi o jakąś zabawę.

– Nie. – Ozdobiona kryzą głowa wykonała przeczący ruch. – Te nie zabawa. Zostali związani i spętani, tak że nie mogli uciec, i byli prowadzeni na uwięzi. – Tłumacz spojrział w kierunku struli. – Oni uważa, a przynajmniej tak sądzą jej rodzice, że ci ludzie dopiero cc przybyli do Dinotopii, ale nie są rozbitkami. Nie dostali się tutaj w taki sposób jak Denisonowie – dokończył nie patrząc na Willa. – Mówi – ciągnął dalej – że ich ubrania i sprzęty są nietknięte, co sugeruje, że w jakiś sposób udało im się przybić bezpiecznie do naszych brzegów.

Pielęgniarka nie mogła powstrzymać się od komentarza.

– To niemożliwe – powiedziała.

– Tego mnie zawsze uczono. Powtarzam tylko, co powiedział Keelk. Mówi jeszcze, że tamci ludzie noszą wybuchające rury, które wystrzelują niewidzialne fajerwerki.

– Broń palna! – wykrzyknął Will. Toranaga spojrział na niego z powagą.

– Czytałem o takich urządzeniach. Mówiła coś jeszcze? – zapytał tłumacza.

– Tak. Ci ludzie mają osobliwe stroje, silnie pachną morzem i wszyscy są mężczyznami.

– Typowa załoga okrętu – mruknął sam do siebie Will.

– Mówiła również, że wśród nich są przedstawiciele różnych plemion, a wszyscy zachowują się

tak, jakby wszystko, czego tyłki dotkną, należało do nich. Oczywiście, niczego nie wiedząc Dinotopii. Traktowali ją i jej rodzinę jak głupie zwierzęta i nie próbował nawet porozumieć się z nimi.

– I tak by nie potrafili – zauważył Toranaga. – A gesty? Wszyscy ludzie rozumieją prostą gestykulację.

Chaz przekazał pytanie struli. Odpowiedziała bez wahania.

– Mówi, że ona i jej rodzina zostali związani natychmiast po schwytaniu ich przez tamtych ludzi. Nie można wykonywać żadnych gestów mając związane kończyny. Jej ojciec, Hisaulk, rozumie kilka słów z ludzkiej mowy. Jedno słowo ci intruzi powtarzali w kółko: „Złoto”. – Protoceratops parsknął drwiąco. – Dlaczego oni mają obsesję na punkcie złota? Przygotowują jakiś festiwal?

Will dokonywał w myślach podsumowania informacji i nie za bardzo podobał mu się obraz, który się z tego wyłaniał. Sami mężczyźni, broń, aroganckie i władcze zachowanie, ciągłe rozmowy o zlocie, wzięcie jeńców...

– Przepraszam, ale wydaje mi się, że potrafię wyjaśnić przyczyny nieprzyjaznego zachowania się tych obcych i ich zamiary.

– Proszę, oświeć nas zatem – mruknął Toranaga wyczekująco.

– Oczywiście, tylko się domyślam – zastrzegł się Will, zanim wygłosił swą teorię. – Ale wygląda mi na to, że rodzina Keelk została schwytana przez grupę awanturników czy zbójców, a może piratów.

– Piratów? A co to znaczy? Kim oni są? – Toranaga zwrócił się do pielęgniarki. – Hapini, słyszałaś kiedy o czymś podobnym?

– Nie, panie doktorze.

Will wiedział, że oboje urodzili się i wychowali w Dinotopii. W przeciwieństwie do niego mieli małą wiedzę o świecie zewnętrznym, a nie byli przecież historykami. Spróbował im wytłumaczyć termin, którego użył.

– Ci ludzie to bandyci i złodzieje.

Nawet te określenia musiał im wyjaśniać. Wspomniał o niedawnych społecznych wyczynach Lee Crabba, ale oni nawet nie znali ostatnich wiadomości na temat działalności tego zamieszkałego w Dinotopii łotra. To był duży kraj. W końcu jednak udało mu się ich uświadomić.

– Nadzwyczajne! – Toranaga był wyraźnie poruszony wyjaśnieniami młodego gościa. – Niemal tak niezwykle jak wyobrażenie solne, że jakiś statek mógłby nietknięty dotrzeć do naszych brzegów.

– Dopóki nie porozmawiamy z tymi ludźmi, niczego nie możemy być pewni – ciągnął Will. – Jeśli udało im się szczęśliwie zarzucić tutaj kotwicę, to mogą ufać, że uda im się stąd również odpłynąć, zabrawszy, co się da. A jeśli tak właśnie uważają, to nie wiadomo, li i czego mogą być zdolni.

Toranaga potrząsał głową z niedowierzaniem.

– Wciąż nie rozumiem, dlaczego uwięzili rodzinę nieszkodliwych strutich.

– Ani ja, sir. – Will wolał nie wspominać, że załogi statków odbywających długie rejsy często trzymają na pokładzie żywe zwierzęta stanowiące źródło świeżego mięsa. – Ale to nieistotne. Ważne jest, że ta rodzina jest przetrzymywana wbrew jej woli.

– Tak, to prawda. Taka sytuacja to rzecz zupełnie bez precedensu. – Doktor zastanowił się. – Należy natychmiast zawiadomić Sauropolis.

– Sauropolis?! – wykrzyknął Will. – Ależ to kawał drogi sta

– A cóż to jest dla wykwalifikowanego podniebnego jeźdźca odezwał się chłodno Chaz.

– W Mieście Drzew jest teraz mnóstwo podniebnych jeźdźców a to z powodu ewakuacji – odparował Will. – Nie muszę lecieć rat ja. – Spojrzał na Toranagę. – Zgadzam się z tym, że rada powinna zostać zawiadomiona o tej sytuacji, sir, ale to potrwa. Równie sformułowanie i

wystosowanie odpowiedzi zabierze nieco czas Przez ten cały okres, zakładając, że moje przypuszczenia są słuszne rodzina strutich będzie nadal w śmiertelnym niebezpieczeństwie Musimy coś zrobić, i to zaraz!

– My? – Chaz nie miał brwi, które mógłby unieść, ale i bez nic udało mu się wyrazić to, co zamierzał.

– Zwołamy zebranie miejscowej starszyny i zaprosimy tyć przedstawicieli władz, którzy nie będą akurat zajęci przy ewakuacji – zdecydował Toranaga. – Nie ulega wątpliwości, że to wasza sprawa, ale udzielenie pomocy jednej rodzinie nie może odbyć i kosztem dobra ogółu.

– Jestem pewien, że ona to zrozumie – Chaz wskazał ruchem głowy młodą struti, która obserwowała rozmawiających, niczego nie pojmując.

Ale Will, przyglądając się wymizerowanej, pełnej napięcia i nadziei twarzy, nie był tego taki pewien.

XIII

Zebranie odbywało się w wielkiej stajni, służącej miejscowym sauropodom i ceratopsianom za schronienie przed zakusami drapieżników, które czasem potrafiły dotrzeć tutaj z położonej za Córami Deszczowej Doliny. Wśród obecnych przedstawiciele miejscowych władz i członków Akademii Nauk był również doktor Tormaga. Wśród tego zacnego grona niewielu było ludzi.

Warto było zobaczyć to rozdiskutowane towarzystwo, w którym twarze ludzi tkwiły tuż obok obliczy dinozaurów. Debata przebiegała zresztą w miarę spokojnie, w atmosferze entuzjazmu i żywego zainteresowania problemem. Poszczególni mówcy zgłaszali bardzo różne postulaty, więc przełożenie każdego z nich na wiele języków wymagało czasu.

Zadanie to spoczywało na barkach starszych od Chaza tłumaczy, młodzieniec trzymał się zatem na uboczu, pozostawiony własnemu losowi, mogąc jedynie obserwować i uczyć się. Will również był obecny. Obiektem ogólnego zainteresowania była Keelk, na której temat toczyła się dyskusja. Doszła już niemal całkowicie do siebie i teraz przypatrywała się i przysłuchiwała zebranym, gawędząc przyjaźnie z Chazem.

– Co ona mówi? – dopytywał się Will.

– Że za dużo tu słów, a za mało woli działania – młody tłumacz przechylał głowę z boku na bok, by lepiej widzieć o wiele wyższą od niego sthruthiomimus. – Nie mogę powiedzieć, żebym kiedyś spotkał kogoś z tego gatunku bardziej stanowczego niż ona. Jest wdzięczna za proponowaną jej pomoc, ale obawia się, że może za późno – ciągnął protoceratops. – Zanim słowa zamienią się w czyny, chce wracać do Deszczowej Doliny i zrobić wszystko, by ratować rodzinę. Do Deszczowej Doliny! Sama! Masz pojęcie?

Will spróbował wyobrazić sobie swego ojca jako maltretowanego więźnia piratów. A gdyby to na przykład była Sylvia? Tak, wg niego motywy działania struli były wystarczająco zrozumiałe.

Spojrawszy na Keelk zagwizdał cicho, po czym starannie i modulując głos wydał z siebie kilka cichych chrząknięć. Raptownie odwróciła głowę, przyjrzała mu się, po czym odpowiedziała serią dźwięków, z których niewiele mógł zrozumieć. Ale w jej oczach zobaczył uśmiech. Odniosł wrażenie, że jest mu wdzięczna za okazane zainteresowanie.

– Jej rodzina jest w nieustannym niebezpieczeństwie – powiedział – a tu rozsiadła się w najlepsze banda starych apatozaurów, styracozaurów, corythozaurów i ludzi, zastanawiając się, co robić. A najbardziej liczy się czas.

– Sam do tego doszedłeś – zapytał sarkastycznie Chaz – czy powtarzasz jak papuga coś, co usłyszałeś od ojca?

– Możliwe, że trochę naśladowuję mojego ojca... – Will był dumny z tego, że jest synem Arthura Denisona i taka uwaga bynajmniej nie uraziła.

Przemówił jeden z seniorów, pomarszczony corythozaur.

– Jeśli ci intruzi rzeczywiście mają broń, i to taką, jakiej tera używają w świecie zewnętrznym, to nawet nie wiemy, jak dużych spustoszeń są w stanie dokonać.

– No właśnie – zgodził się z nim dostojny pachycephalozaur. Choć współczuję rodzinie tej młodej sthruthiomimus, która znała zła się w tak ciężkim położeniu, musimy postępować ostrożnie, nikt inny nie został poszkodowany.

– Porozumiałam się z miejscowymi historykami – odezwała się szacowna Norah, najdostojniejsza matrona Miasta Drzew. Wyglądała jak kruszyna z olbrzymim matazaurom z jednej i apatozaurom z drugiej strony. – Nie mamy wyboru, musimy postępować bardzo ostrożnie.

Niewykluczone, że ci intruzi przywieźli ze sobą nawę coś, co nazywa się „armata”.

– Armata? – zapytał jeden z przedstawicieli gatunku ludzkie go. – Wyznam, że nie jestem znawcą historii. Cóż to za urządzenie.

I tak ciągnęły się rozmowy pełne interesujących, lecz często chłonnych dygresji, które na pewno pogłębiały temat i mogły rzucić nieco światła na zasadniczą kwestię, lecz nie posuwały naprzód sprawy Keelk.

– Czy podejmą w końcu decyzję i ruszą się? – zapytał stojący w cieniu Will. Młoda struli zaćwierkała do niego. Zrozumiał tylko słowo lub dwa, ale Chaz odruchowo natychmiast przetłumaczył.

– Ona mówi, że natychmiast trzeba coś zrobić. Nie może dłużej czekać. Zamierza wrócić i działać.

– Sama nic nie zdołała. – Will przyłapał się na tym, że wpatruje się w duże, błyszczące oczy struli żałując, że nie ma choćby części translatorskich umiejętności Chaza.

– Nie dba o to. – Protoceratops zaszurał stopą przedniej nogi. – Mówi, że bez względu na to, co się sianie, będzie przynajmniej ze swoją rodziną. Uważa, że wypełniła obowiązek wobec rodziców docierając tutaj i meldując o sytuacji. A teraz ma prawo robić to, co uważa za słuszne. Nawet jeśli nam wydaje się to głupie.

– Jest bardzo odważna – zauważył Will.

– Chciałeś chyba powiedzieć: bardzo głupia. Will w zamyśleniu pokiwał głową.

– Nie będzie sama.

– To właśnie miałem... – tłumacz zawahał się, nie mając pewności, czy dobrze usłyszał. – Co masz na myśli?

Will gwizdnął cicho i chrząknął w kierunku struli. Chcąc pokazać, że zrozumiała, wyciągnęła łapę i trzykrotnie pogłaskała go szponiastymi palcami po ramieniu. Gest był łatwo zrozumiały. Will uśmiechnął się w odpowiedzi.

– Idę z nią.

– Ty?! – Protoceratops nerwowo przeniósł spojrzenie z twarzy swych młodych znajomych na grono żywo dyskutującej starszyny. – Nie powinieneś zaczekać na sformowanie oficjalnej ekspedycji ratowniczej?

– Jak sama powiedziała, nie może dłużej czekać – odrzekł Will.

– Ale co działacie we dwójkę przeciwko grupie dorosłych, uzbrojonych mężczyzn?

– Po pierwsze, będziemy mieć ich na oku. Naprowadzimy innych na ich trop – Will uśmiechnął się szeroko. – Kto wie, co jeszcze uda nam się zdołać? Mój ojciec mówi, że człowiek, który sam nie stwarza sobie okazji, zazwyczaj ich nie znajduje.

– Ech, wy, ludzie... i to wasze ludzkie głupkowate zamięłowanie do aforyzmów – zamruczał tłumacz. – Ciekaw jestem, czy one pomogą wam w konfrontacji z bronią palną.

– Tracimy tylko czas. – Will objął ramieniem Keelk i poprowadził ją do wyjścia.

Chaz przyglądał się, jak odchodzą. A potem, rzuciwszy ostatnim spojrzeniem na głośno dyskutujących notabli pocwałował pośpiesznie za nimi.

– Poczekajcie chwilę! Zaczekajcie na mnie, wy bezmyślne, dwunogie stworzenia!

Will i Keelk zatrzymali się pozwalając, by tłumacz ich dogonił. Dobrze, że plemię protoceratopsów jest przynajmniej elokwentne pomyślał Will, bo jego członkowie nie odznaczają się ani imponującymi rozmiarami, ani wyjątkową siłą, ani nadzwyczajnym sprytem

– Posłuchajcie tamtych. Będą tak gadać całą noc – powiedział Will, gdy opuszczali stajnię.

– Dyskusje kształcą – odparował Chaz. – A osiągnięcie jednomyślności jest dowodem

mądrości.

Will spojrział na niego z uśmiechem.

– I kto tu ma zamiłowanie do aforyzmów?

– Wygłosiłem tylko spostrzeżenie. – Chcąc zmienić temat, protoceratops spojrział na niebo. – Co zrobimy, jeśli w Deszczowej Dolinie zaskoczy nas sztorm?

– Nie wiem. – Will również spojrział w kierunku jasno świecących gwiazd. – Mam nadzieję, że utrzymamy się na wodzie.

Chaz spojrział na niego.

– To wcale nie jest śmieszne. Nie umiem pływać. Mój gatunek nie potrafi również wspinać się na drzewa.

– Ty zajmij się tłumaczeniem, a pływanie zostaw mnie – uspokoił go Will tonem pełnym animuszu. Zanosilo się na prawdziwą przygodę! Mogło być zabawnie.

Zakładając, że nikt nie zostanie zastrzelony, przypomniał sobie pochmurniejąc.

– Możesz zostać, Chaz. Nie stracisz przez to w moich oczach, i Prawdę mówiąc, to najrozsądniejsze wyjście. Możesz powiedzieć starszyźnie, dokąd poszliśmy i co zamierzamy.

– Co to znaczy, zostać? – nadał się protoceratops. – A swoją drogą, kto by się przejmował tym, co sobie pomyślisz.

– Idziesz z nami?

– Nie dlatego, żebym naprawdę tego potrzebował, nie myśl sobie. Idę dlatego, że mam już po dziurki w nosie słuchania o sukcesach i przenikliwości cudownego Willa Denisona. Kiedy wreszcie powiniene ci się noga, chcę być przy tym.

– A ja myślałem, Chaz, że zazdrość jest uważana raczej za ludzką przywarę i dinozaury są na nią uodpornione.

– Zazdrość? Też coś! Nie jestem wcale o ciebie zazdrosny. A zresztą... potrzebujesz mnie. Nie do rozmów z tymi osobliwymi ludźmi, jeśli w ogóle będzie po temu okazja. Jestem pewien, że potrafisz się dogadać z przedstawicielami swego własnego gatunku bez względu na to, kim są i jak odrażające mają maniery.

Will zastanowił się.

– Jeśli ta grupa składa się z przedstawicieli wielu narodów, czy też plemion, jak określiła to Keelk, to powinienem móc się porozumieć przynajmniej z kilkoma z nich.

– No i dobrze. Ale beze mnie nie dogadasz się z nią – Chaz wskazał na Keelk. – Ani z jej rodziną. Dopóki wszyscy potrafią się porozumieć między sobą, ta idiotyczna wyprawa może przynajmniej, mam taką nadzieję, okazać się mniej ryzykowna. Struti są powszechnie znane z impulsywności.

– Będzie nam naprawdę miło, jeśli się do nas przyłączysz – zapewnił gorąco Will. – We troje będziemy mogli poruszać się o wiele szybciej, niż dużą grupą.

– Owszem – przyznał Chaz, gdy przyłączyli się do trwającej w Mieście Drzew nocnej krzątany. Nagle podniósł jedną, a potem drugą słupkowatą przednią nogę. – Byłe nie za szybko.

Nie mieli trudności z zaopatrzeniem się na drogę. W bałaganie trwającej ewakuacji mało kto miał czas na zadawanie pytań. A jedzenia było wszędzie mnóstwo. Zdobyli suszone owoce i orzechy dla Keelk, bulwy ignamu, ziemniaki i inne warzywa dla Chaza oraz suszone ryby i owoce dla Willa. Byli przekonani, że w razie konieczności potrafiliby przetrwać na łonie natury. W końcu Keelk się to udało. Najgorsza część trasy wiodła tym razem prawie cały czas w dół, więc była łatwiejsza do pokonania. Ale Will czuł się lepiej mając ze sobą pełny plecak.

Byli pewni, że uda im się znaleźć niebezpieczną ścieżkę, która wyprowadziła Keelk z

tropikalnego lasu w góry. Keelk twierdziła, że zna drogę. Nie mieli zresztą innego wyjścia, ponieważ ani Will, ani Chaz nie znali żadnych innych szlaków prowadzących do Deszczowej Doliny, tym bardziej takich, które leżały z dala od tras handlowych. Do wielu jeszcze miejsc Deszczowej Doliny nie dotarł nikt poza żyjącymi tam niecywilizowanymi drapieżnikami.

Noclegownia dla podniebnych rumaków, ulokowana w koronie gigantycznego drzewa mamuciego, bardzo zadbanego i starannie przyciętego, świeciła pustkami, gdy pojawił się tam Will. Słońce jeszcze nie weszło i za wcześnie było na pojawienie się jeźdźców Keelk i Chaz czekali niecierpliwie na dole, aż Will wdrapie się na górę, by pożegnać Pierzastego Obłoka. Jeźdźcie i rumak nie rozumieli wzajemnie swoich języków, ale długa zażyłość pozwalała im porozumienie się za pomocą dźwięków i gestów.

– Niedługo wrócę – zapewnił Will ogromnego quetzalcoatlusa. – Wszystko będzie dobrze. Przez ten czas odpocznę ci skrzydła a potem znów wzlecimy razem wysoko pod niebo.

Wiedział, że podczas jego nieobecności ludzie obsługujący noclegownię zajmą się Pierzastym Obłokiem, podobnie jak każdym podniebnym wierzchowcem, doglądając go i karmiąc. Kiedy jednak zaczął w końcu schodzić w dół, czuł się tak, jakby opuszczał członka najbliższej rodziny. Nie całkiem rozumiejąc, o co chodzi, rumak zagwizdał za nim żałośnie, po czym zawinał się w swe wielkie, o rozpiętości piętnastu stóp skrzydła i z powrotem zapadł w sen.

Nikt ich nie zatrzymywał, gdy pośpiesznie opuszczali miasto, ginąc w ruchliwym tłumie wcześniej przybyłych uchodźców i nadciągających nowych ewakuowanych. Może jedynie Kano Toranaga zastanawiał się, co zamierzają, ale był zbyt zajęty doglądaniem pacjentów swej lecznicy.

Wychodząc z Miasta Drzew minęli konwój złożony z apatozaurów i ceratopsianów, obładowanych zaopatrzeniem dla ewakuowanych z Niziny Pomocnej. Nikt nie zwrócił na wędrowców najmniejszej uwagi. Dwie farmerskie rodziny pozdrowiły ich wesoło. Inni wołali coś do nich, a dinozaury pohukiwały i gwizdały. Pomachali podróżnym i skręcili na południe, by wspiać się na wzgórze przy wodospadzie, gdzie znaleziono Keelk. Potem zaczęli pokonywać następne zbocze. W oddali widniały górskie szczyty, a za nimi leżała Deszczowa Dolina.

– To absurd – zamruczał pod nosem Chaz obładowany dwiema torbami podróżnymi, umieszczonymi jak siodło na jego grzbiecie. – Powinniśmy byli zaczekać i przyłączyć się do oficjalnej ekspedycji ratowniczej.

– Mogłeś to zrobić – odrzekł Will. Plecak na ramionach wydawał mu się lekki, więc podążył przed siebie różnym krokiem. Powietrze powyżej Miasta Drzew było czyste i orzeźwiające. Chłód ciągnący od gór mieszał się tu z bogatymi w tlen oparami unoszącymi się z doliny.

Jak uprzedzała Keelk, znaleźli kilka charakterystycznych miejsc, które posłużyły im za drogowskazy. Na szczęście struli mają doskonały zmysł orientacji, pomyślał Will. Choć jeszcze oszołomiona, Keelk prowadziła ich bardzo pewnie dzięki temu, że podczas swej szaleńczej przeprawy przez góry trzymała się dolin i strumieni.

– Jestem dobrym tropicielem – przetłumaczył jej słowa Chaz. – Moi rodzice zawsze popierali to moje hobby.

Will z aprobatą pokiwał głową. Zauważył, że z każdym dniem Keelk nabiera nowych sił. Jej postanowienie było od początku niewzruszone.

On i Chaz musieli się dobrze starać, by dotrzymać jej kroku. Jeśli nawet zdarzało się jej zawahać przed wyborem drogi w jakiejś dolinie, którą akurat przemierzali, wkrótce wydobywała z zakamarków pamięci miejsce służące przedtem za schronienie lub przypominała sobie dokładnie wodopój.

W końcu doszli do miejsca, gdzie wzburzona kaskada przelewała się ponad stromym urwiskiem,

by zamienić się niżej w wirujący w powietrzu wodny pył. Przed nimi rozciągało się morze mgły głębokiej jak sen, stałej jak pamięć. Wata cukrowa, pomyślał Will, spoczywająca w dłoniach gór. Pod nieprzeniknioną chmurą czekała na nich rojna, urodzajna, pełna dźwięków i kolorów Deszczowa Dolina.

Niebezpieczna Deszczowa Dolina, skarcił się w myśli Will.

Chytry Chaz spojrział ponad krawędzią urwiska.

– Nie widzę żadnej drogi na dół.

Wyciągnąwszy długą szyję Keelk zaczęła rozglądać się w prawo i w lewo, pogwizdując cicho. Nagle wyrzuciła z siebie serię szybkich, głośnych chrząknięć i z podnieceniem wskazała w lewo. Podchodząc bliżej, Will i Chaz stanęli wkrótce na początku ścieżki, częściowo zarośniętej rośliną zwaną angielskimi trąbkami i rozkwitającymi nocą kwiatami ochela. Ktoś, kto nie wiedziałby o istnieniu dróżki, mógłby przejść kilka stóp od niej zupełnie jej nie zauważając.

Bez słowa zaczęli schodzić w dół.

Wąska, usiana kamieniami ścieżka nie sprawiała Willowi żadnych kłopotów. Posuwał się pewnie za Keelk. Jeszcze raz jego podniebny trening udowodnił swą przydatność. Przerazająca przepaść nie sprawiała na nim wrażenia.

Inaczej przedstawiała się sprawa z biednym Chazem. Wyraźnie zostawał z tyłu, zmuszając człowieka i struthiomimusa do przystawania i czekania, aż ich dogoni. Wciąż się przewracał.

– Co z tobą? – zapytał go w końcu Will. – Masz krępą budowę, trzymasz się blisko ziemi i w porównaniu z naszymi dwiema, masz aż cztery nogi. Powinieneś być bardziej stabilny w takim trudnym terenie.

– Właśnie o to chodzi. – Protoceratops przytulał się do skalnej ściany, trzymając się jak mógł najdalej krawędzi ścieżki. – My, czworonogi, nie wspinamy się i nie lubimy wysokości, wszystkie boimy się spaść. – Jego strach był wręcz namacalny. – Będę szczęśliwy, gdy dotrzemy na dół.

Co za szczęście, że Keelk nie przyszło do głowy wspomnieć o tym wcześniej, pomyślał Will, gdy dotarli do wyrwy w ścieżce. Gdyby dokładnie opisała to miejsce, Chaz nigdy nie zdecydowałby się na wyprawę.

Ze szczelin w skalnej ścianie wyrastały liczne małe drzewka, ożywiane oparami unoszącymi się nad tropikalnym lasem w dolinie. Will i Keelk w jakiś sposób się porozumieli i kiedy wiedzieli już dokładnie, co chcą zrobić, z bólem serca złamali kilka z tych drzewek przy samych korzeniach. Mogli teraz przerzucić most nad przełomem.

Will był pełen podziwu dla sprawności fizycznej Keelk, która jednym skokiem pokonała rozpadlinę. Teraz połączyli jej krawędzie, układając cztery drzewka obok siebie. Na przytrzymywany mocno z obu końców most wkroczył Chaz i niemal z zamkniętymi oczami przeszedł ostrożnie na drugą stronę. Willowi poszło to dużo łatwiej.

Znalazłszy się bezpiecznie po drugiej stronie wyrwy, tłumacz z trudem łapał oddech.

– Czy... czy... jest więcej takich miejsc jak to?

Kiedy Keelk odpowiedziała, że to jedyna wyrwa w solidnej skądinąd skale, odetchnął z wyraźną ulgą.

– O co ci chodziło? – zapytał Will, gdy podjęli na nowo marsz. Chaz pociągnął nosem.

– Mówiłem właśnie, że jeśli to było najgorsze miejsce na tym szlaku, to reszta drogi w dół to już pestka.

– Ach tak... – Will udał obojętność. Wyraz oczu protoceratopsa dobitnie przeczył tym starannie dobranym słowom.

Mogę dojść wszędzie tam, gdzie ty, Willu Denisonie, myślał sobie tymczasem tłumacz. Po

chwili zastanowił się, dlaczego właściwie porównuje się z człowiekiem. Dziwne, pomyślał. To przecież nie w stylu dinozaurów. Wszystko pewnie przez ten stres, w jakim jesteśmy.

Ścieżka była coraz bardziej stroma, ale nie kryła już żadnej zapierającej dech niespodzianki w rodzaju przepaści. Jednak nawet Keelk musiała zwolnić, by nieostrożne postawienie stopy na jakimś zdradliwym kawałku kamienia nie stało się jej zgubą.

Usłyszeli Deszczową Dolinę, jeszcze zanim ją zobaczyli. Tak czyste i donośne były odgłosy milionów ptaków i owadów, przebijające się przez mgłę. Potem ukazały się drzewa, a pod osłoną ich koron – krzewy, zarośla, pnącza, liany i kwiaty. Powietrze wypełniło się raptownie tak silnym zapachem orchidei i innego kwiecica, jakby walczyły one między sobą o nagrodę w konkursie aromatów.

– Jak tu pięknie – mruknął Will. – Dokładnie tak, jak zapamiętałem.

Chaz podniósł wzrok na swego człowieczego towarzysza. – Byłeś tu już?

– Nie akurat w tym miejscu. – Will wskazał gestem podzwrotnikowy las. – Dużo dalej na południe, na głównej drodze, którą przemierzają konwoje, i w paru innych miejscach. Ale nie tu. – Spojrzał w niebo. – Pokrywa chmur jest dużo grubsza niż tam, gdzie byłem, mgła jest gęściejsza.

– Ostatnio w całej Dinotopii powietrze jest wilgotniejsze. – Protoceratops przygarbił się trochę, poprawiając torby na grzbiecie. To z powodu nadciągającego jak co sześć lat sztormu.

Podwyższoną ilość tlenu zniwelowała teraz wyższa temperatura i wilgotność. Toteż kiedy zeszli ze ścieżki i stanęli na wilgotnej glebie doliny, poczuli lekkie zmęczenie.

Zdyszany z powodu szybkiej wędrówki w dół Chaz bardziej niż jego towarzysze odczuwał skutki zmiany klimatu.

– Tu, na dole nie czuję się za dobrze. Osobiście wolę bardziej suche otoczenie.

– To nie miejsce na dłuższy postój, nie, nie... – Spostrzeżenie Keelk nie miało jednak nic wspólnego z klimatem. Jej szeroko otwarte oczy uważnie badały głębię lasu widząc więcej, niż jakakolwiek lornetka.

Zauważyła, że jej człowieczy towarzysz zajęty jest dokładnymi oględzinami dużego, różowego kwiatu, niepomny zupełnie czyhających wokół niebezpieczeństw.

– Nie wygląda na to, żebyś czegoś się obawiał – powiedziała do niego za pośrednictwem Chaza.

– Byłem już w Deszczowej Dolinie. Zetknąłem się z jej niebezpieczeństwami. – Will wskazał otaczający ich las. – To miejsce wydaje się całkiem spokojne.

– Ale wiesz, czego należy się bać?

– Oczywiście. Mogę wyglądać spokojnie, ale zapewniam was, że obserwuję i nasłuchuję tak samo jak wy.

– Cóż... Ja tu nigdy nie byłem. – Chaz obwąchał duży, mięsisty liść, ugryzł spory kawałek i żując go dodał po namyśle: – Miej na uwadze, że jeśli znajdziemy się w niebezpieczeństwie, ja pierwszy na tym ucierpię. Nie potrafię, biegać jak struti ani wspinać się jak człowiek.

– Możesz wykopać dziurę w ziemi – zasugerował Will.

– Na pewno wezmę to pod uwagę – odparł sardonicznie przypadkowy tłumacz.

– Oolu, mój instruktor latania, zawsze mówi, że to głupota martwić się na zapas. Keelk udało się bezpiecznie przejść.

– Ale kilkakrotnie uniknęłam nieszczęścia dosłownie o włos, sprostowała struti w odpowiedzi na przetłumaczoną jej uwagę Willa.

– Otóż to – mruknął gderliwie protoceratops. – Zachęcająca perspektywa. – Rozejrzał się z kwaśną miną. Otaczająca ich dżungla wyglądała tak samo, w którą by spojrzeć stronę. – Którędy

idziemy.

Keelk bez wahania wskazała na wschód. Weszli między drzewa i ruszyli przed siebie starając się, by zawsze mieć po lewej ręce zbocza Gór Grzbietowych.

– Ludzie, którzy nas schwytali, również starali się trzymać urwiska. Jeśli postępują tak nadal, powinniśmy ich odnaleźć.

– A potem? – chciał wiedzieć Chaz.

Struti spojrzała na niego z góry. Ceratopsiany nie słynęły z cierpliwości.

– Znajdziemy najpierw moją rodzinę.

Od czasu do czasu zatrzymywała się i węszyła po mokrej ziemi. Gleba była pełna zapachów, ale żadnego z nich nie знаła. Ustawicznie padające deszcze splukwały nie tylko woń rodziców i rodzeństwa oraz ich prześladowców, ale nawet ślady jej niedawnej szaleńczej wyprawy.

– Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę ten kanion, który znaleźli tamci. – Will bez trudu przeszedł nad grubym korzeniem zagrządzającym mu ścieżkę. – Nie wiedziałem, że przez tę część gór prowadzi jakaś droga.

– Wątpię, czy ktokolwiek wiedział – odrzekła Keelk w odpowiedzi na tłumaczenie protoceratopsa. – Uważam, że ci ludzie znaleźli ją przez przypadek. Była niemal całkowicie zarośnięta.

– Ten kanion musi być strasznie wąski – powiedział Chaz z namysłem. – Inaczej farmerzy z Niziny Północnej dawno popadliby w kłopoty, bo mięsożerne drapieżniki z doliny wykorzystałyby tak szlak wiodący na północ.

– Tak, jest wąski, i to bardzo. – Keelk znów pochyliła głowę ku ziemi, by spróbować coś wywęszyć.

Will obserwował ją.

– Myślisz, że uda ci się chwycić trop? Wszędzie jest mokro. – Chaz przełożył pytanie.

Podniosła głowę i podjęła marsz.

– Nie wiem, ale będę próbować. Oczywiście, natychmiast wyczuję każdego członka mojej rodziny. Co do ludzi, to było ich wielu, nie mieli zwyczaju zbytnio dbać o higienę osobistą, więc silnie cuchnęli. A więc szansę istnieją. Tak uważam.

– Dziwne – zauważył protoceratops. – Z własnego doświadczenia wiem, że większość ludzi przepada za kąpielą. To byłby dowód, że ci ludzie są zupełnie niecywilizowani.

– Jeśli ci przybysze są tymi, za kogo ich uważam – odrzekł Will – to nawet nie wiesz, jak bliski jesteś prawdy.

Coś przemknęło nagle w bujnej gęstwinie lasu, czyniąc krótkotrwały szelest wśród zieleni. Chaz niespokojnie spojrzał w tamtym kierunku.

– Może powinniśmy jeszcze raz wszystko rozważyć. Skoro znaleźliśmy drogę na dół, moglibyśmy ją dokładnie oznaczyć i wrócić tu z pomocą.

– Z jaką pomocą? – Will kopnął na bok leżący kamień. – Myślisz, że udałoby się sprowadzić opancerzonego ankylozaura lub tarbozaura po tak wąskim szlaku?

– To chociaż moglibyśmy przyprowadzić więcej ludzi.

– Rada Miasta Drzew podejmie decyzję. Ale zanim to nastąpi, dla rodziny Keelk może być za późno. To, co robimy, może nie jest najrozsądniejszą rzeczą pod słońcem, ale myślę, że tak trzeba. – Will spojrzał w kierunku struli. Nie znając ludzkiej mowy, nie mogła zareagować na jego słowa.

– Wiem, wiem... – zgodził się w końcu Chaz. Uciał ostrym dziobem kuszaco wyglądającą gałązkę i zaczął ją żuć w zamyśleniu. Miała mocny, miętowy, przyjemny smak. – To całkiem dobre – powiedział.

Ostatni smaczny posiłek wielkodusznego skazańca.

– Nie bądź takim pesymistą. – Will czekał, aż protoceratops znajdzie się przed nim. – W razie kłopotów możemy się rozdzielić.

– Czyżby? Wszystko bardzo pięknie, jeśli chodzi o was dwoje. A co ze mną? Czy jestem pterodaktylem, żeby się przyczepić do pionowej skalnej ściany? – westchnął rozdzierająco tłumacz. – Jakim cudem dałem się na to namówić?

Will przyjaznym gestem położył dłoń na kryzie sięgającego mu do brzucha protoceratopsa.

– O ile sobie przypominam, nie chciałeś zostać. Twoja wrodzona odwaga i życzliwość nie pozwoliły ci puścić nas samych. Przejmujesz się losem innych i dlatego nie obawiasz się narażać dla nich życia.

– Cóż... owszem. – Tłumacz ruszył przed siebie bardziej sprężystym krokiem. – Oczywiście, że to prawda.

Rozległ się trzask, jakby ktoś złamał nagle dużą gałąź. Zamarli, wpatrując się z uwagą w to miejsce, z którego dobiegł dźwięk, nie mając odwagi nawet odetchnąć. Stojąc w całkowitym bezruchu, Keelk przypominała wyglądem nieduże drzewko. Szczupły i wyprostowany Will mógł natomiast z łatwością ukryć się za jednym z prawdziwych drzew. Tylko różowożółte cielsko Chaza odbijało od morza zieleni.

– To nic takiego – szepnęła Keelk ruszając dalej.

Chaz poczłapał obok Willa, przysuwając się do niego bardzo blisko.

– Powiedz mi to jeszcze raz – mruknął cicho. – Wiesz, to o mojej odwadze. Tak na wszelki wypadek. Żebym o tym nie zapomniał.

XIV

Do następnego ranka przeszli szmat drogi. Zbliżało się południe, gdy zatrzymali się na lunch. Will miał właśnie zasięgnąć opinii Keelk w sprawie kierunku marszu, gdy ze zdumieniem spostrzegł, że struti stoi bez ruchu z kłasią małych zielonych owoców w palcach. Zamarła w pozie najwyższego napięcia, wlepiwszy wytrzeszczone oczy w gęstwinię.

– O co chodzi? – Will rozejrzał się uważnie, ale nie dostrzegł niczego nadzwyczajnego. Nie usłyszał również niczego poza normalnym śpiewem ptaków i brzęczeniem owadów. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Południe było tuż, tuż. O tej najgorętszej porze dnia w Deszczowej Dolinie powinno być niewiele ruchu.

Znów spojrzął na Keelk. Musiała coś usłyszeć lub zauważyć. To nie ulegało wątpliwości.

– Jacyś intruzi?

Nie odwracając się, przeciągnęła wierzchem prawej łapy po dziobie, sygnalizując tym wymownym gestem, by siedział cicho.

I wtedy usłyszał.

Ciężki, głęboki oddech, brzmiący jak basowy kontrapunkt na tle świergotu ptaków. Towarzyszył mu odgłos, który mógł być jedynie przytłumionym hukiem walącego się lasu. Chaz zaczął się wycofywać na czterech nogach, aż oparł się tyłem o najbliższe wielkie drzewo. Na grzbiet opadło mu jakieś pnącze i Will myślał przez chwilę, że przerażony mały protoceratops wyskoczy ze skóry, ale nie – spisał się dzielnie, nie wydając najmniejszego dźwięku.

Ścisząc głos do szeptu, Will nachylił się w kierunku tłumacza,

– Zapytaj ją, co się dzieje. Zapytaj, co...

Zanim zdążył dokończyć, Keelk odpowiedziała serią ostrych, twardo modulowanych ćwierknięć.

– Mówi, że musimy stąd ruszać. – Chaz słuchał uważnie. – Nie. Nie ruszać. Uciekać! Mówi, że musimy uciekać!

Gdy protoceratops tłumaczył, sthruthiomimus zaczęła się oddalać, przestępując ostrożnie leżącą kłodę.

– Uciekać? Ale dokąd? – Wytężając wzrok do granic możliwości, Will w dalszym ciągu nie był w stanie niczego dostrzec.

– W głąb lasu.

Chaz niechętnie opuścił drzewo, jakby to był ostatni bastion, Will rzucił się tymczasem do pakowania resztek lunchu. Musieli się obaj bardzo starać, by dogonić swą podnieconą przewodniczkę.

Na Chaza przyszły teraz trudne chwile, zwłaszcza gdy Will przeszedł w kłus. W dodatku, w przeciwieństwie do dwójga swoich towarzyszy, protoceratops nie mógł obejrzeć się przez ramię, żeby sprawdzić, czy nie ściga ich coś więcej niż tylko podejrzliwa wyobraźnia.

– Zapytaj ją, czy coś nas goni!

Struti zmuszała ich do coraz szybszego biegu.

– Nie jest pewna. – Chaz sapał jak mała lokomotywa. A las jakby umyślnie rzucał im pod nogi przeszkody. Na ich drodze wyrastały korzenie, pniaki, kłody i kopce termitów. – Mówi, że...

Zatrzymując się nagle, Keelk wydała z siebie gwizd nie przypominający brzmieniem niczego, co Will miał do tej pory okazję usłyszeć. Nawet gdy leżała w malignie w lecznicy, struti nie wydobywała z siebie takich pisków. Tym razem Chaz nie musiał tłumaczyć.

Oczy Willa stały się nagle równie wielkie jak wytrzeszczeni oczy Keelk.

Coś wynurzyło się zza wielkiej cekropii. Trudno było uwierzyć, że tak ogromne stworzenie mogło się skutecznie ukryć za drzewem. Wysoki na niemal piętnaście stóp albertozaur musiał ważyć kilka ton. Nie składał się wprawdzie z samych zębów, lecz w pierwszej chwili to one właśnie całkowicie przykuły uwagę Willa. Przyglądał się im tak dokładnie, jak sprzączkom swej upręży zabezpieczającej, w której wykonywał akrobacje powietrzne na Pierzastym Obłoku, Z głębi potężnego gardła wyrwał się ochryply ryk. Will cofnął się o krok, by stwierdzić, że odwrót blokuje mu Chaz. Protoceratops nie musiał wyjaśniać, co zamierza. Ucieczka prawdopodobnie tylko przyspieszyłaby atak, a będąc w zasięgu tak wielkiego i zwinnego drapieżnika nie mieli szans, by mu umknąć.

Nie było się zresztą nad czym zastanawiać. Will wstrzymał oddech, gdy dwa następne olbrzymy wyłoniły się z lasu tuż za ich plecami. Były wprawdzie nieco mniejsze niż ten, który pojawił się pierwszy, ale każdy z nich dorównywał masą parze przeciętnej wielkości słoni. Teraz nie było już najmniejszej szansy odwrotu.

Nie było dokąd uciekać i nie było się gdzie ukryć. Pozostawała zatem jedna tylko możliwość, choć taka perspektywa nie była zbyt pociągająca.

– Porozmawiaj z nimi! – szepnął ponagłajaco Will do swego czworonożnego towarzysza.

– Spróbuję.

– Musisz zrobić coś więcej, niż tylko spróbować, albo już po nas.

Tłumacz przytaknął nerwowo, po czym, drżąc na całym ciele, zrobił krok naprzód. Przeniósł ciężar ciała na tylne nogi i uniósł do góry przednią łapę, machając nią w ogólnie przyjętym geście powitania. Następnie zaryzykował tekst w języku mięsożernych drapieżników, zupełnie przyzwoicie naśladując ich mowę. Wprawdzie godna pochwały próba wydobycia z siebie groźnego pomruku wypadła dość komicznie, lecz wystarczyła, by wielki theropoda zawahał się. Przerazająca para za ich plecami warknęła gderliwie. Will był pod wrażeniem.

Co prawda wcale nie uważał, żeby mieli jakąś szansę. Trójka wędrowców miała naprzeciw siebie trójkę drapieżników. Albertozaury odzywały się po to, by się z nimi porozumieć, albo... kłóciły się między sobą, jak podzielić zdobycz.

Dla którego z nich stanę się przekąską? – zastanowił się Will. Co za pech, że musieli natknąć się na trójkę wałęsających się w południowym skwarze theropodów. Świadomość, że przegrywali z lepszymi od siebie, była słabą pociechą.

Największy z drapieżników zamruczał coś gardłowo. Will przysunął się do tłumacza.

– Co on mówi?

– Cicho bądź – warknął Chaz. – Chcę być pewien, że dobrze rozumiem. Modułacja głosu jest u drapieżników bardzo istotna.

Will zamilkł posłusznie.

– Pyta... co my tu robimy w takim skwarze. – Protoceratops spojrział na towarzysza, szeroko otwierając oczy ze zdumienia. – Z czego się śmiejesz, Willu Denisonie? Uważasz naszą sytuację za zabawną?

– Nie. Tylko właśnie zastanawiałem się, co oni tu robią w taki upał.

– Nie sędzę, by wzajemne zaspokojenie ciekawości coś nam dało. W każdym razie ten duży jest zachwycony spotkaniem i to nie dlatego, że jemu i jego przyjacielom brakowało wytwornej konwersacji.

Będę czymś szybkim lunchem, pomyślał Will. Oto, jak skończę. Po tym wszystkim, co przeżył wraz z ojcem, po sztormie na morzu, po rozbiciu się statku u brzegów Dinotopii, po opanowaniu

sztuki życia w tym dziwnym kraju los zgotował mu taki oto koniec! Cóż za strata całego potencjału nagromadzonej wiedzy!

– Powiedz mu, co tu robimy. Wy tłumacz, w jakim celu tędy idziemy.

– Naprawdę myślisz, że wyrzeze to na nim jakieś wrażenie?

– A masz lepszy pomysł?

– Nie mam – odrzekł pośępnie Chaz. Ponownie zwracając do albertozaura, zaczął wdzięcznie pomrukiwać.

Will toczył ze sobą wewnętrzną walkę, by się nie obejrzeć. Wyobrażał sobie, że czuje ciepły, cuchnący oddech na szyi. Jedno ugryzienie wystarczy. Wiedział, że to załatwi wszystko.

Chaz znów do niego przemówił:

– Jest tak, jak się obawiałem. Nie interesują ich nasze motywacje. Obchodzi ich tylko, że mogą nareszcie zaspokoić głód.

– Na pewno możesz coś zrobić! – wykrzyknął Will. – Przekonaj ich. Powiedz im, że jeśli nas puszcza, wrócimy z rybami. Z całym transportem ryb!

Przerażona Keelk wtrąciła własny komentarz, zmuszając zestresowanego protoceratopsa do jednoczesnego słuchania dwóch propozycji w dwóch bardzo różniących się od siebie językach.

– Nie można przekonać drapieżnika.

– Owszem, można! Można przekonać każde stworzenie, które myśli. Wiem, bo widziałem. Tłumacz Bix...

– No właśnie! Za kogo ty mnie uważasz, Willu? Jestem zaledwie praktykantem, jak ty sam. Nie mam za sobą tak strasznych przeżyć ani takiej wprawy translatorskiej jak Bix. Dobrze, że choć rozumiem język strutich. Ale nie o to chodzi. Wątpię, by nawet słynny Bix był w stanie wyperswadować trzem drapieżnikom zjedzenie łatwego do zdobycia posiłku. Dlaczego miałyby się wahać? Nie mamy pancerzy ani eskorty sauropodów. Widać, że jesteśmy tu sami.

– Ale chyba niczym nie ryzykujesz próbując, no nie? – powiedział z naciskiem Will.

Przywódca albertozaurów parsknął niecierpliwie i postąpił krok do przodu. To był duży krok, ale trójka podróżników nie miała się już gdzie cofnąć. Ich jedyna droga wiodła wprost w rozwarte, ogromne paszcze.

Will widział jasne, głodne oczy, łypiące na niego i na Keelk, jakby zastanawiając się, który kąsek jest bardziej łakomy. Jeden gwałtowny ruch i wszystko się skończy. Postanowił, że w ostatniej chwili swego życia zaniknie oczy. Żałował jedynie, że nie dane mu będzie pożegnać się z Sylwią i ojcem.

Trzeba było oddać Chazowi sprawiedliwość: robił, co mógł. Zawzięcie chrząkał i posykiwał w języku albertozaurów. Theropoda nie zwlekał z odpowiedzią.

– Powiedziałem mu, że jesteśmy tu z misją miłosierdzia, a na ich terenie grasuje gromada dziwnych ludzi. Ucieszyła go ta wiadomość, bo mają zapewnioną łatwą zdobycz. Co do naszej misji, nic ich nie obchodzi. Przyszedł ci może do głowy jeszcze jakiś pomysł?

Teraz Will był już pewien, że czuje na plecach gorący, zgniły oddech. Rozpaczliwie próbował wymyślać, co jeszcze mógłby powiedzieć Chaz. Nie tak łatwo wyprowadzić kogoś w pole, gdy nie ma się czasu na zastanowienie. Zwłaszcza wtedy, gdy audytorium, od którego zależy twój los, nie chce cię słuchać.

Ryk podobny do grzmotu przetoczył się nagle przez las, płosząc ptaki i zagłuszając normalny gwar dżungli. Głowa przywódcy albertozaurów, znajdująca się tuż obok pyska Chaza, natychmiast uniosła się do góry na całą wysokość szyi i obróciła na południe, podobnie jak łby dwóch pozostałych drapieżników. Zaskoczony Will też spojrział w tym kierunku. To samo uczynili Keelk i

Chaz.

Drugi ryk, bardziej nawet przerażający, rozległ się, zanim jeszcze zdążyło przebrzmieć echo pierwszego. Gdzieś z lewej strony dał się słyszeć odgłos roztrącanych drzew i zarośli. Ziemia zadrżała, jakby tuż pod jej powierzchnią przesuwał się w ich kierunku wstrząs tektoniczny.

Straciwszy nagle zainteresowanie bliską już zdobyczą, trzy albertozaurowy odwróciły się i jak jeden mąż ruszyły biegiem w przeciwną stronę. Grube, potężne nogi niosły je szybko ku gęstwinie.

Uciekały gęsiego: dwa mniejsze okazy podążały za największym.

Z gardła Keelk wyrwał się płaczący świst, brzmiący dziwnie samotnie w nienaturalnej ciszy, która teraz zapanowała. Chaz nie musiał tego tłumaczyć. Struti niedwuznacznie pytała: – I co teraz?!

Will powiedział sobie w duchu, że cokolwiek to jest, nie mi być gorsze od tego, z czym przed chwilą stanęli oko w oko. Rzecz jasna, mylił się.

Prosto na nich wypadła para dorosłych tyranozaurów; potężne paszcze miały rozdziawione, żółte ślepia gorzały gniewem. Kro muskularne ramiona obydwu zwrócone były ku sobie, tak że nie stykały się końcami wielkich pazurów. Łączna masa dwóch olbrzymów musiała przekraczać czternaście ton. W porównaniu z nimi nieobecne już albertozaurowy przypominały szakale uchodzące przed przybyłymi nieoczekiwanie lwami.

Tym razem nie ma już nawet czasu na dyskusję, pomyślał rozpaczliwie Will. Starał się przygotować na pierwsze kłapnięcie pas: czy, ale nie mógł zamknąć oczu. Rzadko spotyka się w naturze o bardziej przerażającego, niż atakujący tyranozaur w całym swoim majestacie. Will czuł się jak człowiek unieruchomiony na końcu bocznicy kolejowej, na którego za chwilę z pełną szybkością wpadnie rozpędzona lokomotywa.

Tyranozaur płci męskiej mknął przed siebie jak strzała, zwieszając nisko wielką czaszkę i utrzymując równowagę ciała dziel wadze ciężkiego ogona, który sterczał za tułowiem jak ster na rufie statku. Łeb długości pięciu stóp, zakończony paszczą wypełnioną rzędem sześciocalowych zębów, runął z góry na Willa, który marł widząc przed sobą błyszczące żółte oko z czarną źrenicą. NI w pół otwarty ogromny pysk przesłonił mu wszystko. Zamknął oczy i stężał.

Ale nic nie nastąpiło.

Skąd ta zwłoka? Czyżby był kęsem niewartym nawet przezucia? Z pewnością o to chodziło.

Modulowane parsknięcie, głębsze i groźniejsze niż głos albertozaura, przywodzące Willowi na myśl odgłos maszyny parowej brzmiało tak, jakby zawierało jakieś słowa. Zastrzygł uszami, a potem wolno otworzył oczy.

Niemal tego pożałował. Koszmarny łeb wciąż widniał niecały jard od jego twarzy. Jakąś częścią umysłu uświadomił sobie nagi że Chaz coś mówi, chociaż nieswoim, niepewnym głosem. Bezgranicznie przerażony mały protoceratops jakimś cudem wciąż potrafi wykonywać swe zadanie!

– On mówi... on mówi, że jesteś człowiekiem.

Will nie widział potrzeby, by przytaknąć lub zaprzeczyć. Zresztą i tak nie byłby zdolny wydobyć z siebie słowa. Tyranozaur znów na niego warknął. Jego niewyobrażalnie wstrętny oddech stanowił po prostu samą esencję zgnilizny.

Nie zemdleję, postanowił sobie Will. Odejdę jak mężczyzna, a nie jak padlina.

Fakt, że wciąż jeszcze żyje, przydał głosowi protoceratopsa nieco siły:

– Nie wierzę własnym uszom! Ten tyranozaur płci męskiej imieniem Bystrooki żąda odpowiedzi na pytanie, co zrobiłeś z ich dzieckiem. Córką, mówiąc dokładniej.

Will zamrugał oczami. Ciekawość pokonała strach i nogi przesiały się pod nim trząść. Oto stał oko w oko z najdzikszym i najokazalszym drapieżnikiem, jaki kiedykolwiek chodził po ziemi, a ten, zamiast go od razu połknąć, zadał mu pytanie.

Na które, rzecz jasna, wypadło odpowiedzieć.

– Z córką? Nie zrobiłem niczego ich córce.

Gdy Chaz przetłumaczył, drugi tyranozaur podszedł bliżej.

Obecność jednego olbrzyma była na tyle przerażająca, że bliskość następnego, równie uprzejmego, nie wzbudziła już żadnych dodatkowych uczuć. Drugi tyranozaur porykiwał przez kilka minut.

– Ona jest matką. Nazywa się Kolczatka – ciągnął Chaz, wyjaśniając to również Keelk. Will wiedział, w jakim musi być napięciu, nieustannie przeskakując z języka na język w tak dramatycznych okolicznościach.

– Nie rozumiem – powiedział. – Poproś ich o wyjaśnienie, o więcej szczegółów.

Chaz chrząknął i kontynuował rozmowę w dialekcie tyranozaurów, posługując się swą zabawną mimiką. Odpowiedzią na jego pytania był dudniący pomruk, pośpieszny i zdawać by się mogło przepełniony bólem.

– Pozostawili swoją córkę Pięknotkę, śpiącą po posiłku, składającym się z padliny. Chyba się przejadła i nie chciała iść z nimi. Kiedy po nią wrócili, już jej nie było. Nie oddaliłaby się z własnej woli. Potomstwo tyranozaurów jest bardzo posłuszne.

A kto by nie był, pomyślał Will, patrząc niepewnie na siedmio-tonowego mięsożercę.

– Ku swemu zdumieniu znaleźli ślady krótkiej walki – ciągnął Chaz. – Istniały również dowody obecności w tamtym miejscu wielu ludzi – zarówno ślady stóp, jak i silny zapach. Mieszały się one ze siadami i zapachem córki oraz kilku strutich. Wszystkie ginęły w lesie. Od tamtej pory rozpaczliwie próbują odnaleźć córkę i tamtych ludzi – zakończył tłumacz. – Dodatkową zagadkę stanowi dla nich ta grupka strutich.

Will pomyślał przez chwilę.

– Zapytaj ich, czy zapach tamtych ludzi mieszał się z zapachem morza.

Chaz spełnił jego prośbę. Tyranozaurowy wymieniły spojrzenia zanim męski osobnik odpowiedział.

– On mówi, że tak, choć w niewielkim stopniu. Rozpoznali zapach morza po woni ryb, które dostają od konwojów przemierzających dolinę. Nigdy przedtem nie mieli powodu łączyć tego zapach z ludźmi podróżującymi pieszo.

Ostatnie słowa tłumacza podkreślił niekontrolowany ryk jednego z potworów.

– On bardzo chciałby wiedzieć – ciągnął protoceratops – skąd ty wiesz, że istniał taki związek. Ułóż starannie odpowiedź, Will dodał dużo ciszej. – Ta para naprawdę jest mocno rozdrażniona.

– Przecież widzę – odrzekł Will. Wiedział, że mając tuż obok siebie potężną czaszkę długości pięciu stóp i oczy oglądające go ze wszystkich stron, nie może sobie pozwolić na przejęzyczenie. Jak długo jeszcze ciekawość tyranozaurów będzie przeważać nad wściekłością?

Opierając ręce na biodrach spojrzał śmiało na parę olbrzymów zastanawiając się, czyjego pewność siebie wygląda na tak udawana, jak w rzeczywistości. Spróbował wyobrazić sobie te bestie jak dwoje zatroskanych rodziców, a nie patrzeć na nich jak na dwunożne, gigantyczne maszyny do pożerania mięsa.

Na szczęście był obdarzony bujną wyobraźnią.

– Powiedz im, że nasza przyjaciółka też jest czyjaś córką wskazał na Keelk, a młoda sthruthiomimus posłała mu pełne nadziei spojrzenie. – Powiedz, że ślady strutich, które znaleźli, pochodzą od jej rodziny, również uwięzionej przez tych ludzi, którzy nie mieszkają w Dinotopii, lecz przybyli tu przez morze z daleka. Jej udało się zbiec i wezwać pomoc. – Wzruszył lekko ramionami. – W tej chwili jesteśmy jedyną pomocą, jaką była w stanie zorganizować, ale nadejdą jeszcze inni.

Gdy tylko Chaz skończył tłumaczyć jego słowa, Will ciągnął dalej:

– Tamci nie są ludźmi cywilizowanymi. Nie wiedzą nic o Dinotopii. Nie mają, jak się wydaje, żadnych zasad moralnych. Wiem, że mieszkańcy Deszczowej Doliny rozumują i zachowują się inaczej niż my, którzy żyjemy w rozwiniętych regionach, ale przynajmniej potrafimy się wzajemnie porozumieć. Tamci przybysze nie wiedzą nic o naszych konwencjach, układach i uzgodnieniach. Poszukują jedynie korzyści dla siebie, są nieokrzesani. Uważam, że skoro byli zdolni pojmać i uwięzić całą rodzinę strutich, równie dobrze mogli zrobić to samo z młodym tyranozaur. Sądzę, że tak właśnie stało się w wypadku waszej córki. A przy okazji, ile ona ma lat? Jaka jest duża?

Chaz przetłumaczył to najpierw Keelk, potem reszcie słuchały. Gdy skończył, tyranozaur płci żeńskiej pochylił się w kierunku Willa, który starał się stać spokojnie, gdy przesuwała się obok niego olbrzymia czaszka. Krótka, lecz potężna łapa zakończona pazurami wyciągnęła się ku jego głowie i zamarła w powietrzu na wysokości linii włosów. Po chwili Kolczatka cofnęła łapę.

– Zatem niezbyt duża – zauważył współczująco Will. Trudno było sobie wyobrazić, by ktokolwiek z ludzi potrafił uwięzić tyranozaura, lecz tym intruzom jakoś udało się ta sztuka. Pięknotka nie była wyższa od Keelk, choć pewno dużo bardziej muskularna.

Z pysków pary tyranozaurów wydobywała się podwójna dawka odoru. Will starał się oddychać tylko ustami.

– Powiedz im, że chcemy tego samego co oni: znaleźć tych ludzi i uwolnić więźniów. Chcą odzyskać córkę, a Keelk rodzinę. Powiedz im... powiedz im, że pomożemy uratować ich córkę.

Will czekał, aż Chaz przetłumaczy. Słuchając z podziwem pro-

Itoceratopsa zastanawiał się, jak wielki wysiłek dla gardła tłumacza musi stanowić artykułowanie tych wszystkich porykiwań i chrząknięć. Starał się trzymać prosto, gdy tyranozaurowy wymieniały między sobą pomruki przypominające odgłos trzęsienia ziemi.

W końcu męski osobnik pochylił głowę i szturchnął pyskiem pierś Willa. Delikatnie, ma się rozumieć, by nie powalić człowieka na ziemię, ale Will i tak poleciał do tyłu, robiąc kilka chwiejnych kroków. Na szczęście udało mu się nie upaść i szybko odzyskał równowagę.

– O co chodzi? – zapytał Chaza, ze strachu zniżając głos do szeptu. Keelk ledwo mogła ustać w miejscu. Zdenerwowana śledziła bez słowa każdy ruch drapieźników.

Chaz pośpieszył z pytaniem.

– Bystrooki mówi – przetłumaczył po chwili – że nie rozumie, dlaczego miałyby im być potrzebna nasza pomoc. Nie rozumie, co moglibyśmy dla nich zrobić. Mówi... mówi, że nie widzi powodu, dla którego nie mieliby potraktować nas jako przekąski i ruszyć w dalszą drogę.

– Szczera opinia – zauważył Will. O rety, ależ tu gorąco, pomył się. I nic nie wskazuje na to, by wkrótce miało się ochłodzić. A głośno powiedział: – Przetłumacz to.

Wyglądając na pogodzonego z myślą, że spędzi wieczór w brzuchu dalekiego kuzyna, Chaz nie bardzo wiedział, co począć. Wykonał więc polecenie Willa, który ciągnął dalej.

– Powiedz im, że bez naszej pomocy nie mieliby pojęcia, co się stało z ich córką. Powiedz im też, że bez względu na to, jak są wielcy i silni, nie są w stanie dokonać pewnych rzeczy, które potrafimy. Ludzie znają się na sprzęcie wojennym lepiej niż jakikolwiek dinozaur, a jeśli zaistnieje konieczność pertraktowania z tamtymi intruzami, będą potrzebować usług tłumacza. Co do Keelk, to gdy by nie chodziło o nią, nie byłoby nas tutaj. Powiedz im też, że ni całej naszej trójce razem wziętej nie ma tyle mięsa, by zapełnić pustki w ich żołądkach. Osobiście jestem wystarczająco chudy, by staną im kością w gardle, i to dosłownie – zakończył po namyśle.

– Każdy, kto myśli, że tyranozaurowy mają poczucie humoru, jest co najmniej niespełna rozumu. – Mimo swych obaw Chaz przetłumaczył wypowiedź Willa słowo w słowo.

– Powiedz im jeszcze – dodał Will, gdy protoceratops skończy swój przekład – że bez względu na to, co sobie myślą, o wiele łatwiej przydamy się im żywi niż połknięci.

Lepiej byłoby, gdyby tyranozaurowy się nie uśmiechały, bo sposób, w jaki szczerzyły przy tym zęby, nie był bynajmniej uspokajający. W odpowiedzi na przemowę Chaza wyprostowały się lekko. Żeby utrzymać z nimi kontakt wzrokowy, Will był zmuszony za drzeć głowę tak wysoko, że aż zaczęła go boleć szyja. Miał wrażenie, jakby obserwował rozmowę dwóch wysokich budynków.

Kolczatka ryknęła w jego kierunku. Miał ochotę zatkać nos, ale nie śmiał tego zrobić w obawie, żeby się zwierzę nie obraziło.

– Mówi, że mieli już przedtem do czynienia z ludźmi, ale nigdy jeszcze nie spotkali nikogo takiego jak ty. Nasze zuchwałe pojawienie się w Deszczowej Dolinie bez opancerzonej eskorty wywarło na nich wrażenie. – Protoceratops zniżył głos: – Zawsze słyszałem, że drapieżniki szanują odwagę. Co nie znaczy, żeby przeszkadzało im to jadać tych odważnych.

– Co jeszcze powiedziały? – ponaglił przyjaciela Will. Chaz wziął głęboki oddech.

– Powiedziały, że jeśli naprawdę możemy pomóc im odnaleźć córkę i zrobimy to, pozostaną na zawsze naszymi dłużnikami i nawet gdybyś miał już więcej się tu nie pojawić, będziesz miał prawo uważać przynajmniej trójkę przedstawicieli ich gatunku za przyjaciół.

– Wspaniale. – Will bez drżenia spojrzał w dzikie, żółte ślepie pomrukującego wciąż cicho tyranozaura płci męskiej.

– Mówią też – ciągnął Chaz – że jeśli się mylimy i poprowadzimy ich fałszywym tropem, w następstwie czego ich córce coś się stanie, będą uważać, że jesteśmy osobiście odpowiedzialni za to nieszczęście.

– Powiedz im, że rozumiem i że przyjmuję te warunki.

– To i tak nie ma znaczenia – wymamrotał Chaz do siebie. – Nie wygląda na to, żebyśmy mieli wiele do stracenia.

– Zgadza się. Ich córka nazywa się Pięknotka?

Chaz przetłumaczył i przysłuchiwał się uważnie mrukliwej odpowiedzi.

– Tak – odrzekł. – Bardzo ją kochają i bardzo za nią tęsknią.

– Powiedz im, że tak jak oni tęsknią za córką, Keelk tęskni za swoją rodziną. Mają więc ze sobą coś wspólnego, prócz tego, że są dwunożnymi stworzeniami. Powiedz im, że musimy się poruszać jak najciszej. Nie chcemy zbyt wcześnie zaalarmować tych ludzi. Jeśli są tacy, za jakich ich uważam, nie zawahają się przed okaleczeniem lub nawet zabiciem swych więźniów, jeśli uznają, że będzie to dla nich korzystne.

Przekład protoceratopsa sprawił, że z gardła tyranozaura matki wyrwał się dziki ryk, który zmroził Willowi krew w żyłach, chociaż nie był skierowany pod jego adresem. Brzmiał jednak tak przerażająco, że Keelk jak najgłębiej wciągnęła głowę w ramiona. Chaz był wyraźnie wstrząśnięty. Will omal nie poczuł współczucia dla prześladowców Pięknotki. Wprost trudno było sobie wyobrazić los kogoś, kto stałby się celem ataku tak nieprawdopodobnej furii.

– Odwaga Keelk również wywarła na nich duże wrażenie – dodał Chaz.

– Na mnie też. – Will patrzył to na jednego, to na drugiego tyranozaura. – Jak sądzisz, Chaz? Możemy im zaufać?

– A mamy jakiś wybór?

– Chodzi mi o to, czy przypadkiem nie obudzą się w nocy i nie poczują nagle chętki na małą przekąskę. Słyszałem, że drapieżniki mają krótką pamięć.

Głowa ozdobiona kryzą odwróciła się w jego kierunku, a w głosie jej właściciela Will wyczuł lekką wyższość.

– To się nie zdarzy. Jest wiele rzeczy, o których nie wiesz, bo mieszkasz tu za krótko, Will. Mięsożerne drapieżniki mają swój własny, bardzo surowy kodeks etyczny. Nie zjadają kogoś, z kim zawarły układ. Mogą porykiwać z irytacją lub nawet ze złością, ale na pewno nie zapomną, że dały słowo. Nie musisz się obawiać, że obudzisz się w czyimś brzuchu.

– Zatem jesteśmy bezpieczni – Will zmusił się w końcu do uśmiechu.

– Nie całkiem – poprawił go ostrożny jak zwykle protoceratopsian tłumacząc jednocześnie tę kwestię Keelk. – Mamy do czynienia z gatunkiem Tyrannosaurus rex. Miejmy lepiej nadzieję, że ich córce nie przytrafiło się jakieś nieszczęście.

– Ale jeśli się przytrafiło, to przecież nie z naszej winy.

– To nie będzie miało dla nich znaczenia – odrzekł Chaz ze znajomością rzeczy. – Udało ci się ich wprawdzie przekonać, że jesteśmy sobie nawzajem potrzebni, więc niby wszystko jest w porządku, ale... tylko na razie.

Protoceratops odwrócił się do tyranozaura płci męskiej, który pomrukiwał do niego niecierpliwie.

– Bystrooki mówi, że oni będą tropić. Mają węch lepszy nawet od strutich.

– Absolutnie się z tym zgadzam. – Will postąpił krok do przodu. – Powinniśmy teraz dopełnić formalności.

– Formalności? – ton Chaza wyrażał to samo, co u kogo innego zmarszczenie brwi.

– No wiesz... Mam na myśli gest oznaczający, że się dogadaliśmy.

– Ach... o to ci chodzi! – Protoceratops podniósł przednią nogę i chłopak mocno przycisnął dłoń do jego płaskiej stopy.

Po tej demonstracji i tłumaczeniu Chaza Will podszedł do Kolczatki. Nie bez lekkiego drżenia wyciągnął rękę i rozwarł dłoń. Pani tyranozaur pochyliła się pochrzäkując i odwróciła nieco w prawo, by lepiej widzieć tę małą istotę. Wyprostowała potężne ramię i końcami dwóch pazurów dotknęła słabej ludzkiej ręki.

Will poczuł dreszcz podniecenia. Wiedział bowiem, że być może po raz pierwszy w historii Dinotopii ma miejsce taka wymiana gestów. Miał świadomość, że tuż nad jego głową unosi się ogromna dolna szczeka. Po dopełnieniu formalności cofnął się.

Bystrooki warknął niecierpliwie w kierunku przerażonej Keelk. Chaz natychmiast pośpieszył z uspokajającym wyjaśnieniem:

– Nie obawiaj się. Chce tylko dowiedzieć się wszystkiego o tych ludziach, którzy mają tak oburzająco ordynarne maniery.

Keelk niechętnie skinęła głową i odetchnęła spokojniej, po czym za pośrednictwem Chaza przekazała tyranozaurowi relację z przebiegu porwania ze wszystkimi szczegółami, które zapamiętała. Para olbrzymów słuchała uważnie, a jedyną ich reakcją były groźne spojrzenia.

Gdy Keelk skończyła mówić, tyranozaurowy pochyliły pyski i dotknęły nimi ziemi tuż przed nią. Rozdzieliwszy się zaczęły omiatać cały teren swymi wrażliwymi nozdrzami. Wielkie łby kołysały się z boku na bok w poszukiwaniu najdrobniejszego choćby śladu zapachu córki... lub nieznanych ludzi. Will śledził je zafascynowany.

Nie upłynęło dziesięć minut, gdy Kolczatka wyprostowała się, warknęła cicho i ruchem głowy oraz gestem prawego ramienia wskazała na południowy wschód.

– W tamtą stronę – oznajmił protoceratops.

– Nie musiałeś tego tłumaczyć – odrzekł z przyganą Will. Chaz tylko na niego spojrział.

Krocząc uważnie przez podzwrotnikowy las śladem ledwo wyczuwalnego zapachu, tyranozaurowy przystawały często, by obwąchać ziemię, zarośla i wszystko wokół, co mogło zachować jeszcze

znajomą woń. Od czasu do czasu ucinały sobie krótką, mrukliwą pogawędkę. Chaz nawet nie zawracał sobie głowy tłumaczeniem, gdyż zaraz ruszały dalej.

Te krótkie przerwy w marszu bardzo radowały Willa i jego przyjaciół, którzy od początku nie mogli nadążyć za swymi nowymi znajomymi, stawiającymi bez wysiłku prawie milowe kroki. Nawet Keelk nie mogła im dorównać, a Chaz naprawdę przeżywał bardzo trudne chwile.

Lecz przynajmniej nie musieli martwić się o to, czy podążają utartym szlakiem. Tyranozaury same torowały sobie drogę. Jak mówiło stare dinotopiańskie powiedzenie: „Którędy chodzi tyranozaur? Każdą drogą, która mu się podoba”.

Mimo najlepszych chęci zostali w końcu daleko z tyłu. Will starał się pomagać Chazowi jak umiał, Keelk zaś zwalniała, by trzymać się blisko nich. Kolczatka obejrzała się i wydała zniecierpliwiony pomruk.

– Posłuchaj! Przykro mi, ale szybciej już nie możemy iść! Will dyszał ciężko, a biedny Chaz był wykończony. Chłopiec zdawał sobie sprawę, że zbyt ostro odezwał się do tyranozaura, zawsze skorego do irytacji, ale był już tak zmęczony, że niewiele go to obchodziło. Bystrooki zamruczał coś do swojej towarzyszki życia, a potem do Chaza. Protoceratops z wdzięcznością skorzystał z okazji, by co przetłumaczyć. Przynajmniej przez chwilę nie musiał biec.

– Oni mówią... Pozwól, że najpierw złapię oddech, Will... Oni mówią... że zdają sobie sprawę, że mamy kłopoty z dotrzymaniem im kroku. Ale sam mówiłeś, że najbardziej liczy się czas.

– Wiem. Ale czego się spodziewają? Że pofruniemy? Podniebny jeździec musiałby mieć swojego podniebego rumaka.

– Są gotowi poświęcić swą godność, byle tylko przyspieszył marsz.

– Chyba nie bardzo rozumiem... – Will zmarszczył brwi. Chaz skinął głową w kierunku Kolczatki, która uklękła i opuściła nisko łeb.

– Chcą, żebyśmy pojechali wierzchem.

– Wierzchem?! Na nich?! – Will sądził dotychczas, że dosiadani Pierzastego Obłoka, jego podniebego rumaka, to najbardziej emocjonująca przygoda, jaką można przeżyć. Zresztą każdy z większych przedstawicieli dinozaurzej części społeczeństwa w cywilizowanych okręgach Dinotopii zawsze chętnie służył ludzkim przyjaciołom własnym grzbietem, jako indywidualny środek transportu. Wiele dinozaurów nosiło na sobie specjalnie do tego celu przystosowane siodła i uprząże.

Ale żeby jechać wierzchem na kimś, kto zwie się Tyrannosaurus rex...

Bystrooki przykucnęła obok swej towarzyszki. Teraz on zamruczał niecierpliwie.

– Chcą, żebyśmy wsiedli – objaśnił Chaz.

– Przecież widzę. Powiedz im... powiedz im, że spróbujemy. – Will ruszył w kierunku Bystrookiego, podczas gdy Keelk zbliżyła się tytułem próby do czekającej Kolczatki.

Nawet przycupnięte nisko, tyranozaury stanowiły trudny do rozwiązania problem dla ewentualnego jeźdźcy. Jak ich dosiąść?

Keelk miała ręce i nogi zakończone ostrymi pazurami. Dzięki nim mogła się wdrapać na olbrzyma i przytrzymać. Will dobrze sobie radził wspinając się na drzewa, ale tu nie było gałęzi, których można by się wygodnie uchwycić. Ani żadnego miejsca, na którym można by postawić nogę...

Szczęki Bystrookiego rozchyliły się lekko i tyranozaur skinął zachęcająco na Willa. Starając się nie patrzeć na sześciocalowe zęby, Will postawił jedną stopę na krawędzi dolnej szczęki i chwycił się lewą ręką wyrastającego nad prawym okiem olbrzyma rogowego wyrostka. Podciągając się i odbijając od ziemi drugą nogą stwierdził, że najlepiej będzie zatoczyć nią w powietrzu półkole, jak przy wsiadaniu na konia. Jako dziecko jeździł konno w Ameryce. Jedyna łożnica polegała na tym, że tu siadał na czyjeś głowie zamiast na grzbiecie.

No i jeszcze na tym, że jego obecny wierzchowiec mógł lekko pożreć konia na śniadanie.

Zauważył, że Keelk usadowiła się na karku Kolczatki, tuż za jej głową. Mając tak ostre pazury, struli mogła po prostu trzymać się jej szyi mocnym chwytem, nie przebijając przy tym grubej skóry przedstawicielki grupy Theropoda. Nie obdarzony przez naturę takimi haczykami Will musiał znaleźć jakiś sposób, by utrzymać się na wierzchowcu.

Krzyżując pod sobą nogi usadowił się w pobliżu środka czaszki, która była szeroka jak wygodny fotel. Wyrastające nad każdym okiem tyranozaura małe różki mogły mu posłużyć za poręczne uchwyty. Siedząc w ten sposób, klepnął otwartą dłońią wierzch łba.

Natychmiast poczuł, jak błyskawicznie wznosi się ku niebu. Bystrooki po prostu wstał. Z wysokości piętnastu stóp ponad ziemią las wyglądał zupełnie inaczej. Jeździec dosiadający brachiozaura miałby nawet rozleglejszy widok, ale bez tego uczucia, że jest poza czymkolwiek zasięgiem. Oszłamiające wrażenie wywierała na Willu choćby sama świadomość, że nic, co chodzi po ziemi w Dinotopii (lub gdziekolwiek indziej, jeśli chodzi o ścisłość) nie śmiałoby stanąć na drodze jego rumakowi.

Spokojnie, upomniął sam siebie. To wyjątkowy przywilej, ale bardzo szybko możesz go zostać pozbawiony.

Spojrząwszy w prawo zobaczył Keelk, wygodnie uczeponą szyi Kolczatki. Z Chazem był większy problem. Krępy protoceratops nie miał ani małpiej zręczności Willa, ani chwytnych kończyn struli.

Niecierpliwe tyranozaurowy same poradziły sobie z rym kłopotem. Pochyliwszy się, Kolczalka chwyciła opornego tłumacza pod pachy i z łatwością uniosła do góry. Jej krótkie, lecz bardzo silne ramiona mogły go bez trudu utrzymać w powietrzu. Choć w len sposób Chaz mógł podróżować zupełnie wygodnie, uznał zwisanie nad ziemią zadem w dół, w pozie przypominającej trzymane na rękach ludzkie dziecko, za nie licujące z jego godnością.

– Nie przejmuj się. – Will zmagił się ze sobą, by nie wybuchnąć śmiechem. – Nikt cię nie zobaczy. A gdyby nawet, to na pewno nie będzie się śmiać. Kolczatka mogłaby pomyśleć, że to z niej się naigrawa, a nie znam nikogo, kto podjąłby takie ryzyko.

Chaza niełatwo było jednak udobruchać.

– To wysoce niewłaściwe – poskarżył się.

Will starał się utrzymać równowagę, gdy Bystrooki ruszył naprzód. Po chwili okazało się, że krok tyranozaura jest tak równy, iż prawie nie wyczuwa się ruchu w górę i w dół. Lekkie przechyły z boku na bok nie stwarzały problemu i wkrótce chłopiec przyzwyczaił się do tego rytmu. Ani się obejrzał, jak olbrzym przyspieszył i popędził w las. Wystające korzenie, grube pnącza, zagłębienia terenu i wzniesienia, rzeczki i stawy błyskawicznie zostawały z tyłu.

Nieźle by też było przejechać się na brachiozaurze, pomyślał impulsywnie Will. Połączenie szybkości z poczuciem bezpieczeństwa dawało odurzającą mieszankę.

Mknąc przez podzwrotnikowy las dwa tyranozaurowy przystawały po drodze od czasu do czasu, by upewnić się za pomocą węchu, czy są na dobrym tropie, jednak natychmiast odzyskiwały wyścigowe tempo. Korzystając z tego, że sam nie musi się już fatygować, Will odprężył się, pozwalając wypocząć mięśniom nóg, i oddał przyjemności podziwiania umykających do tyłu widoków. Ten sposób zwiedzania Deszczowej Doliny był zaiste wyjątkowy i bez precedensu.

Spodziewał się większego kołysania, ale jedyna okazja, przy której omal nie został wyrzucony z siodła, zdarzyła się, gdy tyranozaurowy nieoczekiwanie jednym skokiem pokonały głębokie rozlewisko. Mimo że lądowanie na drugim brzegu było dość miękkie, Will o mało nie wyleciał w powietrze. Przed poważnym w skutkach upadkiem uratowało go tylko to, że w ostatniej chwili przytrzymał się

mocno rożka nad prawym okiem tyranozaura. Odtąd bardziej zaczął się koncentrować na samej jeździe niż na oglądaniu krajobrazu.

Widział kiedyś ryciny przedstawiające Arabów podróżujących na wielbłądach. Jego obecna sytuacja bardziej jednak przywodziła na myśl kornaka, hinduskiego nadzorcę słoni, siedzącego dostojnie na jednym z tych gruboskórych zwierząt. Nabierając pewności siebie z każdym krokiem olbrzyma, Will skrzyżował ręce na piersi i wydał wargi. Żałował bardzo, że jakiś zdolny dagerotypista nie może uwiecznić go w tej pozie.

Nie mógł narzekać na brak rozrywki, bo Chaz wciąż wygłaszał długie komentarze na temat swego pożałowania godnego położenia.

Ptaki i co mniejsi mieszkańcy niższych pięter lasu umykali im z drogi w pośpiechu, piszcząc i skrzecząc. Choć tyranozaurowi dobrze wiedziały, gdzie stają, musiały w oczach postronnych wyglądać jak dwie pędzące na oślep lokomotywy, które zgubiły resztę składu pociągu.

Po obu ich stronach umykał na boki las – kalejdoskop wspaniale i roślinności, kolorowych kwiatów i śmigających w powietrzu owadów. Choć Will zauważył je w przelocie, przede wszystkim musiał zwracać uwagę na niższe gałęzie, które od czasu do czasu wychylały się nagle ze zwartej gęstwiny. Niejeden raz w ostatniej chwili schylał głowę, by poczuć tylko dotyk liści na włosach.

A pod nim dudniła potężna żywa maszyna, czyli Bystrooki. Z każdym krokiem bez wysiłku pokonywali spory kawał lasu. Czasami równo z nim pędziła Kolczatka, kiedy indziej znów zostawała z tyłu.

Stadko, składające się z pół tuzina ceratozaurów, zajęte było właśnie mocno napoczętą padliną zdechłego niedawno protozauropoda, gdy wprost na nie wypadła z lasu ekspedycja poszukiwawcza.

Ceratozaurowi instynktownie przygotowały się do obrony pożywienia tylko po to, by w chwilę później umknąć w popłochu przed nacierającymi tyranozaurami. Wzgardziwszy ścierwem, Bystrooki i Kolczatka przewaliły się z łoskotem obok. Zdumione ceratozaurowi wychynęły ze swych kryjówek, gdy tylko ich dużo więksi kuzyni pozostawili żerowisko za sobą.

Poza rozpryskującymi się na twarzy i piersi owadami ta niezwykła podróż miała dla Willa jeszcze jedną złą stronę: mianowicie fetor wydobywający się z pysków tyranozaurów, przed którym nie było ucieczki. Nie posunąłby się jednak do tego, żeby zgłaszać pod ich adresem jakieś krytyczne uwagi. Tylko w najwyższym stopniu nierozważna osoba mogłaby powiedzieć tyranozaurowi coś takiego prosto w twarz. Świętej pamięci nierozważna osoba, poprawił się w duchu Will.

Od czasu do czasu przechylał się w prawo i zaglądał w żółte oko wielkości spodka. Wtedy oko odwzajemniało spojrzenie. Za każdym razem uśmiechał się i wygłaszał jakieś dodające otuchy frazesy, zastanawiając się przy tym, czy odnoszą jakiś skutek.

Co do jednego wszakże nie mogło być wątpliwości. Dokonał mianowicie odkrycia, że tyranozaurowi, jak większość dinozaurów, uwielbiają muzykę. Wykształcenie muzyczne Willa zostało wreszcie docenione. Okazało się, że Bystrooki i Kolczatka gustują zwłaszcza w utworach Liszta, Berlioza i w tradycyjnych marszach.

I tak, zupełnie niespodziewanie, umiejętność gwizdania, którą przyswoił sobie niegdyś Will, znalazła nowe zastosowanie.

Ci ludzie są szaleni! – szepnęła Tryli. – Wiem – odrzekła Shremaza, starając się za wszelką cenę uspokoić córkę. – Możemy mieć tylko nadzieję, że Keelk sprowadzi pomoc albo że nam także uda się w końcu uciec.

Czwórkę strutich przywiązano do dwóch drzew. Prześladowcy, jak zwykle sumiennie wypełnili swój obowiązek, nakarmiwszy i napoiwszy więźniów. Uszkodzone towary, jak to spokojnie określał Blackstrap, nigdy nie osiągają równie wysokiej ceny, jak te zadbane.

Zaspokoiwszy potrzeby potulnych jeńców, piraci przystąpili do daleko bardziej delikatnego zadania, jakim było nakarmienie więźnia sprawiającego najwięcej kłopotów. Linę cumowniczą, opasującą szczęki młodego tyranozaura, rozwiązano z najwyższą ostrożnością. Po raz pierwszy od chwili pojmania odważyli się go nakarmić, więc każdy zachowywał daleko idącą czujność.

Nie mając pod ręką ogromnych ilości padliny, które zostawili w pobliżu pierwszego obozu, mężczyźni schwytali w pobliskim strumieniu coś w rodzaju dziwnego krokodyla. Oddzielili najlepszą jego część, czyli ogon, i usmażyli na własne potrzeby nad ogniskiem; resztę poćwiartowali z zamiarem poczęstowania swej najcenniejszej zdobyczy. Martwy tyranozaur też byłby coś niecoś wart, jak oświadczył Smiggens, lecz żywy mógł z nich uczynić bogaczy.

Kiedy Blackstrap zaapelował o zgłaszanie się na ochotnika do karmienia uwięzionego potwora, odpowiedzią była grobowa cisza. – Czego się tak boicie? Spójrzcie tylko na tego biednego urwisa! Przecież ledwo może się ruszyć. Ma związane łapy i nogi... tak, nawet ogon ma przywiązany, i to mocno. Na dodatek jest przymocowany do drzewa wielkości grotmasztu na kliprze. Czego jeszcze można chcieć, by czuć się bezpiecznie?

– Dlaczego sam pan go nie nakarmi, kapitanie? – padła anonimowa sugestia.

– Że niby co? Coście powiedzieli? – Rozglądając się za śmiałkiem Blackstrap napotkał jedynie wyraz anielskiej niewinności na wszystkich twarzach. – Który to śmie twierdzić, że nie odwałam swojej części roboty, co? Żaden? No, pokaż się! Powiedz to otwarcie! Nie ma w tej bandzie prawdziwego mężczyzny?!

– Ja nakarmię smoka. – Chin-lee, najmniejszy ze wszystkich, wystąpił krok do przodu. Podniósł obiema rękami krokodyli udziec i powlókł go do przodu. Zatrzymawszy się w odległości, którą uznał za rozsądną, zamachnął się kawałem mięsa i cisnął go w kierunku bestii.

Kłapnąwszy potężnymi szczękami, z dźwiękiem przypominającym odgłos worka mokrej gliny spadającego na chodnik z wysokości kilku pięter, panna tyranozaur chwyciła szybujący w powietrzu kawał padliny. Przelykając go gwałtownie w całości, przypominała wielkiego ptaka. Dzikie oczy koloru topazu błyszczały pożądliwie, spoglądając na resztę ścierwa.

Chin-lee odwrócił się do swych kamratów, dumnie wypinając pierś.

– Widzicie? Sprytny człowiek może nawet smoka nauczyć sztuczek.

– Nie smoka – poprawił go łagodnie Smiggens. – Dinozaura. Chin-lee zignorował jego uwagę. Wiedział, jak wygląda smok i żaden biały diabeł nie mógł zmienić jego wyobrażeń. Cisnął bestii drugi kęs krokodylego rostbefu i patrzył z zadowoleniem, z jaką łatwością chwytła w powietrzu ciężki kawał mięsa.

– Widzę, że to żadna sztuka. – Mkuse wystąpił z szeregu stojących półkolem piratów i poszedł w ślady Chińczyka. Uwięziony stwór przyjął mięso równie chętnie od niego, jak od jego poprzednika.

– Lepiej sprzedać to komuś, kogo będzie stać na pokrycie rachunków za żarcie dla takich... może

do zoo, kapitanie. – Andreas z niemałym przerażeniem podziwiał apetyt więźnia.

– Ja to bym chciał zobaczyć, jak ten diabeł skacze po swoją kolację – stwierdził Copperhead. – Genialna myśl. – Smiggens spojrział na marynarza. – Oczywiście, to tobie przypadnie zaszczyt rozwiązania mu nóg, panie Copperhead.

Żeglarz zachichotał.

– Co? Mnie? O nie, dziękuję bardzo, panie Smiggens. Jestem już wystarczająco blisko tych pazurów.

– Bzdura! Nie ma się czego bać. Wszyscy jesteście jak tchórzliwe dzieciaki – odezwał się nagle Guimaraes. Wielki Portugalczyk wystąpił naprzód. Odsunął Mkuse na bok i zważył w wielkiej, stwardniałej dłoni ostatnią porcję gadziego mięsa.

Podszedł zuchwale do jeńca i spojrział mu prosto w paskudny pysk, usmarowany krwią. Dwoje dorosłych strutich zapiszczało ostrzegawczo, ale żaden z ludzi tego oczywiście ani nie zrozumiał, ani nie docenił. Przechyliwszy głowę na bok, Portugalczyk przypatrywał się w zamyśleniu rozwiązany szczęką i zębom. Siedzące teraz na zadzie stworzenie było od niego niższe o całą stopę.

Marynarz z satysfakcją zmierzył je spojrzeniem i unosząc prawą rękę podsunął mu kawał mięsa pod sam pysk. Młoda samiczka potulnie i delikatnie odebrała poczęstunek z dłoni żeglarza, przechyliła głowę do tyłu i przełknęła mięso niemal z godnością.

Guimaraes obejrzał się na kolegów.

– No i co? Sami widzicie, że to żadna sztuka. Tak spętane zwierzę można szybko oswoić.

Parsknął lekceważąco i tu niestety popełnił błąd, odwracając się tyłem do przedmiotu swej pogardy. Zdażył zrobić pół kroku, gdy łeb przebiegłego stworzenia wystrzelił do przodu ruchem przypominającym atakującego węża. Szczęknęły ostre zęby. Wielu piratów, znudzonych już przedstawieniem, zawróciło, by ruszyć do innych zajęć. Krzyk Guimaraesa sprawił, że scena karmienia natychmiast powtórnie przykuła ich uwagę.

Mkuse i Treggang rzucili się na ratunek rannemu koledze. Gdy dostrzegli miejsce zranienia, początkową obawę o jego los szybko zastąpiło rozbawienie, które w chwilę później przeszło w ogólny wybuch śmiechu. Blackstrap z trudem panował nad sobą i nawet Smiggens, zazwyczaj wszystko przyjmujący beznamiętnie, uległ tym razem nastrojowi.

– Stój spokojnie, człowieku! – Wciąż chichocząc Mkuse zdjął koszulę i zwinął ją z zamiarem zrobienia opatrunku. Guimaraes wiercił się, więc trudno było przewiązać jego ranę, która, choć krwawiła obficie, nie stanowiła zagrożenia dla życia pirata. Złośliwe ukąszenie nie było na szczęście głębokie, lecz pozbawiło lewy pośladek Portugalczyka kawałka ciała długości około sześciu i szerokości pięciu cali, pozostawiając jednocześnie dziurę w spodniach. Dalsze kurowanie i bandażowanie rannego powierzono Smiggensowi, który jako jedyny na pokładzie „Kondora” miał kwalifikacje mniej więcej zbliżone do lekarskich.

Młoda samica spokojnie przyglądała się temu wszystkiemu. Zaspokoili ją zaledwie pierwszy głód, lecz bynajmniej się nie najadła. Krokodyl czy człowiek, było jej wszystko jedno. Jej wilczy apetyt kierował się demokratycznymi zasadami. Obserwatorom trudno było uwierzyć, że nie śmieje się razem z nimi, choć wiedzieli już, że groźne, przypominające uśmiech skrzywienie pyska nie jest oznaką wesołości; po prostu miała taką urodę.

Potęźnie zbudowany Thomas postąpił krok do przodu i rzucił bestii resztkę swojej porcji krokodylowego ogona.

– Masz, stary. Ten widok jest wart dodatkowej porcji żarcia! Weź sobie kawałek ogona.

Ten żart wywołał następne wybuchy rubasznego śmiechu. Tylko jeden człowiek nawet się nie uśmiechnął. Guimaraes spojrział na mieszkańca Indii Zachodnich z nienawiścią.

– Jak tylko wstanę, wepchnę do pyska tej bestii twoją głowę, w tedy zobaczymy, kto się będzie śmiał, dobra?

Na Thomasie nie zrobiło to wrażenia.

Spróbuj mnie wpierv złapać, człowieku. – Jego białe zęby błysnęły w szerokim uśmiechu. – Coś mi mówi, że raczej nieprędko będziesz mógł trochę pobiegać.

– Co racja, to racja – stwierdził wysoki Samuel – Lepiej ciesz się, że bestia była taka łaskawa, Guimaraes. Miałaś szczęście, że poczekała, aż odwrócisz się tyłem!

Wybuchły kolejne salwy śmiechu.

Zachowanie kamratów było dla nieszczęsnego Guimaraesa daleko bardziej przykre niż ból w tylnej części ciała. Dużo łatwiej ścierpiałby pocałunek stalowej klingi niż drwiny kolegów z załogi, choć wiedział, że samu w gruncie rzeczy życzliwi. Ból nie był dla Portugalczyka niczym obcym. Brakowało mu połowy prawego ucha, oderwanego pociskiem ze stawiającego zaciekle opór statku handlowego który piraci osaczyli i przyparli do rafy na Morzu Południowo-

chińskim. Imponująca blizna biegła w poprzek górnej części jego klatki piersiowej. Był to prezent od nieżyjącego już marynarza z holenderskiego statku przewożącego przyprawę korzenne. Takie rany można było wystawiać na pokaz i szczyć się nimi ale ta ostatnia? Czym tu się chwalić? Szczęściem, większości ludzi nigdy nie będzie dane jej oglądać. Ale on wiedział, że ona tam jest, podobnie jak jego towarzysze broni. Im głośniej się śmiali, tym mocniej czuł się zraniony i tym gorętszy stawał się jego gniew.

W nocy nie mógł zasnąć i tak doczekał pory, gdy przysła jego kolej na objęcie warty. Choć księżyc był widoczny w trzech czwartych, jego łagodny blask ginął w chmurach nieustannie przesłaniających niebo.

Światła było akurat tyle, by znaleźć drogę na skraj obozu, gdzie do trzech mocnych drzew przywiązano jeńców. Czwórka smukłych dinozaurów spała przycupnięta na zadach. Głowy stworzeń spoczywały na grzbietach w sposób przypominający śpiące w gniazdach kurczaki. Nie obudziły się, lecz co mógł wiedzieć na temat ich nocnych zwyczajów?

Spojrzał nienawistnie na bestię, która była sprawcą jego hańby. Chińczyk nazywał ją smokiem. Pierwszy oficer pouczał ich, że dinozaur. Guimaraes wymyślił już dla stwora sporo innych nazw większość w połączeniu z ordynarnymi przekleństwami.

Ton jego głosu był łagodny i podejrzanie serdeczny.

– Jak się masz, mała diabelska bestyjko. Nie śpisz? – Jedno żółte oko otworzyło się. Zaraz potem szybko otworzyło się drugie. O, to dobrze!

Choć stworzenie od nowa zostało starannie związane, Guimaraes trzymał się od niego w bezpiecznej odległości. Raz wystarczy, pomyślał z goryczą. Linę cumowniczą kilkakrotnie okręcono wokół silnych szczęk, by nie mogły się rozerwać. Bestia była teraz nieszkodliwa i bezradna. Mógłby z nią zrobić, co tylko by chciał. Dosłownie wszystko. A ona nie byłaby w stanie stawić oporu.

Nie odważył się jednak. Wokół byli jego kamraci. Blackstrap zatłukłby go, poćwiartował i nakarmił nim następnego schwytanego potwora, gdyby choć zadrasnął skórę jego drogocennej, złośliwej bestii. Nie, Guimaraes wiedział, że wbrew kipiącemu w głębi serca pragnieniu zemsty będzie musiał poczekać na odpowiedni moment.

A na razie będzie się musiał zadowolić snuciem planów rewanżu i odwiedzaniem od czasu do czasu źródła swego rozgoryczenia.

– Dobrze ci się spało? – Bestia nie odpowiedziała. Nie mogła tego zrobić, mając związane szczęki. Ale za to popatrzyła na niego z nienawiścią. – Nienawidzisz mnie, co? To dobrze. To nawet bardzo dobrze. Rozumiemy się zatem. Kiedy przyjdę do ciebie nocą po raz ostatni, nie będzie mi

przynajmniej ciebie żal. Nie będą czuł smutku. – Obandażowana tylna część ciała piekła Guimaraesa, ale nie bardziej niż śmiechy kolegów z załogi.

Przy chodzeniu odczuwał ból, chwilami nawet utykał, ale nie przejmował się tym. Każdy krok przypominał mu nieszczęsny wypadek, każde postawienie stopy dolewało oliwy do ognia jego nienawiści. Każdy nowy żart umacniał postanowienie.

Już niedługo, powtarzał sobie. Wreszcie nadejdzie właściwy moment i znajdzie się odpowiednie miejsce. A wtedy...

– Myślisz, że jesteś sprytna, co? Wzięłaś ode mnie mięso tak delikatnie po to, żebym odwrócił się do ciebie plecami. Teraz też uwalasz się za sprytną, mając skrępowane nogi i zawiązany pysk, co? – Podniósł lekko głos, dźgając końcem lufy szczęki tyranozaura.

Z gardła jeńca wyrwał się nagły świst. Guimaraes nie ustąpił, Uśmiechnął się szeroko.

– Tak, spróbuj mnie opluć. Założę się, że chciałabyś mnie jeszcze raz ugryźć. Może nie? Może nie? – Z lekceważeniem trzepnął palcami dolną szczękę stworzenia. Nie próbowało go ugryźć wiedząc, że wszelkie usiłowania okażą się daremne, skoro ma związany pysk.

Portugalczyk znowu dźgnął bestię bronią.

– Widzisz to, mała diabelska bestyjko? To są moje zęby i gryzą mocno! Następnym razem nie będę odwrócony do ciebie tyłem. Następnym razem to ja będę kąsał! – Był teraz bardzo blisko stworzenia, niemal oko w oko z tyranozaurom.

Więzień szarpnął się do przodu próbując uderzyć głową swego dręczyciela. Guimaraes był na to przygotowany i odskoczył do tyłu. Uśmiechnął się jeszcze szerzej,

– Jesteś bardzo szybka. Cholernie szybka! Musiałaś się urodzić z matki kobry i ojca tygrysa. W Indiach widziałem jedno i drugie, wiesz o tym? Obie bestie są zabójcze, ale Hindusi i tak potrafią je zatłuc. Giną od noża lub kuli tak samo szybko jak kaczka czy bażant. – Jego uśmiech zmienił się w nieprzyjemny grymas. – Ciekaw jestem, jak smakujesz. Jakby ci się to spodobało, gdybym ci odgryzł kawałek ciała, he?

Coś nagle zaszurało. Odwrócił się gwałtownie. Wiedział, że to nie kapitan. Kiedy Blackstrap chciał, potrafił spać jak zabity. Ale ten przekłety, wścibski Smiggens zawsze był tam gdzie nie potrzeba i na wszystko miał oko. Wtykał długi nos w nie swoje sprawy. Kłopot polegał na tym, że pierwszy oficer był w istocie tak sprytny, na jakiego wyglądał. Widząc Guimaraesa tak blisko cennej zdobyczy, mógł dojść do niebezpiecznych wniosków.

Portugalczyk dłuższą chwilę czekał w bezruchu. Gdy tylko się przekonał, że nikt nie podkrada się do niego, odetchnął. Potem raz ostatni odwrócił się do więźnia.

– Miałaś zabawę. Niedługo ja się zabawię, zobaczysz. Nadejdzie taka chwila, kiedy nikogo nie będzie w pobliżu, nikt nie będzie patrzył. Będziemy sami, tylko ty i ja. Dostaniesz zabłąkaną kulka w jedno z tych jasnych ocząt, a może i parę innych kuł gdzie indziej. – Po raz drugi podszedł bardzo blisko.

– Przyjrzyj mi się z bliska, ty mały demonie. Przyjrzyj mi się dobrze. Bo pewnego dnia, już wkrótce, mój widok będzie dla ciebie oznaczał wyrok śmierci. – Znow szturchnął lufą w szyję tyranozaura, który sycząc odsunął się jak mógł najdalej. W pełni zadowolony z przebiegu wizyty Guimaraes oddalił się z paskudnym uśmiechem na twarzy w kierunku swojego posterunku.

Pięknotka była podniecona. Formalne wyzwanie! I kto to je rzucił? Człowiek! Choć nie rozumiała ani słowa z tego, co mówił, jego zachowanie nie pozostawiało żadnych wątpliwości co do zamiarów. Dla dorosłego tyranozaura wyzwanie rzucone przez kogoś takiego jak słabowity człowiek nie miałyby żadnego znaczenia. Byłoby co najwyżej jakąś zabawną odmianą, rodzajem rozrywki. Ale nie dla niej. Ten człowiek mógł być równorzędnym przeciwnikiem przy jego wzroście.

Podjęła wyzwanie i byłaby odpowiedziała na nie we właściwy sposób, gdyby nie miała związanych szczęk.

Szturchnięcia wymierzone tym długim narzędziem przypieczętowały sprawę. Zazwyczaj wyzywały ją na pojedynki przedstawiciele własnego gatunku lub niektóre inne młode drapieżniki. Takie bójki były uświęcone tradycją i nie stały w sprzeczności z obowiązującymi od wieków konwencjami. Biorąc pod uwagę temperament uczestników, musiały czasem kończyć się krwawo, lecz bardzo rzadko ich skutki bywały nieodwracalne. Interesujące, jak poradziłby sobie człowiek. Rodzice uprzedzali ją, że ludzie, jako niezbyt silne jednostki, często rekompensują sobie niedobór siły używaniem różnych urządzeń i są przy tym bardzo podstępni.

A zatem, niech się stanie. Była gotowa. Wręcz paliła się do konfrontacji z tym szczególnym człowiekiem. Byłoby to bardzo interesujące doświadczenie, próba charakteru. O wiele ciekawsze niż obserwowanie ludzi, którzy zazwyczaj prowadzili nie kończące się rozmowy. Gdyby tylko mogła pozbyć się więzów krępujących jej szczęki lub ramiona, uwolniłaby się i uczyniła zadość pragnieniom tego człowieka.

Zauważyła, że jedno z młodych strutich patrzy w jej kierunku. Odwzajemniła spojrzenie. Struli natychmiast odwróciło głowę pod pretekstem, że z powrotem zapada w sen. Gdyby tylko mogła oswobodzić szczęki, rozerwałaby resztę więzów w kilka minut. Niestety! Przebiegli ludzie wiedzieli, jak robić użytek z czegoś takiego jak liny. Nie mogła wydostać się na wolność.

No cóż... Tamten człowiek najwyraźniej miał zamiar poczekać na właściwy moment, by stanąć do pojedynku. Co miała robić? Usadowiwszy się na zadzie zamknęła oczy i starała się z powrotem zasnąć. A wokół niej podzwrotnikowy las szumiał swą znaną, nieskładną kołysankę...

Następnego ranka grupa piratów podążała przez las, gdy nagle Mkuse zatrzymał się wskazując przed siebie.

– To dziwne. Patrzcie, tam są żagle.

– Żagle! – Anbaya wydał z siebie przeciągły gwizd i pognął naprzód. Łodzie, handel, ludzie!

– Zaczekaj, człowieku! – Smiggens próbował powstrzymać Molukańczyka, ale mały żeglarz był od niego szybszy.

W prześwicie między drzewami widać było żagle lawirujące po powierzchni szerokiego jeziora. Ich smukłe, półokrągłe sylwetki pochylały się lekko na wietrze tam i z powrotem, przypominając trójkąty surowego, brązowego płótna używanego przez Arabów do poruszania feluk. Lecz te tutaj były bardzo charakterystyczne i niezwykle.

Ale nawet ta niezwykłość nie usprawiedliwiała przeszywającego wrzasku, który dotarł do uszu piratów. Sugerował on, że po raz kolejny zetknęli się z czymś, co w rzeczywistości wygląda zgoła inaczej niż by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Im dłużej przebywali w tej niesamowitej krainie, tym bardziej przyzwyczajali się do takich niespodzianek.

Powracający Anbaya wypadł nagle z niskich zarośli. Członkowie załogi otoczyli smągłego Molukańczyka, który patrzył na nich szeroko otwartymi oczami i oddychał szybko. Był wyraźnie poruszony.

– To nie łodzie! – wykrztusił. – Ani łodzi, ani ludzi!

Niski, gardłowy pomruk sprawił, że wszyscy spojrzeli w stronę prześwitu między drzewami. Masywny sprawca tego niepokojącego hałasu przepychał się właśnie przez gałęzie. Spomiędzy rozchylonych szczęk odsłaniających ostre zęby spływała ślina. Dwa identyczne niemal potwory sunęły za nim.

Cała trójka bardzo przypominała wyglądem dinozaury, które piraci obserwowali poprzednio, gdy pożywiały się padliną, jak również samotnego potwora, którego przepędzili z granic swego

otoczonego kościanym parkanem obozowiska. Co różniło te bestie od spotkanych wcześniej, to wielkie, skórzaste żagle sterczące z grzbietów. Te osobliwe konstrukcje wsparte na kręgosłupach w istocie podobne były do żagli małego statku. Trzęsły się lekko przy każdym kroku potworów. Gdy buszowały pośród bujnej roślinności, nie było widać nic innego. Stąd wzięła się pomyłka Mkuse, a potem również Anbai. Teraz wszystko stało się jasne.

Szybko też okazało się, że wyjaśnienie tajemnicy „żagli” to nie koniec przygody. Drugi z potworów, wysoki na blisko dwanaście stóp, warknął na podróżników. Żeglarskie ozdoby nadawały stworom groźny wygląd. Jak klipry poczęły sunąć w kierunku piratów.

Spinozaury, pomyślała Pięknotka. Trzy osobniki mogłyby szybko rozprawić się z ludźmi, jak również z ich jeńcami. Czy odważą się ją zaatakować? Była związana, bezradna i pozbawiona opieki dorosłych. I tak nie potrafiłaby sama bronić się długo przed całkiem dorosłym spinozaurem. Ale wolała zejść z tego świata walcząc, niż rozstać się z życiem jako związany tobołek.

– Tędy, jeśli wam życie miłe! – Mkuse okręcił się na pięcie i pognął w kierunku pobliskiego wzniesienia.

Blackstrap wydobyl swój myśliwski nóż i począł cofać się przed nacierającymi potworami.

– Niech to szlag trafi! Czy diabeł nigdy nie zostawi nas w spokoju?! Czyjego słudzy nie mają nic lepszego do roboty, tylko nękać właśnie nas?!

Choć zwykle był ostatnim człowiekiem, który odwróciłby się i uciekł, tym razem nie zostawał z tyłu. Mógł się poruszać z zadziwiającą szybkością jak na tak masywnego mężczyznę. Nie miał też zamiaru oddać choćby jednej ze swych cennych i z takim trudem schwytanych zdobyczy śliniącym się drapieżcom z żaglami na grzbietach. Był zdecydowany wyprowadzić w bezpieczne miejsce swych więźniów, tak samo jak każdego z członków załogi.

Mocno zacisnął w dłoniach pistolety. Nie po to, by przestraszyć ścigające ich drapieżniki, wspinające się uparcie na łagodne zbocze, wiodące od jeziora, gdzie ucinają sobie drzemkę, lecz żeby dać przykład załodze. – Pierwszy, który opuści swoje stanowisko przy zwierzakach, będzie karmą dla smoków... nie, dla dinozaurów! – Za pomocą przekleństw i razów powstrzymał ludzi przed porzuceniem postronków, na których uwiązane były stworzenia. A ponieważ piraci daleko bardziej obawiali się swego kapitana niż jakiegokolwiek bestii z lasu, dawali z siebie wszystko, by wywiązać się z powierzonego im zadania. Na przemian prowadząc, ciągnąc i znęcając się nad swymi jeńcami posuwali się do przodu, co nie wymagało w istocie wielkiego wysiłku, gdyż ani struti, ani młoda tyranozaur nie zamierzały się ociążać.

Początkowo marynarzom udawało się utrzymywać pewną odległość między sobą a trzema drapieżnikami, ale ten margines bezpieczeństwa zaczął się kurczyć, gdy spinozaury wydostały się na płaski teren. Mężczyźni słyszeli za plecami przedzierające się przez gęstą roślinność mięsożerne stwory.

– Będziemy musieli znaleźć miejsce na postój i stawić im opór, kapitanie! – stwierdził jeden z mężczyzn przedzierając się z trudem przez gąszcz.

– Zapomnij o tym, panie Johanssen. – Choć Blackstrap dyszał ciężko, dotrzymywał kroku młodszemu i bardziej zwinnyemu towarzyszowi. – Może pokonalibyśmy jednego takiego potwora, ale nie trzy. W każdym razie nie przy użyciu karabinów i pistoletów. Te bestie są zbyt szybkie. Będą nas miały, jak tylko spróbujemy się zatrzymać.

– Musimy spróbować coś zrobić, sir! – Nie będąc atletą Smiggens przeżywał ciężkie chwile. Kilku innych też zaczęło zwalniać. Od początku było wiadomo, że nie umkną przed pogonią. Bezlitosna natura tak stworzyła ścigające ich drapieżniki, że były zdolne dopaść i wyprawić na tamten świat nawet ofiary biegnące o wiele szybciej niż ludzie.

Znajdujący się znów na czele Anbaya i tym razem wydał z siebie okrzyk, tyle że teraz był on zabarwiony raczej podnieceniem niż strachem. Smiggens dostrzegł wypiętrzenie granitu widoczne poprzez rzednące sklepienie lasu. Zmusił odmawiające mu już posłuszeństwa nogi do szybszego biegu. Co wypatrzył ten bystry Molukańczyk?

– Kanion, kapitanie! Jeszcze jeden kanion!

– Więc naprzód, jeśli wam życie miłe, leniwa kupo jaszczurzego łajna! – Oglądając się przez ramię Blackstrap zobaczył wąski, najeżony kłami pysk wynurzający się z zieleni. Był wystarczająco blisko, by go chapnąć. Do ostrych zębów, które chybiły o włos, przy – Ignęły kawałki martwego, zaschniętego mięsa. Leżące w poprzek drzewo przyhamowało prześladowcę, lecz tylko na moment.

Obracając się wokół własnej osi kapitan zaczął strzelać raz zarazem, aż opróżnił bębrenki dwóch precyzyjnych amerykańskich rewolwerów. Każdemu naciśnięciu spustu towarzyszyło dosadne przekleństwo.

Pociski tylko zirytowały pędzącego na czele pościgu spinozaura, lecz niespodziewane błyski i huk broni sprawiły, że zatrzymał się gwałtownie, zdezorientowany chwilowo i zaniepokojony. Ostre hamowanie spowodowało kolizję. Potwór biegnący jako drugi wpadł na pierwszego. Okładając się żaglami, kłapiąc zębami i porykując na siebie wzajemnie oba osobniki upadły na ziemię. Choć osobiście nie zaangażowany w krótką sprzeczkę, trzeci i ostatni drapieźnik został jednak zatrzymany przez konfrontację, do jakiej doszło tuż przed nim.

Ta nieoczekiwana przerwa w pościgu okazała się wybawieniem dla piratów. Biegąc dalej znaleźli się nagle wśród palm Livistona i pojedynczych zarośli, zupełnie innych niż gęsty las podzwrotnikowy. Anbaya, stojąc na szczycie gładkiego głazu wielkości dinozaura, przywoływał ich, szaleńczo machając rękami.

Rozpadlina tworząca kanion była wystarczająco szeroka, by mogły się w niej zmieścić ścigające ich potwory, lecz przynajmniej wymuszała na nich przeprowadzenie frontального ataku. Smiggens zrozumiał, że teraz bestie nie mogą ich otoczyć. Podobnie jak kanion, który przemierzili poprzednio, ten również odznaczał się wysokimi, pionowymi ścianami i równym podłożem pokrytym piaskiem i żwirem. Można było nim biec, nie obawiając się wystających korzeni i ukrytych dziur.

Jedno ze strutich potknęło się i upadło. Leżało piszcząc i poświstując żałośnie i wierzgało skrępowanymi nogami, jakby chcąc znaleźć oparcie dla stóp. Pozostali członkowie rodziny zebrali się wokół leżącego osobnika nie chcąc się ruszyć, mimo że rozwścieczeni piraci ciągnęli ich coraz mocniej i kopali.

– Co się z nimi dzieje, idioci?! Każcie im się ruszyć! – ryknął Blackstrap, wypatrując pogoni za plecami. Na szczęście w kanionie za nimi wciąż było pusto.

– Może zwichnęło sobie nogę? – zasugerował głośno Smiggens. Ale nie było czasu, żeby to sprawdzić. Na jego polecenie czterech mężczyzn pochwytiło leżące stworzenie i uniosło do góry w pozycji pionowej. Trzymając piszczące struli między sobą kontynuowali ucieczkę. Liny, którymi było związane zwierzę, okazały się błogosławieństwem dla niechętnie niosących swój ciężar marynarzy.

Kanion wciąż zwęzał się obiecujące. Byłoby kiepsko, gdyby okazał się ślepy, pomyślał Smiggens, biegnąc z trudem przed siebie. Spoglądając w kierunku Blackstrapa domyślił się, że kapitanowi przyszła do głowy podobna myśl, ale obaj zachowali swe obawy dla siebie, nie chcąc siać paniki wśród obdarzonych mniejszą wyobraźnią i wystarczająco już spanikowanych członków załogi.

Mimo że piraci mieli pod stopami gładką powierzchnię, po której łatwo było biec, wiedzieli, że nie mają szans w wyścigu z trzema potworami, jeśli te zdecydują się kontynuować pościg. Rzeczywiście para zębatych pysków pojawiła się wkrótce za nimi, wypadając zza zakrętu. Wściekły

ryk odbił się echem od ścian wąskiego kanionu, gdy spinozaury zdwoiły wysiłki, by wreszcie dopaść swe ofiary.

– Szybciej! Szybciej! – krzyczał biegnący gdzieś z przodu Anbaya. – Kanion się zwęża! Kapitanie, zwęża się!

Z walącym sercem i bólem w płucach Smiggens jął wznosić cichą modlitwę do jakiegoś boga rządzącego geologią, by pomógł im w ucieczce. Wąski kanion był akurat tym, czego teraz potrzebowali.

– Oby tylko nie okazał się ślepą uliczką – szeptał żarliwie.

Ściany kanionu były już tak blisko siebie, że spinozaury musiały kontynuować pogoń gęsiego. Były coraz bliżej.

Przyśpieszając gwałtownie w szybko zwężającym się przesmyku pierwszy z nich chwycił nagle pyskiem prawą kostkę przerażonego Tregganga i powalił nieszczęśnika na ziemię. Oszały ze strachu Malajczyk wbił rozcapierzone jak szpony palce w piaszczysty grunt, wrzeszcząc opętańczo w kierunku oddalających się kolegów. Wspaniały popis zdecydowania i odwagi dał Mkuse, wracając pędem po kompana. Gdy znalazł się przy nim, uchwycił nadgarstki nieszczęśnika stalowym uściskiem i wbił pięty w ziemię. Lecz wysiłki wojownika z plemienia Zulu okazały się daremne. Tregganga mogłaby równie dobrze trzymać na haku parowa wyciągarka, a nie żywe stworzenie. Dwa pozostałe spinozaury tłoczyły się rycząc za pierwszym potworem, zaniepokojone o należną im część łupu. Nie mogły bowiem żadnym sposobem wyminąć swego kuzyna, którego krzepki tułów blokował całkowicie wąski przesmyk między skalnymi ścianami. Guzowata skóra przeciskających się zwierząt trąc nieustępliwy kamień odrywała od niego skalną skorupę i powodowała osypywanie się drobnego pyłu. Nagle Mkuse poleciał do tyłu i omal nie nakrył się nogami. Spinozaur stracił swój punkt zaczepienia i uwolniony raptownie Treggang wystrzelił jak korek z butelki. Szeroko otwartymi oczami wpatrywał się w swój but, ucięty czysto jak szewskim nożem tuż poniżej pięty. Z małego skaleczenia skapywała na piasek krew, lecz rana nie była poważna.

Marynarz zerwał się jak oszały na równe nogi i uciekł, byle dalej od rozjuszonych i zdezorientowanych drapieźników. Piraci nie rozumieli ani słowa z ryczącej mowy drapieźców, lecz znaczenie tych porykiwań było aż nadto jasne: „Dopadniemy was i pożremy!”

To zdawały się powtarzać w kółko dzikie bestie. „Dopadniemy was i pożremy, wy cherlawi ludzie!”

Tyle że były to czcze pogrożki. Podobnie jak pierwszy kanion który odkryli piraci, ten również stał się tak wąski, że mógł się w nim zmieścić jeden, co najwyżej dwóch mężczyzn ramię przy ramieniu Nawet ryjąc w litej skale i napierając na nią ze wszystkich sił, spinozaury nie mogły się już posunąć ani o krok do przodu.

Ignorując ostrzeżenia Smiggensa Blackstrap odwrócił się i pomaszerował z powrotem wzdłuż rozpadliny, aż dotarł na odległość zaledwie kilku jardów od rozwścieczonych drapieźników. Przeżuwszy swoją pogardę splunął lekceważąco w ich kierunku.

– To dla was, głupie bestie! Widziałem już zgrzybiałe lwy, dające sobie lepiej radę z mocniejszymi od nas przeciwnikami. – Żaden z rozjuszonych spinozaurów nie mówił naturalnie językiem Blackstrapa, ale jego zachowanie i ton głosu były wystarczająco wymowne. Ze zdwojoną energią zaatakowały skałę. Nacierwały barkami na bezduszny kamień, drapały go pazurami, wzbijając przy tym tumany pyłu, ale nadaremnie. Nie mogły dostać się głębiej do kanionu.

Blackstrap splunął na piasek jeszcze raz, odwrócił się na pięcie i oddalił się majestatycznie, nie zwracając już uwagi na groźne zęby i pazury, które pozostawił za sobą.

– No cóż, panie Smiggens... – oznajmił dołączając do swoich ludzi. – Coś mi się widzi, że skoro

nie da rady się cofnąć, równie dobrze możemy iść naprzód. Ale najpierw odpocząłbym chwilę. Moje nogi domagają się tego.

Pośród głośnych westchnień ulgi wyczerpani mężczyźni osunęli się na piasek. Struti były nie mniej wdzięczne za chwilę wytchnienia.

Odchyliwszy głowę do tyłu, Blackstrap spojrział na cienką błękitną linię nieba, oddzielającą od siebie krawędzie kanionu. Ciężkie deszczowe chmury przysłaniały chwilami lazurową wstęgę. Czy ten, potworny sztorm, który rzucił ich na te brzegi, skończył się już, czy też wciąż jeszcze zbierał siły? Nie miał pojęcia.

– To inny kanion, kapitanie – zaczął Suarez towarzyską konwersację.

– Przecież widzę, idioto.

Żeglarz spróbował wziąć inny kurs. Wskazał w kierunku zablokowanego przez spinozaury wylotu kanionu, który zostawili za sobą.

– Co one robią? Jak pan myśli?

– Mam nadzieję, że im się znudzi i pójdą do diabła.

– Ale chyba nie zamierza pan wracać tą samą drogą, kapitanie? – Mkuse przyglądał się uważnie Blackstrapowi.

– Człowieku! Czy nie słyszałeś, jak przed chwilą mówiłem, że powinniśmy iść naprzód? Nie wrócimy do tej przeklętej dżungli, chyba że nie będzie innej drogi. Tymczasem zwiedzimy możliwie najdalsze zakątki naszej tymczasowej kryjówki i sprawdzimy, czy przypadkiem nie zamierza ona doprowadzić nas do wybrzeża. – To mówiąc kapitan podkreślił sumiastego wąsa.

– Taaa... – mruknął wyczerpany marynarz. – Nic człowiekowi po złocie, jeśli nie będzie miał szansy go wydać. Chyba już dosyć drażniliśmy Fortunę.

– Tak, tak. Wracajmy na statek – przytaknął gorliwie Samuel.

– Wiecie, co mówią o szczęściu? – Kilku mężczyzn spojrzało na Guimaraesa. – Że jest jak dziurawy dzban. Niby jeszcze można niego pić, ale sprytny człowiek robi to jak najszybciej.

– A co ty sądzisz, panie Smiggens? – Blackstrap przykucnął obok swego pierwszego oficera, leżącego plackiem na piasku. – Czy ta skalna szczelina również prowadzi przez całe góry?

Smiggens uniósł się na łokciu i z zastanowieniem popatrzył na zagadkową dróżkę, pokrytą kamieniami i piaskiem, wijącą się wśród skał.

– Jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić, kapitanie. Tylko jeden.

– Taaa... – Blackstrap klepnął go w ramię i Smiggens skrzywił się. – Dobrze będzie znów zobaczyć kumpli i naszą starą balię.

Wśród odpoczywającej załogi rozległy się słabe okrzyki radości.

– Nie musimy się śpieszyć, Brognar.

Blackstrap ściągnął brwi patrząc z góry na swego pierwszego oficera.

– Co przez to rozumiesz, panie Smiggens? Zastępca kapitana odwrócił wzrok. – Tyle się tu można nauczyć, kapitanie. Jeśli stąd odpłyniemy kto wie, kiedy i czy w ogóle uda nam się tu wrócić.

– Zaraz, chwileczkę, panie Smiggens. O co panu chodzi? Dlaczego mamy sienie śpieszyć? – Copperhead pochylił się nad tyczkowanym pierwszym oficerem. – Nie dba pan o własne życie?

– Oczywiście, że dbam. – Smiggens wstał i otrzepał spodnie z piasku. – Chcę żyć, tak samo jak każdy. Po prostu chcę się nauczyć o tym miejscu tyle, ile to tylko możliwe, na wypadek gdybyśmy nie mieli tu już wrócić.

– A co jest takiego ważnego w tym „uczeniu się”? – warknął O’Connor. – Jesteśmy piratami, ot co. Tak stoi napisane w kontrakcie, który każdy z nas podpisał zaciągając się na „Kondora”. – Utkwił w pierwszym oficerze oskarżycielskie spojrzenie. – Pan też, panie, Smiggens.

– A może znaczy to – zapytał Watford, podchodząc niebezpiecznie blisko – że bardziej pan sobie cenisz naukę od życia uczciwego marynarza, co?

Wyczuwając, skąd wieje wiatr i wiedząc, czym to pachnie, Smiggens pośpieszył z wyjaśnieniem swego stanowiska.

– Ależ nie. Skądże znowu! – Wskazał gestem w głąb kanionu. – Lepiej się nie ociągajmy i ruszajmy, póki jeszcze widno. Im szybciej opuścimy to miejsce, tym szybciej zarobimy nasze pieniądze.

Złowrogi wyraz zniknął z twarzy obu piratów. Pojawił się za to na nich uśmiech zadowolenia.

– To co innego, panie Smiggens. – O'Connor odwrócił się do reszty załogi. – Okrzyk na cześć pierwszego oficera, chłopcy!

Wymęczeni marynarze wzniesli kilka nieskładnych okrzyków na wiwat.

Watford walnął Smiggensa w plecy z taką siłą, że zagrzechotały zębra, po czym majestatycznym krokiem poszedł pomóc przy zwierzętach. Kilka chwil później pochód piratów holujących swoich jeńców ruszył przed siebie, pozostawiając z tyłu trzy okropnie sfrustrowane, lecz bezradne spinozaury. Pozbywszy się strachu i zyskawszy świadomość, że chroni ich osłona z nienaruszalnej skały, jowialnie usposobieni marynarze rzucili parę wyszukanych epitetów pod adresem swych niedawnych prześladowców.

Choć Smiggens nie zmieniał swego miejsca w szeregu, nie mógł się powstrzymać od bezustannego oglądania się przez ramię. Jakież to jeszcze egzotyczne krainy leżały, wciąż nie zbadane, po drugiej stronie tropikalnego lasu? Jakie cuda i dziwy, jakie zdumiewające stworzenia można by spotkać po drugiej stronie jeziora, na które się natknęli, lub w jego krystalicznie czystych głębinach? Może rozgrywały się tam jeszcze bardziej niezwykle sceny, niż wszystko, co do tej pory oglądali?

Prostym marynarzom, jego towarzyszom, brakowało wyobraźni, by się czymkolwiek interesować. Nawet Blackstrapa, który mimo wszystko miał o wiele więcej rozumu, nie obchodziły żadne odkrycia, których nie można by zamienić na złoto.

Smiggens powiedział sobie w końcu, że i tak powinien być zadowolony. Udało im się przeżyć spotkanie z fenomenami natury, przekraczającymi wszelkie wyobrażenie. A zdumiewające stworzenia, które schwytali, żywe dinozaury, uczynią z nich wszystkich zamożnych ludzi.

Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot. Smiggens zadarł głowę i spojrzał w niebo. Wiedział, że jeśli ten kanion nie przeprowadzi ich przez góry, to okaże się fatalnym miejscem na przeczekanie ulewy. Dopóki miał pod nogami równy i płaski teren, nie opuszczała go pewność siebie. Piasek był miękki i ciepły. Czuł go przez buty. Cóż za wygoda w porównaniu z trudnym, leśnym podłożem. Cóż za ulga dla stóp.

Nie myśl za wiele, Preisterze Smiggens, przekonywał sam siebie, a będziesz szczęśliwym człowiekiem.

Ale żeby nie wiadomo jak się starał, nie potrafił uwolnić się od swych myśli.

XVI

Piraci spędzili spokojnie noc w czeluściach kanionu. W niżej położonych miejscach i zagłębieniach terenu wałały się stosy połamanego drewna, naniesionego przez okresowe powodzie i wyglądającego jak gigantyczne źdźbła słomy. Zachwyceni marynarze mogli wybierać i przebierać wśród surowca do rozpalenia ognisk.

Po raz pierwszy od chwili, gdy weszli w gęstwinę tropikalnego lasu, czuli się w miarę bezpieczni. Było oczywiste, że żaden większy drapieżnik nie przecisnie się między ścianami kanionu i nie dotrze do obozowiska. Mogli spać stosunkowo wygodnie. Piaszczyste dno skalnej rozpadliny było wręcz sterylne czyste, jeśli nie liczyć wędrujących po nim owadów. Nikt nie miał pretensji o to, że może zostać ukąszony – dopóki kąsający był mniejszy od kąsanego.

Wszyscy byli tak utrudzeni ucieczką przed nieszczęściem, które ominęło ich o włos, że przyrządzenie i zjedzenie kolacji wymagało od nich wyjątkowej siły woli. Mimo to, ku konsternacji strutich, zawsze ostrożny Blackstrap kazał wystawić nocne warty na obu krańcach kanionu.

Wraz z zapadnięciem nocy cienie ludzi i dinozaurów, widoczne na skalnych ścianach w blasku największego ogniska, nabrały dziwacznych kształtów. Uspokajający trzask ognia zakłócał tylko szmer rozmów lub z rzadka chichot marynarza, słuchającego dowcipu kolegi.

– I co pan sądzi, panie Smiggens? – O'Connor wskazał ruchem głowy ciemny kanion, ginący w mroku za nieruchomą sylwetką pełniącego straż Mkuse. – Czy ta szczelina przecina całe góry? – Blackstrap pytał mnie wcześniej o to samo – odrzekł pierwszy oficer, wpatrując się w kilka gwiazd widocznych na niebie między nadciągającymi chmurami. – Nie sposób na to odpowiedzieć tutaj, panie O'Connor. Wydaje mi się, że dno tej rozpadliny leży co najmniej lak nisko jak tamtej, która nas przywiodła w te strony, ale nie jestem geometrą. Jednak uważam za możliwe, że całe to pasmo górskie, lub przynajmniej ta jego część, w której teraz przebywamy, poprzecinane jest takimi kanionami. Możemy tylko mieć nadzieję, że to jeden z nich.

Pięknotka przysłuchiwała się obojętnie ludzkiej paplaninie. Spośród wszystkich gatunków zamieszkujących Dinotopię jedynie ludzie słynęli z tego, że więcej mówią niż robią. Nawet gadatliwy galliminius wydawał się niemową w porównaniu z najmniej rozmownym człowiekiem.

Ich słowa nic dla niej nie znaczyły. Wiedziała tylko, że na przekór swej gadatliwości ludzie nie byli całkiem bezużyteczni. Słyszała od innych członków swojego plemienia, że przy rzadkich okazjach, kiedy można ich było schwytać bez ryzyka, okazywali się całkiem smacznymi, aczkolwiek należało uważać na mniejsze kości.

Odwracając się spojrzała na strutich. Jedno z młodych zauważyło jej badawczy wzrok i zaczęło lekko drżeć. Uśmiechnęła się. Tak właśnie powinno być. Choć cywilizacja zawitała do Dinotopii dawno temu, jej wpływ nie zdołał zatrzeć wszystkich wspomnień po przodkach.

Teraz już rzadko dochodziło do zabijania. Drapieżniki z Deszczowej Doliny nie musiały polować. Nie teraz, gdy starzy lub umierający pobratymcy z cywilizowanych regionów przybywali do doliny, by tu wyzionąć ducha. Taka umowa była korzystna dla obu stron. Pozwalała drapieżnikom przetrwać bez zabijania, a mieszkańcom cywilizowanych stron żyć bez konieczności kopania setek grobów wielkości okrętu.

Ale Pięknotka i jej plemię nie stracili instynktu myśliwskiego i choć jego zaspokojenie było możliwe tylko w formie zabawy, całej młodzieży nie brakowało potrzebnych umiejętności.

Przycupnięta cicho w swoich pętach, oszczędzała siły. Przymknęła oczy tak, że widać było tylko wąskie żółte szparki. Tak jest dobrze, pomyślała. Lepiej być wolnym i żyć, nie krępując swojej

indywidualności, niż poddać się ograniczeniom, jakie niesie ze sobą egzystencja w mieście czy na farmie. Po co jej plemieniu zdobycze cywilizacji? Po co moralność i książki? Przedstawiciele tego gatunku pozostali wierni swym dzikim przodkom, mimo sporadycznych porozumień z przemierzającymi Deszczową Dolinę konwojami. Musiała dalej czekać na właściwy moment. Szczęki jej drga ożywione pragnieniem pozbycia się krępujących więzów. Kiedy nadejdzie odpowiednia chwila, a co do tego nie miała żadnych wątpliwości, uderzy. Pokaże im, do czego zdolny jest nawet tak młody osobnik należący do jej gatunku, gdy zostanie sprowokowany.

Jestem królewskim drapieźnikiem, powtarzała sobie. Nikt nie stoi nade mną. Wszyscy leżą u moich stóp. Nie mam się czego obawiać.

– Spójrzcie na to stworzenie przycupnięte jak śpiący rekin. Stary Ruskin wskazał na cennego jeńca. – Siedzi tak cicho, że można by je wziąć za nieżywe.

– Nie to stworzenie. – Chumash zapalił swoje ostatnie cygare i rozsiadł się wygodnie, wypuszczając z ukontentowaniem kłęby dymu z ust. – I wcale nie śpi, Ruskin spojrzał na niego zezem. Jak na człowieka w tym wieku, miał bystry wzrok.

– Mylisz się, Indianinie. Słysząc, że śpi.

– Tak uważasz? – mruknął Chumash. – Idź i pocałuj Wielki Ząb. Zobaczysz, jak mocno śpi. – Znowu zaciągnął się z lubością mocnym, ręcznie zwijanym cygarem.

– Nic się nie stanie. Jest mocno związane. Portugalczyk popełnił błąd, podchodząc za blisko, gdy miało rozwiązane szczęki.

Chumash kiwnął głową.

– Spróbuj za bardzo je podrażnić, a kapitan sam ci coś odgryzie. Zdrowe jest, warte dziesięć tysięcy amerykańskich dolarów Słyszałem, jak mówił pierwszy oficer.

Ruskin gwizdnał cicho.

– Przybyliśmy w dziwne miejsce i zajmujemy się dziwnym interesem, chociaż za tak duże pieniądze. Nie podoba mi się tutaj.

– Eh tah – mruknął Indianin we własnym języku. – Twoje miejsce jest na morzu. Moje w wysokich lasach. Jednak jesteśmy tu razem i robimy to sarno. Dla złota, Taaa... – przyznał Ruskin i poczuł się nieco lepiej. Kiedy myślał o złocie, ściany kanionu trochę mniej przypominały mu połówki gigantycznego imadła. W przeciwieństwie do innych poczułby się naprawdę dobrze dopiero wtedy, gdyby na horyzoncie ukazał się jego ukochany ocean – Dla złota.

Watford był tym, który pierwszy zwrócił uwagę na osobliwą naturę pewnej rozpadliny, odchodzącej w bok od kanionu, którym tego ranka piraci posuwali się na północ. Od chwili wymarszu minęli wiele takich odgałęzień, rozchodzących się jak naczynia krwionośne z żyły. Blackstrap kilkakrotnie wysyłał ludzi, by spenetrowali te odnogi. Za każdym razem wracali po niecałej godzinie, meldując, że kolejna szczelina w skale jest ślepym zaułkiem lub zwęża się tak bardzo, że staje się nie do przebycia. Takie raporty coraz bardziej utwierdzały Smiggensa w przekonaniu, że istotnie wędrują głównym kanionem, który prawdopodobnie przecina całe góry.

Uwagę Watforda przykuła dziwna barwa dna bocznej rozpadliny, a dokładniej jej charakterystyczny, ciemny odcień. Po chwili wahania postanowił zawiadomić o tym Blackstrapa.

– Jest coś niezwykłego w tamtej szczelinie, która odchodzi w prawo, sir.

– A co takiego, człowieku? – Blackstrap, wpatrując się bezmyślnie w drogę przed sobą nie odwrócił nawet głowy. Mimo że kanion pogrążony był w wiecznym cieniu, powietrze było duszne i wilgotne. Z jednej jego strony rozciągała się Deszczowa Dolina, z drugiej Nizina Północna. Goszczący tu rzadko lekki wiatr był mile widziany. W tej chwili jego brak był aż nadto odczuwalny i Blackstrap pocił się obficie.

Cóż... niech pan spojrzy na tamten piasek, kapitanie. – Watford pochodził z Kornwalii, co przynajmniej w części tłumaczyło jego zainteresowanie skałami.

Blackstrap spojrział zezem w prawo.

– Trochę ciemniejszy, panie Watford. Co z tego wynika?

– Nie jestem pewien, sir. Ten kolor przywodzi mi na myśl coś, z czym kiedyś miałem do czynienia. Tylko nie mogę sobie tego dokładnie przypomnieć.

– To lepiej sobie szybko przypomnij, panie Watford. Albo trzymaj język zębami. Za gorąco na czczą gadaninę.

Nie zniechęcony marynarz odłączył się od grupy i pobiegł w kierunku gardzieli bocznego przełomu. Zatrzymawszy się w miejscu, gdzie piasek połyskiwał ciemną, jakby przypaloną barwą, zaczął na próbę kopać w nim obcasem, wyrzucając za siebie pył i drobny żwir. Im głębiej kopał, tym podłoże stawało się ciemniejsze, aż wreszcie przybrało niemal zupełnie czarny kolor.

Thomas przywołał go gestem ręki. Chodź już, człowieku! Po co tracisz czas?

– Taaa... – dodał ktoś inny. – Nie będziemy na ciebie czekać, Kornwalijczyku!

Tylko Smiggens wykazał jakieś zainteresowanie. Cofnął się i obserwował pracę marynarza. Potem zaczął dokładnie badać grunt w poszukiwaniu czegoś niezwykłego. – Co to jest, Watford? Jak myślisz?

– Nie jestem pewien, panie Smiggens. Może... nie wiem. To tylko przypuszczenie. Może najwyżej ślad...

– Czego, panie Watford?

– Najpewniej cyny, sir. I innych rzeczy. – No cóż. Na pokładzie „Kondora” mamy mnóstwo kubków i dzbanków. – Pierwszy oficer mówił z łagodnym sarkazmem. – Może odłożysz zaspokojenie swojej ciekawości na kiedy indziej?

– Chyba ma pan racje., sir. – Podniósłszy prawą nogę. Watford otrzepał but z piasku, który do niego przylgnał. – Ale dałbym głowę, że widziałem już coś takiego w moich ojczystych stronach.

Na tym zakończyłaby się ta sprawa i została wkrótce zapomniana, gdyby nie Smiggens, który zawracając pośliznął się i ciężko zwałił na ziemię. Ci, którzy byli świadkami jego gapiostwa, wybuchnęli gromkim śmiechem.

– Lepiej niech pan patrzy pod nogi, panie Smiggens! – zawołał któryś. – Jeszcze nie jesteśmy z powrotem na pokładzie.

– Właśnie! – dorzucił inny poprzez gęstą brodę. – Ziemia się tu nie kołysze.

Główną siłę uderzenia przyjęła na siebie tylna część ciała Smiggensa, resztę nogi, a troszkę pochwa od noża. Pochwa była metalowa i rzucała jasne błyski. Gdy Watford pomagał mu wstać, Smiggens złowił wzrokiem na skale przyćmiony odbłask z przesłoniętego nieco chmurami słońca.

Najprawdopodobniej mika, domyślił się. W takich górach to normalne. Lub może kwarc.

Zmarszczył brwi, gdy przyjrzał się dokładnie miejscu, w które uderzyła metalowa pochwa. Lśniło jakoś inaczej. Jaśniej. Bardziej intensywnie.

– Kapitanie! – zawołał kucając, by się lepiej przyjrzeć. – Może jednak pan tu przyjdzie i spojrzy.

– Na co?! – ryknął Blackstrap. – Najbrudniejszą niż gdzie indziej ziemię?! Po co chcesz marnować mój czas, skoro sam potrafisz lepiej wszystko wygrzebać i sklasyfikować?

Pierwszy oficer przyklęknął, skrobiąc nożem powierzchnię czegoś, co było źródłem tajemniczego błysku. Im więcej zdrapywał ziemi, tym większy stawał się skrawek odbijający promień słońca. Był teraz pewien, że to nie mika ani kwarc. Powierzchnia pod ostrzem noża była dosyć miękka.

Jakby jakiś stop... Poczuł, że przyspiesza mu puls. Watford już był obok, wściekle rozkopując grunt własnym nożem. Twarz mu jaśniała, oczy płonęły,

– To nie cyna, sir! Na Boga, to nie cyna!

Smiggens podniósł do światła szczyptę czarnej substancji.

– Śniedz, panie Watford. Niesamowicie gruba i stara warstwa, ale to ni mniej, ni więcej tylko śniedz.

Trzymający postronek uwiązany do szyi największego sthruthiornimusa Mkuse zatrzymał się zaciekawiony i zawołał do swych rozgorączkowanych kolegów:

– Hej tam, wy dwaj! Znaleźliście coś?

– Robaki – zaryzykował odpowiedź Samuel. – Idą na ryby.

– Otóż to, panie Samuel, otóż to – odkrzyknął Watford. – Lepiej bądź dla mnie uprzejmy, bo może się zdarzyć, że nie podzielę się z tobą moją zdobyczą!

Najpierw pojedynczo, a potem małymi grupkami piraci zaczęli schodzić ze szlaku, gromadząc się wokół kopiącego szaleńczo pierwszego oficera i jego towarzysza. Blackstrap nie posiadał się z wściekłości z powodu przerwy w podróży, dopóki sam nie zobaczył, co ci dwaj wydobyli na światło dzienne.

– Na brodę Neptuna, to srebro, albo Najwyższy Sędzia nie ma nad nami litości! – Szybko zapomniał o gniewie i rzucił się do kopania i skrobania z równym zapałem, co pozostali uszczęśliwieni marynarze. Wkrótce okrzyki zdumienia i zachwytu odbiły się echem wśród ścian kanionu.

Co do uwięzionych strutich i młodego tyranozaura, to obserwowały one to szaleństwo z jednakowym zdumieniem i zastanawiały się, o co tyle hałasu. Lśniące metalowe cegły, które powoli ukazywały się oczom ludzi, z pewnością stanowiły niecodzienną nawierzchnię drogi, lecz trudno było uwierzyć, by mogły doprowadzić tę skądinąd zwariowaną rasę do obłądu. To jeszcze bardziej umocniło Hisaulka w przekonaniu, że ich prześladowcy są niespełna rozumu.

– Spójrzcie na nich! – wykrzyknęła Tryli. – Czy oni wszyscy poszaleli, mamó?

– Całkiem możliwe, że ta grupa ludzi od początku składała się z samych obłąkańców, córeczko. – Shremaza żałowała, że nie może przytulić swego potomstwa, ale nie pozwalały jej na to krępujące mocno więzy. W pobliżu, powstrzymywana jedynie przez pęta i kilku niezbyt uważnych strażników, Pięknotka zupełnie ignorowała ludzką dziecinadę.

Gołym ręką przyszyły z pomocą noże i szable. Mężczyźni w podnieceniu zeszkrobywali nagromadzoną śniedz. Zerwane z grzbietów koszule posłużyły za szmaty do polerowania. Po niedługim czasie oczyszczono spory kawałek terenu. Słońce odbijało się tak mocno w dziele rąk i narzędzi piratów, że kilku z nich odwróciło wzrok, by uciec spojrzeniem przed porażającym blaskiem, od którego po nie ogolonych policzkach spływały im łzy.

– Widzicie? – Smiggens wodził końcem szabli po liniach widocznych na chodniku. – Tutaj te kostki zostały wylane. Nie ułożone na miejscu i związane jakąś zaprawą, zważcie, lecz wylane!

– Jak gruba może być ta warstwa, panie Smiggens? – Oczy Blackstrapa błyszczały chciwie.

– Nie dowiemy się tego, dopóki nie wykopujemy części kostek, kapitanie. – Zamiast skoncentrować się na imponującym wykopalisku, pierwszy oficer skupił uwagę na czeluści bocznego kanionu. – W tej chwili bardziej jestem ciekaw, jak daleko to sięga, niż jak głęboko zalega.

Nacinając szablami i toporami cienką warstwę piasku i śniedzi zalegającą pod ich stopami, piraci ruszyli srebrną drogą w głąb rozpadliny, wlokąc za sobą zdumione stworzenia. Mały kanion nieustannie skręcał na wschód i nic nie wskazywało na to, by srebrny chodnik zamierzał się skończyć.

Po przejściu znacznego dystansu piraci zauważyli, że skalna szczelina o stromych ścianach zamiast zwężać się coraz bardziej, jak wszystkie poprzednio spenetrowane odnogi, zaczyna stawać się coraz szersza. Srebrna nawierzchnia wciąż sięgała od ściany do ściany. Posuwali się teraz ostrożnie, bo przełom był już aż nadto szeroki, by zmieścić się w nim mięsożerny, duży drapieжник z gatunku takich, przed którymi niedawno udało im się uciec. Ich czujność mącił nieco natrętny blask srebrnego podłoża. Palmy Livistona strzelały w niebo, ale nie wkraczali jeszcze do tropikalnej dżungli.

– To nikiel, powinienem być się domyślić... – mrucał sam do siebie Smiggens.

– A to co znowu, panie Smiggens? – Blackstrap odezwał się z niezwykłym jak na niego spokojem. Odkrycie nawet na kapitanie wywarło wrażenie.

– Jako składnik stopu. Czyste srebro byłoby za miękkie na nawierzchnie drogi, nawet przeznaczonej do lekkiego transportu. Nikiel, jak podejrzewam, mógł ją dostatecznie utwardzić, by spełniała swoją rolę.

Ścieżka stopniowo stała się gościńcem, potem arterią, a wreszcie bulwarem wystarczająco szerokim, by zapewnić każdemu z marynarzy takie bogactwo, o jakim nikomu się nawet nie śniło. Tyle srebra – mruknął Blackstrap – nie przywieźli nigdy nawet konkwistadorzy z wypraw do Nowego Świata.

Nagły krzyk sprawił, że obaj podnieśli głowy. Jako odkrywca zdumiewającej alei, Watford zasłużył sobie na prawo prowadzenia pochodu. W podzwrotnikowej dżungli tak wysunięta pozycja została uznana za samobójczą, tutaj uważano ją za honorową.

Ha! Cóż znalazł tym razem nasz spostrzegawczy Kornwalijszczyk? – Złoty ząb kapitana błysnął w uśmiechu. – Obudźcie się, chłopcy Pan Watford nas wzywa. A kiedy pan Watford wzywa, mądry człowiek skwapliwie korzysta z zaproszenia!

Przechodząc z marszu w trucht, z czym mimo więzów nie miały problemu spętane stworzenia, piraci wypadli z ostrego zakrętu szerokiego teraz kanionu i stanęli przed przegradzającą go ścianą. Zwyczajny, lecz solidny mur miał może dwie stopy grubości i dwadzieścia wysokości i był wykonany całkowicie z cegieł długich na stopę i szerokich na kilka cali. W samym środku bariery widać było duży otwór z luźnymi zawiasami wskazującymi miejsce, w którym musiały tkwić niegdyś dawno już przegniłe drewniane drzwi. Zawiasy były z mosiądzu.

Również każda zakurzona i brudna cegła w ścianie pokryta była warstwą mosiądzu, by oprzeć się niszczącej sile żywiołów.

– Zastanawiam się, dlaczego mosiądz? – mruknął Blackstrap, gdy zbliżyli się do tego zabytku nieznanej cywilizacji. – Może mieli go bardzo dużo?

Mosiądz. – Smiggens miał dziwny wyraz twarzy. – Jeśli to jest mosiądz, to powinien być zaśnieżony, jak srebro. Chyba że ktoś z okolicy poświęca całe życie na polerowanie go.

Rzeczywistość okazała się tak obojętna, że przez dobre kilka chwil ci zahartowani i doświadczeni korsarze nie mogli się otrząsnąć ze zdumienia. Czuli się jak uderzeni obuchem, odkąd Blackstrap wydułbał luźno siedzącą cegłę z krawędzi wiekowych wrót.

Kapitan całkowicie zaniemówił na dłuższą chwilę, co Smiggens odnotował po raz pierwszy na przestrzeni ich długiej znajomości. Trzymając cegłę w obu dłoniach, wielki mężczyzna usiadł ciężko na twardej ziemi. Odchylił do tyłu głowę i gapił się w milczeniu na ścianę. Gruba na dwie stopy, wysoka na dwadzieścia. Tyle na razie wiedzieli. Jaka była jej szerokość w poprzek kanionu, musieli dopiero ocenić lub zmierzyć, z wyjątkiem otworu po dawno nie istniejących wrotach, był to lity mur.

– O co chodzi, kapitanie? – zapytał Thomas.

– Taaa... Właśnie. Co się stało? – Samuel przysunął się bliżej z wyrazem nie tyle szczerej

troski, ile zaciekawienia. – Co się stało? A nic takiego, panie Samuel. – Blackstrap powiódł wzrokiem po twarzach swoich marynarzy. – Zupełnie nic. Bądź tak dobry, panie Samuel, i potrzyj to za mnie.

To mówiąc, cisnął piratowi cegłę. Ten chwycił ją bez trudu i... zawył, gdy wyśliznęła mu się z rąk i ciężko opadła na prawą stopę. Mimo że stopę chronił but, Samuel upadł na ziemię skowycząc z bólu który jednak prawie natychmiast minął.

Cegła była ze złota.

Cała ściana zbudowana była z takich właśnie cegieł.

Zatem ściana...

Nie znając zasad logiki Arystotelesa, piraci z miejsca przystąpili do rozbiórki ściany, waląc w nią energicznie wszystkim, co mogło się do tego przydać. Poszły w ruch noże, szable, topory, kolby broni palnej. Nawet fiszbinowe grzebienie zostały zaprzęgnięte do gorączkowego wysiłku. Druga cegła okazała się tak samo ciężka jak pierwsza. Dłubiąc cierpliwie w złotym bloku, Smiggens upewnił się, że cegła istotnie składa się wyłącznie ze szlachetnego kruszcu, a nie, na przykład, z ołowiu powleczonego złotą warstwą.

– Nie jestem złotnikiem, ale oceniłbym to na osiemnaście karatów – oznajmił w końcu. – Oczywiście należy liczyć się z tym, że zawartość czystego kruszcu może być różna w poszczególnych ceglach.

– Ooo... z pewnością, panie Smiggens, z pewnością... – odrzekł Blackstrap przez zaciśnięte zęby. – Ale to nie problem. – Obrzucił wzrokiem załogę. – Wszystko poniżej czternastu karatów zużyjemy po prostu jako balast! – Mężczyźni ryknęli śmiechem.

– Ha-weh. – Chumash spojrział ponad głowami nowej plutokracji. – Czy ktoś widział Kornwalijszyka?

– Właśnie – mruknął Smiggens, odkładając na bok małą fortunę. – Gdzie on się podziwia? Powinien chyba świętować razem z nami. W końcu to on jest prawnie uznanym odkrywcą tego bogactwa. – Znowu skupił uwagę na ścianie. – A swoją drogą, co to za miejsce? Kto zbudował tutaj tę ścianę i po co?

Blackstrap nie był całkowicie niewykształcony.

– Może to Atlantyda? A może Lemuria? Może starożytne Mu albo Cymeria? Wszystkie na wpół zapomniane cywilizacje tego świata... albo kraina, której szukał Kolumb i nigdy nie znalazł. Wszystkie razem, zebrane w tym wielkim złotym dziele. – Gestem właściciela oparł dłoń na niezwyklej fortyfikacji. – Teraz to jest nasze. Gdzie zamierzasz zamieszkać z twoją częścią, panie Smiggens? Jeśli o mnie chodzi, to myślę, że mógłbym kupić pałac w Warwick. Albo połowę Devonshire. – Nie wiem... – Pierwszy oficer był całkowicie oszołomiony. – Nie wybiegałem jeszcze myślą tak daleko w przyszłość.

– Pan wie, co to oznacza, kapitanie.

Blackstrap odwrócił się i spojrział na mówiącego te słowa.

– O co chodzi, panie Guimaraes?

Tamten przysunął się bliżej i wskazał otepiałych, obojętnych jeńców.

– To oznacza, że nie potrzebujemy już tych zwierząt. Po co mamy zawracać sobie głowę sprzedawaniem żywych stworzeń za złoto, kiedy już mamy tyle złota i srebra, że nasz statek tego nie udźwignie?

– Portugalczyk dobrze gada – przyznał Samuel. Smiggens ocknął się z oszołomienia.

– Musimy je ze sobą zabrać, kapitanie. Są warte więcej niż złoto, Dla nauki są wprost bezcenne.

– Nauka! – Ton Guimaraesa ociekał pogardą, gdy przesunął ręką po złotej ścianie. – Czy ta

pańska „nauka” może dać nam więcej bogactwa niż to?

Pewno nie, pomyślał zaniepokojony pierwszy oficer, ale gdybyś dał jej choć cień szansy, ty śmierdzący pawianie, może uczyniłaby cię mądrzejszym.

A głośno powiedział:

– Nie mamy jak zabrać tego złota. Zwierzęta poruszają się samodzielnie. Dlaczego nie wziąć ich na statek? Potem wrócimy z workami i saniami.

– Nie mamy jak zabrać tego złota? – Siwiejące bokobrody Ruskina zadrgały z oburzenia. – Ja je zaniosę w zębach!

Kilku mężczyzn roześmiało się rubasznie.

– Zapłacę za nie – zaproponował desperacko Smiggens. – Moją częścią złota.

Tym razem odpowiedzią na słowa pierwszego oficera były pełne uznania pomruki. Podział łupów był dla każdej pirackiej załogi poważną sprawą i mężczyźni potraktowali ofertę zupełnie serio.

– Tak będzie całkiem uczciwie – Blackstrap udzielił układającym się stronom swego błogosławieństwa. – Choć uważam, że spędziłeś za dużo czasu na tym skwarze, panie Smiggens. Ale niech tak będzie. Możesz zatrzymać swoje zwierzaki. Oby dały ci tyle zadowolenia, ile nam da twoje złoto.

Mężczyźni wybuchnęli wesołym śmiechem.

Jak zwykle ciekaw wszystkiego i jednocześnie pełen nadziei, Hisaulk przypatrywał się błazeństwu załogi. Marynarze wydawali się uradowani odkryciem ściany, choć w żaden sposób nie mógł zrozumieć dlaczego. Z pewnością byli to najbardziej osobliwi ludzie, jacy kiedykolwiek postawili stopę na ziemi Dinotopii. Kiedy jego strażnicy odwracali wzrok, zmagał się ze swoimi więzami, lecz jak zawsze nadaremnie. Ludzkie kciuki bardzo by mu się przydały.

– Mój ładunek będzie przynajmniej lżejszy – zauważył Smiggens. Guimaraes łatwo nie zrezygnował.

– Pierwszy oficer złożył nam wspaniałomyślną ofertę, lecz czy jego część łupu wynagrodzi nam kłopoty i udrękę, jakie niewątpliwie przeżyjemy, jeśli będziemy przewozić te śmierdzące bestie przez Ocean Południowy? – W jego oczach pojawił się złośliwy błysk. – A poza tym, czy jest wśród was ktoś, kto nie miałby apetytu na świeże mięso? Jadałem już żółwie, iguany i węże, więc jeśli te zwierzaki mają choćby zbliżony smak, byłyby niezłym posiłkiem.

Mkuse obrzucił rodzinę strutich taksującym wzrokiem.

– Powiedziałbym, że bardziej przypominają strusie, ale to też dobre jedzenie.

– Mamy już złoto – dodał ktoś. – Teraz przydałaby się uczta.

Zanim reszta załogi zdążyła wznieść pełen aprobaty okrzyk, zanim zatrwożony Smiggens zdołał zaprotestować, gdzieś obok, poza kręgiem mężczyzn dat się słyszeć tryumfalny wrzask. To nieobecny dotąd Watford anonsował swoje przybycie.

– Ha! Cóż jeszcze znalazł ten włóczykij Kornwalijski? – Blackstrap podniósł się, by wyrzecć przez otwór po nie istniejących od dawna wrotach. – Może jeszcze jedną ścianę?

– To chyba niemożliwe, kapitanie – stwierdził O’Connor. – Nigdzie nie może być już więcej złota niż tu.

– Tak czy inaczej pójdziemy to sprawdzić. Coraz bardziej podobają mi się odkrycia pana Watforda.

– Pan wybaczy, kapitanie – wtrącił się Guimaraes. – Ale co z naszą biesiadą?

Blackstrap spojrział na Smiggensa, potem na Portugalczyka, lecz myślą i sercem był już przy niewidocznym Watfordzie.

– Na razie nie życzę sobie żadnego zabijania. Później będzie dość czasu, żeby to załatwić.

– Ale, kapitanie...

– Ja tu decyduję, panie Guimaraes. – Głos Blackstrapa zabrzmiał złowieszczo. – Masz jakieś problemy ze zrozumieniem tego?

Zawiedziony Guimaraes odwrócił się, mamrocząc pod nosem:

– Nie, kapitanie. Żadnych problemów...

Wziąwszy uwięzione stworzenia w środek gromady piraci prze – kroczyli otwór w ścianie, podziwiając proste linie prastarej budowli, świadczące o biegłości budowniczych. Idąc śladem nawoływań Watforda, dotarli do miejsca, w którym kanion rozszerzał się w rodzaj kotliny.

Okrzyki Watforda brzmiały coraz głośniejsze, co świadczyło, że już prawie dogonili Kornwalijczyka. Spokojnym krokiem pokonali jeszcze jeden ostry zakręt rozległego teraz wąwozu i... stanęli jak wryci, oszołomieni widokiem, który ukazał się ich oczom.

Gapiąc się przed siebie wraz z innymi Smiggens doszedł do wniosku, iż mają prawdziwe szczęście, że niebo zasnute jest chmurami. Inaczej wszyscy prawdopodobnie straciliby wzrok.

Przed nimi rozciągała się cudowna panorama, zapierająca dech nie tylko z powodu swej urody, ale i niezwykłości. Oskrzydlony prostymi murami z szarego i czerwonego kamienia, wznosił się ku niebu kompleks świątyń i innych budowli. Porządnie utrzymane aleje oddzielały schodkowe piramidy, ozdobione kolumnami gmachy użyteczności publicznej i dużo skromniejsze, jednopiętrowe budynki, służące niegdyś za domy mieszkalne władcom tego ludzkiego skupiska. Smiggens rozpoznał w kształtach budowli wpływ wielu stylów architektonicznych – od egipskiego, poprzez grecki i chiński, aż do typowego dla kultury Inków. Była to istna mieszanina wszelkich stylów, ale trzeba przyznać, że stwarzało to imponujący efekt.

Największe zainteresowanie reszty załogi wzbudzały materiały, z których zbudowano to miasto.

Wiele budowli wzniesiono z takich samych szczerolotych cegieł co ściana, którą piraci zostawili za sobą. W innych rzędy złotych cegieł ułożono na przemian z rzędami srebrnych. Smiggens uznał, że te ostatnie były domami dla mniej zamożnych. Choć każdy budynek w jakiś sposób ucierpiał na skutek niszczącej działalności czasu, wiele ozdób pozostało nietkniętych. Na swój sposób były one nawet bardziej fascynujące niż same budowle.

Oślupiali przybysze ruszyli w całkowitym milczeniu srebrnym bulwarem, który rozciągał się między głównymi gmachami A lej a dochodziła do okrągłego ronda, pokrytego rysunkami i złotą mozaiką; na jej końcu stała najokazalsza chyba budowla w tej zagubionej dolinie.

Przód świątyni ozdobiony był misternymi rzeźbami; filary pokryto reliefem składającym się z mnóstwa drobnych fragmentów. Wiele z tych płaskorzeźb przedstawiało ludzi oraz rozmaite małe i duże stworzenia, których piraci najczęściej nie potrafili rozpoznać. Smiggens pierwszy odkrył, że kilka rzeźb przypomina stwory spotkane przez nich wcześniej, a także uwięzione zwierzęta.

Każdy z filarów wyciosany był ze zwartego bloku malachitu. Płaskorzeźby pokrywające filary były inkrustowane ametystami, cytrynami, chryzoprazami i turkusami. Poprzeczne belki z lazurytu, podtrzymujące dach ganku, miały tak ciemnoniebieską barwę, że wydawały się niemal czarne.

Załoga „Kondora” składała się z prostych ludzi. Wybrana droga życiowa tylko częściowo wpłynęła na zmianę ich gustów. Tu zetknęli się z bogactwem przechodzącym ich wyobrażenia.

– I pomyśleć – wymamrotał O’Connor – że wszystko, czego chciałem zawsze od życia, to mieć porządną dom w Dublinie.

– Co tak skromnie? – Suarez stał obok, gapiąc się na inkrustowane kolumny. – Kup cały Dublin.

Złote ściany w głębi podpartego kolumnami ganku wyłożone były dużymi płytami jaspisu, agatu, krwawnika i opalu, rzeźbionymi tak głęboko jak powierzchnie filarów.

Zza jednego z nich wyszedł uśmiechnięty Watford.

– I co o tym myślicie, chłopcy? Według mnie pałac Buckingham to szopa w porównaniu z tym większym domkiem.

Blackstrap powiódł spojrzeniem ponad głową energicznego żeglarza. Płaszczyzny półprzeźroczystego jadeitu umieszczone na suficie przepuszczały światło do wnętrza ganku, okna budowli zaś stanowiły okrągłe otwory wypełnione nieskazitelnie czystym górskim kryształem.

– Z tego, co tu jest, przypadnie ci w udziale dodatkowa część, panie Watford. Co do mnie, mam teraz większe ambicje. Nie kupię sobie hrabstwa, ale raczej cały kraj. Gdybyś słyszał o jakimś na sprzedaż, panie Smiggens, daj mi znać. Może kupisz sobie też jakieś państwko obok i będziemy sąsiadami.

Wspięli się na ostatnie stopnie złotych schodów ozdobionych polerowanym onyksem i znaleźli się przed drzwiami wysokimi na dziesięć stóp. Były one wyciosane z najczystszej różowego kwarcu i wyłożone rubinami, szafirami i perłami. Oszołomieni znalezionym bogactwem naparli na przeszkodę. Drzwi rozchyliły się, otwierając im drogę do świątyni.

Choć wnętrze wykończone było tymi samymi drogocennymi minerałami, sprawiało wrażenie zaskakująco skromnego. Poza kilkoma rzadko rozsianymi rzeźbami, główna sala świeciła pustką. Podłogę pokrywała mozaika przedstawiająca życie zwierząt. Wszyscy poza Smiggensem zgodnie uznali te sceny za niezrozumiałe i przerażające, Daleko więcej komentarzy sprowokował sam surowiec. Poszczególne fragmenty mozaiki wykonane były z odpowiednio barwionych kamieni półszlachetnych.

Przyglądając się uważnie podłódze Smiggens nie zwrócił uwagi na odgłos cichych kroków na gładkiej posadzce.

Myślę., że to może przedstawiać historię nie tylko tego kraju, ale życia na ziemi – ogłosił.

– Daj spokój, panie Smiggens. – Johanssen również przyglądał się z uwagą pięknie zdobionej powierzchni podłogi. – Nie widzę tu potopu, więc to wszystko nie może być niczym innym, jak tylko wytworem czyjejs fantazji.

Smiggens wolał nie odpowiadać. Był przekonany, że jedyny wśród tych ludzi wie cokolwiek na temat ostatnich dzieł dwóch nieustraszonych Anglików, Darwina i Wallace’a.

– Zobacz, jak potracili głowy – szepnęła do swego towarzysza życia Shremaza. – Są zupełnie obłąkani, choć nie mam pojęcia, z jakiego powodu.

– Może o nas zapomną. – Hisaulka nie interesowało wspaniałe otoczenie. – Nie podoba mi się to miejsce. Zimno tu.

Piraci chyba też to zauważyli. Zbliżał się zachód słońca i nikt nie palił się do spędzenia nocy w tej wiekowej, tajemniczej świątyni.

Wróciwszy tą samą drogą, którą przyszli, opuścili wnętrze budowli przez różowe wrota i zajęli się wydłubywaniem cennych klejnotów z reliefów i rzeźb, używając do tego celu noży i szabli.

Zanim zapadła ciemność, na złotym ganku płonął już wesoło ogień rozpalony przez Smiggensa. Copperhead zdołał uezierać pełen kapelusz wspaniałych szmaragdów. Thomas zaczął wygrywać na dudach karaibską gige, inny pirat zaś, upojony bogactwem, dał popis tańca dla swych kamratów, rzucając im garście klejnotów, jak arabski bogacz rozdający jałmużnę wśród biednych. Zanosząc się od śmiechu mężczyźni chwyтали od niechcienia te dary, które w porównaniu z otaczającą ich fortuną były ładnymi, lecz niezbyt wartościowymi drobiazgami.

Przeżuwając suchy wieczorny posiłek, który tym razem nie wydawał im się tak zupełnie pozbawiony smaku, piraci dzielili się z kompanami swymi marzeniami, przy czym każdy starał się pobić na głowę innych, opisując co robi ze swym świeżo zdobytym bogactwem, Thomas i Andreas

dla zabawy wydlubali cegły ze ściany świątyni i zbudowali z nich szczerozłote obramowanie wokół ogniska rozpalonego przez pierwszego oficera. Ze znalezieniem strawy dla ognia nie było trudności. Suche i gotowe do zbierania gałęzie i badyle wały się wszędzie dookoła. Pewnie spadły lub zostały zdmuchnięte wiatrem z krawędzi kanionu.

Nie widząc powodu, dla którego miałyby dalej oszczędzać, Blackstrap wielkodusznie rozkazał Smiggensowi, by otworzył mały gąsiorek leczniczego grogu i odmierzył porcję każdemu. Jego ilość była zbyt skąpa, by się upić, lecz w sam raz, by jeszcze bardziej rozweselić mocno już podniesionych na duchu korsarzy. Ruskin wyciągnął drumlę i wkrótce jej metaliczne brząkanie zmieszało się z dźwiękiem dudów Thomasa, po czym na ganku świątyni zabrzmiały wesołe melodie w chóralnym wykonaniu żeglarza i szczura lądowego. Blackstrap nie miał nawet nic przeciwko temu, by kilku towarzyszy uczciło wspólny sukces salwą z karabinów.

– Tańczą paskudnie. – Shremaza obserwowała potykających się i zataczających ludzi. – Nie mogliby wziąć udziału w żadnym festiwalu.

– Słyszę fajerwerki, ale widzę tylko błyski. – Tryli zaczęła wiercić się obok matki. – A gdzie się podziały piękne kolory?

Hisaulk przyjrzał się jednemu z ludzi, celującemu z karabinu w niebo, żeby następnie strzelać w górę raz za razem.

– Te wystrzały są głośne, owszem, ale to nie fajerwerki, które znamy. Pochodzą wprawdzie z długiej rury, tak jak powinny, lecz są pozbawione kolorów. Tak samo jak życie tych ludzi.

Pięknotka, jak zwykle, nie zwracała uwagi na rodzinną dyskusję. Nawet gdyby biegle władała językiem strutich, nie miałaby ochoty w niej uczestniczyć. Huki i błyski ludzkich zabawek też mało ją obchodziły.

Guimaraes nie oddałby się zapewne tak ochoczo i całym sercem świętowaniu, gdyby wiedział, że każdy jego ruch śledzi uważnie para płonących, żółtych oczu.

XVII

Od godziny z gardła Bystrookiego wydobywały się odgłosy przypominające grzmoty zwiastujące nadciągający sztorm. Will wiedział, że tyranozaur jest zbity z tropu i zawiedziony.

Większą część poranka spędzili, wędrując bez celu przez tropikalny las. Zapach intruzów ulotnił się w końcu i stał się nie do wykrycia nawet dla wielkich drapieżników. Kilkakrotnie mocno padało i szlak poprzecinany był małymi strumykami. Will i tak był zaskoczony, że ofiarne tyranozaurowi aż tak długo potrafiły wyczuwać woń tropionych.

Ze swej wysokiej grzędy na szczycie wielkiej głowy spojrzął w dół.

– Co on mówi? – zapytał tłumacza.

Tkwiący bezpiecznie, jeśli nawet niewygodnie, w uścisku Kolczatki Chaz wierzgnął nogami i usiłował odwrócić głowę.

– Myślisz, Willu Denisonie, że nie mam nic lepszego do roboty, tylko dyndać tutaj i tłumaczyć, bo tobie się akurat tak podoba?

– A masz? – Will czekał na odpowiedź. Protoceratops trochę się zawstydził.

– No, dobrze już... Może masz rację... Bystrooki mówi, że zgubiliśmy ślad. Czas i opady sprawiły, że zapach stał się zbyt słaby, by mogły go wyczuć. Nie wiedzą, którędy iść.

Will zastanowił się. Byli w impasie.

– Chyba najlepiej byłoby iść dalej na wschód, mając góry po lewej stronie – zaproponował. – Tak ja bym zrobił, gdybym był tu obcy i poszukiwał wyjścia z doliny.

– Może ty byś tak zrobił, ale znasz przecież niebezpieczeństwa czyhające w Deszczowej Dolinie. Tamci intruzi nie mają o nich pojęcia. Kto wie, czy nie przecinają doliny, kierując siana południe? – Protoceratops wyglądał w uścisku pani tyranozaur jak gigantyczna kijanka.

– Przez całe dwa dni ich ślad prowadził wzdłuż podgórze i od chwili, gdy podjęli go nasi przyjaciele, ani razu nie oddalał się zbyt od gór. Czy nie słuszniej jest zakładać, że przedzierają się w tym samym kierunku, niż sądzić, że nagle zmienili trasę?

Usadowiona wygodnie na karku Kolczatki Keelk zaszczebiotała do nich. Choć jej słowa adresowane były do Chaza, który jako jedyny z kompanów rozumiał mowę strutich, spojrzenie utkwiła w Willu. Will pomyślał, że Keelk ma piękne oczy. Jak wszystkie struli.

– Ona chce wiedzieć, o co chodzi. Dlaczego się wahamy. – Chaz potrzebował pomocy swego człowieczego przyjaciela. – Nie wiem, co mam jej odpowiedzieć.

– Powiedz jej prawdę – odrzekł Will.

Gdy tylko Chaz skończył wyjaśnienia, wtrąciła się Kolczatka, wydając szereg donośnych, dudniących odgłosów. Protoceratops przetłumaczył.

– Mówi, że byłoby lepiej, gdybyśmy znaleźli jej córkę w dobrym zdrowiu. – Chaz wzdrygnął się lekko. – Też tak sądzę. Nie życzę sobie oglądać czegoś takiego, jak Tyrannosaurus rex podczas ataku wściekłej furii.

– Ani ja. – Przesuwając się na siedzeniu po gładkiej skórze czaszki swego wierzchowca Will popatrzył w dół. – Musimy jakoś odnaleźć ślad. Rozglądam się za odciskami stóp i połamanymi gałęziami.

– Odciski stóp pomogłyby nam – przyznał Chaz. – Ale co do gałęzi, to nie tylko ludzie je łamią. Inne stworzenia też.

– Tak, to prawda – Will był nieco zbity z tropu. – Pamiętaj, że to dla mnie coś nowego. Jestem przyzwyczajony do szukania znaków z dużo większych wysokości. – Przesunął się w drugą stronę. –

Tak liczna grupa musiała przecież pozostawić po sobie jakieś ślady.

Chaz przetłumaczył to Keelk, a potem przełożył jej odpowiedź:

– Ona mówi, że ziemia jest zbyt wilgotna i zbyt miękka. Nie wiem, jak mamy...

Jego słowa przerwał nagle długi, donośny dźwięk. Rozbrzmiał wśród drzew i odbił się echem od stromej ściany pobliskiego urwiska. Po nim dał się słyszeć następny, i jeszcze jeden.

– Osobliwy rodzaj grzmotu – zauważył Chaz. Kolczatka ryknęła niecierpliwie.

– Powiedz jej, że to nie grzmot. – Will był podniecony i jednocześnie zaniepokojony. Podniecony, bo teraz już wiedział, w którą stronę mają iść. Zaniepokojony zaś, bo bał się, co zastaną u celu.

Niewielu ludzi miałoby odwagę stać na szczycie głowy tyranozaura i przysłaniając ręką oczy przyglądać się okolicy, ale Will zdobył się na to. Nie obawiając się dużych wysokości, miał ponadto wspaniale rozwinięty zmysł równowagi. Gdy wpatrywał się w rozległy podzwrotnikowy las, próbując przeniknąć wzrokiem gąszcz drzew, nagły huk rozległ się ponownie. Głowa długości pięciu stóp drgnęła nieznacznie pod jego nogami, aż musiał wyciągnąć w bok ramiona w celu utrzymania równowagi.

– Bystrooki chce wiedzieć, co to takiego? – wyjaśnił Chaz. – Jeśli mam być szczery, ja też.

– To ogień z broni palnej! Strzały karabinowe!

– A co to jest broń palna i strzały karabinowe? – Poza historykami nikt w Dinotopii nie znał takiej broni i jej przeznaczenia.

Will dobrze się zastanowił, zanim odpowiedział. Dwa tyranozaurowy były już wystarczająco rozdrażnione.

– Fajerwerki – oznajmił.

Unieruchomiony w haniebnej pozycji tłumacz spróbował spojrzeć na Willa, ale mu się nie udało.

– Po co ludzie, których szukamy, czy ktokolwiek inny miałby wystrzeliwać fajerwerki w głębi Deszczowej Doliny?

– A skąd mam to wiedzieć? – odparł szybko Will. – Może coś świętują.

Proszę cię, Boże, niech się okaże, że strzelają na wiwat, pomyślał trwożliwie, a nie do swoich jeńców.

Wolał sobie nie wyobrazać, co by się stało, gdyby po spotkaniu intruzów okazało się, że zranili młodą Pięknotkę albo zrobili coś jeszcze gorszego. Gdyby tak się zdarzyło, słowa współczucia nie wystarczyłyby, żeby uspokoić rozjuszony tyranozaurowy. Dobrze o tym wiedział. Pamiętając o zawartym układzie, aż nadto dobrze zdawał sobie sprawę z potęgi stworzenia, na którego głowie teraz stał.

Wiedział również, że mogliby uniknąć przykrej ewentualności, wymykając się przy pierwszej nadarzającej się okazji. Gdyby znaleźli drogę na górę lub skalną szczelinę, to może udałoby się przeczekać, aż oszukane drapieżniki zrezygnują i odejdą. Ale nie zrobią tego, no bo cóż... dał słowo. W Dinotopii nie miało znaczenia, komu się coś przyrzekło. Słowo dane człowiekowi czy dinozaurowy liczyło się tak samo. W społeczeństwie funkcjonującym w oparciu o handel wymienny miało to wartość oficjalnego kontraktu. Oczywiście tyranozaurowy nie były cywilizowane i formalnie nie obowiązywały w stosunku do nich takie zasady. Ale on był cywilizowany.

Will powrócił do pozycji siedzącej i wskazał lewą ręką na północny wschód. W tamtym kierunku nie prowadził żaden szlak, ale to nie stanowiło problemu. Tyranozaurowy torowały sobie drogę, gdzie chciały.

– Powiedz im, żeby kierowały się w stronę dźwięku. On wskazuje miejsce pobytu intruzów.

– Zatem musimy być dość blisko. – Chaz pośpiesznie przetłumaczył słowa Willa tyranozaurowy.

Will pochylił się i szturchnął swojego wierzchowca w górną wargę. Żółte oko spojrzało w górę. Zobaczył w nim swe odbicie.

– Tamtędy. – ponownie wskazał kierunek, – Ci, których szukamy, są tam.

Olbrzym nie czekał, aż Chaz skończy swoje zwięzłe tłumaczenie. Pochylił się i ruszył przed siebie, warcząc złowrogo na wszelki wypadek. Przeszedłszy do biegu, dwa kolosy bez trudu torowały sobie drogę przez las, przeganiając chmary mniejszych stworzeń ze swego szlaku. Will uchwycił się dwóch wyrostków nad oczami tyranozaura i utkwił wzrok w rozkołysanej scenerii rozciągającej się przed nim. Olbrzymy pędziły teraz co sił w nogach. Szybkość zapierała dech w piersiach.

Wili wiedział, że gdyby zsunął się ze swego siedzenia i spadł, straciłby o wiele więcej niż oddech.

Z prawej strony słyszał świergoczącą zachęcająco Keelk. Wyglądało na to, że nie ma żadnych problemów z utrzymaniem się na karku Kolczatki. Poniżej Chaz wygłaszał swoją nie kończącą się litanię skarg, na które pani tyranozaur jak zwykle nie zwracała uwagi.

Stado rajskich ptaków poderwało się nagle z małego, ale gęstego drzewka tuż przed nimi. Drzewo zniknęło pod brzuchem Bystrookiego, po czym wystrzeliło z powrotem w górę, gdy tylko się nad nim przetoczył. Z lewej strony widoczne były Góry Grzbietowe. Zdawały się przyzywać Willa. Miał nadzieję, że wkrótce znów znajdzie się w domu, w ich chłodnym otoczeniu.

Ale najpierw miał do przeprowadzenia akcję ratowniczą.

Kiedy żwir i skaliste podłoże zastąpiły miękką glebę, las przerzedził się. Tyranozaurowi musiały w końcu zwolnić bieg, gdy dotarły do stromych ścian z szarego granitu. Pochyliły się ku ziemi i zaczęły energicznie węszyć. Ich wielkie łby poruszały się metodycznie z boku na bok. Kolczatka podeszła bliżej. Przysuwając pysk do Willa parsknęła kilka razy. Od jej oddechu żołądek podjechał mu do gardła, zmusił się jednak do uprzejmego uśmiechu. Zaniepokojona Keelk wyjrzała zza szyi tyranozaura.

– Co... co ona mówi?

Chaz podniósł na niego wzrok.

– Odnalazły na nowo ślad.

W chwilę później znaleźli się przed wejściem do wąskiego kanionu i stanęli. Znaleźli potwierdzenie, że posuwają się właściwym tropem: setki odcisków stóp zachodziły wzajemnie na siebie, odcisnięte w piasku i na skale. Wiele z nich należało wprawdzie do miejscowych dinozaurów, lecz wśród śladów wystarczająco wyraźne były kształty butów. Z trudem panując nad niecierpliwością, Bystrooki i Kolczatka wkroczyli do zaciemnionej rozpadliny.

Wkrótce kogoś spotkali. Nie byli to ani ludzie, ani członkowie rodziny Keelk, ani nawet zaginiona córka tyranozaurów. Na widok przybyszy trzy przestraszone spinozaury zakręciły się niespokojnie. Ich początkowo wyzywające parsknięcia szybko ustąpiły miejsca panice i desperacji, gdy ujrzały, kto podąża za nimi kanionem. Nie mając dokąd uciekać, zaczęły drapać pazurami ścianę i przepychać się rozpaczliwej próbie przeciśnięcia się przez coraz węższe przejście.

Rozwierając masywne szczęki Bystrooki ryknął własne wyzwanie, powtórzone natychmiast przez jego towarzyszkę życia. Spotęgowało to jedynie panikę spinozaurów i Will przyłapał się na tym, że wręcz im współczuje.

Jeden z mniejszych, ozdobionych żaglami drapieźników opadł na brzuch i położył łeb na ziemi. Dwa pozostałe szybko poszły w jego ślady, powtarzając ten gest, oznaczający absolutną uległość. Wszystkie trzy leżały teraz plackiem, a ich kolorowe żagle kołysały się lekko na boki. W ten sposób zostało zażegnane niebezpieczeństwo wybuchu krwawego konfliktu między władcami Deszczowej

Doliny.

Na wpeł czołgając się, na wpeł drepcząc spinozaury zaczęły prześlizgiwać się bokiem, przywierając tak mocno, jak to tylko było możliwe, do południowej ściany rozpadliny. Bystrooki i Kolczatka, udobruchane, cofnęły się pod przeciwległą ścianę, pozwalając przemieścić się pełnym szacunku mniejszym kuzynom.

– Powiedz im, żeby się zatrzymały i zapytaj, czy coś wiedzą – odezwał się nagle Will pod adresem Chaza.

Protoceratops spojrział w górę. – Co?! Ja?! – pisnął. Will nie mógł powstrzymać uśmiechu.

– Czego się obawiasz? Myślisz, że się, obrażą?

– Wolałbym nie rozwodzić się nad tym, co się może zdarzyć, a co nie. – Odwracając się do służalczych spinozaurów Chaz przemówił w ich języku. Nie musiał tłumaczyć tego tyranozaurom, bo ich dialekt był wystarczająco zbliżony do mowy mniejszych drapieżników, by mogły zrozumieć kuzynów.

– Mówią, że ściagały dużą grupę ludzi aż do miejsca, w którym kanion stał się tak wąski, że nie mogły się dalej precisnąć. Ludzie mieli ze sobą czwórkę strutich i młodego tyranozaura, wszystkich związanych linami. To ich zastanowiło, ale nie spowodowało przerwania pościgu. Łatwy posiłek jest dla mięsożernego drapieżnika nie do pogardzenia.

Will był zadowolony.

– Powiedz im, że mogą odejść.

Jakby dla potwierdzenia jego słów, Bystrooki zrobił ociężały krok w kierunku mniejszych mięsożerców i opuścił dolną szczękę, wydając najgłośniejszy syk, jaki Will kiedykolwiek słyszał. Brzmiał tak, jakby wydał go wąż co najmniej sto stóp długi.

W pośpiesznej ucieczce dwa spinozaury wpadły na znajdującą się za nimi ścianę. Okładając się wzajemnie żaglami przepchnęły się wściekle do wylotu kanionu. Kolczatka pożegnała je szyderczym parsknięciem, po czym odwróciła się, by wraz ze swym towarzyszem zbadać wzrokiem teren rozciągający się przed nimi.

Niewidoczne słońce zachodziło. Noc zapadała szybciej w czeluściach kanionu niż na otwartej przestrzeni. Mimo niedostatku światła Will widział wyraźnie odciski butów wielu stóp pozostawione na piasku, a także ślady jeńców i rozdrażnionych spinozaurów.

– Powiedz im, żeby szły ostrożnie – polecił Will protoceratopsowi. – Wiemy tylko, że ci ludzie mają broń palną, ale nie wiemy, ile jej jest i jakiego kalibru.

Chaz przekazał tę informację wierzchowcom. W odpowiedzi Bystrooki warknął krótko.

– Nie robi to na nich wrażenia. Will rozważył to, co usłyszał.

– Nie dziwię się. Pewnie dlatego, że one nie wiedzą, co to broń. – Razem z Chazem zaczęli głośno rozważać nową sytuację. Tyranozaurowi tymczasem nieprzerwanie, choć powoli posuwały się w głąb kanionu, który niebawem stał się tak wąski, że musiały iść gęsiego.

– Myślę, że zachowałyby się tak samo nawet znając broń palną – powiedział krępy tłumacz. – Dla nich ważne jest tylko to, że gdzieś tam, przed nami jest uwięzione ich dziecko. Żaden ludzki wynalazek nie powstrzyma ich przed dotarciem do niego.

Wkrótce jednak napotkali przeszkodę, której nie mógł pokonać nawet dorosły tyranozaur: to samo wąskie gardło, które pokrzyżowało plany spinozaurom. Gdy przyglądali się zaporze, w oddali huknęła salwa. Will obawiał się, że i tak mocno zdenerwowane tyranozaurowi dostaną szału.

– Spokojnie, spokojnie... – Zastanawiając się, czy Bystrooki w ogóle poczuje to dotknięcie.. Will pochylił się i pogłodził go po pysku. Nie miał pojęcia, czy to pomogło, ale w każdym razie olbrzym się uspokoił. Echo wystrzałów ucichło po chwili.

Chaz przetłumaczył teraz opinie Keelk:

– Ona mówi, że musimy już być bardzo blisko.

– Też tak sędzę, choć echo w kanionie może być mylące. Podniebni jeźdźcy uczą się tego od początku.

– Czy tam na prawo widać łunę na niebie? – Chaz wskazałby kierunek, gdyby nie był w tak niewygodnej pozycji.

Ale to nie miało znaczenia. Gdy zrobiło się jeszcze ciemniej, Will sam zauważył blask.

– Ktoś pali ognisko. Duże ognisko.

Mam nadzieję, że nie po to, by coś ugotować, pomyślał ponuro. A głośniejszym głosem powiedział:

– Są gdzieś przed nami. W porządku.

Wydawszy pomruk pełen zawodu Kolczatka zaczęła wgryzać się w blokującą drogę skałę. Jej przypominające szable zęby zostawiały na surowym kamieniu całowej szerokości wgłębienia. Ale nawet ona nie mogła utorować sobie drogi do córki.

– Nie mogą dalej iść stwierdził Chaz.

– Przecież widzę – odrzekł głęboko zamyślony Will. – Powstaje pytanie, co teraz zrobimy?

Doszedłszy do tego samego wniosku co jej przyjaciele, Keek postanowiła nie wdawać się w dyskusję na temat ich następnego posunięcia. Ostrożnie zeszła z karku Kolczatki i znalazła się na ziemi. Zwężenie kanionu mogło uniemożliwić dalszy marsz tyranozaurom, ale nie mogło zatrzymać jej. Nawet gdyby dalej musiała iść sama.

Kilkoma susami ruszyła przed siebie po miękkim, piaszczystym podłożu, po czym zatrzymała się po przebyciu dziesięciu jardów, pohukując przyzywająco na swych towarzyszy i zachęcając ich ponagląjącym gestem zakończonej pazurami przedniej łapy

– Chyba nie możemy iść sami? – Chaz wiercił się niespokojnie w uścisku Kolczatki. – Im bliżej podejdziemy, tym bardziej irracjonalne może się okazać zachowanie tych intruzów.

– Nie mamy wyboru. Daliśmy słowo. – Pochylając się w lewo Will napotkał spojrzenie Bystrookiego i pokazał palcem w dół. – Nie martw się. Odzyskamy twoją córkę. Jakoś musi się nam udać.

Wielki drapieжник chrząknął coś w odpowiedzi. Nie rozumiał ludzkiej mowy, ale ton głosu i gesty młodego człowieka były dla niego wystarczająco czytelne. Kucając opuścił powoli głowę, by jego pasażer mógł z niej łatwo zejść.

Zeskakując na ziemię Will znalazł się obok Chaza, którego delikatnie postawiła na twardym gruncie Kolczatka. Nawet leżąc na piasku, łeb tyranozaura sięgał Willowi do piersi. Gdy tylko olbrzym pozbył się pasażera, podniósł się i wyprostował. Will odwrócił się i spojrzał na obydwu osobniki.

– Powiedz im, że obiecuję zrobić wszystko co tylko można, by przyprawić z powrotem ich córkę całą i zdrową. Ale by tego dokonać, musimy dalej iść sami. Wszyscy wiemy, że one już się głębiej nie przedostaną. Skoro spinozaury nie mogły przecisnąć się przez to zwężenie, to one tym bardziej.

– Myślę, że dobrze o tym wiedzą – odparł protoceratops. – Mimo wszystko powiedz im.

Chaz zjeżył się.

– Nie mów mi, co mam robić. Nikt cię nie wybierał na szefa tej ekspedycji. – Stojąca na przedzie Keelk przywoływała ich niecierpliwie. – Mimo wszystko chyba im powiem.

Will z trudem powstrzymał uśmiech.

– Dobry pomysł.

Czekał cierpliwie, aż protoceratops wszystko przetłumaczy. Gdy tylko krępy czworonóg

skończył, masywna głowa szturchnęła go lekko, lecz zdecydowanie.

– Już dobrze, dobrze... idę! Nie bądź taki niecierpliwy!

– A czego się spodziewałeś? – zapytał Chaz. – On jest tyranozaur. I gdybym był na twoim miejscu, odpowiadałbym mu grzeczniej.

Will przyjrzał się Bystrookiemu, który mógłby połknąć go jednym kłapięciem szczęk i jeszcze miałby gdzie pomieścić spory kawałek Chaza.

– Oni są w porządku. Mają tylko swój własny kodeks postępowania. I niepokoją się o córkę.

– Całe szczęście... – mruknął mały protoceratops, odsuwając się chyłkiem od Kolczatki. – Dopóki martwią się o nią, nie pomyślą o jedzeniu. Keelk podniosła nagle głos, odwróciła się i znów przebiegła kilka jardów w głąb kanionu. Jej zamiar był jasny. Gdyby nie przyłączyli się do niej, pobięłaby dalej sama.

Will uniósł prawą dłoń w stronę tyranozaurów w tradycyjnym geście pożegnania.

– Spróbujcie się nie martwić. Wrócimy z waszą córką tak szybko, jak tylko się da. – W zapadających ciemnościach żółte ślepie tyranozaurów świeciły jak latarnie. Odwrócił się i pobięł za Keelk.

Za jego plecami powietrze wypełnił nagle dziwaczny, przeraźliwy dźwięk, brzmiący jak lament. Will jako chłopiec słyszał kiedyś coś podobnego w wykonaniu chóru operowego oplakującego śmierć bohaterki. Ale żaden ludzki głos nie był zdolny osiągnąć aż tak niskiego rejestru.

Para tyranozaurów zawodziła melancholijnie, dopóki nie zniknęła z oczu Willowi i jego przyjaciółom.

– O co im chodziło? – zapytał, gdy pokonali zakręt wąskiego kanionu. Od pewnego czasu nie było już słycać wystrzałów, lecz Will był przekonany, że potrafi znaleźć miejsce, z którego dochodziły. Teraz należało się zacząć zastanawiać, co potem.

Chaz bez trudu dotrzymywał kroku pozostałej dwójce. Twarde, ukośnie ścięte poduszki jego stóp o wiele lepiej nadawały się do biegania po piasku niż do pokonywania nierówności w podzwrotnikowym lesie.

– Rozpaczały, że nie mogą nam towarzyszyć. A prócz tego uczyniły nas właśnie honorowymi członkami swojego plemienia. Każde z nas otrzymało nowe imię.

Wskazał na Keelk, która podążała na przedzie.

– Ona teraz nazywa się Pokonująca Skały. To z powodu jej zdecydowania. – Przetłumaczył to struli, która odpowiedziała zdziwionym, lecz zadowolonym szebiotem. Wydłużając krok Will zrównał się z nią i przyjaźnie klepnął w lewy bok.

Chaz zaczynał lekko sapać, ale nic nie wskazywało na to, by zamierzał zwolnić. Odezwał się zarożumiałym tonem:

– Ja jestem Zabijający Słowami. Will uśmiechnął się szeroko.

– Bardzo odpowiednie imię. – Pod nogami, mimo mroku, wciąż widział wyraźnie ślady stóp, których tropem podążali. – A co ze mną?

– Z tobą? – W głosie protoceratopsa można było wyczuć nutkę rozbawienia. – Ty jesteś Kapelusz.

– Kapelusz? I to wszystko? Po prostu Kapelusz? – A czego się spodziewałeś po podróży, którą odbyłeś na głowie tamtego osobnika?

– Tak zwyczajnie, Kapelusz? – Willowi zrzęła mina. – Keelk jest Pokonująca Skały, ty Zabijający Słowami, a ja po prostu Kapelusz? – Zmrużył oczy, przyglądając się uważnie swemu towarzyszowi. – Zaraz, zaraz... Czy aby na pewno powiedziałaś mi wszystko?

Z gardła tłumacza wydobył się skrzek. U protoceratopsów tak brzmiał śmiech.

– Niech pomyślę... Hm... być może „kapelusz” nie jest zbyt poprawnym tłumaczeniem...

– Tak myślałem! – Will uśmiechnął się szeroko patrząc w dół na serdelkowatego dinozaura. –

Ty mały... No, już dobrze. Więc jak naprawdę brzmi moje nowe imię?

Z tonu głosu przyjaciela wywnioskował, że tym razem mówi poważnie:

– Zwalczający Lęk.

– Zwalczający Lęk – powtórzył Will – Może drapieżniki nie są tak głupie, jak sądzimy

– One w ogóle nie są głupie. – Chaz bez trudu pokonał małą wydnię. – One tylko wolą surową formę anarchii od cywilizacji. Dzięki temu są zupełnie aspołeczne, ale na pewno nie głupie. –

Zamilkł na dłużej. Przez ten czas pokonali sporą część drogi.

– Wiesz, Will, spotkał nas wielki i rzadki zaszczyt. Nie znam nikogo, nawet spośród cieszących się szacunkiem przewodników konwojów, komu nadano by imię plemienia tyranozaurów. Wiedziałem, że coś takiego się zdarzało, słyszałem różne historie na ten temat, ale nie spotkałem nikogo, kto naprawdę dostąpiłby tego zaszczytu.

– Możesz mnie nauczyć wymawiania mego plemiennego imienia w ich języku?

– To niełatwe. Musisz wydobyć z siebie jak najgłębszy głos, a to powoduje ból w środku krtani.

– Mimo wszystko powiedz mi.

Chaz przystąpił do instruktazu. Will powtarza! za nim pomruki składające się ze spółgłosek, aż w końcu tłumacz zapewnił go, że zrobił to dobrze. No... może prawie dobrze.

– Można by rzec – zarechotał protoceratops – że zgodnie z tym, co oznacza w waszym języku twoje imię, masz dobre chęci, tylko brak ci dobrych strun głosowych, Will przełknął ślinę. – Miałeś rację. Wymawianie tego sprawia ból. Wątpię, czy kiedykolwiek uda mi się to poprawnie wyartykułować, ale z drugiej strony.. nigdy przecież nie zostanę tyranozaurom.

– Co najwyżej w snach – zapewnił go Chaz.

Will spojrział w niebo. Mieli szczęście, że zza ciężkiej warstwy chmur w ogóle docierało do nich światło księżyca.

– Nie możemy zwlekać, wiesz o tym. Będziemy musieli coś wymyślić, i to zaraz. Zanim uderzy sztorm. To nie byłoby najlepsze miejsce na przeczekanie burzy.

– Z pewnością nie. Kanion łatwo zamieniłby się w rwącą rzekę, sięgającą powyżej głów. Nawet waszych.

Przetłumaczył to Keelk, która odpowiedziała energicznym pohukiwaniem.

– Co ona powiedziała? – zapytał Will.

– Nie przejmuj się pogodą – poinformował go Chaz. – Nie obchodzi jej nic poza ratowaniem rodziny.

– Dokonamy tego. – Był zdziwiony, że odczuwa taką pewność siebie. Zważywszy, czego dowiedzieli się o intruzach, nie była ona niczym uzasadniona. Ale tak się właśnie czuł.

– Lepiej, żeby tak było. – Chaz rozrzucił kopnięciem piasek. – Bo i a nie zamierzam wrócić tam, skąd przyszliśmy, i powiedzieć tamtym dwóm tyranozaurom, że nam się nie powiodło.

– Głowa do góry – pocieszył go Will. – Robimy coś godnego szacunku. Coś wysoce etycznego.

– Może i tak, ale mimo wszystko wolałbym teraz leżeć na czystym posłaniu ze słomy w cieplej stajni w Mieście Drzew.

– A ja to co? Myślisz, że gdzie wolałbym być? Protoceratops podniósł wzrok na swego przebiegłego przyjaciela i obrzucił go taksującym spojrzeniem.

– Jesteś dziwnym typem, Willu Denison, nawet jak na rozbitka. Podejrzewam, że nie chciałbyś się znajdować w żadnym innym miejscu niż to, w którym właśnie jesteś.

– Och... chyba zbyt pochopnie mnie oceniłeś, nie uważasz? Nie sądzisz, że wolałbym... – Will urwał nagle.

Istniało duże prawdopodobieństwo, że spostrzeżenie protoceratopsa było trafne.

Wyglądało na to, że przebyli już szmat drogi w głąb kanionu, gdy nagle Keelk, zdecydowana spenetrować wylot każdej odnogi rozpadliny, przywołała ich energicznie. Człowiek, protoceratops i struti zbili się w gromadkę, by przyjrzeć się temu, na co natrafiła. Chaz z uznaniem pokiwał głową, klekocząc w zamyśleniu podobnym do dzioba pyskiem. O pomyłce nie mogło być mowy. Mieli przed sobą całe mnóstwo śladów stóp,

– Ona mówi, że tutaj skręcili. Uważam, że ma całkowitą rację. Will zmarszczył brwi, wyprostował się i spojrział w czeluść piaszczystego odgałęzienia.

– Ciekawe dlaczego? – Rzucił okiem w lewo. – To jest przecież najwyraźniej główny kanion i prawdopodobnie droga wiodąca przez góry. Po co mieliby tu skręcać.

– Mam nadzieję, że się tego dowiemy. – Chaz zaświergotał płynnie do sthruthiomimus. Energicznie potrząsnęła głową i odwróciła się, znowu ruszając przodem.

– Co jej powiedziałaś?

– Że ma lepszy węch od nas obu i jeśli zrobi się zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec, najlepiej zrobimy zdając się na nią.

Will zgodził się z tym. Ponieważ od dawna nie było słyhać strzałów, nie mogli tropić intruzów idąc za dźwiękiem.

Po niedługim czasie dotarli do starożytnego muru, w którym brakowało wrót. Blask ogniska piratów był coraz lepiej widoczny na nocnym niebie, więc zaczęli posuwać się niezmiernie ostrożnie.

– Już blisko – szepnął Will do swych towarzyszy. Keelk odpowiedziała cichym świstem.

Zbliżając się do ognia ujrzeli zabudowania świątyni, które zachwyciły ich swym pięknem. Nawet ciemność nie była w stanie go przyćmić, Keelk pierwsza dostrzegła straż. Schyliła głowę i wyciągnęła ramię, by powstrzymać Willa.

Szczęśliwie dla nich, gorliwość wartownika pokonało jego zmęczenie. Leżał na wznak na stosie zachłannie zebranych złotych cegieł, z rękami skrzyżowanymi na piersi, z karabinem u boku i chrapał donośnie. Pozwolili mu spokojnie odpoczywać na tym dziwnym posłaniu. Will podziwiał umiejętność Keelk poruszania się bezszelestnie na szerokich, trój palczastych stopach.

Ognisko roztaczało wokół mocny blask. Pod osłoną niskiej, wymyślnie inkrustowanej ściany bez słowa podkradli się bliżej. Z wolna unosząc głowy wyjrzeni zza przeszkody, by wreszcie zobaczyć ludzi, których od tak dawna tropili, Część piratów leżała rozwalona na srebrnym bulwarze z głowami wspartymi na złotych ceglach, inni spoczywali tam, gdzie padli, na stopniach wiodących na ganek głównej świątyni. Niektórzy przyciskali do łona swoje kupki cegieł lub worki klejnotów, wydłubanych ze ścian i filarów. Przez sen obejmowali swoje skarby namiętnie jak najukochańszą kobietę.

– Nie rozumiem... – Chaz oparł przednie łapy na ścianie. – Zobacz, jak smacznie chrapią. Co im się stało? – W tym samym momencie Keelk uniosła głowę i poczęła węszyć w powietrzu.

Will pomyślał, że nie potrzeba mieć tak czułego nosa jak struti, żeby rozpoznać tę woń.

– Są pijani – oświadczył. – Może nie za bardzo, bo zapach nie jest zbyt silny, ale wypili dość, by zmorzył ich sen. Mamy szczęście.

– Pijani. Mrrim... – Chaz zamyślił się. Kiedyś, podczas festiwalu, widział pewnego stegozaura, który wchłonał zbyt wielką ilość pobudzających spirytualiów. Osobnik ów mimowolnie, lecz bardzo szybko sprawił, że plac zabaw opustoszał. Dopadła go w końcu para oburzonych apatozaurów, ujęła

pod boki i odprowadziła w zaciszne miejsce, by wypoczął. Po przebudzeniu wspomniany stegozaur był potwornie speszony. Władze nie były tak całkiem niezadowolone, bo miały okazję wykorzystać ten przykład jako przestrożę dla obecnej na festiwalu młodzieży, zarówno ludzkiej, jak i dinozaurzej.

Całe szczęście, że zdecydowana większość sauropodów nie tyka alkoholu, przyszło protoceratopsowi do głowy. Strach pomyśleć o skutkach przechadzki pijanego, nie panującego nad sobą brachiozaura. Najwidoczniej ci intruzi mieli inne obyczaje i bynajmniej nie stronili od napojów wyskokowych.

Keelk z trudem się opanowała, wskazując z podnieceniem w lewo. Cztery znajome sylwetki i jedna obca tkwiły tam, przycupnięte i przywiązane do malachitowych filarów. One również mocno spały, choć z tamtej strony nie dolatywała woń alkoholu.

Przyglądając się dokładnie odzieży przybyszów, ich broni i różnym kolorom skóry Will! doszedł do wniosku, że jego podejrzenia od początku były słuszne, choć nie uzyskały jeszcze ostatecznego potwierdzenia.

– Ani chybi piraci.

– Piraci? Chaz spojrział na niego przeciągle.

– Morscy złodzieje. Mężczyźni, czasami również kobiety, którzy żeglują, by rabować. Atakują inne statki lub miasta i kradną, co tylko się da.

Protoceratops posępnie skinął głową, po czym zapytał niewinnie:

– Dlaczego?

– Bo łatwiej jest coś zabrać, niż zapracować na to. – Ale to bezprawie.

– Dokładnie. Ci ludzie żyją poza prawem. To pospolici przestępcy. – Przyjrzał się jeszcze raz śpiącym w rozproszeniu korsarzom. – Nie wyglądają na przegranych. Ich odzież i broń są nietknięte. Nie sądzę, by byli rozbitkami. Widocznie udało im się szczęśliwie przybić do brzegu. Czy to możliwe, by statek przedostał się poza otaczające ląd rafy?

– Zawsze słyszałem, że nie. Ale pod koniec sześćdziesięcioletniego okresu spokoju między sztormami zdarzają się podobno różne dziwne rzeczy. Choć morze to nie moja specjalność.

Protoceratops wyraźnie zadrżał na myśl o morzu. Ani nie był dobrym pływakiem, ani specjalnie nie przepadał za wodą, choć Will znał wiele dinozaurów, które bardzo lubiły przebywać w wodnym środowisku.

Keelk pohukiwała na nich cicho, ale ponaglająco.

– Wiem, wiem – szepnął w odpowiedzi Will. Niektórych rzeczy Chaz nie musiał tłumaczyć. – Widzę ich. Jakoś ich stąd wydostaniemy.

Piraci zakłócili nocną ciszę przed świątynią, chrapiąc i psując powietrze. Było ich wielu, więcej niż Will sobie wyobrażał. Każdy z mężczyzn wyglądał na zdrowego i silnego. W walce z nimi on i jego przyjaciele nie mieliby żadnych szans. Keelk mogła umknąć przed najszybszym z bandytów, bo wszystkie struti były bardzo szybkie. Ale nie szybsze od pocisku.

– Musimy spróbować podejść bliżej – usłyszał własny szept.

– Jesteś pewien? – Chaz opadł na cztery łapy. – Nie podoba mi się wygląd tych ludzi. Wcale mi się nie podoba.

– Nie szkodzi. Tak długo, dopóki ich nie obudzimy, wszystko będzie dobrze. – Wskazał w lewo. – Okrążymy więźniów i podejdziemy do nich z tyłu, trzymając się z dala od strażnika. Wtedy powinno nam się udać ich rozwiązać.

– Optymista! – wymamrotał Chaz ruszając za swymi dwunożnymi przyjaciółmi.

Plan Willa okazał się tak skuteczny, jak przewidywał jego autor. Samotny strażnik sapał głośno przez sen i nie obudził się. Wkrótce znaleźli się tak blisko więźniów, że mogli rozróżnić

poszczególne węzły krępujących ich sznurów.

– Zobacz, ile lin. – Chaz zazgrzytał szczękami. – Chyba mógłbym przegryźć te najniższe.

– To zajęłoby zbyt dużo czasu. – Will wyprostował się, by móc lepiej ocenić sytuację. – Te liny wyglądają na okrętowe. Muszą być bardzo mocne i stwardniałe. – Spojrzał na Keelk, której mały dziób i pazury również nie nadawały się do wykonania tego zadania. – Mam wrażenie, że to coś w sam raz dla mnie. Oto, w czym ludzie zawsze są najlepsi. W skomplikowanym manipulowaniu...

–...przedmiotami czy słowami? – zapytał szybko Chaz. Powiedział to jednak uprzejmym tonem, żeby go nie posądzono o złośliwość.

– Wy oboje zostańcie tutaj. – Will ruszył przed siebie, nisko pochylony,

– Co masz zamiar zrobić? – Chaz był wyraźnie zaniepokojony. Przyjaciel uśmiechnął się do mego uspokajająco, W ciemności błysnęły jego białe zęby.

– Uwolnić wszystkich, to jasne. Tak właśnie postępują bohaterowie książek.

– Może i jasne. Tylko że to nie dzieje się w książce – szepnął do Keelk Chaz w języku strutich, gdy ich towarzysz oddalił się.

Trzymając się w cieniu Will dotarł nie zauważony do trzech filarów. Mając wyjątkowo czuły słuch struti zorientowały się, że ktoś nadchodzi. Z najwyższą czujnością obserwowały zbliżającego się młodego człowieka. Nie wypowiedziały ani słowa. Uspokoił się, gdy zobaczyły jego ubranie o znajomym kroju, typowym dla mieszkańców Dinotopii.

Kładąc palec na ustach w ogólnie przyjętym geście nakazującym zachowanie ciszy. Will przycupnął za Hisaulkiem, po czym zajął się krępującymi go więzami. Dwoje dzieci nie potrzebowało instrukcji rodziców, by wiedzieć, jak należy postąpić. Udając, że nadal śpią, siedziały cichutko mimo rosnącego podniecenia.

Przywiązana w pewnej odległości od pozostałych więźniów Pięknotka wyczuła ruch i dźwięki. Otworzyła lekko jedno oko i to było wszystko, co poruszyło się w tej masie mięśni. Nie wydając głosu obserwowała, jak nowy przybysz rozwiązuje liny krępujące dorosłego sthruthiomimusa płci męskiej.

– Spokojnie... – Will wykrzywił twarz z wysiłku. Twarde, okrętowe liny okazały się tak trudne do rozwiązania, jak się tego obawiał. – Już je mam... – Na szczęście spędził dużo czasu zapoznając się z podobnymi węzłami podczas swej długiej podróży z Ameryki, która, po katastrofie statku, przywiodła ich tutaj. Jako adept sztuki podniebnego jeździectwa pogłębił jeszcze bardziej tę umiejętność.

Uwolnienie ojca rodziny strutich zajęło mu więcej czasu, niżby sobie tego życzył, ale mniej niż się obawiał. Hisaulk przeciągnął się ukradkiem uważając, by nie wykonywać zbyt szybkich i gwałtownych ruchów. Ze swej kryjówki niecierpliwie pomachała mu Keelk. Odetchnął z ulgą widząc, że jest bezpieczna i lekko skinął głową na znak, iż ją zauważył. Chociaż był już wolny i mógł się do niej przyłączyć, nie zrobił tego. Nie chciał opuszczać reszty rodziny. Zamierzał poczekać, aż wszyscy zostaną oswobodzeni. Podczas gdy rozluźniał zdrętwiałe mięśnie, Will zajął się więzami jego towarzyski życia.

Kiedy tylko ją uwolnił, natychmiast przystąpił do rozwiązywania dzieci. W otartych palcach czuł piekący ból, lecz nie przerywał swego zajęcia. Gdy w końcu wszystkich oswobodził, z przyjemnością patrzył na ponowne połączenie się całej rodziny z dawno nie widzianą córką i siostrą. Wdzięcznie wygięte szyje zaplatały się w cichym, serdecznym uścisku.

Niestety nie mógł na razie wziąć udziału w rodzinnej uroczystości. Czekąco go jeszcze rozwiązanie lin krępujących ostatniego więźnia. Podnosząc się z za malachitowego filara ruszył ku młodemu tyranozaurowi. Pięknotka była już całkowicie rozbudzona i śledziła jego ruchy płonącymi,

żółtymi ślepiami.

Był w połowie drogi do niej, gdy poczuł, że coś chwyta go za kostkę. Spoglądając w dół zobaczył ku swemu przerażeniu, że pomiędzy dwoma przewróconymi słupami, nad którymi właśnie ostrożnie przechodził, leży ciemny, żyłasty mężczyzna z sumiastymi wąsami. Bystre brązowe oczy wpatrywały się w niego natarczywie. Mocne palce jak stalowe kleszcze trzymały jego prawą kostkę w twardym uścisku.

– Hej, kolego! A ty skąd spadłeś?!

XVIII

Will rozpaczliwie szarpnął się do przodu, próbując oswobodzić nogę. Ale mężczyzna uczeplił się jej z nieustępliwością głodnego kota, który schwytał mysz. Przekręcając się wyrzucił w górę drugie ramię i złapał Willa za prawą nogę, po czym rozdarł się na całe gardło:

– Wstawać tam! Do broni! Zdrada!

Krzyk rozbudzonego nagle pirata spowodował eksplozję aktywności u młodego tyranozaura. O ile do tej chwili Pięknotka wydawała się głęboko uszpanowana, teraz zaczęła wściekle walczyć ze swoimi więzami, miotając się i wijąc w istnym napadzie furii, by się oswobodzić. Ale prześladowcy związali ją zbyt mocno. Nie była w stanie nawet rozciągnąć lin swymi krótkimi przednimi łapami; mogła się przesunąć najwyżej na odległość jednej stopy w każdym kierunku.

Will odwrócił się i spróbował kopnąć pirata w twarz. Ale zaprawiony w wielu bitwach i niezliczonych awanturach ulicznych żyłasty marynarz nie był łatwym przeciwnikiem dla chłopca. Nie przestając krzyczeć ukrył głowę w ramionach i wierzgnięcia miotającego się szaleńczo Willa trafiały w jego ręce.

W całym obozie słyhać już było krzyżujące się w powietrzu przestraszone krzyki i pytania. Widząc, że wszystko stracone, Will wrzasnął w kierunku swych towarzyszy:

– Uciekajcie, Chaz! Biegnijcie do wąwozu!

Ostatnią rzeczą, którą zauważył w grupie złożonej z jego przyjaciół i członków uwolnionej rodziny, było utkwione w nim spojrzenie mamy sthruthiomimus, pełne współczucia i bezradności, gdy popy – chała swe potomstwo w kierunku głównego kanionu, ku wolności. Miał nadzieję, że tłumacz nadaży za innymi. Na krótkim dystansie nawet protoceratops potrafił być szybkobiegaczem.

Pożegnawszy tym okrzykiem przyjaciół, Will nie zrezygnował z prób oswobodzenia się. Równie dobrze mógłby tkwić we wnykach, tak nieustępliwy był chwyt marynarza ściskającego jego nogi. Usiłował sobie przypomnieć lekcje boksu, które niegdyś pobierał, aż wreszcie udało mu się wymierzyć swemu prześladowcy cios w skroń. Niestety pięść ześliznęła mu się po potylicy pirata, który uchylił się, zaklął...ale nie puścił.

Może dzięki swojej pomysłowości Will zdołałby jakoś pokonać przeciwnika i uwolnić się, lecz właśnie gdy poczuł, że chwyt mężczyzny zaczyna lekko słabnąć, złapały go muskularne, silne ramiona.

W blasku pochodni ujrzał, że otaczają go twarze harde i podejrzane, jakie dotychczas widywał tylko w gazetach, książkach lub złych snach. Brudne brody okalały poznaczone bliznami wąsate oblicza z zapadniętymi oczami. Wielu mężczyznom brakowało kawałków uszu, a jednemu nawet części nosa, utraconej w walce. Najwątlejszy spośród nich wyglądał na twardszego od kłody drewna wyrzuconej na brzeg przez morze.

Wybacz mi, ojcze, pomyślał Will, zrobiłem to, co uważałem, że powinienem był zrobić.

Może w Bostonie uznano by to za dziwną decyzję. Ale nie był już obywatelem miasta Boston i nie wyznawał już tamtejszych zasad etycznych. Był taką samą częścią Dinotopii, jak pół tuzina dinozaurów pędzących teraz gdzieś w ciemnościach ku bezpiecznemu miejscu.

Piraci nie potrzebowali wiele czasu, by zorientować się, że większość ich jeńców została uwolniona i zniknęła bez śladu. Kto przyłożył do tego rękę, było aż nadto oczywiste. Kilku marynarzy mrużąc groźnie przysunęło się bliżej. Will zobaczył brudne, sękatę ręce wyciągające się ku niemu.

Andreas wystąpił naprzód.

– Niech kapitan się tym zajmie. Co do kurczako-smoków, to baba z wozu, koniom lżej. Czort z

nimi! – Odwracając się zatoczył ręką szeroki łuk. – Mamy wszystkie skarby świata i cenną zdobycz na dokładkę. Skinął głową w kierunku poskromionego młodego tyranozaura. – Niech pan Smiggens zadowolony jest tym jednym. Z całą resztą mielibyśmy tylko kłopoty.

Mężczyźni zaczęli cichą dyskusję. Dało się zauważyć, że większość podziela zdanie Andreasa. Spośród pośpiesznie obudzonych piratów, których wciąż przybywało, tylko Anbaya wydawał się zawiedziony.

– Mogły być dobrym obiadem – wymamrotał, wpatrując się w ciemność, która wchłonęła niedawnych więźniów.

– Cóż to?! Jakiś problem?! – ryknął nowy głos. – Bo na to mi wygląda!

Will ujrzał osobnika pokaźnej tuszy i wzrostu, nadchodzącego w towarzystwie równie wysokiego, lecz dużo szczuplejszego mężczyzny. Zapinając pas wokół imponujących rozmiarów talii Blackstrap wkroczył w krąg światła. Piraci rozstępowali się przed nim jak makrele pierzchające przed poszukującym łupu rekinem tygrysem.

Will uznał, że wąsy grubasa wyglądają równie srogo jak cała reszta. Gdy kapitan spojrzał na więźnia, jego wzrok skojarzył się Willowi z wyrazem oczu dorosłych tyranozaurów. Natychmiast doszedł do wniosku, że człowiek ten, jeśli nie rozmiarem, to przynajmniej usposobieniem bardzo przypomina oba drapieżniki.

– Na moje zaręczyny! – Twarz wielkiego mężczyzny przybrała groźny wyraz, a jej właściciel zbliżył się do Willa. – A cóż my tu mamy? Toż to chłopiec, a w dodatku niezbyt imponujący okaz.

Will zjeżył się na słowo „chłopiec”, lecz uznał wrywanie się z pretensjami za kiepski pomysł. Im dłużej mógł pozostać przy życiu, tym lepiej. Cała sytuacja miała też swoje dobre strony. Bandyci zajęli się nim, rezygnując najwyraźniej ze ścigania jego przyjaciół. A to oznaczało, że bez względu na jego dalsze losy, Keelk, jej rodzina oraz Chaz będą bezpieczni.

– Po co tracimy na niego czas? – zamruczał poirytowany, zaspany głos. – Jeszcze jedna gęba do żywienia, nic poza tym.

– Taaa! Poderżnąć mu gardło i po wszystkim, kapitanie! – krzyknął ktoś z tyłu grupy.

Blackstrap powiódł groźnym spojrzeniem po najbliższej stojących żeglarzach, którzy nagle pożałowali, że nie zajmują miejsc w ostatnim rzędzie tego zgromadzenia.

– Niczego się nie nauczyliście od pana Smiggensa? Nie obchodzi was nic poza złotem i tym, czy dostaniecie następny posiłek?

– A co w tym złego, kapitanie? – zdziwił się niewinnie jeden z marynarzy.

– Nic, panie Samuel. Ale chodzi mi o to, że dzięki mądrym pytaniu, zadanemu tu i ówdzie, często można zyskać większy pożytek i ze złota, i z posiłku. – Odwrócił się z powrotem do Willa, wykrzywiając twarz w uśmiechu, w którym brały udział wąsy, zęby i policzki. Nie wiadomo, dlaczego ten grymas był bardziej przerażający niż poprzedni, groźny wyraz jego oblicza, – A więc, chłopcze, wygląda na to, że przyszedłeś tu i uwolniłeś nasze delikatne, małe dinozaury, których schwytanie kosztowało nas wiele trudu i rzetelnej pracy i było wysoce niebezpieczne. Jakież to nie wyjaśnione, a niemądre pobudki popchnęły cię do tego czynu?

Will poczuł się niezmiernie zaskoczony, że nieokrzesany korsarz, stojący przed nim, potrafił prawidłowo zidentyfikować Keelk i jej rodzinę. Pośpieszył z wyjaśnieniem:

– Dinozaury na tym zaginionym lądzie nie są zwierzętami. Są inteligentne, cywilizowane, a niektóre z nich mądrzejsze niż pan i ja.

Prawa brew Blackstrapa uniosła się gwałtownie.

– Co ty wygadujesz, chłopcze? – Odwrócił się do swoich ludzi. – Słyszeliście, amigos Chłopak twierdzi, że nasze kurczaki były równie sprytne jak my!

Marynarze ryknęli gromkim śmiechem.

Nie, pomyślał Will, one nie są równie inteligentne jak wy. Podejrzewam, że są o wiele mądrzejsze. A głośno powiedział z naciskiem:

– To prawda! Żyją tu od tysięcy lat w towarzystwie ludzi. Budują wielkie miasta i tamy. Mają ogromny zasób wiedzy z różnych dziedzin nie znanych zewnętrznemu światu. Tu, w Dinotopii, dinozaury nie wymarły, tak jak to się stało gdzie indziej.

– To Dinotopia, mówisz? – Blackstrap pochylił się nad nim z szyderczym uśmiechem. Taaa... jasne. I lada chwila zjawi się tu Święty Mikołaj, żeby obsypać nas prezentami, jeśli tylko cię puścimy. – Przysunął się bliżej, groźnie zniżając głos. Jego oddech był niemal tak cuchnący jak oddech tyranozaurów. – Posłuchaj no, chłopcze. Udzielisz mi teraz kilku szczerych odpowiedzi albo będziesz żałował, że nie pozwoliłem Samuelowi czy komu innemu poderżnąć ci od razu gardła. Jestem Brognar Blackstrap, kapitan porządnego okrętu „Kondor”, stojącego w tej chwili na kotwicy w lagunie na północ stąd. Jak się nazywasz?

Will wyprostował się, jak mógł najbardziej. Obojętne jak beznadziejna byłaby sytuacja i jak reagowałoby inni, zawsze należało okazywać odwagę – Tego uczył go ojciec.

– Will Denison, syn Arthura. Amerykanin, pierwszy raz obywatel Dinotopii.

– Jesteś opanowany, chłopcze. Muszę ci to przyznać. – Blackstrap potarł nie ogolony podbródek. – Więc te dinozauro-smoko-kurczako-coś-tam są inteligentne, powiadasz? Nie zauważyłem tego jakoś, gdy przebywały w naszym towarzystwie.

– To zrozumiałe – Will usiłował wytłumaczyć mu wszystko. – Kiedy po raz pierwszy ja i mój ojciec natknęliśmy się na nie, uważaliśmy tak samo jak pan, że są niczym więcej niż jakimiś fantastycznymi stworami. Potrzeba było czasu i pomocy innych, byśmy zrozumieli, jak są bystre. Ale niech pan się nie martwi, – Robił, co tylko mógł, by okazać pewność siebie, której wcale nie czuł. – Dowie się pan, jakie są naprawdę. Bo te, które więziliście, wrócą z przyjaciółmi, by mnie uratować.

Ukryta w tych słowach groźba spłynęła na Blackstrapie jak smalec po gorącej blasze.

– Więc są tu inni ludzie? Interesujące... Jak długo obijasz się tutaj, chłopcze?

– Sześć lat. Jestem tu z ojcem. Ale nie obijamy się. Jesteśmy pełnoprawnymi obywatelami tego kraju, bierzemy udział w jego życiu.

– Może i tak – skomentował to Ruskin. – Ale po mojemu, ciągle gadasz jak Jankeś. – Kilku mężczyzn zachichotało.

Will zastanawiał się, jakby ci intruzi zareagowali, gdyby wylądowali w jakimkolwiek innym miejscu Dinotopii. Na przykład w pobliżu Chandary lub nawet Sauropolis. Tymczasem znaleźli się na Nizinie Północnej akurat wtedy, gdy trwała ewakuacja tych terenów z powodu nadciągającego sztormu. Nic dziwnego, że nie natrafili na żadne ślady cywilizacji. Nie znaleźli ani jednego dowodu na jej istnienie w Dinotopii. Najwyraźniej musieli ominąć nawet z rzadka rozsiane farmy.

Czy mógłby jakoś wykorzystać ich niewiedzę?

Na razie nie był jedynym, który zastanawiał się nad dalszym losem Willa Denisona.

– Zabić go i będzie po wszystkim! – mruknął któryś głośno.

– A nie szkoda go? – zapytał ktoś inny, – Może się przydać. Ma silne ręce i mocny kark.

– I ducha – dodał z niechęcią, ale i z podziwem Thomas. – Niech dźwiga nasze złoto.

– Jasne! – zgodził się Copperhead. – Damy mu jakiś toból. Will odważył się spojrzeć twardo na mężczyznę,

– Nie jestem pańskim służącym!

Copperhead tylko się roześmiał, tak samo jak pozostali.

– Więc mówisz, że są tu jeszcze inni – stwierdził Blackstrap.

– Setki. Nie, tysiące! i dinozaury. – Myślał szybko, co jeszcze powiedzieć. – Karabinów wystarczy dla każdego mężczyzny i dla każdej kobiety. I... mają działa. Duże działa Ogromne – Tak mówisz? – Uśmiech Blackstrapa przybladł, lecz nie zniknął zupełnie. – Zatem powinniśmy być porządnie wystraszeni, prawda, chłopcy? Bo żaden z nas nie wiedziałby, co zrobić, gdyby ktoś wycelował w nas działo. – Chóralny śmiech po tej uwadze był wyraźnie cichszy i zabrzmiał mniej pewnie.

– Powinniśmy zachować go przy życiu, kapitanie. – Żyłasty osobnik, którego Will zauważył wcześniej, przepchnął się do światła. Miał zapadnięte policzki, a jego głos brzmiał dużo bardziej kulturalnie niż kogokolwiek z tego towarzystwa. W oczach mężczyzny Will ujrzał coś, co przypominało współczucie. – Nie po to, żeby wykorzystać go jako juczne zwierzę, choć nie widziałbym w tym nic złego. Ale jeśli on naprawdę tu mieszka, a nie jest członkiem załogi statku, który rozbił się gdzieś w okolicy, to jego znajomość kraju powinna się nam przydać.

Blackstrap zastanowił się.

– Myślisz, że powiedział prawdę o karabinach i działach?

– Możemy się o tym przekonać. – Chłodny, opanowany ton był groźniejszy niż wszystko dotychczas. – Mogą tu mieć piętnastocalowe Dahlgreny albo tylko proce. A może nawet i to nie. Chodzi o to, że chłopak ma mnóstwo informacji. To tak jak z płukaniem złotodajnego piasku. Najpierw czerpie się wszystko jak leci, dopiero potem oddziela się samorodki od śmieci.

Wzmianka o złocie skierowała myśli Blackstrapa na znajome ścieżki.

– Powiedz mi, chłopcze, czy pochodzisz z bogatej rodziny? Czy żyjecie w takich domach jak te? – Wskazał otaczający ich kompleks zabudowań świątyni, pogrążony w mroku.

– Do dziś nawet nie wiedziałem o istnieniu tego miejsca – przyznał szczerze Will. – Nigdy o nim nie słyszałem. Wątpię, czy ktokolwiek wie, że w ogóle istnieje. O ile się orientuję, wciąż jeszcze wiele obszarów Dinotopii nie zostało zbadanych. Chodzi zwłaszcza o okolice Deszczowej Doliny. To rozległy kraj. Możliwe, że jesteście pierwszymi ludźmi, którzy postawili stopę w tym mieście od czasów jego budowniczych.

– Słyszycie, chłopcy?! – ryk Blackstrapa był pełen ironii. – To my jesteśmy oficjalnymi odkrywcami tego miejsca. – Jego słowa zebrani powitali kpiącymi okrzykami.

– Czy przyszło panu do głowy, żeby wziąć za mnie okup? – zapytał zdziwiony Will. – Czy to złoto panu nie wystarcza?

– Potrzebujemy pomocy, żeby to zabrać, chłopcze. Koni, mułów, wozów i woźniców.

– Są tu wozy – powiedział Will. – Ale nie ma ani koni, ani mułów. Nie ma też bydła ani świń, ani drobiu. To kraj, w którym dominują dinozaury. Zawsze tak było. Współczesne ssaki nigdy się tu nie pojawiły, z wyjątkiem mniejszych szkodników, które przypląły na dryfujących kłodach. Choć, owszem, mamy ptaki przygnane przez fronty burzowe. I owady, które dostały się tu w ten sam sposób. I pierwotne ssaki.

– Tak mówisz? Wkrótce przekonamy się, które z twoich słów są prawdziwe. – Kapitan pirackiej załogi spojrział ponad swoim nowym jeńcem w czerń nocy. – Co do kurczako-dinozaurów, trudno. Co się stało, to się nie odstanie. Nasze bagaże nieco urosły, no i mamy jeszcze małego diabła. – Skinął bez przekonania w kierunku młodego tyranozaura, obserwującego wszystko i wszystkiemu się przysłuchującego. – Zresztą zawsze możemy schwytać ich więcej, jeśli przyjdzie nam na to ochota.

– Mówiłem już panu – odparł Will z naciskiem – że nie można traktować dinozaurów jak zwykłych zwierząt. Są tak inteligentne jak pan czyja.

– Wciąż się będziesz przy tym upierał, chłopcze?

– Bo to prawda, proszę pana.

– A zatem nie powinieneś mieć nic przeciwko temu, że zrobimy próbę. – Na twarzy Blackstrapa ponownie zagościł nieprzyjemny uśmiech.

Will natychmiast zrobił się czujny. – Nie jestem pewien, czy rozumiem, co pan ma na myśli. Na znak Blackstrapa dwaj piraci pochwycili Willa i związali mu nadgarstki za plecami.

– Jeśli te bestie są inteligentne, powinny być też zdolne do wyciągania wniosków, zgadza się?

– Oczywiście. Will nie był pewien, co sądzić o nagłym przyplywie logicznego myślenia u kapitana.

– Wspaniale. Dlaczegoż by więc nie zapytać tego cudownego okazu, który nam zostawiłeś, co myśli o twojej opinii? Blackstrap odwrócił się w kierunku młodego tyranozaura. Kiedy do piratów dotarło, co zamierza ich kapitan, poczęli stroić sobie żarty i szturchać jeden drugiego.

Will poczuł, że wloką go w stronę związanego drapieżnika.

– To jest ona – wyjaśnił nie wiedząc, co ma powiedzieć.

– Doprawdy? – Smiggens przyjrzał się uważnie więźniowi. – A skąd ty to wiesz, chłopcze?

Zanim Will zdążył opowiedzieć, dwaj piraci chwycili go pod ramiona i gwałtownie popchnęli do przodu. Jednocześnie inni ostrożnie rozwiązyali liny krępujące szczęki tyranozaura. Ich kompani mocniej ściągali więzy jeńca, ograniczając jego zdolność poruszania się, lecz całkowicie jej nie eliminując.

Zabrzmiały szydercze okrzyki zgromadzonej załogi: – No, dalej, chłopcze! Utnijcie sobie dłuższą pogawędkę! – Taaa! – zażartował ktoś. – Zapytaj go... nie, ja, czy dobrze się bawi dzisiaj wieczoru!

– Zobaczmy, czy obieca ci następny taniec! – zarechotał rubaszenie ktoś inny.

– Już wiem! – O'Connor pchnął Willa ramieniem, omal go nie przewracając. – Dlaczego nie miałbyś jej zapytać, czy przypadkiem nie jest głodna?!

Jego słowom zawtórował jeszcze głośniejszy rechot załogi.

Will zauważył, że przycupnięty tyranozaur jest w tej pozycji nieco niższy od niego. Stworzenie pożądliwie obserwowało nowego jeńca, poganianego kopniakami w jego kierunku. W oczach młodego drapieżnika nie było śladu naturalnego współczucia czy zrozumienia, jakie na pewno okazałby w takiej sytuacji wrażliwy struthiomimus.

– Naprzód, chłopcze! – Blackstrap podszedł bliżej. Widać było, że jest wielce ubawiony. – Na co czekasz? Przekonaj nas, jaka jest „inteligentna”. Porozmawiaj z nią. – Powyłamywane zęby odsłoniły się w złym uśmiechu. – Przekonajmy się, czy ma ochotę na popołudniową herbatkę.

Zdenerwowany Will starał się koncentrować uwagę jednocześnie na Blackstrapie i młodym tyranozaurze.

– Ja... ja nie potrafię z nią rozmawiać.

– Co ja słyszę?! – Blackstrap rzucił swym ludziom znaczące spojrzenie. – Nie potrafisz z nią rozmawiać? A to dlaczego? Myślałem, że jest tak inteligentna jak my.

– Po prostu wszystkie duże mięsożerne drapieżniki żyją razem niedaleko stąd, w miejscu zwanym Deszczową Do liną. One są inteligentne, tylko ich język jest bardzo surowy i trudny do zrozumienia. Nie są częścią cywilizowanej Dinotopii. To kwestia wyboru, jakiego dokonały ich plemiona.

– To jasne! Stawiam moją złotą cegiełkę, że tak właśnie jest! – zadrwił głośno jeden z piratów. Jego towarzysze ryknęli śmiechem.

– Ależ mówię wam, że to prawda! – ciągnął z rozpaczą Will. – One są inteligentne! Tylko po prostu wolą żyć jak ich przodkowie. Prymitywnie i z dala od cywilizacji. – Wygląda na to, że

dokonały równie słusznego wyboru jak członkowie tej załogi – zaśmiał się wesoło Smiggens.

– Dosyć tej zwłoki! Zabieraj się do dzieła! – Blackstrap znów popchnął Willa do przodu. Szczęki młodego tyranozaura rozchyliły się wyczekująco, odsłaniając pełen garnitur mniejszych niż u rodziców, lecz równie ostrych zębów. – Nie wiesz, że to nieuprzejme nie poprosić damy do tańca?

– Mój ojciec potrafiłby to lepiej wytłumaczyć – upierał się przy swoim Will. – Jest uznanym naukowcem. W Ameryce był wykładowcą.

– Naukowcem, powiadasz... – Pierwszy oficer zamyślił się. Z wielką ochotą wypytałby tego młodzieńca dokładniej, bo jeśli mówił prawdę i jego ojciec rzeczywiście był uczonym, oznaczało to, że w tym nowym, dziwnym kraju istotnie można spotkać różne cuda.

Ale Smiggens wiedział, że nie odważy się sprzeciwić woli załogi. Jej członkowie byli niezmiernie podnieceni, a Blackstrap miał ich pełne poparcie. Gdyby spróbował przeszkodzić im teraz w zabawie, to w ich obecnym nastroju gotowi byliby rzucić go na pożarcie pojmanemu drapieżnikowi tak samo ochoczo, jak zamierzali to uczynić z nowym więźniem. Wobec takiej perspektywy wołał siedzieć cicho. Zżerała go ciekawość, lecz nie było to wystarczającym powodem, by posunąć się do nieobliczalnego aktu odwagi.

– Co tam widać? Co się dzieje? – dopytywał się Chaz z niepokojem. Szlag by trafił te moje krótkie nogi, pomyślał wściekły w pewnym momencie.

Wiedząc, że mogą umknąć z powodzeniem każdej pogoni, bo żaden człowiek nie potrafi dopędzić nawet młodego sthruthiomimusa na krótkim dystansie, uciekinierzy zatrzymali się. Chcąc sprawdzić, co się dzieje z ich młodym przyjacielem, ukryli się za niską, nadkruszoną ścianą ze złotych cegieł. Widząc doskonale w ciemności, mogli dostrzec wszystko, mając pewność, że sami nie zostaną zauważeni, bo żadne ludzkie oko nie jest w stanie wykryć ich obecności. Zresztą pochodnie ich niedawnych prześladowców oświetlały scenę rozgrywającego się dramatu aż nadto dobrze.

– Trudno powiedzieć. Wszyscy stłoczyli się razem. – Hisaulk wyteżał wzrok, by rozróżnić poszczególne postacie. – Związali twemu przyjacielowi Willowi ręce za plecami i zdaje się, że popychają go w stronę młodego tyranozaura.

– Pięknotki – mruknął Chaz. – Trudno powiedzieć, jak zareaguje, będąc w stresie spowodowanym uwięzieniem. Niewola musi być dla niej nawet bardziej nieznośna niż była dla was. – Co powiedziałaś? – Shremaza rzuciła okiem na protoceratopsa, podczas gdy trójka dzieci wymieniła między sobą spojrzenia.

– Pięknotka. Tak ma na imię. Hisaulk nadal prowadził obserwację.

– Bez względu na to, jak się nazywa, sądzę, że chcą ją nakarmić Willem.

– Nie! – Chaz kilkakrotnie tupnął lewą przednią nogą. – To barbarzyństwo!

– Nie jestem tym zaskoczona. – Shremaza próbowała go pocieszyć jak umiała. – Nie zdziwiłoby mnie nic, co zrobiliby ci ludzie.

– Ma jeszcze szansę. – Chaz spacerował w kółko. – Małą szansę, ale tylko wtedy, jeśli postara się szybko myśleć. Bardzo szybko. – Podeszedł do Hisaulka, który miał najlepszy punkt obserwacyjny. – Co się teraz dzieje?

– Na razie nic... O! Właśnie zdjęli liny z pyska Pięknotki uwalniając jej szczęki. Trzymają się od nich jak mogą najdalej.

– Tak powinno być. A ona?

– Na razie nic. Przygląda się uważnie Willowi.

Chaz zadarł głowę tak wysoko., aż okalająca ją kryza uderzyła o ramiona.

– Gdybym był z nim został! Powinienem tam być! Mógłbym porozmawiać z tymi ludźmi.

– Zakładasz, żeby cię posłuchali? – Głos Shremazy brzmiał łagodnie. – Spędziłam wśród nich

jakiś czas. Są całkowicie przekonani, że jesteśmy głupimi zwierzętami. Gdybyś przemówił, uznaliby to za zwykłą sztuczkę. Pomyśleliby, że to Will w jakiś sposób mówi za ciebie. Nakarmiliby tobą Pięknokę, zanim byś zdążył ich przekonać, że naprawdę umiesz mówić. A może nawet by cię zjedli, co uważam za możliwe sądząc po tym, jak patrzyli na nas.

– Kanibale! – Chaz pokręcił głową. – Cóż to za przerażające kreatury!

– Ależ nie. – Jak wszystkie struli, Keelk była zbyt wyrozumiała, by do kogoś długo żywić urazę.

– Są tylko niewykształceni.

Protoceratopsa gryzło sumienie. Jeszcze nigdy w życiu nie czuł się tak bezradny. Owszem, między nim a Willem Denisonem zdarzały się nieporozumienia, ale trudy i niebezpieczeństwa wspólnej wyprawy zbliżyły ich do siebie. Will był mu bliższy niż jakikolwiek człowiek. Bliższy nawet niż dawni nauczyciele. Darzył młodego podniebnego jeźdźca dużym szacunkiem i nie mniejszą sympatią.

I nic nie był w stanie zrobić. Mógł się tylko modlić, by Wil! jakoś sobie poradził. Piraci nie przestawali rechotać na cały głos; szyderczo podsuwali Willowi różne pomysły. Ktoś zaproponował, by wystawił w kierunku tyranozaura tylną część ciała. Guimaraes śmiał się wraz z innymi, lecz nie miał tęgiej miny.

Żółte ślepia ani na chwilę nie przestawały wpatrywać się w Willa, gdy tak popychano go do przodu. Spomiędzy dolnych zębów kapała ślina. Kiedy ją karmili po raz ostami? – zastanawiał się. Chyba dość dawno temu, sądząc po sposobie, w jaki na niego patrzyła. Widział jej szczęki jak stalowy potrzask o kilka stóp od siebie.

Co mógł zrobić? Ci na wpół pijani bandyci nie chcieli dać się przekonać. Trudno by też było przekonać tyranozaura nawet, gdyby można się było z nim porozumieć. Chaz mógłby próbować, ale umknął ku wolności, całkiem słusznie zresztą.

Nie był w stanie odwrócić spojrzenia od groźnych oczu. Hipnotyzowały go, przeszywały na wskroś. Teraz już wiem, pomyślał, co się czuje, będąc traktowanym niejako niezależną, myślącą jednostką, lecz jako kawał mięsa.

Nie sposób było odgadnąć, jakie myśli kłębiły się w głowie młodej Pięknokki. Własna sytuacja musiała doprowadzać ją do wściekłości i powodować w jej umyśle straszny zamęt, chociaż na pewno się nie bała. Will wątpił nawet, czy w języku tyranozaurów istnieje słowo „strach” lub jakiś jego odpowiednik. Prawdopodobnie czekała tylko na okazję, by wyładować swój gniew na człowieku. Obojętne którym.

Był już niemal w zasięgu jej szczęk. Gdyby nie miała skrupowanych nóg, bez wątpienia rzuciłaby się na niego. I bardzo wątpił, czy nawet mając rozwiązane ręce zdołałby się obronić przed jej zębami. Jej oddech, podobnie jak u rodziców, cuchnął zgnilizną.

Rodzice... Poczul nagły dreszcz podniecenia. Ależ potrafi mówić w języku tyranozaurów! Dokładnie jedno słowo, jeżeli chodzi o ścisłość... nie, raczej cztery!

Cztery imiona.

Usiłował starannie modulować głos. Miał zbyt ściśnięte gardło i pierwsza próba nie powiodła się. Wyszło to raczej jak kaszel kociaka. Piraci uznali jego rozpaczliwe chrząkanie za wielce zabawne i przynaglali go do powtórzenia próby. Nie zwracając uwagi na ich drwiny spróbował po raz drugi, z lepszym skutkiem. Z jego krtani wydobył się niski, całkiem znośny pomruk. Zabrzmiął w jego uszach komicznie, jak żałosna imitacja straszego porykiwania Bystrookiego.

Ale efekt był widoczny. Zaskoczona Pięknotka zamrugnęła oczami i zatrzasnęła imponujące szczęki, po czym spojrzała na chłopca niepewnie. Pot spływał Willowi po twarzy; wiedział, że musi za wszelką cenę jeszcze bardziej zniżyć głos. Jego płuca były o wiele za małe, lecz mimo wszystko

postanowił zrobić, co się da.

Jego drugi pomruk wprowadził tyranozaura w jeszcze większe zakłopotanie. Przekręciwszy głowę Pięknotka całą sobą wydawała się dawać do zrozumienia, że jej ciekawość rośnie z każdą chwilą i nie może się doczekać, co jeszcze usłyszy.

– Ah-veh!– wykrzyknął Chumash. – Chłopak z nią rozmawia!

– A gdzie tam! – zaprzeczył Copperhead. – Wie tylko, jak naśladować jej głos, to wszystko. To jak gwizdanie na psa.

– Zgadza się. Pan Copperhead ma rację. – Choć daleki od tego, by przyznać, że w zachowaniu obydwu więźniów jest coś dziwnego, Blackstrap był pod wrażeniem odwagi i umiejętności młodego człowieka. – To nie żadne cholerne gadanie.

Wił! był teraz tak blisko, że z łatwością mogłyby go dosięgnąć ostre zęby, lecz tyranozaur nie wydawał się już zainteresowany spożyciem go na przekąskę. Zastanawiał się intensywnie, skąd ten dziwny młody człowiek, który zakradł się do obozu innych ludzi, by uwolnić rodzinę strutich, zna imiona jego rodziców. Nagromadzoną furję, którą Pięknotka gotowa była wyładować na tej nieszczęsnej ofierze, zastąpiła ciekawość. Wymowa człowieka była oczywiście fatalna, lecz godna uwagi. Przyglądała mu się, ciekawa, co dalej zrobi.

Dotykając podbródkiem piersi wymówił imię, które miało być jego własnym w wersji plemienia tyranozaurów. Wreszcie z całą mocą i starannością, na jakie było go stać, wyartykuował imię Pięknotki, patrząc jej prosto w oczy. Po raz ostatni słyszała je od swojej matki.

Przysiadając z powrotem na zadzie, prychnęła niecierpliwie na człowieka i powtórzyła najpierw imiona rodziców, a potem swoje własne. Pokiwał skwapliwie głową i uśmiechnął się. Rozpoznała oba ludzkie gesty.

– Żebym się tak zamienił w pijaną krowę morską, jeśli oni nie gadają z sobą – zachwycił się Ruskin.

– Zastanów się, co mówisz, panie Ruskin. – Blackstrap ściągnął brwi. – Pomruki i chrząknięcia to wszystko, co tu mamy. Nie widzisz tego? Chłopiec i jego pies. To żadna rozmowa. Czyż nie tak, panie Smiggens?

– Podzielam pańską opinię, kapitanie. Blackstrap parsknął z satysfakcją. – Ale najwyraźniej jest to jakaś forma porozumiewania się – ciągnął Smiggens, – Choć nie nazwałbym tego mową, ani tym bardziej inteligentną konwersacją. Ale na pewno coś w tym jest. W każdym razie coś, o czym nie mamy pojęcia.

Blackstrap zbył ukryte znaczenie tych słów machnięciem ręki.

– Miałem kiedyś konia, który znał więcej słów niż ten nasz diabełek. Ale nigdy nie twierdziłem, że potrafię z nim rozmawiać.

– Patrzcie – Thomas wskazał na drapieźnika. – Co ona zamierza?

Odrzuciwszy do tyłu łeb młoda samiczka zawyła tale żałośnie, że mogłaby zawstydzić stado kojotów. Will współczuł zawodzącej Pięknotce. Wielkie drapieźniki, choć robiły to w niewyszukany sposób, miały nie mniejsze zdolności do wydawania z siebie przyjemnie brzmiących dźwięków niż inne plemiona, z wyjątkiem może corythozaurów, uważanych za wybitnych mistrzów w dziedzinie muzyki.

Ta pieśń była wyrazem oburzenia z powodu gwałtu i zarazem skargą na samotność. Nie całkiem widząc, jak zareagować, Will przysunął głowę do łba stworzenia, przymknął oczy i spróbował zawtórować wyjącej Pięknotce. Bywał na wielu koncertach corythozaurów, lecz utwory muzyczne w ich wykonaniu brzmiały jak Mozart w porównaniu z zawodzeniem wydobywającym się z gardła panny tyranozaur. A jednak w tym prymitywnym śpiewie było coś urzekającego, wręcz chwytającego

za serce.

Will starał się jak umiał, przekonany, że nigdy już nie będzie miał szansy wystąpić w tak osobliwym duecie.

Blackstrap w najmniejszym stopniu nie uległ nastrojowi tej żalostnej sceny.

– Hej, chłopcze! Daruj sobie ten harmider! Ty tam, Johanssen! Zamknij mu gębę!

– Taaa jest, sir. – Odwracając się do Willa marynarz szarpnął gwałtownie linę, którą chłopiec był przywiązany w pasie. Słyszałeś, co powiedział kapitan?!

Nie zdoławszy utrzymać równowagi, Will przewrócił się. To co teraz nastąpiło, było najbardziej nieoczekiwaną rzeczą ze wszystkich, jakie wydarzyły się do tej pory.

Przerywając swą żalobną pieśń młody tyranozaur rzucił się ze zdumiewającą szybkością w kierunku wysokiego pirata. Dwoma marynarzami, którym powierzono trzymanie lin krępujących stworzenie, gwałtownie szarpnęło do przodu i tylko dzięki ich nadludzkim wysiłkom i pomocy innych udało się powstrzymać szarżę Pięknotki – Jej szczęki zatrzasnęły się zaledwie o kilka cali od twarzy marynarza. Na kilka chwil zapanowało ogólne zamieszanie: każdy starał się zawiązać linę cumowniczą wokół śmiercionośnego pyska. Dopiero gdy zamknięte wreszcie szczęki zostały zabezpieczone, wszyscy odetchnęli. Co do Johanssena, to był on święcie przekonany, że jego serce zatrzymało się na dobre kilka sekund.

Znowu pozbawiona możliwości stawiania jakiegokolwiek oporu, Pięknotka musiała zadowolić się rzucaniem na swych prześladowców groźnych, wściekłych spojrzeń.

Will podniósł się z ziemi i podszedł do niej chwiejnym krokiem. Wyzbył się już wszelkich obaw.

– Wszystko w porządku – zapewnił ją łagodnie. – Nic mi się nie stało.

Kilka razy z rzędu powtórzył najpierw swoje imię, a potem jej, uważając, żeby żadne z nich nie było zaakcentowane wyraźniej. Spojrzała mu w oczy; jej oddech powoli się uspokajał.

Will poczuł nagle na ramieniu ciężką rękę Blackstrapa. Kapitan wyglądał wprawdzie na rozlżącego tłuszciocha, ale Will stwierdził w duchu, że nie chciałby się z nim spotkać na zapaśniczej macie.

– Interesujący pokaz, chłopcze. Bardzo pouczający. Nie, żebym przyznawał ci rację co do inteligencji tego bydlęcia. Co to, to nie. Po prostu chciało zeżreć twarz naszemu biednemu Johanssenowi. Prawda, panie Johanssen? – Wciąż jeszcze wstrząśnięty marynarz zdolny był tylko skinąć w odpowiedzi głową. – No więc pytam cię, chłopcze, czy to jest oznaka inteligencji?

– A jakiej reakcji spodziewał się pan po niej po tym jak ją uwięziliście? – Will miał wielką ochotę zetrzeć wreszcie z twarzy brud. Blackstrap zignorował jego pytanie.

– Mogę zgodzić się z jednym. Znasz odpowiednie komendy, by rozkazywać tej bestii. Ot co.

– Nie mogę jej rozkazywać. Nikt nie może rozkazywać przedstawicielowi gatunku Tyrannosaurus rex.

– A zatem tak się ono nazywa? – Smiggens nie patrzył na Willa, lecz na drugiego jeńca piratów.

– Bierzesz mnie za kompletnego idiotę, chłopcze?! Możesz sobie warczeć do tej bestii, jeśli masz ochotę, ale żadnego śpiewania. Cierpią na tym moje wrażliwe uszy. – Blackstrap odwrócił się do swego pierwszego oficera. – Miałeś rację jak cholera, panie Smiggens. Ten chłopak przyda nam się daleko bardziej jako żywy, niż jako trup, choć wyznam, że szkoda mi trochę rezygnować z takiej rozrywki. – Niech pan przestanie nazywać mnie chłopcem, – Willa ośmieliła nieco wiadomość, że Pięknotka jest gotowa skoczyć na piratów w jego obronie. Zaczął odzyskiwać grunt pod nogami,

– W porządku – Blackstrap uśmiechnął się szyderczo. – Jak zatem mamy się do ciebie zwracać?

– Mówiłem panu, że nazywam się Will Denison.

– Niech i tak będzie. Jesteś odważnym i sprytnym chłopakiem, młody Willu. Więc posłuchaj uważnie tego, co powiem. Będiesz nam towarzyszył w drodze powrotnej na okręt, bo ja sobie tego życzę. Gdyby miało się okazać, że napotkamy jeszcze jakieś bestie z gatunku tych dinozaurów, twoje warczenie może się przydać. – Przysunął się bliżej, odsłaniając poczerwiałe i pokruszone zęby w uśmiechu, który niewiele miał wspólnego z wesołością. – Ale przez cały czas pamiętaj o tym, że bez względu na to, kto tu warczy, ja jestem twoim panem, a ty moim psem.

– Wciąż nie rozumiem, jak udało wam się szczęśliwie zarzucić kotwicę. Zawsze mi mówiono, że każdy statek, który zbliży się do Dinotopii na odległość wzroku, dostaje się nieodmiennie w tak silne prądy, że rozbija się o brzeg.

– Ha! „Nieodmiennie” to wielkie słowo. Przez całe życie udowadniam nieprawdziwość tak stanowczych stwierdzeń, młody Willu. Powiem ci tyle. Kiepscy to byli żeglarze, ci kapitanowie, którzy odwiedzali te brzegi. I mali duchem.

– Nadeszła wielka fala – wyjaśnił Smiggens. – To ona przeniosła nas ponad rafą. Mieliśmy po prostu szczęście, Blackstrap rzucił pierwszemu oficerowi druzgocące spojrzenie, ale nie odezwał się.

– Ponad rafą? – Wił! zastanowił się. – Hm... Myślę, że to możliwe. Tak, nawet całkiem możliwe. A jak stąd odpłyniecie? Między rafami nie istnieje żaden przesmyk.

– Znajdziemy sposób – zapewnił go Blackstrap, – Wysadzimy kawał rafy w powietrze, jeśli będzie trzeba. Mamy na pokładzie mnóstwo prochu.

Czy rzeczywiście mogliby to zrobić?, zastanowił się Will. Ten Blackstrap jest wystarczająco zawzięty i szalony, by porwać się na coś takiego...

Odległe echo grzmotu sprawiło, że spojrzał w niebo. Sztorm wciąż czał się gdzieś na morzu, wciąż zbierał siły. Czy okręt tych bandytów poradziłby sobie z nim, znalazłszy się poza osłoną raf? Jak silny mógł okazać się tym razem powracający co sześć lat atak żywiołu? Czy nawałnica ominie Dinotopię, czy też przewidywania meteorologów okażą się słuszne?

– Nadchodzi wielki sztorm.. – zaczął. Smiggens chrząknął i powiedział ironicznym tonem:

– Nie mów nam o wielkich sztormach, chłopcze. Ten, który przygnał nas na ten ląd, był po prostu gigantyczny.

– To nic w porównaniu z tym, co może się zdarzyć. Uderzenie spodziewane jest w każdej chwili, a najbardziej zagrożonym obszarem kraju jest Nizina Północna. Nie możecie tam wracać. Wszyscy już się stamtąd wynieśli.

– Czemu to zrobili? – zdziwił się Ruskin. – To przecież takie urodzajne tereny.

– Nooo... Tego dokładnie nie wiem – odrzekł Will. – Wiem tylko, że kiedy przewidywane jest uderzenie sztormu, który nadciąga co sześć lat, każdy mieszkaniec Niziny Północnej powinien opuścić ten rejon i przeczekać kataklizm.

Smiggens zastanowił się.

– Obszar, na którym wylądowaliśmy, był istotnie płaski. Widziałem coś takiego wzdłuż południowo-wschodnich wybrzeży Indii. W porze monsunów cyklon powoduje tam lokalne powodzie. – Uśmiechnął się do Blackstrapa. – To nic takiego, z czym nie poradziłby sobie „Kondor”.

– Myślę dokładnie tak samo, panie Smiggens. – Kapitan spojrzał w ciemność. – Zabierzemy na okręt tyle złota i kamieni, ile się da, przywiążemy w ładowni naszego zabawnego diabełka i tego chłopaka i wrócimy tu z odpowiednim sprzętem, żeby udźwignąć z pół tej świątyni, albo coś koło tego. – Podniósł głos, w którym słyhać było chciwość. – Mam rację, chłopcy?!

Kilka zmęczonych, lecz radosnych okrzyków było odpowiedzią na jego słowa.

– Nie możecie – zaczął znów Will. – Sztorm... Blackstrap chwycił go za kołnierz koszuli.

– Słuchaj no, chłopcze! Stary Brognar nie zna takiego słowa. – Puścił więźnia i zwrócił się do swych ludzi: – Pora spać. A kto zostanie na warcie, niech nie spuszcza z oka tej dwójki. Za bardzo mają się ku sobie.

Odszedł w ciemność, kierując się w stronę swego złotego posłania.

Nie mogą stąd odpłynąć z tym wszystkim!, pomyślał przerażony Will. Nie można na to pozwolić! Jeśli uda im się uciec z takim skarbem, wszyscy dowiedzą się, gdzie leży Dinotopia. Statek za statkiem będzie przybijał do tych brzegów. Będą nas szukać i niektórym się to uda. Znajdą skarby. Cicha i spokojna cywilizacja ludzi i dinozaurów, zbudowana tak starannie po tysiącach lat współpracy, znajdzie się pod ogromną presją. Rozpocznie się najazd różnych ludzi z zewnątrz. Pojawi się polityka i obce filozofie. Czy Dinotopia jest wystarczająco silna, by się temu oprzeć? Czy zdolny byłby do tego jakikolwiek niepodległy kraj?

W Dinotopii broń właściwie nie istniała. Wyjątek stanowiło typowo obronne uzbrojenie, używane przez konwoje przemierzające Deszczową Dolinę do odstraszenia upartych drapieżników. Jak zdoła się obronić Sauropolis przed nowoczesnymi okrętami wojennymi? Czy obywatele w ogóle będą chcieli się bronić? Czy przynajmniej spróbują? Jeśli okaże się, że można bezpiecznie wylądować na brzegu, obce mocarstwo może wysadzić na ląd oddziały wojska i...

Nie mógł dłużej o tym myśleć. Odebrał staranne wykształcenie i znał historię ludzkości aż za dobrze. Unikalne społeczeństwo Dinotopii nigdy nie przetrwałoby, mając regularny kontakt ze światem zewnętrznym. Należało uniemożliwić piratom odpłynięcie. Za wszelką cenę. I to zarówno dla ich własnego dobra, jak i w interesie Dinotopii. Wszystko zależało od niego.

No... Może nie wszystko.

Ze swej kryjówki rodzina strutich obserwowała rozwój wydarzeń w obozowisku piratów.

– Co to za dźwięki? – Chaz wzdrygnął się słysząc tragiczne i przepelnione smutkiem tony.

– Rodzaj lamentu w wykonaniu tyranozaura. – Hisaulk patrzył ponad ścianą. – O! Teraz przerwała. Ludzie przestają się kręcić, śmiać i hałasować. Wszystko się uspokaja.

– Co robi młoda tyranozaur? – zapytał Chaz.

– Wygląda na to, że znalazła płaszczyznę porozumienia z Willem. Nie sędzę, by miała zamiar go zjeść. Przynajmniej nie zaraz.

Tłumacz nie przestawał chodzić w kółko.

– Trzeba go stamtąd w jakiś sposób wydostać.

– Zgadza się z tym.

– Musi być jakieś wyjście z tej... protoceratops przerwał. – Naprawdę chcecie się przyłączyć?

– Oczywiście. Zwrócił nam wolność. Chcemy zrobić dla niego to samo. – Hisaulk nie przestawał wpatrywać się w ciemność. – Należy poczekać na właściwy moment, a wtedy będziemy udawać nieruchome posągi. Ci ludzie myślą, że uciekliśmy daleko. Nie wyprowadzajmy ich z błędu.

Chaz nie był pewien, co o tym sądzić.

– Nie mam nic przeciwko odgrywaniu posągu. Pytanie tylko, co oni przez ten czas zrobią z Willem? Wielu piratów zatykało dłońmi uszy.

– Niech to bydlę się uciszy!

Treggang zatrząsł się, gdy Pięknotka uderzyła w wyjątkowo nieprzyjemnie brzmiący lament.

– Ja je uciszę! – Guimaraes podniósł karabin.

– Nie! – krzyknął Will rzucając się do przodu i stając między Portugalczykiem a zawodzącym tyranozaurom. – Nie w ten sposób.

– Taaa! Nie myśl o tym! – Blackstrap wkroczył na scenę i odbił na bok lufę broni. – Zapomniałeś, ile ten diabełek jest wart?

– Tylko kupy kłopotów, kapitanie. – Ponury Guimaraes gwałtownie skinął głową w kierunku głównej świątyni. – Naprawdę jest nam potrzebny, skoro mamy już tyle bogactw, że nie możemy ich udźwignąć?

– Może i tak – przyznał Blackstrap. – Aczkolwiek doszedłem do wniosku, że oprócz złota mam ochotę na odrobinę sławy. A pan Smiggens zapewnił mnie, że powrót stąd z takim stworzeniem zagwarantuje mi to. Więc na razie nie będzie żadnego zabijania.

Odwrócił się do Willa, kładąc dłoń na nożu myśliwskim u swego boku.

– Co oznacza, że jeśli nie znajdziesz sposobu na uciszenie tej małej kreatury, chłopcze, my go znajdziemy, chociaż nie pozbawimy jej życia.

Will skwapliwie przytaknął.

– W porządku. Zrobię to. Ale musi mi pan rozwiązać ręce. Blackstrap spojrział na niego surowo.

– Będzie, jak chcesz. Ale najpierw musisz mi dać słowo honoru jako przedstawiciel „cywilizacji”, do której podobno należysz, obojętne jak się tam ona nazywa, że nie będziesz próbował ucieczki, chłopcze.

– Daję... – Will zawahał się, ale tylko na moment – moje słowo, kapitanie Blackstrap, że nie uczynię nic, by wydostać się stąd na własną rękę.

Wielki mężczyzna pokazał w uśmiechu połamane zęby.

– Wciąż liczymy na pomoc, co? Masz nadzieję wezwać ją po dostaniu się do najbliższego

telegrafu?

– W Dinotopii nie ma telegrafu. W każdym razie takiego, o jakim pan myśli.

– Niech ci będzie. Mam twoje słowo, chłopcze. Thomas, rozwiąż go.

Gdy wielki Jamajczyk rozsypał węzły, Will zaczął rozcierać zdrętwiałe nadgarstki. Potem odwrócił się do młodego tyranozaura. Powtarzając łagodnym tonem imiona rodziców Pięknotki, jednocześnie wykonywał uspokajające gesty. Stworzenie zamilkło i zaczęło mu się przyglądać.

Will podszedł do niej ostrożnie i stanął tuż obok. Powoli wyciągnął rękę i zaczął drapać ją pod brodą. Wśród zahartowanych marynarzy odezwały się pełne podziwu pomruki. Palce Gaimaraesa zaciśnięte na karabinie zbieleły.

– Co się teraz dzieje? – zapytał Chaz. Hisaulk spojrzał w dół.

– Ludzie rozwiązali mu ręce, ale on nie próbuje uciekać. Podchodzi do tyranozaura. Teraz... nie wierzę własnym oczom! On... on ją pieści!

– On ją co?! – Chaz przyłapał się na niedorzecznej myśli, że dobrze byłoby teraz mieć pod ręką mamenchizaura z długą szyją, na którą można by się wspiąć, żeby mieć lepszy widok.

– Wszystko w porządku – szepnął uspokajająco Will, głaszcząc Pięknotkę po dolnej szczęce. Nie rozumiała oczywiście ani słowa z tego, co mówił, ale czuł, że przynajmniej jego dotyk jest wystarczająco wymowny. – Jakoś się stąd wydostaniemy. Razem. Wiem, że uważasz tych ludzi za szaleńców. Jeśli może ci to w jakiś sposób pomóc, to wiedz, że ja też tak uważam. – Młody drapieźnik nie odpowiedział. Will czuł jego równy oddech, przypominający odgłos kowalskich miechów.

– Patrzcie, jak uspokoił małego smoka. – Chin-lee nakreślił w powietrzu tajemny znak. – Musimy go uważnie obserwować. To czarnoksiężnik.

– Ależ skąd! Żaden czarnoksiężnik. – Smiggens nie był aż tak oszołomiony, jak jego bardziej zabobonni koledzy. – Pamiętajcie, co mówił nam o swoim ojcu. Jest naukowcem.

– Naukowiec czy czarnoksiężnik, ale sprawił, że bestia się zamknęła. Tylko to się liczy. – Zawsze prozaiczny Blackstrap chrząknął z zadowoleniem.

Kiedy Will opuścił rękę, zobaczył ze zdziwieniem, że samiczka trąca go w ramię tępo zakończonym pyskiem. Powrócił więc do drapania jej w podbródek, za co został wynagrodzony wyraźnym westchnieniem zadowolenia. Choć omdlewała mu ręka, nie przerywał swojej czynności. Co tyranozaur chce tyranozaur dostaje, przyszła mu do głowy refleksja. Nawet taki młody. – To, co tu widzicie, jest nieważne – usłyszał swój własny głos skierowany do Blackstrapa. – Liczy się nauka i wykształcenie, zasady moralne i etyka.

– Też coś! Żadnej z tych rzeczy nie można wydać.

– Pan nie rozumie. Nie potrafi pan spojrzeć na to z szerszej perspektywy. Dinotopia to nie tylko kraj, w którym gatunek ludzki nauczył się żyć ramię w ramię z mądrzejszymi i znacznie starszymi od człowieka dinozaurami. To również miejsce, gdzie ludzie różnego pochodzenia i różnych narodowości nauczyli się współżyć ze sobą w pokoju. To model, na którym mogłaby się wzorować cała reszta świata. Handel kwitnie, lecz niepotrzebne są pieniądze. Jeden drugiemu stara się pomóc za wszelką cenę. Dla wszystkich jest darmowe nauczanie – korzysta z niego każdy, kto ma ochotę. Dla tych, co lubią książki, są wyższe studia. Dla innych, którzy wolą zajęcia bardziej praktyczne – nauka rzemiosła i praktyka zawodowa. Każda profesja cieszy się szacunkiem.

– Do czego zmierzasz, chłopcze? – zażądał odpowiedzi Mkuse.

– Dlaczego nie mielibyście tu zostać? – Will starał się, żeby jego głos brzmiał możliwie najbardziej przekonująco. – Zrezygnujcie z pomysłu powrotu do Ameryki, Europy czy dokądkolwiek. Zostańcie tu. Odetchnijcie głęboko i poszukajcie spokoju. To warte o wiele więcej niż stos ładnych

kamyków i kolorowego metalu. Przekonacie się. – Spojrzał z nadzieją na kapitana.

– Cóż, chłopcze... Niech każdy robi to, co lubi. – Blackstrap przyglądał węża. Co do mnie, to zatrzymam moje ładne kamyki i złoto. Ale jestem sprawiedliwym człowiekiem. Zapytajmy moich towarzyszy. – Odwrócił się do zapatrzonych marynarzy. – Słyszeliście, co powiedział chłopak? Prosi nas, żebyśmy zrezygnowali z tego wszystkiego... – wykonał ramionami ruch obejmujący kompleks zabudowań świątyni – i zasiedli do zgodnej konwersacji z bandą wielkich jaszczurek. No i nauczyli się rzemiosła, rzecz jasna. Wybór zostawiam wam, amigos. Co wolicie? Fach stolarza czy życie w zbytku i bogactwie? Jak na moją biedną głowę, to zbyt trudna decyzja.

Reakcja piratów była zgodna z jego przewidywaniami.

– Ależ nie możecie patrzeć na to w ten sposób! – zaczął Will. – Nie rozumiecie..

– Ja rozumiem jedno – parsknął drwiąco Anbaya. – Jesteście głupi, skoro tego nie docenicie. – Wskazał na złote budynki.

Opinia piratów była jednomyślna. Lepiej będzie to rozszabrować niż codziennie pracować i uczyć się. Kilku oznajmiło bardziej kwieciście, co sądzi o propozycji Wilia. – Słyszysz ich, młody Willu? – Blackstrap odczekał, aż umilkną, gwizdy i pohukiwania. – Jeśli miejscowy ludek nie jest zainteresowany tym bogactwem, ja i moi chłopcy będziemy szczęśliwi mogąc zdjąć z was ciężar pilnowania tego.

– Ale przecież mówiłem panu – powtórzył Will – że nie sądzę, by ktokolwiek wiedział o istnieniu tego miejsca. To część historii Dinotopii. Nie możecie tak po prostu tego zabrać. To musi być dokładnie zbadane, udokumentowane...

– To napisz na ten temat pełne sprawozdanie, jeśli masz ochotę. Spisz każdą cegłę i każdy klejnot, zanim zabierzemy je na wieczne przechowanie na pokład „Kondora”. A możesz być pewien, że to zrobimy. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. – Rysy kapitana złagodniały. – Cóż to będzie za dzień, chłopcy, gdy pożeglujemy w górę Tamizy lub wpłyniemy do bostońskiego portu okrętem wyładowanym szczerym złotem.

Zgromadzeni wokół żeglarze powitali tę wizję pomrukiem aprobaty.

– Nigdy nie uda wam się tego zabrać – powiedział Will. – Nawet jeśli przeżyjecie sztorm, nie przepłyniecie przez rafy.

– Słuchaj no, chłopcze. Przez ostatnie sześć miesięcy miałem do czynienia z większą liczbą niebezpiecznych żeglarskich przygód niż ty zdążyłbyś przeżyć do końca swoich dni. Nie myśl sobie, że przestraszysz mnie opowieściami o gigantycznych sztormach i rafach nie do przebycia. Będziesz miał okazję przekonać się na własne oczy, jak sobie poradzimy, bo pozostaniesz w naszym towarzystwie.

– Co?! – Will wytrzeszczył oczy. Blackstrap uśmiechnął się nieprzyjemnie.

– Myślałeś, że kiedy nasz skarb znajdzie się na pokładzie, pozwolimy ci odejść? A kto by uciszał naszego nowego pieszczocha? Powinieneś dziękować mi na kolanach, chłopcze. Zabierzemy cię daleko od tego zapomnianego przez Boga miejsca. Wrócisz do cywilizacji.

– Aleja chcę tu zostać! – Will zobaczył oczyma wyobraźni Sylvię i ojca.

Blackstrap przysunął się bliżej.

– Niech ci się nie wydaje, chłopcze, że będziemy sobie zawracać głowę demokratycznymi zasadami. W tej kwestii nie masz wyboru. Im wcześniej się z tym pogodzisz, tym będzie ci łatwiej.

– Zostaniecie zatrzymani! – Will nie panował już nad swym gniewem. – Zatrzymani i... zredukowani!

Słyszając tę groźbę Blackstrap wznosił ręce ku niebu z udawanym przestraczem, po czym zachichotał: – Zredukowani! Słyszałeś, panie Smiggens? Litości! Will skinął głową w kierunku

Pięknutki.

– Szukają jej rodzice. Smiggens zamrugnął oczami.

– Chcesz przez to powiedzieć, że to nie jest dorosły osobnik?

– Zgadza się. – Zorientowawszy się, że zainteresował pierwszego oficera, Will postanowił to wykorzystać – Chyba nie myślicie, że ona jest całkiem dorosła?

– A w jakim jest wieku? – Smiggens przyłapał się na tym, że mimowolnie zerka w kierunku głównego kanionu.

– Jest jeszcze bardzo młoda. Nie potrafię tego przeliczyć na lata ludzkiego życia, ale tak naprawdę to jeszcze dziecko.

– A więc szczenię. To interesujące... Jak w takim razie wyglądają rodzice? – Wśród zebranych rozległy się nerwowe pomruki. Wielu piratów w ślad za Smiggensem zaczęło wpatrywać się w czeluść kanionu. Ale żaden z nich nie miał tak doskonałego wzroku, by wykryć obecność Chaza lub dobrze ukrytą rodzinę strutich.

– Nawet nie macie pojęcia, jacy mogą być. To trudne do wyobrażenia – odrzekł Will. – Rodzice Pięknutki wyglądają przy niej tak, jak wyglądałby lew lub tygrys przy domowym kocie.

Blackstrap wszedł między Willa a Smiggensa.

– O co znów chodzi? Czyż nie poradziliśmy sobie z powiększoną wersją tego diabełka? Chłopak robi, co może, żeby was przestraszyć. Czyż nie przegnaliśmy bestii z naszego obozu w dżungli?

– Wasza broń me powstrzymałaby wielkiego drapieżnika – powiedział z pełnym przekonaniem Wili. – Ani by go nie zniechęciła. Po prostu nie interesowaliście go.

Twarz Blackstrapa znalazła się nagle tuż przy twarzy Willa. Niski głos kapitana zabrzmiał groźnie:

– Cóż to, chłopcze? Chyba nie zamierzasz nazwać starego Brognara kłamcą, co?!

Pięknotka szarpnęła się w swych wieżach, ale nie mogła nic zrobić.

Will przełknął ślinę i odpowiedział szybko.

– Nie, skądże. Ja tylko... powiedziałem, jak według mnie powinno to wyglądać. Nie było mnie tam przecież.

– Nie. – Blackstrap wziął głęboki oddech i wyprostował się powoli. – Oczywiście, że cię tam nie było. Ale nie próbuj nas straszyć, chłopcze. Nie boję się niczego, co chodzi, fruwa albo pływa na tym świecie. – To godne podziwu, sir – powiedział cicho Will. – Gdyby jednak coś mogło pana przestraszyć, to na pewno rodzice Pięknutki.

Kilku mężczyzn roześmiało się nerwowo i Will zauważył, że bardziej boją się swojego kapitana niż jakiegokolwiek potwora.

– Wypocznijcie dobrze, chłopcy – polecił im Blackstrap. – Tu jesteśmy bezpieczni. Widzieliście, jak było z tymi czortami, co miały żagle na grzbietach. Nic większego od nas samych nie przecisnę się przez kanion i nie przyleżą tu żadne zębate bestie.

– Czy to znaczy, że dziś w nocy nie wystawiamy wart, kapitanie? – zapytał Thomas.

– Bez przesady, panie Thomas. To, że nie mogą tu dotrzeć dinozaury, nie znaczy, że nie mogą się pojawić ludzie. Na wypadek, gdyby jakimś trafem część z tego, co mówił chłopak, okazała się prawdą i ktoś by przyszedł go szukać, wystawimy posterunek. Nie w głowie mi bać się jakiejś bandy naukowców czy filozofów, ale nie życzę sobie, żeby podkradali się do mnie, gdy śpię sobie spokojnie na moim posłaniu. – Uśmiechnął się ironicznie. – Nie żebym wierzył, że ktoś może go tu odnaleźć, bo on sarn powiedział, że nikt nie zna tego miejsca. No, pora spać, chłopcy. Jutro weźmiemy, ile się da, i jazda z powrotem na okręt. Prościutko na „Kondora”.

– Trzykrotne „hurra” na cześć kapitana Blackstrapa! – zakrzyknął ktoś. Spontaniczny, potrójny okrzyk zabrzmiał tym razem ciszej niż zazwyczaj. Ludzie byli zmęczeni.

Will czekał cierpliwie, aż dwaj piraci przywiążą go do filara, który wcześniej służył za więzienie Hisaulka i Shremazy. Dał wprowadzić kapitanowi słowo honoru, ale Blackstrap nie był na tyle głupi, by stwarzać mu szansę ucieczki z obozu.

Kiedy prześladowcy zakończyli swoją robotę, sprawdził natychmiast więzy i stwierdził, że niestety są tak solidne, jak się tego obawiał. Przesuwając się tylną częścią ciała po twardym gruncie usiłował znaleźć najdogodniejszą pozycję do spania. Przywiązany nieopodal młody tyranozaur obserwował go w milczeniu. Twarz Pięknotki nie była wystarczająco wyrazista, by dało się na niej odczytać jakieś uczucia, lecz czuł, że stworzenie darzy go pewnym zaufaniem, jeśli nawet nie prawdziwą przyjaźnią, bo tego nie należało się raczej spodziewać. Tyranozaurowi nie przepadały nawet za towarzystwem swych pobratymców.

Dwaj piraci usadowili się po obu stronach więźniów. Najwyraźniej Blackstrap chciał mieć Willa bez przerwy na oku. Nikt nie zdołałby teraz złożyć w obozie nocnej wizyty. Udało się uwolnić strutich, ale Blackstrap nie należał do ludzi, którzy daliby się nabrać dwa razy na ten sam numer. Will zamknął oczy. Lepiej się trochę zdrzemnąć. Może rano przyniesie nowe pomysły.

– Co teraz robią? – Nie mogąc się już powstrzymać, Chaz wyrzwał zza ściany, służącej zbiegom za kryjówkę. Ponieważ nie widział w ciemności nawet w części tak dobrze jak sthuthiomimusy, i tak niewiele mógł zobaczyć, lecz czuł się lepiej, kiedy przynajmniej próbował. Keelk, Arimat i Tryli stłoczyły się tuż za nim.

– Wygląda na to, że układają się do snu – powiedziała cicho Shremaza ze swego stanowiska, położonego blisko szczytu ściany.

– Tak – przytaknął Hisaulk. – Zobacz, jak przysuwają się do ognia. On i jego towarzyska życia odwrócili się i zeskoczyli lekko na ziemię. Wszyscy stanęli w kręgu.

– Jak możemy pomóc Willowi? – Keelk bez obawy przemówiła w języku strutich, wiedząc że wszechstronny tłumacz zrozumie ją bez trudu.

– Musimy spróbować go uwolnić – mruknął Chaz. – Jak również młodego tyranozaura.

Hisaulk spojrzał na niego z góry.

– Nie mamy żadnych zobowiązań w stosunku do dzikiego mięsożercy.

– Wy nie. Ale ja i Will tak. Obiecaliśmy... obiecaliśmy to jej rodzicom.

– Do jakich to dziwnych porozumień zmusił nas ten cały osobliwy układ – zauważył Hisaulk.

– Nie możemy tam po prostu wtargnąć – ciągnął Chaz. – Will tłumaczył mi, co to jest ta „broń palna”. Może ona nie zrobić krzywdy wielkiemu drapieżnikowi, ale może łatwo pozbawić życia kogoś takiego jak my.

– Więc co nam pozostaje? – spytała Shremaza.

Hisaulk ogarnął wzrokiem całą rodzinę, dopiero od tak niedawna znów w komplecie. Wyglądało na to, że jeszcze raz będą musieli się rozdzielić.

– Spośród nas ja jestem najszybszy i najbardziej wytrzymały. Keelk i protoceratops mogą opisać mi ścieżkę, którą się tu dostali. Jeżeli nie będę musiał szukać drogi, dotarcie do Miasta Drzew i sprowadzenie pomocy zajmie mi o połowę mniej czasu niż zajęła im podróż tutaj.

– To bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. – Shremazie ze zrozumiałych powodów niezbyt podobał się ten pomysł.

– Keelk się udało. – Hisaulk spojrzał na córkę, która wyprężyła się dumnie. – Kiedy wyruszę, możecie dalej śledzić tych ludzi. Może nadarzy się okazja, by uwolnić Willa Denisona... i młodą tyranozaur. Chaz mógłby podsłuchiwać, co mówią ludzie, i tłumaczyć to wam. Muszę to zrobić. To

kwestia etyki. – Splótl swą szyję z szyją każdego z dzieci po kolei. – To będzie pożyteczne doświadczenie, aczkolwiek niebezpieczne. Potraktujemy to jako zabawę.

– To bardzo poważna zabawa. – Shremaza wpatrzyła się w wysokie ściany, otaczające kompleks dziwnych, złotych budowli. – Czy myślisz, mężu, że ten kanion lub tamten główny, którym oni przyszli, prowadzi przez całe góry aż do Niziny Północnej?

– Nie wiem. Ale znamy inny, który przecina góry. Może to oznaczać, że jest takich więcej. Jeśli w porę dotrę do Miasta Drzew i sprowadzę pomoc, powinno udać się zatrzymać tych ludzi, zanim dojdą do swego okrętu. – Czule owinał długą szyję wokół szyi swojej towarzyszki życia, najpierw z prawej, a potem z lewej strony. Dzioby cicho stuknęły o siebie.

– Będę cię szukał między lądem a morzem, tam gdzie czeka miłość. Dzieci, słuchajcie matki. Tłumaczu, czyn swoją powinność. Do zobaczenia. – Odwróciwszy się Hisaulk pognął biegiem przed siebie i wkrótce zniknął w czeluściach kanionu.

Shremaza cicho zawołała za nim:

– Pędź jak wiatr, mój mężu. Oddychaj głęboko i niech tylko cień twój ziemi dotyka.

Chaz wiedział, że głowa rodziny strutich ryzykuje życiem dla Willa. Ale Will zrobił przedtem to samo dla nich.

– Choć bardzo bym chciał, nie powinniśmy tu zostawać na całą noc. Jeden ze strażników może się tędy przespacerować. Myślę, że lepiej będzie wrócić do głównego kanionu i tam się przespać. Nie ma powodu, by mieli się zapuszczać aż tam. Zwłaszcza w nocy.

– Słusznie. – Shremaza przygarnęła do siebie dzieci. – Wszystkim nam dobrze zrobi porządnie przespana noc.

– Jak ludzie mogą być tacy dziwni? – Keelk odwróciła się i wyciągnęła szyję, by spojrzeć za siebie na obóz piratów widoczny poza ścianą.

– Nie mam pojęcia. – Chaz myślał już o następnym poranku. – Will mówił, że w zewnętrznym świecie ludzie walczą ze sobą o kawałki skały i metalu. To dziwaczne i wprost niepojęte.

– Czy brakuje im jedzenia albo nie mają gdzie spać? – zdziwił się Arimat.

– Niektórym tak. Ale jeśli wierzyć słowom Willa, jedno z drugim ma niewiele wspólnego. Nawet nie próbuje tego zrozumieć. Jestem tylko tłumaczem.

Następnego ranka niebo zasnuwane było ciemnymi, groźnymi chmurami, ciężkimi od deszczu. Will wątpił, czy warto o tym wspominać prześladowcom. Blackstrap powiedział mu przecieź, że ani on, ani jego załoga nie przestraszą się żadnej niepogody. Z tego, co poprzedniej nocy zauważył i usłyszał Will, wynikało, że nie ma podstaw, by wątpić w słowa kapitana.

Nie przeżywszy jeszcze ani razu uderzenia powtarzającego się co sześć lat wielkiego sztormu, nie miał pojęcia, czy okręt stojący na kotwicy w północnej lagunie zdoła je wytrzymać. Jeśli tak, to nie miał wątpliwości, że Blackstrap dotrzyma słowa i znajdzie lub utworzy sobie drogę przez rafy na pełne morze. Will postanowił, że raczej wyskoczy za burtę, niż opuści Dinotopię. Wzdrygnął się widząc oczami wyobraźni, jak ciężko płynie do brzegu. A czy młody tyranozaur potrafi pływać? Mogła nadarzyć się okazja, by się o tym przekonać.

Jeden z piratów przyniósł Willowi śniadanie. Była to breja składająca się z wody, kukurydzy, konserwowej wołowiny i solonej wieprzowiny, rozgotowanych razem. Z boku leżał jeszcze suchar. Daleko było temu niestrawnemu pożywieniu do świeżych owoców, warzyw i ryb z Miasta Drzew. Wiedząc jednak, że musi zachować siły, Will zmusił się do przeżucia i przełknięcia tej papki. Pięknotka przyglądała się temu bez komentarza. Tyranozauury mogły długo wytrzymać bez jedzenia.

Panna tyranozaur nie była jedynym towarzystwem Willa podczas śniadania. Dwaj strażnicy pełniący akurat wartę przycupnęli w pobliżu, delektując się swymi porcjami, jakby zajadali frykasy godne podniebienia wybrednego smakosza. Rzut oka wystarczył, by przekonać się, że w zasięgu głosu nie ma ani Blackstrapa, ani nikogo innego spośród członków załogi.

– Nie wiem, jakie dotychczas wiedliście życie – zaczął Will tonem towarzyskiej pogawędki – ale Dinotopia daje możliwość zaczęcia wszystkiego od nowa.

Copperhead trącił łokciem swego towarzysza.

– Słyszysz? Zaraz nam powie, że to raj na ziemi,

– Taaa... istny raj – parsknął Thomas. – Dla smoków. Nie... zaraz... Jak je nazwał pan Smiggens? Dinozauury? Tak. Raj dla dinozaurów, które próbują człowieka pożreć.

– Tak jest tylko w Deszczowej Dolinie – zapewnił go Will. – Tam właśnie żyją wszystkie duże drapieźniki. Reszta Dinotopii jest całkiem bezpieczna. Nie macie pojęcia, jaki to piękny kraj. Wieczna kołysanka w Mieście Wodospadów, klasycystyczne wspaniałości Sauropolis, sielski urok Miasta Drzew i Rogu Obfitości, ciche zatoczki i plaże, farmy rozrzucone pośród falistego krajobrazu i sady pełne soczystych owoców...

– Hej! To rzeczywiście raj! – zachichotał Copperhead. – Tylko jak dla mnie, za dużo tu chyba roboty. – Thomas podzielał rozbawienie kolegi.

Will zawahał się. Jego ręka, w której trzymał drewnianą łyżkę, zamarła w połowie drogi do ust.

A piractwo to nie praca i w dodatku niebezpieczna? Na farmie, podczas łowienia w rzece ryb czy w sklepie nikt przynajmniej nie próbuje człowieka zabić.

Uśmiech Copperheada przybladł.

– Wtrącili mnie do więzienia za kradzież bochenka chleba. A chciałem tylko pomóc siostrze wyżywić jej rodzinę. Potem sprawy szły coraz gorzej, aż skończyłem na pokładzie „Kondora” i wszystko się zmieniło.

– Ja całe życie pracowałem na polach trzcinowych. Dalej bym tam był, gdyby nie kapitan Blackstrap. – Thomas wojowniczo wysunął dolną wargę.

– On też może zostać – zapewnił obu piratów Will. – Nie ma znaczenia, co robiliście w

zewnątrznym świecie. Każdy, kto zostanie wyrzucony na brzeg, zaczyna nowe życie. Nieważne, kim się było przedtem. To naprawdę szansa, by zacząć wszystko od nowa.

– Wszystko jedno... – Copperhead machnął łyżką. – Jeśli władze znajdą nas tutaj, będziemy wisieć. – Nie mam pojęcia, jak udało wam się przybić do brzegu nie uszkodzonym okrętem. Wasz statek może być pierwszym w historii Dinotopii, który tego dokonał. Ale musiał to być wyjątkowy wypadek, wydarzenie tak niezwykle, że jest wręcz nieprawdopodobieństwem, by coś takiego mogło się powtórzyć, nawet gdyby jakiś okręt wojenny potrafił znaleźć nasz łąd. Wiem również, że bez względu na to, co mówi kapitan Blackstrap, wypłynięcie z laguny z nie naruszonym kadłubem będzie o wiele trudniejszym przedsięwzięciem niż wpłynięcie do niej. Wiatry i prądy morskie wokół Dinotopii roztrzaskują statki.

– To prawda... – mruknął zamyślony Thomas. – Widzieliśmy wiele wraków.

– Każdy rozbitek staje się automatycznie obywatelem Dinotopii. Mamy tu oczywiście różne problemy, ale to nic w porównaniu z Ameryką czy Europą. Nawet wielkimi mięsożernymi drapieżnikami tak naprawdę nie należy się przejmować, ponieważ teren ich działania ogranicza się do Deszczowej Doliny. Wszystkie pozostałe dinozaury działają ramię w ramię z ludźmi.

– Jak te, które uwolniłeś – przypomniał mu ponuro Thomas. Will nie dał się zbić z tropu.

– Tak. Jak one. Zobaczycie, że są podobne do nas. Większe czy mniejsze, ale to prawie ludzie. Wszyscy tu jesteśmy po prostu pracującymi wspólnie obywatelami Dinotopii. Możecie się przyłączyć.

– Nie jestem pewien, czy miałbym ochotę pracować razem ze zbieraniną z całego świata – stwierdził Copperhead. – Chin-lee na pewno jest w porządku, ale całe miasto Chińczyków? No, nie wiem...

Will uśmiechnął się uspokajająco.

– Wierzcie mi, że kiedy pierwszy raz odbierzecie pocztę od gallimimus, staniecie za pługiem ciągniętym przez triceratopsa lub znajdziecie się na boisku w towarzystwie kilku ankylozaurów, będziecie się dziwić, dlaczego kiedykolwiek patrzyliście krzywo na kogoś, kto ma inny kolor skóry niż wy lub inny kształt oczu. – Smutno pokiwał głową. – A co was czeka, gdy będziecie już za starzy, by ciągle uciekać? Zakładając, że będziecie żyć dostatecznie długo, by zdążyć się zestarzeć.

– No cóż... – odrzekł Copperhead. – Przynajmniej będziemy wiedzieli, że żyliśmy!

– Tu też będziecie to mogli powiedzieć. W Dinotopii można robić więcej ekscytujących rzeczy, niż potrafię wymienić. Pomyślcie o tym! Wasza przeszłość przestanie istnieć, jakby jej w ogóle nie było. – Will skoncentrował się na Copperheadzie, starając się podtrzymać jego zainteresowanie. – Mówił pan, że został aresztowany za kradzież bochenka chleba. Nikt się tutaj o tym nie dowie, a zresztą nikogo by to nie obeszło. Jak zresztą cała pańska przeszłość. – Przeniósł spojrzenie na Thomasa. – To samo dotyczy pana. Obaj możecie tu założyć nowe rodziny.

Po raz pierwszy w oczach Thomasa pojawił się błysk prawdziwego zainteresowania.

– Są tu kobiety?

– Kobiety z każdej części świata! Z każdej cywilizacji! – Will nie mógł się powstrzymać od myślenia o Sylvii. – Istnieje wolność zawierania wszelkich związków. – Miał nadzieję, że dobrze to ujął. Wciąż niewiele wiedział na ten temat. – Każdy z was mógłby założyć rodzinę i stać się odpowiedzialnym członkiem wyjątkowej społeczności. Czy możecie powiedzieć, że gdziekolwiek indziej na świecie otwierają się przed wami takie możliwości? – Zniżył głos do błagalnego szeptu. – Czy naprawdę wasze obecne życie jest tak wspaniałe, że nie warto nawet rozważyć innych perspektyw?

Copperhead wyglądał na zakłopotanego.

– Cóż... muszę wyznać, że bywają chwile, kiedy leżę pod pokładem nie mogąc zasnąć, patrzę w górę, statkiem miotają potężne fale, wszystko wokół jest mokre i wtedy myślę sobie, jak dobrze byłoby znaleźć się w suchym, ciepłym, prawdziwym łóżku i nie zastanawiać się, czy następny pocisk armatni, wystrzelony z wojennego okrętu, nie urwie mi nóg.

– Święta racja – przyznał Thomas. – Pochodzę z wysp, gdzie wszyscy wciąż jeszcze mówią o Henrym Morganie i jemu podobnych. Ale nie jest już tak jak za jego czasów. Korsarstwo to teraz ciężki kawałek chleba. W końcu mamy już dziewiętnasty wiek.

Copperhead otrząsnął się nagle z nastroju, w jaki wprawiły go idylliczne wizje.

– Po co ta czcza gadanina? Nie możemy nic zrobić, żeby zmienić naszą sytuację. Bo niby jak? Mamy pójść do Blackstrapa i powiedzieć mu, że zamierzamy zdezerterować? A potem stanąć na plaży i pomachać mu na do widzenia koronkową chusteczką?

Thomas pokiwał głową ze znajomością rzeczy.

– Powiesiłby nas jako buntowników, którzy pogwałcili umowę obowiązującą na „Kondorze”. Nowe życie nie jest dla człowieka, który ma stryczek na szyi. – Jamajczyk spojrzał groźnie na Willa. – Zapomnij o tym, chłopcze. Osiadły tryb życia lądowego szczura to nie dla nas. Zwiąaliśmy nasz los z Blackstrapem. Tak sprawy stoją. – Ale tutejsze władze zapewniłyby wam ochronę – wyjaśnił Will. Rozterka Copperheada była wyraźnie wypisana na jego twarzy,

– Ani słowa więcej, chłopcze. Ani słowa więcej na ten temat! – Oparł dłoń na karabinie.

Willa nie zaniepokoił ten gest. Wiedział, że nie odważą się go tknąć bez wyraźnego rozkazu kapitana. Na wszelki wypadek jednak zamilkł. Zasiał ziarno i widział, jak kiełkuje. Obaj mężczyźni dumali o lepszym życiu niż korsarstwo. Miał nadzieję, że napomkną o tym swoim kamratom. Gdyby udało mu się nakłonić znaczną część załogi do rozważenia możliwości opuszczenia statku, może piraci zdobyliby się na tyle odwagi, by zbuntować się przeciwko Blackstrapowi.

Po porannym posiłku mężczyźni zaczęli zbierać się do drogi. Z kieszeniami pełnymi klejnotów, wydłubanych ze ścian i z rzeźb, i z tobołami ciężkimi od złotych cegieł skierowali się nie do głównego kanionu, lecz do drzwi centralnej świątyni.

– Kapitan jest człowiekiem, który nie opuszcza żadnego miejsca bez dokładnych oględzin – wyjaśnił Smiggens w odpowiedzi na pytanie Willa, Jeszcze raz wspinałe drzwi z różowego kwarcu ustąpiły piratom. Wszyscy znaleźli się w bogato ozdobionym korytarzu. Will podziwiał rzeźby, dekoracje ścienne, reliefy i mozaiki. Ileż Nallab dałby za to, by się tu znaleźć! – pomyślał, rozglądając się ze zdumieniem.

Korytarz rozwidlał się. Prowadzeni przez Smiggensa piraci wybrali lewe odgałęzienie, wiodące do centralnego punktu budowli. Szyby z czystego kwarcu wpuszczały światło, które odbijało się tysiącem kolorów w półszlachetnych kamieniach zdobiących ściany. Tak mistrzowskiej roboty Will nie widział jeszcze nigdzie w Dinotopii. Kto zbudował to wszystko i po co? Był tak zaintrygowany, że niemal zapomniał, iż jest więźniem. Przypominały mu o tym pomruki Pięknotki idącej za nim.

Piraci posuwali się w niezwyklej ciszy, onieśmieleni otaczającym przepychem. Zanim dotarli do pary solidnych, wymyślnie rzeźbionych ametystowych drzwi, ich skromny zasób słów zdolnych wyrazić zachwyt dawno się wyczerpał. Johanssen spróbował pchnąć drzwi, które ku jego zdumieniu rozchyliły się bezszelestnie. Mimo znacznego ciężaru były doskonale wyważone i lekko poruszały się na kamiennych trzpieniach.

Znaleźli się w okrągłym pomieszczeniu, którego wysokość przekraczała sto stóp. Był to rodzaj atrium. Bujna roślinność z Deszczowej Doliny wypuszczała liście w kierunku odległego światła przedostającego się przez sufit. Umieszczony tam świetlik o średnicy sześciu stóp był wycięty z

jednego kawałka żółtego diamentu.

Złote ściany pokrywały mozaiki. Większość przedstawiała formy życia w morzu z okresu kambru. Will podziwiał ułożoną z agatów hallucinogenię, choć nie miał pojęcia, co to właściwie jest. Sądząc po wyglądzie stworzenia sama natura nie była chyba tego pewna.

Stało tu kilka drewnianych, ręcznej roboty mebli. Mocne drewno wydało się piratom przyjemnie swojskie na tle obecnego wszędzie złota i klejnotów. Pod najdalszą ścianą stało niskie, okrągłe łóżko przypominające gniazdo. Było uplecione z trzciny i wyłożone palmowymi liśćmi. Ktoś w nim leżał.

– Czy to jest martwe? – wyszeptał Samuel, gdy stłoczyli się wokół łóżka.

– To mumia – zapewnił O’Connor. – Mumia jak nic. Widziałem takie w British Museum.

Nieruchoma figura była odziana w szaty ascety, który wybrał życie w samotności poświęcając się kontemplacji. Miała skrzyżowane nogi, sterczący z tyłu ogon, głowę opuszczoną na pierś i wydawała się nie oddychać. Will zwrócił uwagę na wielkie pazury przednich łap samotnego mieszkańca świątyni, w skomplikowany sposób splecione ze sobą. Wygląd całej postaci zdawał się świadczyć o zadowoleniu z losu i o głębokim wewnętrznym spokoju. Choć samotnik był dużym okazem jak na przedstawiciela swojego gatunku, w pozycji stojącej nie byłby wyższy od Chin-lee.

Nawet Blackstrapowi udzieliła się powaga chwili.

– No, chłopcze? Jaki to rodzaj smoka?

– Deinonychus. One są bardzo zręczne i często pracują jako skryby. Nie mam pojęcia, co tutaj robi jeden z nich.

– Spójrzcie na te pazury na rękach i stopach – wygłosił swój komentarz Watford. – Zobaczcie, jaki ma duży środkowy paluch. Jak jakaś cholerna kosa!

– I zęby – mruknął Andreas. – To nie roślinożerca.

– Deinonychusy bardzo lubią skorupiaki – poinformował ich Will.

– Jak dobrze zachowany... – Smiggens zbliżył się do postaci. – Może umarł dopiero niedawno, co, Denison?

Wdzięczny za to, że ktoś wreszcie zwraca się do niego po nazwisku, Will wypowiedział swoje zdanie:

– Ma na sobie szaty ascety. Przybył tu, by znaleźć spokój.

– Powiedziałbym, że cholernie dobrze trafił. – O’Connor uważnie oglądał wspaniale ozdobione ściany. – Uwaga! – rozległ się nagle czyjś krzyk. Drobna postać zaczęła się poruszać.

Dźwięk, który się następnie rozległ, przypominał inwazję świerszczy. To wszystkie karabiny i pistolety zostały pośpiesznie odbezpieczone i uniesione do strzału. Głowa deinonychusa z wolna powędrowała do góry. Oczy otworzyły się i obrzuciły przybyłych przytomnym spojrzeniem. Skrzyżowane nogi i splecione ręce pozostały nieruchome.

– Muszę stwierdzić – zauważył samotnik, posługując się doskonałą, choć trochę przesadnie akcentowaną angielszczyzną – że upłynęło dużo czasu od chwili, gdy po raz ostatni miałem gości.

– A niech mnie! – wykrzyknął O’Connor. – Ten mały smok gada!

– A nie mówiłem?! – Will zwrócił się do wszystkich, którzy chcieliby go słuchać. – A nie mówiłem?! – Czego nie dodał, to tego, iż jest to pierwszy dinozaur, jakiego spotkał, poza protoceratopsem oczywiście, mówiący ludzkim językiem. I to nie używanym w Dinotopii narzeczem wywodzącym się z łaciny, lecz angielskim! Zaiste, musiał to być wielce uczone dinozaur!

– Zauważcie, jak gardłowo wymawia „r” – mruknął Watford. – Jakby pochodził z jakiegoś cholernego Glasgow.

Myśli Blackstrapa biegły innym torem.

– Ha! To może się przydać. Podeszedł do łóżka-gniazda i stanął obok, górując jak wieża nad

przycupniętym deinonychusem. – Mieszkasz tu?

– Tak, Z własnego wyboru. – Asceta nieznacznie zmienił pozycję. – Jestem Tarqua.

Smiggens przyglądał się niewiarygodnie wysokiemu szybowi wznoszącemu się nad jego głową.

– Musisz czuć się raczej samotny.

Deinonychus zwrócił swój zębaty pysk w kierunku pierwszego oficera.

– Tam, gdzie są rozmyślania, nie ma samotności.

– Oho! – Blackstrap uśmiechnął się ironicznie. – Zdaje się, że mamy tu filozofa.

Will wystąpił naprzód.

– Powiedz mi, o pogrążony w zadumie, co tutaj robisz? – Był całkiem pewien, że dobrze wie, ale chciał, by deinonychus przyjrzał się jego więzom.

Tarqua natychmiast je zauważył.

– Jesteś związany. – Jego czujne spojrzenie powędrowało od Willa do Pięknotki. – Młody rex, którego widzę wśród was, jest skępowany podobnie jak ty. Cóż to za dziwny sposób podróżowania? Blackstrap leniwie przesunął palcami po rękojeści swego myśliwskiego noża.

– Śmiało, chłopcze. Możesz mu powiedzieć.

Will wyjaśnił sytuację. Deinonychus wysłuchał go w milczeniu, po czym westchnął:

– To smutne, że docierają do nas z zewnętrznego świata tak złe obyczaje.

– Nie interesuje nas twoja opinia. – Blackstrap pochylił się groźnie do przodu. – Chłopiec pytał cię, co tutaj robisz.

Zwężona źrenica spoczęła na kapitanie.

– Rozważam wielkie tajemnice. Sprzyja temu cisza i odosobnienie.

– Cisza i odosobnienie, co? – Blackstrap cofnął się i wskazał na otaczające ich ściany inkrustowane klejnotami. – Bardziej wygląda mi na to, że napawasz oczy tym bogactwem.

– Bogactwem? – zdziwił się Tarqua. – Nie ma tu żadnego bogactwa, poza bogactwem kolorów. A prawdziwym skarbem jest cisza. Ale rozumiem, o czym mówisz. Czytałem wiele źródeł historycznych i wiem, że w zewnętrznym świecie ludzie z niezrozumiałych powodów pożądamy łez ziemi. Są nimi oślepieni, ale bardzo rzadko widzą i rozumieją ich prawdziwe piękno.

– W końcu znaleźliśmy jednego z tych inteligentnych dinozaurów chłopaka – stwierdził Smiggens. – Ale mówi zagadkami.

– Nieważne. – Blackstrap odprężył się i znów poczuł swobodnie. – Może sobie siedzieć na zadzie i kontemplować do woli. Zostawimy go z jego ciszą. – Na jego twarzy zagościł nieprzyjemny, szyderczy uśmiech, gdy wskazał mozaikę przedstawiającą stado Orthocera, płynące przez szafirowe morze. Najbardziej wyeksponowany okaz miał wielkie, czerwone oko.

– Ale nie z tym rubinem. Zanim odejdziemy, znajdzie się w mojej kieszeni. – Wyciągając zza pasa groźnie wyglądający nóż, postąpił krok w kierunku ściany.

Deinonychus w oka mgnieniu zerwał się z posłania i zastąpił mu drogę.

– Zostaw to. Blackstrap zatrzymał się.

– Ooo? A niby dlaczego? Myślałem, że skarby nic cię nie obchodzą.

– Powiedziałem prawdę. Ale, jak nazywam się Tarqua, nie pozwolę, by integralność wewnętrznej świątyni została naruszona. W tym pomieszczeniu wszystko ma pozostać na swoim miejscu.

– Doprawdy? Palce Blackstrapa zacisnęły się na rękojeści noża. Smiggens przyjrzał się imponującej kolekcji pazurów deinonychusa.

– Kapitanie, mamy mnóstwo łupów. Może byłoby lepiej...

– Zaniknij się, Smiggens. Ja i ten tutaj Pan Filozof omawiamy właśnie ważne sprawy.

Pierwszy oficer ugryzł się w język.

Gatunek, którego przedstawicielem był Tarqua, należał do rodziny dromaeozaurów, będących z natury takimi samymi drapieżnikami jak wszyscy mieszkańcy Deszczowej Doliny. Jednak dromaeozaurowi dawno już zrezygnowały z prymitywnego życia, stając się szanowanymi członkami cywilizowanej części społeczeństwa Dinotopii. Will znał osobiście kilka z nich. Do tej liczby należał Enit, szef biblioteki w Mieście Wodospadów. Do tej pory nigdy nie uważał ich zębów i pazurów za broń ofensywną. Wszystkie dromaeozaurowi i deinonychusy, które znał, były molami książkowymi.

– Nadarza się wspaniała okazja powiększenia naszych prywatnych zbiorów zoologicznych – powiedział Blackstrap zwracając się do załogi. – Co wy na to, chłopcy? Jeśli nasz diabełek przyniesie nam zysk w wysokości dziesięciu tysięcy funtów, to ile będzie wart okaz, który mówi? Jak myślicie?

Pierwszego oficera nagle oświeciło. Natychmiast znalazł się u boku kapitana, szepcząc pośpiesznie:

– Brognar, czy nie rozumiesz, co to wszystko znaczy?! Chłopak przez cały czas mówił prawdę! Te stworzenia są inteligentne! Tworzą tutaj pewien rodzaj unikalnej cywilizacji!

– Odczep się, panie Smiggens. – Blackstrapa niełatwo było przekonać. – Jeden mówiący dinozaur nie tworzy żadnej cywilizacji. – Uśmiech powrócił na jego oblicze. – A poza tym, kiedy to miałeś coś przeciwko inteligentnym jeńcom na pokładzie? Zapomniałeś już, jak handlowaliśmy niewolnikami na Nowej Gwinei i wyspach Fidżi?

Nie zwracając sobie dłuższej głowy pierwszym oficerem, kapitan spojrzał ponad jego głową na załogę i podniósł głos:

– Ludzie! Ta gadająca papuga jest warta minimum dwadzieścia tysięcy funtów. To więcej niż jej waga w złocie. Do tego może pójść sama. Mamy jeszcze tyle lin, żeby dołączyć ją do naszej kolekcji.

– No, nie wiem, kapitanie... – Samuel przyjrzał się niepewnie milczącemu deinonychusowi. – Ma kupę pazurów.

– Czego się boicie? – Blackstrap spojrzał groźnie na załogę. – Przecież to jest mniejsze od najmniejszego z was. Taki orzeł bez skrzydeł. Otoczcie go i nie będzie problemu. Rozciągając sieci i liny, tuzin piratów okrążyło gniazdo-łóżko i jego właściciela. Nawet nie próbując uciekać, Tarqua spokojnie obserwował zbliżających się ludzi. Will wstrzymał oddech. Nawet Pięknotka przyglądała się temu z uwagą.

Suarez zrobił pierwszy krok i wyrzucił w kierunku głowy ascety linę zakończoną pętlą. W ostatnim możliwym momencie Tarqua wyskoczył w powietrze i wykonał wspaniałe salto. Wielki, podobny do sierpa pazur środkowego palca jego nogi błysnął przez ułamek sekundy, rozległ się cichy świst i samotnik wylądował dokładnie w tym samym miejscu, w którym przedtem siedział. Tylko lekkie fałdki na jego szacie wskazywały, że się poruszył.

Czysto przecięte w trzech miejscach sieci, splecione z konopnej liny o średnicy pół cala, opadły nie wyrządzając mu najmniejszej szkody na gładką, złotą podłogę.

Kilku następnych piratów ponowiło próby. Za każdym razem rezultat był ten sam. Tarqua wciąż pozostawał wolny, a na podłodze rósł stos równo pociętych sieci i lin. Mężczyźni spojrzeli pytająco na kapitana, oczekując instrukcji.

W głosie Blackstrapa był raczej podziw niż niezadowolenie:

– Taaa... To robi wrażenie. Jak na takiego, co twierdzi, że tylko siedzi i kontempluje, jesteś cholernie szybki, mały dinozaurze. Powiedziałbym, że przyparty do muru mógłbyś równie dobrze medytować za pomocą pięści i nóg.

Tarqua wytrzymał miażdżące spojrzenie kapitana bez mrugnięcia okiem.

– To stara, ciekawa sztuczka. Nauczyłem się jej od ludzi, których przodkowie przybyli do Dinotopii z Chin i Korei. Zmodyfikowałem ją nieco na własne potrzeby. Uprawianie kata uspokaja mnie. Daje odprężenie zarówno w sensie fizycznym, jak i psychicznym.

– Uspokaja, co? Spodziewam się, że byłbyś w stanie uspokoić człowieka na wieki, przecinając go od brzucha do kręgosłupa tymi pazurami. Oczywiście jako filozofowi i tak dalej nigdy nawet do głowy by ci to nie przyszło.

Tarqua nie spuszczał oka z Blackstrapa i przez moment Willowi wydawało się, że kapitan piratów wzdrygnął się. Deinonychus mógł sobie być cywilizowany, nawet bardzo cywilizowany, ale gdzieś głęboko wciąż drzemały w nim wspomnienia o dawnych czasach, gdy przedstawiciele jego gatunku, zbici w okrutne stada, polowali bezlitośnie na dużo większe dinozaury. Teraz był to ledwie przebłysk uspiętego instynktu, ale wywarł on na kapitanie widoczne wrażenie. Mkuse smętnie spojrzał na trzymany w dłoni koniec równo uciętej liny.

– To równie dobrze mogła być moja ręka, kapitanie.

– Przecież widzę. – Blackstrap stracił swój dobry nastrój. Pomijając obecność zębów i pazurów, miał przed sobą przerośniętego kurczaka o manierach biskupa, który pokonał go wzrokiem!

– Ciekaw jestem, czy potrafi być taki szybki, żeby przeciąć pocisk – powiedział cofając się o krok i wyciągając zza pasa jeden ze swych dwóch pistoletów. Widząc to reszta załogi poszła w ślady kapitana. Uniosły się gotowe do strzału karabiny. Tarqua przyglądał się temu bez emocji.

Will zeszytywniał nie wiedząc, jak zareagować i czy w ogóle powinien próbować coś zrobić. Napięcie w świątyni było niema! namacalne. Patrząc na chłodnego, opanowanego i wyjątkowo pewnego siebie deinonychusa zaczął się zastanawiać, czy przypadkiem dinozaur nie potrafi zmienić toru lecącego w jego kierunku pocisku.

Ale nie nadarzyła się okazja, by się o tym przekonać. Smiggens był tym, który rozsądnie przerwał chwilową, groźną ciszę, mogącą mieć tragiczne następstwa.

– Kapitanie – szepnął do Blackstrapa. – Mamy tyle skarbów, ile możemy udźwignąć i w każdej chwili możemy wrócić po więcej. Można będzie zabrać więcej ludzi z okrętu i więcej brom, jeśli zajdzie taka potrzeba. Po co ryzykować konfrontację z tym stworzeniem, skoro nie jest to w tej chwili konieczne? Wygląda na to, że jeśli zostawimy w spokoju jego sanktuarium, ten asceta nie będzie mieć nic przeciwko temu, byśmy zabrali całą resztę. Czy naprawdę warto narażać życie choćby jednego człowieka po to tylko, by pokonać tego dinozaura?

Blackstrap uważał, że rzucono mu wyzwanie, a w jego charakterze leżało to wyzwanie podjąć. Ale była pewna przyczyna, dla której Smiggens został pierwszym oficerem. Czasem, nie zawsze, ale niekiedy jego zdrowy rozsądek potrafił wygrać z wrodzoną zapalczywością Blackstrapa. To właśnie umiejętności stosowania się do rad innych kapitan w głównej mierze zawdzięczał, że wciąż mógł operować na rozległych wodach, podczas gdy wielu jemu podobnych gniło w obcych więzieniach... lub w grobach.

Nie odrywając wzroku od deinonychusa wolno wsunął pistolet do kabury.

– Masz rację, panie Smiggens. Masz rację. Opuśćcie broń, chłopcy. – Zmusił się do uśmiechu. – W końcu jesteśmy w miejscu przeznaczonym do kontemplacji i zachowania ciszy, czyż nie? Nie ma powodu, by burzyć ten spokój. – Will usłyszał westchnienie ulgi uspokojonych piratów. Żaden z nich nie palił się do walki z samotnym mieszkańcem świątyni.

Starając się obrócić całe zajście w żart, Blackstrap skłonił się przed gniazdem-
łożkiem i powiedział ironicznym tonem:

– Proszę wybaczyć, że przeszkadzamy. Już się stąd wynosimy, nie wyrządziliśmy żadnej szkody.

– Ależ, kapitanie... – zaczął Suarez pomny tego, co Blackstrap mówił na temat potencjalnej wartości deinonychusa.

Wielki mężczyzna spojrział na niego surowo.

– Powiedziałem, że wychodzimy, panie Suarez. A jeśli ten tobół na twoim grzbiecie nie jest jeszcze wystarczająco pełny, by cię zadowolić, to jestem pewien, że znajdzie się dla ciebie więcej złota do dźwigania.

Zdumiony marynarz zamilkł.

Odgadnięcie dokładnego wieku deinonychusa było niemożliwe, ale Will ocenił, że jest on jednym ze starszych osobników swego gatunku. Mimo swoich lat zeskoczył jednak lekko z posłania na podłogę. Piraci zdrętwieli.

– Jest jeszcze jedna sprawa.

Blackstrap groźnie zmarszczył brwi. Był przyzwyczajony do stawiania warunków, a nie do ich przyjmowania.

– A cóż to takiego, Panie Filozofie?

Smiggens położył dłoń na ramieniu kapitana, ale ten strącił ją poirytowany.

– Obiecacie mi, że kiedy stąd odejdziecie, nigdy tu już nie wrócicie. Słuchałem waszych rozmów przez więcej niż jeden dzień, a to o dzień za długo. By kontemplować, muszę mieć absolutny spokój.

Szeroki uśmiech, który wykrzywił twarz kapitana, był tym razem naturalny.

– Ależ, panie Tarqua! Nie będzie z nami żadnych kłopotów. Dosłownie żadnych, sir. Widzi pan, problem polega na tym, że jesteśmy tu obcy i mamy pewne trudności ze znalezieniem drogi. Żeby więc mieć pewność, że znikniemy sprzed pańskich ślepi... och proszę mi wybaczyć, sprzed pańskich oczu, tak szybko jak tylko się da, może byłby pan tak uprzejmy i wskazał nam najkrótszą drogę stąd na Nizinę Północną? – Blackstrap mrugnął porozumiewawczo do Smiggensa, a pierwszemu oficerowi nie pozostawało nic innego, jak tylko podziwiać szybkość, z jaką kapitan wykorzystał to niefortunne spotkanie do swoich celów. Obietnica Blackstrapa była, rzecz jasna, warta mniej więcej tyle ile liście, którymi wyścielone było posłanie ascety. Albo jeszcze mniej.

– Na Nizinę Północną? – Tarqua wyglądał na zaskoczonego, ale podniósł zakończoną pazurami dłoń i wskazał w kierunku północno-zachodnim. – Skręćcie za świątynią. Zobaczycie trzy rozpadliny w skalnej ścianie zamykającej dolinę. Wejdziecie w tę po lewej stronie. Miejscami jest tak wąska, że człowiek czy deinonychus musi się odwracać bokiem, by się przez nią przecisnąć. – Przyjrzał się krytycznie potężnemu mężczyźnie. – Będziesz musiał głęboko wciągnąć powietrze. Ale ten wąwóz prowadzi przez całe Góry Grzbietowe i jeśli podążycie tą trasą, wyjdziecie w końcu na Nizinę Północną zgodnie z waszym życzeniem. A teraz pośpieszcie się, bym mógł jak najszybciej odzyskać ciszę i spokój. – Jednym skokiem znalazł się z powrotem na posłaniu i usadowił się w odpowiedniej do medytacji pozycji. Skrzyżował ręce na piersi, opuścił głowę i zamknął oczy.

– Ależ naturalnie, Wasza Dinozaurowatość! Już nas tu nie ma. – Blackstrap skinął na załogę. – Chodźcie zatem, ludzie. Słyszeliście, co powiedział Jego Dostojność. Znikamy stąd, ale już!

Wychodzący rzędem marynarze bacznie uważali, by trzymać się jak najdalej od podejrzenia nieruchomego deinonychusa. Otoczony przez piratów Will zamierzał coś krzyknąć na pożegnanie w nadziei, że tak świątły dinozaur zaprotestuje przeciwko jego uwięzieniu. Wprawdzie jeśli się poznało absolutnie aspołeczne nastawienie deinonychusa, wydawało się to mało prawdopodobne, lecz uznał, że warto przynajmniej spróbować.

Nie dostał jednak takiej szansy. Odgadując jego zamiary Johanssen zakrył mu usta wielką, stwardniałą dłonią i powiedział z ironicznym uśmiechem:

– Zapomnij o tym, chłopcze. Nie chcemy przecież dłużej przeszkadzać staremu smokowi w jego medytacjach, prawda?

Will starał się oswobodzić z uścisku pirata, ale nie był w stanie. Przy pomocy kompanów Johanssen wypchnął go z pomieszczenia. Mając mocno związane szczęki, Pięknotka nie mogła nawet myśleć o skorzystaniu z okazji, by poskarżyć się na swój los.

Mniej więcej w godzinę po opuszczeniu przez piratów świątyni Tarqua na krótko podniósł głowę, powiódł spojrzeniem po swym pustym sanktuarium, zamruczał we własnym języku coś o „złej karmie”, po czym z powrotem pogrążył się w głębokiej kontemplacji. – O czym ty mówisz, mędrco? Co masz na myśli? Tarqua wskazał pyskiem niebo.

– Chodzi mi o sztorm, który od dawna zbiera siły, by uderzyć. On nie ominie Dinotopii, lecz przejdzie dokładnie nad nią. Wyczytałem to z chmur i z gwiazd. Jeśli znacie historię waszej ziemi, to wiecie również, który rejon ucierpi najbardziej.

– Oczywiście, że wiemy – pochwalił się Chaz. – Nizina Północna. Każdy to wie.

Deinonychus ze smutkiem opuścił głowę.

– A zatem musicie też wiedzieć, że jeśli ten sztorm będzie naprawdę potężny, a obawiam się, że tak się właśnie stanie, to na nizinach nikt nie ma szansy przeżycia. Ani wasz przyjaciel, ani ci, którzy uwięzili go wbrew jego woli, ani nawet tyranozaur. – W tym momencie, jakby przywołany słowami ascety, dał się słyszeć potężny grzmot, który przetoczył się gdzieś wśród niewidocznych turni Gór Grzbietowych.

Oczywiście nie przeszedł nie zauważony.

– Już się zaczyna – zauważył asceta.

– Ale my musimy ratować Willa! – wykrzyknął Chaz, zapominając o dobrych manierach i wszelkiej etykiecie. – Musimy i już! Nie tylko dlatego, że uratował życie tych wszystkich strutich. To jest po prostu właściwe. Tak powinniśmy się zachować.

– Może wy – deinonychus nie poruszył się. – Ja odgrodziłem się od tego świata i jego problemów. Sądzę, że będziecie bezpieczni, jeśli pozostaniecie tu na czas sztormu. Jesteśmy daleko od nizin, a ta świątynia stoi nienaruszona od wieków.

Chaz zaczął się cofać.

– O nie! Proszę mi wybaczyć, sir, ale tego nie mogę zrobić. Nie mogę tu zostać wiedząc, że podczas kiedy my jesteśmy bezpieczni, życiu Willa zagraża niebezpieczeństwo.

Rodzina strutich stłoczyła się wokół nieugiętego protoceratopsa.

– Ani my – oświadczyła Shremaza. – Ten młody człowiek narażał własne życie, by nas uratować. Musimy uczynić wszystko, by mu pomóc.

– Jak chcecie – Tarqua wzruszył ramionami. – Nie mogę was zatrzymać. Nie zrobiłbym tego, nawet gdybym mógł. Wszechświat każdemu z nas pozostawia możliwość wyboru.

– Otóż to! – podchwycił skwapliwie Chaz. – Wszyscy w nim tkwimy i niezależnie od tego, jak bardzo niektórzy starają się o tym zapomnieć, nie możemy udawać, że nie jesteśmy jego częścią. Błysk w oku ascety na moment przypomniał Chazowi o agresywnych i drapieżnych przodkach deinonychusa.

– Dziękuję uprzejmie za pouczenie. Jak do tej pory szło mi to całkiem dobrze. Codziennie staram się odizolować bardziej.

Tryli postąpiła krok naprzód.

– Proszę, sir, niech pan nam pomoże. Musi nam pan pomóc. Deinonychus spojrział z góry na najmniejszą ze sthruthiomimusów i ton jego głosu nieco złagodniał:

– Nie mogę nic zrobić, moja mała biedaczko. Tamci wyruszyli dość dawno temu. Jest ich wielu

i są uzbrojeni w coś, co wydało mi się jakąś egzotyczną i niebezpieczną bronią z zewnętrznego świata. Jeśli zdołali pojmać i uwięzić młodego tyranozaura, to na jakiej podstawie sądzisz, że możecie ich pokonać?

– Nie wiemy, czy nam się to uda – odrzekł mężnie Chaz. – Ale sprawą honoru jest, byśmy spróbowali.

– Kiedy moje wędrówki przywiodły mnie tutaj, ślubowałem sobie, że pozostanę na zawsze w tym miejscu i nie będę czynił nic, poza dążeniem do osiągnięcia duchowej i umysłowej doskonałości. Odrzuciłem wszystko inne. Teraz okazuje się, że siłą i krzykiem zmuszony zostałem do powrotu do rzeczywistości, z którą, jak mi się wydawało, udało mi się zerwać. – Deinonychus westchnął głęboko i z rezygnacją. – Jednak warto jest przysłużyć się dobrej sprawie, a wy działacie ze szlachetnych pobudek. Spróbuję wam pomóc.

Trójka młodych strutich wydała radosne pohukiwania, a Shremaza skłoniła się nisko na znak wdzięczności.

– Istnieje sposób, w jaki możemy ich dogonić – wyznał Tarqua. – Ale wykorzystanie go oznacza dla mnie złamanie jedynej zasady, jakiej postanowiłem przestrzegać.

– Bywają zasady ważniejsze od tych, według których chcemy postępować – powiedział Chaz. Deinonychus wyglądał na zaskoczonego.

– Istotnie. Jak na swój młody wiek, wygłaszasz całkiem wnikliwe uwagi.

– Chcę tylko pomóc mojemu przyjacielowi – odrzekł protoceratops.

Gdy Tarqua lekko zeskoczył z podwyższenia, młode struli cofnęły się i przezornie ukryły za matką. Ich niepokój wzbudzały zęby i pazury, na które w Mieście Drzew czy Sauropolis nie zwróciłyby uwagi. Wbrew dodającym otuchy słowom deinonychusa nie do końca ufały pustelnikowi, który był na pewno najbardziej ekscentrycznym dinozaurem, jakiego kiedykolwiek spotkały. Widząc ich reakcję, asceta pośpieszył z zapewnieniem: – Nie musicie się mnie obawiać, maluchy. – Po czym powiewając szatą dał zwinnego susa w czeluść korytarza. – Chodźcie. Keelk niepewnie ruszyła za nim.

– Dokąd idziemy?

– Dokąd idziemy? – deinonychus był jak zwykle poważny. – Ano, w kierunku miejsca, do którego próbuję dotrzeć przez całe życie. Idziemy w kierunku nieba. – Skręcił za róg i pozostali musieli dobrze wyciągać nogi, by za nim nadążyć.

Żaden czworonóg nie przepada za schodami. Chaz nie był wyjątkiem. Kamienne stopnie, po których wspinaczka wydawała się trwać całą wieczność, ciągnęły się bez końca, skręcając cały czas w kierunku gór.

– Jak daleko jeszcze do nieba? – zapytała niewinnie Tryli. Tarqua obejrzał się na nią.

– Nie wiem, moja mała. To jedna z rzeczy, które próbuję ustalić. Nie martw się, nie zmierzamy nawet w przybliżeniu tak wysoko. Jedynie w tamtym kierunku.

– Po prostu wspinamy się na szczyt najwyższej świątyni, głupia – zaświergotał jej brat. Tryli pokazała mu język. Był zadziwiająco długi i niezwykle giętki.

– To niezupełnie tak. – Podążając śladem swych dwunożnych, zwinniejszych towarzyszy, Chaz dyszał ciężko. Często musieli przystawać, by mógł ich dogonić.

– Po pierwsze – powiedział – idziemy schodami nie spiralnymi, lecz po stopniach, które przebiegają w niemal prostej linii. Po drugie, według mojej oceny jesteście już dużo wyżej, niż szczyt wieży najwyższej ze świątyń.

– A zatem dokąd idziemy? – szepnęła zdenerwowana Shremaza.

– Nie wiem. – Chaz utkwiał wzrok w poruszającym się jak metronom ogonie deinonychusa,

rzucającym ruchomy cień na ścianę oświetloną niesioną przez ascetę pochodnią. Szttywne kręgi chroniły ogon przed wleczeniem się po ziemi. – To najdziwniejszy dinozaur, jakiego spotkałem. Normalne dromaeozaurowe są szorstkie w obejściu i bardzo drażliwe. Ten jest opanowany i pogodny. Tamte lubią kłótnie i awantury, ten mówi tylko o życiu w ciszy i spokoju. Inne unikają Deszczowej Doliny, ten żyje samotnie na jej obrzeżach. W ogóle go nie rozumiem. Wiem tylko, że przedstawiciele jego gatunku dzieli od drapieżników z tropikalnej dżungli zaledwie jeden, aczkolwiek bardzo duży krok. – Chyba nie myślisz... – zaczęła Shremaza, a jej oczy zrobiły się wielkie i okrągłe.

– Nie, nie – szybko odrzekł Chaz. – On jest zbyt wykształcony, by wrócić na dawne ścieżki. Po prostu stanowi dla mnie zagadkę, nic więcej. Ale dopóki pomaga nam w uratowaniu Willa, może sobie być nawet z innej planety, nie dbam o to.

– Na to wygląda, że wspinamy się na inną planetę – mruknął Arimat.

Precyzyjnie wydrążony korytarz, którym posuwali się w górę, stopniowo ustępował miejsca naturalnemu tunelowi, ozdobionemu stalaktytami i stalagmitami. Deinonychus zatrzymywał się w regularnych odstępach, by zapalać pochodnie umocowane do ścian.

– Zaczynam być zmęczona – oświadczyła Tryli.

– Ty zaczynasz być zmęczona?! – wymamrotał Chaz. Grube, krótkie nóżki bolały go coraz bardziej od nieustannej wspinaczki.

– Głowa do góry – pocieszył ich deinonychus, który miał równie czuły słuch, jak ostry wzrok. – Jesteście prawie na miejscu.

– W niebie? – zapytała niepewnie Shremaza. Tarqua zachichotał pod nosem.

– Nie aż tak wysoko. Dotarliśmy prawie do miejsca, które nazywam Balkonem.

Struli wymieniły spojrzenia. Chaz zachował swoją reakcję dla siebie.

Schody kończyły się w dużej, wysoko sklepionej, wspaniałej jaskini. Nad głowami przybyszów śmignęło jak czarne., piszczące confetti stado spłoszonych nietoperzy.

Chaz wciągnął powietrze.

– Cuchnie tutaj.

– To amoniak. – Deinonychus poprowadził ich w głąb rozległej groty. – Z guana. Nie zwracajcie na ten zapach uwagi. Jak większość nieprzyjemnych rzeczy, i on wkrótce zniknie.

– Chciałabym, żeby tamci ludzie też zniknęli. – Pazury Keelk stukwały rytmicznie o kamienną podłogę. – Chciałabym, żeby wypuścili Willa Denisona i odpłynęli swoim statkiem.

Nie było potrzeby pytać, jak wygląda Balkon. Krótka wspinaczka i zakręt w lewo doprowadziły ich tam, gdzie wszystko stało się jasne.

Miejsce było całkowicie zasłonięte z dołu. Ktokolwiek spojrzałby w jego kierunku z kompleksu zabudowań świątyni, zobaczyłby tylko wystającą krawędź, uniemożliwiającą dostrzeżenie otworu pieczary w skalnej ścianie.

Nie wiedząc, co działo się przez noc z piratami i ich więźniami, przyjaciele Willa postanowili rankiem zaryzykować i z zachowaniem wszelkich środków ostrożności wyruszyć do kompleksu zabudowań świątyni. Wypatrując prześladowców Willa, podziwiali jednocześnie nie znane im, wspaniałe budowle wyrastające wokół.

Nie mieli trudności ze znalezieniem drogi do głównej świątyni usytuowanej na końcu kompleksu. Zaprowadził ich tam mocny, ostry zapach, który znaczył szlak, jakim podążyli piraci. Shremaza i dzieci nie poradziłiby sobie sami z ciężkimi drzwiami, ale krępy Chaz natarł na nie swym opancerzonym pyskiem i kościaną kryzą jak mały spychacz, aż wejście stanęło otworem.

– A to co?! – poirytowany Tarqua podniósł na nich wzrok ze swego posłania. – Następnymi intruzi?! – Westchnął ciężko. – Jak tak dalej pójdzie, nigdy nie osiągnę nirwany.

Chaz wlepił wzrok w deinonychusa.

– Kim jesteś? Co tutaj robisz? Przebywasz tu zupełnie sam?

– Jestem Tarqua i chwałę sobie samotność. Chciałbym raczej spytać, co wy tu robicie? Dotychczas nikt nie odwiedzał tej doliny. Nagle zostałem zmuszony do przyjmowania gości. Jesteście już drugą grupą na przestrzeni dwóch dni.

– Słyszałaś, mam? Przechodzili tędy! – wykrzyknął podniecony Arimat.

– Szkoda... – Chaz spojrzał w głąb pustego korytarza, który biegł na prawo od nich do tylnego wyjścia ze świątyni. – Miałem taką nadzieję, że prowadzi tu tylko jedna droga! Zaoszczędzą dużo czasu. Hisaulkowi i ekipie ratowniczej trudniej będzie teraz ich przechwycić.

– Musicie stąd odejść – powiedział deinonychus znużonym głosem – żebym mógł jak najszybciej ponownie pograć się w rozmyślaniach.

Zebrawszy się Chaz potoczył się w kierunku ascety.

– Słuchaj no, kimkolwiek jesteś! Staramy się uratować przyjaciela i potrzebna nam twoja pomoc. Czy wśród tych, którzy tu przed nami byli, znajdował się młody człowiek związany linami?

– Chodzi nam o młodego człowieka i o młodego tyranozaura – uściśliła Shremaza.

– Tak mi się zdaje.

Chaz przechylał głowę z boku na bok, przypatrując się ascecie.

– I nie wydało ci się to dziwne?

– Szczerze mówiąc, nie zwracałem na nich szczególnej uwagi. Musiałem uważnie śledzić wszystkich pozostałych, żeby nie wyrządzili mi krzywdy.

– Chłopiec i tyranozaur są więźniami tych obcych ludzi. – Naprawdę? Dlaczego więc chłopiec nic mi nie powiedział? Chaz i Shremaza wymienili spojrzenia.

– Nie wiem – odrzekł tłumacz. – Pewnie uniemożliwili mu to jego prześladowcy.

– Rozumiem... – Deinonychus utkwiał w przestrzeni niewidzący wzrok i zamyślił się. – Kim jest dla was ta dwójka? – zapytał po chwili.

Teraz wystąpiła naprzód Keelk. Skłoniła się przed deinonychusem, chcąc okazać szacunek dla jego wieku i wykształcenia.

– Ci obcy ludzie schwytali i uwięzili całą moją rodzinę. To właśnie ten młody człowiek nazwiskiem Will Denison pomógł mi ich uwolnić. Ci ludzie uważają nas za niecywilizowane stworzenia i nie mają dobrych zamiarów. Zarówno wobec nas, jak i wobec Willa. Czego chcą od młodego tyranozaura, nie mam pojęcia.

– Pomogli nam rodzice młodego tyranozaura – wyjaśnił Chaz. – On jest płci żeńskiej. W zamian

za ich pomoc obiecaliśmy zrobić wszystko, by uwolnić ich córkę. Daliśmy słowo.

Sędziwy deinonychus wolno pokiwał głową.

– Sytuacja jest więc bardziej skomplikowana niż sądziłem. Szkoda, że wasz młody przyjaciel nic mi nie powiedział. Teraz są już daleko. Trudno będzie mu pomóc. – Westchnął. – Ale to już nie ma znaczenia. Los całej tamtej grupy jest przesądzony.

Shremaza zamrugła oczami. Kiedy podeszli bliżej, ujrzeni warsztat. Na kamiennych stanowiskach pracy leżały poukładane narzędzia. Wiele z nich było dla Chaza zupełną nowością. Ściany ozdabiała wspaniałe płaskorzeźby w rodzaju tych, które widzieli w budowlach w ukrytej dolinie. Przedstawiały one ludzi posługujących się dziwnymi maszynami i urządzeniami.

– Nie ma tu dinozaurów – zauważył Chaz, oglądając z uwagą reliefy.

– Nie ma. – Deinonychus zgasił pochodnię, zanurzając ją w kamiennym zbiorniku z wodą. Przez wysoki otwór w ścianie urwiska wpadało dość dziennego blasku, by oświetlić tę część jaskini. – Wszystko, co dotychczas widzieliście, zostało stworzone przez ludzi, którzy żyli tu przed wiekami. Niestety z ich ogromnej wiedzy niewiele pozostało.

– Co się z nimi stało? – zapytał Chaz.

– Pismo obrazkowe, które po sobie zostawili, nie rozstrzyga tej kwestii – odrzekł Tarqua. – Lecz na podstawie tego, co udało mi się zebrać i przeanalizować, sądzę, że przybyli tu, by za wszelką cenę odbudować kulturę, polegającą na gromadzeniu sztucznego bogactwa. Znaleźli i wydobyli wiele klejnotów i metali. Tak byli zajęci wiecznym ich poszukiwaniem oraz wznoszeniem pomników stanowiących świadectwo fałszywej zamożności, że zapomnieli o uprawie roli i łowieniu ryb. Wtedy zaczęli głodować. Gdy przekonali się, że nie mogą jeść złota ani drogich kamieni, które tak długo i z takim trudem, harując jak niewolnicy, gromadzili w olbrzymich ilościach, zaczęli opuszczać to miejsce. Większość powróciła do dinotopiańskiej cywilizacji, a ci, którzy pozostali, stopniowo wymarli. Wraz z nimi odeszła pamięć o tym miejscu.

Keelk z podziwem rozglądała się wokół.

– Założę się, że Will Denison uznałby to wszystko za bardzo interesujące. Jego ojciec jest naukowcem. Will chce zostać mistrzem podniebnego jeździectwa, ale choć jego dusza rwie się do latania, ma na wszystko spojrzenie uczonego.

– Doprawdy? W takim razie jego ojciec i ja mamy ze sobą wiele wspólnego.

– Nie sądziłem, że pustelnik może być zainteresowany rozmową z kimkolwiek – zauważył Chaz.

Spojrzenie deinonychusa powędrowało w jego kierunku.

– Zawsze gotów jestem przerwać milczenie, gdy w grę wchodzi możliwość pogłębienia wiedzy.

– Odwrócił się od protoceratopsa i wyszedł na naturalny skalny ganek. – Przychodzę tu często nie tylko po to, by studiować te starodawne malowidła i uczyć się z nich, ale także, by nacieszyć oczy tym widokiem. – Przywołał ich gestem zakończonej pazurami łapy. – Chodźcie. Nie ma się czego obawiać. Tu jest zupełnie bezpiecznie.

Powoli wyszli na światło dzienne.

– Ho-shah! – wykrzyknęła Shremaza – Jak tu pięknie!

Pod mmi rozciągał się cały kompleks zabudowań świątyni. Złote budynki i srebrne aleje błyszcząły w słońcu. Gładko oszlifowane klejnoty i kamienie półszlachetne, którymi wyłożone były ściany i dachy, iskrzyły się jak gwiazdy na odwróconym do góry nogami niebie. Przed nimi i na prawo ciągnął się łańcuch Gór Grzbietowych, których pokryte śniegiem szczyty zdawały się majestatycznie maszerować na północ i na wschód,

– Zobacz, mamó! – podekscytowana Tryli wskazała z ożywieniem w kierunku gór. – Czy tamten szczyt to nie Ostry Ogon?

– Nie wiem, dziecko. Może Keelk...? – Nie słysząc odpowiedzi starszej córki, Shremaza odwróciła się poirytowana. – Keelk?!

Znaleźli ją w głębi groty, oglądającą z uwagą duże, dziwne urządzenie o niewiadomym przeznaczeniu, tkwiące w ciemnym kącie.

– Co to takiego? Najbardziej przypomina mi podniebną galerę. W głosie pustelnika zabrzmiało uznanie.

– Jesteś spostrzegawcza. To istotnie powietrzny wehikuł mojej własnej konstrukcji. Jest podobny do podniebnych galer przemierzających przestworza nad górami Dinotopii, a jednocześnie bardzo się od nich różni. Powstał w oparciu o starodawne projekty ludzi, lecz zastosowałem w nim nowatorskie metody napędu.

Chaz z powątpiewaniem obejrzał maszynę, wyglądającą jak z innej planety. Przeznaczenie gondoli, splecionej z trzciny wiązanej linami, a także rola takielunku wydawały się jasne. Na dziobie widniała drewniana rzeźba, przypominająca kształtem szacownego deinonychusa. Była to prawdopodobnie podobizna jakiegoś czcigodnego przodka ascety.

Zamiast balonów wypełnianych helem, nad wehikułem unosiło się pół tuzina metalicznie połyskujących kul. Były one umieszczone w drobno plecionych siatkach i połączone z gondolą skomplikowanym systemem olinowania. Wydawało się, że kule powinny opaść w dół i roztrzaskać całą konstrukcję. Tymczasem widać było, że naprężają utrzymujące je wiązania i są zdolne do uniesienia statku w powietrze.

Z tyłu maszyny sterczało duże, drewniane śmigło. Było połączone trybami i sworzniami ze znajdującym się wewnątrz, gondoli kołowrotkiem. Z boków statku wystawały łopatki kierunkowe, czyli po prostu stery.

Chaz oparł przednie łapy na relingu, by móc bliżej przyjrzeć się wnętrzu.

– To wygląda jak przyrząd do odczytywania zwojów papirusu – zauważył, wskazując kołowrotek.

– Tyle że przekonstruowany i wzmocniony – przyznał Tarqua. – Zamiast przesuwac zwoje, ma on wprawiać w ruch ten mechanizm, składający się z kilku przekładni. Zaraz wam pokażę.

Ze zwinnością, o jakiej Chaz nie mógłby marzyć nawet w najśmielszych snach, sędziwy asceta lekko przeskoczył nad relingiem i znalazł się we wnętrzu gondoli, po czym przystąpił do objaśniania zasad działania mechanizmu przypatrującemu się z uwagą protoceratopsowi.

– Kołowrotek porusza tą przekładnią, przekładnia obraca ten tryb, który napędza śmigło, a śmigło popycha wehikuł w powietrze.

– Podniebne galery mają dwa takie urządzenia – zauważyła Shremaza.

– To prawda – zgodził się z nią Tarqua. – Ale ponieważ ja jestem jeden, zbudowałem ten statek tak, bym mógł go obsługiwać w pojedynkę.

– Ale nie ma tu balonów zapewniających wznoszenie się. – Chaz wskazał metalowe kule. – Tylko te dziwne srebrzyste bańki.

Tarqua był cierpliwy.

– Ale skąd wiecie, że to nie są balony?

– Bo balony robi się z jedwabiu, nie z metalu. Metal jest za ciężki.

– Zgadza się. Tyle że tych kul nikt nie zrobił. To rośnie samo, w naturalnych warunkach, w czeluściach tej jaskini. Odpowiednio uprawiane może osiągnąć wielkość główki kapusty.

Chaz parsknął z niedowierzaniem.

– Jak można „uprawiać” metal?

Odchylając głowę do tyłu deinonychus spojrział z dumą na swoje kule.

– To balony hydromagnezytowe. Tworzą się powoli, jak wszelkie, nawet pospolite dzieła natury spotykane w jaskiniach. Wykorzystując wiedzę tych, którzy żyli tu przed wiekami, można je znacznie powiększyć. Kiedy są już rozdęte do tego stopnia, że odpowiadają moim potrzebom, odcepiam je ostrożnie i przenoszę tutaj. Zastępuję wodorem mieszaninę gazów, która je wypełnia. Jest on łatwo dostępny, ulatnia się bowiem z tych gór licznymi naturalnymi otworami. Hel jest bezpieczniejszy, lecz wymaga specjalnych urządzeń produkcyjnych, których nie posiadam. Gdy balony są już powtórnie napełnione, pokrywam ich delikatną powłokę specjalnym przezroczystym lakierem, który znacznie je wzmacnia.

– Po cóż, w imię Wielkiego Jaja, potrzebne panu to urządzenie? – Shremaza przypatrywała się osobliwemu wynalazkowi niczego nie rozumiejąc. – Jakiemu celowi ma ono tutaj służyć?

Tarqua zerknął na nią.

– Otóż gdy nadejdzie kres mojego żywota, mam nadzieję wznieść się z jego pomocą do przysłowiowego nieba. A statek ten ma dużą łatwość wznoszenia się.

– Metalowe balony... – Keelk oglądała dokładnie wypełnione gazem kule. – Cóż za nadzwyczajne pomysły ma natura.

– To wydaje się w sprzeczności z jej prawami. – Arimat podszedł, by zajrzeć do gondoli. – A jednak w tym wypadku tak nie jest.

– Miejsca wystarczy dla wszystkich – powiedział Tarqua. – Silne wiatry mogą utrudnić nawigację, ale naprawdę obawiam się czego innego. Jeśli użyjemy tego statku do ratowania waszego przyjaciela, może mi nie wystarczyć wodoru, by powrócić na Balkon. Widzicie, te balony nie są jeszcze doskonałe, mają pewne nieszczelności. Jeśli dotrzemy nad Nizinę Północną, lecz nie zdołamy wrócić, to jak wówczas wzniosę się do niebios?

Wystąpiwszy zuchwale naprzód Keelk położyła zakończoną pazurami przednią łapę na ramieniu deinonychusa. W zamierzchłej przeszłości przodek ascety zabiłby ją na miejscu i natychmiast pożarł. Ale wiele się zmieniło na przestrzeni ostatnich sześćdziesięciu milionów lat. Tarqua słuchał, a młoda struti mówiła:

– Jest pan wspaniałą osobą, Tarqua. Prawą i szlachetną. Gdy nadejdzie pański czas, by przenieść się do innego świata i rozpocząć następne życie, to bez względu na to, w którym kierunku będzie się pan musiał udać, by tam dotrzeć, nie będzie panu potrzebny taki środek transportu. Jestem tego pewna.

Jej matka słuchała tego w milczeniu, ale z aprobatą w oczach.

– Wyznam, że czasami przychodzą mi do głowy podobne myśli. – Asceta popatrzył czule na latający przyrząd, którego zbudowanie kosztowało go tyle czasu i wysiłku. – Może istotnie lepiej wykorzystać go w ten sposób. – Odwrócił się i przyjrzał nisko wiszącym chmurom. – Po pogodzie nie należy sobie zbyt wiele obiecywać.

– Podobnie wygląda sprawa najbliższej przyszłości Willa Denisona – zauważyła Keelk. – Z minuty na minutę jego szansę maleją. Tarqua skinął głową.

– Mogą być trudności ze sterowaniem. Zwłaszcza gdy polecimy pod wiatr.

– Bardzo przepraszam! – warknął Chaz. – My?! A czy ja jestem pteranodon, żeby wzbijać się w powietrze?! Chyba nie mówi pan poważnie?

– Polecimy! Polecimy! – Nie czekając na instrukcje Tryli i Arimat przesadzili reling i znaleźli się w gondoli.

– Ach, ten młodzieńczy entuzjazm... – mrucząc sam do siebie Tarqua wskoczył lekko na tył statku i otworzył umieszczone z boku drzwiczki. – Jesteście gotowi?

– Zaraz, zaraz – upierał się Chaz. – Gotowi do czego? – Z niedowierzaniem przechylił głowę,

patrząc w górę na Shremazę. – Chyba nie zamierzacie wzbić się w powietrze w tym aparacie?

Nie zwracając uwagi na pretensje protoceratopsa, Shremaza skoncentrowała się na podniebnym statku.

– Często obserwowałam podniebne rumaki i ich jeźdźców i zastanawiałam się, jakie to uczucie móc spojrzeć na ziemię z tak dużej wysokości. Miałam nadzieję, że przybliży mi to jakoś Will Denison. Ale dlaczego nie miałabym sama spróbować? – Weszła przez otwarte drzwiczki do wnętrza wehikułu. Bardziej przez kurtuazję, niż z konieczności Tarqua szarmancko wyciągnął ramię, by jej pomóc.

– Posłuchajcie no... – Chaz zbliżył się do latającego aparatu, lecz nie wszedł na pokład. – Co się stanie, jeśli uda nam się dogonić Willa i jego prześladowców? Czy ktoś zastanawiał się nad tym? Co wtedy zrobimy?

– Możemy zrzucić na nich kamienie. – Arimat zawsze był agresywnym młodzieńcem.

– Albo kawały drewna. – Jego siostra nie chciała być gorsza. Tarqua spojrzał na nich z dezaprobatą.

– Brzydzą się przemocą. Może uda nam się ich przestraszyć. Niewykluczone, że w zewnętrznym świecie latające maszyny to jeszcze niezbyt powszechny widok. W każdym razie zaprzęgnę cały mój niemały intelekt do rozwiązania tego problemu.

– O! To wielce uspokajająca informacja – odparł Chaz z wyraźnym sarkazmem.

– Spadniemy na nich z nieba, porwiemy Willa i umkniemy wysoko w chmury, gdzie nikt nas nie dogoni. – Keelk z zapalem i niecierpliwością przyglądała się olinowaniu. – Ten statek zastąpi jego podniebny rumak. – A więc załatwione. – Shremaza utkwiała w Chazie jasne spojrzenie swych błyszczących oczu. – Możemy potrzebować twojej pomocy, tłumaczu. Lecisz z nami?

– Nie do wiary – wymamrotał protoceratops. – Czy to moje nogi niosą mnie naprzód? Czy to moje stopy wchodzi do tego śmiesznego urządzenia? Zostałem zdradzony przez własne ciało!

Keelk wychyliła się, by położyć dłoń na kryzie Chaza.

– Dziękuję ci, tłumaczu. Cieszę się, że lecisz z nami.

– Ja? Bynajmniej – mruknął w odpowiedzi. – W rzeczywistości jestem wciąż na twardym gruncie i zachowuję się sensownie, obserwując jak podskakujecie w powietrzu miotani wiatrem, podobni do owada, próbującego przebić się przez burzę. Lecz moje ciało, zdaje się, miało inny pomysł i mojemu umysłowi nie pozostało nic innego, jak udać się wraz z nim na tę przejażdżkę.

Nie zwracając uwagi na jego narzekania Tarqua zamknął za nim drzwi na klamkę.

– Sami wiecie, że nie jestem zbyt wysoki. – Chaz przyjrzał się uważnie wygodnemu wnętrzu statku, wykonanemu z gęstej plecionki. Przynajmniej ściany i poręcze znajdowały się wyżej niż jego głowa. Nawet gdyby wspiał się na tylnych łapach, nie mógłby dostrzec ziemi. Zresztą wcale nie miał zamiaru próbować.

Używając zamiast noża środkowego pazura wskazującego palca, Tarqua zabrał się do odcinania lin, które trzymały statek na uwięzi.

– Nie denerwuj się, tłumaczu. Ten wehikuł jest absolutnie bezpieczny.

– Mam nadzieję – odparł Chaz wzdrygnąwszy się, gdy gondola pochyliła się do przodu. – Jak się domyślam, był poddany wielu próbom.

– Prawdę mówiąc – rzekł Tarqua z pogodną nonszalancją – to jego pierwsza podróż w przestworza.

– Co?!

– Ano tak. – Skoczywszy do kołowrotka, deinonychus zaczął kręcić nim luźno i bez wysiłku, płynnymi, odmierzonymi ruchami nóg. Tryby obróciły się i zazębiły, a śmigło zaczęło szumieć. Statek

uniósł się w powietrze i wystrzelił do przodu.

– Więc skąd pan wie, że to będzie latać? – wybełkotał coraz bardziej wstrząśnięty Chaz.

– Stąd, że właśnie lecimy – odrzekł zupełnie nieporuszony deinonychus.

Chaz odwrócił się, zamknął oczy i przytulił twarz do najbliższej ściany. Czuł i słyszał wokół świst wiatru na zewnątrz. – Mnie tu nie ma – wyszeptał. – Nie biorę w tym udziału. Jestem w domu, we własnym łóżku i przygotowuję się do jutrzejszych lekcji. Po prostu mnie tu nie ma...

Obojętna na jego zaklęcia powietrzna łódź wyleciała przez otwór w ścianie urwiska, uniosła się ponad krawędzią Balkonu i skierowała ku niebu.

Nagle gwałtownie opadła w dół, aż protoceratops jęknął.

– To interesujące – zauważył Tarqua kręcąc wściekle kołowrotkiem bez specjalnego wysiłku. Urządzenie obracało się szybko. – Dziury powietrzne. Słyszałem o nich. – Lżejszy od powietrza wehikuł nabierał prędkości.

Pod nimi szczeliny kanionów przecinały wysoki płaskowyż jak ciemne żyły. Większość miała niecałą stopę szerokości. Ulokowany w rogu gondoli Chaz przyciskał twarz do ściany jak tylko mógł najmocniej, nie odzywając się i drżąc w osamotnieniu. Jego reakcja mogła być częściowo spowodowana tym, że im wyżej się wznosili, tym stawało się chłodniej. Starał się nie słyszeć podnieconych, śpiewnych głosów strutich, które były najwyraźniej zachwycone nowym przeżyciem.

Wiatr zaczął miotać statkiem. Z ciemnych chmur lunął deszcz. Rozległ się huk grzmotu. Niebo przecięła błyskawica, ale daleko na północ od nich.

Gdyby sytuacja była odwrotna, pomyślał ze złością Chaz, Will Denison nie kuliłby się w kącie ze strachu. Oczywiście, Will to podniebny jeździec. Czuje się jak u siebie w domu tak w chmurach, jak i na ziemi. Latanie nie napawa go strachem.

Ale co to jest strach? Stan umysłu. Czyżby on, Chaz, nie potrafił panować nad swym umysłem? Powoli przestawał się trząść. Tarqua dobrze wykonał swoją robotę. Powietrzną łodzią kołysało i szarpało, ale nie obluzował się ani jeden splot. Chaz stopniowo doszedł do stadium pośredniego pomiędzy ślepą paniką a spokojną rezygnacją. Był to duży postęp.

Pokryte żywicznym lakierem balony hydrornagnezytowe unosiły ich coraz wyżej. Cienkie jak papier, błyszcząły w kapryśnym słońcu jak stal.

Chaz pomyślał, że w dniu wolnym od pracy można by to uznać za rozrywkę. A on, zamiast trząść się ze strachu, powinien spróbować cieszyć się z przygody. Dać się porwać nowym doznaniom. Struti wychylały się przez reling i pokazywał sobie przesuwające się w dole widoki. Piszcząły przy tym z zachwytem. To była prawdziwa przygoda. Gdy Tarqua zaczynał się męczyć, każde z nich kolejno zajmowało się kołowrotkiem i szybkość statku nie malała. Deinonychus tak dobrał przekładnię, by każdy mógł pedałowac.

Od czasu do czasu przestawiał stery i niezwykły statek zmieniał powoli kierunek lotu. Raz podlecieli blisko do wysokiej na tysiąc stóp, brunatnej skalnej iglicy. Nawet Chaza zachwyciła ta przygoda. Poczul się podniesiony na duchu, jeśli nawet nie tak wysoko, jak leciał powietrzny statek, to przynajmniej do poziomu równego nastrojowi podeksytowanych strutich. Nie wpadł w panikę nawet wtedy, gdy gondola, przechylając się naprawą burtę, otarła lewym bokiem pionowy kamienny szpic.

Kto wie, pomyślał ze lżejszym sercem, starając się robić dobrą minę do złej gry, może nawet będziemy mieć tyle szczęścia, że rozbijemy się w jakimś miękkim miejscu.

Ulewny, siekący deszcz padający z krótkimi przerwami przywitał piratów na Nizinie Północnej, gdy wyłonili się rzędem z czeluści kanionu. Wiele było radosnych okrzyków ulgi i potrząsania w górze uniesionymi karabinami. Nie wszyscy jednak w tym uczestniczyli. Po długim, forsownym marszu niejeden był zbyt zmęczony, by okazywać radość.

Schodząc w dół łagodnym zboczem ciągnącym się od wylotu kanionu, marynarze znaleźli się wkrótce na zupełnie płaskim terenie. Spoza wierzchołków palm i drzew nic nie było widać. Gdzieś przed nimi kołysał się bezpiecznie na kotwicy ich okręt; widok ten budził nadzieję spotkania dawno nie widzianych kolegów i spożycia świeżych wiktuałów spoczywających w ładowniach.

Między wierzchołkami drzew a niebem rozciągała się warstwa czarnych jak noc chmur, nie wróżących niczego dobrego, przecinanych od czasu do czasu błyskawicami. Nikt nie zdecydował się skomentować tego złowrogiego widoku. Wszyscy byli zadowoleni, że wreszcie mieli za sobą dżunglę i kanion.

Jak zapewniał Blackstrap, od plaży leżącej nad laguną dzielił ich już tylko krótki, łatwy spacer. Każdego z załogi to ucieszyło, głównie ze względu na setki funtów złota i drogich kamieni, które ocierały marynarzom skórę na plecach. Każdy z nich dźwigał fortunę, o jakiej nie marzył nawet w najśmielszych snach, a w perspektywie miał powrót po jeszcze większe skarby.

– Starajcie się, chłopcy! Blackstrap kręcił się wśród załogi schlebiając jednym, dodając otuchy drugim, przyganiając innym, którzy jego zdaniem niezbyt wysilali spocone, zgięte karki. – Jeszcze dzień lub coś koło tego i będziemy z powrotem na naszej łajbie.

Ale los najwyraźniej lekceważył sobie pobożne życzenia Brognara Blackstrapa. To, co miało się stać, stało się bardzo szybko, zanim jeszcze dotarli do drzew mangrowców.

Will nie miał najostrzejszego wzroku spośród wszystkich członków grupy, ale jako jedyny wypatrywał tego, co w końcu dostrzegł.

– Spójrzcie tam! – Mając ręce związane za plecami, nie mógł nimi nic pokazać, więc tylko skinął głową w kierunku zachodnim.

– A chłopakowi co dolega? – Mkuse zerknął na Johanssena.

– Nie wiem. – Wysoki Amerykanin wyprostował się, by coś zobaczyć. – Aha, na zachód od nas widać wielką chmurę kurzu. Nic dziwnego, przy tym cholernym wietrze, wiejącym we wszystkich możliwych kierunkach. – Podniósł wzrok. – Nie podoba mi się wygląd nieba, Zulusie. Wcale mi się nie podoba.

Suarez podsłuchiwał jego słowa.

– Okrętowi nic się nie stanie w lagunie – oznajmił. – Może tam przetrwać każdy sztorm. – Wskazał szerokie plecy Blackstrapa, unoszące się i opadające jak wieloryb płynący na czele stada. – Kapitan przeżył już podłejsze sztormy niż ten. A ten nie może być gorszy od nawałnicy, która gnała nas przez całą drogę z Indii aż tutaj.

– No... nie wiem. – Johanssen poczuł na twarzy nagły deszcz. – Zobaczcie, jak czarno jest na horyzoncie. Zupełnie jak w nocy, tylko nie ma gwiazd. To coś nienaturalnego.

– Jak wszystko, co widzieliśmy przez ostatnie kilka dni – zauważył Mkuse. Jego towarzysze zgodnie przytaknęli.

Tylko Will wiedział, co zwiastuje mglisty obłok. Powstał on nie na skutek wiatru. Wzbiły go stopy. Wielkie stopy. Musiały być olbrzymie, skoro pryskało spod nich tyle wody i mokrej ziemi. Choć wielka chmura była jeszcze daleko, wyraźnie zmierzała w kierunku piratów. Gdy tylko grupa

wdrapała się na szczyt napotkanego niewielkiego piaszczystego pagórka, porośniętego nadmorską roślinnością, tajemnica powstania mglistego tumanu wyjaśniła się.

Czy ktoś z nich już wie, co się do nas zbliża? – zastanawiał się Will. Chyba tak. Ekipa ratownicza pędziła wprost na piratów

– Boże Wszechmogący! – wymamrotał Thomas wskazując na zachód. Obłok zaczął rzednąć ujawniając źródło swego pochodzenia. Marynarze ustawili się rządkiem, wytrzeszczając oczy. Dały się słyszeć niepewne pomruki. Patrząc na kawalkadę nadciągającą w ich kierunku Will stwierdził, że dawno już nie oglądał tak wspaniałego widoku. Tuzin gigantycznych sauropodów, dźwigając jeźdźców i sterty ekwipunku, bez trudu zmiatał z drogi wszelką roślinność. Nie było wątpliwości, że piraci zostali zauważeni. Nawet z tej odległości Will dostrzegł błyski światła, odbijającego się w soczewkach teleskopu. Siedzący tuż za głową brachiozaura jeździec miał imponująco rozległy widok na otaczającą go okolicę.

Sauropody wyglądały fantastycznie. Na ich długich szyjach łopotały proporce, z juków i uprzęży zwieszały się ozdobne festony, a ekwipunek udekorowany był złotymi filigranami, błyszczącymi w świetle dnia. Nawet powtarzające się ataki ulewy nie były w stanie przyćmić tego przepychu.

Wspiąwszy się na palce Will zaczął krzyczeć. Natychmiast poczuł na ustach dłoń pirata, a na szyi ostrze sztyletu.

– Nic z tego, chłopcze. – Pełne nienawiści oczy Guimaraesa były o kilka cali od jego twarzy.

– To już nie ma znaczenia – stwierdził Smiggens z posępną miną. – Zauważyli nas. Zdążają w tę stronę.

– To góry, które mają nogi! – Jak wszyscy jego towarzysze, Samuel był porządnie wystraszony. – Nie ma mowy, żebyśmy im umknęli.

Słowa starego Ruskina zabarwione były niechętnym podziwem:

– Znam radzę w Lahore, który zamieniłby dwadzieścia swoich najlepszych słoni na jedno takie zwierzę po to tylko, żeby mieć okazję pokazać się na nim podczas dorocznej procesji ku czci boga Ganesi. Cóż za siodło z baldachimem zmieściłoby się na takim grzbiecie!

Blackstrap szalał pomiędzy swoimi ludźmi, łajając ich i rozdając razy.

– Co się tak wszyscy gapicie, jak nierozgarnięte dzieciaki?! Nie ścigają nas pełnokrwiste araby! – Wyciągnął muskularne ramię. – Tam jest plaża. Te bestie na pewno nie potrafią pływać!

Will doskonale wiedział, że brachiozaury, apatozaury i diplodoki czują się w głębokiej wodzie jak ryby, lecz wyczuwał, że wyprowadzanie kapitana z błędu akurat w takim momencie równałoby się sprowadzeniu na siebie nieszczęścia. Blackstrap mógł go zastrzelić po prostu ze złości. Toteż gdy grupa piratów popędziła w dół zbocza niskiego pagórka, wyciągał jak mógł spętane nogi, by dotrzymać im kroku.

Nie przebyli więcej niż kilkaset jardów, gdy Treggang, sapiąc pod ciężarem swego skarbu, zatrzymał się i zauważył:

– To na nic, kapitanie. Niech pan zobaczy, jak przyśpieszyli. Prawdopodobnie ktoś z ekipy ratowniczej rozpoznał Willa przez teleskop, w każdym razie sauropody przeszły w galop. Taki widok zdarzyło się Willowi oglądać tylko raz, gdy kiedyś spotkał grupę dzieci bawiących się na plaży z parą diplodoków. Kroczące powoli olbrzymy wyglądały już wystarczająco groźnie, gdy zaś biegly, sprawiały nieskończenie bardziej przerażające wrażenie. Ziemia drżała, mimo że były jeszcze daleko.

Nic więc dziwnego, że głucho dudnienie przyprawiało większość piratów o palpitacje.

Mimo niewesołej sytuacji, w jakiej się znajdował, Will nie mógł się powstrzymać od przypomnienia sobie lekcji historii. Ileż mogłaby zdziałać taka kawaleria wystawiona przeciw

Cesarowi nad Rubikonem lub przeciw Anglikom pod Waterloo! Rzecz jasna, wyobrażenie sobie tego było czystą fantazją. Nawet gdyby w przeszłości istniały takie możliwości, żaden sauropoda nie zaangażowałby się w takie przedsięwzięcie. Zdając sobie sprawę ze swej niszczycielskiej siły, olbrzymy były największymi pacyfistami wśród dinozaurów.

Nie wiedząc o tym, większość piratów struchlała.

– Zobaczcie, jak szybko biegną! – wyjąkał Chumash. – Odetną nas od plaży!

– Nie tak bardzo szybko – sprostował O'Connor. – Ale spójrzcie na długość tych kroków!

– Właśnie! – Blackstrap zatrzymał się za kępą palm. – Formujcie szereg. Nie strzelajcie bez mojego rozkazu. Zawróćmy te bestie tak, jak zawróciliśmy tamtego pierwszego potwora, który śmiało rzucił nam wyzwanie. – Na jego twarzy pojawił się pełen okrucieństwa uśmiech. – Celujcie w jeźdźców!

Will rzucił się w kierunku kapitana, ale upadł.

– Nie wolno panu!

Jego apel okazał się zbyteczny. Choć piraci byli odważnymi i doświadczonymi zabijakami, mieli dostatecznie dużo oleju w głowach, by nie rozpoczynać walki ze zwierzętami, z których każdy był wielkości stacji kolejowej.

– Co się z wami dzieje?! – łyknął Blackstrap. – Nie chcecie formować szeregu, to walcie do nich jak popadnie!

Jeden z mężczyzn cisnął broń w krzaki i rzucił się do ucieczki. Chumash też najwyraźniej nie miał ochoty na udział w bezsensownej strzelaninie.

– Równie dobrze można próbować pokonać grizzly splunięciem – oświadczył flegmatycznie.

Wśród piratów rozległy się okrzyki przerażenia i żalosne zawodzenie. – Będą próbowali odciąć nam drogę do plaży Ale przechytrzymy ich! – Wymachując nad głową wielkim myśliwskim nożem Blackstrap wskazał piratom drogę. – Tędy, ludzie! Porzucicie skarby!

Samuel wlepił w niego wzrok.

– Mamy to porzucić, kapitanie?

– Jasne! Możemy mieć dużo więcej. Wycofamy się do kanionu, bo tam nie wleżą (c wielkie bestie, i albo poczekamy, aż się zniechęcą i odejdą, albo znajdziemy sposób, żeby ich okrążyć i ominąć bez względu na to, jaką zajmą pozycję. A jeśli jeźdźcy odważą się nas ścigać, zatłuczemy ich jak psy.

Marynarze niechętnie zsunęli z pleców toboły pełne złota i srebra. Kilku ukradkiem poupychało po kieszeniach garście klejnotów, więc wzdęli sse miejscami, jakby zostali dotknięci jakąś złośliwą chorobą. Co, w gruncie rzeczy, nie było dalekie od prawdy,

– Nadchodzą! – zawył Samuel. – Wszystkich nas rozdepczą!

– Ależ nie! – przekonywał Will popychany w panice, – Nie obawiajcie się! Wszystko będzie dobrze. Zostańcie na swoich miejscach, a nikomu nie stanie się krzywda!

Niestety nikt nie zwracał na niego uwagi.

– Uciekajmy! – krzyknął Andreas, gdy na piratów po raz kolejny lunął rześisty deszcz.

– Zaczekajcie!

Will rozejrzał się, szukając autora tego rozkazu. Bogu dzięki, przynajmniej jeden członek załóg] posłuchał tego, co mówił.

Niespokojne myśli, kłębiące się w głowie pierwszego oficera, wydały wreszcie owoce. Smiggens powoli wyciągnął zza pasa pistolet i obojętnie pozwolił mu się wysunąć z dłoni. Broń spoczęła w płytkiej, nakrapianej kroplami deszczu kałuży. Jej właściciel spojrzał twardo na Andreama, a potem odwrócił się do reszty swych kolegów z załogi.

– Dlaczego mamy uciekać? Czy będziemy to robić do końca naszych dni? Czy któryś z was naprawdę wierzy, że uda nam się opuścić tę wyspę, bo to przecież musi być wyspa, bez zgody mieszkających tu ludzi i dinozaurów? To oni są panami tej ziemi, nie my. Dlaczego mamy nie skorzystać z jedynej szansy, jaką nam się daje? Posłuchajcie chłopaka.

Mężczyźni zawahali się. Wyczerpani i wystraszeni, gotowi byli się zastanowić.

Wyglądający jak ruchoma góra Blackstrap kręcił się między nimi tam i z powrotem.

– Co się z wami dzieje?! Ruszcie wreszcie wasze tchórzliwe tyłki! Wracamy do kanionu; – Nie!
– Ku własnemu zdumieniu Smiggens bez lęku utkwiał wzrok w twarzy swego towarzysza, z którym spędził wiele trudnych lat. – Jestem już zmęczony wiecznym uciekaniem, Brognar. Jestem zmęczony zrywaniem się w środku nocy i chwytniem za broń, A może się okazać, że następny statek, na jaki się natkniemy, będzie wojennym okrętem patrolowym. Jestem zmęczony wykradaniem się na brzeg po to, by po kilku hulaszczych nocach skradać się z powrotem na pokład i wymykać z portu. Nie jestem już młodym człowiekiem. Korsarstwo to ginąca profesja. A najzuchwalszych czeka co najwyżej jeszcze kilka lat szalonego życia.

– Uważaj, Preister! – zagrział ostrzegawczo Blackstrap.

Ale Smiggens nie zamierzał przerywać. Zwracając się do słuchających uważnie marynarzy przedstawiał swój punkt widzenia. A dudnienie nóg sauropodów słycać było coraz bliżej.

– Moim zdaniem trzeba zastanowić się nad tym, co mówił nam chłopak. Bo jeśli mówił prawdę, ma to dla nas duże znaczenie. Żaden z nas nie ma kartoteki w... – Spojrzał na więźnia. – Jak nazywa się ten kraj, Willu?

– Dinotopia – odrzekł miękko chłopiec.

– Właśnie, Dinotopia. Wszyscy będziemy tu wolnymi ludźmi. Z szansą na nowy start. Na nowe życie dla każdego z osobna. Kto z was nie zrzuciłby z siebie chętnie balastu przeszłości? Mkuse, kim byłeś, zanim zostałeś korsarzem?

– Kiedy nie walczyłem w wojnach plemiennych, zajmowałem się rybołówstwem rzeczonym – odrzekł melancholijnie Zulus. – Ale tutaj nie widzieliśmy rzek, tylko małe strumienie.

– Ależ tu są rzeki! – Will pośpieszył z pomocą pierwszemu oficerowi. – Wielkie rzeki, rwące i pełne ryb. Zobaczycie, co można złowić w Polongo!

– Rozumiecie? – Smiggens podchodził do każdego z piratów, zaglądając im głęboko w oczy: niepewnych lub odrętwiałych chwytał lekko za kołnierz i potrząsał. – Uciekając dajcie dowód, że jesteście przestępcami. A przecież nikogo tu nawet nie zraniliśmy, jak dotychczas. Padnijmy do nóg mieszkańcom tej ziemi, a wtedy może okazać nam litość i przyjmą nas do swego grona. – Odwrócił się do Willa:

– Mówiłeś, że tak się stanie, prawda? Że będziemy mogli zostać obywatelami tego kraju?

Will skwapliwie przytaknął, starając się jednocześnie nie spuszczać z oka kipiącego gniewem Blackstrapa.

...Każdy, kto się tu znajdzie, pozostawia za sobą swe poprzednie życie. Ludzie i dinozaury przyjmą was z otwartymi rękami. Ruskin wystąpił naprzód,

– Trzy razy opływałem Horn i za każdym razem dlatego, że przed czymś uciekałem. A teraz mówię, że nie będę więcej uciekał. – Uśmiechnął się do Willa odsłaniając znaczne braki w uzębieniu. – Ja chłopcu wierzę,

...Ujeżdżałem konie, zanim wypłynąłem w morze. – Andreas patrzył na zachód, gdzie ekipa ratownicza zwolniła, by pokonać wezbrany z powodu deszczu strumień o grząskim dnie. – Lubiałem czuć wiatr we włosach. – Przyglądał się gigantycznemu sauropodzie, który mknął na czele – jego masywnym nogom, długiej muskularnej szyi i jeźdźcowi kołyszącemu się w siodle tuż za wielką

inteligentną głową, chwiejącą się na wysokości czterdziestu czy pięćdziesięciu stóp nad ziemią.

– Jakie to uczucie galopować na takim zwierzęciu?

Będzie się pan mógł przekonać – zapewnił Will. – Każdy sauropoda ma swego ulubionego stajennego, I wszystkie chętnie odwdzięczają się przejażdżką za opiekę nad nimi.

– Co to wszystko ma znaczyć?! – Wkraczając pomiędzy stojących kręgiem piratów Blackstrap zaczął wywijać nożem, zmuszając kilku z nich do usunięcia się z drogi, po czym zwrócił ociekającą deszczem, wąsatą twarz w kierunku pierwszego oficera:

Wiele razem przeszliśmy, panie Smiggens. Począwszy od piekła Hobart, A ty teraz, po tym wszystkim, namawiasz do buntu?!

Smiggens ani drgnął.

– To nie bunt, Brognarze. W istocie, wiele razem widzieliśmy, ty i ja. A w ciągu ostatniego roku więcej niż niektórzy Judzie przez całe swoje życie. Ale... – zawahał się. – Jestem zmęczony uciekaniem. – Nie patrząc na kapitana wskazał na Willa. – Chłopiec proponuje nam lepszy los niż ten, którego się spodziewałem. To szansa, Brognarze, Szansa dla nas wszystkich,

– A jeśli on kłamie, panie Smiggens? Co wtedy, hę?

Pierwszy oficer wzruszył ramionami.

– Czy między stopą dinozaura a stryczkiem w ręku kata jest naprawdę taka różnica?

Twarz Blackstrapa wykrzywił groteskowy grymas wściekłości.

– Ty kłamliwy, zdradziecki, buntowniczy pomocie meduzy! Wbijasz mi nóż w plecy?!

– Jestem z panem Smiggensem. Watford stanął zdecydowanie obok pierwszego oficera.

– I ja...przyłaczył się do niego Mkuse.

Szybko dołączyła do nich reszta załogi...z wyjątkiem dwóch. Davies i Copperhead, dwa najbardziej niebezpieczne typy spośród piratów, wzięli stronę swego kapitana Blackstrapa powiódł groźnym spojrzeniem po tych wszystkich, którzy przyłączyli się do Srniggensa.

– Wy służalcze, niegodziwe, bezużyteczne, prażone w słońcu ślimaki! Nie jesteście mężczyznami, tylko bachorami wrzeszczącymi o niańkę! Niech wam będzie! – Rzuciwszy okiem w lewo dostrzegł sauropody i ich jeźdźców, którzy pokonali właśnie koryto strumienia. Sięgnął do kieszeni i lekceważąco cisnął w ponure, buntowniczo patrzące twarze swej byłej załogi garść klejnotów wartych krocie. Suarez zanurkował, by je pozbierać, gdy poczuł chwytającą go za ramię dłoń Srniggensa. Ten karcący gest przypominał mu o własnej godności.

– Chodźmy – zwrócił się Blackstrap do dwóch kompanów, którzy pozostali mu wierni. – Zdążymy do kanionu przed nimi i znajdziemy kryjówkę. Raj, co? Jeszcze zobaczymy! W każdym kraju znajdują się jakieś wszawe męty. Stworzę z ruch nową, prawdziwą załogę i splądrujemy, złupimy doszczętnie tę przeklętą krainę od krańca do krańca!

Splunął pogardliwie w kierunku nadciągającej grupy ratowniczej.

– Jestem Brognar Blackstrap i nie boję się niczego na tej ziemi, Ani człowieka, ani bestii. Choćby to był nie wiem jak zuchwały człowiek i największa bestia. – Obdarzył zebranych ostatnim jadowitym warknięciem: – Jeszcze się zobaczymy, a wtedy będziecie żałować, że związaście swój los z tchórzem i z chłoptasiem.

Schował nóż myśliwski do pochwy i wyciągnął zza pasa dwa pistolety,

– Została jeszcze tylko jedna sprawa do załatwienia.

To mówiąc odwrócił się twarzą do Willa. Ci, którzy stali najbliżej więźnia, rozpięchli się przezornie. Will został sam, ze związanymi na plecach rękami i skrępowanymi nogami. Pięknotka szarpnęła się w swoich więzach, niezdolna do przyjścia mu z pomocą.

Blackstrap nie odzywał się dłuższą chwilę, wpatrując się w szeroko otwarte oczy młodego

jeńca. Metodycznie sprawdził broń. Najpierw jeden rewolwer, potem drugi.

– Kosztowałeś mnie moją załogę, chłopcze. Nie mogę puścić tego płazem.

– To nie ja, to nie ja! – Will rozglądał się rozpaczliwie.

Było jasne, że ci, którzy tak chętnie przeszli na jego stronę, teraz nie zamierzali się wtrącać.

– To okoliczności są winne, nie ja, kapitanie Blackstrap – ciągnął desperacko. – Wypadki, wydarzenia, ale nie ja! Niech pan posłucha! Przecież i pan może tu rozpocząć nowe życie. Zawsze znajdzie się zajęcie dla doświadczonego człowieka morza.

– Niby jakie? – Blackstrap zachichotał krótko i pogardliwie. – Pływanie na promie z jednego brzegu rzeki na drugi? Prowadzenie barek ze zbożem? A może oprowadzanie turystów? Nie, chłopcze! To nie dla Brognara Blackstrapa. – Podniósł jeden z rewolwerów. Smiggens zagryzł wargi, a kilku marynarzy zaczęło szybciej oddychać. Paru mężczyzn sprawiało wrażenie, jakby chcieli skoczyć na Blackstrapa, ale powstrzymał ich drugi naładowany rewolwer.

Will zamknął oczy. Żegnaj, ojcze, pomyślał. Żegnaj, Nallabie, Pierzasty Obłoku, Biksie. Żegnajcie, wszyscy moi przyjaciele. Nigdy nie myślałem, że taki będzie mój koniec. Ale zrobiłem to, co musiałem, by pomóc innym. A skoro Dinotopia uczyniła coś dla mnie, bo przecież dzięki niej stałem się lepszym człowiekiem, to myślę, że mogę dla niej umrzeć.

Sylvia, pomyślał. Wyobraził ją sobie szybującą obok niego z rozwianymi na wietrze włosami, na rumaku imieniem Deszczowa Chmura, pochylającym się na zakręcie. Ujrzał całą ich czwórkę, nurkującą w powietrzu i wlatującą do góry. Tak długo mogliby jeszcze razem w życiu latać...

Nie, postanowił. Nie odejdzie w ten sposób, kiedy obserwują go ci wszyscy zahartowani marynarze. Wyprostował się, otworzył oczy i spojrzał na Blackstrapa. Kapitan niemal niezauważalnie skinął głową z uznaniem. Jego palec zaczął naciskać spust...

Coś szarego spadło nagle z nieba wprost na ramiona Blackstrapa. Kapitan zachwiał się i upadł twarzą w dół akurat w momencie, gdy do końca ściągnął spust. Will aż podskoczył, kiedy pocisk zarył się w ziemię tuż obok jego lewej stopy.

– Co to, do jasnej cholery?! – Wciąż mocno ściskając w dłoni pistolet Blackstrap przekręcił się na plecy, by zobaczyć, co go powaliło.

Niespodziewany przybysz schylił głowę w lekkim ukłonie.

– Proszę mi wybaczyć. Mam nadzieję, że nie zraniłem pana. – To powiedziawszy Tarqua podskoczył i jednym zwinnym, płynnym ruchem wykopał rewolwer z dłoni kapitana. Gdyby asceta użył zamiast pięty wielkiego, zakrzywionego jak sierp pazura, wyrastającego ze środkowego palca jego stopy, w miejsce broni poszybowałaby w powietrzu ręka Blackstrapa.

Kapitan nie byłby sobą, gdyby łatwo się poddał. Gdy jednak próbował wycelować z drugiego pistoletu, Tarqua po prostu powtórzył sztuczkę i następna broń pofrunęła w kierunku zarośli. Blackstrap poczerwieniał. Ciężko dysząc wstał powoli i nie spuszcżając z oka dręczyciela sięgnął po nóż. W tym momencie coś odwróciło jego uwagę. Dudnienie towarzyszące galopowi grupy ratowniczej było tuż, tuż.

– Gadające diabły spadające z nieba, chodzące góry... – Twarz wykrzywił mu paskudny, szyderczy uśmiech. – Z prawdziwą przyjemnością puszcę kiedyś z dymem ten przeklęty kraj! – Skinąwszy na wiernych mu ludzi, odwrócił się na pięcie i pognał w kierunku kanionu tą samą drogą, którą tu przybyli.

Pozostali piraci gapili się zdumieni na odzianego w szatę ascety deinonychusa, pochylającego się w niskim ukłonie przed Willem. To Chumash dostrzegł pierwszy coś poruszającego się nad ich głowami i wydał przerażony okrzyk.

– Wszystko w porządku – pośpieszył z uspokajającym wyjaśnieniem Will. – To tylko rodzaj

powietrznej galery. Statek podobny do waszego. – Ale po chwili uprzytomnił sobie, że takiego latającego statku jeszcze nie widział. Balony utrzymujące wehikuł w powietrzu wyglądały na metalowe. A to przecież było niemożliwe, nieprawdaż?

Gdy statek zaczął opadać ku nim, dostrzegł na jego dziobie znajomą postać, machająca do niego energicznie, czule w niego wpatrzoną.

– Keelk! To naprawdę ty!

Piraci usiłowali obserwować jednocześnie nowy cud, który właśnie się im objawił, i swojego młodego więźnia, który szarpał pęta jak oszalały. Uspokojeniem go zajął się jednak przybysz.

– Will Denison, jak się domyślam? Widziałem cię w świątyni, lecz nie mieliśmy okazji porozmawiać. Żałuję teraz, że do tego nie doszło. Gdybyśmy się bowiem porozumieli, ta pośpieszna podróż mogłaby się okazać niepotrzebna.

Will wolno pokiwał głową.

– Próbowałem pana zawołać, ale mi to uniemożliwiono.

– Tak też przypuszczali twoi przyjaciele. Nawiasem mówiąc, mają duży dar przekonywania. Wybacz mi, że na razie pośpieszę na pomoc mojemu niedoskonałemu statkowi. Kiedy zorientowałem się, że nie wyląduję na czas, wyskoczyłem we właściwym, jak mi się wydawało, momencie. Cieszę się, że nic ci się nie stało.

Przeskakując nad parą zdumionych piratów wzbił się niewiarygodnie wysoko w powietrze. Wiedząc, że przedstawiciele tego gatunku należą do najlepszych skoczków wzwyż w całej Dinotopii, Will był jedynym, który nie oniemiał z wrażenia obserwując ten wyczyn. Chwytnąjąc się burty statku obiema uzbrojonymi w pazury łapami, deinoriychus wciągnął się do wnętrza gondoli. – Gdybyście mogli nam pomóc – krzyknął stamtąd – byłbym mocno zobowiązany!

Przez moment nikt się nie ruszył. Dopiero po chwili Mkuse zwrócił się do swoich towarzyszy:

– Mamy być dobrymi obywatelami tego kraju, czy nie? Chodźmy! Odrzucając na bok broń, co niektórzy uczyni i po raz pierwszy w swym dorosłym życiu, piraci pośpiesznie ruszyli w kierunku obracającego się w powietrzu wehikułu. Stłoczyli się pod jego mocnym kilem, podskakując i próbując go dosięgnąć, lecz miotany podmuchami zmiennego wiatru kadłub wymykał się im z rąk. Zgodnie ze wskazówkami Tarqui struti przerzuciły przez burtę liny cumownicze, które pochwycili piraci. Wbijając pięty w mokrą od deszczu ziemię zaczęły ściągać statek w dół. Kilku z nich, pociągniętych gwałtownie do przodu, wylądowało twarzą w błocie ku uciesze kolegów.

Przyziemienie gondoli udało się dzięki zbiorowemu wysiłkowi. Gdy tylko jej spód dotknął stałego lądu, ze statku wyskoczył Tarqua i zaczął wydawać polecenia w zbyt mocno akcentowanej, lecz absolutnie zrozumiałej, poprawnej angielszczyźnie. Marynarze, którzy jeszcze tak niedawno uważali dinozaury za osobliwe, egzotyczne zwierzęta, ale nic ponadto, teraz wykonywali rozkazy jednego z tych stworzeń.

– Przy wiążcie cumę dziobową do pnia tamtej palmy... nie, nie tak... o, tak... teraz już lepiej... Obniżcie delikatnie rufę... powoli... powoli... – Instrukcje wydawane przez Tarquę były równie jasne jak rozkazy doświadczonego oficera marynarki. – Wiążesz dobre węzły – pochwalił najbliższej stojącego mężczyznę.

Samuel uśmiechnął się do niego szeroko

– Tę umiejętność posiada bardzo wielu z nas – odpowiedział.

Shremaza otworzyła drzwiczki powietrznego statku i przynagliła potomstwo do opuszczenia gondoli. Ostatni wytoczył się stękający, okropnie sponiewierany Chaz. Znalazł kawałek miękkiej ziemi i natychmiast osunął się na brzuch.

– Chaz! – krzyknął Will do przyjaciela.

Protoceratops z trudem uniósł głowę i spojrział na niego.

– Czyja naprawdę jestem z powrotem na stałym lądzie? – zapytał słabym głosem. – Bo nie czuję tego. Wydaje mi się, jakbym wciąż się unosił, podskakiwał, obracał, przechylał z boku na bok... och! – Zamknął oczy. Will przyjrzał mu się ze współczuciem. Podróż powietrzna, podobnie jak morska, nie jest dla każdego, pomyślał.

Sprowadzenie statku na ziemię nastąpiło dosłownie w ostatniej chwili. Jeden z hydromagnezytowych balonów już oklapł, a dwa następne szybko traciły kształt. Westchnąwszy z rezygnacją, Tarqua wskoczył do gondoli i do końca wypuścił z nich powietrze, przebijając powłokę ostrym końcem jednego z pazurów. Uchodzący wodór zasyczał cicho i balony całkiem zwiotczały. Metaliczne kule mogły wprawdzie zostać naprawione i powtórnie napompowane, lecz na razie powietrzny statek był unieruchomiony.

Chyba jednak byliśmy jeszcze daleko od nieba... a szkoda – mruknął.

– Od nieba? – Will przyłączył się do deinonychusa, który zabrał się za inspekcję statku. – Nic na ten temat nie wiem, czcigodny starcze, ale mogę cię zapewnić, że kiedy spadłeś na Blackstrapa, wyglądałeś w moich oczach jak prawdziwy anioł.

Znajomy świegot i pohukiwanie kazało się Willowi odwrócić. Tuż za nim stała Keelk z uniesionym do góry prawym ramieniem. Uśmiechając się, dotknął otwartą dłońią jej dłoni. Ona zaś, prawdziwym zwyczajem strutich, owinęła szyję wokół jego szyi, zdecydowanie krótszej. Najpierw z lewej, a potem z prawej strony. Potem to samo uczynili jej brat, siostra i matka, aż w końcu Willowi zakręciło się w głowie od nadmiaru wzruszeń.

– Mówią, że ich uratowałeś i cieszą się, że mogli ci się odwdzięczyć – przetłumaczył Tarqua. – Pozwól, że pozbawię cię twoich więzów.

– Dzięki – odrzekł Will odwracając się plecami do deinonychusa.

– Tylko stój bardzo spokojnie, proszę – Cofając się o krok Tarqua wysunął drugi pazur prawej stopy i dokładnie wymierzył odległość. Powietrze przeszył świst kilku szybkich kopnięć i liny krępujące Willa opadły spiralą obok jego stóp. Will poczuł tylko lekki podmuch.

– Teraz się czuję dużo lepiej – powiedział masując otartą skórę nadgarstków i nóg. Rzucił okiem w lewo i dostrzegł kierującą się wprost na nich ekipę ratowniczą. – Musimy jeszcze zrobić to samo z moją przyjaciółką.

Pięknotka cały czas przyglądała się wszystkiemu w milczeniu, oszczędzając siły, by przeprowadzić ostatni, szaleńczy atak na swoje więzy, gdyby wielki mężczyzna wycelował w nią broń. Potem młody człowiek, którego uważała za przyjaciela, został w cudowny sposób ocalony, a mężczyzna dowodzący tą odrażającą grupą uciekł. Siedziała więc teraz przycupnięta, czekając co będzie dalej.

Johanssen powstrzymał Willa i deinonychusa.

– Zaczekaj, chłopcze. To prawda, że oddaliśmy nasz los w twoje ręce, ale chyba nie myślisz poważnie o uwolnieniu tej diabelnej bestii? – Wiatr rozwiewał jego długie włosy, a twarz ociekała deszczem. – Pozabija nas wszystkich. – Nie sądzę – odrzekł z przekonaniem Will, – Zapomniał pan, że już raz udało mi się ją uspokoić?

– A, owszem – przyznał któryś z zaniepokojonych marynarzy. – Ale wtedy była związana..

– Jeśli zachowuje się agresywnie, to tylko dlatego, że jest jeszcze bardzo młoda. Co byście zrobili na jej miejscu, gdyby porwali was i uprowadzili jacyś obcy? Dałem słowo jej rodzicom, że ją uwolnię – Zauważywszy ich niepewne spojrzenia dodał: – Jeśli chcecie być obywatelami Dinotopii, musicie zrozumieć, co to znaczy.

– Zdajemy sobie z tego sprawę, chłopcze, ale mimo wszystko... – Błagalne spojrzenie

Johanssena spoczęło na przemoczonej, chudej postaci pierwszego oficera. – Panie Smiggens, co pan o tym sądzi?

– Musimy robić to, co mówi chłopiec. Aczkolwiek – Smiggens cofnął się o kilka kroków – wyznam, że nie jestem zachwycony tym jego pomysłem.

W towarzystwie Tarqui, wciąż chwiejącego się na nogach Chaza i całej rodziny strutich Will podszedł do młodego tyranozaura. Kładąc dłoń na pysku Pięknotki znów powtórzył w jej języku oba imiona, jej i swoje. Nie był zdziwiony, gdy deinonychus zwrócił się do niej władcym tonem, wyjaśniając coś płynnie i szczegółowo. Gdy asceta skończył, Pięknotka prychnęła, dając znak, że rozumiała.

– Proszę się odsunąć – deinonychus przyjrzał się uważnie więzom tyranozaura. – To chwilę potrwa. Opakowali ją w mnóstwo lin. – Powiewając szatami, w błysku pazurów zabrał się do dzieła. Patrząc na ten wspaniały pokaz sprawności fizycznej, Will pomyślał o tancerzach ludowych wykonujących akrobacje powietrzne.

Grube postronki opadały jeden po drugim na ziemię, równiutko przecięte. Gdy opadł ostatni. Tarqua cofnął się i obejrzał dzieło swych pazurów. Na skórze młodego tyranozaura nie widać było najlżejszego zadraśnięcia.

Pięknotka przeciągnęła się i ziewnęła, odsłaniając imponującą kolekcję zębów. Choć była jeszcze bardzo młoda, zęby miała większe niż dorosły deinonychus. Zgięła jedną nogę, później drugą, wreszcie lekko odwróciła głowę. Z głębi gardła wydała niski, złowrogi pomruk i ruszyła w kierunku Guimaraesa.

Uświadamiając sobie jej zamiary, przyjaciele portugalczyka natychmiast go odstąpili. Guimaraes, który jeszcze tak niedawno był uosobieniem żadnego krwi zabijaki, zaczął się cofać, oszalały ze strachu. Potknął się o skałę i upadł. Wierzgając szaleńczo nogami, sunął dalej na pośladkach, błagając wszystkich:…Zatrzymajcie ją! Zawróćcie! Nie pozwólcie jej zbliżyć się do mnie! Ona mnie zabije! Rozerwie mi gardło!

Przykro było patrzeć na ten żalosny widok.

Nie czekając dłużej, Will znalazł się między bliskim płaczem marynarzem a skradającym się tyranozaurom.

– Tarqua! Chaz! Niech któryś z was przetłumaczy szybko to, co jej powiem! – Z wyrazem zdecydowania na twarzy uniósł obie ręce. Pięknotka zatrzymała się dysząc ciężko, z zębami o kilka cali od jego palców.

– Pięknotko, posłuchaj mnie. Wiem, że nie uznajesz zasad obowiązujących w cywilizowanej części Dinotopii. – Will usłyszał za sobą całą serię powarkiwań i pomruków. To deinonychus wraz z protoeratopsem tłumaczyli jego słowa. – Wiesz, że dałem słowo, że cię uwolnię – ciągnął. – Tak samo obiecałem tym ludziom, że w moim towarzystwie będą bezpieczni. Niech osądzą ich władze Sauropolis, nie ty. Jesteś teraz wolna i dopilnuję, żebyś otrzymała wszelką potrzebną pomoc, by bezpiecznie wrócić do Deszczowej Doliny. Ale chcę, żebyś dała mi słowo, że zostawisz tych ludzi w spokoju. Wszystkich bez wyjątku. Człowiek naprawdę odpowiedzialny za to, co uczyniono tobie i nam wszystkim, uciekł. Nie winię tych tutaj za to, co zrobili. To tamten ich do tego zmusił.

Will wiedział, że nie jest to całkowicie zgodne z prawdą. Nie wszyscy piraci działali pod przymusem. Ale też nie odbiegało to aż tak bardzo od rzeczywistości, skoro marynarze rwali się do nowego życia.

Jego to przekonało, ale czy mogło przekonać tyranozaura?

Pięknotka zamrugała oczami, po czym podrapała przednią prawą łapą piekący ślad, który zostawiła na jej ciele lina. Potem spojrzała na Willa, nie interesując się więcej sparaliżowanym ze

strachu Guimaraesem. Potężne szczęki rozchyliły się i Will dostrzegł ciemną czeluść paszczy, ozdobioną ostrymi jak brzytwa zębami. Nie drgnął jednak nawet wtedy, gdy z pyska tyranozaura wysunął się długi, różowy język i liznął go w policzek. Jak u wielu drapieżników, jezior Pięknotki był szorstki jak papier ścierny. Mimo to zdobył się na uśmiech, nie zwracając uwagi na ślinę tyranozaura spływającą mu po policzku i podbródku.

– A zatem w porządku. Wszystko załatwione. – Usłyszał przyśpieszone oddechy kilku piratów. Może pan już wstać. Wszystko będzie dobrze. – Odwrócił się, by uspokoić Guimaraesa, ale Portugalczykowi nie było dane dowiedzieć się o swoim ocaleniu jeszcze przez jakiś czas.

Po prostu zemdlął.

Wiesz, Will – zaczął Smiggens tonem towarzyskiej rozmowy, podczas gdy czekali, aż wreszcie dotrze do nich ekipa ratownicza, a Samuel i Andreas ocucą nieprzytomnego Guimaraesa – byłem kiedyś nauczycielem. Zawsze tęskniłem za nauczaniem, ale trudno mi sobie wyobrazić, komu mogłaby się tu przydać moja wiedza. To całkiem inny świat. Nic o nim nie wiem.

Wili otarł z czoła krople deszczu i spróbował pocieszyć byłego pierwszego oficera.

...Nauczyciele zawsze są potrzebni. Może pan uczyć historii współczesnego zewnętrznego świata, żeglarstwa lub takich ponadczasowych przedmiotów, jak matematyka. Poznam pana z moim ojcem. Miał podobne obawy, gdy okazało się, że nie będziemy mogli opuścić tego kraju. Teraz nie wyciągnąłby go pan stąd siłą.

Smiggens przyjrzał się uważnie pewnemu sobie młodemu człowiekowi.

– Naprawdę tak uważasz? Byłoby wspaniale.

Will potrząsnął głową z zapalem.

– Niech no tylko bibliotekarze dowiedzą się, że był pan nauczycielem. Nie będzie pan miał wolnej chwili. A kiedy pozna pan tutejsze starożytne pismo, mógłby pan nawet uczyć dzieci i młode dinozaury.

– Uczyć dinozaury... – Smiggens spojrzał gdzieś w dal nieobecny wzrokiem. Po chwili zamrugał oczami i popatrzył niepewnie na Pięknotkę, No... może niektóre. – Will uśmiechnął się, słysząc tę uwagę, – Wygląda na to, że macie tutaj najbardziej wyrozumiałe ze wszystkich społeczeństw.

– Przekona się pan sam – zapewnił Will. – Jest tu miejsce dla każdego.

Mkuse podszedł bliżej. W jego głosie było niezwykle jak na niego wahanie.

– Powiedz mi, chłopcze... Czy ktoś... czy czarni Afrykanie są tutaj niewolnikami?

– Niewolnikami?! – Will zmarszczył brwi. – W Dinotopii nie ma niewolnictwa. Nie wiem, jak było w zamierzchłych czasach z ludźmi, ale dinozaury nigdy nawet nie znały tego słowa. To pojęcie jest dla nich zupełnie obce.

Wojownik wymamrotał coś w narzeczu Zulu i dodał po angielsku:

– Szkoda, że wielu moich braci nie może poznać tego miejsca.

– Szkoda – przyznał ze smutkiem Will. – Nikt też nie może opuścić Dinotopii.

Stary Ruskin zerknął ukradkiem na groźnie wyglądające niebo.

– Jeśli komuś miałoby się to udać, to tylko kapitanowi Blackstrapowi.

– Nie ma obawy. Wasz okręt będzie pod obserwacją. Znajdą go.

– Wspominałeś coś o potrzebie skontaktowania się z władzami – Smiggens wyglądał na zaniepokojonego. – Prawdę mówiąc, nie traktowaliśmy zbyt dobrze ani ciebie, ani twoich przyjaciół.

Will zastanowił się.

– Nikomu z nas nie stała się krzywda. A całe to wydarzenie jest wielce pouczające. Nie działaliście jako obywatele Dinotopii i nadal nimi me jesteście, przynajmniej na razie. Przypuszczam więc, że jeszcze nie podlegacie tutejszemu prawu. Nie wiem dokładnie, co będzie dalej, ale jestem pewien, że wszystko dobrze się skończy. – Uśmiechnął się przepaszająco. – Nie potrafię powiedzieć więcej. Jestem tylko adeptem sztuki podniebnego jeździectwa.

– Podniebnego jeździectwa? i wykrzyknął Andreas. – A cóż to takiego?!

– Zobacz pan. – Wspaniale będzie znowu ujrzeć Pierzastego Obłoka, pomyślał. Quetzalcoatlis musi czuć się samotny. – Oto i nasi ratownicy – dodał.

Marynarze stłoczyli się razem, patrząc z przerażeniem na grupę sauropodów zatrzymujących się obok nich. Wiatr szarpał kapeluszami i chustami. Rzęsisty deszcz padał teraz bez przerwy i wszyscy przemokli do suchej nitki. Prowadzący brachiozaur odłączył się od grupy i zbliżył do gapiów na odległość kilku jardów. Kilku piratom pospadały kapelusze, a Treggang aż się przewrócił, lądując na zadku, tak wszyscy zadzierali głowy wlepiając wzrok w nieprawdopodobnie długą, kończącą się małą główką szyję. Gdy tak się jej przypatrywali, zaczęła wolno opadać w dół, jak ramię wielkiego dźwigu. Z upręży zwieszały się ozdobne, czerwone i złote chwasty, a siodło umieszczone tuż za głową stworzenia musiało być dziełem mistrza w swoim fachu.

Identyczne chwasty ozdabiały ramiona i buty jeźdźca, który zsunął się z siodła z widoczną wprawą, świadczącą o długiej praktyce. Głowa wierzchowca powędrowała z powrotem ku niebu. W tym momencie z grzbietu sauropody obładowanego mnóstwem bagażu zsunęła się i zeskoczyła na ziemię znajoma, szczupła postać.

Przywitanie Hisaulka z rodziną było tyleż wzruszające, co powściągliwe.

– Cóż to za stworzenie?! Pełen szacunku Ruskin próbował zmierzyć wzrokiem ogromnego czworonoga.

– Taaa... – stwierdził O'Connor. – Wielkie jak dom. Co ja mówię! Jak dwa domy!

– To brachiozaur – poinformował ich Will. – One są bardzo łagodne.

– Zobaczcie, jak wysoko jest siodło – zauważył Samuel. – To jakby siedzieć na szczycie fokmasztu.

Podczas gdy Chaz gawędził z ogromnym wierzchowcem, Will starał się poinformować o wszystkim jeźdźca. Była nim tęga, energiczna kobieta z Miasta Drzew, która przedstawiła się jako Karinna. Skruszonym piratom widok niewiasty odzianej w długie buty, spodnie i bluzę wydawał się tak samo zdumiewający, jak widok wielkich dinozaurów.

Kobieta wysłuchała z uwagą krótkiej, lecz treściwej relacji Willa, po czym skinęła głową ze zrozumieniem. Gdy mu odpowiedziała, szybko dochodzący do siebie Chaz starannie przetłumaczył na użytek piratów jej słowa wypowiedziane w dinotopiańskim narzeczu. Właśnie zaczęło grzmieć, jakby tuż za horyzontem toczyła się bitwa morska.

– Czyli ten człowiek, którego widzieliśmy uciekającego w kierunku podgórza, to przywódca tej grupy. – Kobieta odwróciła twarz w stronę Gór Grzbietowych, których szczyty ginęły teraz w gęstniejących chmurach. – Obserwowałam go osobiście przez lunetę. – Poklepała dalekosiężny teleskop wiszący na taśmie u jej pasa. – Wielki mężczyzna – Tylko w sensie fizycznym – zapewnił ją Tarqua. Zaskoczona amazonka spojrzała na niego mrugając oczami.

– Jak na dromaeozaura mówisz bardzo wyraźnie! Spędziłem życie ucząc się. Tarqua odwdzieczył się jej eleganckim, niskim ukłonem,

– Jeśli nie spróbujemy odciąć mu drogi, ucieknie. – Wili również patrzył w kierunku gór. – On jest niebezpieczny,

– Teraz już nie. Niech sobie ucieka. – Karinna gwizdnęła na swojego wierzchowca i głowa brachiozaura znów powędrowała w dół. Przerzuciwszy jedną nogę ponad szerokim siodłem, kobieta usadowiła się na nim. Gdy tylko wsunęła stopy w zwisające luźno strzemiona, natychmiast znalazła się czterdzieści stóp nad ziemią. Na jej rozkaz gigantyczny czworonóg wspiął się na tylnych łapach i używając ogona jako trzeciej podpory, uniósł jeźdźca o następne dwadzieścia stóp w górę. Piraci skulili się ze strachu, ale brachiozaurowi udało się utrzymać równowagę przez kilka chwil, potrzebnych do zlustrowania horyzontu. Kiedy opadł z powrotem na cztery łapy, ziemia się zatrzęsała.

Kilka diplodoków i drugi brachiozaur zebrały się razem i wraz ze swymi jeźdźcami rozprawiały o czymś z ożywieniem. W końcu Karinna rozkazała swemu rumakowi opuścić głowę do ziemi, lecz

tym razem nie zsiadła z niego. Wszyscy skupili się wokół niej. Nawet piraci uznali, że nie muszą się obawiać poczciwego brachiozaura o sympatycznym pysku.

– Musimy się natychmiast stąd wynosić – stwierdziła stanowczo Karinna, spoglądając to na odległe morze, to na podróżników. Wiatr o mało nie zdmuchnął jej wysokiej, spiczastej czapki; tylko dzięki paskowi pod brodą utrzymała się na jej głowie.

Wyjący wicher uderzył z nową siłą. Złamana gałązka trafiła Willa w policzek. Odniosł wrażenie, jakby dostał w twarz kawałkiem szkła. Przycumowana w pobliżu podniebna galera Tarqui oma! nie zerwała się z uwięzi. Obok przelatywały kawałki krzaków i drzew, jedne sunąc po ziemi, inne frunąc w powietrzu. Willowi nie potrzeba było wyjaśniać, co się dzieje. Spodziewa! się tego i obawiał od wielu dni.

Powtarzający się co sześć lat sztorm uderzył w wybrzeże.

– „Kondor” – Chumash musiał mocno podnieść głos, by przekrzyczeć wiatr.

– Na jego pokładzie są ludzie – poinformował kobietę zatroskany Smiggens. – Nie brali udziału w naszej wyprawie i nie wiedzą, co się dzieje. – Ruszył w kierunku brzegu. – Trzeba ich zawiadomić.

Szyja o wymiarach grotmasztu wojennego okrętu zagroziła mu drogę. – Nie ma na to czasu – zaprotestowała Karinna. – Część pańskich kolegów będzie musiała poradzić sobie sama.

Smiggens odwrócił się do Willa:

– Nie rozumiem.. O co tu chodzi? To przecież tylko sztorm.

– To nie jest zwykły sztorm. – Pochylając się, by stawić opór wichurze, Will podszedł bliżej. – To kulminacja burzy zdarzającej się raz na sześć lat. Cały ten obszar – wykonał ręką zamaszysty gest, wskazując nadmorską nizinę, na której stali – jest zagrożony.

– Zagrożony? – pierwszy oficer skrzywił się. – Czym zagrożony, chłopcze? Powodnią?

– Tego nie jestem pewien. Nie znam wszystkich szczegółów, ale wiem, że każdy, kto mieszka w tej okolicy, wynosi się stąd co sześć lat i my lepiej zrobmy to samo. I to szybko!

– Will Denison ma rację. – Karinna mocniej ścisnęła udami szyję swojego brachiozaura. – Nie mamy wiele czasu.

Smiggens był w rozterce. Z jednej strony, wszystko, co do tej pory opisywał młody Will Denison, sprawdzało się. Ale z drugiej, „Kondor” był nie tylko jego domem i domem całej załogi. Był ich schronieniem, a dla wielu jedynym miejscem dającym przez lata poczucie bezpieczeństwa. Dawał sobie radę ze wszystkimi nieszczęściami, jakie na nich spadały. Opuszczenie statku oznaczało teraz oddanie się w ręce nie tylko obcych ludzi, ale i nieznanymi bestii. To była decyzja wymagająca prawdziwej wiary w przyszłość i całkowitego zerwania z przeszłością.

Zauważył, że inni patrzą na niego, czekając, żeby coś postanowił, żeby powiedział im, co robić. Nagle zdał sobie sprawę, że się uśmiecha; miał nadzieję, że jest to uspokajający uśmiech. Był przyzwyczajony do wydawania rozkazów, ale nie do przewodzenia ludziom.

– Od tej chwili musimy robić tak, jak mówią ci ludzie. Wtedy wszystko będzie w porządku. – Spojrzał na Willa Denisona. – Prawda, że wszystko będzie w porządku?

Will przytaknął skinieniem głowy akurat w momencie, gdy swym kaczym krokiem zbliżył się do nich Chaz.

– Owszem, o ile szybko stąd znikniemy – ostrzegł protoceratops. Karinna z wysokości trzydziestu stóp obserwowała morze, podobnie jak wszyscy jeźdźcy usadowieni na swych sauropodach.

– Nie ma już czasu na dyskusję o pańskich niepokojach. I niech pan przestanie myśleć o powrocie na okręt.

– Dlaczego? – zaskoczony Smiggens utkwiał w niej wzrok.

– Bo za kilka chwil już go nie będzie. – Po czym dodała uroczystym głosem: – Nadciąga morze, by złożyć pocałunek na tej ziemi. Po plecach Willa i grzbiecie Chaza przeszedł zimny dreszcz, gdy tłumaczyli jej słowa Smiggensowi i jego kompanom.

– Na górą! – Na rozkaz kobiety brachiozaur zaczął się, obracać. Will przetłumaczył to polecenie piratom, a ci rzucili się w kierunku odległych wzniesień. Musiał pośpiesznie zastąpić im drogę..

– Nie, nie! Nie o to chodzi! Na wierzchowce!

Zatrzymując się marynarze spojrzeli za siebie. Masywne szyje dotykały prawie ziemi, wyglądając jak dwanaście przewróconych greckich kolumn. Karinna i pozostali jeźdźcy przywoływali ich gestykulując energicznie.

Tych gestów nie potrzeba było tłumaczyć. Pokrzykując, aby dodać sobie odwagi, piraci zaczęli się wdrapywać po tych wygiętych pochylniach na grzbiety szerokie jak bulwary. Will, Chaz i Tarqua tłumaczyli polecenia jeźdźców przekrzykując wiatr i ulewę.

– Przywiążcie się do juków! – Will przyłożył do ust dłoń zwinęte w trąbkę. – Uchwycie się każdej liny, jaką macie pod ręką, każdego kawałka pasa i trzymajcie się mocno!

Jacyś inni podróżni mieliby zapewne trudności z wykonaniem tych zaleceń, ale nie ci zahartowani marynarze. Przyzwyczajeni do wspinania się na reje i szczyty masztów podczas szalejącego sztormu, radzili sobie doskonale. Kilku owinęło sobie zwisające z sodeł paski wokół nadgarstków. Inni opletli nogami długie, muskularne szyje i wspiąwszy się po nich, zawisli w tej niewygodnej, lecz bezpiecznej pozycji na dużej wysokości.

Przez ten czas rumak Karinny i reszta wierzchowców ustawiły się w trójkąt, tworząc falangę składającą się z blisko tysiąca ton mięśni. Diplodoki przysunęły się jak mogły najbliżej do apatozaurów, podczas gdy pięć brachiozaurów zajęło miejsce na przedzie formacji. Przysunięte do siebie potężne nogi utworzyły solidny mur, skierowany ku wybrzeżu. Pozycję na samym czele grupy zajął brachiozaur Karinny imieniem Maratya, mierzący dziewięćdziesiąt stóp długości i ważący osiemdziesiąt ton.

Will usadowił się na skórzanym siodle tuż za Karinna. Ponieważ od ziemi dzieliła go duża odległość, mocno objął kobietę w pasie. Mrugając pod zalewającym mu oczy deszczem, ledwo słyszał jej słowa poprzez wycie wiatru. Wyciągnął się w prawo, próbując dostrzec coś, co wskazywała wyciągniętym ramieniem.

Poza ostatnim rzędem mangrowców i wąską plażą pokrytą nieskazitelnie czystym, koralowym piaskiem kołysał się na kotwicy „Kondor”, zwrócony dziobem do ryczącego wiatru. Za okrętem gigantyczne bałwany, jakich Will nie widział jeszcze nigdy w życiu, waliły wściekle o rafę.

Poza linią raf, w miejscu znanym tylko delfinom, dno morza zapadało się tworząc wielki lej. Co sześć lat, podczas pełni księżyca, w okresie najwyższego przyływu, na południe skręcał cyklon stanowiący mutację południc woindyjskiego monsunu i w północne wybrzeże Dinotopii uderzał wielki sztorm. Fale, nie powstrzymywane przez żadne wyspy, skały czy inne masy lądu, nieprzerwanie towarzyszyły oku cyklonu w drodze na południe, gromadząc swą ogromną energię, by w końcu natrafić na opadające dno morza.

Gdy wciskały się do leja, wprawiane w ruch niesamowitą siłą cyklonu, następowało rzadko spotykane połączenie się fal o sile tajfunu z ogromną falą powrotną oceanicznego przyływu. To właśnie rezultat tego połączenia, czyli ciągnąca się od krańca po kraniec horyzontu ściana wody, przykuwał teraz uwagę jeźdźców, wierzchowców i ich przerażonych pasażerów.

Wysoka na dwadzieścia stóp, wciąż rosnąca i nabierająca szybkości fala pędziła w kierunku brzegu. Przetoczyła się nad szeroką rafą, jakby ta w ogóle nie istniała, i miliony ton wody wlały się

do laguny. Will nie mógł słyszeć ludzi pozostawionych na pokładzie „Kondora”, ale świetnie sobie wyobrażał panikę i zamieszanie, jakie powstały na okręcie. Za sobą usłyszał natomiast ostrzegawcze okrzyki kilku piratów, skierowane do nieszczęśników na „Kondorze”, choć jasne było, że tamci ich nie usłyszą.

Wszyscy patrzyli, jak mocny statek unosi się w objęciach fali jak zabawka i zrywa się z kotwicy. Chin-lee bełkotał w podnieceniu; miał kiedyś okazję oglądać taki fenomen na rzece Jangcy. Johanssen znał ogromne przyływy zalewające okresowo Zatokę Fundy. Ale ani on, ani żaden z piratów nie widział jeszcze takiego spektaklu, jaki rozgrywał się teraz na oczach osłupiałych mężczyzn.

W dodatku fala pędziła prosto na nich.

Jej spieniony grzbiet przewalił się nad plażą, przykrył mangrowce, zgiął palmy i dalej pochłaniał ląd. Sauropody przygotowywały się na uderzenie, podczas gdy ich jeźdźcy wymieniali między sobą ostatnie instrukcje. Will mocno objął ramionami Karinę i ścisnął nogami siodło, struti zaś i piraci zacisnęli palce na skórzanych i konopnych zabezpieczeniach. Tarqua, który miał najmocniejsze pazury, podtrzymywał Chaza, w przeciwieństwie do innych pozbawionego chwytnych palców. Pozostawał mu tylko mocny, ale nieprzydatny w tej sytuacji dziób. Szczęki Pięknotki zwały się w ostrożnym, lecz nierozzerwalnym uścisku na grubej linie. Ostatnią rzeczą, jaką zapamiętał Will, zanim nastąpiło uderzenie morza, był zdumiewający widok „Kondora”, który straciwszy maszty i żagle, lecz wciąż nietknięty, sunął chwiejąc się i obracając na fali, wdzierającej się na ląd ponad karłowatymi palmami i cyprysami.

Potem wszystkich zalała woda.

Jeśli kiedykolwiek z tego wyjdę, przysięgał sobie Chaz, zanim przetoczyła się nad nim fala, już zawsze będę się trzymał tak blisko ziemi, jak to tylko możliwe.

– Zginiemy! Wszyscy zginiemy! – wrzasnął Treggang.

– Zamknij się! – Smiggens nie miał pojęcia, czy towarzysz go usłyszał. Wokół było tylko wycie wiatru i słona woda; jedyną rzeczą, jaką mógł zrobić, by nie zostać przez nią porwanym, było to, co doradził teraz tamtemu: – Lepiej mocno się trzymaj!

Will poczuł pod sobą drżenie mocnej szyi. Cieszył się, że nie siedzi teraz na Pierzastym Obłoku. Nic, co lata, nie wytrzymałoby takiego wiatru. Ani żaden dinozaur, ani sztucznie zbudowany latający statek.

Z potwornym sykiem przypominającym odgłos ssania fala cofnęła się tylko po to, by zaraz po niej napłynęła następna, a potem jeszcze jedna. Ogromne ciało pod Willem drżało, ale nie zachwiało się. Poprzez szum wichury dolatywały do niego okrzyki jeźdźców i porykiwania sauropodów, dodających sobie wzajemnie odwagi.

Falanga wytrzymała. Tysiąc ton dinozaurzego mięsa stanowiło przeszkodę nie do poruszenia, nawet dla sztormowej fali wysokiej na dwadzieścia stóp.

Gdy trzecia fala opadła i cofnęła się ku morzu, oko cyklonu przesunęło się dalej i Will wiedział już, że ostatnie z wielkich wałów wodnych roztrzaskają się o litą skałę Cypla Wiatrów, nie wyrządzając żadnych szkód. Choć wciąż jeszcze silny, sztormowy wichur powoli zaczynał słabnąć, zastępował go lejający się strumieniami deszcz, który zatapiał ląd, ale jednocześnie splukiwał do morza większość soli, zanim jeszcze zdążyła wsiąknąć w ziemię i zatruć glebę.

Czy Blackstrapowi i wiernym mu ludziom udało się dotrzeć do wyżej położonego miejsca przed uderzeniem pierwszej fali? Nie sposób było się tego dowiedzieć. A Will zbyt troszczył się o los swoich przyjaciół, by zastanawiać się nad tym dłużej.

Dwanaście sauropodów przyjęło wyzwanie rzucone im przez fale z dumnie wypiętą pierśią.

Szyje nie ugięły się i sterczały wysoko ponad spienioną powierzchnią wody. Gdy ta opadła, odsłoniła słupowate nogi, oblepione błotem. W powoli znikających kałużach trzepotały się ryby i trochę przedziwnych mieszkańców morskich głębin.

Wierzchowce i ich jeźdźcy przyglądali się sobie nawzajem, sprawdzając, czy wszyscy przetrwali bez żadnej szkody zaciekły napór morza. Deszcz spływał strumieniami po bladej skórze wierzchowców, po jukach, uprząży, przemoczonych żeglarzach, paplających z podnieceniem sthruthiomimusach, stoicko spokojnym deinonychusie, odzyskującym animusz młodym tyranozaurze i bardzo nieszczęśliwym protoceratopsie.

– Czy coś nam jeszcze zagraża? – Will wypluł deszczówkę, gdy Maratyya zaczął opuszczać go ku ziemi.

– Nie sędzę. – Karinna osłoniła ręką oczy i przyjrzała się z uwagą horyzontowi. – Myślę, że sztorm przesuwają się na zachód. Stare źródła mówią, że takie fale mogą się zdarzyć tylko wtedy, gdy burza jest dokładnie na wprost łądu. Było na co popatrzeć, prawda?

– I owszem – przyznał Will myśląc jednocześnie, że mimo wszystko wolałby to obserwować z suchego namiotu stojącego wysoko na którymś z górskich szczytów. Zsunął się z siodła i ruszył przed siebie. Deszcz spływał z grzbietu brachiozaura, tworząc małe wodospady.

Zauważywszy coś trzepocącego się w małej kałuży, Will przyklęknął i przyjrzał się uważnie parze dużych trylobitów wyrzuconych na brzeg laguny. Gdy fale odpłynęły, znalazły się w pułapce. Podniósł ostrożnie jedno stworzenie, a potem drugie i umieścił oba w szybko znikającym, ale wciąż rwącym strumieniu wody. Trylobity natychmiast podjęły pośpieszną wędrówkę ku morzu, wiosłując zamasyżycie licznymi kończynami.

Wszędzie walały się osiadłe na piasku ortocerasy i amonity. Ich oczy były szkliste, a macki bezwładne. Will wiedział, że mogą stanowić doskonały posiłek, choć osobiście nie przepadał za ich zbyt gumowatym jak na jego gust mięsem. Pięknotka już przebierała w tych pozostałościach po sztormie, wyszukując co okazalsze sztuki. Po raz pierwszy od czasu uwięzienia mogła się najeść do syta. Niedaleko od niej Anbaya i Chin-lee dyskutowali, jak najlepiej przyrządzić osobnika z gatunku Orthoceros, mierzącego sześć stóp długości. Przypominał im kałamarnicę, z której można by przygotować prawdziwą ucztę.

Usłyszawszy w pobliżu czyjeś jęki Will odwrócił się. W jego kierunku, zataczając się i rozchlapując wodę, zmierzał Chaz.

– Jak się czujesz? – zapytał troskliwie protoceratopsa.

– Jestem wykończony. Wykończony ucieczką przed drapieżnikami z Deszczowej Doliny, dyndaniem w łapach tyranozaura, lotem w przestworzach w koszu z trzciny i lian, a wreszcie tonieniem na grzbiecie apatozaura. – Mały tłumacz kichnął tak mocno, że aż podskoczyła mu głowa, – Kiedy tylko wrócimy do Miasta Drzew, mam zamiar złożyć ślubowanie, że już nigdy nie zbliżę się do morza bardziej niż na sto długości mojego ciała.

– Nie bądź taki. Każdemu czasami dobrze robi zabawa na plaży. – Will przyjrzał się szybko płynącym chmurom. – Przydałby się nam wreszcie jasny, słoneczny, gorący dzień.

– Mnie przydałyby się wreszcie wysoko położone, suche i gładkie ulice. – wymamrotał gderliwie protoceratops.

Will przypomniał sobie, że Chaz jest typowo miejskim dinozaurem. Cóż, pomyślał, nie każdy musi lubić uroki wiejskiego życia.

– Kiedy tu dotarliśmy, wyglądało na to, że nie musimy was ratować przed tymi ludźmi, a jedynie przed sztormem. – Karinna wskazała gestem Hisaulka. – Z relacji struli wynikało coś innego.

– Sytuacja uległa zmianie – wyjaśnił Will. – Z wyjątkiem tamtych trzech, którzy uciekli, wszyscy

tu obecni zgodzili się zerwać ze swoim zajęciem i zostać porządnymi obywatelami Dinotopii. Mogę za nich poręczyć, podobnie jak Tarqua i struti, które były z nami. Co do ludzi, którzy pozostali na statku, to sądzę, że gdyby mieli okazję porozmawiać z obecnymi tu kolegami, przyłączyliby się do nich. – Will spojrział w kierunku zachodnim, lecz nie mógł dostrzec, gdzie spoczywa porwany przez morze „Kondor”. Bez względu na to, jakie zamiary miała jego załoga, byli na pewno zbyt zmaltretowani i wycieńczeni, by stawiać jakikolwiek opór. Nie miał wątpliwości, że Smiggens i cała reszta szybko przekonaliby swoich kolegów.

Dosiadająca brachiozaura kobieta pokiwała głową z poważną miną:

– Ostateczną decyzję w ich sprawie podejmie Wielka Rada miasta Sauropolis. – Za plecami Willa grupa zahartowanych marynarzy wierciła się niespokojnie, przestępując z nogi na nogę jak banda skarconych uczniów. Karinna uśmiechnęła się do nich przez ścianę deszczu. – Chyba na razie możemy uwierzyć wam na słowo. – Podniosła głos: – Jeśli naprawdę macie szczerzy zamiar wyrzec się swej grzesznej przeszłości, zostanieie potraktowani jak wszyscy rozbitkowie. Od tej chwili jesteście naszymi gośćmi.

Uniosła ramię i wyrzuciła je przed siebie zamaszystym gestem. Za jej plecami tuzin masywnych szyj pochyliło się nisko jednoczesnym, półkolistym ruchem. Był to imponujący widok.

Zsunąwszy się ze swoich siodeł jeźdźcy zaczęli, aż ich rumaki ułożą się ociężale na brzuchach. Potem przy użyciu sznurowych drabinek wspięli się na grzbiety sauropodów i zaczęli odwiązywać pakunki z zaopatrzeniem. Pracując jak żurawie, dinozaury sięgały za siebie i pomagały przy rozładunku.

Obsypani podarkami w postaci żywności i dziwnych, lecz wspaniałych strojów, piraci czuli radość i ulgę. Były nawet bukiety kwiatów, które rozwinęły się w ustającym już deszczu. Poznaczone śladami wielu walk twarze wykrzywiły szerokie, chłopięce uśmiechy, gdy marynarze rozpoznali w kilku jeźdźcach młode kobiety, odziane w skórę i len. Te zaś, uśmiechając się na powitanie, włożyły im na szyje wieńce z egzotycznych kwiatów.

– Wprost nie wiem, co powiedzieć... – przejęty tą demonstracją bezpretensjonalnej gościnności Smiggens wodził palcami po wieńcu zdobiącym jego szyję. – Co to znaczy?

– O ile mi wiadomo, Polinezyjczycy byli jednymi z pierwszych ludzi, którzy wylądowali w Dinotopii – wyjaśnił Will. – Stąd ten stary zwyczaj.

– Ale żeby kwiaty... – wymamrotał pierwszy oficer. – Rozumiem, jedzenie i woda, ale dlaczego ekipa ratownicza podróżowała z kwiatami?

Will uśmiechnął się promiennie.

– W Dinotopii ludzie wszędzie podróżują z kwiatami. Uważa się tu, iż są one tak samo potrzebne do szczęśliwego życia, jak jedzenie czy picie. Dinozaurom dostarczają doznań wzrokowych i wszelkich innych.

Uśmiechając się jeszcze szerzej, Smiggens pokiwał głową w zadumie nad tym dziwnym światem.

– Myślę... myślę, że moim towarzyszom spodoba się tutaj. Ani mnie, ani żadnego z tych ludzi nikt jeszcze nigdy w życiu tak nie potraktował.

– Tak mi się zdawało. – Will spojrział w niebo. Spoza szybko umykających chmur zaczynało wyglądać słońce. – Czasami w największe zakłopotanie wprawia człowieka czyjaś niespodziewana życzliwość. Wiem coś o tym.

Smiggens chrząknął i otarł kroplę deszczu spływającą mu po policzku. A może łzę? Tego Will nie był pewien.

– Co będziesz teraz robił, Willu Denisonie?

– Ja? Muszę się dalej uczyć, żeby zostać mistrzem podniebnego jeździectwa.

Pierwszy oficer uśmiechnął się zagadkowo. – I to wszystko?

Will odwrócił wzrok. Sam nie wiedział, dlaczego poczuł się zakłopotany.

– Jest pewna młoda dama... Pewna wyjątkowa młoda dama. – Tak właśnie myślałem. Znałem wiele kobiet, ale żadnej z nich na tyle dobrze, by uważać ją za kogoś wyjątkowego. Chciałbym, żeby któregoś dnia któraś z nich pomyślała o mnie jako o kimś wyjątkowym. Jeśli wszystko dobrze się ułoży, tak jak mówiłeś, może będę miał tyle szczęścia, by trafić tu na taką kobietę.

Odwracając się ku południu powiódł wzrokiem po zalanych wodą nizinach, a potem wspiął się spojrzeniem na zbocza Gór Grzbietowych. Poza ich szczytami kryły się trudne do wyobrażenia cuda, o których stojący obok niego młody człowiek zaledwie napomknął. Cuda, które będzie miał okazję teraz poznać – chociaż dawno temu zapomniał o marzeniach i uznał swoje życie za zmarnowane.

Zabłąkana chmura przesłoniła słońce. Smiggens spojrzał na Willa.

– Nie pozwól, by twoi przyjaciele zlekceważyli Brognara Blackstrapa. To najbardziej brutalny, nikczemny, przebiegły i zdeprawowany osobnik, jakiego w życiu spotkałem. A wierz mi, że znałem typy, na widok których włosy stanęłyby dęba na twojej młodej głowie. Nic nie powstrzyma Blackstrapa przed dokonaniem zemsty.

Pierwszy oficer odwrócił się. Will powiódł wzrokiem za jego spojrzeniem.

– Władze się nim zajmą – zapewnił stojącego obok mężczyznę, pamiętając o swoich ostatnich spotkaniach z wybuchowym Lee Crabbem. – Nie musimy się nim dłużej przejmować. Ani pan, ani ja. Niech pan spróbuje o nim nie myśleć.

Czyjeś pazury dotknęły delikatnie jego ramienia. Odwrócił się i ujrzał szlachetne oblicze ascety,

– Muszę już wracać, Willu Denisonie – powiedział Tarqua. Will ze zdumienia zamrugał oczami.

– Co? z powrotem do kanionu i do świątyni?

– Z powrotem do życia w zadumie i kontemplacji. Spróbować zgłębić wielkie tajemnice.

– A jeśli czeka tam na pana Blackstrap? Ich jest trzech, a pan jeden.

– Wiem – westchnął deinonychus. – Ale jeśli znów dojdzie do starcia, postaram się, żeby mieli równe szansę. Nie chciałbym, by jedna ze stron miała zbyt dużą przewagę. Może będę walczył tylko jedną nogą?

Wątpliwości Willa rozwiały się a na jego twarzy zagościł szeroki uśmiech.

Może ma pan rację.? Może tak byłoby bardziej fair. – Przestał się uśmiechać, gdy spojrzał w prawo. Miejsce, w którym stał przycumowany powietrzny statek deinonychusa, było puste, splukane przez sztorm, jak reszta krajobrazu, – Przykro mi z powodu pańskiego statku. Wyobrażam sobie, ile czasu i wysiłku poświęcił pan na jego zbudowanie.

– Niezłe zajęcie dla kogoś, kto ma dużo czasu i sprawne ręce. Jeśli będę miał ochotę, zbuduję następny. – Zakończona pazurami dłoń ponownie uniosła się, by lekko ucisnąć ramię Willa. – Z przyjemnością porozmawiałbym z tobą jeszcze kiedyś, Willu Denisonie. Z tego, co sam zauważyłem i co opowiadał mi twój przyjaciel Chaz, wynika, że jesteś niezwykłym młodym człowiekiem. Zwłaszcza że od niedawna jesteś w Dinotopii.

– Ja też chętnie bym się z panem kiedyś spotkał – odrzekł Will ze ściśniętym sercem. – Ale dlaczego nie wróci pan z nami? W Mieście Wodospadów powitano by pana z radością. Nallab, szef biblioteki, byłby zachwycony mogąc porozmawiać z panem. On należy do tego samego gatunku co pan.

– Nie. – Tarqua był nieugięty. – Wybrałem życie samotnika i myśliciela i przy tym pozostanę. Lecz być może... – wydawało się, że przez moment się zawahał – złożę wam pewnego dnia wizytę. Upłynęło dużo czasu od chwili, gdy po raz ostami byłem w Mieście Wodospadów i miałem okazję

czytać wielkie zwoje.

– Trzymam pana za słowo. – Will położył dłoń na spadzistym ramieniu ascety, czując pod haftowaną szatą silne mięśnie. – Może nauczyłby mnie pan wtedy takich kopnięć.

– Skromna umiejętność, służąca utrzymaniu kondycji fizycznej. – Zakrzywione pazury zjechały niżej, a ich właściciel dotknął otwartej dłoni Willa, – Żegnaj, Willu Denisonie. Cieszę się, że mogłem pomóc tobie i twym przyjaciółom. To dobrze zrobi naszej karmie.

Willowi nie pozostawało nic innego, jak tylko przyjrzeć się, jak wyjątkowy deinonychus żegna się po raz ostatni ze wszystkimi, od Chaza począwszy, a na Pięknotce skończywszy. Potem Tarqua zaczął oddalać się długimi susami w kierunku odległych gór. Zatrzymał się jeszcze tylko na szczycie zalanego wodą pagórka, by po raz ostatni pomachać w ich kierunku.

Myśli Willa pobiegły ku domowi. Ojciec na pewno został już zawiadomiony i z niepokojem oczekiwał na dalsze informacje o losie syna, tak samo jak Sylvia. Pierzasty Obłok przynajmniej wiedział wcześniej, co Will zamierza. Wszyscy na pewno odetchnęliby z wielką ulgą, wiedząc, że jest bezpieczny i nic mu się nie stało.

– Spójrzcie! – ozwał się nagle czyjś głos. – Filozof wraca!

Obróciwszy się w miejscu Will ujrzał, że Tarqua rzeczywiście zbliża się do nich, wzbijając fontanny wody pazurzastymi stopami. Po chwili stanął przed nim. – Wiesz, kiedy tak samotnie, jak zwykle, biegłem przed siebie, przyszło mi nagle do głowy, że może jednak mógłbym przerwać tę nie kończącą się samotność. Po prostu zapomniałem, jak wciągająca może być rozmowa i towarzystwo przyjaciół. Czy myślisz, że bibliotekarze z Miasta Wodospadów naprawdę mieliby ochotę na rozmowę ze mną?

Will nie posiadał się z zachwyty,

– Ależ jestem tego pewien! Mój ojciec mógłby nawet pomóc panu przy projektowaniu nowego statku powietrznego!

– Doprawdy? Byłoby wspaniale.

Smiggens stał obok przysłuchując się rozmowie.

– Wiercie lub nie, ale kiedyś sam się tym interesowałem – wtrącił. – Pamiętam rysunki da Vinci, czytałem również o dziele dwóch braci we Francji. Przeprowadzano też ciekawe eksperymenty z balonami podczas wojny domowej w Ameryce...

Nie zwracając uwagi na otoczenie i siąpiącą akurat mżawkę, podniecony pierwszy oficer i żądny szczegółów Tarqua oddalili się zatopieni w uczonej dyskusji. Will przyglądał im się z przyjemnością. Nagle ktoś szturchnął go w bok. Odwrócił się.

Nic me mógł na to poradzić, ale widok pyska Pięknotki tuż obok nadal przejmował go dreszczem. Słyszając jej cichy pomruk, skinął na Chaza.

– Nie może się doczekać, kiedy wyruszy do domu – przetłumaczył protoceratops.

– Rozumiem ją. – Will zmusił się, by odwzajemnić spojrzenie bezlitosnych, dzikich oczu. – Powiedz jej, że osobiście dopilnuję, by wróciła do rodziców. Tak jak obiecałem.

Gdy Pięknotka odwróciła głowę, Chaz podniósł wzrok na przyjaciela.

– Zauważ, Willu, że jest to wyjątkowa, nawet niezwykła przyjaźń. Tak, tak., choć może się to wydawać zdumiewające, ona uważa cię za przyjaciela. Nigdy jeszcze nie słyszałem o czymś podobnym. Najprawdopodobniej każdego innego człowieka potraktowałaby jak przekąskę. Gdybyś kiedyś z jakiegoś powodu miał zamiar spędzić pewien czas w Deszczowej Dolinie, wiedz, że masz tam przyjaciółkę. – Protoceratops trącił przyjaciela w nogę rogowym dziobem. – Posunąłbym się nawet dalej i zaryzykował stwierdzenie, że ona czuje do ciebie wyjątkową słabość.

– Zaraz, zaraz! Chwileczkę! – zaprotestował Will. – Ona nie jest w moim typie. Wolę moje,

niedużo mniej... hm... drapieżne przyjaciółki.

Kiedy skończył, poczuł silne uderzenia w ramię.

– Hej! – Odwracając się zdał sobie sprawę, że to Pięknotka trąca go pyskiem. Jej jasnozłote ślepie wpatrywały się w niego intensywnie. – Uspokój się!

– A co, nie mówiłem? – zarechotał Chaz. – To gest wyrażający uczucie. Pieszczota tyranozaura. Ciesz się, że ona nie jest większa. Złamałaby ci rękę.

– Przesadzasz... Ale powiedz jej, żeby dała sobie spokój. W końcu jestem tylko człowiekiem. – Chaz zaraz zaczął pohukiwać coś niezrozumiale.

Ignorując narzucającą się niepokojąco pannę tyranozaur i wielce ubawionego protoceratopsa, Will zaczął błędzić wzrokiem po zalanej wodą Nizinie Północnej. Niedługo powrócą tu farmerzy i zbieracze owoców, by odbudować swe proste, ale wygodne domostwa, pomyślał. Znów zasieją ryż i kolokazję. Ceratopsiany i ankylozaury wdzieją uprząż i ruszą w pole ciągnąc pługi. Życie wróci do normy.

Podobnie jak jego własne. Był zdumiony, z jakim zapałem myślał o powrocie do szarej codzienności, do zwykłych zajęć. Miał zupełnie dosyć podniecających przygód.

No... w każdym razie na jakiś czas.

Copperhead zaklął potknąwszy się o korzeń. Blackstrap odwrócił brudną, ociekającą potem twarz i posłał mu gniewne spojrzenie.

– Uważaj, co robisz! Na każdym kroku trzeba się wystrzegać dzikich bestii, a ty chcesz im dać znać, że tu jesteśmy?! – Zatrzymał się, by złapać oddech. Po burzy w Deszczowej Dolinie było jeszcze bardziej gorąco i wilgotno niż przedtem.

Davies uczeplił się jego rękawa.

– Kapitanie, jest pan całkiem pewien, że idziemy w dobrym kierunku?

Blackstrap przeszył go wzrokiem.

– Człowieku! Wątpisz w mój zmysł orientacji? A kto, jak nie ja, opłynął niemal całą kulę ziemską, mając do pomocy tylko kompas i gwiazdy? – parsknął pogardliwie. – Czy to nie ja znalazłem pierwszy kanion? Czy to nie ja znam drogę do drugiego?

– Kapitanie Blackstrap... pan wybaczy, sir, ale nadal nie rozumiem, dlaczego po prostu nie wróciliśmy od razu do świątyni – zgłosił swoje zastrzeżenia Copperhead.

– Muszę to wyjaśniać od początku? Nie mogłem ryzykować i pozwolić, żeby nas zaczęli ścigać. Podkradniemy się do tego kopiającego diabła, kiedy będzie się nas najmniej spodziewał. Jeśli ktoś nas szuka, w co wątpię, to stara się nas znaleźć na tej drodze, którą wróciliśmy na niziny. – Chrząknął z zadowoleniem. – Nikt nie będzie podejrzewał, że jeszcze raz poszliśmy dookoła. Zaskoczmy tego cholernego jaszczura z dużymi pazurami we śnie i poderżniemy mu gardło. Potem zagarniemy tyle skarbów, ile zdołamy udźwignąć. Jeśli „Kondor” został uszkodzony albo zabrało go morze, to ukradniemy jakiś statek miejscowym. To me powinno być trudne. Chłopak mówił przecież, że miłujący pokój tubylcy nie noszą broni.

– Zgadza się – przyznał Copperhead. – Z przyjemnością rozprułbym kilka brzuchów.

– Oto właściwe nastawienie. Nigdzie nie jest powiedziane, że solidny statek żeglugi przybrzeżnej, odpowiednio otaklowany, w sprzyjających warunkach nie przepłynie morza. Oby tylko dopisała nam pogoda. Załadujemy go skarbami i pożeglujemy do Durbanu. Za to, co przywieziemy ze sobą i za obietnicę, że możemy zdobyć znacznie więcej, stać nas będzie na całą flotę. – W jego oczach pojawił się diabelski błysk, – Wrócimy tu i puścimy z dymem to wynaturzone społeczeństwo zwierząt i ludzi. Zemszczę się na nich!

Zacisnął pięść i pogroził nią drzewom. Ale nie zareagowały.

– A jeśli zdecydują się walczyć, kapitanie? Co wtedy? – chciał wiedzieć Davies.

– Walczyć? Czym? Słyszałeś, co mówił chłopak. A co do tych dinozaurów, to choć są monstrualnie wielkie, założę się o szmaragd wielkości mojego nosa, że nowoczesne działa powalą je bez trudu. Tak! Ogień artyleryjski, to jest to! Położymy kres istnieniu tej Dinotopii, czy jak tam się ten kraj nazywa. Rozprawimy się...

Jego tyradę przerwał nagle szmer roztrącanej roślinności. Ogromne zwierzę podeszło ich tak cicho, że me sposób było wykryć jego obecności. Teraz stało na wprost nich, nie wydając żadnego dźwięku. Słysząc było jedynie jego ciężki, ale swobodny oddech.

– Cofnąć się! – krzyknął do swych kompanów Blackstrap, choć oni sami wiedzieli, co mają robić. Wyciągnął oba rewolwery. – Przygotujcie karabiny! Wystraszyliśmy już jednego takiego diabła hukiem i błyskiem. Kto wie, może i tym razem będziemy mieli szczęście.

Davies upadł na ziemię i wrzasnął:

– Kapitanie! Tam jest jeszcze jedno! Za nami!

Blackstrap obrócił się w miejscu akurat wtedy, gdy spoza drzew wylaniał się drugi potwór, prawie tak wielki jak pierwszy. Mimo strachu przyłapał się na tym, że podziwia bezszelestny sposób poruszania się tych ogromnych stworzeń, ich grację i piękno maskujących naturalnych barw. Mocniej ścisnął oba pistolety. – Spokojnie, spokojnie... trzymajcie nerwy na wodzy. Może zostawią nas w spokoju i będą wolały zająć się sobą. Odsuńmy się na bok. O! Widzicie!? Chyba się nami nie interesują...

W Copperheada wstąpiła nadzieja.

– Niech pan spojrz, kapitanie. Ale wydęte! One niedawno jadły. Jeśli mają takie zwyczaje jak lwy czy tygrysy, to jeszcze przez kilka dni nie będą musiały zabijać.

Istotnie, dwa wielkie drapieżniki były najedzone do syta. I choć przyglądały się trzem mężczyznom, nie robiły nic, żeby zaatakować. Wyglądały raczej na znudzone.

– Chyba pozwolą nam odejść – szepnął z napięciem Davies. – Nie interesujemy ich.

– Jasna cholera! – wymamrotał nagle Copperhead. – Dacie wiarę, że widzę jeszcze trzecią bestię?! Ale nie przejmujcie się tak – dodał spokojniejszym tonem. – Ona jest dość mała.

Blackstrap ścisnął brwi.

– Mała? Co to znaczy „mała”? – Rozejrzał się wokół. Copperhead miał rację. Oprócz dwóch wielkich stworzeń, które znalazły się teraz za nimi, z przodu pojawiło się trzecie, blokując im drogę ucieczki. Wyglądało jak mniejsza wersja dwóch gigantów.

– Obejdziemy ją z lewej. – Blackstrap tak mocno ścisnął kolby rewolwerów, że aż zdrętwiały mu palce. – Wygląda na to, że też niedawno jadła. Nie mają powodu, żeby nas atakować, skoro wokół jest tyle padliny.

Przez kilka chwil wydawało się, że mają rację i że uda im się wymknąć. Potem nagle rozległ się drżący szep Daviesa:

– To małe, kapitanie... nie wydaje się panu znajome?

– Znajome? Co ty pleciesz, człowieku?

Raptem stworzenie rozpoznane przez zaniepokojonego marynarza rozwarło szczęki i wydało szereg gwałtownych pomruków i warknięć. Jakby w odpowiedzi, dwa obojętne do tej pory olbrzymy natychmiast ocknęły się z letargu. Ruszyły naprzód, a pod ich stopami zadrżała ziemia. Otworzyły się ogromne paszcze odsłaniając ciemnoróżowe języki, ostre jak szable zęby i czarne jak noc, przepastne gardziele.

Dopiero wtedy Blackstrap rozpoznał trzeciego i najmniejszego członka tego tercetu. Był bardzo podobny do młodego dinozaura, którego schwytali i uwięzili. A jeśli to było młode, to dwa zębate

lewiatany walące teraz prosto na nich, musiały być...

Od chwili przybicia do brzegów Dinotopii Brognar Blackstrap zaniemówił po raz drugi.

I po raz ostatni.

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA.. 1](#)

[I. 5](#)

[II. 11](#)

[III. 24](#)

[IV.. 33](#)

[V.. 40](#)

[VI. 47](#)

[VII. 56](#)

[VIII. 62](#)

[IX.. 72](#)

[X.. 79](#)

[XI. 89](#)

[XII. 99](#)

[XIII. 104](#)

[XIV.. 112](#)

[XV.. 123](#)

[XVI. 133](#)

[XVII. 143](#)

[XVIII. 153](#)

[XIX.. 164](#)

[XX.. 170](#)

[XXI. 181](#)

[XXII. 187](#)

[XXIII. 197](#)